

# ZDANIE

“Trzech na jednego”  
z ZYGMUNTEM BAUMANEM

M. Belka, KRYZYS I JEGO KONSEKWENCJE | J. Woleński, OPOZYCJA PILNIE POSZUKIWANA

J. Tazbir, ZAKRĘTY HISTORII | K. Gawlikowski, ROSJA, POLSKA, EUROPA

POLSKA 2030: M. Boni, H. Domański, H. Kubiak, J. Pomianowski, A. Rotfeld, J. Widacki

1-2 (148-149) 2011





Tomasz Bohajedyn, *Szkielet 2*; na okładce: *Lot 2*, fragment

## JACEK CYGAN

### Archeologia

Żeby został po mnie chociaż odcisk rzęsy  
na powierzchni muszli.  
Spojrzenie zastygłe w bursztynie.  
Jedno zdanie odbite w węglu.

Spieszę się, chcę zdążyć przed lodowcem.  
Z czymś ważnym, swoim.

Pęka obroża koła podbiegunowego.  
Zrywa się łańcuch najbliższego równoleżnika.  
Lodowiec pędzi prosto na mnie. Wybieram  
morenę czołową i mimo bólu, odciskam się, odciskam...

Nic z tego. Słaby odcisk w lodzie mojego lewego ucha  
rozpuszcza globalne ocieplenie.

# ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

1–2 (148–149) 2011

## OD REDAKTORA

Problemy podjęte przez Autorów tego numeru „Zdania” mieszczą się we wszystkich odmianach czasu. Prof. Janusz Tazbir śledzi zakręty naszej historii w perspektywie jej długiego trwania, od I Rzeczypospolitej poczynając. Prof. Marek Waldenberg skupia się na polityce wschodniej w okresie, kiedy ona się kształtowała, czyli w latach I wojny światowej i tuż po niej, już w Polsce niepodległej, odnotowując jej rozliczne niepowodzenia. Jednakże większość artykułów lokuje się w szeroko pojętej współczesności, a niektóre z nich, czego przykładem teksty profesorów: Jana Woleńskiego i Stanisława Gębali, dotyczą gorących i aktualnych tematów.

Znalazło się także miejsce dla czasu przyszłego, co w „Zdaniu” zdarza się nie często. A to za sprawą ubiegło-

rocznej konferencji „Kuźnicy”, której tematem była *Polska 2030*. Upubliczamy tę długoterminową prognozę, sformułowaną przez budzących zaufanie ekspertów, nie z powodu fascynacji futurologią, lecz żeby naszemu myśleniu o Polsce przywrócić właściwe proporcje. Czas już bowiem najwyższy wyrwać się z objęć i dyktatu polityki historycznej.

*Specialité de la maison* w tym numerze „Zdania” to, jak zawsze, rozmowa „Trzech na jednego”, tym razem z prof. Zygmuntem Baumanem. Uczony światowej sławy, którego naukowa kariera zaczęła się w Polsce, opowiada dzieje swojego życia. Warto przeczytać!

EDWARD CHUDZIŃSKI

ZYGMUNT BAUMAN MOJE DZIEJE INTELEKTUALNE SĄ HISTORIĄ ROZCZAROWAN	3
Jan Woleński OPOZYCJA PILNIE POSZUKIWANA	15
Stanisław Gębala SŁOWA NA WOJNIE	18
Marek Belka KRYZYS I JEGO KONSEKWENCJE	22
Henryk Domański SPOŁECZEŃSTWO	26
Michał Boni ... KIEDY OSIĄGAMY MASĘ KRYTYCZNĄ POSTAW SPOŁECZNYCH	29
Jan Widacki POSŁUCHAĆ MĄDRZEJSZYCH	33
Adam Rotfeld ŚWIAT NIEPEWNY, NIESTABILNY, NIEPRZEWIDYWALNY...	36
Jerzy Pomianowski KIEDY POLSKA BĘDZIE PEWNA SWEGO	40
Hieronim Kubiak CZY DA SIĘ PRZEWIDZIEĆ PRZYSZŁOŚĆ?	43
Andrzej Walicki CZY MOŻNA MÓWIĆ O „KOMUNIZMIE POLITYCZNYM”?	47
Krzysztof Gawlikowski ROSJA Z POLSKIEJ I EUROPEJSKIEJ PERSPEKTYWY	52
Janusz Tazbir ZAKRĘTY HISTORII	56
Marek Waldenberg PIERWSZY GŁĘBOKI KRYZYS POLSKIEJ POLITYKI WSCHODNIEJ	63
Tadeusz Kowalik MODEL DLA INNYCH CZY KULTUROWY UNIKAT?	71
Katarzyna Brataniec SPORY WOKÓŁ CHUSTY MUŻELMANSKIEJ	75

81	Zbigniew Bauer JOURNAMORFOZA PO POLSKU (III)
88	LUDWIGA WITTGENSTEINA DZIENNIKI SEKRETNE (2)
91	Stanisław Burkot WOJCIECHA KUĆCZOKA „ZABAWY PRZYJEMNE I POZYTECZNE”
98	Jacek Cygan WIERSZE
100	Adam Komorowski MARIO POLITYK
102	Marian Stepien WOKÓŁ PISM OSTATNICH ANDRZEJA STAWARA
108	Jacek Wojciechowski AKTUALIA ROSYJSKIEJ PROZY W POLSCE (I)
113	Andrzej Kurz DWA WYDARZENIA EDYTORSKIE
115	Władysław Markiewicz O LUDWIKU KRZYWICKIM
117	Marek Zagajewski LEWICOWA KRYTYKA TRANSFORMACJI
120	Jerzy Wenderlich JERZY POLKOWSKI
121	POŻEGNANIE J. DIENSTBIERA
122	KOWADŁO DLA BAUMANA
124	Andrzej Kurz JUBILEUSZ I NOWA KSIĄŻKA DURACZYŃSKIEGO
125	Krzysztof Komornicki WPISY, BLOGI I INNE ŚWIŃSTWA
127	Sceptyk NĘDZA Z BIDA
III okt.	Roman Wysogład 21 LUTY 2011



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

# trzech na jednego

JEDEN:  
ZYGMUNT BAUMAN  
TRZECH:  
EDWARD CHUDZIŃSKI  
ADAM KOMOROWSKI  
FILIP RATKOWSKI

# MOJE DZIEJE INTELEKTUALNE SĄ HISTORIA ROZCZAROWAŃ

**EDWARD CHUDZIŃSKI:** Przyniosłem Panu kalendarz z serią starych zdjęć przedwojennego Poznania. Proszę spojrzeć - to ulica 27 grudnia w roku 1936, tu stary Rynek z okresu okupacji, zamek z 1936 roku, fort Radziwiłł na Zagórzu. Dalej Port Rzeczny, jakaś barka stoi, chyba z Hamburga, tu ulica Marcinkowskiego zimą, Muzeum Wielkopolskie z 1920 roku, Dworzec Główny... I od tamtego Poznania chcielibyśmy naszą rozmowę zacząć...

**ZYGMUNT BAUMAN:** Choć ojciec mój pochodził z Poznańskiego, to jednak matka moja była początkowo oddzielona od niego granicą, bo mieszkała w Kongresówce. Po ślubie osiedlili się w Poznaniu i zamieszkali na Jeźycach przy ulicy Prusa 17, w bardzo nietypowym miejscu dla rodzin bez poznańskich korzeni. Jeźyce przedzielone były ulicą Dąbrowskiego, która najpierw była ulicą Henryka Dąbrowskiego, potem Jarostawa i teraz znów Henryka. Od strony Kościelnej mieszkała straszliwa biedota, a od Rynku Jeżyckiego, gdzie znajdowało się nasze wynajęte mieszkanie, zaczynała się część względnie zamożniejsza. Ulice na Jeźycach nosiły literackie nazwy i mieszkali tam ludzie wolnych zawodów i w ogóle inteligencja.

**CHUDZIŃSKI:** A więc urodził się Pan w Poznaniu, bastionie endecji, gdzie niewiele było rodzin żydowskich.

**BAUMAN:** Mój ojciec był „człowiekiem książki”, choć samoukiem. Jednak rodzina bez pytania go o zgodę uznała, że winien być zostać kupcem... W posagu dostał w Poznaniu sklep i niemal z miejsca zbankrutował. Miał tyle głowy do handlu ile ja, albo jeszcze mniej. Natychmiast go oszukano. Z resztką pieniędzy, jakie mu zostały, pojechał do Paryża, gdzie oszukali go jeszcze skuteczniej i gruntowniej, coś w rodzaju sprzedaży kolumny Zygmunta. Wrócił do Poznania, szukał pracy i nie potrafił jej znaleźć... Z rozpacz, że nie jest w stanie utrzymać rodziny, wybrał samobójstwo. W jesionce skoczył z Mostu Chwaliszewskiego do Warty, płaszcz z miejsca nasiąknął wodą i ojciec poszedł na dno, ale udało mu się dokładnie tak, jak w interesach. Akurat przechodziła mostem drużyna harcerska, chłopcy skoczyli do rzeki, wyciągnęli na brzeg, odratowali i pogotowiem odesłali do domu. Sprawa zrobiła się głośna, trafiła do gazet pod tytułami „Bezrobotny chciał popełnić samobójstwo” i dlatego ofiarowano mu pracę. Został buchalterem.

**CHUDZIŃSKI:** Matka zajmowała się domem?

**BAUMAN:** O, to była kobieta niestychanie energiczna, ruchliwa, pełna pomysłów i ambicji, rozczytana i ocytana. Ale zajmowała się rzeczywiście tylko gospodarstwem domowym. Dzięki niej udawało nam się jakoś wiązać koniec z końcem. Miała taką teorię, że są dwie



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

metody przygotowania potraw – jedna to kupić drogie składniki, a druga to poświęcić cały dzień na gotowanie. Jej dostępny był tylko ten drugi system.

**FILIP RATKOWSKI: Wielka umiejętność!**

**BAUMAN:** I to się nam bardzo przydało, bo umiejętności zrobienia jadalnej potrawy z marnych surowców, albo i czegoś z niczego, były potem na wagę złota, gdy znaleźliśmy się w ZSRR. Została z miejsca wielce cenioną kucharką...

**CHUDZIŃSKI: Jak jednak wyglądała państwa sytuacja w Poznaniu?**

**BAUMAN:** W naszej dzielnicy, choć była dość zróżnicowana i dzieliła się, jak już powiedziałem, na część ubogą i biedną, nie było poza nami ani jednej rodziny żydowskiej. I ja nie odebrałem żydowskiego wychowania. Ojciec nie był religijny i tej atmosfery nie odczuwało się w domu. Jedynie przez dwa lata dziadek, który po zgonie żony przeprowadził się do nas ze Stupcy, usiłował uczyć mnie hebrajskiego i skłonić do czytania Tory, ale bez sukcesu. Chodziłem do szkoły powszechnej na ul. Słowackiego, gdzie byłem jedynym Żydem, więc stałem się wymarzoną obiektem dla miejscowych chuliganów. Każdy z nich chciał mnie przynajmniej raz kopnąć, ale miałem też grupę bardzo dobrych kolegów. Niestety, ostatni z tej paczki rok temu zmarł i poczułem się jak pewnie czuł się mamut po wymarciu reszty gatunku. Do wybuchu wojny skończyłem 6 klas, zdążyłem jeszcze pójść do gimnazjum Bergera, jedyne w Poznaniu, które miało dla Żydów tylko „numerus clausus”, a nie „numerus nullus”, i przyjmowało chłopców żydowskich. Poza mną przyjęto w tym roku jeszcze jednego żydowskiego ucznia, a więc w całym Poznaniu tylko dwóch takich zaczęło naukę w gimnazjum w Roku Pańskim 1938.

**RATKOWSKI: Czy w domu mówiło się niekiedy o polityce?**

**BAUMAN:** Ojciec był całe życie syjonistą, marzył o wyjeździe do Palestyny, ale matka przeciwstawiała się

takim pomysłom bardzo zdecydowanie. Natomiast, dość przypadkowo, pojechała do Palestyny moja siostra. Była starsza ode mnie o siedem lat i w jakimś momencie rodzice, a szczególnie matka, postanowili wydać ją za mąż. Miała dopiero osiemnaście lat, ale nawinął się młody Żyd z Palestyny, z rodziny, która tam mieszkała od zawsze, pewnie już za czasów rzymskich. Przyjechał do Poznania na Targi i poznał moją siostrę przez wuja matki, sekretarza tutejszej gminy żydowskiej (był wówczas taki obyczaj, że Żyd, gdziekolwiek przyjeżdżał, wstępował do gminy żydowskiej dla nawiązania kontaktów). Zobaczył ją i z miejsca się zakochał. Siostra nie była tym zachwycona, ale mama była szczęśliwa, że córka nie zostanie starą panną, a i syjonistyczne sympatie ojca nie były tu bez znaczenia. Pojechała do Palestyny i... znalazła się w haremie! Nie dosłownie w haremie, ale niemal. Rządziła całym odosobnionym od reszty domostwa fraucymerem matka rodu, nadzorując drobniogowo wszystkie córki i synowe, których mężowie spotykali się ze swymi kobietami tylko w celach prokreacji! Siostra była ogromnie nieszczęśliwa i uciekła stamtąd do kibucu. Nie było to zresztą łatwe, bo pilnowano jej okrutnie, ale ostatecznie udało się. I tam drugi raz wyszła za mąż. Do końca życia została w tym kibucu.

**CHUDZIŃSKI: Mamy więc rok 1939.**

**BAUMAN:** 3 września, tuż przed wejściem Niemców do miasta, udało nam się wyjechać ostatnim pociągiem do Inowrocławia. Jechaliśmy do rodziny matki, do Włocławka, ale po drodze omal nie straciliśmy życia. Ponieważ w Poznaniu nie udało nam się kupić biletów z powodu nieczynnych już kas, mój ojciec, który był chodzącą uczciwością, postanowił zapłacić za przejazd w Inowrocławiu. Nie chciał wyjść ze stacji, póki za bilety nie zapłaci i szukał kolejarza, który by przyjął pieniądze, a Niemcy cały czas stację bombardowali! Matka przymocowała wyciągnęła go z dworca... A potem częściowo piechotą, częściowo furmankami dotarliśmy do Włocławka i tam dopadła nas okupacja.

**CHUDZIŃSKI: Czy rodzice mieli jakiś plan? Pomyśl gdzie pojechać?**

BAUMAN: Nie, choć z miejsca zorientowaliśmy się, że sprawa wygląda groźnie. Od razu zaczęło się upokarzanie, naszywanie żółtych łat, zakaz chodzenia po chodniku... I chyba nie bez znaczenia była jakaś moja dziecięca intuicja. Zwłaszcza, gdy zobaczyłem ojca zapędzonego do uprzężania z jezdni końskiego nwozu gołymi rękoma, uparłem się, że musimy uciekać i ostatecznie ojciec poddał się moim dokuczaniom i wraz z kilkoma innymi Żydami wynajął chłopską furmankę. Szkapę dociągnęły nas do Mławy, gdzie jeden z koni padł i dalej trzeba już było iść na piechotę. Tak dotarliśmy do Ostrołęki, a dokładniej do Wojciechowic. Na granicy stał wówczas Wehrmacht, a ponieważ mój ojciec mówił płynnie po niemiecku i to przyzwoitym literackim językiem, kapitan, dowódca oddziału, zatrudnił go jako tłumacza i jakby nawet nabrał do niego sympatii; próbował nawet osobiście umożliwić nam przedostanie się na sowiecką stronę. Pertraktacje z Rosjanami w tej sprawie jednak zawiodły, a takich uciekinierów jak my kłębilo się na granicy bardzo wielu. Dowiedziałem się, że Grenzschutz zaraz po zluzowaniu Wehrmachtu wszystkich ich przetransportował do Ostrowi Mazowieckiej, gdzie dokonano pierwszego bodaj masowego mordu na Żydach polskich. Ale nas kapitan ostrzegł. Nas odwołują – powiedział ojcu. Przyjdzie tu Grenzschutz, a oni nie są tacy jak my. Ratujcie się jak możecie! Też że nocy przemknęliśmy się przez granicę i dotarliśmy przez pola, omijając szosy, na piechotę do Łomży.

**RATKOWSKI: Ale potem kierowaliście się w głąb Rosji?**

BAUMAN: W Łomży i Białymstoku był taki natłok uciekinierów, że nie było szans przetrwania. Przebijaliśmy się więc na wschód, ojciec w poszukiwaniu pracy, bo byliśmy bez grosza. I tak znaleźliśmy się w Mołodecznie.

**CHUDZIŃSKI: To ciągle tereny II Rzeczypospolitej zajęte przez armię radziecką?**

BAUMAN: Tak... Mołodeczno to było miasto garnizonowe. W koszarach osadzili się wojska sowieckie i matka znalazła pracę kucharki w stołówce. Kiedy zaczął się kolejny etap wojny, ewakuowano rodziny wojskowe i matka nas tam jakoś wkręciła. Pociąg włókł się całymi dniami, wszyscy powysiadali po drodze, tylko my nie mieliśmy gdzie wysiąść. Ostatecznie wysadzili nas w kołchozie w Krasnych Bakach w województwie gorkowskim, przedtem i teraz niżno-nowgorodzkiem. Ojciec miał swoje lata i nie podlegał mobilizacji, dlatego o pracę było mu łatwo. Ostatecznie osiedliliśmy się w małym miasteczku, nazywało się Szachunija, matka znów została kucharką, a ojciec znalazł pracę buchaltera...

**RATKOWSKI: I tam chodził Pan do szkoły?**

BAUMAN: W Mołodecznie chodziłem do gimnazjum, choć miałem problemy, bo ani białoruskiego ani rosyjskiego nie znałem, cyrylicy też nie. Podręczników nie było żadnych, więc rosyjskiego uczyłem się z „Prawdy” z jej drętwą mową, która nie była najlepszą przepustką do kultury sąsiadów. W dodatku trafiłem na dyrektora szkoły, miejscowego białoruskiego nacjonalistę, a ja byłem dla niego uosobieniem zniechęconej przeraźliwej polskości: z Poznania, z czysto polskiego środowiska, a i z polszczyzną nieurusyfikowaną! Zawezwał mnie

i zapowiedział, że jeśli do Bożego Narodzenia nie nauczę się białoruskiego, to mnie ze szkoły wyrzuci. Do wyrzucenia nie doszło jednak, bo jeszcze przed gwiazdką przysłano innego dyrektora, bodajże z Mińska. „Dziesięciolatkę” ukończyłem już w Szachunii, a że wkuwałem na potęgę, to z „złotej gramotaj”, która dawała prawo wstępu na wszystkie wyższe uczelnie w całym ZSRR bez egzaminów!

**RATKOWSKI: No, no...**

BAUMAN: Co z tego, kiedy miałem „złe papiery”, dokumenty Polaka-uciekiniery i nie wolno mi było przebywać w żadnym mieście wojewódzkim! Poszedłem więc do pracy, zapisawszy się na zaoczne studia na fizyce na Gorkowskim Uniwersytecie. Studiowałem korespondencyjnie, na dwa dni tylko pozwolono mi przyjechać na egzaminy. Nie trwało to wszystko długo, bo wkrótce zostałem zmobilizowany. To była, nawiasem mówiąc, ciekawa sprawa. W pewnym momencie Stalin zarządził, żeby wymienić kadrę milicji w Moskwie, kierując tam ludzi z rozmaitymi hakami – np. uciekinierów z zagranicy, jak ja...

**RATKOWSKI: Dla pewności?**

BAUMAN: Tak. Chodziło o to, żeby milicja nie mogła się dogadać z moskwiczami w przypadku jakichś zaburzeń. I nagle w tej milicji pojawiło się sporo różnych Łotyszów, Litwinów, Polaków... Praca była mało poetycka, bo regulowałem ruch uliczny, a oceniano nas wedle ilości mandatów karnych, jakich udzielaliśmy biednym, wymęczonym do cna moskwiczom.

**CHUDZIŃSKI: Zastanawiam się, ileż tych samochodów mogło wówczas jeździć po wyludnionej Moskwie?**

BAUMAN: Strasznie mało ich było i ciągle się psuły, ale mandaty trzeba było walić! Ulice były pustawe, ale i tak, na przelotowych trasach, na środku jezdni znajdowały się szerokie pasy, na które nam milicjantom nie wolno było nawet popatrzeć. Tamtędy przemykały wozy rządowe. W Moskwie odnalazłem Związek Patriotów Polskich. Poszedłem tam i natknąłem się na Mariana Naszkowskiego, później generała, a w PRL wiceministra spraw zagranicznych. Milicji miałem serdecznie dość, przedstawiłem swoją sprawę, a on mi załatwił powołanie do I Armii. Trafiłem do IV Dywizji, która formowała się w Sumach, na Ukrainie. Na odjeźdźnym dali mi z milicji jakieś strasznie podarte łachy czyli zużyty mundur. Dostałem też „komandirowkę” do Charkowa. Przejazd, wedle rozkładu jazdy, miał trwać jeden dzień i miałem dostać na drogę kawałek kiełbasy. Ponieważ kiełbasy nie było, dostałem „z przelicznika” 20 gramów kawioru! Zresztą znakomitego! Ale tylko dwa deko, bo tak wynikało z przeliczenia.

**CHUDZIŃSKI: Trochę mało...**

BAUMAN: Podróż trwała oczywiście znacznie dłużej niż opiewał rozkład i do Sum dojechałem niemal umierając z głodu. Na miejscu, po odwszeniu oczywiście, dostałem puszkę amerykańskiej „swinnej tuszonki”. Zjadłem ją na poczekaniu i potem przez tydzień byłem chory... Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z armią.

**RATKOWSKI: Kto dowodził dywizją?**

BAUMAN: Generał Kieniewicz - Polak z Rosji. Mówił po polsku z silnym rosyjskim akcentem, ale było widać, że nie nauczył się języka na potrzeby armii, tylko wyniósł go z domu. Najwyraźniej rodzina zachowywała polskie tradycje. Dowódcą pułku artylerii lekkiej,

do którego mnie przydzielono, był pułkownik Kumpicki, też Polak, ale ten po polsku już nie mówił, choć się serdecznie starał. Narzucił sobie obowiązek mówienia choćby łamanym językiem. Pamiętam jak kiedyś gromił oficerów na odprawie za brak kultury: „Wypiędzili kieliszki ze stoła! Dawaj stakany!”.

W sumie cała kadra liniowa była zapożyczona z Armii Czerwonej, wśród nich było sporo ludzi z polskimi korzeniami, wnukowie zesańców i tym podobni, ale w mojej baterii dwóch dowódców plutonów to byli Rosjanie, a z kolei dowódcą baterii był Polak – Lange. Niestychnie sympatyczny facet z dużą fantazją i awanturniczym zacięciem, wywodzący się z Syberii. A szeregowi? W rękach Armii Czerwonej były już Wołyń i Podole – i oto fantastyczny przykład stalinowskiej niekonsekwencji: mimo że włączył te tereny do Związku Radzieckiego, kazał zmobilizować miejscowych do wojska polskiego. Znalazłem się więc wśród chłopów z Podola, z Wołynia, z Kołomyi, ze Stanisławowa...

**RATKOWSKI: Ukraińców?**

**BAUMAN:** To byli miejscowi chłopci. Przedtem mianowano ich Ukraińcami, teraz Polakami!

**CHUDZIŃSKI: Czy wśród nich byli również Polacy, których nie wywieziono?**

**BAUMAN:** To byli miejscowi chłopci, powtarzam, bez różnicy narodowości. Chłopów przecież nie wywożono. Wywożono urzędników, leśników, policjantów i ich rodziny, rodziny osadników wojskowych, generalnie element napływowi. Tak czy owak, głównym problemem w polskim wojsku była jego polskość. Dlatego szukano ludzi mówiących dobrą polszczyzną i z jakim-takim wykształceniem, żeby tę pstrą zbieraninę nieco spolszczyć. Posłano mnie więc na trzytygodniowy kurs oficerski, ale wielu mądrości wojskowych tam się nie nauczyłem.

**ADAM KOMOROWSKI: Ale jednak w wojsku otrzymał Pan Krzyż Walecznych!**

**BAUMAN:** Przeszedłem z dywizją kawał szlaku bojowego, choć w zasadzie jedynym odcinkiem szlaku, na jakim się porządnie prochu nawąchałem, to było zdobywanie Wału Pomorskiego, a potem Kołobrzegu.

**RATKOWSKI: Niezły, gorący odcinek!**

**BAUMAN:** Na szczęście tam nie my byliśmy pod atakiem – to Niemcy przed nami uciekali... Na Wale Pomorskim problem polegał głównie na tym, że trzeba było się ogromnie spieszyć, by zdążyć do Niemców postrzelać zanim umkną. Zanim zdążyliśmy odciąć działą od studebakerów i rozstawić, oni już byli kilka kilometrów dalej. W końcu jednak zatrzymali się w Kołobrzegu, już odcięty od reszty frontu i przeto zamienionym w prawdziwą twierdzę. Tam toczyły się ciężkie walki uliczne i tam dostałem odłamkiem w plecy. Do dziś pobolewa mnie na zmianę pogody, bo urwało mi kawałek łopatki. Trafiłem w efekcie do przydzielonego polskiej armii rosyjskiego szpitala polowego. Mieli tam prawdziwie końskie sposoby leczenia, choć przyznaję - bardzo skuteczne! Wprawdzie operowali mnie bez znieczulenia, cholernie bolało i do tej pory ze zgrozą to wspominam, ale reżym kooperacyjny okazał się rewelacyjny. Nie zawieszali ręki na temblaku, bo - jak mi tłumaczył major-lekarz - chodziło o to, żeby ramię poprawnie się goiło i żeby nie pojawiło się „dzikie mięso”. W miasteczku, gdzie kwaterował szpital, to się chyba dziś nazywa Nowe Miasto, było jezioro i łąki. I ten lekarz kazał mi

wiosłować, żeby się zrastało bez szkody dla sprawności ręki...

**CHUDZIŃSKI: Jak rozumiem, za udział w walkach o Kołobrzeg dostał Pan Krzyż Walecznych?**

**BAUMAN:** Tak, choć wiele lat później IPN-owski pamfletista Gontarczyk, którego wtedy jeszcze na świecie nie było, napisał w „Ozonie”, a potem powtórnie w „Rzeczpospolitej”, że dostałem go w 1950 roku za „niszczenie podziemia patriotycznego”. Jakoś owego podziemia w Kołobrzegu nie dostrzegałem, więc napisałem sprostowanie do „Rzeczpospolitej”...

**CHUDZIŃSKI: Opublikowali?**

**BAUMAN:** Ale gdzie tam!

**CHUDZIŃSKI: A potem był jeszcze Berlin...**

**BAUMAN:** Ja i jeszcze dwóch rannych kolegów, w „czynnie pierwszomajowym”, wypisaliśmy się ze szpitala i popędziliśmy do jednostek. Zdążyłem dotrzeć do dywizji akurat na walki o Berlin. Miałem więc okazję uczestniczyć w (przypadkowym zresztą) spaleniu kawałka Poczdamu... A 5 maja Niemcy zdążyli jeszcze zabić pułkownika Kumpickiego, dowódcę pułku. Byliśmy już tak pewni wygranej i zadufani, że pułkownik wybrał się w nocy na przejażdżkę swoim jeepem na pełnych światełkach. I jakiś cudem ocalały dinozaur z Luftwaffe zrzucił równie cudem ocalałą bombkę i było po Kumpickim.

**CHUDZIŃSKI: A po wojnie?**

**BAUMAN:** No cóż, cała IV Dywizja Piechoty została odkomenderowana do KBW, ale wbrew temu co piszą różni lustratorzy, nie mogę sobie przypisać większych sukcesów ani w walce z UPA, ani z podziemiem. Najpierw zostałem odkomenderowany do batalionu wartowniczego w Łodzi, potem do Bydgoszczy, w końcu do szkoły podoficerskiej w Szczytnie. Byłem tam instruktorem polityczno-wychowawczym.

**RATKOWSKI: Jak widać, nie zrobił Pan w wojsku wielkiej kariery...**

**BAUMAN:** Zdolności, a i chęci zapewne zabrakło.

**KOMOROWSKI: Do którego roku był Pan na prowincji?**

**BAUMAN:** Do 1947. Jako oficer polityczny miałem obowiązek pisać do Warszawy comiesięczne sprawozdania. Płk. Zdzisław Bibrowski, szef Zarządu Polityczno-Wychowawczego KBW w Warszawie, czytał je i stwierdził, że się absolutnie nie nadaję na politruka, bo było w nich więcej poezji niż faktów; zabrał mnie więc do układania programów szkolenia i pisania pogadank dla żołnierzy. Mój nowy szef był dla mnie fascynującą postacią. Przedwojenny intelektualista-komunista, o olbrzymiej erudycji, głęboko a trzeźwo myślący, przenikliwy... Polubiłem go wielce i szanowałem. Po wyrzuceniu go z wojska (w 1952 roku) Bibrowski pracował w energetyce, mając do tego jako inżynier z wykształcenia znakomite przygotowanie. Wiele lat później współorganizował intelektualne odgałęzienie Solidarności. Do końca życia pozostał bardzo aktywnym intelektualnie i politycznie człowiekiem.

**CHUDZIŃSKI: A więc nie walczył pan w Bieszczadach?**

**BAUMAN:** Cóż zrobić, nie byłem żadnym pogromcą Łupaszkii ani UPA, jak to niektórzy mi przypisują, tylko siedziałem i pisałem pogadanki. Wbrew temu, co napisał Gontarczyk, nie udało mi się schwytać żadnego bandyty z UPA, ani nikogo z „podziemia patriotycznego”. Ani nawet go zobaczyć.

**CHUDZIŃSKI: Z wojskiem rozstał się Pan ostatecznie w 1953 roku?**

BAUMAN: Pomogła rozpętana przez Stalina sprawa Żydów-lekarzy, którzy rzekomo zamordowali niektóre ze Stalina ofiar, ale to i tak wisało już od pewnego czasu w powietrzu.

**CHUDZIŃSKI: Wtedy pierwszy raz odczuł Pan skutki swojego pochodzenia?**

BAUMAN: Nie wydaje mi się, żeby to była wówczas tylko sprawa pochodzenia. Wprawdzie wezwali mnie i otwarcie powiedzieli, że wiadomego pochodzenia lekarze mordują, więc i dla mnie nie ma tu miejsca, ale ja w ogóle do tego miejsca nie pasowałem, podobnie zresztą jak Bibrowski. Najpierw na jego miejsce przystano niejakiego Putecznego, tobuza bez skrupułów i zupaka, a zaraz potem i mnie wyrzucono. Jak widać, utrzymałem się w KBW tak długo wyłącznie dzięki Bibrowskiemu.

**RATKOWSKI: Inna rzecz, że dzisiaj lansowany obraz KBW jest, delikatnie mówiąc, uproszczony!**

BAUMAN: Kto dziś chce pamiętać, że były to w 1956 roku jedyne jednostki, w których Rokossowski nie zainstalował radzieckich dowódców i „doradców”. Dlatego to KBW i jego dowódcy - generałowi Julianowi Hübnerowi - KC powierzyło zorganizowanie obrony Warszawy przed nadciągającymi od Legnicy rosyjskimi czołgami. Hübner był Dąbrowszczakiem, jego zresztą też wkrótce wyrzucono. Skończył fizykę w wieku 50 lat i do emerytury pracował w Świerku.

**RATKOWSKI: A Pan też z wojska poszedł na studia?**

BAUMAN: Nie, już wcześniej, będąc w wojsku, studiowałem na Akademii Nauk Społecznych. Uczęszczałem systematycznie na zajęcia, zdawałem wszystkie egzaminy, tam poznałem zresztą moją żonę. Potem zorganizowano na Uniwersytecie Warszawskim dwuletni kurs magisterski z filozofii.

**KOMOROWSKI: Wykładał tam Kroński?**

BAUMAN: Szefem był Adam Schaff, ale rzeczywiście wykładali tam też Kroński, Kołakowski, Baczo i Julian Hochfeld, który stał się moim mistrzem. Dzięki niemu zostałem socjologiem, bo zanim zdażyłem ten kurs skończyć, socjologię restytuowano.

**RATKOWSKI: Czyli dyscyplinę, która już przestała być „burżuazyjną pseudonauką”, jak to określała Wielka Radziecka Encyklopedia.**

BAUMAN: W 1954 roku już pojawiły się oznaki odnowy na Uniwersytecie Warszawskim. Wrócili do pracy Ossowski i Ajdukiewicz, choć już był bardzo stary, wykładał Kotarbiński, który uczył mnie logiki. I z dnia na dzień robiła się z tego normalna wyższa uczelnia.

**CHUDZIŃSKI: A jak zapisał się w Pana świadomości rok 1956?**

BAUMAN: To dla mnie bardzo ważna data. Nawróciłem się wtedy na Gramsciego.

**CHUDZIŃSKI: I wtedy zaczyna Pan szybką karierę naukową. W bardzo młodym wieku objął Pan katedrę socjologii na Uniwersytecie Warszawskim.**

BAUMAN: To nie wyglądało tak prosto. Najpierw były dwie socjologie. Kierownikiem jednej był Ossowski, a drugiej Hochfeld. Ja zostałem u Hochfelda asystentem, potem zrobiłem u niego doktorat. Zresztą pisałem ten doktorat na stole kuchennym, bo warunki mieszkaniowe były w owym czasie takie, jakie były. Poszło

to rzeczywiście szybko, bo magisterium zrobiłem w 1954, doktorat już w 1956, a habilitację w 1960.

**CHUDZIŃSKI: To imponujące tempo, gdyż doktorat w tamtych latach robiło się przez osiem lat, a habilitację jeszcze dłużej.**

BAUMAN: W moim przypadku poszło to tak szybko, bo udało mi się dostać roczne stypendium British Council i przełom 1957 i 1958 roku spędziłem w London School of Economics, gdzie miałem dostęp do obfitych archiwów i mogłem pokusić się o porządną socjologiczną analizę historii angielskiego ruchu robotniczego.

**KOMOROWSKI: I wtedy miał Pan kontakt z Ciołkoszami?**

BAUMAN: Z Ciołkoszową. Jego nigdy nie poznałem.

**RATKOWSKI: Kiedy nauczył się Pan angielskiego?**

BAUMAN: Podstawy mam do zawdzięczenia mojej nauczycielce z poznańskiego gimnazjum Bergera, ale uczyła mnie tylko pół roku. Potem byłem samoukiem, czytałem angielskie teksty i tak się powoli uczyłem tego języka. Jeszcze kiedy jechałem do London School of Economics, nie miałem porządnie opanowanego języka mówionego. Rozumiałem, czytałem, ale miałem trudności z formułowaniem myśli i mówiłem nie to, co chciałem powiedzieć, a to co wypowiedzieć potrafiłem. Po latach, kiedy zostałem profesorem na angielskiej uczelni, to dopiero była heca! Póki byłem studentem z zagranicy, kiepska mowa dodawała mi jeszcze uroku, na zasadzie „małpa, a drapie się zupełnie jak człowiek”! Mówiono mi: „świetnie mówisz po angielsku”, ale wkrótce się zorientowałem, że będę się mógł uspokoić dopiero wtedy, gdy przestaną tak moje wypowiedzi kwitować... Ale gdy po paru latach mianowano mnie angielskim profesorem, to co przysparzało uroku małpie, dla mnie byłoby zabójcze...

**CHUDZIŃSKI: Mamy kłopot z usytuowaniem Pana w pejzażu intelektualnym Warszawy po Październiku 56. Czy należał Pan do pokazywanych coraz wyraźniej palcem rewizjonistów, czy to była warszawska szkoła historyków idei? Jak Pan się sam sytuuje?**

**RATKOWSKI: Dla mnie wtedy nazwisko Bauman mieściło się świetnie w partyjnej ortodoksji. Pamiętam zresztą Pańskie książki wydawane dla aktywu ZMS.**

**KOMOROWSKI: Nie kojarzyliśmy Pana profesora z rewizjonizmem.**

BAUMAN: Nie? A przecież byłem współpracownikiem „Po prostu” w tym czasie i każdy może przeczytać, co wtedy pisałem. Choć faktem jest, że ewoluowałem powoli. Zbyt powoli.

**CHUDZIŃSKI: Do rewizjonizmu dojrzewał Pan powoli?**

BAUMAN: A i z rewizjonizmu, zjawiska wszakże „wewnątrzpartyjnego”, wydobywałem się powoli. Leszek Kołakowski był w obu przypadkach znacznie szybszy. Wielokrotnie powtarzała się sytuacja, że Leszek do Baczki i do mnie mówił: załatwcie to czy tamto, bo ja już nie umiem z nimi rozmawiać. Widać uznawał, że my umiemy jeszcze używać obowiązującego ciągle języka. Przyznaję zresztą zupełnie uczciwie i szczerze, że wierzyłem dość długo, iż tę partię, PZPR, można naprawić. Że naprawiać ją trzeba, co do tego od 1954 roku nie miałem wątpliwości. Po Październiku 56 na pół roku zawisło to w próżni, bo przyszedł Gomułka i wszyscy my-

śleliśmy, że to już mamy załatwione. Rychło się okazało, że gówno prawda, bo wracamy do starego. Był wówczas taki dyżurny zwrot: „błędy i wypaczenia”. Myśleliśmy, że jak się usunie ludzi, którzy robią „błędy i wypaczenia”, to przyjdą na ich miejsce tacy, którzy ich nie będą robić. Dość jednak wcześniej, bo chyba w 1957 roku, opublikowałem w „Studiach Socjologicznych” tekst „O potrzebie socjologii partii”, gdzie wyraziłem heretycką tezę, że partia (czy partie) to normalne obiekty podlegające prawom socjologicznym i że zagraża im proces biurokratycznego zwyrodnienia. Podobny, pewnie ostrzejszy jeszcze sądziłem, że proces da się przy dobrych chęciach zahamować, gdy Leszek już stracił całkowicie nadzieję, że ten system można zreformować, a co najwyżej można go pochować.

**RATKOWSKI:** Wtedy w paryskiej „Kulturze” wyszła książka Milovana Džilasa...

**BAUMAN:** Wtedy też powstał „List do partii” Kuronia i Modzelewskiego. Wszystko fermentowało. Jedni uważali, że trzeba tę partię wyrzucić na nice, inni, że trzeba jej dać kopniaka. I to była jedyna różnica.

**KOMOROWSKI:** Chciałbym jeszcze spytać o wielką inicjatywę wydawniczą, którą podjął Pan razem z Hochfeldem. Myślę o „Bibliotece Myśli Socjalistycznej”. Toprawdziwypomnikwiedzynatemat.Nigdzie na świecie takiego fantastycznego zbioru nie wydrukowano! Nie wiem, czy ma Pan świadomość, że te książki są dziś przez młodzież poszukiwane i uzyskują na Allegro wysokie przebiecia! Kto „Bibliotekę” wymyślił?

**BAUMAN:** Oczywiście Adam Schaff! Adam chodził i wymyślał...

**CHUDZIŃSKI:** A wy to realizowaliście...

**BAUMAN:** Tak! Adam na przykład wymyślił to, z czego ja jestem do dziś ogromnie dumny, a mianowicie „Studia Socjologiczne”, których byłem założycielem i pierwszym redaktorem. Pierwszy numer był sensacją, bombą. Cały dwutysięczny nakład rozszedł się w ciągu jednego dnia! Ludzie ten numer rozchwytywali, ale nie tyle z powodu mądrości socjologii, ile z tej racji, że „Studia” to jakiś niezależny głos, który rzeczywistość opisuje z innego niż partia, mająca dotąd monopol, pewnie obiektywnego punktu widzenia. Dzięki temu umiejscowieniu socjologom przyznano na wyrost kredyt zaufania i prestiż, co zapewniło im niesłuchanie ułatwiony start, ale moim zdaniem na dłuższą metę im zaszkodziło... Polska to jedyny kraj, w którym jak polityk coś palnie, to od razu wołają socjologa przed kamery, żeby to skomentował i orzekł co z tego wyniknie. Tylko w Polsce panuje opinia, że socjologowie wszystko wiedzą i o wszystkim mają coś do powiedzenia. To odciąga od poważnej pracy, a co gorsza - od poważnego namysłu. Jak się jest już na świeczniku i ma się czek in blanco podpisany, to tak bardzo starać się nie trzeba.

**CHUDZIŃSKI:** Kiedy Pan ostatecznie z partią się rozstał?

**BAUMAN:** Wystąpiłem w dzień Trzech Króli, 6 stycznia 1968 roku.

**RATKOWSKI:** A więc przed „marcem”... Ale i tak był to chyba krok decydujący o Pańskich dalszych losach.

**BAUMAN:** Czystki były głębokie i we wszystkich dziedzinach życia. Naturalnie w ministerstwach, w woj-

sku, w gospodarce, ale chyba przede wszystkim w nauce. Uderzono i w nas. O wymówieniach szóstka profesorów UW dowiedziała się z radia i tych wymowień nikt nam nie wręczył! Jedyny ruch administracyjny, który wykonano, to odebranie legitymacji pracownika Uniwersytetu Warszawskiego. Był to okres gorączki, wieców studenckich, nie wpuszczano nikogo na teren Uniwersytetu bez wylegitymowania, a więc nie mogliśmy tam wejść. A poza tym nie było dnia bez ataków. W nich celował niejaki Gontarz, nie Gontarczyk, odpowiednio groźniej-szy...

**CHUDZIŃSKI:** Pamiętam ten okres dobrze, bo współredagowałem wówczas czasopismo „Student”, które z racji tytułu znalazło się w epicentrum wydarzeń, ale nie dało się wciągnąć w antyinteligentką i antysemicką kampanię. A w niej brylowali także Kur, Kąkol i parę redakcji z „Prawem i Życiem” na czele.

**BAUMAN:** W tym chórze pojawił się nawet prof. Chałasiński, który na łamach „Trybuny Ludu” i pod tytułem „Niebezpieczne zjawisko” zajął się moją książką „Kultura a społeczeństwo”. Ataki pochodziły z rozmaitych stron i z różnych wypływały źródła.

**KOMOROWSKI:** Ale spory zaczęły się przecież wcześniej. Najpierw było słyhać nieprzyjemne pomruki z KC na temat książki Schaffa „Marksizm a jednostka ludzka”, to 1957 rok....

**BAUMAN:** Nie zabierałem głosu w tej dyskusji, nie pisałem na ten temat, natomiast zauważyłem, wprawdzie parę lat później, że na moich wykładach zaczynają się pojawiać z mrocznymi minami jacyś nieznanymi mi faceci w wieku wyraźnie już nie studenckim. Ilekroć wychodziliśmy z Jasią z domu, jechał za nami wolno jakiś samochód, a któregoś dnia zastukały jakieś typy przysłane aby sprawdzić, dlaczego z naszego balkonu woda cieknie na głowy sąsiadów. Poczynając od ich wizyty, mieszkanie było na podłuchu... Było mnóstwo innych uciążliwych szykan, jak np. aresztowanie wszystkich kolegów córki, jacy się zeszli na jej urodziny...

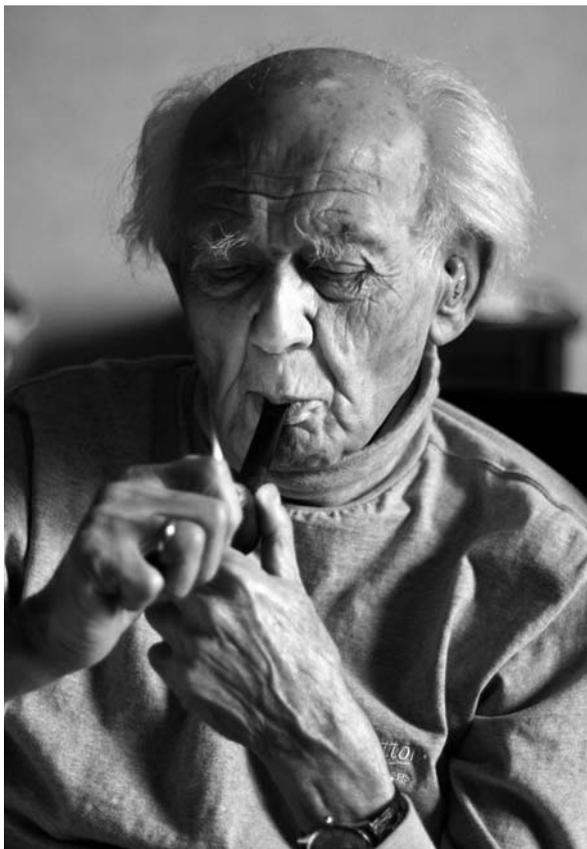
**KOMOROWSKI:** „Marzec” nie był dla pana zaskoczeniem?

**BAUMAN:** Nie był, ale nikt chyba nie przypuszczał, że przybierze taką złowieszczą, zamordystowską postać. Myśleliśmy, że będą dręczyć i męczyć, ale ludzi dręczonych i męczonych było wówczas w Polsce niemało. Marcowe represje były jednak bezprecedensowe i posłużyły się chwytami od wielu lat w Polsce niepraktykowanymi.

**RATKOWSKI:** Żona też straciła pracę?

**BAUMAN:** Żona straciła pracę, Anka, starsza córka, studentka pierwszego roku matematyki i dwie młodsze, bliźniaczki, jeszcze w powszechniaku, wracały do domu zapłakane z powodu szykan... Były podnoszące na duchu wyrazy solidarności. Sekretarka z wydziału matematyki ofiarująca się z własnej inicjatywy pochodzić po profesorach i zdobyć dla córki brakujące w indeksie podpisy zaliczeń. Albo ksiądz obchodzący sąsiadów i ostrzegający, że co mówił w telewizji o Baumanie to nieprawda. Ale mnożyły się też wyrazy całkiem czego innego. Napisy „Jude raus!” na klatce schodowej. Kartka w windzie z obwieszczeniem „Bauman jest wrogiem!”

**RATKOWSKI:** I wyjechał Pan z rodziną do Izraela, ale nie pozostaliście tam długo...



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

**BAUMAN:** Za długo. Trzy lata siedzieliśmy tam. Za długo. Wykładałem na dwóch uniwersytetach: w Tel Awiwie i w Hajfie. Do Izraela przyjechałem w lipcu, przyjęto mnie do pracy od razu, bo byłem już w końcu znanym autorem, ale wykłady miałem zacząć od stycznia. Gdybym przyjechał był z Zachodu, to naturalne byłoby, że wykładałbym po angielsku, a studenci muszą się nauczyć tego języka. Ponieważ jednak przyjechałem ze Wschodu, to było naturalne, że nauczę się hebrajskiego. I języka Biblii nauczyłem się w ciągu czterech miesięcy. To było chyba najtrudniejsze dokonanie mojego życia. W dodatku okazało się, że w języku hebrajskim nie istnieją żadne odpowiedniki terminów socjologicznych. Pytałem miejscowych kolegów jak to wyrażają – odpowiadali, że po angielsku. No ale jeśli tubylcy wtrącali w swe wykłady angielskie terminy, zyskiwali podziw i szacunek studentów: „O, mój nauczyciel zna angielski!” Jednak gdybym ja to zrobił, reakcja byłaby całkiem inna – „O, ten tępak nie nauczył się hebrajskiego!” Musiałem więc wymyślać hebrajskie odpowiedniki angielskich terminów i to był mój jedyny wkład do izraelskiej socjologii...

**KOMOROWSKI:** **Dlaczego pojechał Pan do Izraela? Mamy znajomych i kolegów, którzy wybierali inne kierunki – Danię, Szwecję, Włochy, USA...**

**BAUMAN:** Jasia miała w Izraelu matkę i siostrę z jej mężem i dziećmi. Jasia, obolała po ciosach jakie na nią spadły, „zapragnęła do mamy”. Nie mogłem Jej odmówić. Z tym, że oboje jechaliśmy tam z duszą na ramieniu i nie mieliśmy zamiaru osiedlenia się. Byliśmy ofiarami nacjonalizmu, a jechaliśmy do kraju, gdzie oczekiwano ode mnie, że bym dla odmiany ja zostałem nacjonalistą!

**CHUDZIŃSKI:** **Jak wytrzymały próbę „marca” pańskie krajowe przyjaźnie i znajomości?**

**BAUMAN:** Zawiodłem się co do przyjaciół tylko w dwóch przypadkach. Inna sprawa, że byłem przez 20 lat na cenzurowanym i wielu pisało do mnie tylko wtedy, gdy znaleźli się za granicą, bo podejrzewali, że listy wysyłane do mnie z kraju będą odnotowywane, albo i czytane. Nie miałem im tego nigdy za złe. Zresztą niedługo po moim wyjeździe z Polski odbywał się w Warnie światowy kongres socjologiczny, którego trzy różne sekcje zaprosiły mnie do wykładów. Nie pojechałem, bo nie chciałem kolegów z polskiej delegacji postawić w trudnej sytuacji... To byłby dla nich nieznośny wybór – albo zachować się po ludzku i ponieść przykre tego konsekwencje, albo przejść na mój widok na drugą stronę ulicy, udając że mnie nie widzą i narazić się na wyrzuty sumienia. Postawienie ich przed takim wyborem byłoby z mojej strony nikczemne. Więc do Warny nie pojechałem. Paru kolegów powiedziało mi, że byli mi za to wdzięczni (instruowano ich przed wyjazdem, jak mają z Baumanem walczyć...)

**CHUDZIŃSKI:** **Ale wkrótce zaczyna się okres „angielski”, najdłuższy poza Polską. Widać znalazł Pan wreszcie miejsce, które pozwalało realizować się w pełni, przynajmniej w roli uczonego.**

**BAUMAN:** Pierwsze lata były okrutne. Wedle angielskiego obyczaju katedry obsadza się z otwartego konkursu, a więc powołuje się na nie z reguły człowieka „z zewnątrz”, tubylcom nieznanego. Przyjście nowego szefa jest więc z reguły momentem traumogennym. A moje przyjście mogło – musiało – traumę zwielokrotnić, bo przybywałem nie tylko z innego miasta, ale i z innego kraju, innego języka, innej kultury i innej naukowej tradycji; a na domiar złego jeszcze i zza „żelaznej kurtyny”. Nie dziw, że przez pierwszych 10 niemal lat musiałem kolegów przekonywać, że jak mówię „łopata”, to rzeczywiście mam łopatę a nie widły na myśli! Na dodatek obowiązywał wtedy jeszcze stary angielski system jednego profesora na departament, awięciodożywniętegożprofesorakatedrzeszefowania. Przez pierwsze 14 lat, aż do momentu przeforsowania przez uniwersyteckie komisje konstytucji zezwalającej na rotację szefów z wyboru, musiałem więc sam katedrze szefować, co całkiem nie sprzyjało pracy naukowej ani jakiegokolwiek intelektualnej twórczości. Stracone to były w znacznym stopniu lata, a i nużące. Nawet jeśli ktoś nadaje się na profesora, bo umie nauczać i pisać, na jakiej podstawie zakłada się, że jest także dobrym organizatorem? Ja jestem organizatorem nader marnym; z reguły wolę zrobić robotę sam, niż pilnować innych ją robiących..

**RATKOWSKI:** **A czy uniwersytet w Leeds sam Pan wymyślił, czy ktoś Panu go podpowiedział?**

**BAUMAN:** Dusilem się w Izraelu. A tu nagle zaproszono mnie do Canberry na wykłady. I tam rektor Narodowego Instytutu Australijskiego zaprosił mnie na kawę, co potraktowałem jako zwykły odruch uprzejmości wobec gościa z zagranicy. Ku mojemu zaskoczeniu w pokoju rektora zastałem długi stół obsadzony gęsto przez poważnie wyglądających panów. Pogadaliśmy mile ze dwie godziny, pożegnałem się, wyszedłem. Aż tu nagle zaraz po obiedzie dzwoni do mnie rektor i proponuje mi katedrę... To był, jak się okazało, wywiad z kandydatem na pracownika! Wyjątkowo humanitarna odmia-

na wywiadu... Gdybym wiedział, o co chodziło, język stanąłby mi pewnie kołkiem, pocilibym się niemiłosiernie ze strachu i rozmowa skłoniłaby panów za stołem do całkiem odmiennych wniosków...

**CHUDZIŃSKI: Dlaczego Pan tej propozycji nie przyjął?**

BAUMAN: To Jasia nie przyjęła. Nie chciała być daleko do rodziny, od Europy. Ale niezadługo przyszedł na szczęście telegram z zapytaniem, czy jestem zainteresowany objęciem katedry w Leeds...

**CHUDZIŃSKI: I w Wielkiej Brytanii osiadł pan na 40 lat.**

BAUMAN: Ja jestem jak kapusta. Jak już gdzieś osiadę, to się nie ruszam.

**CHUDZIŃSKI: Od tego czasu zaczyna się najważniejszy okres w Pana karierze naukowej, w którym zdobył Pan pozycję zupełnie wyjątkową w skali światowej. Jak rodziła się koncepcja „ponowoczesności”, z jakich wyrosła przemyśleń i podstaw metodologicznych?**

BAUMAN: No, nie wiem, czy odpowiem na to pytanie, bo autor dzieła, każdego, naukowego czy książki beletrystycznej, zawsze jest w sytuacji człowieka, który napisane przez siebie listy wyrzuca przez okno. Nie wiadomo, kto je znajdzie, kto przeczyta, kto zechce wejrzeć w to głębiej i jakie treści sam w przeczytane włoży. Wolor produktu rodzi się w spotkaniu producenta z konsumentem i dopiero to spotkanie ujawnia jego sens. Myślę sobie, że autor jest ostatnią osobą, jaką wypada pytać o sens jego wytworu. Kiedy oceny własnej pracy się podejmują dla własnego użytku - nie po to, żeby interpretacje swojej pracy za wiążące podawać, tylko po to, żeby samemu ze sobą dojść do ładu - to myślę sobie, że byłem dość konsekwentny w tym co robiłem. Żadnych przełomowych zwrotów u siebie nie widzę!

**KOMOROWSKI: Zgoda, ale w pewnej chwili odkrył Pan, że kończy się „nowoczesność”, a zaczyna „ponowoczesność”. O to pytamy! Jest Pan jednym z pierwszych, który to zauważył...**

**RATKOWSKI: I czy byłoby to możliwe bez marksistowskiej podbudowy?**

BAUMAN: Trudno mi odpowiedzieć. „Co by było, gdyby” to rozumowanie z gatunku – czy byłaby możliwa motoryzacja, gdyby koń trajański się ożrebił? Pewnie nie, bo motoryzacja byłaby nieopłacalna, zważywszy tanioczę drewnianych koni... Ale mówiąc serio – Marks krytykował kapitalizm za dwie rzeczy. Za marnotrawstwo i za amoralność i oba te zarzuty pozostały całkowicie w mocy. Tu się nic nie zmieniło, bo dalej panuje marnotrawstwo straszliwe, które dosięgło szczytu w warunkach społeczeństwa konsumentów, a i do zwierzchnictwa kryteriów nad odwoływaniem się do egoizmów jest kapitalizmowi daleko. I te problemy, i konieczność ich rozwiązywania, są mi bliskie jak były siedemdziesiąt lat temu. Ale w tej ciągłości jest nieciągłość, bo jak patrzę wstecz i przypominam sobie kolejne prace, to dochodzę do wniosku, że moje dzieje intelektualne są historią rozczarowań. Po kolei lokowałem nadzieje w różnych miejscach i wszystkie mnie zawodziły. Nie znalazłem jak dotąd modelu społecznego, który byłby wolny od wad: trochę jak z przysłowiową przykrótką koldrą – albo nos marznie, albo nogi ziębną...

Zająłem się holokaustem (pod wpływem Jasi książek zresztą) i doszedłem do wniosku, że wprawdzie nie jest on konieczną konsekwencją nowoczesnych

ambicji, ale jest ich nieustającą możliwością. Pano wie sugerujecie, że bez marksizmu nie byłoby mojej teorii „ponowoczesności”; może i tak, ale z pewnością bez nowoczesności, oświecenia i pomysłu wzięcia świata pod „oświecony zarząd ludzki” (podzielanego wszak przez Marksa!) nie byłoby holokaustu.

A co do ponowoczesności... Po dłuższych dociekaniach doszedłem do wniosku, że przykróciwszy ludobójcze potencjały nowoczesnych ambicji zastąpiła je innymi mankamentami... Jest równie jak jej poprzedniczka brzemienista zagrożeniami, innymi wprawdzie, ale równie wymagającymi czujności i przeciwdziałania. Żadnej kolejnej utopii nie mam. Żadna z moich inwestycji intelektualnych nie wypaliła. Jedyna definicja „dobrego społeczeństwa”, jaką zdolny jestem u kresu drogi sformułować, jest taka: „dobre społeczeństwo jest takie, jakie za dobre się nie uważa i sądzi, że musi się jeszcze sporo natrudzić, by się dobrym stać”...

**CHUDZIŃSKI: Skoro Pan dotknął holokaustu... W Polsce utożsamia się totalitaryzm hitlerowski i stalinowski, czemu sprzeciwia się na przykład Szwach Weiss. Pan dowodzi, że faszyzm to była fizyczna likwidacja ludzi, którzy do systemu nie pasowali, a stalinizm to była przymusowa adaptacja do wizji społeczeństwa komunistycznego. Ale koszt był podobny – tu i tu ginęli ludzie na masową skalę.**

BAUMAN: Jednak widzę zasadniczą różnicę. System nazistowski był absolutnie szczerzy! On wyraźnie mówił, co należy z takimi „niepasującymi” robić. Natomiast stalinizm był absolutnie zakłamany – choć kłamał tak zręcznie, że w świecie, gdzie z jednej strony był Hitler a z drugiej Stalin, wydawało się, że jedyną szansą ocalenia przed barbarzyństwem hitlerowskim jest barbarzyństwo stalinowskie... Faszyzm wyraźnie głosił, że ma w nosie „liberté, egalité, fraternité”, że jest jedna rasa panująca, a wszyscy inni są niewolnikami. Natomiast komunistyczna ideologia była pełna słów o wolności, równości i ludzkości – i aż się prosiło, żeby jej uwierzyć. Nazizm nie oszukiwał. Gdy ktoś wstępował do NSDAP, to wiedział na co się godzi. Tu obowiązywała pełna jedność teorii i praktyki.

**RATKOWSKI: Ponadto przeciwnik był z góry wskazany i z góry wykluczony ze społeczeństwa, natomiast do bolszewizmu przystępować mogli i przystępowali ludzie najróżniejsi, jak choćby hrabia Skriabin czyli Wiaczesław Mołotow!**

**CHUDZIŃSKI: Dla nieprzejeźdźnych krytyków PRL-u różnice między PZPR a NSDAP są nieistotne.**

BAUMAN: To mnie nie dziwi specjalnie, bo Polacy cierpieli i w czasie okupacji, i po wojnie, zwłaszcza w latach stalinizmu. Przeciętny Polak nie wniknął ani w różnice doktrynalne, ani w ideologie. Wiedział, że i jedna, i druga strona morduje, bo Polska zawsze w równej mierze cierpiała od obu zaborców. To trochę jakby dziś na serio rozważać, czym różnił się Dmowski od Piłsudskiego: wszak jeden i drugi chciał niepodległości...

**RATKOWSKI: Obaj razem stoją na jednym ołtarzyku z Witosem na dodatek!**

**CHUDZIŃSKI: Czy jednak cierpienia i poczucie krzywdy związane z obydwojema totalitaryzmami mogą być usprawiedliwieniem dla tego, co na przykład symbolizuje Marzec 68 czy Jedwabne?**

BAUMAN: Z samego cierpienia nic jeszcze, poza samym cierpieniem, nie wynika! Uważam, że Gre-

gory Bates ze swoją koncepcją łańcucha schizo-genetycznego jest znacznie bliższy prawdy niż ci, którzy dziś nadają ordery pseudokombatantom.

**CHUDZIŃSKI: Wielu ludzi, których spotkały represje, dziś uważa się „urzędowo” za kombatantów...**

BAUMAN: To nie są kombatanci, tylko męczennicy... A męczennik nie walczy! Jest ofiarą, obiektem cudzej walki.

**RATKOWSKI: Jednak niedawno pewien polityk, który stracił w katastrofie brata, omal nie został z tego powodu prezydentem!**

BAUMAN: Ano właśnie. W ogóle panuje obecnie ideologia kompensacji. Uważa się, że za krzywdy, jakich ktoś doznał przed laty, od państwa, różnych instytucji czy innych ludzi, należy się rekompensata. Niekiedy częśc i chwała, ale najczęściej finansowe odszkodowanie. Jak teraz rodacy pieszczotliwie mówią: pieniążki...

**CHUDZIŃSKI: Dziś część solidarnościowych kombatantów nie tylko wystawia piersi do orderów, które im się zapewne należą, ale kieruje także wnioski do sądu o odszkodowanie finansowe. Choćby za złamanie zawodowej kariery, bo stracili pracę. To pierwszy raz w dziejach Polski pojawiają się takie roszczenia. Przecież gdyby Walerian Łukasiński za 40 lat siedzenia w podziemnym lochu, gdzie nie przebił się nawet promyk słońca, gdzie ogłuchł, oślepił, a broda sięgała mu do kostek, chciał wystawić rachunek, to okazałoby się, że nie ma w ogóle takich pieniędzy, żeby mu to wynagrodzić!**

BAUMAN: Ale to nie jest tylko polski obyczaj. To przyszło z Zachodu. W telewizji angielskiej dzień w dzień ukazują się ogłoszenia prawników, którzy proponują wywalczenie odszkodowania za wszystko niemal. Zdarzył ci się wypadek? Potknąłeś się? Przewróciłeś się? Spadła na ciebie cegła? Należy ci się odszkodowanie.

**RATKOWSKI: To przecież, socjalistyczna z gruntu, ideologia powszechnego ubezpieczenia.**

BAUMAN: A jednak nie. To coś innego. To jest kultura kompensacji. Państwo nie ubezpiecza. Państwo tylko płaci za powstałe szkody, a to nie jest to samo!

**CHUDZIŃSKI: Przejrzyjmy od prozy życia do teorii. Dlaczego Pan nie używa pojęcia „postmodernizm” tylko „ponowoczesność”?**

BAUMAN: „Postmodernizm” to pewna ideologia, a „postmodernity” to stwierdzenie stanu społeczeństwa. Żyliśmy wszyscy w społeczeństwie, które było nowoczesne, podczas gdy pewni ludzie, choć wcale nie wszyscy, byli heroldami, promotorami, entuzjastami, wyznawcami „modernizmu”...

**CHUDZIŃSKI: Jak choćby futuryści...**

BAUMAN: ... innym zaś wisiądo to zupełnie, ale nolens volens tak czy owak żyli w nowoczesnym społeczeństwie. I dlatego, żeby odczepić się od tego nieznośnego „postmodernizmu”, wymyśliłem sobie „postmodernity”.

**KOMOROWSKI: Dlaczego dla Pana postmodernizm jest nieznośny?**

BAUMAN: Bo zakłada pozytywne zaangażowanie! Jak na przykład Peiperowskie 3 M: Miasto-Masa-Maszyna! A my już nie jesteśmy, w tym sensie, nowoczesni. Nie zachwyca nas pęd czy wrzawa jako takie. Jesteśmy, by tak rzec, nowocześni bez „modernizmu”. Zatem

ponowoczesność to pojęcie, które objaśnia ten system przez kontrast z nowoczesnością pożenioną z modernizmem; opisuje system w kategoriach negacji, czyli wskazuje na to, czym on *nie jest*, niewiele powiadając o tym, czym dla odmiany jest. I dlatego traktowałem pojęcie „ponowoczesności” jako swoistą „zapchaj dziurę”, konieczną z racji braku lepszego, pozytywnego terminu...

**CHUDZIŃSKI: A „płynna nowoczesność”?**

BAUMAN: No właśnie. To jest owo „pozytywne” pojęcie, do jakiego z końcem drugiego milenium doszedłem.

**RATKOWSKI: Ale czy nie jest to sytuacja „porewolucyjna”, faza przejściowa przed kolejną petryfikacją?**

BAUMAN: Chyba tak... Ale jak bardzo przejściowa, Bóg raczy wiedzieć, a może i on nie wie, bo wszak od ludzkich, z natury trudnych do przewidzenia poczynąń, będzie to w końcu zależało. Mówię dziś, że życ nam wypadło w okresie interregnum: wiemy, skąd przyszliśmy, ale nie mamy pojęcia, dokąd zdążamy, choć zdajemy sobie sprawę, że w tym miejscu, w jakim się znaleźliśmy, można co najwyżej rozbić namioty; na wznoszenie katedr gotyckich jeszcze nie czas...

**KOMOROWSKI: Ale przecież mówi Pan często o pozytywnej wartości, którą ta „nowoczesność” zostawiła nam w spadku, czyli o państwie opiekuńczym!**

BAUMAN: To było ukoronowanie, ostatnie stadium nowoczesności, a zarazem tu się począł załazek „ponowoczesności”, możliwość czy może nawet konieczność jej narodzin. Postęp społeczny nie jest liniowy, raczej jego bieg przypomina wahadło. Dwie podstawowe wartości, bez którejkolwiek z nich nie sposób wyobrazić sobie byt ludzkim zwany, to *wolność i bezpieczeństwo*. „Sicherheit”, jak mówił Freud, ale aby ten termin niemiecki przełożyć na angielski, trzeba użyć aż trzech słów: certainty, security i safety. W języku polskim nie ma odpowiednika „safety”; ten termin oznacza bezpieczeństwo *osobiste*, na przykład, że na głowę nie spadnie nam cegła ani nie nakarmi nas substancją rakotwórczą. „Security” wskazuje głównie na bezpieczeństwo społecznej egzystencji: że firma w której pracuję nie zniknie, że nie odbiorą mi dorobku życia czy zdobytej pozycji, że nie unieważnią moich zasług. Przy spełnieniu obu warunków pojawia się „certainty” - pewność przyszłości i pewność siebie, odwaga planowania, śmiałość poczynąń. Gdy np. osiemnastoletni czeladnik szedł do Forda, Renault czy Fiata, spodziewać się mógł, że jeśli tylko się nie rozpije, to może sobie rozplanować życie od dziś do emerytury. W szczenięcym wieku z nabożeństwem czytałem Sartre’a, który przykazywał sporządzić *projet de la vie*, plan na całe życie, a potem go krok po kroku, konsekwentnie realizować. Który dzisiaj młodzi przystanie na to, że układanie projektów na całe życie ma sens?

**RATKOWSKI: Ale ta zmienność była już wyrażona w heglowskiej, przejętej przez Marksa dialektyce, choć Marks ostatecznie uległ pokusie zaprojektowania komunistycznej utopii dla całego świata, gdy faszyzm był tylko pomysłem na kawałek Europy!**

BAUMAN: Hegel wszak sądził, że przemiany to bieg do linii finiszu, że Rozumu droga przez mękę osiągnęła już kres - a mianowicie w Hegla ostatecznym, nie dopuszczającym dalszych ulepszeń systemie filozoficznym. A i cała nowoczesność hoł-

dowała temu sposobowi myślenia: zmiany wiedzą do stanu doskonałego, który zmian wymagać już nie będzie. Głowiła się nad kształtem, jaki owemu stanowi ostatecznemu nadać należy i co należy zrobić, by doń dotrzeć. Dziś głowimy się nie nad tym, co zrobić, tylko kto to zrobi. Nasi przodkowie wierzyli, że od realizacji wzniosłych celów mają państwo, w którym zamieszkują pod jednym dachem, połączeni na wieki małżeństwem, „moc” (czyli zdolność do czynu) z „polityką” (czyli zdolnością stawiania czynom celu). A my dla odmiany sumitujemy się, że nie ma agencji na miarę wyzwań, jakie stoją przed światem. Jeszcze pół wieku temu wszyscy, od prawa do lewa i od lewa do prawa, zgadzali się co do tego, że z chwilą gdy cel się ustali, zrealizuje go państwo narodowe. Kto dzisiaj na wydajność i wydolność państwa na serio liczy?

**KOMOROWSKI: Dziś, przeciwnie – państwo zajmuje się deregulacją.**

**BAUMAN:** Państwo to dziś niewiele więcej niż komisariat policji, która pilnuje ładu i porządku na drogach na swoim terenie.

**RATKOWSKI: Ale ten porządek próbuje realizować latająco. W różnych miejscach!**

**BAUMAN:** Przeciwnie, władza państwa jest dziś (zresztą zawsze była) lokalna. Schengen nie Schengen, nie sięga poza granice kraju. Moce zdolne do wywracania rzeczywistości na nice szybują w ponadpaństwowych przestworzach niczych, a zdolne są dlatego właśnie, że się z lokalnie stanowionymi regułami mogą z racji swej eksterytorialności nie liczyć. Polityka o zasięgu lokalnym nie jest w stanie poddać ich kontroli. Jest rozziw przepastny między polityką, która jest po staremu zamknięta w ramach państwa narodowego, a mocą, która staje się coraz bardziej ponadnarodowa, ponadpaństwowa, ponadterytorialna i która hasa po terenie porównywalnym do Dzikiego Zachodu z hollywoodzkich westernów...

**RATKOWSKI: I co gorsza - to się już dzieje!**

**BAUMAN:** Oczywiście. I dlatego brak dziś zakotwiczenia dla pojęcia „dobrego społeczeństwa”... No bo kto je zrobi?

**KOMOROWSKI: A zatem w „nowoczesności” istniały jakieś katalizatory solidarności społecznej?**

**BAUMAN:** Tak. Gdyby nie było Stoczni Gdańskiej, zagłębia włókienniczego wokół Łodzi czy zagłębia węglowego na Śląsku, nie byłoby Solidarności.

**KOMOROWSKI: Czy we współczesnym świecie pojawiają się takie punkty katalizacyjne, czy tylko, jak mówi Negri, jest to „rzesza”?**

**BAUMAN:** Rój. Ja to nazywam „rojem”. W roju nie ma kaprali, dozorców, nadzorców więziennych, a każdy pełza czy frunie w tym samym kierunku.

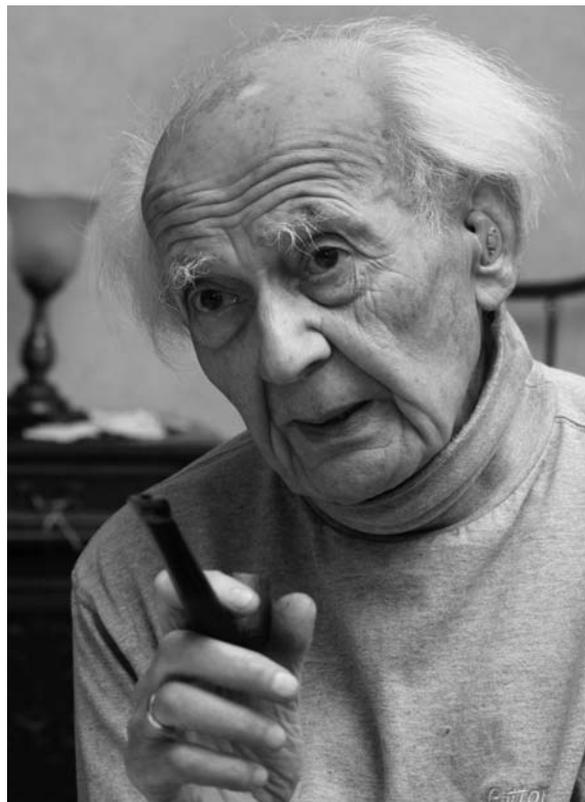
**RATKOWSKI: Może jednak jest gdzieś królowa?**

**BAUMAN:** Ale królowa nie jest podmiotem! Nie rządzi. Jest obiektem czci i dygów. Jak Elżbieta II w Anglii.

**KOMOROWSKI: A więc katalizatorów dla solidarnych zmagania o odzyskanie kontroli nad mocą nie ma i nie będzie? A może muszą się pojawić?**

**BAUMAN:** Z tym pytaniem chyba umrę. To nie są żarty. Problem, z którym nie dam sobie rady, to pytanie: Kto to ma zrobić? Wiadomo, co trzeba zrobić, ale nie wiadomo - kto?

**RATKOWSKI: Amerykanie twierdzą, że oni! I ćwiczą to w Afganistanie.**



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

**BAUMAN:** Amerykanie? Oni są teraz na garnuszku u Chińczyków! Jak Chiny zażądają zwrotu długów, będzie koniec Ameryki. To zresztą nie jest temat do żartów, bo sprawa jest poważna. Na pewno czasy utopii minęły, jednak wielką pociechą jest dla mnie fakt, że wszystkie wielkie zwroty historyczne w XX wieku były nieoczekiwane. Nikt się ich nie spodziewał. Jak Lenin brał Pałac Zimowy, to w „Timesie” ukazała się na którejś tam stronie notatka, że jakaś sekta przepędziła rosyjskich ministrów. A przykład bardziej jeszcze dobitny: gałęzią wiedzy najobficiej w historii wyposażoną w fundusze badawcze była sowietologia. Nigdy, w odróżnieniu od dzisiejszych uczonych, z pieniędzmi na zjazdy, wydawnictwa, instytuty badawcze i katedry uniwersyteckie nie miała problemów. Miała wszystko, czego dusza naukowa zapagnie. Ale ani jeden sowietolog nie przewidział, jak się skończy komunizm. Do końca obowiązywały dwie teorie – jedna zakładała konwergencję, że się kapitalizm trochę upodobni do socjalizmu i odwrotnie...

**RATKOWSKI: Może coś było na rzeczy.**

**BAUMAN:** Idiocyzm kompletny! A druga zakładała apokaliptyczny konflikt nuklearny między systemami, dyskutowany pod kryptonimem MAD („Mutually Assured Destruction”). Że się system komunistyczny zapadnie pod ciężarem własnego bezsensu, nikt nie przepowiedział. Absolutnie nikt! Jeśli tak opływająca w dostatki nauka nie była w stanie przewidzieć, co się z przedmiotem jej dociekań stanie, to wolno mi się pocieszać, że kiedy tu sobie gadamy, gdzieś w lasach Amazonii czy na wyspach Pacyfiku rodzą się te siły i pomysły, które zreformują świat.

**KOMOROWSKI: Skoro o lasach Amazonii mowa, to muszę stwierdzić, że pańskie prace są absolutnie najwyżej cenione właśnie w Ameryce Łacińskiej!**

**CHUDZIŃSKI: Kto mógł przewidzieć przed laty, kiedy były tam dwa przyczółki komunizmu – Kuba i Nikaragua, że prawie cały kontynent popłynie w lewą stronę?**

**BAUMAN:** Podkreślam z całą mocą, że nie mam w tym osobiście żadnego udziału! W Porto Alegre nie byłem ani razu. Ale mówiąc serio – nie wiem, na czym ta popularność mogłaby polegać? Czytają i widać znajdują jakieś powinowactwo opisów z własnym doświadczeniem. Nie ukrywam jednak, że mnie to cieszy, tak jak cieszy mnie popularność wśród młodzieży, bo przecież jestem starcem, z ich punktu widzenia mamutem, przeżytkiem – a znakomicie się jakoś ze sobą rozumiemy. Ale to akurat „stoi do rozumu”. Są mężczyźni, u których żona nigdy się nie starzeje, bo co parę lat wymieniają ją na młodszy model; tacy mężczyźni są wciąż wyjątkiem, ale u wszystkich belfrów studenci są wciąż, u mnie od sześćdziesięciu już lat, w tym samym wieku. A z roku na rok różnią się od swych poprzedników jednorocznym tylko doświadczeniem, więc zmiana w ich myśleniu jest na tyle znikoma, że można ją sobie bez trudu, nawet nie zauważając tego, przyswoić. Z tej to przyczyny różnice pokoleniowe, gdzie indziej przepastne, w zawodzie belferskim mogą być gruntownie spłaszczone...

**CHUDZIŃSKI: Jest jeszcze jeden problem. Nowoczesność zrodziła wiele wartościowych dzieł sztuki, będących realizacją awangardowych kierunków artystycznych. Co niesie ze sobą w tej dziedzinie postmodernizm?**

**BAUMAN:** Wybitny polski socjolog, Kazimierz Kelles-Kraus, nim zmarł okrutnie młodo na gruźlicę, plagę jego czasów, zdążył jednak opracować koncepcję „retrospekcji rewolucyjnej”. Rewolucyjność, twierdził, występująca w szacie wskrzeszenia przeszłości. Z lekkim tylko naciąganiem można tę tezę odnieść do awangardy artystycznej początków XX wieku. We własnych i cudzych oczach uchodziła za oddział przedni modernizmu, gdy dziś jest już jasne, że była w istocie, sama o tym nie wiedząc (bo i skądże miałyby?) forpocztą ponowoczesności – gdy domagała się łamania konwencji, ignorowania akademizmu, rozpuszczania zastygłych form i niedopuszczania do ich zastygania. To „płynna nowoczesność” jest realizacją marzeń awangardystów, choć każda awangarda uważała, że realizuje ambicje modernizmu do znalezienia ostatecznej „prawdziwej prawdy”. Dzisiejsi artyści odrzucili ideologiczne glossy i uprawiają herezję nie w imię sklecenia i narzucenia nowej ortodoksji. Przeciwnie, pragną otwarcie, by ruch i wieczna zmiana były jedyną dozwoloną stałością...

**RATKOWSKI: A więc jedynym elementem stałym jest dialektyka?**

**BAUMAN:** Można tak powiedzieć.

**KOMOROWSKI: A przy tym wszystkim, przy całej Pańskiej niechęci do nowej ortodoksji, jest Pan, chcąc nie chcąc, przywódcą pewnej grupy, pewnej szkoły: Giorgio Agamben, Roberto Esposito? Czy poczuwa się Pan do pewnej wspólnoty z nimi w zakresie myśli krytycznej?**

**BAUMAN:** Przywódcą żadnej grupy na pewno nigdy nie byłem, jestem z natury pustelnikiem, a pouczyła mnie Hannah Arendt, że myślenie jest najbardziej samotnym z ludzkich zajęć. Chętnie korzystam z materiałów, z publikacji, zaglądam do wielu szkół i z wielu prądów czerpię, ale do żadnego z nich nie należę,

a już z pewnością żadnemu z nich nie przewodzę. Wymienił Pan pewne nazwiska, zapewne dlatego, że zestawiane są razem w prasie, ale nie stanowimy żadnej wspólnoty. Razem z Alainem Tourainem dostałem nagrodę Księcia Asturii, uważani byliśmy w Oviedo za współpracowników i kumotrów niemal, ale ja z nim po raz pierwszy w życiu zetknąłem się sześć miesięcy przedtem, nigdy się z nim nie komunikując. Nie jestem członkiem żadnego zgrupowania i to mnie też od „nowoczesnych” różni, jako że awangardysty zawsze tworzyli zwarte kolektywy.

**CHUDZIŃSKI: To były niekiedy wręcz sekty!**

**KOMOROWSKI: Nie wiem, dlaczego ucieka Pan od przyznania się do pewnej wspólnoty myślenia, choćby z tym, co nazywane jest „biopolityką”?**

**BAUMAN:** Nie przegryzłem się jeszcze przez nią porządnie. Wiem od Agambena, że kluczowe jest tam rozróżnienie między *zoon* i *bios*, ale wszak w moim myśleniu, choć pod innymi terminami, jest ono obecne od dawna. Co się dzieje, jak się ogołoci człowieka z szat społecznych? To Arystoteles zresztą pierwszy powiedział, że poza polis tylko bestie lub anioły żyć mogą. A ponieważ my aniołami nie jesteśmy, a bestiami nie chcemy, więc nie mamy wyboru. To oznacza, że trzeba być przyodzianym nie tylko w marynarkę sztruksową, ale i w role społeczne. Być tu, przynależać ówdzie, być miejscem spotkania określić o charakterze kolektywnym. I jeszcze coś: każda władza pragnie tego, by szaty społeczne człowieka pochodziły z jej nadania, a i mogłyby być przez nią odebrane. Tu dzisiejsza teoria biopolityki czerpie garściami z Carla Schmitta, który twierdził, że suwerenność władcy polega nie tyle na mocy ustalania prawa, ile na mocy czynienia wyjątków. To wszystko jest rozsądne, ciekawe i ważne, ale moja socjologia biopolityką się nie zajmuje...

**CHUDZIŃSKI: I tu od razu rodzi się pytanie o zło! Czy Pana zdaniem zło tkwi w człowieku immanentnie, czy rodzi się dopiero po odzianiu go w szaty społeczne?**

**BAUMAN:** Niedawno napisałem małe studium, które ukaże się wkrótce w większym tomie, a którego tytuł w tłumaczeniu na język polski brzmi „Ofiary zbieżne nierówności”. Poświęcone jest to studium „historii naturalnej zła”. Zastanawiam się tam nad pytaniem, które Pantuzadał. Skąd bierzesięowo, „zło”? Niechodzimi w tym pytaniu o fenomenologię zła, czyli braku dobra, albo po manichejsku „alter ego” dobra. Idzie mi o problem socjologiczny nie dający się sprowadzić do kwestii, skąd się biorą psychopaci czy socjopaci, bo to jest zagadnienie dla psychiatrów, a nadto lepsze czy gorsze sposoby na borykanie się ze zbroczeniami psychologicznymi już mamy: domy wariatów, policję, więzienia, itp., itd. – a i sejm, żeby to wszystko regulował. Natomiast to, przed czym jesteśmy bezbronni i kwestia wciąż nie rozwiązana, to fakt, że porządni i moralni na co dzień ludzie, cnotliwi małżonkowie, troskliwi rodzice i życzliwi sąsiedzi, w pewnych sytuacjach czynią rzeczy kojarzone z potworami. Tu tkwi zaiste ogromne zagrożenie dla ludzkości. Porównałem eksperymenty Zimbardo i Milgrama ze studentami ze Stanfordu i Yale oraz Christophera Browninga historię 101 Batalionu Pomocniczego Policji, do którego powołano poczwych skądinąd rolników, rzemieślników i urzędników z Hamburga i okolic, po czym wysłano

pod Lublin, każąc strzelać w tył głowy miejscowym Żydom. We wszystkich trzech badaniach rozkłady zachowań były podobne: pokrywały się w pełni z krzywą Gaussa. Było zawsze kilku takich, co wykręcali się od wykonania zadania, było kilku takich, co z entuzjazmem korzystali z możliwości zadawania bólu i mordowania – gdy cały „peleton” wykazywał całkowitą obojętność, nie był ani za krwawą robotą, ani się jej nie brzydził... Skoro sąsiad na prawo to robił i sąsiad na lewo też, to można było się bez większego zastanawiania przyłączyć...

**KOMOROWSKI: Mówi Pan ciągle o „płynności”, o niestałości zjawisk, a przecież Pańskie małżeństwo było doświadczeniem długoletnim. Gdzie tu więc jakaś „ponowoczesność” i w dodatku „płynna”?**

**BAUMAN:** Wszystko zależy od przyjętej perspektywy. Zarówno Ford, jak i jego robotnicy wiedzieli, że spotkają się znów jutro i za rok, że skazani są na wzajemne towarzystwo, więc szukali gorliwie i cierpliwie negocjowali sposoby na pokojowe i zadowalające formy współżycia – warto było... Zawsze, gdy schodzi się para dwudziestolatków, starcia są nieuniknione, bo wszak spotykają się ze sobą dwie sporej wielkości biografie, które dotąd różnymi torami się toczyły. Jeśli zaczną ze sobą współżyć, zakładając z góry że to „na próbę” – najmniejsze nieporozumienie urastać będzie do rangi nierozwiązalnego problemu, stawać się dowodem porażki. Jest ta postawa wraz z jej konsekwencjami w naszych czasach wielce rozpowszechniona. Dziś żaden architekt nie zacznie w Stanach niczego budować, jeśli do dokumentacji nie będzie dołączone pozwolenie na rozbiórkę budynku za ileś tam lat: z góry wszak wiadomo, że budowla szybko się przeje i wyjdzie z mody, a wtedy warto będzie ją rozebrać i zastąpić czymś bardziej atrakcyjnym i dochodowym. Nikt dziś nie buduje gotyckich katedr.

**CHUDZIŃSKI: My jeszcze kupowaliśmy pralki czy lodówki z zamiarem używania ich przez 10-15 lat. Dziś telewizor po pięciu latach trzeba wymienić, bo się zestarzał...**

**BAUMAN:** Matki przekazywały córkom bieliznę pościelową otrzymaną w posagu...

**RATKOWSKI: I ta „płynność” technologii jest dobrze skojarzona z płynnością ról społecznych. Zmiennych i słabo rozpoznawalnych w skali światowej! Dziś Saddam Husajn jest sojusznikiem, jutro będzie obiektem ataku!**

**BAUMAN:** Struktury społeczne są z zamierzenia kruche, przymierza okazjonalne. Zamiast sojuszków – czasowe, jedno-zadaniowe alianse, dla podboju Iraku, przegnania talibów z Afganistanu czy ratowania Grecji przed bankructwem... Jak mowa o „international community” („międzynarodowej wspólnoty”), wybucham śmiechem i płaczem równocześnie. Nic takiego, na nasze wspólne nieszczęście, nie istnieje!

**CHUDZIŃSKI: Jak wynika z Pańskich prac, ten brak przywództwa jest „stanem naturalnym” naszej epoki.**

**BAUMAN:** A dlaczego? Nasi ojcowie i dziadowie wypracowali sobie instytucje obsługujące państwo narodowe, może nie idealnie, ale całkiem znośnie. Choćby demokrację przedstawicielską czy sądownictwo oparte o ujednolicone kodeksy. Mieli pomysły, chciało im się

i potrafili wynaleźć ekwiwalenty antycznej demokracji przystosowane do nowego zasięgu społecznej integracji (gdyby Arystotelesa przyprowadzili do Westminsteru czy na Wiejską i pozwolili przyjrzeć się kłótniom i głosowaniom, pewnie by mu się to dość spodobało, ale gdyby mu ktoś powiedział, że to jest demokracja, to by się śmiał w kułak, bo dla niego demokracja to był lud, który wyległ na rynek miejski, żeby debatować o bliskich mu sprawach). Sprzeczałem się parę lat temu z Reinhardem Kosseleckiem, wybitnym historykiem idei, o to czy można filozofów oświecenia obarczyć odpowiedzialnością sprawczą za to, co się stało w wyniku francuskiej rewolucji. Jak uczciwy socjolog twierdziłem, że nie mogli wszak przewidzieć praktycznych skutków swoich abstrakcyjnych pomysłów, ale Kosseleck odparł na to, że nie tylko nie mogli skutków przewidzieć, ale nawet nie mieli w swym słowniku słów, przy pomocy których mogliby o owych skutkach rozmawiać czy pisać. Przejście od demokracji ateńskiej do demokracji przedstawicielskiej byłoby dla Arystotelesa z tegoż powodu niewyobrażalne. I to samo, jak sądzę, czyni dla nas niewyobrażalnym czekające nas przejście od polityki państwowej, a więc lokalnej, do polityki iście planetarnej. Brak nam nawet pojęć, by się nad demokracją w skali planetarnej zastanawiać. Jej form nie umiemy opisać. Jednego tylko możemy być pewni, że nie będą to nasze narzędzia tylko powiększone, znany nam parlament tylko o wiele liczniejszy...

**RATKOWSKI: Internet!**

**BAUMAN:** Na razie nie mamy ani pojęć ani narzędzi, potrzebnych do poważnej na ten temat rozmowy. Pojawiać się one będą w toku prób i błędów...

**KOMOROWSKI: Takim słowem, używanym dziś jako straszak, jest na pewno terroryzm, a przecież, jeśli dobrze rozumiem Pana Profesora, terroryzm jest zjawiskiem wtórnym, zaś pierwotnym, poważnym zagrożeniem jest nierówność!**

**BAUMAN:** Jesteśmy w samym jądrze tego, co nazywam globalizacją negatywną, a jeszcze nie zrobiliśmy niczego na rzecz globalizacji pozytywnej! Globalizacja negatywna to mobilizacja wszystkich mocy rozsadzających ludzkie wspólnoty, lekceważących ludzkie wybory, granice, obyczaje. Jest globalizacja kapitałów, finansów, informacji, przestępczości, narkotyków, handlu bronią – i terroryzmu. Wszystkie mają jedną cechę wspólną – gwiżdżą sobie na istniejące struktury i lekceważą granice i obowiązujące wewnątrz nich prawa. Pozytywna globalizacja, iście światowa polityka powinna ustalać, w jaką stronę te wszystkie siły mają działać i posiadać moc pozwalającą uczynić jej ustalenia realnymi. Powtarzam uparcie: żyjemy w epoce *interregnum*. Stare instrumenty zbiorowego działania już się nie nadają, a nowe jeszcze nie opuściły biur projektowych – jeśli takowe już istnieją, co też nie jest wcale pewne...

**CHUDZIŃSKI: Dziękujemy Panu Profesorowi za przyjazd do Krakowa, za możliwość odbycia tej rozmowy i jej publikacji w „Zdaniu”.**

**Rozmawiali:  
EDWARD CHUDZIŃSKI  
ADAM KOMOROWSKI  
FILIP RATKOWSKI**

Kraków, 29 października 2010 r.

JAN WOLEŃSKI

# OPOZYCJA PILNIE POSZUKIWANA

Partia polityczna w każdym systemie zmierza do zdobycia władzy, a potem jej utrzymania. Jedno i drugie polega na grze politycznej. Dyktatura (totalitaryzm), dopóki nie jest obalona, jest porządkiem, w którym taka gra jest pozorna, tj. wygrana jest z góry przesądzona. Demokracja opiera się na rzeczywistej grze o rządzenie, czyli takiej, w której żadna ze stron nie dysponuje strategią dyktatorską (nazwa nie jest więc przypadkowa), tj. zapewniającą zwycięstwo niezależnie od posunięć przeciwnika. Inaczej mówiąc, demokracja jest grą rzetelną, a dyktatura nie. Wedle znanego powiedzenia Lorda Actona, każda władza demoralizuje (deprawuje), a władza absolutna (czyli dyktatorska) demoralizuje (deprawuje) absolutnie, wcale nie odnosząc się wyłącznie do rządów absolutnych. Z kolei Churchill zauważył, iż wprawdzie demokracja nie jest ustrojem idealnym, ale i tak najlepszym z dotychczas istniejących. Jeśli uznamy, że demoralizacja władzy nie jest pożądana i stanowi rosnącą funkcję względem stopnia absolutyzmu (ta matematyczna metafora pełni tutaj tylko funkcję poglądową), to rzetelność gry o władzę, czyli charakterystyczny atrybut demokracji, nabiera wyraźnego sensu aksjologicznego. Wprawdzie ludziom może dziać się całkiem dobrze pod rządami dyktatorskimi, a nienajlepiej w reżymie demokratycznym, ten drugi jest na ogół korzystniejszy dla realizacji społecznych aspiracji. Taki wniosek płynie nie tylko z apriorycznych rozważań, opartych np. na stwierdzeniach Actona i Churchilla jako swoistych aksjomatach politycznych, ale jest również uzasadniony interpretacją materiału zarówno historycznego, jak i współczesnego. Jest rzeczą bezsporną, że ludzie cenią sobie demokrację i są gotowi o nią walczyć.

Gra (będę miał na myśli wyłącznie rzetelną) o władzę toczy się zawsze pomiędzy partią rządzącą a opozycją. Konkretnie rozwiązania mogą być bardzo różne i zależą od wielu okoliczności, np. tradycji politycznej w danym kraju. Zawsze jednak mamy do czynienia z systemem parlamentarnym (np. prezydencki, kanclerski czy gabinetowy) modyfikowanym przez dodatkowe urządzenia ustrojowe; dawniejsze przeciwstawienie monarchii i republiki straciło na znaczeniu, przynajmniej wobec porządku demokratycznego. Gra jest także niezależna od tego, czy obóz rządzący lub opozycja mają charakter jednolity czy koalicyjny. W samej rzeczy, dwupartyjność czy wielopartyjność nie należą do istoty demokracji, natomiast inaczej ma się sprawa z podziałem władz, aczkolwiek może on przejawiać się rozmaicie. Nie jest też tak, iż samo istnienie opozycji zapewnia jej wygraną w grze politycznej. System demokratyczny bynajmniej

nie wyklucza długotrwałej dominacji jednej i tej samej partii politycznej. Wszelako nawet, gdy jakaś konkretna partia polityczna rządzi przez dłuższy okres czasu, musi liczyć się z porażką w kolejnych wyborach. Utrzymanie władzy nie gwarantują nawet spektakularne sukcesy. Niewielu analityków sceny politycznej w Wielkiej Brytanii przypuszczało, że Churchill, główny architekt koalicji antyhitlerowskiej, przegra wybory zaraz po zwycięskim zakończeniu II wojny światowej.

Ład demokratyczny ze swej istoty powoduje, że partia aspirująca do zdobycia władzy lub chcąca ją utrzymać, musi liczyć się z oczekiwaniami i potrzebami społecznymi. Strategia opozycji z reguły polega na tym, iż stara się ona przekonać wyborców, iż rządziłaby lepiej niż ci, co aktualnie piastują władzę. Krytycy demokracji zawsze wskazują, że elektoraty są podatne na demagogię, w samej rzeczy obficie serwowaną zarówno przez rządzących, jak i ich oponentów. Niemniej jednak istnienie opozycji jest warunkiem *sine qua non* tego, co można określić jako demokratyczne środowisko polityczne dla gry o władzę. *A contrario*, brak opozycji lub jej szczątkowy charakter, grożą pojawieniem się rozmaitych negatywów, w szczególności tego, że rządzi się dla samej władzy a nie dla realizacji zadań publicznych. Jeszcze raz godzi się przypomnieć, że Lord Acton nie wyłączał demokracji ze swego pesymistycznego powiedzenia. Możemy też je zmodyfikować w pewien sposób, mianowicie: każda władza ma tendencję do autokorumpowania się (przypominam, że łaciński termin *corruptio* znaczy także tyle, co polskie słowa „zepsucie” czy „pogorszenie”, a nie tylko „przekupstwo”). Degradacja władzy jawi się więc jako prawidłowość, a zgodnie z wcześniejszą uwagą, jedną z przyczyn tego procesu w systemie demokratycznym jest brak autentycznej opozycji, tj. takiej, która ma szansę na objęcie władzy (o innych znamionach autentyczności w rozważanej kwestii będzie mowa później), nie zaś brak opozycji w ogóle, ponieważ to jest wykluczone przez demokrację jako taką. I tak dochodzimy do nieco dłuższego sformułowania tytułu niniejszego szkicu. A jest on taki: „Autentyczna opozycja pilnie poszukiwana”. Jeszcze dokładniej rzecz ujmując – „Autentyczna opozycja w Polsce pilnie poszukiwana”. Będę argumentował, że obecny stan rzeczy w naszym kraju grozi nie tyle unicestwieniem demokratycznego porządku, ile daleko posuniętym pogorszeniem jakości rządzenia. Sprawa jest poważna, gdyż ciągle jesteśmy społeczeństwem na dorobku materialnym i kulturowym, a realizacja naszych aspiracji cywilizacyjnych istotnie zależy od tego, kto (w sensie oblicza politycznego) i jak rządzi.

Polska po 1989 r., podobnie jak wiele innych krajów postkomunistycznych, jest swoistym laboratorium funkcjonowania ładu demokratycznego. Mniej lub bardziej gwałtowne obalenie uprzednich reżimów totalitarnych początkowo nie rokowało dobrze partiom z nich się wywodzącym, nie mającym w społeczeństwach (skromnie mówiąc) nadmiernego prestiżu. W Polsce SLD stała się opozycją i miała około 10-procentowe poparcie, odpowiadające mniej więcej liczebności PZPR. Nawiasem mówiąc, okoliczność ta przeczy dość powszechnemu mniemaniu, iż członkowie tej (PZPR) partii byli tylko oportunistami. Dwukrotne wygranie wyborów prezydenckich przez kandydata lewicy (1995, 2005) i dwukrotne zwycięstwo parlamentarne (1993, 2001) SLD (plus bardzo dobry wynik tej partii w elekcji w 1997 r.) pokazały, że wyborcy bardziej kierują się sukcesami i porażkami rządzących elit niż politycznymi resentymentami. Polska nie była zresztą wyjątkiem w tej mierze wśród innych państw postkomunistycznych. Tak więc wspomniane rokowania wyjściowe nie okazały się trafne, przynajmniej na krótką metę. Wszystkie elekcje w Polsce w latach 1990–2010, prezydenckie, parlamentarne krajowe, do Parlamentu Europejskiego czy samorządowe okazały się dobrymi ćwiczeniami z demokracji z całym pozytywnym i negatywnym bagażem tego ładu, mianowicie potrzebą formułowania programów i ich prezentacją, spodziewanymi i zaskakującymi koalicjami (przypadek PiS plus Samoobrona plus LPR), niespodziankami (któż mógł przypuszczać, że Aleksander Kwaśniewski pokona Lecha Wałęsę w 1995 r.), obfitą demagogią, trafionymi (wybory parlamentarne w 2007 r.) i nietrafionymi (wybory prezydenckie w 2005 r.) sondażami czy większą lub mniejszą frekwencją. Gra o władzę pomiędzy tymi, którzy przystępowali do wyborów jako rządzący i tymi, którzy aspirowali do jej objęcia była pasjonująca, nieraz brutalna, ale zawsze rzetelna w tym sensie, że żadna ze stron nie miała strategii dyktatorskiej.

Lewica, dwukrotnie zwycięska w obu najważniejszych elekcjach, tj. parlamentarnej i prezydenckiej, w końcu przegrała i z grubsza rzecz biorąc powróciła do stanu posiadania porównywalnego z latami 1990–91. Nie wygląda na to, aby miała szanse na zwycięstwo w przewidywalnej przyszłości. Nie jest więc opozycją autentyczną. Bardziej interesujące jest to, co dzieje się w obozie postsolidarnościowym. Jego historia była burzliwa w latach 1989–2010, znacznie bardziej niż lewicy, i nie zanoszą na zmianę. Obóz solidarnościowy podzielił się niedługo po spektakularnym sukcesie w 1989 r., co zaowocowało dotkliwymi porażkami w latach 1995–97. Potem nastąpiło zjednoczenie w postaci AWS, sukces w 1997 r., kolejne tarcia wewnętrzne i przegrana w 2001 r. Gdy wydawało się, że tzw. POPiS zapewni stabilizację postsolidarnościowcom na dłuższą metę, nastąpiło niespodziewane odwrócenie, a właściwie zerwanie przymierzy. Bracia Kaczyńscy znaleźli się w komfortowej sytuacji, bo jeden z nich został premierem, a drugi prezydentem. Ponieważ zapewne wierzyli w eliminację tzw. przystawek i wyraźne zwycięstwo wyborcze, nie mieli nic przeciwko przedterminowym wyborom parlamentarnym w 2007 r. Przeliczyli się i PiS przegrał je z krete-sem. Wprawdzie J. Kaczyński uzyskał nieoczekiwanie dobry wynik w przyspieszonych wyborach prezydenckich w 2010 r., ale wszystko wskazuje na to, że było to wynikiem współczucia po katastrofie smoleńskiej, a także ser-

wowaniem jego koncyliacyjnego wizerunku, jak okazało się bardziej udawanego niż rzeczywistego. Dokładna historia rozpadu obozu postsolidarnościowego jest wielce interesująca i jeszcze czeka na opracowanie. Szczegóły już historyczne są jednak mało istotne dla ostatecznego rezultatu, przynajmniej na dzisiaj. PiS i PO deklarują, że stanowią wrogie obozy, a nawet, że jedna partia jest największym wrogiem drugiej; PiS czyni to otwarcie, PO w bardziej stonowany sposób.

Donald Tusk oświadczył we wrześniu, że nie ma z kim przegrać wyborów parlamentarnych w 2011 r. Takie oświadczenia trzeba traktować jako próbę tzw. prognozy samospełniającej się, a więc narządzie oddziaływania na świadomość społeczną. Z drugiej strony stwierdzenie obecnego premiera jest dość realistyczne. Lewica, jak już zaznaczyłem, szans na wygraną nie ma. A co z Prawem i Sprawiedliwością? Sytuacja tej partii jest dość osobliwa. Ma ciągle około 20–25% poparcia. Niektórzy analitycy uważają, że więcej, ale żadne badania opinii publicznej tego nie potwierdzają. Wynik J. Kaczyńskiego z wyborów prezydenckich (prawie 47%) mógłby być powtórzony tylko w kontekście poważnej zapaści ekonomicznej (por. niżej), mogącej zmienić preferencje wyborcze, ale *rebus sic stantibus* wszystko wskazuje na to, że PiS przegra kolejne wybory, tak jak poniósł porażkę w pięciu poprzednich elekcjach. Owszem, ma żelazny elektorat, na razie dość obszerne, ale ten będzie się kurczył z powodów demograficznych, aczkolwiek jeszcze nie w najbliższych wyborach. PiS ma też poparcie Kościoła katolickiego, ale ten czynnik gra coraz mniejszą rolę (patrz jednak niżej). Ponad 50% Polaków ma nadzieję, że J. Kaczyński zniknie ze sceny politycznej w 2011 r., a to nie wróży mu sukcesu wyborczego. Ewentualna prognoza wyborcza na korzyść PiS jest raczej samoniszcząca, bo zmniejsza nadzieje na sukces tej partii. Wybory parlamentarne z 2007 r. i prezydenckie z 2010 r. pokazały, że Polacy mobilizują się przeciw partii J. Kaczyńskiego, a wedle badań, które potwierdziły się w obu tych przypadkach, jego notowania maleją wraz ze wzrostem frekwencji. Gdy frekwencja przekracza 60% porażka PiS jest pewna, gdy wynosi od 50% do 60% jest wysoce prawdopodobna, dla 40% – 50% szanse są wyrównane, a partia ta może myśleć o zwycięstwie, gdy do urn pójdzie mniej niż 40% całego elektoratu. Wprawdzie w polityce wszystko jest możliwe, ale PiS nie ma większych szans na stworzenie koalicji z własną dominacją w wypadku w miarę zrównoważonych wyników. Alians z PO jest na razie wykluczony, a inne partie wolą wszystko niż przywództwo Kaczyńskiego.

Niemniej jednak PiS jest w świadomości Polaków najbardziej liczącą się partią po Platformie Obywatelskiej. Jest też traktowana jako opozycja polityczna. Wszelako nie jest to opozycja autentyczna, z wszystkimi tego negatywnymi skutkami. Jeszcze raz wróć do stwierdzenia Tuska, że nie ma z kim przegrać wyborów w 2011 r. Każda partia rządząca chce aby tak było i trudno się temu dziwić. Taka świadomość jest jednak groźna z punktu widzenia jakości rządzenia, ponieważ impregnuje na krytykę. Mylą się ci wszyscy, którzy twierdzą, że rządy PO polegają na nic nie robieniu czy też kroczeniu po najmniejszej linii oporu. Partia ta ma swe korzenie ideowe w skrajnym liberalizmie ekonomicznym i taki program gospodarczy konsekwentnie realizuje. Jednym z jego punktów jest ograniczenie programu pomocy społecznej, a także likwidacja instytucji użyteczności publicznej. Obecna (piszę

to na początku 2011 r.) sytuacja na kolei to nie tylko efekt niedoinwestowania PKP i absurdalnej struktury (mnogość spółek), ale przede wszystkim traktowania najważniejszego przewoźnika jako należącego do sektora, który ma przynosić dochód, a w każdym razie, który wymaga tak małych dotacji jak to możliwe. Mówiąc nieco ogólnikowo, polityka liberałów typu PO realizuje hasło „zarobić to znaczy nie wydać” z wiarą, że zawsze znajdzie się ktoś, np. zagraniczny inwestor, kto zdecyduje się wyłożyć pieniądze czy też kupić PKP, PKS (mało kto zauważył, że nie ma już jednolitej państwowej komunikacji samochodowej, ale pojawiła się wielość spółek od Swinoujścia do Ustrzyk i od Bogatyni do Suwałk), LOT, pocztę, szpitale, teatry itp. Rząd najchętniej pozbyłby się także szkolnictwa wszystkich szczebli, a wtedy mógłby spokojnie uzasadnić mikroskopijne nakłady na naukę i oświatę, żenująco niskie przy ich porównywaniu z nakładami w innych krajach, nawet tych nie bardzo demokratycznych.

Brak autentycznej opozycji sprawia, że PO nie bierze na serio rozwiązań alternatywnych wobec swego programu ekonomiczno-społecznego. Lewica wprawdzie od czasu do czasu zgłasza postulaty w tych sprawach, ale wszyscy dobrze pamiętają, że niewiele zrobiła dla odwrócenia programu liberalnego, który był realizowany już od 1989 r. PiS często przedstawia własne projekty, ale są one konstruowane wedle wzorca: skoro PO proponuje A, to my opowiadamy się za nie-A. To jednak nikogo (za wyjątkiem zdeklarowanych zwolenników Kaczyńskiego) nie przekonuje, nie mówiąc już o tym, że rządy PiS w latach 2005–07 niczym szczególnym nie odznaczyły się w sprawach gospodarczych i społecznych. Albowiem PiS stał się partią totalnie zideologizowaną. Próbował (i nadal tak czyni) wygrać na resentymentach antykomunistycznych, antyrosyjskich, antyniemieckich czy też antyeuropejskich, żywionych przez część (coraz mniejszą) społeczeństwa polskiego. Program Polski solidarnej jako alternatywa dla Polski liberalnej jest konstruktem wyłącznie ideologicznym, a nie programem urzędzenia spraw publicznych w duchu nowoczesnej demokracji liberalnej (w sensie politycznym). Kolejnym filarem doktryny i praktyki partii J. Kaczyńskiego jest bezwarunkowa zgoda na rozmaite postulaty Kościoła katolickiego, np. w sprawie majątku kościelnego, nasycenia sfery publicznej treściami religijnymi, problemu *in vitro*, aborcji czy eutanazji.

Powracam teraz do kwestii ewentualnej zapaści gospodarczej. Nie jest ona wykluczona. W samej rzeczy to, że Polska obroniła się przed kryzysem ostatnich lat nie wzięło się z niczego. Prognoza ostrzegawcza na przyszłość zwraca uwagę na wzrost długu publicznego jako narzędzie stabilizacji ekonomiki, który to proces prędkiej czy później musi zostać zatrzymany. Mogą pojawić się czynniki bardziej globalne, np. wzrost cen surowców. Analizując wypowiedzi polityków PiS, a także publicystykę sprzyjającą tej partii (np. teksty publikowane w „Rzeczpospolitej”) trudno oprzeć się wrażeniu, iż formacja ta marzy o kryzysie gospodarczym w Polsce i możliwych konsekwencjach politycznych tego stanu rzeczy. Niektóre wypowiedzi idą nawet dalej. W filmie *Mgła* M. Dłużewskiej i J. Lichockiej jeden z byłych pracowników Kancelarii Prezydenta (z czasów L. Kaczyńskiego) powiada, że najważniejsze jest to, iż przegrało (chodzi o zdarzenia związane z katastrofą smoleńską) państwo polskie, a inny uważa za możliwe, iż zaczną ginąć zwykli obywatele i obawia się o działania władz państwowych

w takim wypadku; obaj panowie raczej nie kryli satysfakcji z powodu własnej diagnozy. Nie jest to postawa opozycji autentycznej, bo takowa nigdy (czy też na ogół) nie życzy źle swemu krajowi. I w tym względzie PiS okazuje się partią totalnie zideologizowaną. Niezależnie od tego, szanse PiS na objęcie władzy w wyniku krachu ekonomicznego w Polsce wcale nie wydają się wielkie.

Niektórzy twierdzą, że rząd Tuska nie podejmuje reform ekonomicznych, ponieważ boi się zubożenia społeczeństwa i dostarczenia argumentów Prawu i Sprawiedliwości. Nie sądzę, aby tak było. Obecna ekipa, powtarzam to raz jeszcze, składa się z przekonanych liberałów i idzie drogą najmniejszego oporu w kwestiach gospodarczych i społecznych. Czyni tylko to, co jest niezbędne dla funkcjonowania gospodarki i społeczeństwa, ewentualnie to, co uważa za korzystne w walce o utrzymanie władzy. Nie ma powodów, aby tego rodzaju postawę traktować jako nieracjonalną, przynajmniej dopóki nie spowoduje ona zapaści, np. krachu ekonomicznego. Nieco inaczej jest w materiałach światopoglądowych. PO nie jest partią jednolitą pod względem ideowym. Są w niej ludzie, jak J. Gowin, którym stanowisko PiS w kwestiach religijnych jest bliskie, są też centryści, jak sam Tusk, są też politycy bliscy postulatów sekularyzacyjnych, np. E. Kopacz w kwestii *in vitro*. Ta mozaika sprawia, że Platforma Obywatelska jako całość jednak liczy się z ideologią reprezentowaną przez PiS i nie chce narazić się na zarzut, że jest antypolska czy antykatolicka. Mówiąc dokładniej, PO chce mieć argumenty, że zarzuty te są nieuzasadnione, bo one oczywiście padają ze strony PiS. Tym należy tłumaczyć daleko idącą uległość wobec żądań biskupów, np. w kwestii wprowadzenia Święta Trzech Króli jako dnia wolnego od pracy. Wszyscy dobrze wiedzą, że dezorganizuje to wiele dziedzin życia społecznego na kilka dni, ale okoliczność ta zeszła na dalszy plan wobec praktyki respektowania postulatów strony kościelnej. Takie stanowisko PO jest w gruncie rzeczy nie bardzo zrozumiałe, podobnie jak wcześniejsza polityka lewicy, nawet jeśli ją uznać za bardziej niezależną od realizowanej przez obecne władze. Po pierwsze, wiadomo, że Kościół zawsze będzie popierał partie bardziej prawicowe od mniej. Po drugie jednak, Kościół zawsze stara się ułożyć dobre stosunki z tymi, którzy rządzą. Po trzecie wreszcie, sekularyzacja w Polsce postępuje, wprawdzie powoli, ale wyraźnie, co znaczy m. in., że wpływ apeli politycznych opartych na treściach religijnych będzie coraz mniejszy. Kilka ostatnich wyborów dowodnie pokazało, że Polacy głosują inaczej niż chciałoby duchowieństwo. Trudno przypuścić, aby PO nie zdawała sobie sprawy z tych oczywistych faktów. A jednak ciągle hołduje dość zachowawczemu stanowisku w sprawach na pograniczu *sacrum* i *profanum*. Pod tym względem PO jest niejako rewersem PiS.

Reasumując, PiS nie jest autentyczną opozycją i jako taka nie pełni funkcji kontrolnej wobec polityki PO w sprawach publicznych. Rzeczywista rola PiS polega na skłanianiu PO do opowiadania się za określoną praktyką ideologiczną. Wszelako nie jest to rola autentycznej opozycji. Pojawienie się w Polsce autentycznej formacji opozycyjnej, zmuszającej rządzących do respektowania potrzeb i aspiracji społecznych, jest więc rzeczą ważną. Pytanie, jak do tego doprowadzić i kto to ma zrobić - wymaga odrębnego rozważenia.

STANISŁAW GĘBALA

# SŁOWA NA WOJNIE

Żal mi słów, które zostały wysłane na wojnę (polsko-polską). Wiele z nich polegnie, wiele wróci okaleczonych, niezdolnych do dalszego życia (użycia).

Wszystko zaczęło się jednak od pewnego nad-użycia. Oto wbrew przestrodze Juliana Tuwima: „Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość” – te dwa święte słowa zostały użyte (nad-użyte) jako nazwa partii politycznej. Owo nadużycie wyniosło jej członków – w ich własnych oczach i mniemaniu – nad inne partie i całą resztę społeczeństwa, gdyż natychmiast nabrali przekonania, że są ucieleśnieniem Prawa i Sprawiedliwości. Że tak się stało, potwierdzał pewien slogan ze spotu wyborczego tej partii, eksploatowanego parę lat temu. Przedstawiał ludzi zmierzających do urn wyborczych, którzy powtarzali: „Głosuję (głosujemy) na PiS, bo jestem (jesteśmy) za Prawem i Sprawiedliwością”.

Nie wiem, ilu rozmówcom i słuchaczom (byłem wówczas nauczycielem akademickim) zdołałem zaszczerpić swój niepokój, powtarzając wręcz obsesyjnie, że dokonane nadużycie może się okazać nader brzemienne w skutki. Powtarzałem, że partie mogą się nazywać lewicą, prawicą, centrum czy centrolewem – określając swoje miejsce na mapie politycznej; mogą się nazywać chadekami, endekami, liberałami, socjalistami, ko... (nie, tego strasznego słowa nie wymówię) – określając swoją ideologię; wreszcie zielonymi, różowymi czy pomarańczowymi – określając swoją polityczną barwę, ale nazwa Prawo i Sprawiedliwość pochodzi nie tylko z innego kręgu kulturowego i politycznego, lecz zgoła z innego świata. Odpowiedników dla niej trzeba naprawdę szukać w świecie islamu, gdzie istnieje np. Partia Boga (złośliwa nazwa „pislam”, która jest już w szerokim obiegu, trafia w sedno). Sama nazwa

sytuuje tę partię nie wśród innych, ale ponad wszystkimi – oznacza więc *de facto* zanegowanie systemu demokratycznego.

Że nie jest to wniosek zbyt daleko idący, postaram się wykazać nieco dalej, na razie pozostając jeszcze przy kwestii wielkich słów, które powinny być chronione przed partyjnym zawłaszczeniem. Jest oczywiste, że powielane na dziesiątkach szyldów, zdobiących siedziby statutowych organów partii, nie mówiąc już o milionach ulotek i plakatów, drukowanych w każdej kampanii wyborczej, wielkie słowa muszą ulec zużyciu, wyświechtaniu. Mówiłem studentom, że w takim wypadku trzeba będzie je wymienić; mamy na szczęście spory rezerwuar wielkich słów – należy tylko uważać, żeby nowy skrót nazwy partii dobrze brzmiał. Bo weźmy np. słowa Prawda i Piękno – PiP – przecież to brzmi ośmieszająco. Może Piękno i Dobro – PiD? Już lepiej, ale niewątpliwie najlepiej brzmiałby skrót nieco dłuższej nazwy: Wiara, Nadzieja i Miłość – WNiM (objaśnienie też zostawię na później).

Członkostwo partii, która ma w nazwie tak wielkie słowa jak prawo i sprawiedliwość, obliuguje do stylu wysokiego; członek takiej partii nie może zatem po prostu zwyczajnie mówić – w każdej sytuacji musi przemawiać. Taka partia musi być kuźnią oratorów – i sztuka krasomówcza kwitnie w PiS-ie, jak w żadnej innej partii. Oto jeden z młodszych, ale jakże znakomicie zapowiadających się postów w burzliwej dyskusji sejmowej (którą najogólniej można określić jako awanturę) na temat słynnego raportu MAK, wznosi się na szczyty patosu (zdobywszy przy okazji szczyt śmieszności) rzucając z mównicy taką perłę: „Człowiek bez honoru to gorsze niż śmierć” (więcej przykładów – dalej).

Popisy retoryczne prominentnych działaczy PiS przypominają nieustające zawody o Puchar Prezesa

(znamy tę nazwę z licznych monologów kabaretowych jeszcze z czasów PRL-u), a może tylko o uścisk ręki Prezesa, uśmiech Prezesa czy choćby cień uśmiechu... Bezdyskusyjną zwyciężczynią wspomnianych zawodów, których wielki finał rozegrał się na sali sejmowej, była posłanka Beata Kempa, autorka słynnej frazy, dotyczącej gen. Andrzeja Błasika: „otrzymał medialny strzał w tył głowy, tak jak oficerowie 70 lat temu”. Jakoś nikt nie zwrócił uwagi (a cytowało te słowa wielu komentatorów), że z owego porównania można domniemywać, jakoby polscy oficerowie 70 lat temu w Katyniu otrzymali nie rzeczywiste, ale medialne strzały w tył głowy. Byłaby to rewelacja burząca całą naszą wiedzę o zbrodni katyńskiej. No cóż, sztuka oratorska posłanki Kempy unosi się na skrzydłach czystej emocjonalności, zupełnie lekceważąc racjonalność.

Warto przypomnieć, że przytoczone słowa padły na konferencji PiS, która była reakcją na raport MAK, a której temat organizatorzy sformułowali równie patetycznie: „Polska zhańbiona w oczach świata”. W domniemymany przeze mnie zawodach o Puchar Prezesa autorzy tego sformułowania powinni być uznani za bezdyskusyjnych zwycięzców w rywalizacji drużynowej, tak jak Beata Kempa w indywidualnej. Wróćmy jednak do jej oratorskich wzlotów, przyznając najpierw, że na wspomnianej konferencji usiłowała powściągać cugle swojej sztuce krasomówczej i zadawała także pozornie rzeczowe i suche pytania. Np.: dlaczego rosyjscy kontrolerzy wyrazili zgodę na lądowanie? Wcześniej dziesiątki razy słyszeliśmy wypowiedzi polskich ekspertów, którzy jednoznacznie stwierdzali, że **nie było zgody** na lądowanie. Kontrolerzy tylko **nie zakazali lądowania**. Czy brak sprzeciwu oznacza zgodę? Taka interpretacja możliwa jest w sytuacjach towarzyskich, zwłaszcza męsko-damskich, ale nie w ruchu lotniczym.

Kolejne pytanie pani poseł brzmiało: co zrobił premier Tusk, aby tytuły w prasie światowej nie upokarżały Polski i polskich oficerów? Jak wiadomo, premier Tusk jest naczelnym cenzorem prasy światowej i mógł po prostu nie dopuścić do druku tytułów upokarzających Polskę i polskich oficerów. Jarosław Kaczyński, gdyby był premierem, zrobiłby to zapewne bez wahania. Przypominam ulubiony zwrot Prezesa: „Gdybym ja był premierem...”. Ciągi dalsze były najróżniejsze, np. „to powodzenie otrzymaliby 12, a nie 6 tys. zł”, ale usłyszeliśmy również: „to do tej katastrofy by nie doszło”.

Czy takich ludzi można w ogóle traktować serio? Paradoks naszej sytuacji politycznej polega na tym, że nie można, ale trzeba. Bo **tacy ludzie** mogą znów dojść do władzy (już słyszę te głosy: Oho! Jeszcze jeden straszący PiS-em!), ponieważ w naszym życiu politycznym nie istnieje możliwość autokompromitacji. Jarosław Kaczyński kompromituje się właściwie nieustannie, co nie przeszkadza nie tylko zwykłym wyborcom, ale nawet części naszej profesury (np. Jadwidze Staniszkis) uważać go nadal za geniusza politycznego. A kiedy mówi się publicznie o zupełnie już horrendalnych wypowiedziach owego męża stanu, natychmiast przed kamerami stają dyżurni obrońcy Prezesa, wybierając jedną z dwóch strategii: pierwsza – łatwiejsza – wychodzi z stwierdzenia, że Prezes może powiedzieć wszystko (Jacek Kurski np. zaczyna zawsze jego obronę od sakramentalnego: „Pan Prezes Jarosław Kaczyński ma szczególne prawo do tego, aby...” itd.); druga

– o wiele trudniejsza, wręcz karkołomna – opiera się na dowodzeniu, że Prezes wcale nie powiedział tego, co powiedział (zastosował ją np. Tadeusz Cymański w programie TVN24 „Kawa na ławę” w niedzielę 23 stycznia, dowodząc, że Jarosław Kaczyński nie obciążył Rosjan wyłączną winą za katastrofę smoleńską).

Pora jednak przypomnieć najwyższy wzlot retoryczny poseł Kempy – na sali sejmowej, która widziała i słyszała wiele znakomitych popisów, ale na ten mimo wszystko powinna być jakoś w widomy sposób zareagować, na przykład drzeniem kolumn podpierających strop. Poseł Kempa z miną rzymskiego senatora (do porównania z paroma tuzinami filmów hollywoodzkich, w których występowało parę tuzinów gwiazd kina w senatorskich togach) zwracała się wprost do premiera: „Czy pan wie, na jakiej pan jest ścieżce i na jakim kursie? Czy pan wie, kto pana naprowadza i z której wieży? Czy jest pan na ścieżce prawdy, czy na ścieżce kłamstwa?”

To już nie był kiepski teatr, to była koszmarne opera, której primadonna zaśpiewała swoją arię od początku do końca fałszywie, potęgując efekt kabotyńską pozą, mimiką i gestem. Wśród szumu, który powstał na sali, dał się słyszeć jęk: „Jezu!”.

Obowiązkową lekturą posłów PiS powinna być *Ferdydurke* Gombrowicza, genialnie opisującego sytuację, w której przyjęta poza narzuca mówcy adekwatne do niej słowa. Otóż retoryka obowiązująca w tej partii jest konsekwencją pomnikowej pozy jej prezesa, do której opisu wykorzystam wyrażenie, jakie usłyszałem jeszcze w czasie studiów. Rozmowa, której się przysłuchiwałem, dotyczyła pewnej znakomitości ze świata naukowego. Jej sposób poruszania się określono tyleż trafnie, co arcydowcipnie: „jednoosobowa procesja”. Teraz, ilekroć patrzę na Jarosława Kaczyńskiego, mimo że zwykle porusza się w orszaku dworzaków, widzę w nim jednoosobową procesję, która w dodatku połączyła monstrancję.

Megalomania tego człowieka, niewielkiego wzrostu i gigantycznych ambicji, którego ulubionym chwytem polemicznym jest insynuacja, przechodzi wszelkie wyobrażenia. W jakimś stopniu jest to na pewno jego cecha wrodzona, ale w jej wspaniałym rozkwicie ma już swój znaczący udział grono pochlebców, potakiwaczy i klakierów otaczających go ciasnym kołem. To z myślą o nich proponuję zmianę nazwy partii na Wiara, Nadzieja i Miłość, bo skrót tej nazwy (WNIIM) mógłby być dla nich aktem strzelistym, kierowanym do ubóstwianego Prezesa (**w Nim** lokujących wszystkie swe nadzieje).

Megalomania wyklucza jakąkolwiek dyskusję, bo megaloman to człowiek, który zawsze **wie lepiej**; w związku z tym wypowiedane przez niego oceny właściwie nie mają żadnej obiektywnej wartości. Ileż to razy słyszeliśmy stwierdzenie Prezesa (powtarzane później przez wszystkich prominentów PiS-u), iż rząd Tuska jest najgorszym rządem od 1989 r., a sam Tusk – najgorszym premierem. Z tych samych (a więc najbardziej wiarygodnych) ust dowiadywaliśmy się, że (to przecież oczywista oczywistość!) najlepszym rządem był rząd PiS-u, a najlepszym premierem... Inna ocena: rząd Tuska nic nie robi, a jeśli już coś robi, to robi źle.

Absolutna przewidywalność tych opinii pozwalała by je właściwie zastąpić samą mimiką (i znów wracamy do *Ferdydurke*; patrz słynny pojedynek na miny). Najbliższy tego zastąpienia jest chyba poseł (przewodniczący klubu parlamentarnego PiS!) Mariusz Błaszczak, które-

go obserwuję nader uważnie i dawno już zauważyłem, że kiedy tylko otwiera usta, na jego twarzy pojawia się wyraz głębokiego niesmaku graniczącego z cierpieniem. Tak reagujemy zwykle na szczególnie przykre zapachy. Zastanawiam się, gdzie jest źródło tego zapachu, przyprawiającego posła Błaszczaka o cierpienie? Bo może wystarczyłoby mu polecić gumę do żucia Winter Fresh?

Wróćmy jednak do Prezesa i jego retoryki, bo to ona stanowi szeroko powielany wzorzec. Warto przypomnieć parę ulubionych wyrażań i powiedzonek Prezesa. O jednym była już tu mowa („Gdybym ja był premierem...”), drugie też się pojawiło - we wtrąceniu w nawiasie (słynna „oczywista oczywistość”); pora przyjrzeć się kolejnemu, które jest w dość szerokim obiegu (ale to już nie zasługa Prezesa) – przeciwstawieniu „górnjej (albo wysokiej) półki” i „niskiej półki”. Czy ktoś pamięta jeszcze, jak często w kampanii wyborczej 2007 r. Jarosław Kaczyński określał Donalda Tuska jako kogoś „z bardzo niskiej półki”, długo odmawiając udziału w telewizyjnych debatach z nim. (Przypomnę jeszcze, że spychał Tuska na tę „bardzo niską półkę” nazywając go pomocnikiem Aleksandra Kwaśniewskiego i stwierdzając, że woli rozmawiać z „szefem.”) To nie tylko dowód niebawymatej megalomanii, ale przede wszystkim wybór strategii politycznej, polegającej na degradowaniu konkurenta, upodrzędnianiu go. Ta strategia miała groteskowy finał, który również warto przypomnieć: po ewidentnie przegranej debacie z Tuskiem (do której koniec końców musiało dojść), Kaczyński zapytany przez dziennikarza, kto ją wygrał, odpowiedział bez chwili wahania: „Ja wygrałem”. Cóż, pozostaje mu życzyć jeszcze wielu takich zwycięstw. I pewnie będzie je odnosił, bo patrzy na otaczający świat i kłębówisko ludzkie z bardzo wysoka, z „najwyższej półki”, na którą się wdrapał czy raczej wzleciał, uniesiony balonem pychy. (Trzeba przypomnieć i to, jak często powtarza, że nie zamierza się zniżyć do czyjegós poziomu – to kolejny dowód, iż jego postrzeganie ludzkiego świata jest wertykalne a nie horyzontalne.)

Tu już nie ma miejsca na ironizowanie: Jarosław Kaczyński postrzega siebie jako jedynego uprawnionego pretendenta do władzy, odmawiając uznania obowiązujących procedur demokratycznych. Dowody? Wystarczy jeden: stwierdzenie, że Bronisław Komorowski został wybrany prezydentem przez pomyłkę, połączone z odmową uznania tego wyboru. Otóż niewielki rezonans, jaki to zachowanie wywołało, powinien stać się przedmiotem głębokiego zastanowienia. Powinno było ono Polską poważnie wstrząsnąć, a wstrząs powinien był wyrzucić uzurpatora na margines życia politycznego. Tymczasem usłyszeliśmy po raz kolejny: „Pan prezes Jarosław Kaczyński ma szczególne prawo, aby...” – i też zareagowaliśmy na to jakoś niemrawo (albo wcale). A należało kategorycznie odmówić zgody na przyznanie komukolwiek jakiegokolwiek „szczególnego prawa”. Nie zrobiliśmy tego, bo już zrobili swoje słowa na wojnie przeciw demokracji.

\* \* \*

*Żądza władzy ich upodliła* – pod takim tytułem ukazała się w „Gazecie Polskiej” z 28 kwietnia 2010 r. rozmowa z prof. Zdzisławem Krasnodębskim. „Gazeta Polska” walczy (nie tylko słowami, bo ekshumowała i wystawiła do boju także rysunkową karykaturę polityczną w stylu

pierwszej połowy lat 50. – zobacz dodatek „Pinezka”) na pierwszej linii PiS-owskiego frontu, ramię w ramię z „Naszym Dziennikiem”. Wspaniały tandem: jedyna „Gazeta Polska” (wszystkie inne nie są polskie, a co najwyżej polskojęzyczne) i jeden jedyny prawdziwie „Nasz Dziennik” (pozostałe są, niestety, **ich**). Podział: MY i ONI okazał się nieśmiertelny. Pamiętamy grzmiące jak dzwon słowa Prezesa: MY stoimy tu, gdzie staliśmy wtedy. Tam, gdzie stoją ONI, stało ZOMO. Przeciwstawienie: MY – ONI wyklucza jakikolwiek dialog, bo przekreśla wszelkie możliwości komunikacji. Relacja: My – Wy mieści się doskonale w obrębie wspólnoty; ONI natomiast zostają bezwzględnie z tej wspólnoty wykluczeni. Dlatego prof. Krasnodębski tak skwapliwie podchwycił koncept Pawła Lisickiego, redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej”, który z pogardliwym lekceważeniem odniósł się do nieśmiały prób niwelowania głębokich podziałów politycznych w pierwszych dniach po katastrofie smoleńskiej, nazywając je „kiczem pojednania”. „Sądzę, że nie ma możliwości budowania sztucznej wspólnoty” – kategorycznie stwierdzał z kolei Krasnodębski.

Hm, czyżby to miało znaczyć, że dla niego wspólnota narodowa czy obywatelska jest „sztuczna wspólnota”? Czyli wracamy do wspólnoty plemiennej – jedynej naturalnej, **prawdziwej** wspólnoty? Czyżby naprawdę wrócił „czas plemion”? (Taką diagnozę współczesności postawił w swojej głośnej książce Michel Maffesoli<sup>1</sup>.) A przecież jednocyliśmy się we wspólnej – narodowej – żałobie. Pierwsze po katastrofie wydania gazet przynosiły na czołówkach przede wszystkim te dwa słowa: **narodowa tragedia**. Ale już po upływie paru dni zaczęła się gorsząca licytacja liczbami ofiar tragedii i usłyszeliśmy: To nie jest WASZA tragedia! Nie macie prawa do tej żałoby! NASZYCH zginęło nieporównanie więcej!

Przez chwilę mogło się wydawać, że odbudowaliśmy relację MY – WY i że jednak możliwy jest jakiś dialog, ale ze złudzeń szybko wyleczył nas choćby Marcin Wolski swoimi rymowanymi inwektywami<sup>2</sup>. W wypowiedziach prof. Krasnodębskiego są już tylko ONI, upodleni żądzą władzy.

W tym samym numerze „Gazety Polskiej” (przypominam: z 28 kwietnia 2010 r.) znalazł się „Dodatek Specjalny”, który otwiera deklaracja Jarosława Kaczyńskiego, że zamierza kandydować w wyborach prezydenckich. Tekst otrzymał specjalną oprawę, został umieszczony pod wielkim zdjęciem Kaczyńskiego w pozie iście pomnikowej. Zdjęcie warte jest szczegółowego opisu: PREZYDENT 2010 (jak głosi duży tytuł) z podniesioną w geście pozdrowienia ręką stoi za białą mównicą (która jest jakby źródłem światła) wysoko nad ciemnym tłumem (czyżby nawiązanie do słynnego: ciemny lud to kupi - ?), również unoszącym ręce, jakby w błagalnym geście: wyprowadź nas z ciemności! Dłoń Kaczyńskiego jaśnieje, podobnie jak jego twarz. Tło stanowi błada niebieska pościółka. Całość kompozycji można określić jako coś pośredniego między plakatowym wizerunkiem Wodza a kościelnym świętym obrazem.

Mam nadzieję, że zdjęcia, fotomontaże i karykatury, zamieszczane w „Gazecie Polskiej”, doczekają się należnego im obszernego studium, więc – nie rozpisywać

<sup>1</sup> Michel Maffesoli, *Czas plemion. Schyłek indywidualizmu w społeczeństwach ponowoczesnych*. Tłumaczenie Marta Bucholc. Warszawa 2008.

<sup>2</sup> Marcin Wolski, *Na śmierć Prezydenta Kaczyńskiego*. „Gazeta Polska” 14 kwietnia 2010.

się dłużej na ten frapujący temat – wracam do tekstu deklaracji. Przypomnę tylko trzy krótkie akapity:

„Tragicznie przerwane życie Prezydenta RP, śmierć elity patriotycznej Polski, oznacza dla nas jedno: musimy dokończyć Ich misję. Jesteśmy Im to winni, jesteśmy to winni naszej Ojczyźnie. Choć pogrążeni w bólu i żałobie, związani wieczną pamięcią o stracie, mamy obowiązek wypełnić Ich testament.

Polska to nasze wspólne, wielkie zobowiązanie. Wymagające przezwyciężenia także osobistego cierpienia, podjęcia zadania pomimo osobistej tragedii.

[...]

Wszystkich, którzy chcą kontynuować dzieło ofiar smoleńskiej tragedii, którzy chcą, by prawa Polska i prawi Polacy – jak pięknie powiedział przewodniczący „Solidarności” Janusz Śniadek – na zawsze podnieśli głowy, wzywam do współpracy. Bądźmy razem. Dla Polski. Polska jest najważniejsza.”

To ten spiżowy ton usiłowała naśladować Beata Kempa; niestety, naśladownictwa wypadają zwykle mizernie, a czasem – jak w jej przypadku – ośmieszająco, ale nie o to porównanie mi chodzi. Proponuję przeczytać niejako jednym tchem rozmowę z prof. Krasnodębskim i oświadczenie Prezesa (wszak spotkały się, przypominam, w jednym numerze „Gazety Polskiej”). Dopiero taka lektura uświadomi nam rozmiar przepaści między MY i ONI. ONI – upodleni żądzą władzy, do której nie mają żadnego moralnego prawa, a po którą mają czelność sięgać w maskach fałszywego bólu – i MY, dla których władza jest misją, kontynuacją dzieła ofiar smoleńskiej tragedii, zadaniem, które musimy podjąć (dla Polski, bo Polska jest najważniejsza) pogrążeni w bólu i żałobie, pomimo osobistej tragedii. Któż się zawaha, kogo wybrać? Chyba tylko skończona kanalia.

Ileż szlachetności w tych słowach! Można powiedzieć, że sama najczystsza szlachetność, bo wszelka podłość skryła się tchórzliwie po tamtej – ICH – stronie. W rozmowie z prof. Krasnodębskim padł również (w pytaniu dziennikarza „Gazety Polskiej”) zarzut hipokryzji:

„Czy dostrzegają to wyborcy? Politycy mogą udawać, że nie widzą hipokryzji, ale wyborcy nie powinni.”

To była już „czarna groteska”, żeby zacytować Prezesa. Na szczęście wyborcy dostrzegli hipokryzję – więcej niż połowa wyborców. I natychmiast spadła z jednej twarzy uśmiechnięta i dobrodusznym maska, odsłaniając dobrze nam znany grymas złości i nienawiści.

\* \* \*

Jako jeden z pierwszych po katastrofie smoleńskiej wystąpił słowa na wojnę – i to słowa poety (a ściślej nawet dwóch poetów) – wspomniany już tu Marcin Wolski. Niech mu to będzie zapamiętane, bo nie tylko „poeta pamięta” – czytelnik również.

W numerze „Gazety Polskiej” z 14. kwietnia (a więc zaledwie cztery dni po katastrofie) ukazał się na pierwszej stronie wiersz Marcina Wolskiego *Na śmierć Prezydenta Kaczyńskiego*, który najogólniej można nazwać pastiszem utworu Juliana Tuwima *Pogrzeb Prezydenta Narutowicza*. Nie zamierzam zgłaszać pod adresem Wolskiego małosłownych pretensji o to, że nie poinformował czytelnika „Gazety Polskiej” o zależności, jaka łączy jego tekst z Tuwimowskim pierwowzorem, chciałem natomiast podkreślić wyraźnie mitotwórczy charak-

ter tego utworu, opartego na sugerowanych analogiach – przy czym podzieliłbym te analogie na proste i odwrotne. Prosta analogia narzuca domniemanie zamachu – dalej już nasuwają się analogie odwrotne: Prezydent Narutowicz padł ofiarą zamachu, o którego spowodowanie historia oskarżyła polską prawicę – teraz Prezydent Kaczyński, ikona polskiej prawicy, stał się ofiarą zamachu, wiadomo czyjego... Jego sprawcy będą w następnych dniach konsekwentnie, poprzez publikację kolejnych teorii spiskowych, demaskowani przez „Gazetę Polską”. Na razie zostaje ośmieszony kliw *kicz pojednania*. „Na kolana, łajdaki, sypać popiół na głowę!” – gromi (wiadomo kogo) w świętym uniesieniu i oburzeniu Marcin Wolski, wspierając się na jeszcze jednym poetyckim pomniku (Czesława Miłosza):

Nie potrzeba też waszych, komplementów  
spóźnionych.

Waszej czerni, powagi, szkoda słów, nie ma co,  
dzisiaj chcemy zapomnieć wszystkie wasze androny,  
wasze żarty i kpiny wylewane przez szkło.

Bo pamięta poeta, zapamięta też naród  
wasze jady sączone bez ustanku, dzień w dzień.  
Bez szacunku dla funkcji, dla symbolu, sztandaru...  
Karlejecie pętaki, rośnie zaś jego cień!

Mocne! „Pętaki”, „łajdaki”... Choć Tuwim bił jeszcze mocniej: „głupcy”, „zbiry”, „zbrodniarze”. Warto jednak zwrócić uwagę także na inne wyliczenie: „androny”, „żarty”, „kpiny”, „jady”. W publicystyce „Gazety Polskiej”, „Naszego Dziennika” i innych pism prawniczych, aż po „Rzeczpospolitą” (poruszam się w tym spektrum tytułów w kierunku od prawej ku centrum) zauważyć można postępującą eskalację ekspresji językowej. Najpierw żąda się np., żeby „padli na kolana” niedawni krytycy prezydenta; później znika słowo „krytycy” i mówi się już o „ośmieszeniu”, a w końcu o „opluwaniu”. Buduje się więc taki ciąg: „krytykować” = „ośmieszać” (ew. „sztydzić”) = „opluwać”. I Rafał A. Ziemkiewicz może już w „Rzeczpospolitej” (z 2-3.06.2010) swojemu krótkiemu komentarzowi, dotyczącemu publikacji prasowych na temat planów Marty Kaczyńskiej włączenia się w życie polityczne, dać tytuł *Opluta Marta*.

Dodam, że to nie jest tylko kwestia brutalizacji języka – to jest świadoma działalność legendo- i mitotwórcza. Przypomnijmy sobie: opluwanie było początkiem drogi wiodącej ku męczeńskiej śmierci Chrystusa. Zresztą określenie „męczeńska śmierć” (w odniesieniu do najważniejszej ofiary smoleńskiej katastrofy) już padło – i powtarzane jest wbrew protestom ludzi, którzy bronili biednych, bezbronnych słów.

Ta eskalacja ekspresji językowej zatoczyła koło – w dziewięć miesięcy po katastrofie i w związku z publikacją raportu MAK podniósł się hurrapatriotyczny wrzask bardziej i mniej prominentnych członków PiS: Polska została zhańbiona i rzucona na kolana.

Zauważmy szczególnie upodobanie prawicy do szermowania frazesem o „rzucaniu na kolana” czy „padaniu na kolana”. Prezesowi zresztą kiedyś pomyliły się frazeologizmy i zamiast: „na kolanach”, powiedział: „na colworakach” (chodziło – to oczywista oczywistość – o politykę zagraniczną Donalda Tuska).

A w ogóle to szkoda słów...

MAREK BELKA

# KRYZYS I JEGO KONSEKWENCJE

Zapis wykładu prof. Marka Belki, prezesa Narodowego Banku Polskiego, b. premiera RP, b. szefa misji MFW w Iraku – wygłoszonego w Akademii Krakowskiej im. Andrzeja Frycza-Modrzewskiego w cyklu „Premierzy III Rzeczypospolitej”. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Bardzo interesujące zjawiska towarzyszą trudnemu procesowi odradzania się światowej gospodarki po wstrząsach końca pierwszej dekady naszego wieku. Sytuacja jest płynna i z każdym tygodniem pojawiają się nowe problemy. Światowy kryzys finansowy, którego byliśmy obserwatorami, nigdy nie przybrał ostatecznie najgroźniejszej formy, jaką zdawał się zapowiadać. Przede wszystkim nie stał się głęboką depresją gospodarczą, która dotknęłaby światową gospodarkę w takiej mierze, jak kryzys światowy lat 1929-33. A stało się to dzięki zupełnie innej reakcji władz państwowych wielu krajów świata.

Spróbujmy jednak, przede wszystkim, spojrzeć jakie były źródła wstrząsów, jakie fazy przechodził obserwowany przez nas kryzys i w jakiej sytuacji gospodarka światowa znajduje się dzisiaj. Zastanówmy się też dlaczego, choć przecież ów kryzys nie narodził się w Europie, mamy wrażenie, że to właśnie Europa została nim dotknięta najmocniej?

## Kryzys – seria katastrof

Każdy kryzys gospodarczy ma pewne cechy wspólne, tworzą się określone zjawiska nierównowagi, pewne problemy narastają w sposób niekontrolowany. Tworzą się „bąble spekulacyjne”. Klasyczną, wielokrotnie opisywaną i analizowaną formą kryzysu koniunktury był kryzys nadprodukcji, niekiedy wywołowany też nadmiernymi inwestycjami. To o takim kryzysie mówił John Keynes i jego uczniowie i o takich kryzysach mówiło się do połowy lat 70. ubiegłego stulecia.

W klasycznym, wczesnym kapitalizmie wieku XIX (niektórzy badacze analizują pod tym kątem nawet schyłek wieku XVIII) mieliśmy do czynienia z cyklami koniunktury gospodarczej występującymi w formie bardzo dramatycznej, wręcz drapieżnej, wyglądającej niemal jak seria następujących po sobie katastrof. Taki kryzys wystąpił tuż po I wojnie światowej i stał się źródłem rewolucji 1917 r. w Rosji. Wielki Kryzys lat 1929-33

wstrząsnął zarówno gospodarką światową, jak też polityką, myśleniem o gospodarce czyli nauką ekonomii, a jego bezpośrednimi konsekwencjami był hitleryzm, faszyzm i II wojna światowa. W zbiorowej pamięci narodów związek między wielką depresją lat trzydziestych a wojną jest tak oczywisty, że nie podlega dyskusji. Nieco mniej wyraziście rysuje się to, być może, w zbiorowej pamięci Polaków, bo pamięć kryzysu została przykryta innymi wydarzeniami. Faktem jest jednak, że ów kryzys, wzmocniony w Niemczech konsekwencjami I wojny światowej, prowadził do poczucia poniżenia, degradacji, które stało się znakomitą glebą dla hitleryzmu...

O tych skutkach kryzysu gospodarczego pamiętamy do dziś i dlatego reakcja na upadek banku Lehman Brothers była tak energiczna.

## Trzy „nierównowagi”

Pytamy jednak, jakiego rodzaju nierównowagi w gospodarce światowej doprowadziły do pojawienia się tych „bąbli” czy „baniek” spekulacyjnych, które w końcu musiały pęknąć?

Otóż różnie się o tym mówi. Zacznijmy jednak od zjawiska najbardziej trywialnego, tym razem była to nierównowaga na rynku nieruchomości w Stanach Zjednoczonych – z pozoru zjawisko lokalne, ale trzeba pamiętać, że ów rynek był wart tysiące miliardów dolarów! I jeśli taka bańka pęka, to skutki dotyczą nie tylko jednego rynku czy nawet jednego kraju.

Niektórzy wskazują tu na winę rządu USA, bo już w czasie prezydentury Clintona podjęto świadomie pewne kroki, które miały umożliwić branie poważnych kredytów na własne domy, czy choćby mieszkania, przez ludzi, którzy nie mieli nie tylko zdolności kredytowej, ale żadnych szans na spłacenie tych zobowiązań. Mamy więc bardzo głośne wypowiedzi oskarżające „ten okropny rząd, który skasował działanie rynku”.

Inni mówią – nie, to nie rząd był winien, ale System Rezerwy Federalnej, czyli amerykański bank narodowy, który w trosce o podtrzymywanie koniunktury gospodarczej przez wiele lat dostarczał pieniądze po bardzo niskiej cenie, nasilając narastanie banki spekulacyjnej. W efekcie ludzie, liczący na trwałość dobrej koniunktury, zadłużali się, brali kredyty...

To była pierwsza wielka nierównowaga w gospodarce światowej – z pozoru lokalna amerykańska,

ale przecież co w Ameryce jest „lokalne”, to w rzeczywistości jest globalne, nie tylko dlatego, że gospodarka amerykańska jest ciągle gospodarką dominującą na rynkach światowych, ale też z racji faktu, że amerykańska waluta – dolar, jest równocześnie podstawową walutą światowej wymiany.

### Chiny, producent „wszystkiego”

Inna nierównowaga to nierównowaga między USA a Chinami. Oto nagle Chiny stały się światowym producentem „wszystkiego”, a Stany Zjednoczone tego „wszystkiego”, konsumentem. Jak do tego doszło, to inna historia.

W Stanach Zjednoczonych, aby utrzymać gospodarkę w ruchu trzeba było ją napędzać coraz większą konsumpcją, w dodatku mamy tam do czynienia z coraz większym rozwarstwieniem dochodowym. Jednak nie powodowało to wstrząsów społecznych, właśnie dzięki tej rozbuchanej, kredytowanej konsumpcji i np. pozornej łatwości nabycia domu na kredyt.

Polityka kredytowa to zresztą tylko jeden z elementów napędzających gospodarkę. Inny to fakt, że gospodarka USA ciągle jest zasilana masową imigracją i ci imigranci zawsze stanowią „underclass”, podklasę, na której barkach spoczywa sukces klas wyższych.

Trzecią globalną nierównowagą, którą zauważono dopiero po niewczasie, jest nierównowaga wywołana przez nadmierny rozwój sektora finansowego. W Stanach Zjednoczonych w latach 70. sektor ten tworzył 10 proc. PKB. Dziś to aż 20 proc., co oznacza, że sektor finansowy rozwijał się przez blisko 30 lat dwa razy szybciej niż pozostałe działy gospodarki. Czy było to potrzebne? Cóż bowiem jest rolą banków i sektora finansowego? Pośrednictwo finansowe, czyli przekazywanie pieniędzy tam, gdzie są potrzebne i gdzie będą efektywnie wykorzystane. Na tym polega przecież „intermediation” czy pośrednictwo finansowe.

Kiedy zatem system finansowy spełnia swoją rolę? Kiedy w sposób optymalny alokuje kapitał, bo taka jest jego funkcja społeczna. W „optymalny sposób” to znaczy szybko, celnie i tanio. Czy tak się stało? Nie. Dziś co bardziej radykalni eksperci powiadają wręcz, że sektor finansowy w ogóle nie tworzy żadnej wartości dodanej, a wręcz zabiera ją innym! Że „rabuje” wartość dodaną! Mówi tak na przykład twórca i prezes jednego z największych funduszy hatchingowych Ralph Wanger. Jego ostatnia książka została wydana pod charakterystycznym tytułem „Dość!”, a autor twierdzi, że systemy finansowe i ich ludzie nigdy nie umieją sobie powiedzieć „dość”!

Gdy tak spojrzeć na sprawę, to mamy rosnący bardzo szybko sektor finansowy nie dostarczający nowych wartości, ale zgarniający je ze „strefy realnej”, czyli innych części gospodarki, bardzo je przy tym zubożając. To oczywiście przesada, ale koncepcja ta zyskuje na popularności, a jej odpryskiem są ciągle powtarzane oskarżenia wobec rządu USA i Rezerwy Federalnej o zbytnią deregulację systemu. Nie zgadzam się jednak z takim stawianiem sprawy, bo gdy mamy do czynienia z kradzieżą, to przecież winien jest złodziej, a nie policjant! Sądzi się złodzieja.

### Bankructwo Lehman Brothers

Tak czy inaczej zjawiska nierównowagi zbiegły się w 2008 roku, a ich zewnętrznym wyrazem było bankruc-

two, kilku na początek, dużych instytucji finansowych. Ale uważny obserwator stwierdzi, że już w roku 2007 zaczęły mieć problemy niektóre wielkie banki drugiej ligi, zarówno w USA, jak w Wielkiej Brytanii. Nie pozwolono im na całkowite bankructwo, tylko zaordynowano przejęcie tych instytucji przez inne instytucje - wspierane czy kontrolowane przez państwo.

Jednak trudno było takie scenariusze realizować bez końca, trudno też powiedzieć, czy kluczowe wydarzenie dla całej sprawy kryzysu było wynikiem tego, że Amerykanom nie udało się zrealizować kolejnego podobnego zabiegu, czy może zdecydowali się przerwać ten łańcuch. Dość, że pewnego dnia, we wrześniu 2008 roku, ogłoszono bankructwo, wcale nie największego, ale rzeczywiście jednego z większych na świecie banków inwestycyjnych: Lehman Brothers.

Tu jednak okazało się, że instytucja tak była powiązana trudnymi do zrozumienia i wyjaśnienia instrumentami finansowymi z całym światem, że globalnej gospodarce zaczął grozić efekt domina. Tuż za nim upadł na przykład znany i w Polsce koncern AIG - American International Group, który nominalnie był instytucją ubezpieczeniową a zajmował się wszystkim i tak naprawdę prowadził interesy, które trzeba by po prostu nazwać hazardem.

Najmocniej skutki recesji odczuł handel międzynarodowy. Dosłownie z miesiąca na miesiąc wymiana spadła o około 20 proc., czego dotąd w historii nie odnotowano!

Otóż handel, z powodów technicznych, potrzebuje krótkoterminowego kredytu handlowego i sprawnych przepływów międzybankowych. Tymczasem banki przestały sobie wierzyć obawiając się, że kolejna instytucja jest „zatruta”, nie ma płynności. Tak więc to państwo musiało przejmować wszystkie funkcje rynku międzybankowego. Padł strach.

### Piekła nie ma?

W reakcji na to, co się już stało i co się mogło stać, liderzy 20 największych gospodarek świata G-20 podjęli działania podtrzymujące system. Banki centralne tych krajów uznały, że będą w sposób nieograniczony dostarczać płynności. I dostarczają do dzisiaj. Wezwano też państwa, by zwiększyły wydatki budżetowe, nie myśląc o tym, że w dalszej kolejności musi to prowadzić do budżetowych deficytów, które kiedyś trzeba będzie spłacić. Nie myślano w tym momencie, że zwiększa się dług publiczny, a przez to powstanie z czasem konieczność radykalnego zaciskania pasa. Sytuacja była jednak wówczas zbyt poważna, by się zastanawiać nad odleglejszymi konsekwencjami i do takich kroków wezwał nawet Międzynarodowy Fundusz Walutowy – czyli światowy strażnik dyscypliny finansowej. Wszystko w imię stymulowania koniunktury gospodarczej.

Ale najważniejszą rzeczą, jaka się stała, była deklaracja liderów krajów G-20, że nie pozwolą na upadek żadnej kolejnej dużej instytucji finansowej. Można powiedzieć, że politycy z dnia na dzień zawiesili na kołku zasady konkurencji i dyscypliny finansowej... No bo skoro nikt z nas nie upadnie - to znaczy „piekła nie ma”!

To oczywiście poważne uproszczenie, ale na tym z grubsza polegał pakiet działań z września 2008 roku, który prawdopodobnie uratował gospodarkę światową. Bez tych kroków żadna duża instytucja finansowa nie przetrwałaby tego kryzysu.

I tu na marginesie można dodać, że gdy mówi się obecnie w Polsce o potrzebie stworzenia dodatkowego „bankowego podatku” czy dodatkowych odpisów na fundusz bezpieczeństwa, nasze banki powiadają, słusznie z pozoru: dlaczego my mamy być obciążani jakimiś antykrzysowymi podatkami, kiedy ani nie byliśmy w złej sytuacji, bo polski rynek finansowy jest zdrowy, ani nie przychodziliśmy do państwa po pomoc i nikt za nas nie płacił?

To prawda, ale trzeba mieć świadomość, że gdyby nie pomoc państw w skali całego świata, to ich spółki-matki tego kryzysu by nie przetrwały! Nie byłoby Citibanku, nie byłoby Kommerz Banku, nie byłoby Unicredit. Te wszystkie instytucje byłyby dziś historycznymi nazwami z podręczników. Oczywiście, coś by musiało na tych gruzach powstać, ale nazywałoby się zupełnie inaczej.

### W stronę wzrostu

I oto już w 2010 gospodarka światowa znalazła się w trendach wzrostowych, po krótkim okresie recesji mamy od czynienia z ożywieniem gospodarczym. Najszybciej rosną kraje „gospodarek wschodzących”, a więc Chiny, Indie, Brazylia i mówi się nawet, że zaczynają one wchodzić w fazę „przegrzania koniunktury”. Tak np. Chiny działają już na rzecz zacieśnienia polityki pieniężnej. Ameryka rośnie mniej więcej ok. 3 proc., co jest jak na Stany Zjednoczone wskaźnikiem bardzo niskim, nie pozwalającym na obniżenie wysokiego bezrobocia.

W USA wszystko się opiera na przedsiębiorczości, na tym, że firma, przedsiębiorstwo, ale nawet każde gospodarstwo domowe, ma samo o siebie dbać. Jeśli pojawia się bezrobocie, to pracownik sprzedaje dom (rynek jest bardzo płynny i z tym nie ma większych kłopotów) i jedzie za pracą do innego stanu. I to działa tak długo, jak nie ma powszechnej recesji. Wtedy nie ma gdzie się przenieść.

Niemiec, gdy trafia na bezrobocie, dostaje wysoki zasiłek i jedzie na wakacje do Chorwacji, albo na działkę, albo zajmuje się naprawą dachu. Rodzina amerykańska jest z reguły poważnie zadłużona i bezrobocie jest dla niej poważnym problemem. Musi opuścić dom, musi wynająć mieszkanie w gorszej dzielnicy, słowem następuje bardzo szybka degradacja społeczna. Szybsza niż w Europie. Stąd znacznie wyższa niepewność, a za tym idzie większa dynamika społeczna. Nie dziwnym więc, że władze amerykańskie tak agresywnie działały, by gospodarka nie wpadła w dłuższą recesję i nie dziwnym się, że Amerykanie stymulują koniunkturę za pomocą wszystkich dostępnych środków, jakie można sobie wyobrazić.

Inna sprawa, że USA mogą sobie na to pozwolić dzięki specjalnej pozycji dolara w świecie!

### Odpowiedź jednowyrazowa

A jak jest w Europie? - 2 proc. PKB. Dlaczego? Bo Europa, szczególnie ta zachodnia, jest tak zaawansowana technologicznie, syta i stabilna, że wzrost gospodarczy wyższy niż 2 proc. jest w zasadzie niepotrzebny. A jednak dzieje się coś złego, co powoduje, że cały świat pasjonuje się tym, czy pani Merkel zgodzi się na pomoc dla Grecji czy Irlandii, czy europejskie rządy zgodzą się na jakiś mechanizm wspólnego działania. Skąd się to bierze? Odpowiedź jest jednowyrazowa – euro!

Euro, wspólna waluta europejska, okazała się z jednej strony fantastycznym mechanizmem ochronnym w sytuacji kryzysu, a z drugiej pewną pułapką dla krajów europejskich.

Sam pomysł wspólnej waluty europejskiej był od początku pomysłem politycznym. Miał służyć pogłębieniu integracji krajów europejskich. Wspólnota Węgla i Stali, a potem następne fazy integracji, podporządkowane były idei, aby nigdy już w Europie nie wybuchła wojna światowa.

Czy to się udało? Fantastycznie udało! Z naszego punktu widzenia jeszcze lepiej niż fantastycznie, bo pozwoliło przełamać pojałtański podział kontynentu, a my, w jego rezultacie, przez pół wieku byliśmy po niewłaściwej stronie „żelaznej kurtyny”.

Teraz jesteśmy już gdzie indziej. Unia Europejska, mniej więcej wtedy, gdy trzeba było zdecydować o ponownym zjednoczeniu Niemiec, postanowiła, że wprowadzona zostanie wspólna waluta europejska. Potem wkroczyli ekonomiści starając się określić warunki i zasady na jakich to będzie funkcjonować.

### Alokacja ludzi i środków

Aby wspólna waluta, w różnych obszarach i różnych krajach, mogła działać, to te różne części unii walutowej muszą mieć cechy tak zwanego „optymalnego obszaru walutowego”. Stany Zjednoczone są także unią walutową, w ramach której jest 50 stanów o bardzo dużej autonomii gospodarczej. Unia Europejska ma 27 państw, w tym 17 krajów, które są częściami unii walutowej polegającej na tym, że kraje te rezygnują z własnej polityki pieniężnej na rzecz jednego ośrodka, prowadzącego wspólną, jednolitą dla całego obszaru politykę pieniężną. Europejski Bank Centralny z siedzibą we Frankfurcie nad Menem ustala jeden poziom stóp procentowych. Ale może się zdarzyć tak, że stopy procentowe będą dla niektórych części tego obszaru walutowego zbyt wysokie, a dla niektórych za niskie. Jeżeli w USA stopa procentowa, jednolicie ustalana w Nowym Jorku przez System Rezerwy Federalnej, okaże się za wysoka dla jakiejś części USA, to koniunktura gospodarcza np. w Nebrasce będzie dławiona i będzie tam rość bezrobocie. Wtedy część mieszkańców Nebraski wyemigruje do Massachusetts. A jeśli sytuacja będzie bardzo zła, to z centrum, z Waszyngtonu, w ramach wyrównywania poziomów deficytów budżetów stanowych, przyjdą pieniądze. Mówiąc krótko: unia monetarna musi zakładać, że istnieje swobodna alokacja środków produkcji, w tym ludzi, i pewien zakres transferów pieniężnych.

A jak jest w Europejskiej Unii Walutowej? Niełatwo zainstalować tu „unię transferów”, możliwośći wsparcia słabszych krajów przez kraje silniejsze gospodarczo. Istnieją także problemy z mobilnością siły roboczej, choć dziś są one znacznie mniejsze niż przed wejściem do Unii Europejskiej ostatnich dwunastu krajów. Do pracy w krajach „Starej Unii” wyjechało wiele osób z Polski a procentowo jeszcze więcej z krajów bałtyckich czy Rumunii. Natomiast w „starej Unii” mobilności było mniej, choć owszem, były przecież fale migracyjne – przyływy i odpływy, głównie Hiszpanów i Portugalczyków, którzy szukali zatrudnienia we Francji, Belgii, Holandii i w Niemczech. Niemcy zresztą od dziesięcioleci sięgali po siłę roboczą z terenów dawnej Jugosławii i z Turcji.

### Rynki mogą się mylić

Gdy budowano Unię Walutową nie stworzono możliwości „pay outu”, czyli wykupywania przez inne kraje długów krajów, które wpadną w kłopoty finansowe. Istnieje zasada, że każdy sam musi dbać o budżet publiczny. Traktat z Maastricht, potem jako Traktat Europejski, określa „zasady dobrego zachowania” w polityce budżetowej. Zakładano, że kraj nie może mieć więcej niż 3 proc. deficytu budżetowego. To była jednak, w gruncie rzeczy, tylko umowa dżentelmeńska, bo nie stały za tymi ustaleniami żadne poważne sankcje.

I ciekawe – do czasu wejścia do Unii Walutowej kraje dbały o to i próbowały, przynajmniej na papierze, ograniczyć deficyt, a te 3 procent osiągnęła nawet Grecja. Po wejściu do Unii Walutowej obawy zniknęły - nie było piekła i niemal nikt nie przestrzegał zbytnio reguł dobrego zachowania budżetowego. Oczywiście, gdyby wszyscy „nie przestrzegali” ich w jednakowym tempie, to problemu by nie było. Cała Europa miałaby podobny stopień inflacji. Problem nie ujawniał się, póki koniunktura była dobra. Tak zwane „rynki”, czyli prywatni inwestorzy, nie mieli żadnych obaw przed kupowaniem papierów wartościowych emitowanych przez różne kraje Unii Walutowej. Grecy. Niemcy, Irlandczycy, Hiszpanie – wszyscy emitowali obligacje denominowane w euro. Co prawda za każdym razem ktoś inny był emitentem, ale nazwa „euro” sugerowała, że wykup jest gwarantowany i greckie obligacje traktowano niemal identycznie jak niemieckie! Tymczasem ktoś inny gwarantował wykupienie „Bundów”, papierów emitowanych przez rząd niemiecki, a ktoś inny euroobligacje Greków. Gdy przyszedł kryzys, przyszło też otrzeźwienie. Okazuje się, że „rynki”, wbrew temu co się o nich mówi, też mogą się mylić.

Gdy Grecja, Irlandia, Portugalia zaczęły przeżywać kłopoty, dość nagle uznano je za niewiarygodne i kraje te musiały gwałtownie ograniczać wydatki. Problem był o tyle poważniejszy, że nie tylko państwo emitowało obligacje, ale też prywatne podmioty gospodarcze. I greckie banki, portugalskie cementownie, irlandzkie firmy nie mogły znaleźć chętnych na kolejne transze swoich „euroobligacji” i pozbawione zostały możliwości tzw. „rolowania” długów.

I oto okazało się, że cała konstrukcja Unii Walutowej jest zagrożona, bo państwa, które nie przestrzegały dyscypliny walutowej, mają ogromne problemy. Okazało się też, bardzo wyraziście, że państwa to nie tylko sektor publiczny, bo gospodarka jest całością. Można mieć, jak Irlandia, Estonia czy Hiszpania, budżet państwa w całkowitym porządku, ale jeśli prywatni przedsiębiorcy znajdują się na krawędzi bankructwa, to wcześniej czy później i tak państwo, czyli podatnik, będzie musiało interweniować.

Padł więc mit, że istnieje jakiś chiński mur między sektorem prywatnym a publicznym. Stąd też, gdy patrzymy na sytuację Polski, nie oceniamy tylko wielkości długu publicznego, ale także rozmiary długu prywatnego – przedsiębiorstw, a nawet gospodarstw domowych. To dopiero określa, czy Polska jest, czy nie jest zagrożona. Tu od razu musimy wszystkich uspokoić - nie jest zagrożona.

### Co wybierzemy?

Gdyby wspólny pieniądz europejski załamał się, to cała polityczna i społeczna konstrukcja Unii Euro-

pejskiej znalazłaby się w kryzysie. Gdyby dziś euro zniknęło, to waluty poszczególnych krajów zaczęłyby się różnicować. Gwałtownie umocniłaby się niemiecka marka a włoski lir osłabił. I jak tu prowadzić wolny handel, gdy nagle towar niemiecki staje się z dnia na dzień o 100 proc. droższy, a włoski o 30 proc. tańszy?

Nie było wyjścia, więc przystąpiono do remontu. Uznano, że trzeba zbudować stały mechanizm pomocy dla krajów zagrożonych. I jest on w tej chwili budowany. Częścią systemu jest wzmocnienie sankcji dla tych, którzy się źle zachowują, pojawiła się też mocno kontrowersyjna propozycja, z którą i my się nie zgadzamy, że poszczególne kraje nie tylko muszą zachowywać się poprawnie „budżetowo”, ale muszą też zadbać, by żadna gospodarka strefy euro nie traciła na konkurencyjności. Byłby to więc system wymuszania zwiększania konkurencyjności, czyli wymuszania modernizacji przemysłu, podnoszenia wieku emerytalnego, rezygnacji z indeksacji płac i emerytur, tak by utrzymać wysoką efektywność.

Widać więc wyraźnie, że Unia Europejska na skutek kryzysu i obaw o losy euro nabiera pewnych cech państwa – konfederacji, czy będziemy tego chcieli czy nie. Bo czymże jest niemiecko-francuski postulat „pewnego zharmonizowania” podatków? Czymże jest postulat „zharmonizowania polityki społecznej”, czy zakaz automatycznej indeksacji płac? Czym jest postulat, żeby harmonizować politykę płacową tak, aby w pewnych krajach płace nie rosły zbyt szybko? Czy to nie są pewne atrybuty państwa? Są! I teraz przed nami staje ważne pytanie - czy chcemy, czy nie chcemy w to wchodzić?

Jest już jasne, że Wielka Brytania nie chce w to wchodzić. Nie chce i może sobie na to pozwolić. Polska, jeżeli nie wejdzie, będzie w Unii Europejskiej zmarginalizowana politycznie. Być może takiego wyboru politycznego nasz kraj dokona, jeśli będziemy woleli żyć na marginesie Unii, ale wtedy nie będziemy decydować o jej przyszłości, o kierunkach ewolucji, czy np. zasadach gospodarki CO<sub>2</sub>. A będą to decyzje, które dotyczyć będą nas, naszej gospodarki, naszego życia społecznego. Tyle, że będą zapadały ponad naszymi głowami. Będziemy mogli mieć bank centralny w pełni niezależny z wszystkimi jego atrybutami, złotego z podpisem pani Hanny Gronkiewicz-Waltz albo już z innym podpisem. Wielka to przyjemność dla obywateli, ale trzeba też mieć świadomość, że w dłuższym okresie oznacza to marginalizację polityczną.

Powinniśmy więc, moim zdaniem, wybrać wspólną walutę. Jednak rodzi się pytanie - kiedy? Po pierwsze, musimy spełniać kryteria z Maastricht, a do tego jeszcze brakuje nam kilku lat, ponadto lepiej chyba poczekać, aż Unia Walutowa rozwiąże problem stabilności wewnętrznej. Niech powstaną wszystkie potrzebne instytucje, niech sytuacja w Grecji i Irlandii zostanie opanowana, bo ona opanowana zostanie. Tak czy inaczej.

Myślę, że do domu, w którym unosi się jeszcze dym od ledwie co zgaszonego pożaru wprowadzać się nie ma co, ale trzeba mieć świadomość, że w nieskończoność czekać na euro nie będziemy. To niebezpieczne, choćby ze względów politycznych, chyba że będziemy chcieli się z Unii Europejskiej wycofać, ale rozumiem, że wtedy możemy tylko zapisać się do jakiejś innej Unii Krajów Sąsiednich, czego jednak, osobiście, nie rekomenduję...

HENRYK DOMAŃSKI

# SPOŁECZEŃSTWO

**15 maja ubiegłego roku odbyła się doroczna konferencja „Kuznicy”.**

**Jej tematem była wizja Polski i świata do roku 2030.**

**W poprzednim numerze „Zdania” opublikowaliśmy tekst**

**jednego z wystąpień (prof. dr Andrzej Romanowski: Polska - Rosja po Smoleńsku),**

**w tym pozostałe wypowiedzi. Wszystkie teksty zostały autoryzowane.**

Szanse powodzenia programu Polska 2030 zależą od środków finansowych i odpowiednich zmian prawa. Jednak kluczową rolę i tak odegrają ludzie, którym przyjdzie te koncepcje realizować.

Oczywiście punktem wyjścia musi być stwierdzenie, że każde społeczeństwo ma swą hierarchiczną strukturę. Pytanie więc, jaka będzie struktura naszego społeczeństwa – czy więcej będzie inteligencji zwanej też specjalistami, a ubędzie rolników, czy też może zwiększy się udział robotników. Chodzi mi o modelową wizję społeczeństwa, które jak sądzę ukształtuje się w 2030 roku. Jego dominującą część będzie się określało mianem klasy średniej - wydaje się, że jest to socjologiczny odpowiednik społeczeństwa rynkowego z punktu widzenia ekonomisty..

W naukach społecznych nie da się prognozować tak dokładnie jak w ekonomii czy naukach ścisłych, posłużę się zatem metodą spekulacji myślowej, odwołując się do wyników badań. Zaczniemy od szczytu hierarchii społecznej - bo każda struktura społeczna ma swoją hierarchię, na której opiera się ład i porządek..

Idąc zatem od szczytu, zastanówmy się, jaka będzie *upper class* czyli klasa wyższa, której jeszcze nie mamy.. Klasa wyższa to elita biznesu, ludzie niezwykle zamożni, oddzieleni od pozostałych bardzo dużym dystansem, ale tacy, których pieniądze są legitymizowane, czyli uznane za słuszne, usprawiedliwione. To ludzie, których nawet można czy wypada naśladować. Innymi słowy – można uznać taką kategorię za „funkcjonalną w odczuciu społecznym”. Przed wojną odpowiednikiem *upper class* była polska arystokracja, do pewnego stopnia oczywiście. W Anglii taką kategorią samą w sobie jest królowa i jej otoczenie. W Stanach Zjednoczonych też ukształtowała się ta klasa, chociaż pierwotnie zabraniała tego konstytucja amerykańska.

Jak jest w Polsce? Otóż mamy elitę biznesu, której liczebność ocenia się na jakieś 15 tys. osób razem z rodzinami i w stosunku do całego społeczeństwa jest to bardzo mały odsetek. Szacunki te robi się wedle kryteriów ekonomicznych, ale sądzę, że można by zidentyfikować tych ludzi jako należących do pierwszej pięćsetki najbogatszych Polaków. Na marginesie warto zauważyć, że już ukształtowały się tu pewne związki, także rodzinne, wielkiego biznesu z przedwojenną *upper class*, czyli arystokracją, co jest oczywistym dążeniem do legitymizacji bogactwa. Akceptacja dla bogactwa i zamożności w Polsce wzrasta, wynika to z badań opinii publicznej, jednak w dalszym ciągu jest ona słabsza niż np. w USA, gdzie jeśli ktoś ma duże pieniądze, oznacza to w ocenie społecznej, że na ogół na nie zasłużył. Tam jest to wskaźnik nie tylko sukcesu osobistego, ale także przydatności społecznej danej osoby – jej „wkładu” w pomyślność ogółu. U nas jeszcze tak nie jest.

Kształtują się struktury instytucjonalne, które taką klasę wyższą mogą jednak wykreować. To przede wszystkim ekskluzywna edukacja dzieci w szkołach średnich i wyższych, do których bardzo trudno się dostać, bo są one na bardzo wysokim poziomie i trzeba za to zapłacić. Drugim czynnikiem jest kreowanie symboli wyższości – dotyczy to m.in. ekskluzywnych klubów towarzyskich. W Stanach Zjednoczonych przynależność do tych klubów jest symbolem klasy wyższej.

Natomiast barierą jej rozwoju jest egalitaryzm społeczeństwa polskiego. W opinii 90 proc. Polaków – a odsetek ten wzrósł w ciągu ostatnich lat - rząd powinien zredukować nierówności społeczne. Na początku lat 90. XX w. przekonanie to wyrażało tylko 60 proc., co można interpretować jako wyraz nadziei wiązanych przez polskie społeczeństwo z transformacją ustrojową

i protestem wobec „urzędowego egalitaryzmu” PRL. Generalnie, poparcie dla elitaryzmu było na początku przemiany ustrojowej większe niż dziś. Nie powinno to nas zaskoczyć, bo późniejsze doświadczenia z gospodarką rynkową zniechęciły ludzi do akceptowania nierówności. Jest to czynnik, który będzie blokował legitymizację klasy wyższej.

Klasa wyższa jest jakimś wzorem do naśladowania, ale bardzo niewielu ludzi nawet po ukończeniu najlepszych studiów może wejść do niej, chociażby dlatego, że jest ona z definicji nieliczna. Bardziej realistycznym wzorcem sukcesu, wykreowanym m.in. w tym celu przez polityków, ideologów i media, jest klasa średnia. W odczuciu społeczeństw zachodnich, każdy ma szansę dostępu do klasy średniej, a nawet powinien, jeżeli chce coś znaczyć, wykazać się kompetencjami i udowodnić, że ma jakieś ambicje. Dla gremiów rządzących klasa średnia jest wentylem bezpieczeństwa. Jej zadaniem jest utrzymywanie ludzi w przekonaniu, że osiągnęli pewien życiowy sukces, a system społeczny zapewnia równość szans. Ponieważ wizja klasy średniej jest funkcjonalnym aspektem świadomości społecznej w systemach rynkowych, jest na nią zapotrzebowanie i u nas.

Przyjrzyjmy się teraz kategoriom, które od dawna istnieją – specjalistom, wyższym kierownikom, ludziom, którzy wykonują takie zawody jak nauczyciele akademicy, inżynierowie, specjaliści od biznesu, reklamy, prawnicy... Na ogół wejście do tych zawodów wymaga ukończenia studiów wyższych, chociaż nie zawsze jest to warunek konieczny. W Polsce określamy tę kategorię mianem inteligencji. Z materiału przedstawionego przez pana ministra Boniego wynika, że oczekuje się od nich odegrania roli siły napędowej gospodarki, jest to „kapitał ludzki” przypisany do ważnych pozycji. Problem jest jednak w tym, że owa kategoria nie zwiększa się u nas z biegiem czasu! Mimo wzrastającego odsetka ludzi z wyższym wykształceniem kategoria specjalistów znajduje się na poziomie 10-11 procent ogółu ludności

Chociaż liczba studentów wzrosła z 900 tys. w 1990 roku do ponad 2 mln obecnie, osoby z wyższym wykształceniem nie zajmują pozycji „inteligentnych”, gdzie rozpyłują się w strukturze społecznej, co wskazywałoby na przyblokowanie ich rozwoju. Jest to jakaś makro-systemowa dysfunkcja. W krajach Europy Zachodniej, np. w Szwecji, która może dla nas stanowić wzorzec, kategoria ta sięga 30 proc. ludności czynnej zawodowo! Wyprzedzają nas też inne kraje Europy Środkowo-Wschodniej, wywodzące się z kręgu dawnej wspólnoty RWPG.

Jeżeli ma to być wyznacznik sukcesu w 2030 roku, trzeba temu problemowi zaradzić – pozostaje pytanie: czy jest to możliwe? Sygnalizuję zjawisko, które nazwę „inflacją wyższego wykształcenia”. W 1982 roku (wynik z badań na próbach dobieranych metodą losową, więc można je uogólniać) na 100 proc. osób kończących studia wyższe, na pozycje „inteligentne” wchodziło 73 proc. Obecnie ten odsetek wynosi 37 proc. Zmiana ta ilustruje zjawisko dewaluacji wyższego wykształcenia. Ono się nie przekłada na pozycję, jaką ci ludzie, idąc na studia z pewnymi oczekiwaniami zapewne, osiągnąć zamierzali. Prawdopodobnie, wybierając się na wyższe studia myśli się, że ich

ukończenie zapewni dostęp do odpowiednio wysokich pozycji – tak nie jest.

Zatem wykształcenie nie przekłada się na odpowiednio wyższą pozycję i odpowiednio wysokie dochody. Przedstawię jeszcze jeden wynik – dotyczący zależności między wyższym wykształceniem a zarobkami. Do niedawna ta zależność systematycznie wzrastała. Ukończenie studiów wyższych przekładało się na zarobki, zapewniając je w 2005 roku średnio na poziomie 49 proc. powyżej średniej krajowej. W 1982 roku wyższe wykształcenie zapewniało tylko czysty „zysk” w postaci 12 proc., zatem między rokiem 1982 a 2005 mieliśmy wyraźny wzrost opłacalności wyższego wykształcenia. Wprowadzenie gospodarki rynkowej zaczęło działać na rzecz tego co nazywamy „merytokracją”, czyli wynagradzania ludzi za zasługi. Można przyjąć, że wykształcenie jest takim „wskaźnikiem zasług”.

Apogeum tej zależności przypada na rok 2005. Jednak z moich analiz dla 2008 roku wynika, że krzywa ta zaczyna się załamywać. Niewykluczone (to tylko hipoteza), że przekładalność wyższych studiów na zarobki kończy się - w wyniku nasycenia systemu społecznego kadrą specjalistów. Być może jest to źródło wspomnianej dysfunkcji, która daje o sobie znać w postaci braku zdolności systemu ekonomicznego do generowania pozycji inteligentnych. Ma to niedobre konsekwencje dla kategorii specjalistów - polskiego odpowiednika „nowej klasy średniej” - ale osłabia też efektywność ekonomiczną i jest niekorzystne dla chłonności rynku wewnętrznego. To „specjaliści” bowiem, a więc ludzie lepiej zarabiający, najczęściej konsumują, m.in. w celu potwierdzenia wysokich aspiracji i udowodnienia sobie samym, że coś znaczą.

Ludziom tym, których określamy mianem klasy średniej, a ma być nią inteligencja, przypisywane są pewne postawy. Większa tolerancja, której wskaźnikiem jest np. akceptacja dla homoseksualistów i dla mniejszości etnicznych, poparcie dla otwierania się na Unię Europejską, poparcie dla demokracji i gospodarki rynkowej... Rodzi się pytanie, czy przejściowe (jak sądzę) zjawisko inflacji wykształcenia jest istotną blokadą rozwoju klasy średniej? Czy nadrobimy dystans, jaki nas dzieli od krajów starej piętnastki UE? Dystans mierzony odsetkiem „nowej klasy średniej” - mniej więcej 20-25 proc. klasy średniej w krajach Europy Zachodniej.

Z pozycjami inteligentnymi związane są też skłonności do samoorganizowania się, do aktywności obywatelskiej. Ludzie ci skłonni są angażować się w sensowne przedsięwzięcia, gdy widzą zależność przyczynowo-skutkową między własnym interesem a interesem ogółu. Pod względem uczestniczenia ludzi w organizacjach obywatelskich Polska jest na ostatnim miejscu wśród krajów rozwiniętych. Z moich wyliczeń, opierających się na danych Europejskiego Sondażu Społecznego wynika, że odsetek ludzi, którzy deklarują, że należą do takich organizacji (*voluntary associations*) i aktywnie w nich uczestniczą, mieści się w granicach 14-15 proc. W Danii, która w tej dziedzinie przewodzi wszystkim krajom europejskim, odsetek ten sięga 87 proc. Wyprzedzają nas nawet Grecja i Portugalia. Z tych samych badań wynika, że w organizacjach obywatelskich, szczególnie w Polsce, odsetek inteligencji jest zdecydowanie najwyższy. Liczebny wzrost

klasy średniej będzie zatem czynnikiem rozwoju społeczeństwa obywatelskiego.

Klasa średnia to tylko jeden z aspektów prognozy rozwoju. Kolejny aspekt dotyczy kwestii ubóstwa. Z badań wynika, że odsetek ludzi ubogich i wykluczonych zarazem, czyli *underclass*, zwiększył się skokowo na początku lat 90.: w 1992 roku do 7 proc., a po trzech kolejnych latach do 12 proc., i dopiero później, za rządów SLD, lekko obniżył się do 9-10 proc. Mimo jednak realnego wzrostu gospodarczego, jaki notuje Polska, kategoria ta kształtuje się na niezmiennym poziomie. A więc odpowiedź na pytanie, jak ta kategoria będzie wyglądała w 2030 roku, nie jest prosta. Diagnozuję, że owa kategoria ustabilizowała się i nic nie wskazuje na to, by miała się zmniejszać.

System rynkowy ze swej natury będzie generował ubóstwo. W każdym ustroju są grupy ludzi znajdujące się na dole drabiny społecznej i tak musi być, problem jednak w tym, czy musi się z tym wiązać wykluczenie – z rynku pracy, polityki, uczestniczenia w kulturze? Jak wynikałoby z moich analiz, nie wyłoniły się jeszcze w pełni procesy reprodukcji międzypokoleniowej w zakresie „dziedziczenia biedy i wykluczenia”. Jest to uniwersalne zjawisko, polegające na swoistej indoktrynacji młodego pokolenia w duchu „kultury ubóstwa” („nawet gdybyś się uczył, zdobył wyższe wykształcenie, itd., to i tak nie wyrwiesz się z biedy”). Prognoza jest pesymistyczna, choć z drugiej strony odsetek ubóstwa na poziomie 5-8 proc. społeczeństwa mieściłby się w „normie”.

Z reprodukcją ubóstwa związana jest kwestia nierówności edukacyjnych. Jak wykazują międzykrajowe analizy porównawcze, tylko w dwóch krajach nierówności w dostępie do wykształcenia uległy zmniejszeniu – są nimi Szwecja i Holandia. W przypadku Szwecji jest to efekt kilkudziesięciu lat rządów socjaldemokracji. W większości innych krajów pochodzenie społeczne (mierzone przez pozycję społeczną rodziców) rzutuje, bez większych zmian w czasie, na selekcję do szkół średnich i wyższych. Ostrzejszą barierą nierówności jest próg szkoły średniej. Przebrnięcie go zwiększa szanse przechodzenia na wyższe szczeble hierarchii kształcenia. Na wyrównywaniu szans na tym progu powinna się więc koncentrować polityka społeczna – zaczynając od wczesnej socjalizacji w zakresie przełamywania barier kulturowych.

W Polsce rysuje się jeszcze inne zjawisko. Kreowane są nowe nierówności edukacyjne, związane z podziałami na szkoły publiczne i niepubliczne, prowadzone w trybie stacjonarnymi i niestacjonarnym oraz bezpłatne i pobierające opłaty. Pochodzenie społeczne zaczyna kształtować dostęp do szkół stacjonarnych i niestacjonarnych oraz pobierających i nie pobierających opłat. W szkołach prowadzonych w trybie stacjonarnym stosunkowo najczęściej reprezentowane są osoby pochodzące z rodzin wyższych kierowników i specjalistów. Kategoria ta dominowała również w szkołach pobierających opłaty, co sugeruje, że nadreprezentacja pochodzenia inteligenckiego na tych ścieżkach kształcenia związana jest ze stosunkowo wyższym poziomem zamożności. Wyższych kierowników i specjalistów stać jest na ponoszenie wydatków w porównaniu z kategoriami o niższym statusie społecznym.

Wyraźniejsze prawidłowości występują na poziomie szkół ponadśrednich. Pochodzenie inteligenckie okazuje się być tu stosunkowo najsilniej związane z nauką w sektorze publicznym, co pozwala wnioskować, że charakteryzują się one lepszą jakością kształcenia w porównaniu ze szkołami niepublicznymi. Osoby wywodzące się z rodzin wyższych kierowników i specjalistów lokują się w szkołach publicznych częściej od niższych pracowników umysłowych i właścicieli, największy zaś dystans dzieli ich od robotników i rolników. Bardzo podobnie kształtują się te zależności w odniesieniu do podziału na ponadśrednie szkoły bezpłatne i pobierające opłaty oraz szkoły trybu stacjonarnego i niestacjonarnego. Dzieci inteligencji stosunkowo najczęściej uczą się w dziennych, bezpłatnych szkołach policealnych i wyższych uczelniach, natomiast ponadśrednie szkoły prowadzone w trybie niestacjonarnym i pobierające opłaty relatywnie częściej przyciągają osoby pochodzące z rodzin pracowników umysłowych, właścicieli, robotników i rolników.

W sumie ustalenia te potwierdzają przekonanie opierające się, jak dotąd, bardziej na obserwacjach, niż wynikach systematycznych analiz, że podział na szkoły publiczne i niepubliczne oraz bezpłatne i biorące opłaty, są czynnikiem stratyfikacji społecznej. Główną osią tego nowego wymiaru jest podział na szkoły lepsze – reprezentujące wyższy poziom kształcenia – i szkoły gorsze, nastawione bardziej na dostarczanie dyplomów. „Nowa” stratyfikacja jest odzwierciedleniem nierówności zasobów ekonomicznych i kapitału kulturowego, kategorii dominujących w tych szkołach. Fakt, że wyższymi zasobami dysponują rodziny inteligenckie pozwala wnioskować, że na poziomie szkół średnich stosunkowo wyższą jakość kształcenia zapewniają szkoły stacjonarne i pobierające opłaty.

Trochę inaczej rysują się te zależności na poziomie szkół ponadśrednich. Wyższą jakością charakteryzują się tu raczej nie pobierające opłat szkoły publiczne, prowadzone w trybie stacjonarnym, czego świadectwem jest fakt, że koncentrują się w nich dzieci wyższych kierowników i specjalistów. Sugeruje to, że rekrutacja do tych szkół w większym stopniu opiera się na kryteriach merytorycznych, faworyzujących pochodzące z tych rodzin osoby o wyższym kapitale kulturowym. Zasobami tymi w mniejszym stopniu dysponują kategorie o niższym statusie społecznym, dla których szansą jest uzyskanie dyplomu w szkołach niepublicznych, za które jednak należy zapłacić.

Struktura społeczna ma charakter znacznie bardziej stabilny niż wynikałoby to z wiedzy potocznej. Na przestrzeni kilkudziesięciu lat nie zmniejszyły się dystanse w zakresie ruchliwości międzypokoleniowej i dziedziczenia pozycji rodziców, barier homogamii towarzyskiej i wyboru małżonka. Zgodnie z intuicjami, ludzie utrzymują bliskie znajomości i wybierają małżonka pod kątem wspólnoty wartości, postaw, kultury i stylu życia – decyduje więc usytuowanie w hierarchii społecznej, co jest czynnikiem utrwalającym istniejące dystanse. W innych krajach jest zresztą tak samo. Logika stratyfikacji społecznej będzie raczej działać w kierunku hamującym tendencje rozwoju, prognozowane w raporcie ministra Boniego.

HENRYK DOMAŃSKI

MICHAŁ BONI

# ... KIEDY OSIĄGAMY MASĘ KRYTYCZNA POSTAW SPOŁECZNYCH

Objawy kryzysu gospodarczego, jaki ogarnął świat, powinny generować pytania: czy nie mamy do czynienia z kryzysem pewnego modelu rozwoju i czy prace nad dokumentem programowym „Unia Europejska 2020” dostrzegają te kwestie?

Pierwsza propozycja strategii przygotowana przez Komisję Europejską została sceptycznie przyjęta przez większość państw członkowskich, w tym Polskę. W dokumencie nie dostrzeżono w odpowiednim zakresie różnic rozwojowych pomiędzy państwami członkowskimi (nowe i stare kraje członkowskie – kraje płytkiego i głębokiego kryzysu).

Już w 2008 roku analizowaliśmy różne słabości gospodarek i państw; proszę sobie przypomnieć wrzesień 2008 i sytuację banku Lehmann Brothers, upadek dużej instytucji finansowej. Zaczęło się bowiem od banków, a teraz stoimy przed groźbą bankructwa całych państw: Grecji, Portugalii, Hiszpanii, gdzie pojawiły się różne, bardzo niesprzyjające okoliczności. Nie chcę straszyć, jednak zawsze, dokonując analizy rozwoju społeczno-ekonomicznego, należy sobie zadawać pewne podstawowe pytania i szukać na nie odpowiedzi.

W przypadku Europy powinniśmy sobie zadawać pytanie, jak wychodzić z kryzysu nie w sposób bierny, ale budując nowe siły rozwojowe, które są potrzebne, aby sprostać nowemu charakterowi konkurencyjności. Czas kryzysu w Europie czy USA to także czas przyspieszonego powrotu na trajektorię rozwoju części państw azjatyckich i okres dynamicznego rozwoju Chin, o wiele mniej dotkniętych doświadczeniami kryzysowymi. Europa musi też sobie odpowiedzieć, chcąc być zjednoczoną Europą, jak zarządzać rozwojem przy tak olbrzymiej skali zróżnicowań między północą i południem. Jak więc zarządzać krajami, z których jedne mają słabe gospodarki i państwa, są zadłużone, a inne mają gospodarki w stanie przyzwoitym i finanse publiczne o charakterze zrównoważonym. To generuje kluczowe pytania: jak harmonizować perspektywę rozwoju z działaniami, które mają stabilizować sytuację – oszczędnościami, redukcjami nakładów, wzrostem podatków. I oczywiście trzeba sobie zadać pytanie,

w jakiej perspektywie czasowej budować tę „harmonizację”.

Po wielu tygodniach dyskusji stworzyliśmy mapkę Europy z różnymi informacjami wskazującymi, jak różne kraje szykują się do „zaciskania pasa”. Oszczędności zresztą przewidują wszyscy, nawet Francja, bo prezydent Sarkozy w istocie zamroza emerytury i wynagrodzenia mówiąc, że tego nie robi, ma bowiem taką specyficzną retorykę polityczną.

Jeszcze kilka miesięcy temu, kiedy w różnych krajach europejskich przygotowywane były plany konwergencji, większość tych krajów, zgodnie z wymogami traktatu z Maastricht podawała, że mniej więcej w roku 2012 powinna osiągnąć stabilność finansową, czyli deficyt sektora finansowego na poziomie około 3 proc. Polska też zajmowała takie stanowisko. Dziś ta harmonizacja przesuwa się w czasie. Co to oznacza? To oznacza, że wychodzenie z kryzysu rozumianego jako zagrożenie dla pewnego modelu rozwojowego może zająć połowę nadchodzącego dziesięciolecia. Moje pytania i wątpliwości dotyczące strategii europejskiej polegają więc na tym, że choć jestem zdania, iż oczywiście należy taką wspólną strategię budować, to jednak należy brać pod uwagę uwarunkowania, z którymi mamy do czynienia.

Jak więc Polska powinna wychodzić z kryzysu? Przede wszystkim kształtując nowe przewagi konkurencyjne w tych obszarach, gdzie ich jeszcze nie budowaliśmy, czyli modernizując gospodarkę w oparciu o kapitał intelektualny. Równocześnie musimy nadrobić zaległości rozwojowe, nadal przecież olbrzymie w obszarze infrastruktury. To dotyczy transportu, energetyki, dostępności do Internetu.

Trzeci dylemat rozwojowy to problem, jak zaktywizować rezerwy zasobów pracy. Cieszymy się, że w roku 2008 osiągnęliśmy wskaźniki zatrudnienia na poziomie 60 proc., że rok 2009 znalazł się niewiele niżej, bo na poziomie 59,3 proc., ale w porównaniu z europejskim wskaźnikiem zatrudnienia na poziomie 65,3 proc. czy z celami Strategii Lizbońskiej, to jeszcze relatywnie mało. A mamy olbrzymie rezerwy –

to m.in. zatrudnienie kobiet, mieszkańców wsi. Mieliśmy za sobą długie lata, gdy tolerowane, a nawet promowane było bardzo wczesne wychodzenie z rynku pracy. W 2008 roku średnia przechodzenia na emeryturę czy rentę wynosiła 58 lat przy wydłużającym się życiu. To średnia zdecydowanie zbyt niska, społeczeństwo o rozwojowych ambicjach nie może takiej akceptować.

Mobilizacja zasobów pracy winna przynieść większą liczbę pracujących, a co za tym idzie, większą sumę podatków, które wpływają do budżetu, a także większą samodzielność rodzin i ograniczenie wydatków na pomoc społeczną. To wszystko prowadzi do równoważenia wydatków publicznych, ale nie dla jakiegoś abstrakcyjnego celu, mitycznej „równowagi”, lecz dla bezpiecznego budowania rozwoju – inwestowania w różne ważne społecznie cele.

Tak więc staje przed Polską generalne pytanie, jak harmonizować wydatki budżetu z przychodami i jak budować stabilność finansową, a także w jakiej perspektywie czasowej te cele powinniśmy osiągać. Mamy tu bardzo ważne konstytucyjne zapisy – prognozy ostrożnościowe, pierwszy 50 proc. i drugi, groźniejszy, 55 i 60 proc., związany z wymogami z Maastricht określającymi próg przystąpienia do strefy euro.

I gdybyśmy spojrzeli na bezpieczny początek roku 2008 w krajach obecnej strefy euro okaże się, że wówczas w tych krajach zadłużenie wynosiło około 66 proc. w stosunku do produktu krajowego brutto. W 2009 r. było to 78,7 proc., czyli 12-13 proc. więcej. Polska notowała między rokiem 2007 a 2009 od 49 do 51,6 proc. przyrostu zadłużenia, Irlandia mając 25 proc., osiągnęła 64 proc., czyli nastąpił tam skokowy wzrost długu publicznego wynoszący około 40 proc.! To zagrożenie jest więc u nas pod względną kontrolą. Nie zmienia to jednak faktu, że dla rynku nie jest istotne, jakie to zadłużenie naprawdę jest, ale jaką wartość na rynku mają nasze obligacje i inne papiery dłużne, bo to określa zdolność państwa do bezpiecznego zadłużania się.

I teraz warto zauważyć, że np. Irlandia, której roczny przyrost deficytu oceniany jest na 14 proc., planuje go zmniejszyć do 3 proc. w roku 2014. Portugalia z 8-9 proc. podobnie – do 3 proc. Zatem cel redukcji długu publicznego w tych krajach, jak zresztą w całej Europie, rzeczywiście przesuwa się w czasie. To są założenia już akceptowane przez Komisję Europejską w ramach komunikatu Unia Europejska 2020.

W tej sytuacji o strategii lizbońskiej trudno dziś mówić (a dlaczego się nie udało, to problem na inną dyskusję), stwierdzę tylko, że jednak był to dokument ważny i wskazano w nim trzy zasadnicze scenariusze dla Europy. Pierwszy o horyzoncie 2020 roku nazywany był „trwałą rozbudową” i wedle niego, co szczególnie podkreśla Barroso, Europa powinna szybko odzyskiwać dynamikę po spadku, z którym mieliśmy do czynienia. Drugi scenariusz to „spowolniona odbudowa”, który zakłada powrót na rozwojową trajektorię po 2020 roku. I trzeci, „stracona dekada”, czyli scenariusz, który nie obiecuje szybkiego odzyskania tempa rozwoju.

Proszę pamiętać, że patrząc na lata 2010-20 mogliśmy stworzyć warunki dla „złotej dekady”, dla szybkiego tempa rozwojowego, ale czy będziemy to umieli zrobić i mieli szansę to wykorzystać, to całkiem inne pytanie. Moim zdaniem, choć scenariusze pesymistyczne są wielce prawdopodobne, to jednak są one zarysowa-

ne w sposób zbyt mało agresywny, mało wymagający, by strefa gospodarki europejskiej mogła podjąć rzeczwiście konkurencję z innymi gospodarkami na świecie.

Te trzy podstawowe cele kontynentu europejskiego: rozwój inteligentny, zrównoważony i sprzyjający łączeniu społecznemu są zdefiniowane nie najgorzej, ale w wielu szczegółowych punktach mogłyby brzmieć identycznie – jak 15 lat temu. Nie widać tu żadnego wysiłku intelektualnego, aby zadać trudniejsze pytania dotyczące tego, co przed Europą stoi, i poszukać na nie odpowiedzi. Nie oznacza to, że jestem przeciwnikiem planów Unii Europejskiej, ale uważam, iż niektóre kwestie winny być stawiane jaśniej i odpowiedzi na nie powinny być bardziej przejrzyste.

Jeszcze kilka słów na temat naszej pracy nad dokumentem Unia Europejska 2020. W pierwszej jego wersji groziło nam wyeliminowanie całej sfery polityki spójności, która jest dla nas bardzo istotna. Właśnie fundusze na nią przeznaczone pozwalają nam inwestować w infrastrukturę. Jesteśmy też przeciwni wprowadzaniu funduszy „tematycznych”, np. „funduszu transportowego”, bo chcemy politykę transportową traktować jako element polityki spójności, gdyż to jest jedyny sposób, by tworzyć równowagę między regionami. Jeśli zatimizujemy wszelkie polityki i fundusze, nie będzie to budowało synergii i spójności terytorialnej, na czym nam bardzo zależy.

Jest też w tym dokumencie europejskim pięć obszarów obudowanych szczegółowymi wskaźnikami. Przy polityce zatrudnienia Unia Europejska i Rada Europy (zostało to potwierdzone na Naukowej Radzie Europejskiej) mówi np. o 75-procentowym wskaźniku zatrudnienia dla mężczyzn i kobiet w wieku 20-64 lata. Nasze wyliczenia mówią, że przy pewnym wysiłku możemy osiągnąć ten wskaźnik do roku 2020 na poziomie 71 - 72 proc.

Komisja Europejska zakłada też, że jednym ze wskaźników rozwoju powinny być nakłady na działalność badawczo-rozwojową na poziomie 3 proc. PKB. Dziś to 2 proc., przy czym Polska znajduje się tu bardzo nisko (ok. 0.6 proc. PKB). Po długiej dyskusji uznaliśmy, że nasz cel to będzie 1,7 proc. w 2020 r., czyli i tak blisko trzykrotnie więcej niż wskaźnik obecny. Inna rzecz, że mierzenie efektywności tylko przez nakłady jest mylące, bo np. w krajach Europy Zachodniej 2/3 nakładów to wydatki przedsiębiorstw prywatnych, a reszta to finanse państwowe. U nas jest naturalnie odwrotnie.

Gdy idzie np. o kwestie energetyki i klimatu to jest w UE tendencja do wyśrubowania norm zmniejszania emisji gazów cieplarnianych do 30 proc. obecnego stanu, co dla nas jest bardzo trudne i chyba nieosiągalne.

I wreszcie ostatni czynnik mierzalny, to jest dążenie do zmniejszenia liczby osób mieszczących się w „sferze ubóstwa”. Takie określenie nie bardzo nam odpowiada, wolelibyśmy mówić o „wykluczeniu społecznym” i sprawdzać kilka wymiarów tego wykluczenia, nie tylko ubóstwo mierzone przez dochody. Wydaje nam się, że z polskiego punktu widzenia jest ważniejsze wykluczenie informatyczne, edukacyjne czy energetyczne, bądź też wykluczenie z powodu niepełnosprawności.

I teraz spojrzmy na program Polska 2030, aby skonfrontować myślenie europejskie z naszym. Oto my, szkicując program rozwoju, bardzo mocno podkreśla-

my, jakie są jego fundamenty, kwestie demograficzne, polityka wzrostu gospodarczego, sprawność państwa i to, jakie potrzebne będą do tego instrumenty, jakie są tego wymiary społeczne oraz co jest celem tych wszystkich działań. Wszystkie inne rzeczy, np. skala wzrostu gospodarczego mierzona tempem wzrostu PKB, to są sprawy bardzo ważne (także rozumiane jako cele), ale są to tylko pewne narzędzia. Obecnie niezbędne jest „mierzenie rozwoju” zupełnie innymi czynnikami, które my teraz definiujemy jako „dobrą jakość życia”.

Polska ma pewną ważną cechę. W porównaniu z wieloma innymi starzejącymi się krajami Wspólnoty jesteśmy młodszy, bo niewiele krajów miało drugi, powojenny wyż demograficzny. To określa różnicę między „generacjami roszczeń” a „generacjami aspiracji”. Trzeba podkreślić też, że bardzo silne jest w Polsce dążenie do dalszego kształcenia się, a więc między Polską a innymi krajami nie będzie zaznaczała się luka edukacyjno-technologiczna.

Tu wypada dodać parę słów na temat proponowanego w modelu systemu rozwojowego kraju, który akcentując rolę ważnych centrów nie traci też z pola widzenia potrzeb innych rejonów. Uważamy, że model lokomotyw przy równoczesnym uruchamianiu „lewarów dyfuzyjnych” na innych obszarach, jest dla Polski najlepszy. Zdajemy też sobie sprawę, że w najbliższych latach dystans między liderami a tymi, którzy mają najmniejszy potencjał, będzie rósł i nie jest to kwestia ideologii, lecz faktów. Trzeba będzie więc, oczywiście, stworzyć długofalowy mechanizm wyrównywania tych różnic. W wielu poważnych opracowaniach, m.in. w opracowaniu Michaela Portera, widać, że właśnie infrastruktura jest tu barierą najpoważniejszą.

Jak zatem rysują się nasze najważniejsze cele w kontekście europejskim? Do 2030 roku powinno nastąpić wyrównanie do 90-100 proc. średniego PKB Unii Europejskiej *per capita*, i to w skali Unii Europejskiej „27” – razem z nowymi członkami. Obecnie nasz poziom to 56 proc.

Chodzi też o osiągnięcie do 2045 r. takiego samego poziomu, jaki będą wówczas miały inne kraje – liderzy, np. USA. To oznacza, że tempo konwergencji musi wzrosnąć do 3-4 proc. rocznie. Mechanizm osiągnięcia tego jest prosty – wszystkie kraje idą do przodu a my, żeby gonić innych, musimy iść szybciej, co oznacza potrzebę osiągania wyższej dynamiki rozwojowej o 2,3 proc. Trzeba przy tym pamiętać, że w całym okresie transformacji - od roku 1990 do 2009 - to było 3,4 procenta PKB.

Nie oznacza to, że taki kilkuprocentowy wzrost ponad przeciętną nie jest dla Polski osiągalny, ale żeby to było 5-6 proc, konieczny jest znacznie większy udział inwestycji w naszym PKB oraz gwarancja, że udział pracy w procesach gospodarczych nie będzie ujemny. Jednym z największych zagrożeń dla Polski jest malejąca ekipa zatrudnionych, a ze względów demograficznych ta liczba będzie malała, bo z każdym rokiem liczba osób w wieku produkcyjnym będzie mniejsza. A więc uruchomienie rezerw zatrudnienia jest jedną z rzeczy najważniejszych.

Zatem przed nami wiele wyzwań – niektóre z nich należą do infrastruktury. Mamy np. 12 obszarów metropolitalnych skupionych wokół wielkich miast i na tych obszarach mieszka 16 mln ludzi i studiuje 2/3 studen-

tów. Problemem są tu ogromne luki komunikacyjne między tymi centrami a obrzeżami. Największe problemy stwarzają tu Szczecin czy Olsztyn... Inna kwestia komunikacyjna to połączenie Poznania z Katowicami i Krakowem, które odbywa się dziś w praktyce przez Wrocław. Jest więc niesłychanie istotne, żeby te problemy rozwiązać i żeby np. w ciągu najbliższych 15 lat każdy obywatel mógł skontaktować się z miastem wojewódzkim w czasie nie dłuższym niż 60 minut.

Innym problemem jest fakt, że wiele rejonów w obrębie aglomeracji definiowanych jest ciągle jako obszary wiejskie. To absurd, wtedy przecież bardzo trudno skorelować ważne funkcje administracyjne, infrastrukturalne, edukacyjne etc.

Mamy w Polsce około 800 gmin o charakterze wybitnie rolniczym, mamy też 800 gmin, które mają charakter silnie zurbanizowany oraz bardzo wiele „wielofunkcyjnych obszarów przejściowych”. W gronie moich młodych współpracowników odbyliśmy wielką dyskusję, czy może się w Polsce pojawić zjawisko „wielkiej przeprowadzki” w fazie postindustrialnej. Nie mamy żadnego dowodu, że jest to możliwe, ale na pewno w tych przejściowych terenach dostępność do ważnych usług jest ogromnie ważna.

Można budować różne miary i parametry nadrobienia braków infrastrukturalnych, ale w końcu zawsze pojawia się sprawa kluczowa – kiedy patrzemy na możliwości rozwojowe i odrabianie dystansu, szczególnie w dziedzinie budowy dróg, to widać, że w roku 2012 skończą się pieniądze na tego rodzaju inwestycje. Nowe będą najwcześniej w roku 2015 i to pod warunkiem, że będzie temu sprzyjał skonstruowany wówczas budżet Unii Europejskiej. Tymczasem wcale mnie jest pewne, że Niemcy będą gotowe dawać tyle samo co dziś. A na pewno nie będą gotowe, jeśli narzędzia dziś zastosowane do ratowania gospodarki greckiej nie zadziałają. Jeśli nastąpi konwersja długu greckiego, to okaże się, że każde euro tam włożone będzie miało wartość 30 centów. A to oznacza stratę banków niemieckich rzędu 40 mld euro. Mówimy o bardzo poważnym zagrożeniu dla szans rozwojowych Unii Europejskiej, a to bardzo praktyczny problem, który określi naszą linię rozwojową. Jak to rozstrzygnąć? Jak poddając ostrej kontroli finanse publiczne nie zaprzepaścić szans rozwojowych? Nie wolno tego zrobić poprzez proste cięcie inwestycji.

Są też zagrożenia demograficzne, a w tym problem, o którym głośno mówi się już w całej Unii Europejskiej, czyli długość aktywności zawodowej. Zrównanie wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn, czyli wydłużenie wieku emerytalnego kobiet daje szansę zwiększenia ich emerytur od 30 do 40 proc., co z punktu widzenia ich osobistego interesu jest opłacalne. Jednak na razie nie jesteśmy gotowi na taki krok; trzy lata temu ok. 80 proc. Polaków było przeciw, dziś uważa tak 47 proc. A ja ze spokojem czekam na lata 2012-15, kiedy „przeciwników” będzie ok. 20 proc. i wtedy osiągniemy masę krytyczną postaw społecznych, które pozwolą na zmiany. Dobra polityka społeczna nie powinna opierać się na strachu przed podejmowaniem decyzji, ale na precyzyjnej kalkulacji, kiedy daną decyzję można przeprowadzić.

Stysząc ciągle nawoływania, „kiedy wreszcie będziecie ostro reformowali?” wyjaśniam, że wtedy, kiedy owo „reformowanie” może zostać społecznie zaakcep-

owane i wdrożone. Stąd określenie „masa krytyczna”. Tak stało się w roku 2009, kiedy sytuacja pozwoliła na reformę wcześniejszych emerytur, co z kolei pozwoliło zaoszczędzić 2 mld złotych tylko w jednym roku. Do roku 2020 będzie to około 45 mld złotych, które można spożytkować na inne cele. Kwestie emerytalne są kluczowe, bo zwiększają bezpieczeństwo zatrudnienia. W roku 2005 liczba jednego utrzymywanego na jednego pracownika to było 1,7. Bez wzrostu zatrudnienia w roku 2030 byłoby to 1,9 – olbrzymie obciążenie. Przy zmianach postulowanych w raporcie „Polska 2030”, będzie to 1,2 na zatrudnionego. Ogromna różnica!

Drugie wyzwanie to kwestie edukacji – pełne wychowanie przedszkolne, szkoła w pełni egalitarna i dająca szanse rozwoju najzdolniejszych, taka, która umie wyłaniać talenty. Trzeba zauważyć, że wczesna edukacja niweluje różnice między dziećmi o wysokich uzdolnieniach i dziećmi o niskich uzdolnieniach. Im później te mechanizmy wyrównawcze się wprowadza, tym możliwość wyrównania jest mniejsza. Podobnie jak pracując z dziećmi w wieku od 7 do 11 lat efektywny nauczyciel osiąga o 40 proc. lepsze wyniki.

Przy zmianach jakościowych ważne są też zmiany programowe w edukacji i gdy spojrzymy wstecz na ostatnich 40 lat to widać, jak coraz mniejszą rolę na rynku pracy odgrywa to, co się nazywa zdolnościami manualnymi, a jak rośnie znaczenie umiejętności nie rutynowych, interaktywnych, co się wiąże z wiedzą, ale także z kreatywnością.

I jeszcze kilka zdań o Internecie. Do niedawna uważano, że ci, którzy spędzają czas przy komputerze są mniej aktywni, bo zamknięci w świecie wirtualnym. Ostatnie badania pokazują, że jest na odwrót, choć badania zaburza fakt, że w Internecie więcej czasu spędzają ludzie młodszy, a oni z natury rzeczy są też bardziej aktywni. W przedziale wieku 18-24 lata z Internetu korzysta prawie 85 proc, a w wieku 65 i więcej lat zaledwie 6 proc. i w naturalny sposób proporcje te będą się zmieniały. Jednak kwestia „wykluczenia cyfrowego” to dla naszego kraju jedna z najważniejszych spraw.

Z profesorem Czapińskim omawialiśmy kiedyś problem korelacji między wzrostem gospodarczym a zaufaniem społecznym. Im większy poziom zaufania, tym większy rozwój, co, żeby sprawy nie mitologizować, w rozwijającym się kraju, gdzie zaufanie buduje współpracę, wydaje się relacją dość prostą.

Istnieje też problem tak zwanej Ściany wschodniej i w ogóle problem braku potencjału rozwojowego, ale zapewne ku zaskoczeniu wielu osób okaże się, że przykładem takiego spadku potencjału rozwojowego jest nie tylko Lublin czy Białystok, ale województwo zachodniopomorskie! I dyskutując w stworzonej niedawno grupie, w której uczestniczą naukowcy, praktycy, ale też i samorządowcy, zastanawiamy się co robić, żeby nam to województwo „nie odpłynęło”! Wręcz żeby nie straciło kontaktu z macierzą.

A teraz kilka zdań o konsekwencjach niedorozwoju.

Gdy patrzycie państwo na ustawową granicę ubóstwa, to ona w dużych miastach znajduje się na poziomie 6,7 proc. zagrożonych mieszkańców. Na terenach wiejskich 27,3 proc. A gdy na przykład spojrzymy na mieszkańców wsi pracujących w rolnictwie, to okaże się, że prawie w 40 proc. dochody z gospodarstw domowych pochodzą z transferów społecznych. I znowu

nie myślę tu o polityce, która nie dopuści transferów społecznych dla mieszkańców wsi, chodzi jednak o to, żeby większość dochodów pochodziła z pracy.

Wieś jest bardzo ważnym problemem, ale przecież rzecz nie w tym, ile osób mieszka na obszarach wiejskich. W Irlandii mieszka na wsi tyle samo osób co w Polsce, choć Irlandia jest od Polski mniejsza, a Polska jest przy tym znacznie bardziej rolnicza. Oto na przykład w województwie podlaskim 50 proc. osób mieszka na terenach wiejskich i 70 proc. z tych mieszkających na wsi pracuje w rolnictwie. To dla Irlandczyka proporcje niewyobrażalne! I tu dotykamy problemu KRUS-u, bo KRUS to przecież miliardy z budżetu. Toczyśmy w tej sprawie poważne rozmowy i zaczynamy mieć dobre wyniki.

Jeszcze kilka zdań o sprawach budżetu państwa.

Jeśli spojrzymy na wydatki, zobaczymy, że obszarem, w którym wydatki mogą się pomniejszać, są transfery i tutaj większa aktywność zawodowa i lepsza relacja między pracującymi a pobierającymi świadczenia ma kluczowe znaczenie. Nie ma obecnie w Polsce myślenia, które przewiduje cięcie wydatków społecznych w mechaniczny sposób. Tu potrzebne jest lepsze adresowanie tych wydatków, uporządkowanie systemu emerytalnego i jego „upowszechnienie”, czyli zrównanie. Myślę tu o emeryturach mundurowych i wydłużeniu aktywności zawodowej. W tym sensie można też powiedzieć, że jeśli dylematem jest harmonizacja rozwoju w związku ze stabilnością finansową, to trzeba zacząć dyskusję o tym, że potrzebny jest nam swego rodzaju *mix* wydatkowo-podatkowy. Czy nie jest nam potrzebna rozłożona w czasie redukcja wydatków, aby pozyskiwać pieniądze na rozwój? Bo dziś jedynym obszarem, takim najbardziej otwartym, są podatki pośrednie, a to oznacza np. akcyzę na paliwa, alkohole, papierosy i wiele innych produktów, co z kolei wpływa na zjawiska inflacyjne, także niekorzystne dla obywateli i gospodarki.

Tak więc – co jest dla Polski niezbędne?

Odrobienie zaległości infrastrukturalnych, przygotowanie się na problemy demograficzne, które mogą być groźne po 2020 roku, zrównoważona polityka regionalna o charakterze dyfuzyjnym, rozbudowa kapitału intelektualnego i wysokie tempo rozwoju gospodarczego oparte o procesy modernizacyjne, przy zachowaniu stabilizacji finansowej z przedsięwzięciami rozwojowymi. Potrzebna jest nam polityka spójności we współpracy z Unią Europejską i w jej ramach programy infrastrukturalne, nowe sposoby promocji i finansowanie innowacyjności w gospodarce, a wreszcie stymulacja wzrostu zatrudnienia. No i wyciągnięcie wszystkich wniosków z kryzysu, który mamy okazję oglądać w Grecji.

Najbliższych pięć lat będzie miało znaczenie kluczowe, jeśli ten trudny proces równoważenia finansów publicznych całej Europy nie będzie przesuwany w czasie, jeśli w tych latach zbudujemy solidne fundamenty pod ugruntowania makroekonomiczne, także gdy chodzi o legislację i rozwiązania instytucjonalne. Mamy wielkie szanse na to, żeby nie zmarnować tej dekady i żeby uchronić się przed różnymi zagrożeniami, jakie mogą się pojawić.

Do tego potrzebna jest racjonalna polityka, otwarte i rozumiejące tę grę przywództwo. A jak będzie – zobaczmy...

JAN WIDACKI

# POSŁUCHAĆ MĄDRZEJSZYCH

Kilkusetstronicowy raport pod nazwą *Polska 2030*, który powstał w zespole pana ministra Boniego, podzielony jest na dziesięć rozdziałów, tytułowanych w sposób bardzo znamienity. Nie są to zwykłe rozdziały, tylko „wyzwania” – 10 wyzwań. Chciałbym się zatrzymać nad wyzwaniem dziewiątym, które nosi nazwę *Sprawne państwo*.

Oczywiście wszyscy chcemy, żeby nasze państwo było sprawne i silne, ale okazuje się, że pojęcie „sprawne i silne” może mieć bardzo różne znaczenie. Jednak dwa znaczenia są najbardziej charakterystyczne; dla jednych jest to państwo silne swoim aparatem biurokratycznym, siłą prawa i aparatu owo prawo egzekwującego. Ale jest też inne pojęcie siły państwa – silnego dzięki sprawności swego obywatelskiego społeczeństwa.

Ci, którzy uważają, że państwo jest silne siłą swego aparatu, będą oczywiście chcieli, aby wszyscy obywatele zaakceptowali ten sam system wartości, ten sam stosunek do przeszłości, podzielali te same poglądy na edukację, życie, społeczeństwo, itd. I w tej jedności społeczeństwa będą upatrywali siły państwa.

Ci drudzy – przeciwnie. W mieszkańcach państwa będą widzieli obywateli, korzystających z wolności przekonań, wolności słowa, będą uznawać ich prawo do pluralizmu. W niezależnym ruchu społecznym będą dostrzegać wartość, a w prawie i aparacie egzekwującym prawo będą upatrywać gwaranta tej wolności i tej różnorodności.

Pierwszym wystarczy charyzmatyczny przywódca i solidarność plemienna, drudzy ciągle będą mówić, że ważne jest społeczeństwo obywatelskie, w którym mamy do czynienia z obywatelami, ci zaś mogą i powinni się różnić, a państwo i prawo ma obowiązek pilnować, żeby nie było między nimi szkodliwych konfliktów, w których jedni narzucają siłą swoje poglądy i przekonania.

Gdy spojrzymy na okres polskiej transformacji, bo wypada to zrobić choćby dlatego, że jesteśmy

na półmetku drogi do tego „horyzontu 2030”, to zapytajmy, jak wygląda ocena tego, czegośmy dokonali? Przecież ostatnie 20 lat, cały okres transformacji, to nieustanny spór między tymi modelami, między dwoma sposobami pojmowania silnego i sprawnego państwa. Jaka więc będzie Polska roku 2030? To zależy przede wszystkim od tego, kto przez najbliższe 20 lat będzie sprawował władzę. Jaka będzie sytuacja zewnętrzna Polski, jak wykształcone, bogate i jak zorganizowane będzie społeczeństwo polskie?

Ja osobiście wierzę, że w dłuższej perspektywie zwycięży koncepcja państwa silnego siłą swojego społeczeństwa obywatelskiego. Jednak społeczeństwa obywatelskiego nie można zadekretować. Ono samo musi się wykreować. Warunkiem koniecznym, aby takie społeczeństwo mogło zaistnieć jest to, żeby była, jak mówi profesor Domański, klasa średnia – średnia w jego rozumieniu. Czyli społeczeństwo musi być wykształcone. I jeśli ktoś chce takiej Polski roku 2030, to musi inwestować w edukację. To warunek konieczny i działanie dalekosiężne.

Ale są też działania doraźne, które trzeba prowadzić już! Oczywiście państwo nie może organizować społeczeństwa obywatelskiego, ale państwo nie powinno tu przeszkadzać, przeciwnie, powinno usuwać różne przeszkody. Bo co to jest społeczeństwo obywatelskie? To są samorządy, nie tylko samorządy terytorialne, ale też samorząd gospodarczy, także samorządy zawodowe... I organizacje pozarządowe, a więc stowarzyszenia i fundacje. A państwo może zrobić bardzo wiele, żeby obywatelom było łatwiej się organizować.

Jeżeli ktoś próbował kiedyś zarejestrować fundację albo stowarzyszenie, wie, jaka to jest droga przez mękę. Ile robi biurokracja, by obywatela zniechęcić do podejmowania aktywności. Przecież nie powinno być tu żadnych utrudnień biurokratycznych, a teraz najmniejsze stowarzyszenie i każda fundacja musi pisać coroczne sprawozdania do trzech różnych instytucji państwowych – do administracji skarbowej, mini-

stra, który nadzoruje jej działalność i jeszcze do sądu. Po co? Są to bardzo często małe organizacje bez rozbudowanego aparatu administracyjnego, księgowych, etc. Więc wysiłek tych organizacji idzie na to, by sprostać wymogom, które przed nimi stawia państwo, zamiast działalności merytorycznej, którą powinny prowadzić.

O samorządach przyzwyczailiśmy się mówić dobrze i w języku debaty publicznej samorząd ma pozytywne konotacje. Nikt nie mówi, że trzeba ograniczać prawa samorządów terytorialnych. Ale jakże często zapomina się o samorządzie zawodowym? Mało tego! O samorządach zawodowych mówi się na ogół źle! Pada tu słowo „korporacja” i ma ono znaczenie pejoratywne. Skutecznie udało się wmówić obywatelom, że owe „korporacje” to coś złego, coś, co trzeba ograniczać kontrolować, regulować, wręcz zwalczać! To też jest ograniczanie samorządności i ograniczanie społeczeństwa obywatelskiego.

Wreszcie państwo powinno nauczyć się traktować organizacje pozarządowe jako partnera, a nie intruza.

Jak słyszeliśmy, pani minister Pitera przygotowuje ustawę lobbingową wedle której organizacje pozarządowe, jeśli chcą zabierać głos w procesie legislacyjnym, będą musiały rejestrować się jako „lobbyści”. To znaczy, że na przykład Fundacja Helsińska, jeśli będzie chciała dopilnować, by prawa człowieka w jakiejś nowo tworzonej ustawie były przestrzegane, to musi się rejestrować jako „lobbysta”. W dodatku Pani Minister to proponowane curiosum uzasadniła w ten sposób, że organizacje pozarządowe to zjawisko mocno podejrzane, bo lobują nie wiadomo za czym i nie wiadomo czyje interesy reprezentują!

Przypomnę też pewne kompromitujące wypowiedzi Pana Premiera z niedawnych czasów. Mówił o konieczności zwalczania przestępczości seksualnej, która zagraża dzieciom, poprzez metody drastyczne, nawet „kastrowanie chemiczną”. Ale nawet nie chodzi o meritum tej sprawy, a o komentarz czy głos premiera, który powiedział coś takiego: „na pewno odezwą się teraz głosy obrońców praw człowieka!” Było to powiedziane z wyraźnym lekceważeniem dla tych „obrońców”. I dodał następne zdanie, które w wielu krajach doprowadzić by musiało do jego dymisji, a w Polsce pozostało niezauważone. Zapytał: „Czy ci przestępcy to w ogóle są ludzie?”

Zatem Platforma Obywatelska – w założeniach i w nazwie – nie szanuje społeczeństwa obywatelskiego, więc co mówić o tych, którzy uważają, że społeczeństwo obywatelskie to w ogóle jest jakiś podejrzany wymysł liberałów?

Państwo powinno zmierzać do tego, by społeczeństwo stało się społeczeństwem obywatelskim. Winno więc inwestować w edukację tak, by „klasa średnia – inteligencja” była jak najliczniejsza. Bo ludzie należący do klasy średniej to – jak słusznie zauważył profesor Domański – ludzie bardziej tolerancyjni, bardziej otwarci, nie boją się innych ani obcych. To są obiektywne, mierzalne cechy tej klasy społecznej i w interesie państwa leży, żeby ta klasa była jak najliczniejsza.

To w perspektywie dłuższej. A co w perspektywie krótszej? Konieczne są ułatwienia dla organizowania się społeczeństwa i doceniania organizacji społecznych w debacie publicznej! Minister Boni w swoim opracowaniu wylicza obszary, które wymagają pilnych działań, bo podnoszą sprawność instytucji państwowych.

Jego raport wymienia tutaj cztery obszary: efektywność instytucji publicznych i ich „rozliczalność”, planowanie i proces stanowienia prawa, system wymiaru sprawiedliwości i czwarty – usługi publiczne rozumiane jako systemy kreowania i dystrybuowania dóbr publicznych. Tutaj wymienia w szczególności ochronę zdrowia, edukację i jeszcze raz wymiar sprawiedliwości, który był już obszarem niezależnym. Dochodzi jeszcze obszar kolejny: „komunikacja i dialog”.

Raport stwierdza, że polskie instytucje publiczne, a zwłaszcza administracja, pozbawione są dynamizmu i kreatywności oraz zdolności do reformowania się, bo brakuje mechanizmów, które skłaniają pracowników do zwiększenia efektywności, umożliwiających rozliczanie zadaniowe poszczególnym jednostkom. To prawda, co w raporcie napisano, ale autorzy nie zastanawiają się, czy te cechy są specyficzne dla polskiej administracji, czy nie są to cechy każdej administracji. A przecież tak jest, wystarczy przypomnieć prawa Parkinsona. Nie wiemy więc, czy problem polega wyłącznie na braku mechanizmów motywacyjnych, ale i tak raport nie przedstawia żadnych propozycji, projektów tych mechanizmów, ani sposobów ich wdrożenia. Stwierdza, że jest źle i tyle!

W raporcie słusznie zauważono, że ulepszać trzeba sposób stanowienia prawa, ale też nie pokazano sposobów realizacji tego słusznego skądinąd celu.

Otóż proces tworzenia prawa rzeczywiście wymaga ulepszenia. To nie posłowie w komisjach powinni pisać prawo, a tak to się odbywa w tej chwili. Politycy powinni ustalać cele regulacji prawnych i jako zadanie stawiać przed prawnikami sformułowanie i zapisanie takich regulacji, które ten cel osiągną. A kiedy posłowie dostaną projekt, powinni przestać go innym prawnikom z pytaniem, czy owa regulacja prawna realizuje takie właśnie cele.

Tak powinien wyglądać idealny proces legislacyjny. Nie muszę chyba mówić, że u nas wygląda to zupełnie inaczej. Prawo w dużej mierze jest pisane przez posłów w komisjach. Posłowie reprezentują naród w całym jego przekroju zawodowym. A więc mamy inżynierów rolników, nauczycieli i weterynarzy z PSL, wielu wybitnych fachowców w wielu dziedzinach, ale nie w zakresie prawa. Może też trzeba wrócić do pomysłu, który pojawiał się już w programach i SLD i PO, do pomysłu likwidacji senatu. Senat jest teraz izbą, która poprawia, czy próbuje poprawić, ustawy źle napisane w sejmie. Może by więc z części pieniędzy, które kosztuje senat, ufundować porządne biuro legislacyjne, które będzie pisać dobre ustawy? Ale już się nie mówi o likwidacji senatu – z tego projektu wszyscy się wycofali.

Prawo ma być stabilne i przejrzyste. Nasze prawo takie nie jest. Niemal na każdym posiedzeniu sejmku nowelizowany jest kodeks karny. A właśnie kodeks powinien być szczególnie stabilny! A przejrzystość prawa? Weźmy prawo podatkowe... Jak obywatel ma się obracać w tym gąszczu przepisów prawnych? Tutaj raport Polska 2030 jest właściwie bezradny – nie ma w nim żadnych pomysłów. Słusznie wskazuje, że jednym ze słabych punktów naszego państwa jest wymiar sprawiedliwości, ale tylko zauważa melancholijnie, że mimo relatywnie wysokich nakładów finansowych, nie reformuje się on wystarczająco szybko, by sprostać oczekiwaniom. Otóż pozwolę sobie na stwierdzenie, że wymiar sprawiedliwości w ogóle się nie reformuje, choć może jedynie nieznacznie ulepsza. W programie żąd-

nej partii politycznej nie ma reformy wymiaru sprawiedliwości ani żadnego pomysłu na reformę służb ochrony porządku i bezpieczeństwa obywateli. A tu różne służby nie tylko nam się coraz bardziej mnożą, ale coraz bardziej wymykają się spod demokratycznej kontroli, co jest poważnym zagrożeniem dla praw i wolności obywatelskich, w konsekwencji dla państwa prawa.

Słabość wymiaru sprawiedliwości polega przede wszystkim na przewlekłości postępowań, na niskiej jakości wyroków i na niskiej egzekwowalności wyroków w sprawach innych niż karne. Ale i w sprawach karnych dziesiątki tysięcy skazanych muszą czekać w kolejce na miejsce do odsiadki!... Policja deklaruje wykrywalność przestępstw pospolitych na poziomie 30 proc., ale dla sądów to już jest za dużo, bo nie są w stanie tego „przerobić”. Wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby policja wykrywała dwa razy więcej przestępstw? Ilu ludzi czekałoby na miejsce, aby odbyć karę? Ten system: policja - prokuratura - sąd - więziennictwo w Polsce nie funkcjonuje w ogóle jako system!

Inny jeszcze problem, niespotykany w krajach cywilizowanych. W Polsce można przez kilka lat być podejrzanym, oskarżonym, a na koniec uniewinnionym. Jeśli tylko podejrzanym obywatel nie siedział w areszcie, to nie przysługuje mu żadne odszkodowanie ani żadne zadośćuczynienie, choć tych kilka lat mogło niejednemu złamać karierę życiową, pozbawić go majątku, dobrego imienia, rodziny... Fundamentalna zasada prawa naturalnego, formułowana jeszcze przez Grocjusza, że „szkoda powinna być naprawiona”, w Polsce nie obowiązuje.

Raport wymienia usługi publiczne jako jeden z obszarów wymagających pilnych i szeroko zakrojonych działań, które podnoszą sprawność instytucji. Każdy z tych działów, obok prawa, ochrony zdrowia czy edukacji wymagałby obszernej monografii. I wreszcie raport słusznie zauważa brak komunikacji, dialogu między władzą a społeczeństwem, i że ten brak dialogu skutkuje brakiem zaufania obywateli do organów państwa. Doświadczenie uczy, że sukces budowania sprawnego państwa jest możliwy pod dwoma warunkami – gdy władza ma jakiś pomysł i potrafi do niego przekonać obywateli, i wzajemnie, gdy obywatele mają jakiś pomysł, potrafią go przekazać władzy – przekonać ją do niego. W owym procesie wzajemnego przekonywania się ogromna rola przypada mediom. Na temat mediów w raporcie jest stosunkowo niewiele, by nie powiedzieć – nic. A przecież rola mediów w demokracji jest ogromna. Są one przede wszystkim elementem opinii publicznej, jej wyrazicielem i moderatorem. Niektórzy mówią nawet, że nie tylko kreują opinię, ale nawet fakty. Szczególną rolę odgrywają media publiczne, które publicznymi nie są – stało się smutną zasadą, że należą do partyjnych łupów. A jakże doniosła mogłaby być ich rola nie tylko w procesie komunikacji między obywatelami a władzą, ale także w edukacji, która jest przecież koniecznym elementem budowania społeczeństwa obywatelskiego.

Na szczęście członkostwo w Unii Europejskiej narzuca pewne granice, których przekroczyć nie możemy i rządzącym nie udało się ich przekroczyć nawet w latach 2005-07. Rzecz w tym, żeby Unia była silna i sprawna, co przecież leży w naszym żywotnym interesie. Społeczeństwo polskie będzie też na pewno coraz lepiej wykształcone; liczba 2 milionów studen-

tów przekształci się kiedyś w masę krytyczną i będzie to odczuwalne w życiu publicznym. Bez względu na to, czy ci ludzie ukończyli uczelnie lepsze czy gorsze, efekty będą widoczne. Pamiętać też trzeba, że wielu młodych kończy studia za granicą i ci ludzie wracają do Polski, oni przed rokiem 2030 będą obecni w życiu publicznym i będą mieli wpływ na to, jak ten kraj będzie wyglądał.

I wreszcie na koniec coś wspierającego ten umiarkowany optymizm: Bertrand Russel stwierdził kiedyś, że w walce liberałów i demokratów z fanatykami, w ostatecznym rozrachunku fanatycy zawsze przegrywają. – Przegrywali – mówił Russel – bo albo próbowali dokonać rzeczy niemożliwych albo, jeśli ich cel był możliwy do osiągnięcia, to dobierali niewłaściwe metody, bo byli zbyt wrogo nastawieni do nauki, by posłuchać mądrzejszych.

Nie wiem co stanie się za miesiąc, ani za rok, ale w dłuższej perspektywie wierzę, że zwycięży koncepcja państwa silnego siłą społeczeństwa obywatelskiego. Rozważając kierunki ewolucji państwa, widząc potrzebę doskonalenia struktur, doskonalenia mechanizmów demokracji i budowy społeczeństwa obywatelskiego można założyć, że za 20 lat będziemy już normalnym państwem europejskim nieróżniącym się od krajów starej Unii Europejskiej.

#### JAN WIDACKI



Tomasz Bohajedyn, *Gra 2*

ADAM ROTFELD

# ŚWIAT NIEPEWNY, NIESTABILNY, NIEPRZEWIDYWALNY...

## Uwagi wstępne

Podczas dzisiejszych obrad Polsko-Brytyjskiego Okrągłego Stołu w Willi Decjusza zwróciłem uwagę na wystąpienie Malcolma Rifkinda, który jest skrajnym konserwatystą i eurosceptykiem. Omawiając w sposób interesujący przestrzeń współczesnej polityki europejskiej, Rifkind zupełnie zignorował i utracił z pola widzenia Rosję. Nie mam o to do niego pretensji, ale warto zauważyć, że brytyjska perspektywa polityczna jest zupełnie inna od perspektywy polskiej: nie możemy sobie pozwolić na to, by tracić Rosję z pola widzenia. Dobrze jednak mieć świadomość, że nasza polska perspektywa nie jest perspektywą jedyną. W świecie, w Europie i w naszym regionie każdy naród ma własną pamięć i swoją perspektywę postrzegania świata zewnętrznego. Uwagi te wiążą się z moim udziałem w Polsko-Rosyjskiej Grupie do Spraw Trudnych. Przyjeliśmy w tej Grupie założenie, że nie jest to miejsce, gdzie będziemy negocjować i „uzgadniać” wspólne stanowiska Polaków i Rosjan. Prawda nie może być przedmiotem negocjacji. Co więcej, nigdy nie bylibyśmy w stanie wspólnie „uzgodnić” coś interesującego. Patrzymy na te same sprawy z perspektywy polskiej i rosyjskiej. W efekcie prezentowane zwierciadlane odbicie wspólnych, trudnych problemów polsko-rosyjskich relacji jest znacznie ciekawsze i pozwala obu stronom lepiej zrozumieć siebie i swoich partnerów.

Obecny tu profesor Jerzy Pomianowski, który jest także członkiem Grupy do Spraw Trudnych wie, że są to często spojrzenia rozbieżne, ale przecież niekiedy bardzo sobie bliskie. Podam przykład: nikt z nas nie miał wpływu na to, że rosyjska autorka pisząc o inwazji Armii Czerwonej z 17 września 1939 roku, określa ją jako „czwarty rozbiór Polski”. To samo dotyczy oceny zbrodni w Katyniu. Nie było po rosyjskiej stronie cienia wątpliwości co do odpowiedzi na pytanie, kto popeł-

nił tę zbrodnię i kto ponosi za nią odpowiedzialność. A przecież tekst powstał na długo przed spotkaniem obu premierów (7 kwietnia 2010 r.). Do tego spotkania doszło skądinąd nie bez udziału naszej Grupy – podobnie jak nie bez udziału naszej Grupy doszło do podjęcia kilku innych decyzji, jak choćby powołania Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia czy też do spotkań między Rosyjską Cerkwią Prawosławną a przedstawicielami Kościoła katolickiego. Odwołam się w tym miejscu do rosyjskiego przysłowia – *ti-sze jediesz, dalsze budiesz* – im mniej hałasu, tym łatwiej o konkretne efekty.

Organizatorzy dzisiejszej konferencji zwrócili się do mnie o zarysowanie prognozy rozwoju sytuacji na świecie. Oczywiście, nie jest to możliwe w ciągu kilkunastu minut. Chciałbym jednak wskazać na kilka istotnych elementów, które zwykle uchodzą uwadze komentatorów politycznych, a mają znaczenie dla przyszłości.

## Między globalizacją a fragmentaryzacją

Kiedy mówi się o prognozach rozwoju świata, to analizuje się na ogół relacje między głównymi partnerami sceny politycznej – Stanami Zjednoczonymi, Unią Europejską, Rosją, Chinami, Brazylią, Indiami, Japonią... Chciałbym odnotować, że pojawiają się w XXI wieku nowe problemy, które nie dotyczą głównych aktorów, jak to było w wieku XIX czy w pierwszej połowie wieku XX. Globalizacji towarzyszy fragmentaryzacja: świat jest rozczłonkowany, a fundamentalne zmiany, których jesteśmy świadkami od blisko 30 lat, są wynikiem nie tyle relacji między państwami, co rozwoju wypadków i kryzysów wewnątrz państw. Mieliśmy więc najpierw wielki i doniosły proces dekolonizacji, który praktycznie dobiegł końca w latach 60. Na przełomie wieków rozpoczął się proces rozpadu ostatniego imperium – Związku Radzieckiego, który nie był prostą

kontynuacją imperium carskiego, ale łączył elementy ideologicznego mocarstwa totalitarnego opartego na doktrynie marksistowsko-leninowskiej i tradycyjnego rosyjskiego despotyzmu.

Na marginesie odwołam się do anegdoty. Tłumaczyłem niegdyś dokumenty, które Rosjanie w 1962 roku postanowili udostępnić do publikacji z archiwów MSZ. Były to dokumenty z konferencji w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Zwróciłem wówczas uwagę, że Stalin rzadko używał nazwy „Związek Radziecki”, tylko mówił „Rosja”, zamiast „wojska radzieckie” mówił „rosyjskie”. Tak mógł wyrażać się tylko on – inni musieli stosować oficjalną, radziecką frazeologię. Stalin nie musiał – uważał, że jest kontynuatorem rosyjskiej potęgi i dbał o to, by naród rosyjski i jego znaczenie w tej wojnie było dostrzeżone. Głośne przemówienie, które wygłosił w czerwcu 1945 roku, było wielką apoteozą narodu rosyjskiego. W hymnie radzieckim „swobodne republiki zjednoczyła na wieki *wielikaja Rus'*”. Nie ukrywano, że jakkolwiek imperium ma wiele narodów, to stabilizatorem pozostaje Rosja. Element stabilności i zintegrowania był ważny w przeszłości i ma kluczowe znaczenie również dziś. Podam przykład z przeszłości: proces destalinizacji, który rozpoczął się po XX Zjeździe KPZR, został przez Chruszczowa zatrzymany z wielu bardzo różnych powodów. Gorbaczow np. był zdania, że Chruszczow wstrzymał ten proces, bo obawiał się, że sam znajdzie się pod ostrzałem jako jeden z realizatorów zbrodniczej stalinowskiej polityki. Jestem innego zdania: uważam, że strach Chruszczowa był nie tylko powodowany obawą, że destalinizacja obróci się przeciwko niemu, ale zdecydowało to, że obawiał się po prostu dezintegracji mocarstwa.

Dla każdego przywódcy Rosji – obojętne, czy był to Stalin, Chruszczow, Gorbaczow, Jelcyn czy Putin - pytanie kluczowe brzmi: w jaki sposób zapobiec temu, by losy Federacji Rosyjskiej nie przypominały losów Imperium Romanum, a później – imperium Romanów, czy wreszcie imperium sowieckiego. Putin uważa rozpad ZSRR za największą geostrategiczną katastrofę XX wieku. Mam w tej sprawie zupełnie inny pogląd – to powstanie ZSRR było największą katastrofą dla narodów Rosji i świata w XX wieku. Problem polega na tym, że ZSRR był ostatnim imperium świata, które wcześniej czy później musiało się rozpaść. Dziś – dla przywódców Rosji – na porządku dziennym staje pytanie: czy przetrwa Federacja Rosyjska? Na kontynencie europejskim po pierwszej wojnie światowej zakończyły swój byt dwa ogromne imperia kontynentalne: cesarstwo austro-węgierskie i imperium otomańskie, a imperium carskie zdominowane przez Rosję uległo głębokim przekształceniom wewnętrznym. Jednak pozostało na mapie świata, jak swoista skamielina – polityczny dinozaur w epoce, kiedy inne dinozaury znikły z powierzchni globu.

Powracam do głównej tezy: kluczowe sprawy dla przyszłości świata dzieją się wewnątrz państw, a nie między nimi. Główne zagrożenia wynikają ze sposobu rozpadu tych państw. O ile w ostatnich dwustu latach główne zagrożenia dla pokoju wynikały z agresywnych przygotowań bądź planów napaści jednego mocarstwa na inne wielkie mocarstwa i było to związane z ekspansją, to teraz na porządku

dziennym stoją zagrożenia wynikające z innych przyczyn. Nie znaczy to, że problem agresji wielkich potęg nie pojawi się za lat kilkanaście czy kilkadziesiąt. Jednak pewne jest to, że w najbliższej dekadzie prawdopodobieństwo napaści jednego z mocarstw na inne mocarstwo jest bardzo małe – bliskie zeru. W Europie problem ten został, po dwóch wielkich katastrofach XX wieku, po raz pierwszy w historii rozwiązany. Jak się wydaje – na dłużej.

Nie znaczy to, że w świecie konflikty nie będą wybuchać. Będą to głównie konflikty o charakterze lokalnym i regionalnym. Będą wybuchały głównie z powodów sprzeczności wewnętrznych (etnicznych, religijnych i sporów o władzę), a nie konfliktów między państwami. To niezwykle ważna nowa konstatacja.

Skoro zatem wielkie mocarstwa nie stanowią bezpośredniego zagrożenia dla pokoju, pojawia się pytanie, co owo zagrożenie stanowi? Stawiam tezę, że główne zagrożenie w nadchodzącej dekadzie będą stanowiły państwa słabe, upadające lub upadłe. Państwa, które utraciły zdolność kontroli nad rozwojem sytuacji na swoim własnym terytorium. W związku z tym „świat” (który utożsamiamy z nie do końca zdefiniowanym zjawiskiem, jakim jest „społeczność międzynarodowa”) oczekuje, że to właśnie owa „społeczność” przejmie na siebie odpowiedzialność za rozwiązanie tych problemów.

#### NATO a wspólnota bezpieczeństwa europejskiego

Społeczność międzynarodowa podejmuje nowe wyzwania z ogromnym trudem w Afganistanie. Niektórzy komentatorzy i politycy – w tym poprzedni Sekretarz Generalny NATO Jaap de Hoop Scheffer – posługiwali się tezą, jakoby Afganistan był „testem dla trwałości Sojuszu Atlantyckiego”. Jest to nieporozumienie: Afganistan to dla Sojuszu zadanie (ang.: *task*), ale nie test. Jesienią 2008 roku zostałem zaproszony przez Sekretarza Generalnego NATO do grupy, która miała przygotować dokument pod nazwą *Deklaracja o bezpieczeństwie Sojuszu*. Przy tej okazji odbyliśmy kilka spotkań w kompetentnym i doświadczonej gronie polityków NATO. Powiedziałem wówczas de Hoop Schefferowi, że NATO nie zostało powołane po to, by rozwiązywać problemy Afganistanu. Sojusz Atlantycki, jeśli ma przetrwać, ma zapewnić bezpieczeństwo państw członkowskich. Natomiast to, co się dzieje w Afganistanie, jest nowym wyzwaniem – swego rodzaju „wartością dodaną”. To nie „test”, ale „*task*”, czyli zadanie, a nie kryterium żywotności Sojuszu. Traktat Waszyngtoński, który w 1949 r. powołał NATO do życia nie przewidywał, że Sojusz stanie przed takimi wyzwaniami.

W nocy z 13 na 14 maja 2010 r. zakończyliśmy prace nad nową koncepcją strategiczną *NATO 2020*. Pani Madeleine Albright przedstawiła 17 maja 2010 r. w Brukseli dokument pod tytułem *Zapewnione bezpieczeństwo – dynamiczne zaangażowanie* (raport ten wraz z załącznikami został w języku polskim opublikowany przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych w Warszawie). Myśl przewodnią tego dokumentu nawiązuje do raportu Harmela z 1967 roku - niestety, z reguły tego typu dokumenty, które powstają z niełatwym trudem w ogniu wielu sporów, znikają później na półkach i rzadko kto sięga do nich (z wyjątkiem

autorów różnych dysertacji: magistrantów, doktorantów, habilitantów). Niewielu polityków bierze te teksty do ręki. Dla osób podejmujących decyzje na ogół ważniejszy jest kontekst, w którym dokumenty powstają, niż rezultat. Myśl przewodnią Raportu Harmela sprowadzała się do tego, że Sojusz przetrwa, jeśli będzie opierał się na podwójnej strategii: „odstraszenia” (*deterrence*) i „odprężenia” (*detente*). Ta dwoistość strategii ułatwiła stopniowe uregulowanie stosunków Europy Wschodniej z Niemcami, otworzyła drogę do Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie i – w ostatecznym rachunku – do zjednoczenia Europy oraz przewyciężenia istniejących wówczas podziałów. Analogia między Raportem Harmela a Raportem Albright jest taka, że obecny dokument zapowiada otwarcie wobec Rosji z jednej strony, a z drugiej zapewnia dodatkowe bezpieczeństwo państwom, które czują się przez Rosję zagrożone.

Takie rozwiązanie nie było proste i łatwe. Bowiem większość państw zachodnioeuropejskich nie dostrzega rosyjskiego zagrożenia. Państwa Europy Południowej (Grecja, Włochy, Hiszpania i Portugalia) uważają, że debata o rosyjskim zagrożeniu to przejaw historycznej traumy; dzisiejsza Rosja – w ich rozumieniu – to zupełnie inny kraj niż Związek Radziecki czy Rosja carska. Moje zadanie i rola polegały na tym, by wyjaśnić partnerom i sojusznikom, iż jakkolwiek nie uważamy, że dzisiejsza Rosja jest państwem, które szykuje agresję, to jednak procesy wewnętrzne, które zachodzą w Rosji – nie do końca są przewidywalne.

#### Nowe zagrożenia

Współczesny świat jest niepewny, niejasny, niestabilny i nieprzewidywalny. Główne zagrożenia i perturbacje nie były i nadal nie są dostrzegane ani zawczasu sygnalizowane. Myślę nie o wydarzeniach politycznych, np. o kryzysie finansowym, którego skutki mogą w ogromnej mierze zagrozić rozwojowi w różnych regionach. Może się zdarzyć, że wystąpi reakcja łańcuchowa czy też zasada *domina* – gdyby doszło do bankructwa Grecji jako państwa, to na porządku dziennym są kolejni kandydaci: Hiszpania i Portugalia, a w pewnej mierze również Włochy, które mają trudną sytuację i mało stabilną. Analitycy bezpieczeństwa do tej pory tego typu zagrożeń nie brali pod uwagę. To samo może dotyczyć Rosji, a w jeszcze większej mierze wielu republik postradzieckich – całej Azji Środkowej, Kaukazu, Białorusi, Mołdowy czy wreszcie Ukrainy. Nie są też rozpoznane napięcia w świecie arabskim – w regionie Maghrebu, w Egipcie i na całym Bliskim Wschodzie. Stagnacja to nie stabilizacja...

Kolejny problem to dostęp do surowców. Paradoksalnie dla Rosji, nadmiar zasobów surowcowych jest w moim przekonaniu równie poważnym, a może nawet większym problemem jak ich brak. Nadmiar zasobów i dopływ taniego pieniądza powstrzymuje proces modernizacji i reformy kraju.

W dzisiejszym świecie modernizacja powinna opierać się na założeniu, że głównym surowcem i paliwem gospodarki jest kapitał intelektualny – „szare komórki”. Rosja nie musiała korzystać z tego skarbu, bo spadała na nią deszcz petrodolarów. Była to sytuacja demoralizująca i demobilizująca. Jednak ten stan rzeczy zała-

muje się i to – jak się wydaje – jest głównym motywem reorientacji rosyjskiej polityki.

Ważnym życiowo surowcem, obok nośników energii, jest woda pitna, której brak może być dla wielu regionów wyzwaniem o charakterze egzystencjalnym. Pod tym względem Rosja znowu ma sytuację uprzywilejowaną – największe zasoby wody pitnej na świecie (samo jezioro Bajkał może zaspokoić jedną piątą światowego zapotrzebowania na wodę).

Kolejny problem – to przestrzeń, niezaludnione tereny. Syberia to ogromny obszar ponad 10 mln km kw., który zamieszkuje 24 mln ludzi. A obok z ludnością blisko 1,5 miliarda – Chiny. Część tych obszarów znajdowała się kiedyś pod panowaniem Chin. To, co należało do Chin w XVIII czy w pierwszej połowie XIX wieku – to w pamięci historycznej Chińczyków jakby należało do nich wczoraj. Dla narodów, które nie myślą kategoriami tysięcy lat, stan obecny wydaje się niezmienny. Ale nie dla Chińczyków, Persów czy Arabów. W tym kontekście rodzi się problem, który budzi w Rosji strach. Blokują też myślenie o możliwości jakiegokolwiek zmiany granic. Na tym właśnie polega problem Wysp Kurylskich w kontaktach z Japonią i poszukiwanie rozwiązania, które nie dałoby pełnej satysfakcji żadnej ze stron, ale byłoby dla obu stron wyjściem z twarzą...

Na cztery dni przed przyjazdem do Moskwy grupy ekspertów NATO, która przygotowywała nową strategię Sojuszu (5 lutego 2010 r.), w katalogu zagrożeń zawartych w rosyjskiej doktrynie wojskowej na pierwszym miejscu zostało wymienione funkcjonowanie Sojuszu Atlantyckiego. A przecież nikt w Rosji w zagrożenie z tej strony nie wierzy. Na adresowane do strony rosyjskiej pytanie o motyw i przyczyny takiego postawienia sprawy – nasi rozmówcy nie bez pewnego zakłopotania wdawali się w filologiczne rozważania dotyczące błędnego przekładu: w oryginale użyto pojęcia *opasnost*, a nie *ugroza*, czyli „niebezpieczeństwo”, a nie „zagrożenie”. Innymi słowy, NATO owszem zagraża, ale jakby z oddali, a nie bezpośrednio...

W perspektywie – dla Rosji z „oddali” – rzeczywistość zbliża się pewne „niebezpieczeństwo”, ale nie ze strony Zachodu, czyli NATO lecz z Dalekiego Wschodu i Południa, czyli z Chin i świata islamu. Problem polega na tym, że dla Rosjan (może nawet przede wszystkim dla „zwykłych Rosjan”, przyzwyczajonych do myślenia imperialnego, a nie tylko dla polityków) NATO nie jest normalnym sojuszem państw tylko instrumentem polityki amerykańskiej. Gdyby Stanów Zjednoczonych nie było w Sojuszu Atlantyckim, Rosja byłaby zapewne gotowa uznać, że NATO nie stanowi żadnego problemu, a kto wie – może nawet jest potrzebne, jako potencjalny anty-amerykański blok. W opinii wielu Rosjan, USA traktują NATO jako „skrzynkę z narzędziami” (*tool-box*) – instrument do okrążania Rosji.

#### NATO-Rosja: początek nowej drogi

Powiedzmy wprost: Amerykanie nie traktują NATO w ten sposób. Przeciwnie, jest wiele sygnałów, że Stany pragną współpracy z Rosją w wielu dziedzinach. Co więcej – Rosja o tym wie. Można zatem postawić pytanie, dlaczego ta współpraca napotyka

na opór? Są różne przyczyny – polityczne, historyczne i psychologiczne. W Rosji zakorzenione jest przekonanie, że kompromis i każde ustępstwo jest dowodem słabości. Partner powinien domagać się wzajemności w sposób bardzo stanowczy. Innymi słowy, Europa powinna wypracować strategię, która zakłada, że wychodzeniu Rosji naprzeciw w wielu sprawach, powinien towarzyszyć określony „katalog oczekiwań”. Dotyczy to również dwustronnych stosunków z Polską. Nowy klimat we wzajemnych stosunkach sprzyja temu, by stosunki polsko-rosyjskie ułożyć od nowa. Można byłoby przyjąć swoistą „opcję zero-wą”. Jednak z naszej strony należy przygotować konkretny katalog spraw, których rozwiązania oczekujemy. Nie powinien to być żaden spis „antyrosyjskich” żądań, ani lista propagandowych gestów, czy też spodziewanych kroków, które w rozumieniu Rosjan miałyby ich poniżyć lub kwestionować i deprecjonować pozycję Federacji jako mocarstwa. Dojrzeliliśmy do momentu, kiedy relacje powinny być równorzędne, partnerskie, a propozycje powinny być korzystne dla nas, dla Rosji i dla Europy.

W dzisiejszym świecie politykę trzeba prowadzić innymi sposobami niż w XIX czy XX wieku, kiedy była to często „gra zero-jedynkowa”: sukces jednego państwa oznaczał straty drugiego. Sprzeczności interesów pozostaną – problem nie polega na tym, że jedna strona odnosi zwycięstwo, a druga jest przegraną. Złożoność relacji polega na konieczności uzgadniania sprzecznych interesów. Między Stanami Zjednoczonymi a Europą, między Wielką Brytanią a Niemcami, czy między Niemcami a Francją są sprzeczne interesy. Jednak w ostatnich 60-65 latach udało się wytworzyć mechanizmy służące harmonizacji interesów demokratycznych państw. W stosunkach z Rosją jesteśmy na początku tej drogi. Optymistyczny scenariusz zakłada, że Rosja szuka szansy, by dokonać skoku w świat nowoczesnej cywilizacji – we współpracy z Zachodem. Jedną z trudności jest to, że elity i społeczeństwo Rosji mają wiele kompleksów. Jedną z trudności w poszukiwaniu porozumienia polsko-rosyjskiego jest to, że zderzają się podobne kompleksy – równie wielkie, a może z racji rozmiarów kraju jeszcze większe w Rosji niż w Polsce, chociaż są one inaczej formułowane.

### Rosyjskie marzenia

Wizja wzajemnych polsko-rosyjskich stosunków, opublikowana w piśmie „*Politiceskij Kłass*” (nr 9, wrzesień 2009), jest godna uwagi, ponieważ zawiera postulat, jak Rosja powinna ułożyć stosunki z Polską (Jurij Sołozobow, *Otwieranie na polski wopros – Odpowiedź na kwestię polską*). Autor zaprezentował rzeczową analizę tego, co działo się w relacjach Polska-Rosja przez ostatnie dwadzieścia lat. Z jego rozważań wynika, że w gruncie rzeczy Rosja ma szczególne prawa do uprzywilejowanych stref wpływów. Jako imperium, podobnie jak Imperium Romanum, ma prawa do „wielkiego pogranicza”, gdzie państwa ościenne (określane jako *Limitrof*) były zobowiązane do zapewnienia Rzymowi swobodnego przejścia, a nawet pobytu Legionów na ich terytorium. Rzym traktował państwa *Limitrofu* łagodnie pod warunkiem, że były one wobec Rzymu spolegliwe.

W rozumieniu niektórych rosyjskich autorów w istocie cała Europa powinna być wobec Rosji uległa. Stwierdzają wprost, że najlepszym przykładem, a zarazem modelem swoistej symbiozy między Zachodem a ZSRR były relacje z Finlandią. W Rosji wielu analityków nie rozumie, dlaczego pojęcie „finlandyzacja” ma dla nas znaczenie pejoratywne. W ich rozumieniu Finlandia kwitła i rozwijała się gospodarczo, jako mały partner wielkiego mocarstwa. Jest to więc wizja, w której Europa miałaby służyć Rosji swoją technologią, a w zamian Rosja nie będzie żywić agresywnych zamiarów. W takiej wizji bezpieczeństwu Rosji miałyby służyć wycofanie USA z Europy. Dopiero wtedy Rosja mogłaby ułożyć sobie poprawne stosunki z Ameryką i z Europą.

Są to nie tyle wizje, co naiwne marzenia, które po pewnym czasie historycy zaliczą do wielu pomysłów, które nie mogą i nigdy nie mogły być urzeczywistnione. Zalicza się do nich również pomysł na nowy „koncert mocarstw”, na podobieństwo przyjętej na Kongresie Wiedeńskim koncepcji Metternicha. Zwolennicy takich rozwiązań zapominają, że koncepcje te odpowiadały realiom Europy innej epoki – prawie 200 lat temu! Dziś takiej możliwości nie ma. Natomiast jest autentyczna szansa i prawdopodobieństwo, że w Rosji dojdzie do głosu nowe pokolenie, które rozumuje innymi kategoriami. Zarówno Putin, jak i Miedwiediew mają świadomość, że należy wstąpić się w oczekiwania tego pokolenia i docierać do ludzi nowej generacji w inny sposób niż tradycyjne metody i środki komunikacji społecznej. Dowodem jest choćby to, że najważniejsze nowe propozycje, jakie obaj przywódcy Rosji prezentują, są formułowane coraz rzadziej w prasie czy na zgromadzeniach publicznych, ale w formie blogów, czatów i z wykorzystaniem Internetu i adresowane są do ludzi, którzy korzystają z komputerów. Jest to rozmowa ponad głowami biurokracji i środowiska, które powoli schodzi ze sceny politycznej. Modernizacja to nie tyle – i nie tylko – nowe technologie, ale przede wszystkim konieczność zmiany sposobu myślenia.

Powołany dwa lata temu pod auspicjami prezydenta Dmitrija Miedwiediewa Instytut Współczesnego Rozwoju (ISOR) opublikował raport pod tytułem *Rosja pożądanego jutra*. Autorzy tego dokumentu przyjęli fundamentalnie inne założenia niż te, do których przywykli Rosjanie. Wspomina się np., że KGB było organizacją przestępczą, a promuje rozwój instytucji, które chronią obywateli. Wspomina się, że Rosja powinna się od Zachodu uczyć, a nie podtrzymywać i budzić na Zachodzie uczucie strachu. W mojej rozmowie z szefem tego Instytutu zapytałem, jakie były echa tego Raportu – czy prezydent Miedwiediew czytał ten dokument? Mój rozmówca odpowiedział, że oficjalnego stanowiska nie było – nie było ani aprobaty, ani nagany. Jedno jest pewne – ten Instytut, podobnie jak inne zespoły niezależnych uczonych, sygnalizuje, że w Rosji powstaje nowe społeczeństwo, które chciałoby opierać się na wspólnych uniwersalnych wartościach. Ten proces jest złożony i napotyka na opory, ale – jak mówi stare chińskie przysłowia – nawet najdłuższa podróż zaczyna się od pierwszego kroku. Z reguły pierwszy krok określa kierunek marszu...

JERZY POMIANOWSKI

# KIEDY POLSKA BĘDZIE PEWNA SWEGO

Perspektywy naszego kraju, o jakich mowa w projekcie POLSKA 2030, budzą spore nadzieje, jednak w tym raporcie brak mi drobnostki - mianowicie oceny zależności tych świetnych perspektyw od sytuacji w grze międzynarodowej, a dokładniej - od geopolitycznej pozycji Polski.

Kampania wyborcza i żałoba smoleńska odwróciły naszą uwagę od ważnych zmian, jakie w tej mierze zachodzą lub już zaszły. Trzy są fakty, do których chciałbym się ograniczyć.

Tylko jeden z nich pojawił się na czołówkach gazet. Tym faktem jest tzw. ocieplenie naszych stosunków z Rosją. Jest to na razie zjawisko klimatyczne, ale nawet zmian pogody lekceważyć nie należy. Z konkretnych, jakie owo ocieplenie przynosi, najbardziej widoczna jest zmiana na lepsze stosunku *spoteczeństwa* rosyjskiego do Polski.

Przyznamy – mało kto zwraca u nas uwagę na prosty fakt: Rosjanie z poddanych stają się obywatelami, których opinia, jak się wydaje, zaczyna mieć - a może już nawet ma - niemały wpływ na przedsięwzięcia, obawy i kierunki działań władz, tj owej rosyjskiej „wierchuszki”, która była przez wieki, a po małej przerwie znów przez przedostatnie 70 lat - jedynym źródłem wszelkich przemian na obszarze tego ogromnego kraju.

Rosjanie, powtarzam- obywatele i już wyborcy - zostali autorytatywnie poinformowani o sprawach, jakich w istocie wcale nie znali. Badania znakomitego

Instytutu im. Jurija Lewady mówią, że 82 proc. Rosjan nie wiedziało, co znaczy słowo „Katyń” nie tylko dla Polski, ale i dla Rosji. Prawie tyle samo, około 80 proc. wedle tych badań, nie zdawało sobie sprawy z daty wybuchu II wojny światowej. Przekonani byli, że zaczęła się 22 czerwca 1941 roku i dopiero teraz, po katastrofie pod Smoleńskiem, uświadamiają sobie, że wojna zaczęła się 1 września 1939 roku.

Po oświadczeniach rządców Rosji na ten temat i po publikacji prac polsko-rosyjskiej Grupy d/s Trudnych, nastąpić musiały w świadomości znacznej części Rosjan zmiany nieodwracalne. Nie sposób zapomnieć wiadomości długo ukrywanych i nagle odkrytych, podobnie jak trudno oduczyć się sztuki czytania.

Gdy Mikołaj I dowiedział się, że hrabia Benkendorf, szef III oddziału jego kancelarii, wybiera się za granicę, zapytał go, czy odwiedzi również ojczyznę swoich przodków – Niemcy. Otrzymałszy odpowiedź twierdzącą, car powiedział pono:

- Proszę, aby hrabia odwiedził Norymbergę, odnalazł tam pomnik niejakiego Gutenberga i plunął mu w to miedziane czoło...

Uszły uwadze opinii publicznej dwa inne jeszcze wydarzenia o decydującym znaczeniu dla pozycji Polski. Pierwszym z nich jest sprawa zasadniczego zwrotu w polityce Ukrainy, który nastąpił po wyborach, wygranych przez partię obróconą ku Wschodowi jako źródłu natchnienia, pomocy i poparcia - i dla Ukrainy, i dla stopy życiowej jej mieszkańców. Oznacza to

dla Polski zakończenie dwudziestoletniego mięsopustu. Podczas tego karnawału Polska nie czuła się w imadle po raz pierwszy od roku 1717, gdy to Sejm Niemy zgodził się na stacjonowanie i swobodne przemasze wojsk Piotra Wielkiego przez terytorium Rzeczypospolitej.

Nasze członkostwo w Unii Europejskiej i w NATO spowodowało, że zachodnia szczeka owego imadła przestała być dla Polski groźna i próby demontażu Unii, podejmowane przez tzw. eurosceptyków, nie zmieniły - jak dotąd - tego stanu rzeczy. Owszem, wschodnia szczeka imadła nie zaciska się teraz i żadnym gwałtem nam nie grozi, podkreślmy to. Jej ruchy jednak są nieobliczalne.

Ukraina przez wieki była kością niezgody w stosunkach między Polską i Rosją, a walka o tę kość stała się powodem zapaści Pierwszej Rzeczypospolitej. To brak porozumienia z Kozaczyzną był, jak to choćby czytelnikom *Trylogii* wiadomo, ważnym powodem upadku państwa – dwóch, a niestety nie trzech – narodów.

Twierdzę, że niepodległość Ukrainy jest dla Polski naczelną rękoiścią bezkonfliktowych stosunków z Rosją. Jedynie oswobodzenie Ukrainy od roli tej kości niezgody, a więc jej niepodległość, może być gwarancją, że zniknie tradycyjne, wręcz nawykowe źródło pradawnego sporu między Rosją a Polską.

Tak zwana koncepcja Giedroycia, o której większość władających Polską polityków jasnego pojęcia nie miała, praktycznie wymaga zrozumienia podstawowej kwestii, którą można ująć w jednym zdaniu: *jak najlepsze stosunki z Rosją i Rosjanami, byle nie kosztem niepodległości i życiowych interesów naszych wspólnych sąsiadów – narodów, które między Polakami i Rosjanami bytują i mają takie samo jak my prawo do niepodległości.*

Dla Rosji, podkreślmy to stanowczo, niepodległość Ukrainy jest zwrótnicą, kierującą ten kraj od jurajskich planów ekspansji terytorialnej na tory wewnętrznej modernizacji i samodzielnego, wytwórczego postępu. Jedynie ustawienie tej zwrótnicy w kierunku partnerskiego współzawodnictwa z Zachodem może przyczynić się do prawdziwego rozwoju Rosji nie tylko jako społeczeństwa i państwa, ale jako kraju samowystarczalnego przemysłowo i to we wszystkich dziedzinach wytwórczości.

Jak dotąd, na wartość PKB tego kraju wpływa głównie eksport surowców – paliw strategicznych przede wszystkim. Prywatne przedsiębiorstwa – małe i większe – nie są oczkiem w głowie ani władz centralnych, ani regionalnych. Dopiero rozporządzenia Putina uczyniły wykonalnymi uchwały, podjęte jeszcze za czasów jego poprzednika, Jelcyna, podobnie, jak się to stało z ustawą o prawie do kupna i dziedziczenia ziemi rolnej. Rosja zaczyna dopiero marsz do zwielokrotnienia masy i jakości własnej *użytkowej* wytwórczości. Tu widać pole dla działań na rzecz modernizacji – i na tym boisku rozgrywa się mecz między jej zwolennikami a stronnikiem powrotu do imperialnych projektów.

Ci ostatni składają się nie tylko z weteranów bolszewizmu i szowinistów z kręgu „Naszego współczesnika”. Pojawili się wśród młodzieży i rosną tam w siłę. Organizacje takie jak „NS/WP” (co oznacza po prostu *national socialism – white power*) panoszą się w in-

ternece i mają na sumieniu setki zabitych „obcych”, „kolorowych”, sprawiając poważne kłopoty nie tylko sądom, lecz już centralnej władzy Federacji Rosyjskiej. Artykuł w moskiewskim tygodniku „Nowoje wriemia” (14.02.2011) kończy się słowami: „Nie interesują ich polityczne poglądy ofiar. Chcą je po prostu zabić”.

W znakomitym włoskim piśmie poświęconym geopolityce - „Limes”(nr 3/2010) - pojawiła się antologia artykułów autorstwa nie tylko francuskich i włoskich politologów, ale także znanych Rosjan. Wśród nich Siergiej Karaganow, który używa tym razem języka nowego, nawołując UE do zrozumienia potrzeb Rosji i pokojowego charakteru jej planów. Redakcja zamieszcza jednak tuż obok nie tylko tzw. *Raport Surikowa*, publikowany parę lat temu w moskiewskiej gazecie „Sjogodnia” pod tytułem *Jak odbudować ZSRR w ciągu 10 lat*, lecz również szereg całkiem nowych map, pokazujących w jaki sposób podzielić można Ukrainę i w jaki sposób staną się członkami lub satelitami Federacji Rosyjskiej jej poszczególne części. Część wschodnia kraju (z Charkowem, Donbasem i Krymem) miałaby wejść do Federacji Rosyjskiej, część środkowa z Kijowem – do WNP (na podobieństwo Białorusi), zaś mała część zachodnia, ze Lwowem i Drohobyczem, została by samodzielnym państwem.

Otóż „plan Surikowa” nie został przez nikogo odwołany, ale zmiana władzy na Ukrainie i objęcie urzędu prezydenta przez Wiktora Janukowycza ów plan – paradoksalnie – unieważniła, przynajmniej na chwilę obecną. Jego zwolennicy nie muszą zadowolają się częścią tortu, mając, jak sądzą, całość w zasięgu ręki.

Innymi słowy to, co stało się na Ukrainie, stanowi dla nas nie tyle zagrożenie, co odnowienie się wielkiej niewiadomej w tym równaniu politycznym, które nazywamy sumarycznie „polityką wschodnią”. Jeżeli Partia Regionów nie potrafi uzgodnić z mocną *samosiijną* mniejszością warunków zgody narodowej, to całości tortu nie zachowa i nie trzeba będzie żadnych nacisków rosyjskich, ani tym bardziej zaborczych działań Kremla, aby doszło do realizacji głównej idei *Raportu Surikowa*.

Mamy odtąd za wschodnią ścianą Polski - ale i Unii Europejskiej - do czynienia z widmem jednolitego mocarstwa, którego tendencje nie są wcale, jak się wydaje, ustalone. Dotychczasowe doświadczenie świadczy, że nie jest to sytuacja dla Polski korzystna.

Otóż do powstania tej sytuacji przyczynili się również nasi rodacy. Nie wszyscy, rzecz jasna.

Poczynając od 60-tej rocznicy rzezi wołyńskiej aż po dziś dzień trwa u nas akcja, której nie sposób nazwać inaczej, jak szczuciem Polaków na Ukraińców i Ukrainę. Zaciekłością wyrzutów i zarzutów przeraża bodaj to, co po wojnie pisało się i mówiło u nas o niemieckich okupantach. Prezydent RP Lech Kaczyński, polityk niefortunny, lecz pełen dobrej woli, jeździł wielokrotnie do Kijowa i modlił się wraz z prezydentem Wiktorem Juszczenko nad mogiłą Ukraińców, wymordowanych we wsi Pawłokoma w odwecie za przeraźliwą, tak jest: czystą etniczną, wszczętą przez główny odłam UPA. Jednocześnie zaś tej polityce podcinali nogi naczelni publicyści jego własnego obozu. „Gazeta Polska”, „Nasz Dziennik”, „Rzeczpospolita” w dziesiątkach artykułów, wywiadów, wspomnień zerowały

na żalobie Kresowiaków, przekraczając granicę bluźnierstwa, gdy nienawiść podsycił kapłan, wielbny Isakowicz-Zaleski. Publiczna telewizja, do niedawna feudum PiS, popisała się takimi wyczynami, jak program *Warto rozmawiać*, do którego Jan Pospieszalski zaprosił jedynie oskarżycieli. Nikt nie zapytał tedy, jaka była dola Ukraińców w drugiej Rzeczypospolitej, jakie, u licha, były przyczyny tyłu powstań kozackich w pierwszej, słowem - skąd ta miniona wrogość i komu służy jej podsycanie?

Mniejsza, że nieprzyzwoity, jednostronny tryb wyrokowania jest tenorem tej akcji. Mniejsza nawet, że przyłączył się do tej prawicowej kompanii lewicowy „Przegląd”. Gorzej, że wszyscy gorliwi żalobnicy zapomnieli o elementarnej zasadzie: pokój zawiera się nie z kim innym, tylko z wczorajszym wrogiem.

Rezultatem tego zapomnienia było owe 3% przewagi, jaką osiągnęła w wyborach Partia Regionów nad „pomarańczowymi” przeciwnikami. Odsetek Ukraińców, znających polski i śledzących polskie echa, jest zresztą grubo większy. Dlatego wolno twierdzić, że te procenty to skromny polski wkład do zwrotu, który może zdecydować o tym, co stanie się na wschód od Przemyśla. Tu przypomnę, że prof. Zbigniew Brzeziński twierdził, iż sojusz strategiczny z przyjazną i suwerenną Ukrainą jest dla Polski nie mniej ważny niż nasze członkostwo w NATO.

Podobne zjawisko obserwujemy na płaszczyźnie stosunków z Rosją. Prezes Kaczyński wygłosił w trakcie nie tak dawnej kampanii wyborczej deklarację, w której pochwalił gorąco ocieplenie naszych stosunków z Moskwą; ba, dał znać, że ma nadzieję na jego praktyczne konsekwencje. Nie odwołał dotąd tej deklaracji. Dowiedzieliśmy się tylko od współpracowników prezesa, że kto podobne nadzieje żywi, jest sługusem Kremla. Są takimi zwłaszcza ci, którzy nie przypisują Rosjanom winy za katastrofę prezydenckiego samolotu 10 kwietnia 2010 roku. Inni, prawdziwi patrioci, muszą trzymać się teorii *zamachu*. Do pojęcia zamachu sprowadza się tu wszystko: mgła, która mogła być sztuczna, bomba, której efektów trzeba szukać na ścianach kadłuba, mylące głosy z wieży kontrolnej, wygłaszane skądinąd w obcym języku – i tak dalej. Wszystkie te supozycje, razem z pretensją, że nikt nie zabronił tego lotu *prezydentowi państwa i zwierzchnikowi sił zbrojnych*, ani nie skorygował jego listy zaproszonych, wszystko to zatem ma być dowodem zamachu – i to planowanego z udziałem polskiego rządu, który ma w konsekwencji krew na rękach. Jest też już naczelnym motywem propagandy przedwyborczej, prowadzonej – uwaga – przez te same organy i osoby, które przodowały w omówionej wyżej kampanii antyukraińskiej.

Otóż wdawanie się z tą tezą w dyskusję, a zwłaszcza szarpanie się o szczegóły sprawy, jest zajęciem czczym. Wolno Rosjan uważać za agresorów i zaborców, ale nie należy mieć ich za idiotów. Nikt o zdrowych zmysłach nie planowałby zamachu na prezydenta, kończącego właśnie swoją kadencję bez żadnych widoków na reelekcję. Starczy przypomnieć sondaże. Ten ostatni, z 18 marca 2010 pokazywał, że Lech Kaczyński może liczyć na poparcie 20% wyborców, zaś Bronisław Komorowski na 38%.

Sądzę, że jest to dowód zupełny i wystarczający, co pozwala nam na powrót do zagadnień praktycznych.

Owszem, w strategii Kremla nastąpił zwrot, widoczny w deklaracjach zarówno prezydenta Miedwiediewa, jak i premiera Putina, zwrot nie tylko zamierzony, ale także nieunikniony. Chodzi o solidne związki z Unią Europejską jako rynkiem zbytu paliw i źródłem inwestycji, niezbędnych dla modernizacji. Chodzi również o wykorzystanie UE jako przeciwwagi dla Stanów Zjednoczonych w polityce globalnej. Rachubę tę wolno uznać za iluzoryczną, jednak jej obecność w polityce FR jest faktem. Tak czy owak – tendencja Rosji do współpracy z Unią jest godna uwagi i uznania. Tyle, że taktyka dla tych celów stosowana wskazuje, iż nie o banalne partnerstwo tu chodzi, lecz o hegemonię.

Dowodem – i to ważnym dla pozycji geopolitycznej Polski – jest sprawa naszej umowy z Gazpromem. Koncern ten jest w Rosji monopolistą i stara się osiągnąć tę pozycję wszędzie, gdzie ma odbiorców cennego surowca. Kraje UE, które z dostaw Gazpromu korzystają, zabezpieczyły się nie tylko uchwałą brukselską, wymagającą, aby nie więcej niż jedna trzecia zapotrzebowania na surowiec strategiczny pochodziła od jednego dostawcy. Zapewniły sobie przede wszystkim sławetną *dywersyfikację*, tj. zróżnicowanie dostaw. Nawet Berlusconi, tak chętnie oskarżany o czułości z Putinem, poleciał do Libii, dał zawziętemu wrogowi, Kaddafiemu, oblig na 5 miliardów dolarów i wrócił z umową na dostawy paliwa – gdy tylko dowiedział się, że Gazprom wykupił akcje algierskiego koncernu Sonatrach, biorąc tym samym Włochy w kleszcze. Nasza zaś umowa nie zostawia podobnego wyjścia. Owszem, zapewnia naszemu PGNiG zaspokojenie 100% potrzeb na dobre ćwierć wieku – ale tym samym czyni zbędnymi wszelkie dostawy gazu z innych źródeł i skazuje nas na monopol, co oznacza takie same kłopoty z cenami i kurkami, jakie pognębiły Ukrainę. Co gorsza, Gazprom domaga się, aby polskie rurociągi aż do roku 2047 przesyłały wyłącznie jego paliwo. Dodajmy, że Polska płaci za nie drożej, niż inne kraje UE, co jest naturalne w warunkach uzależnienia od monopolu.

Wiemy, że poprzedni rząd PiS-u nic nie uczynił dla przełamania tego uzależnienia. Nic – poza szumnymi deklaracjami na temat suwerenności i polityki aktywnej. Rozumiemy, że obecny wicepremier i minister gospodarki, Włodzimierz Pawlak, dba o interesy swoich wyborców – rolników, zaś bez gazu palnego nie ma nawozów sztucznych. Z tym wszystkim wydaje się, że najlepszym probierzem rzetelnej normalizacji stosunków z Rosją stałyby się rzeczowe rokowania w celu upodobnienia umowy z Gazpromem do partnerskich umów tego państwowego koncernu z innymi państwami UE. Już samo tylko wykreślenie paragrafu, dającego Gazpromowi wyłączność na używanie polskich rur, byłoby sukcesem rządu wiele większym niż wymuszenie poprawek w raporcie MAK. Nie jest to zadanie nad siły dla Tuska z Sikorskim.

JERZY POMIANOWSKI

HIERONIM KUBIAK

# CZY DA SIĘ PRZEWIDZIEĆ PRZYSZŁOŚĆ?

Świat, w którym żyjemy jest pełen antynomii. Z jednej strony nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że – jak pisze Tadeusz Zatorski w przedmowie do Hansa Alberta *Europa i okietzanie władzy* (Zakład Wydawniczy NOMOS, Kraków 1998: 82) – „wszelkie ‘Archimedesowe punkty’ ludzkiego poznania, wszelkie ‘prawdy ostateczne’, ‘nieomyślne’ i ‘niereformowalne’ są jedynie opartą na arbitralnie sformułowanych dogmatach ułudą, a każde twierdzenie może mieć jedynie wartość hipotezy, która może czy wręcz powinna stać się przedmiotem wnikliwej i wolnej od wszelkich uprzedzeń i przed-sądów dyskusji”. Z drugiej jednak nie da się prowadzić żadnych działań – zarówno w wymiarze jednostkowym, jak i tym bardziej zbiorowym – bez prognozy łączącej w sensowną całość wizję pożądaną przyszłości z zespołem środków (materialnych i niematerialnych) koniecznych do jej spełnienia. Co więcej, gwałtownie wzrasta ilość kwestii wymagających analizy w kategoriach krytycznego racjonalizmu, a maleje „aktualność profetycznych wizji przyszłości” (Hans Albert, op. cit., s. 28). Jak, zatem, żyć w płynnej nowoczesności? Przygotowana przez Stowarzyszenie „Kuźnica” konferencja (maj 2010) stanowiła kolejną próbę, nawet jeśli tylko częściową, przekonującej odpowiedzi na to nieproste pytanie.

Pośród wielu dotychczasowych wizji przyszłości zasadzających się na przekonaniu, iż dzieje mają swój cel ostateczny, do najbardziej brzemiennej w konsekwencje zapewne należały i dla wielu środowisk nadal należą dwie przeciwstawne wersje końca procesu stania się ludzkiego świata: religijna i świecka. Pierwsza z nich i zarazem najstarsza, religijna, generowana jest przez aksjomat końca świata wynikający z człowieczej niedoskonałości i woli bożej. Zawarta pierwotnie w księdze Daniela i następnie w objawieniu św. Jana, apokaliptyczna wizja nieuchronnego upadku przedchrześcijańskich religii oraz zrodzonych na ich podłożu struktur państwowych zapowiada od ponad dwudziestu wieków nieuchronny *Armageddon* – ostateczną bitwę pomiędzy siłami dobra i zła – a po nim koniec świata, sąd ostateczny, triumfu chrześcijaństwa i szczęście wybranych w „królestwie bożym”.

Apokaliptyczna tradycja, o czym warto tu przypomnieć, ma także swoich współczesnych rzeczników i to nie tylko wśród różnych mniejszościowych ruchów religijnych, lecz także zwolenników ideologii totalitarnych, tak lewicowych, jak i prawicowych.

Druga wizja, świecka, silnie osadzona przede wszystkim w oświeceniowym zaufaniu do rozumu ludzkiego i jego możliwości poznawczych, łączy koniec dziejów ludzkości z prawidłowościami rozwojowymi następujących po sobie formacji społeczno-ekonomicznych. W Marksowskiej dialektycznej wersji tej wizji (nawiązującej w sposobie pojmowania historii do Georga Wilhelma Friedricha Hegla i jego pewności, iż historia kończy się

w momencie, gdy osiąga syntezę racjonalnej postaci społeczeństwa i jego politycznej organizacji), ostatnią formacją w procesie dziejowym będzie komunizm, możliwy po rewolucyjnym przewyżczeniu sprzeczności wewnętrznych rozwiniętego społeczeństwa kapitalistycznego, a w szczególności konfliktów społecznych funkcjonalnie związanych z prywatną własnością środków produkcji, niesprawiedliwą dystrybucją dóbr materialnych i powstałą na jej podstawie strukturą klasowo-warstwową oraz systemem politycznym petryfikującym istniejące nierówności, w tym w stosunkach władzy w sferze publicznej.

Na przełomie XX i XXI w. obie te interpretacje dziejów, religijna i rewolucyjna, znalazły się w nieoczekiwanej dla siebie sytuacji. Wizje profetyczne coraz szybciej, zwłaszcza w Europie, przesuwają się ze sfery państwowej do sfery prywatnej, a komunistyczne utopie wykreśliła ze społecznej świadomości klęska post-jaltańskiego podziału świata i „realnego socjalizmu”. Francisa Fukuyamę ten bieg wypadków skłonił do proklamowania „końca historii” w ogóle. Tyle tylko, że tak rozumiany koniec dziejów utożsamiał współczesną postać euro-amerykańskiego kapitalizmu z docelowym rezultatem procesu dziejowego.

Fukuyama pisał: „Jesteśmy, być może, świadkami nie po prostu końca zimnej wojny, czy też przynajmniej pewnego szczególnego okresu w powojennej historii świata, lecz *końca historii jako takiej*, to jest – *końcowego punktu ideologicznej ewolucji ludzkości i uniwersalizacji zachodniej liberalnej demokracji jako ostatecznej formy rządu*” (*Czy koniec historii?*, Konfrontacje 13, Wydawnictwo Pomost, Warszawa 1991: 8). I aby nie było wątpliwości, jak rozumieć tę konstatację dodaje: „...stulecie [XX w. – H. K.], które na początku było pełne wiary w ostateczny triumf zachodniej liberalnej demokracji, zatoczyło (...) pełne koło, wracając u schyłku do punktu wyjścia: nie do „końca ideologii” czy konwergencji między kapitalizmem i socjalizmem, jak uprzednio przewidywano, lecz do *niekwestionowanego zwycięstwa liberalizmu ekonomicznego i politycznego*” (op. cit., s. 7-8). Co teraz stanowi *raison d’être* państwa?

Państwo wyłaniające się w ostatniej fazie procesu dziejowego „jest liberalne w tym sensie, iż *akceptuje i chroni prawo człowieka do wolności*, demokratyczne zaś w tym, iż *istnieje tylko za zgodą rządzonych*” (op. cit., s. 10). Zatem, żadna alternatywna struktura organizująca obywateli w sferze publicznej nie jest już potrzebna. Nie jest, ponieważ przestają istnieć „w życiu ludzkim jakieś *fundamentalne sprzeczności*, których nie da się rozwiązać w warunkach *nowoczesnego liberalizmu*” (op. cit., s. 16).

Realny bieg wypadków przekonał jednak stosunkowo szybko (bo po dziesięciu-dwudziestu latach) zwolenników tej koncepcji, w tym także jej twórców, iż jest ona uto-

pią nie wytrzymującą konfrontacji z krytycznym racjonalizmem. Argumentów *sed contra* dostarczył np. poziom biedy i stan państw nie tylko w Afryce Północnej, Ameryce Południowej i Azji, lecz również w byłych europejskich krajach „realnego socjalizmu”. Ponadto okazało się, że właściwy liberalizmowi politycznemu i światopoglądowemu system wartości oraz praw człowieka (nie mówiąc już o konstytucyjnych zasadach Karty Praw Podstawowych Unii Europejskiej) bynajmniej nie jest warunkiem koniecznym szybkiego rozwoju gospodarczego, o czym przekonuje najdobitniej stan gospodarki chińskiej.

Jeśli „konstytucyjne państwo prawa z demokracją przedstawicielską jako formą rządów, nowoczesny kapitalizm jako nośnik rozwoju przemysłowego i autonomiczna nauka z jej ujętym w metodologiczną dyscyplinę sposobem badania rzeczywistości oraz na nauce tej oparta technika” (Hans Albert, op. cit., s. 20) nie są ostatecznym lekiem na całe zło, to co nim jest? Analizy Immanuela Wallersteina, Paula Romera, Bernarda Stieberta czy Johna Grey’a, których rezultaty konsekwentnie popularyzuje w Polsce m. in. Edwin Bendyk, prowadzą do wniosku, iż owym panaceum są w ostatecznym rachunku idee, poprzez które ludzie nie tylko radzą sobie ze zmieniającymi się okolicznościami, lecz również nadają zmianom pożądany kierunek. Jeśli tak, to koniec historii oznaczać by musiał jednoczesne „zatrzymanie ludzkiej myśli w biegu”, a w konsekwencji jej atrofie. Działania podejmowane w tym kierunku oraz wynikające z nich tragiczne skutki doskonale są nam znane z historii wszystkich systemów totalitarnych, a także ruchów społecznych, które je przewyciężyły.

Już przed ponad półwieczem w traktacie *Civilization on Trial* (Oxford University Press, London:1948) Arnold Toynbee przekonująco dowodził po skrupulatnej analizie 21 cywilizacji, jak je nazwał, ‘zasadniczych’ oraz trzech cywilizacji ‘poronionych’ i pięciu ‘skostniałych’, że cywilizacje umierają dopiero wtedy, kiedy ludzie opuszczają ręce. Jednocześnie formułuje podstawowe, jego zdaniem, prawo społeczne, wg którego siła ludzkich reakcji zależy od siły bodźca, z którym przychodzi się im zmierzyć. Zatem jak długo trwają procesy poznawcze, jak długo potrafimy przez nasze własne działania potwierdzić Kartezjuszową zasadę *cogito, ergo sum*, przyszłość ludzkości nie jest jeszcze napisana.

Kapitalizm istnieje w Europie od pięciuset lat, choć nie we wszystkich krajach jednakowo długo i w tym samym stopniu wolny od pozostałości feudalizmu (w sferze religii, kultury symbolicznej i w strukturze społecznej).

Czas i podłoże historyczne, a także suma przypadkowych zbiegów okoliczności, działań celowych i nieprzewidywalnych skutków procesów planowanych spowodowała, że konkretno-historyczne formy kapitalizmu miały swoje cechy specyficzne. Karl Theodor Paschke, w swoim czasie zastępca sekretarza generalnego ONZ, twierdzi, że jeszcze w końcu XX w. istniały obok siebie: kapitalizm konsumentów, kapitalizm producentów, kapitalizm rodzinny oraz kapitalizm graniczny. Pierwszy z nich uformował się głównie w USA, Wielkiej Brytanii, Kanadzie i Australii. Drugi – w Niemczech, Francji, Japonii i Meksyku. Trzeci – na Tajwanie, w Malezji, Tajlandii i Indonezji. Wreszcie czwarty przede wszystkim w Chinach i Rosji.

Cechami konstytucyjnymi pierwszego typu były: leseferyzm, rozbudowany handel zagraniczny, postawy zorientowane na zysk, mentalność prorynkowa i ogra-

niczony interwencjonizm państwowy. Drugiego: nacisk na produkcję, stymulowane zatrudnienie, rozwinięta polityka społeczna i aktywna rola państwa. Trzeciego: kontrola działalności gospodarczej i przepływów kapitałowych przez rodzinne klany. Czwartego: inicjowanie i kontrola efektywności działań gospodarczych przez rząd, stopniowe formowanie się warstwy przedsiębiorców.

Każdy z wyróżnionych typów kapitalizmu miał i ma nadal także swoje specyficzne problemy, które, jeśli nie zostaną rozwiązane we właściwym czasie, grożą destabilizacją. W kapitalizmie konsumentów były to: wyjątkowo duża nierówność dochodów poszczególnych warstw struktury społecznej, niskie stopy procentowe oraz słaby rząd centralny. Kapitalizm producentów konfrontowany był przede wszystkim z niebezpieczeństwami wynikającymi z demontażu systemu bezpieczeństwa socjalnego, spowolnieniem innowacyjności i niezadowoleniem konsumentów. Kapitalizm rodzinny musiał brać pod uwagę głównie groźbę załamania się rynku finansowego. Kapitalizm graniczny generował niestabilne prawo, silną kontrolę państwa nad transakcjami trans-granicznymi oraz przestępczość gospodarczą na dużą skalę (por. K. Th. Peschke, *Why is the reform of the United Nations such a ‘Herculean Task’?*, “Deutschland”, No. 3, June 1995, s. 19).

Każda z tych form kapitalizmu ewoluowała pod wpływem procesu globalizacji. Żadna jednak nie miała potencji skłaniających do traktowania jej jako „końca historii”. Wszystkie natomiast, wg Immanuela Wallersteina, dążyły do akumulacji zysków poprzez maksymalne wykorzystanie zasobów pracy ludzkiej, rabunkową gospodarkę surowcową i krótkowzroczny stosunek do środowiska naturalnego, konkurencyjność i przerzucanie części kosztów własnych na innych (także poza granice własnego kraju) przy równoczesnym stymulowaniu konsumpcji jako czynnika dynamizującego rynek. Jednak w miarę upływu czasu ich tradycyjne zasoby wyczerpywały się, a warunkiem utrzymania się na rynku stawały się w coraz większym stopniu badania naukowe stymulujące innowacyjność i nakłady na rozwój kapitału ludzkiego. W konsekwencji drożała praca, pojawiły się atypowe formy zatrudnienia, a jednocześnie biegunowa polaryzacja bogactwa i nędzy dawała coraz większe szanse ruchom populistycznym, zarówno skrajnie lewicowym, jak i prawicowym.

Wreszcie, pod wpływem rewolucji informatycznej, rozwijały się gwałtownie nowe możliwości kształtowania się opinii publicznej i nieznanne dotychczas formy nauki i pracy, a także działania. Gwałtownie wzrasta wiedza i aktywność zawodowa kobiet. Wchodzące teraz na rynek nowe generacje mają już nie tylko wyższe kwalifikacje, ale również nieznaną dotychczas strukturę płci. Zasadniczo zwiększa się przestrzenny zakres ich mobilności. Współcześnie nie jest to już, jak dawniej bywało, głównie migracja w obrębie struktur państwowych, lecz w ramach całej ‘przestrzeni Schengen’. Ponadto do Europy wlewa się potężną falą imigracja – legalna i nielegalna – z Azji i Afryki. Pod jej wpływem odżywiają dawne nacjonalistyczne nastroje i lęki (a także ruchy) ksenofobiczne. Średniowieczny opis Europy, sporządzony przez niemieckiego mnich Walthariusa, wg którego przestrzeń europejska jest „pełna rozlicznych ludów, językiem, nazwą, a także obyczajami różnych, religią i kulturą odmiennych”, zyskuje nową aktualność.

System kapitalistyczny w jego dojrzałej postaci rozwinął się dzięki: 1/ zasadzie wolnego rynku, podniesionej do rangi dogmatu przez zrodzoną w Anglii osiemnastowieczną klasyczną ekonomię polityczną oraz 2/ wcześniejszej o dwa wieki surowej Kalwińskiej koncepcji predestynacji, stanowiącej zacych protestanckiej etyki i, jak to określił w początkach XX w. Max Weber, 'ducha kapitalizmu' (inaczej: przedsiębiorczości).

Wielu jego twórców i interpretatorów sądziło ponadto, że nowy ustrój opanował również umiejętność budowy systemu politycznego kładącego podwaliny pod negocjacyjny sposób rozwiązywania konfliktów, m.in. pomiędzy pracownikami i pracodawcami, czy jeszcze szerzej: pracą a kapitałem, oraz społecznymi biegunami bogactwa i nędzy, a także stworzył prawne zabezpieczenie pełnej implementacji praw człowieka. A jednak konflikty społeczne zrodzone przez kapitalizm, zwłaszcza w wersji ortodoksyjnego liberalizmu tryumfującego po upadku 'realnego socjalizmu', okazały się nadal żywotne. Stan niepewności nasilił się zwłaszcza pod wpływem ostatniego światowego kryzysu gospodarczego. Pewność właściwa dla koncepcji *końca historii* została gwałtownie wyparta przez chaos swoisty dla Zygmunta Baumana koncepcji  *płynnej nowoczesności* oraz  *płynnego lęku*.

Jak żyć w tak zdefiniowanej rzeczywistości? I czy jest to już początek końca kapitalizmu? A jeśli tak, co nastąpi po nim? Ostrożni analitycy systemów gospodarczych, społecznych i politycznych, w tym wspomniany już wcześniej Immanuel Wallerstein, twierdzą, że pełna odpowiedź na to zasadnicze pytanie nie jest jeszcze możliwa. Ale poszukuje jej wielu i to nie od dziś, o czym przekonują m. in. książki Alvina Tofflera (vide *Zmiana władzy*, Zysk i S-ka, Poznań 2003) czy Ulricha Becka (*Władza i przeciwwładza w epoce globalnej. Nowa ekonomia polityki światowej*, Wydawnictwo Naukowe Schölar, Warszawa 2005).

To, co wydaje się niewątpliwe w świetle nie tylko wspomnianych wyżej poszukiwań, ale także syntez sporządzonych np. przez Daniela Bella, Charlesa Donahue, Jurgena Habermasa, Klausa Offe, Davida Riesmana czy Josepha A. Schumpetera sprowadza się do kilku twierdzeń podstawowych. Po pierwsze: wolny rynek, pomimo jego ułomności, jest nadal sprawniejszy niż wszystkie jego historycznie wcześniejsze alternatywy. Wolny rynek powinien być jednak na równych prawach otwarty nie tylko dla własności prywatnej, lecz również dla wszystkich innych form własności;

Po drugie: wolnemu rynkowi musi jednak towarzyszyć racjonalnie działające, sprawne państwo. Wszystko wskazuje na to, że rację miał John S. Mill, gdy w traktatach pochodzących z lat 1859-61 (*O wolności* oraz *Rozważania o rządzie przedstawicielskim*) przestrzegając, iż państwo nie może ograniczyć się tylko do funkcji „nocnego stróża” chroniącego życie, własność i wolności, lecz także winno: 1/ strzec praw konsumenta, 2/ występować przeciwko monopolom, 3/ chronić słabszych (nie z własnej winy!) oraz 4/ umożliwić nauczanie początkowe wszystkim. Musi także tworzyć i chronić wartości - zwłaszcza wrażliwość społeczną, a także poczucie sprawiedliwości i równości - bowiem nie rodzą się one żywiołowo na rynku, lecz w umysłach ludzkich i kulturowo uwarunkowanych emocjach, a także celowo budowanych i przekazywanych z pokolenia na po-

kolenie kulturowych wzorach osobowości, instytucjach i umowach społecznych (zawieranych w ramach państw narodowych oraz wspólnot ponadpaństwowych);

Po trzecie: choć wymienione działania instytucji państwowych pociągają za sobą koszty obciążające budżet państwa (inaczej: wszystkich płatników), to jednak w sumie są one dla społeczeństwa obywatelskiego mniej uciążliwe niż skutki zaniedbań w sferze polityki społecznej, oświatowej, kulturalnej, zdrowotnej i mieszkaniowej. M. in. dlatego, że wcześniejsze usuwanie przyczyn nieakceptowalnych ciągów zdarzeń jest z reguły tańsze od późniejszych prób naprawy niechcianych skutków procesów żywiołowych;

Po czwarte: polityka państwa musi gwarantować równość startu wszystkich swych obywateli, niezależnie od pozycji społecznej ich rodziców, nie myląc przy tym zasady równości szans z populistycznymi hasłami równości osiągnięć;

Po piąte: zarówno państwo, jak i wszystkie instytucje i organizacje pozarządowe działające w sferze publicznej, winny wspomagać rozwój czterech kapitałów, składających się w sumie na osobowość socjogenną, a także warunkujących sposób przejawiania się predyspozycji somatyczno-psychicznych każdego z obywateli. Są to kapitały: ludzki, społeczny, kulturalny i obywatelski;

Po szóste: zapewniając wszystkim obywatelom pełny dostęp do istotnych dla nich informacji, państwo winno wspierać rozwój dysput publicznych przed podjęciem ważnych decyzji, zarówno przez legislaturę, jak i władze wykonawcze. Dysputy tego typu mają swą konstytutywną ważność nie tylko na poziomie ogólnopaństwowym, lecz również regionalnym i lokalnym, dopiero ujęte łącznie tworzą bowiem zacych: 1/ demokracji dyskursywnej, 2/ podstawy społecznej samoorganizacji i 3/ kultury obywatelskiej, stanowiącej składnik konieczny umiejętności ciągłego spełniania przez ogół obywateli roli rzeczywistości suwerena;

Po siódme: korupcja dyskursu politycznego powinna być traktowana nie tylko jako naganne zachowanie piętnowane satyryczną sankcją opinii publicznej, grożące również wykluczeniem społecznym, lecz nawet jako przestępstwo nienawiści;

Po ósme: stojąc na straży wolności, państwo i jego instytucje muszą pamiętać o starej i jednocześnie mądrej zasadzie, iż *wolność jest zawsze wolnością myślenia inaczej*.

Po dziewiąte: polityka, zamiast być jak dotychczas areną dla gladiatorów źle przygotowanych do spełnienia swych ról, musi się stać się umiejętnością organizowania społeczeństwa złożonego z upodmiotowionych jednostek do działań zbiorowych - na każdym z poziomów jego egzystencji, odpowiednio do zmieniających się okoliczności.

Czy system społeczny, gospodarczy i polityczny wyłaniający się z tych zasad można już dziś uważać za odpowiedź kolejnej, ważnej, choć nigdy nie ostatecznej, fazy ludzkiego procesu dziejowego? Nie wiadomo. To prawda, że nie potrafimy go jeszcze nawet jednoznacznie nazwać. Jednak z całą pewnością wymienione zasady osłabiają lęk przed zmianami, a wykraczając poza istniejące już schematy, tworzą nadzieję. Co więcej, zapowiedź generowanego przez nie systemu można znaleźć zarówno w uformowanej po II Soborze Watykańskim katolickiej nauce społecznej, jak i w prognozach współcze-

snej socjaldemokracji. Oto dwa dowody przemawiające za taką konkluzją.

Pierwszy wiąże się z encykliką *Centessimus Annus* Jana Pawła II, ogłoszoną 1 maja 1991 r. Na stronie 70 polskiego jej wydania znajduje się następujące przesłanie: „Przekonaliśmy się, że nie do przyjęcia jest twierdzenie, jakoby po klęsce socjalizmu realny kapitalizm pozostał jedynym modelem organizacji gospodarczej. Należy obalić bariery i monopole, które wielu Narodom nie pozwalają na włączenie się w ogólny proces rozwoju i wszystkim – jednostkom i Narodom - zapewnić podstawowe warunki uczestnictwa w nim”.

Drugi wynika z analiz przeprowadzonych przez Anthony Giddensa. W dwu książkach opublikowanych w latach 1998 i 2000 dowodzi on, iż możliwa jest droga rozwoju wyznaczona zarówno przez skumulowane doświadczenia wolnego rynku, a więc liberalizmu gospodarczego, jak i system wartości współczesnej socjaldemokracji, nietożsame ani z teorią, ani – tym bardziej – praktyką partii rządzących w krajach realnego socjalizmu. Giddens nazywa ją *trzecią drogą* (vide *The Third Way. The Renewal of Social Democracy*, Polity Press, Cambridge:1998 oraz *The Third Way and its Critics*, Polity Press, Cambridge: 2000).

Powiedziawszy to wszystko, czas wrócić do pytania wyjściowego: skoro ludzie sami tworzą samych siebie i swą historię, to czy rzeczywiście wiedzą co czynią? I jaki przybierze ona kształt w dającej się przewidzieć przyszłości? Rzecz całą ujmując w wielkim skrócie, jest to w istocie pytanie o: 1/ wartość pragmatyczną działań prowadzonych przez wielkie ludzkie zbiorowości w czasie teraźniejszym, których efekt końcowy przyniesie ma jednak dopiero czas przyszły oraz o: 2/ wiedzę, pozwalającą dostatecznie wcześniej skorygować zgodność osiągniętych efektów z założonymi celami.

Współczesne prognozy, pomimo gwałtownie postępującej kumulacji ludzkiej wiedzy, a może właśnie dlatego, że o wszystkich zakresach życia społecznego wiemy praktycznie coraz więcej, obejmują coraz krótsze wymiary czasu i przestrzeni. Przy tym dotyczą rzeczywistości polikauzalnej, warunkowanej zarówno przez podłoże historyczne, jak i zmieniającą się hierarchię celów, a także rządzące się swoistą dynamiką zasoby, z pomocą których owe cele mogą i/lub muszą być osiągnięte. Co więcej, choć ogół przyczyn istotnych pozostaje ze sobą w związkach przyczynowo-skutkowych, funkcjonalnych i strukturalnych, to jednak ich waga w zmieniających się warunkach jest niestabilna.

Naszym działaniom celowym podejmowanym w czasie teraźniejszym, zarówno w wymiarze mikro-, mezo- jak i makrostrukturalnym, w tym także prognozowaniu, towarzyszą z reguły żywiołowe procesy społeczne, warunkowane przez podłoże historyczne. W polskiej tradycji zapoczątkowanej przez Ludwika Krzywickiego, a w Krakowie przede wszystkim przez Kazimierza Dobrowolskiego i kontynuowanej przez Władysława Kwaśniewicza, definiowane są one najczęściej jako ciągi zdarzeń inicjowanych co prawda (wprost lub pośrednio) także przez ludzi, to jednak wykraczających poza ich wolę i pożądane stany rzeczy w czasie przyszłym. Krzywicki pisał tak: „Każda faza rozwoju społecznego pozostawia po sobie puściznę, która płącze się i zlewa z puścizną okresów wcześniejszych. Z połączenia tych pierwiastków (...) tworzy się wpływowa kategoria czynników

rozwoju dziejowego (...). Do niej wchodzi najodmienniejsze składniki: urzędnicy polityczne i prawne, poglądy etyczne i estetyczne, wierzenia i systemy filozoficzne, zwyczaje życia rodzinnego, nawet usposobienia nasze i temperament (...) Istnieją wciąż, choć się przeżyły” (studium *Idea a życie*, wydane w 1888 r. przedrukowane m.in w zbiorze *Studia socjologiczne*, s. 60-90). Władysław Kwaśniewicz uzupełnia ten wywód, stwierdzeniem, iż spuścizna ta z reguły prowadzi do „wykształcenia się w społeczeństwie stanów nie antycypowanych” (Władysław Kwaśniewicz *Procesy żywiołowe*, Encyklopedia socjologii, tom 3, Oficyna Naukowa, Warszawa 2000: 213).

Jeśli tak, to dzisiejsi aktorzy działający w różnych obszarach życia publicznego nie tylko wywołują stany nie antycypowane przez siebie, lecz również sami są w różnoraki sposób uzależnieni od bagażu kulturowego, w tym żywiołowych konsekwencji procesów celowych inicjowanych przez ich poprzedników.

Kiedy będą te nie przewidziane stany i procesy naprawdę widoczne? Efekty większości dzisiejszych rozstrzygnięć prawnych oraz szeroko pojętych polityk prowadzonych przez państwa narodowe, a także ich wewnętrzne regiony, dadzą o sobie znać najprawdopodobniej za 10-20 lat. I wtedy znów przejawiają się jako syndromy kulturowe, z którymi przyjdzie się zmierzyć nie tylko kolejnym elitom władzy, lecz również zwykłym zjadaczom „chleba powszedniego”. Im więcej o tym wiemy i potrafimy przewidzieć, także to, co dziś wydaje się nieprzewidywalne, tym jesteśmy – i jako jednostki, i jako małe i wielkie wspólnoty – bezpieczniejsi.

Współcześnie żyć to nie po prostu trwać, jak dawniej bywało, lecz stawać się. Umieć reagować na zmiany – wspierać chciane i usuwać prawdopodobne przyczyny późniejszych procesów żywiołowych, które przyniosą z sobą skutki niezamierzone lub nieakceptowane, czy po prostu różne lub nawet *przeciwstawne temu, co było planowane* (por. Piotr Sztompka *The Dialectics of Spontaneity and Planning in Sociological Theory*, New York 1981:18).

Dziś, jeszcze bardziej wyraziście niż kiedyś, *żyć to znaczy myśleć*. I więcej: *Vita sine litteris more est*.

Intencją Stowarzyszenia „Kuźnica”, organizatora konferencji, wystąpienia z której drukuje ten numer „Zdania”, było sprowokowanie jej uczestników do zadumy nad tym, w jaki sposób w wyniku ludzkiej działalności, w tym konfliktów, *powstaje historia, która (...) stwarza człowieka*, a jednocześnie wywołuje *niezamierzone i nieprzewidywalne skutki* (Anthony Giddens *Socjologia. Zwięzłe, lecz krytyczne wprowadzenie*, Zysk i S-ka, Poznań 1989: 172).

Profesorowie uczestniczący w panelu szczególnie skupili się na globalnych procesach tworzących szeroko pojęty kontekst międzynarodowy współczesnych przeobrażeń Polski (Adam Rotfeld, Jerzy Pomianowski, Andrzej Romanowski) oraz prawdopodobnych drogach rozwojowych społeczeństwa i państwa polskiego do 2030 r. (minister Michał Boni, Henryk Domański oraz Jan Widacki).

Wszystkie wypowiedzi, niezależnie od przedmiotu, o którym traktowały, miały jedno pragmatyczne przesłanie, zgodne ze znaną maksymą: *trzeba przewidzieć przyszłość, bo przecież spędzimy w niej resztę życia!*...

HIERONIM KUBIAK

ANDRZEJ WALICKI

# CZY MOŻNA MÓWIĆ O „KOMUNIZMIE POLITYCZNYM”?

Artykuł Marka Zagajewskiego o *Dwóch koncepcjach komunizmu* („Zdanie” nr 3-4, 2010) porusza sprawę doskonale ilustrującą tezę Orwella o panowaniu nad językiem jako sposobie sprawowania władzy nad myślami i zachowaniami ludzi. Jest to sprawa manipulowania terminem „komunizm”, bezceremonialnego zmieniania jego treści w taki sposób, aby uczynić je synonimem „dziedzictwa PRL” i wykorzystać je dla wzmocnienia ideologicznej legitymizacji środowisk określających swą tożsamość przez radykalną negację tego dziedzictwa. Nie ulega bowiem wątpliwości, że definiowanie własnego stanowiska jako „antykomunizm” jest w Polsce wiele nośniejsze ideologicznie niż deklarowanie wrogości wobec PRL i pryncypialne odcinanie się od socjalizmu.

Zagajewski trafnie zauważył, że „w Polsce »komunizm« zaczął się w 1989 roku wraz z ogłoszeniem jego upadku” (s.40), dopiero wtedy bowiem powiedziano Polakom, że przed wyborami z 4 czerwca tegoż roku żyli w ustroju komunistycznym. Posłużenie się tą terminologią, mającą w Polsce silne konotacje negatywne, było na rękę post-Solidarnościowej elicie politycznej, dążącej do zmarginalizowania i wykluczenia z życia politycznego środowisk post-PZPR-owskich. Z upływem czasu stało się to również ulubionym sposobem dyskredytowania tych działaczy dawnej opozycji, których – w oczach „antykomunistycznych” radykałów – kompromitował lewicowy rodowód ideologiczny lub nazbyt późne zerwanie z pracą wewnątrzpeerełowskich struktur państwowych. Tym właśnie tłumaczy się (jak zauważył autor) „nasilanie obecności wyrazu »komunizm« i jego pochodnych w politycznym dyskursie, jaki współcześnie obowiązuje w publicznym narzeczu. (...) Czyli im dalej od PRL, tym więcej w nim komunizmu i jego negacji” (s.41).

Pisałem o tym wielokrotnie, a więc nie widzę potrzeby rozwijania tego wątku. Cytowany artykuł zawiera jednak ważną informację na temat genezy utożsamiania komunizmu z reżymami politycznymi krajów „bloku wschodniego”. One same, jak wiadomo, nie uważały swych państw za komunistyczne, ale jedynie „budujące komunizm” i wciąż jeszcze bardzo dalekie od realizacji tego celu. Nazwanie ich „komunistycznymi” było decyzją ich przeciwników, czyli liberalno-demokratycznych państw Zachodu, które w roku 1946, po słynnej mowie Churchilla w Fulton (5 marca 1946), zdecydowały się wstąpić na drogę „zimnej wojny” i w tym właśnie celu „wprowadziły do obiegu nowe rozumienie komunizmu” – komunizmu w sensie politycznym (s.44). Redukowało się ono do określenia „komunizmu” jako monopartyj-

nej dyktatury aspirującej do kontrolowania całokształtu ludzkiego życia – niezależnie od kryteriów gospodarczych (zniesienie gospodarki rynkowej) i społecznych (zniesienie klas), które uważano dotąd za decydujące.

Trudno zaprzeczyć, że w tym nowym sensie wszystkie kraje europejskie zdominowane przez stalinowski Związek Radziecki były już wówczas, w tej czy innej mierze, krajami komunistycznymi. Była to definicja arbitralna, a więc nie mógł jej zmienić fakt, że pozostawała w sprzeczności z kryteriami przyjętymi w międzynarodowym ruchu komunistycznym i w pełni uznawanymi również w ZSRR. Warto przypomnieć, że sam Stalin był jak najdalszy od utożsamiania stalinowskich reżymów z komunizmem, przeciwnie – zawsze podkreślał stadialny charakter „budownictwa komunizmu”, przestrzegając przed nadmiernym pospiechem w realizowaniu komunistycznego ideału.

W tym miejscu jednak kończy się moja zgoda z analizami Zagajewskiego. Twierdzi on bowiem, że w marksizmie nie ma wyraźnej wizji komunistycznego społeczeństwa przyszłości, a tym samym że nie może być kryteriów jasno określających co jest komunizmem, a co nim nie jest. Na poparcie tej tezy przytacza słowa Engelsa, który dwa lata przed śmiercią powiedział korespondentowi „Le Figaro”: „Ależ my nie mamy celu ostatecznego! Jesteśmy rewolucjonistami, wcale nie zamierzamy dyktować ludzkości jakichś praw ostatecznych” (s.43). Wyprowadza z tej wypowiedzi wniosek, że poglądy klasyków marksizmu nie mają nic wspólnego z „marksizmem-leninizmem” wcielonym w życie w ZSRR i w krajach „demokracji ludowej”.

Cóż... Marks i Engels bardzo lubili przedstawiać własne poglądy jako socjalizm naukowy, w którym nie ma miejsca na jakąkolwiek utopię. W rzeczywistości jednak rację ma Leszek Kołakowski przypominając, że „bez roszczeń do »naukowej znajomości« przyszłości marksizm nie jest sobą”.<sup>1</sup> Ta „naukowa” ponoć wiedza o przyszłości była utopią w postaci dużo gorszej niż utopie klasyczne, niewspierające się autorytetem nauki, przemawiała bowiem głosem nieznośnie apodyktycznym, nieznoszącym sprzeciwu, redukującym brak zgody do zwykłej ignorancji. Najdobitniejszym zaś tego przykładem są właśnie prace Engelsa; głosił on bowiem, że jego wizja przyszłości jest naukowym „rozumieniem konieczności”, a więc wiedzą pewną, nie życzeniową jedynie, lecz w pełni obiektywną i niepodważalną.

<sup>1</sup> L.Kołakowski, *Główne nurty marksizmu*, PWN, Warszawa 2009, t. 3, s. 522.

Bardzo znamienne jest jednak, że wypowiedzi Marksa i Engelsa na temat komunistycznej przyszłości stanowią dziś niemal zupełnie zapomnianą część ich spuścizny. W książce pt. *Marksizm i skok do królestwa wolności* wyraziłem pogląd, że odpowiedzialność za to ponoszą głównie sami marksiści, zarówno wschodni jak i zachodni, jedni i drudzy bowiem pragnęli odwrócić uwagę od ekstremizmu i niewiarygodnej po latach utopijności marksistowskiego komunizmu<sup>2</sup> – czasem czyniąc to zupełnie świadomie, w trosce o reputację wyznawanej doktryny, ale często po prostu dlatego, że marksizm jako teoria komunizmu nie bez racji stał się w ich oczach najmniej atrakcyjną częścią marksistowskiego dziedzictwa. Z drugiej strony przyczyniła się do tego również literatura marksologiczna, niedostrzegająca najściślejszego związku modnego problemu zniesienia alienacji z komunistycznym postulatem zniesienia rynku jako głównego źródła procesów alienacyjnych. Dobrym tego przykładem byli m.in. wschodnioeuropejscy „rewizjoniści”, filozofujący na temat zniesienia alienacji bez zdawania sobie sprawy, że z marksistowskiego punktu widzenia nie da się to pogodzić z sympatiami dla projektów urynkowania socjalizmu. Było to jaskrawym dowodem zapomnienia, że u podstaw marksistowskiego rozumienia komunizmu leżała idea całkowitego zniesienia gospodarki rynkowej.

Zastanawia fakt, że idei tej nie wyeksponowała m.in. wspaniała skądinąd synteza Kołakowskiego *Główne nurty marksizmu*. Kołakowski skoncentrował się na marksizmie jako „projekcie filozoficznym”<sup>3</sup>, poświęcił więc wiele uwagi myślicielom filozoficznie interesującym, ale mało wpływowym, w gruncie rzeczy ezoterycznym, takim jak Karl Korsch, Ernest Bloch i Lucien Goldman, pominął natomiast najważniejsze wypowiedzi Marksa i Engelsa na temat komunistycznej przyszłości – mimo że wywarły one olbrzymi wpływ, inspirowane ideologicznie wielki eksperyment komunistyczny w Rosji i jego reperkusje w innych krajach świata. Kolosalnie wyolbrzymił natomiast filozoficzne znaczenie Marksowskiej dialektyki, wywodząc ją z neoplatonizmu i mistyki niemieckiej, analizując w tym kontekście soteriologię Plotyna, chrześcijański platonizm, teogonię Eriugeny i dialektykę deifikacji Mistrza Eckharta, a jednocześnie zlekceważył lub wręcz pominął (choć trudno w to uwierzyć) teksty Marksa i Engelsa mówiące wprost o „celu ostatecznym” ruchu komunistycznego.

Zdawałem sobie z tego sprawę pisząc *Marksizm i skok do królestwa wolności*, zależało mi jednak na podkreśleniu komplementarności tej książki wobec dzieła Kołakowskiego, a nie na akcentowaniu różnic. Po kilkunastu latach, które upłynęły od anglojęzycznego wydania książki (1995) widzę jednak, że rozmiary polskich nieporozumień wokół komunizmu pozostają tak duże, że trzeba zrobić wszystko, aby im przeciwdziałać. Za krok w tym kierunku uważam wypunktowanie wspomnianych wyżej „pominięć” w dziele Kołakowskiego. Oto one:

1. Analizując Marksowski *Kapitał* pominął Kołakowski rozwiniętą w tym dziele koncepcję rozwoju podziału pracy, mającą ilustrować powstawanie wewnątrz ustroju kapitalistycznego fundamentów gospodarki planowej, W kapitalizmie bowiem – dowodził Marks – istnieją dwie

zasadniczo różne formy podziału pracy: racjonalny podział pracy wewnątrz fabryki i żywiołowy podział pracy w społeczeństwie. Wewnątrz poszczególnych fabryk produkcja i alokacja zasobów poddane są racjonalnemu planowaniu, w ramach ogólnospołecznych natomiast o sprawach tych decyduje „anarchia rynku”. „Despotyzm fabryczny” reprezentuje więc zasadę wyższą niż rynkowa „wolność”, będąca w istocie grą ślepych sił, całkowitą utratą kontroli nad zbiorowym losem. Przywrócenie tej kontroli, czyli przewyżczenie ekonomicznej alienacji, wymaga przeto całkowitej likwidacji gospodarki rynkowej, przekształcenia jej w gospodarkę „bezpóśrednio uspołecznioną” przez rozciągnięcie zasady planowości na całokształt życia społecznego. Inaczej mówiąc, całe społeczeństwo powinno stać się „jedną wielką fabryką”.

Realizacja tego ideału była w oczach Marksa dialektycznym powrotem na wyższym szczeblu do gospodarki naturalnej, nieznającej podziału na niezależne podmioty działalności gospodarczej dążące do różnych celów i mające sprzeczne interesy. Wyrazem tego poglądu była rozwinięta w *Kapitale* paralela między przyszłą gospodarką komunistyczną a działalnością gospodarczą Robinsona Crusoe. Podobieństwo polegać miało na tym, że w obu wypadkach w grę wchodził pojedynczy podmiot gospodarujący – jednostkowy w wypadku Robinsona, zbiorowy w wypadku komunistycznego kolektywu, ale w obu wypadkach wyposażony w „jednolitą wolę”; pracujący zgodnie w ustalonym planem.

Jak stąd wynika, błędny jest pogląd jakoby *Kapitał* nic nie mówił o socjalistycznym społeczeństwie przyszłości: mówił o tym bowiem kreśląc jakże sugestywną wizję eliminacji „anarchii rynku”, przekształcania społeczeństwa w „jedną wielką fabrykę”. Dla pierwszego pokolenia czytelników *Kapitału* jasne było, że z diagnozy tej wynika dla socjalistów wyraźny program działania. „Usunąć anarchię pozafabryczną, wprowadzając ścisłą organizację w zapotrzebowaniach i zaopiarowaniach społecznych”<sup>4</sup> – pisał o tym w Polsce Ludwik Krzywicki. Rozwinął tę myśl Program Erfurcki niemieckiej socjaldemokracji, Lenin zaś w *Państwie i rewolucji* uczynił ją jedną z głównych wytycznych swego rewolucyjnego programu. Ujmował to w słowach: „Wszyscy obywatele są pracownikami jednego, obejmującego kraj państwowego syndykatu. (...) Całe społeczeństwo staje się jednym biurem i jedną fabryką”<sup>5</sup>.

2. Drugą sprawą, niezmiernie ważną dla odtwarzania poglądów Marksa na ustrój komunistyczny, jest Marksowska *Krytyka Programu Gotajskiego*. O jej wyjątkowej ważności dobitnie świadczy fakt, że Lenin w *Państwie i rewolucji* nadał jej rangę najlepszego teoretycznego ujęcia problemu ustrojowych po zwycięstwie rewolucji proletariackiej, a zarazem obowiązującego dokumentu programowego dla swojej własnej partii. W dziele Kołakowskiego jednakże prezentacja tego tekstu jest tak zdawkowa, fragmentaryczna i nieścisła,<sup>6</sup> że jego znaczenie całkowicie uchodzi uwagi czytelnika.

<sup>4</sup> Cyt. wg H. Holland, *Ludwik Krzywicki nieznanym*, KiW, Warszawa 2007, s. 50.

<sup>5</sup> W. I. Lenin, *Państwo i rewolucja* [w:] Lenin, *Dzieła*, t. 25, s. 510,

<sup>6</sup> Patrz t. I, s. 309-310. Do rażących nieścisłości należy m.in. stwierdzenie autora, że wedle Marksa w pierwszym okresie po rewolucji „prawa ludzi są proporcjonalne do ich pracy”. W rzeczywistości Marks uzależniał od pracy wyłącznie prawo do wynagrodzeń, a nie prawa ludzi w ogóle.

<sup>2</sup> A. Walicki, *Marksizm i skok do królestwa wolności. Dzieje komunistycznej utopii*, PWN, Warszawa 1996, s. 15-16.

<sup>3</sup> Tamże, t. I, s. 5-6.

Kołakowski ma rację twierdząc, iż w *Krytyce Programu Gotajskiego* Marks „zwrócił uwagę na to, że konieczne jest założenie okresu przejściowego między rewolucją a spełnieniem się ostatecznym socjalistycznych nadziei” (I, 309). Istotnie, w pierwszym okresie po rewolucji, który Lenin nazwał „socjalizmem”, panować miała zasada nierównej płacy za nierówną pracę i dopiero w drugim okresie miał urzeczywistnić się komunistyczny ideał „każdy według zdolności, każdemu według jego potrzeb”. Nie miało to jednak nic wspólnego z postulatem ewolucyjnego przechodzenia od kapitalizmu do socjalizmu, przeciwnie, zerwanie z kapitalizmem miało być natychmiastowe, „skokowe”, przewidywana dwufazowość miała mieć miejsce w ramach ustroju postkapitalistycznego, który od samego początku miał nosić nazwę „komunizm”. Marks mocno podkreślał, że już w pierwszej fazie tego ustroju nie będzie jakiegokolwiek wymiany rynkowej, a więc że zniesienie rynku będzie pierwszym krokiem w kierunku komunizmu, a nie ostateczną konsekwencją komunistycznego rozwoju. Pieniądże zostaną zastąpione certyfikatami pracy, upoważniającymi do korzystania ze ściśle określonego asortymentu dóbr, a więc nie mogącymi przekształcać się w zniewalającą potęgę kapitału. Tym samym zasada racjonalnego planowania rozciągnięta byłaby również na sferę indywidualnej konsumpcji.

Lenin traktował te wskazania bardzo serio i próbował stosować je w praktyce. Program jego partii z marca 1918 roku proklamował m.in. zastąpienie handlu planową dystrybucją, przymus prowadzenia ksiąg, żeczek konsumpcyjnych, przymusową służbę pracy, przymusową organizację ludności w spółdzielniach produkcyjnych i spożywczych oraz eliminowanie obiegu pieniądza przez bezpośrednią wymianę produktów między miastem a wsią.

3. Do spraw zmarginalizowanych w dziele Kołakowskiego należy również najbardziej popularna i wpływa część spuścizny Engelsa, a mianowicie problematyka „naukowego socjalizmu” i „skoku do królestwa wolności”. W spisie treści dzieła nie ma rozdziału o „naukowym socjalizmie”, jest natomiast osobny rozdział o *Dialektyce natury*, czyli o filozoficznych poglądach Engelsa jako naturalistycznej wulgaryzacji filozofii Marksa. Jest to zrozumiałe w świetle ogólnego zamyśłu książki mającej być prezentacją marksizmu jako „projektu filozoficznego”, kłóci się jednak z kryteriami oceny historycznej dowodzącymi jednoznacznie, że recepcja marksizmu w międzynarodowym ruchu robotniczym zdominowana była przez popularyzację Engelsa, a w szczególności przez jego poglądy na temat „naukowości” socjalizmu.

W odróżnieniu od Marksa, dla którego klasyczny kapitalizm był przede wszystkim okresem wolnorynkowej „anarchii”, Engels patrzył na kapitalizm w optyce saint-simonistycznej, od samego początku kładącej nacisk na centralizację produkcji przemysłowej, wymagającej racjonalnego planowania w ramach coraz większych zakładów produkcyjnych. Mimo sprzeczności między „uspołecznioną produkcją” a „prywatnym przywłaszczeniem”, wielkie fabryki kapitalistyczne okazywały się w tym ujęciu swojego rodzaju wyspami gospodarki planowej na morzu wciąż jeszcze dominującej w skali ogólnospołecznej „anarchii rynku”. Działanie żelaznego prawa rozwoju przemysłowego – prawa centralizacji

i koncentracji kapitału reprezentowanego przez kapitalistyczne trusty i koncerny – coraz bardziej ograniczało rolę rynku. Zdaniem Engelsa była to tendencja ekonomicznie postępową, torująca drogę socjalistycznej gospodarce planowej. Engels dowodził nawet, że rozwój monopolistycznego kapitalizmu doprowadzi w końcu do eliminacji rynku i pieniądza w ramach ustroju kapitalistycznego; rynkowy sposób wymiany stanie się hamulcem produkcji, co zmusi władze państwowe do wstrzymania obrotu pieniężnego i przejęcia kierownictwa produkcji we własne ręce. Tym samym jednak ujawnione zostanie, że burżuazja stała się klasą społecznie zbędną. W tym momencie nieuchronną stanie się rewolucja socjalistyczna. Proletariat przejmie władzę polityczną i przekształci środki produkcji we własność publiczną. Będzie to zwycięstwem zasady planowej organizacji w skali ogólnospołecznej, uczynieniem człowieka panem własnych losów, „skokiem do królestwa wolności”.

Wywód ten, rozwinięty przez Engelsa w *Anty-Dühringu* i powtórzony w *Rozwoju socjalizmu od utopii do nauki* jest ważnym kluczem do zrozumienia bolszewickiej rewolucji w Rosji. Wyjaśnia on, dlaczego Lenin nie kierował się programem zarysowanym w *Manifestie komunistycznym* – programem, który nie przewidywał ani całkowitej nacjonalizacji środków produkcji, ani zniesienia rynku. Prace Engelsa, pisane później i uwzględniające wyższy stopień rozwoju kapitalistycznego wskazywały przecież niedwuznacznie, że eliminacja „anarchii rynku” jest priorytetowym zadaniem rewolucji socjalistycznej, ważniejszym nawet niż nacjonalizacja środków produkcji – własność kapitalistyczna bowiem, jak tego dowiódł kapitalizm monopolistyczny, może łączyć się ze świadomą, planową organizacją. Engelsowska teza o możliwości zniesienia rynku przy zachowaniu kapitalistycznych struktur produkcyjnych tłumaczy zainteresowanie Lenina ideą „kapitalizmu państwowego” w powojennej Rosji – ustroju, w którym wielcy kapitaliści organizowaliby produkcję, komuniści natomiast planowali i kontrolowali dystrybucję. Z Engelsa wreszcie wywodzi się pogląd Lenina na zdecentralizowaną drobną wytwórczość, czyli chłopską produkcję drobnotowarową jako główną ostoję dogłębnie wrogiej socjalizmowi żywiołowości rynku.

Potwierdza to oczywiście niegdyś, ale zapomnianą dziś tezę, że istotą ideologii komunistycznej był skrajnie utopijny, antyrynkowy fundamentalizm, a nie taki czy inny model dyktatury politycznej.

4. Do ważnych „pominięć” dzieła Kołakowskiego zaliczyć trzeba wreszcie prześlizgnięcie się nad faktem, że zarysowane wyżej poglądy były nieodłączną częścią programu socjaldemokracji niemieckiej, a więc największej, najlepiej zorganizowanej i najbardziej wpływowej marksistowskiej partii Drugiej Międzynarodówki. Kołakowski wspominał o jej Programie Erfurckim (1891), opracowanym i obszernie skomentowanym przez Kautsky’ego, nazwał go nawet „najczystszy wyrazem marksizmu w jego wersji ówczesnej” (t. II, s. 19). Nie zanalizował jednak, a nawet nie przedstawił treści tego programu, zamazując w ten sposób fakt, że był on dokumentem nie tylko marksistowskim, lecz również komunistycznym, zawierającym szczegółowo rozbudowaną wizję komunistycznego ustroju przyszłości. Przedstawiając poglądy Kautsky’ego skoncentrował się

na jego naturalistycznej, skrajnie deterministycznej interpretacji materializmu historycznego, zarzucając jej „zupelny brak zrozumienia problemów filozoficznych”, a w szczególności zignorowanie „epistemologicznego problemu wartościowania moralnego” (t. II, s. 43 i 47). Pominął jednak komentarz Kautsky’ego do Programu Erfurckiego, opublikowany w osobnej broszurze pt. *Zasady socjalizmu* (zaaprobowanej przez Engelsa)<sup>7</sup>, co zdeformowało wizerunek ideologiczny ówczesnej socjaldemokracji i uniemożliwiło wszechstronną ocenę ideowej ewolucji, która zaczęła dokonywać się w jej szeregach po śmierci Engelsa.

Program Erfurcki jest doskonałym przykładem możliwości godzenia skrajnego determinizmu historycznego, zakładającego nieuchronność procesu centralizacji gospodarczej i związanego z nią wyłączenia drobnych wytwórców, ze skrajnie utopijną wizją przyszłości, zapowiadającą z niezachwianą pewnością, że mechanizmy rynkowe ulegną całkowitej likwidacji, łącznie ze swobodnym rynkiem pracy, a całe społeczeństwo stanie się „jednym wielkim concernem”. Rezultat tego nieuchronnego ponoć rozwoju miał być „naturalizacja” stosunków ekonomicznych, czyli powrotem w makroskali i na wyższym szczeblu do gospodarki naturalnej społeczeństw pierwotnych. Innymi słowy, był to program realizacji w granicach jednego kraju marksistowskiej wizji komunizmu: wizji „scentralizowanej gospodarki naturalnej”, zastępującej produkcję towarową produkcją „bezpośrednio uspołecznioną”, czyli obywatelką się bez rynku, likwidującą obrót pieniężny, zastępującą handel wymianą produktów i usług w naturze i w ten sposób zabezpieczającą ludzi przed zniewoleniem przez rzeczy.

Węgierski uczonec László Szamuely, zwolennik „socjalistycznej gospodarki rynkowej”, zwrócił uwagę na podobieństwo tych idei do bolszewickiej polityki gospodarczej z okresu pierwszych trzech lat po rewolucji<sup>8</sup>. Podkreślił przy tym tak drastyczne szczegóły programu SPD jak np. postulat zastąpienia chłopskich podatków „usługami w naturze” (jak w feudalizmie!) lub zredukowania do minimum handlu zagranicznego w celu uczynienia społeczeństwa socjalistycznego maksymalnie samowystarczalnym. Wyprowadził stąd wniosek, że rewolucja bolszewicka próbowała zrealizować reakcyjny ekonomicznie program socjaldemokracji niemieckiej i że to właśnie było główną przyczyną wszystkich jej kolejnych niepowodzeń.

W jakiejś mierze było to niewątpliwą prawdą. Trzeba jednak pamiętać, że w czasie pierwszej dekady XX wieku socjaldemokraci niemieccy szybko odchodzili do marksistowskiego komunizmu. Walkę z Bernsteinowskim rewizjonizmem toczyli w obronie materializmu historycznego, nakazującego liczyć się z rzeczywistością, a nie w imię komunistycznej utopii. Lenin natomiast, rozczarowany się do towarzyszy niemieckich z powodu zdrady w roku 1914 proletariackiego internacjonalizmu, rozstrzygnął konflikt między materialistyczną teorią rozwoju społecznego a komunistyczną utopią na rzecz tej ostatniej. W kwietniu 1917 roku zaproponował więc swej partii formalne porzucenie naukowo niepoprawnej, mylącej i historycznie (jego zda-

niem) zhańbionej nazwy „socjaldemokracja”, nazwanie się (zgodnie z postulatami Engelsa z 1894 roku) „partią komunistyczną” oraz podjęcie walki o bezpośrednie przejście do socjalizmu, a następnie do komunizmu.

Możemy teraz powrócić do propozycji Marka Zagajewskiego, aby odróżnić „komunizm społeczny”, czyli komunizm w klasycznym, historycznym sensie tego terminu, od „komunizmu politycznego”, czyli komunizmu w sensie monopolistycznej władzy jednej partii – przy założeniu, że partia ta powiązana jest genetycznie z tradycją ruchu komunistycznego.

Koncepcja awangardowej partii komunistycznej, powołanej do przewodzenia „pracującym masom” i obciążonej misją zrealizowania komunistycznego ideału sformułowana została już przez Babeuf’a, ale nie stała się częścią marksistowskiego komunizmu. Marks i Engels wyraźnie odrzucili ją w *Manifestie komunistycznym* i nie wrócili do niej również wtedy, gdy zaczęli posługiwać się pojęciem „dyktatura proletariatu”. „Dyktatura” ta bowiem, podobnie jak będąca jej prototypem Komuna Paryska, miała być dyktaturą klasy robotniczej, a nie jakiejś jej reprezentacji, w warunkach swobodnej rywalizacji politycznej różnych lewicowych partii. Koncepcja dyktatorskiej władzy zdyscyplinowanej, hierarchicznie zorganizowanej partii przywódczej, tępiącej w swych szeregach wszelkie „odchylenia” ideologiczne, stworzona została dopiero przez Lenina. Ma się rozumieć, Lenin uważał władzę takiej partii za najskuteczniejszy środek walki o komunizm, a nie za istotę komunizmu. Wizję komunizmu, którą pragnął urzeczywistnić, przyjął od twórców marksizmu, szczególnie zrekonstruowawszy ją w *Państwie i rewolucji*. Definiowała ona komunizm jako ustrój zastępujący „anarchię rynku” gospodarką planową, zapewniającą społeczeństwu całkowitą kontrolę nad zbiorowym losem, a więc wyzwalamą ludzi spod despotycznej władzy ślepych sił ekonomicznych, umożliwiającą rozkwit sił gatunkowych ludzkości i stwarzającą warunki realnej równości społecznej.

W *Marksizmie i skoku do królestwa wolności* skoncentrowałem się na groźnych niebezpieczeństwach tej wizji. Jak wykazało doświadczenie XX wieku, utożsamianie emancypacji społecznej z totalną, racjonalnie zaplanowaną kontrolą nad życiem gospodarczym, eliminującą żywiołowość rozwoju przez wprężenie całej energii społecznej w służbę ideologicznie określonego celu, łatwo przekształcało się w legitymizację systemu totalitarnego, przekreślającego nie tylko wolność polityczną, lecz również elementarną podmiotowość jednostki. To ponure doświadczenie nie uzasadnia jednak drastycznej zmiany treści pojęcia „komunizm”. Przeciwnie! Późniejsze doświadczenia historyczne wykazały przecież (co również starałem się pokazać), że reżymy monopartyjne mogły zachować swą strukturę polityczną mimo erozji ideologii, która powołała je do życia, mimo utraty zdolności mobilizowania społeczeństwa na rzecz „budowy komunizmu” i mimo braku we własnych szeregach woli politycznej, potrzebnej do realizacji tak trudnego zadania. Czy reżymy takie można nazwać komunistycznymi tylko dlatego, że niegdyś nimi były? Nie sądzę. Tym bardziej, że regułą było w ich wypadku ratowanie swego istnienia przez podejmowanie prób urynkowania

<sup>7</sup> K.Kautsky, *Zasady socjalizmu*, Londyn 1892.

<sup>8</sup> Oatrz L. Szamuely, *First Model of the Socialist Economic Systems*, Akadémiai Kiadó, Budapest 1974, rozdz. II.

gospodarki, a więc, *ex definitione* niejako, przez odwołanie od programu „budownictwa komunistycznego”.

Sprawa ta dyskutowana była w zachodniej literaturze politycznej, zwłaszcza „marksizującej”. *Słownik myśli marksistowskiej*, wydany w Anglii w stulecie śmierci Marksa wyróżnił cztery etapy odpowiedzi na pytanie o charakter krajów „realnego socjalizmu”, czyli Związku Radzieckiego i „demokracji ludowych”. Pierwsza odpowiedź określała ustroje tych krajów zgodnie z oficjalną doktryną radziecką – jako ustroje już socjalistyczne, ale reprezentujące różne fazy budowy komunizmu. Drugi typ odpowiedzi, inspirowany głównie przez teorię Trockiego, traktował te ustroje jako socjalistyczne w swej podstawowej strukturze, ale zahamowane w rozwoju przez biurokrację. Odpowiedzi trzeciego typu, głoszone głównie przez marksistowskich radykałów, definiowały Związek Radziecki i jego satelitów jako kraje, które po śmierci Stalina zdradziły rewolucję i wstąpiły na drogę restauracji kapitalizmu. W ostatniej grupie wreszcie znalazły się próby zaklasyfikowania państw bloku radzieckiego jako reprezentujących nowy typ ustroju klasowego, różny od kapitalistycznego, ale równie eksploatacki wobec mas pracujących.<sup>9</sup>

Zwróćmy uwagę, że również pierwsza z wymienionych odpowiedzi uzależniała uznanie państw bloku radzieckiego za socjalistyczne od ich zaangażowania na rzecz budowy komunizmu w marksistowskim sensie tego słowa. O tym zaś, żeby uznać któreś z tych państw za „komunistyczne” nie mogło być mowy. Nazywanie PRL-u państwem komunistycznym, jak czyni to dziś nagminnie polska prasa, uznane byłoby albo za przejaw totalnej ignorancji, albo za żenująco naiwne uleganie zimnowojennej propagandzie.

Dziś sprawy mają się inaczej, zamęt pojęciowy wokół „komunizmu” znacznie się powiększył. Walnie przyczyniła się do tego ofensywa ideologiczna prawicy, rozzuchwalonej rozwiązaniem ZSRR i tropiącej „komunizm” tam, gdzie go już od dawna nie było. Skrajne formy przybrało to w naszym kraju, ale w jakiejś mierze przeniknęło również do zachodniej publicystyki, a z niej przedostało się nawet do poważnej literatury politologicznej. Zrozumiałe jest więc, że znany oxfordzki uczyony Archie Brown, autor wydanego niedawno dzieła *The Rise and Fall of Communism* poczuł się zobowiązany do podjęcia próby ponownego zdefiniowania „komunizmu”. Uczynił to wymieniając sześć „definicyjnych cech” komunizmu. Warto omówić tę rozbudowaną definicję<sup>10</sup>.

Pierwszą cechą komunizmu jest wedle tego ujęcia monopolistyczna władza partii komunistycznej. Drugą – „demokratyczny centralizm”, wyposażający przywódcę partii w atrybuty wodza. Trzecią i czwartą – niekapitalistyczna własność środków produkcji i gospodarka nakazowo-rozdzielcza. Piątą – uznanie za legitymizację i cel władzy budowę społeczeństwa komunistycznego. Szóstą wreszcie – poczucie przynależności do międzynarodowego ruchu komunistycznego. Cechy te, jak podkreśla autor, nie muszą występować wszystkie razem, mogą być w jakiejś mierze rozłączne. Szczególnie ciekawy jest pod tym względem przypa-

dek współczesnych Chin, będących państwem komunistycznym z punktu widzenia pierwszej definicyjnej cechy komunizmu, ale zdecydowanie niekomunistycznym z punktu widzenia cechy trzeciej i czwartej.

Punkty te dobrze ilustrują współczesne skojarzenia związane z coraz bardziej zróżnicowanym rozumieniem „komunizmu”. Nie tworzą jednak spójnej, dającej się obronić koncepcji komunizmu w skali ogólnohistorycznej. Nie mogło być inaczej, skoro autor – znakomity znawca biografii politycznej Gorbaczowa i problemów ZSRR w okresie „pierestrojki” – zredukował całą historię przedradzieckiego ruchu komunistycznego do pierwszych kilkudziesięciu stron niemal 700-stronicowej książki, poświęcając trzy czwarte dzieła problemowi komunizmu w okresie zimnowojennej konfrontacji dwóch światowych systemów. Siłą rzeczy uczyniło go to podatnym na wpływ zimnowojennego rozumienia komunizmu, czyli na określenie przeciwnika liberalnego Zachodu w kategoriach politycznych. Trzeba jednak dodać, że zachował należyty dystans wobec antykomunistycznego triumfalizmu lat dziewięćdziesiątych. Podkreślił na przykład, że rozmotowanie komunizmu w ZSRR dokonało się już w czasach Gorbaczowa, a nie dopiero pod prezydenturą Jelcyna<sup>11</sup>. Przychylił się również do poglądu, że współczesne Chiny są już krajem postkomunistycznym<sup>12</sup>.

#### SPRÓBUJMY PODSUMOWAĆ

Zagajewski trafnie wskazał różnicę między dwoma koncepcjami komunizmu, zwracając uwagę na rozpoznanie się nowego „politycznego” znaczenia tego terminu. Nie przekonał mnie jednak co do prawomocności pojęcia „komunizm polityczny”. Prawdą jest oczywiście, że znaczenie pojęć ulega ewolucji, zmieniającej ich konotacje i zakres, ale zmiany takie nie powinny kolidować z zasadniczym, rdzennym znaczeniem słowa. Termin „komunizm” w użyciu bezprzymiotnikowym ma długą tradycję, o której nie należy zapominać pod groźbą zupełnego niezrozumienia tragicznych losów XX wieku. Termin „komunizm polityczny” zrywa z tą tradycją, zamazuje bowiem symetryczną przeciwstawność między „komunizmem” a kapitalizmem, pozwala mówić o „komunistach” w roli propagatorów gospodarki rynkowej i o państwach politycznie komunistycznych, a gospodarczo kapitalistycznych, jak np. Chiny. Ponadto koncepcja komunizmu „politycznego” ma genezę zimnowojenną, uwikłaną w walkę polityczną, co nie jest dobrą rekomendacją jego zalet jako narzędzia poznawczego. Kolejnym deformacjom uległa ona w schyłkowym okresie „realnego socjalizmu”, pod wpływem wojującego „antykomunizmu”, skłonnego sprowadzać kwestie ustrojowe do jednej tylko sprawy: kto mianowicie dźrzy ster władzy.

Pozostańmy więc przy pojmovaniu komunizmu jako formacji ideologicznej i jako wielkiego ruchu o cechach millenarystycznych. Określajmy słowem „komunizm” ideologię tego ruchu i jego deklarowany, lecz nie urzeczywistniony cel, zdając sobie sprawę, że był to cel utopijny i nieosiągalny.

ANDRZEJ WALICKI

<sup>9</sup> Patrz *A Dictionary of Marxist Thought*, wyd. Tom Bottomore, Blackwell, Oxford 1983, hasło „Socialism”, s. 444-446.

<sup>10</sup> Archie Brown, *The Rise and Fall of Communism*, Harper Collins, New York 2009, s. 105-114.

<sup>11</sup> Tamże, s. 503 i 518.

<sup>12</sup> Tamże, s. 606.

KRZYSZTOF GAWLIKOWSKI

# ROSJA Z POLSKIEJ I EUROPEJSKIEJ PERSPEKTYWY

Polaka przybywającego do Europy Zachodniej często razi i zaskakuje stosunek do Rosji. Kraj ten fascynował tam od stuleci miejscowe elity, nawet kiedy była to „Rosja Sowiecka”, i wcale nie musiało się to wiązać z wpływami lewicowymi. Było to przecież nieraz pokłosiem dawnych sojuszków z carami i zachwytów dla „wspaniałości rosyjskich”, co było nieraz silne również na pracy. Rzecz jasna, iż miejscowe partie komunistyczne, nieraz wpływowe i silne, utożsamiały się z Sowietami i tradycją komunistyczną w stopniu niewyobrażalnym nawet dla gorliwych członków PZPR, a podobny do dawnych – wybitych w większości przez Stalina oraz nazistów – członków przedwojennej Komunistycznej Partii Polski. Owi ideowi komuniści propagowali, rzecz jasna, wszystko co sowieckie i rosyjskie! Ale nie należy takich postaw utożsamiać z całą lewicą. To właśnie wielu tamtejszych lewicowców reprezentowało przez dziesięciolecie najbardziej radykalne postawy antysowieckie! Socjaliści włoscy czy francuscy przejawiali o wiele gorętszy „wojujący antykomunizm” niż tamtejsze partie centroprawicowe. A byli tam jeszcze trockiści, anarchiści, zieloni, wszyscy w wyborach konkurujący z komunistami.

Oto pouczający przykład dotyczący Polski: w 1987 r., po złagodzeniu restrykcji stanu wojennego, Włochy jako pierwszy kraj Zachodu zaakceptowały nieoficjalną wizytę gen. W. Jaruzelskiego. Wtedy najostrzej przeciwko jego przybyciu protestowali postfaszyści Gianfranco Finiego, sami określający się jako „socjaliści narodowi” (przeprowadził on ich do „narodowej prawicy” i dzisiaj współrządzą krajem). Z drugiej strony przyłączyła się do fali krytyki znana - komunistyczna, ale rebeliancka wobec partii - grupa „Il Manifesto”, protestowali też umiarkowanie socjaliści. Natomiast rządząca chrześcijańska demokracja i jej media wychwalały generała jako „drugiego Piłsudskiego”. Dodajmy, że to Jan Paweł II chciał się spotkać z generałem na terytorium niekontrolowanym przez Sowietów, by porozmawiać z nim „jak Polak z Polakiem”, więc poparcie chadecji dla tej wizyty było zagwarantowane, ale nadzwyczajne peany pod adresem polskiego dygnitarza były już własnym dorobkiem włoskiej prawicy. W tej sytuacji komuniści włoscy pozostawać mogli w cieniu, nie popisując się wcale poparciem dla kontrowersyjnego generała. Chociaż włoska partia komunistyczna utrzymywała, rzecz jasna, bliskie stosunki z Moskwą i komunistyczną Warszawą, to organizacje z nią związane, jak np. centrala związkowa CGL, wyrażnie i różnorodnie popierały nielegalną wtedy „Solidarność”.

Dla zachodniego Europejczyka Rosja to wielkie mocarstwo europejskie, a w historii ważny partner najroz-

maitszych politycznych rozgrywek i sojuszków, chociaż zdarzały się też konflikty z nim. Państwo to przy tym rzadko najeżdżało kraje Zachodu, częściej samo bywało ofiarą najazdów z ich strony (Francji Napoleona, kaiserowskich Niemiec w I wojnie światowej, a nazistowskich w II, zaś nieco wcześniej ograniczonej interwencji zbrojnej – głównie brytyjskiej – po rewolucji bolszewickiej). Najazdy na Rosję zawsze kończyły się jednak dla agresorów bolesnymi klęskami. Oczywiście, Rosja była konkurentem w rozmaitych interesach, ale zwykle można było się z nią dogadać rozdzielać sfery wpływów w Europie czy w Azji. Kraj ten fascynował przy tym swoim potencjałem i skalą swoich zasobów, możliwych zysków oraz korzyści, jak też wspaniałą i oryginalną kulturą, bez której trudno sobie nawet wyobrazić kulturę europejską.

Rosja fascynowała również „egzotyką Wschodu”, ale „naszego Wschodu”, w którym Inny był podobny i zrozumiały, inaczej niż Turcy, Arabowie albo tym bardziej Chińczycy. Rosja wydawała się wprawdzie zacofana i „dosyć dzika”, ale – co bardzo istotne – były tam wpływy od stuleci „elity proeuropejskie”, mówiące zachodnimi językami, fascynujące się zachodnimi zdobyczami i chcące wprowadzać w swoim kraju „postępowe wzorce zachodnie”! Zachodni Europejczyk ze „słowianofilami” i obrońcami tradycji prawosławnych rzadko miał do czynienia, bo oni o rozmowy z nim i kontakty nie zabiegali, jak to czynili rosyjscy miłośnicy Zachodu. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że ci ostatni mają o wiele mniejsze poparcie społeczne<sup>1</sup>. Przybysz z Zachodu czuł się więc docenionym przez Rosjan i słuchanym nauczycielem, który mógł przy tym nieźle jeszcze zarobić albo nawet robić w Rosji karierę.

Pamiętajmy, że przez stulecia blisko współpracowały z Rosją różne państwa europejskie, zwłaszcza państwa niemieckie i Prusy. Romanowowie, spowinowaceni z połową europejskich rodów panujących, żon dla następców tronu często szukali właśnie w Niemczech, a biedne księżniczki stamtąd zdobywały nieraz w Rosji majątki i znaczenie. Najwybitniejszą z nich była bezsprzecznie Sophie Friederike Auguste von Anhalt-Zerbst-Dornburg, urodzona w niemieckim wtedy Szczecinie, znana później jako caryca Katarzyna II, zwana też Wielką (panowała 1762-96), która rozpoczęła modernizację Rosji. Duża część carskiej Akademii Nauk miała za swój ojczysty język – niemiecki. Budowało impe-

<sup>1</sup> Świetne analizy różnych nurtów myśli rosyjskiej przeprowadzał np. Andrzej Walicki. Patrz np. jego: *Zarys myśli rosyjskiej. Od Oświecenia do renesansu religijno-filozoficznego*, Wydawnictwo UJ, Kraków 2005.

rium rosyjskie wielu generałów i dostojników – różnych Niemców na służbie carskiej (także z należącej do nich Kurlandii czy spośród Niemców nadwołżańskich). Może nie było przypadkiem, że rozbiory Polski przeprowadziła wspomniana caryca na spółkę z dobrze jej znaną arystokracją niemieckojęzyczną z Prus i Austrii. Te trzy ówczesne potęgi potem wspólnie utrzymywały panowanie nad podzielonymi ziemiami polskimi przy pełnym poparciu innych mocarstw europejskich, które też prowadziły politykę podbojów i dominacji. Nawet Układ Monachijski (1938), pakt Ribbentrop-Mołotow (1939) czy układy w Jaltcie i Poczdamie – dla Polaka „zbrodnicze” – były dla Europejczyka elementami zwykłej polityki mocarstwowej.

Komuniści zachodnioeuropejscy propagowali „osiągnięcia sowieckie” właśnie w takim kontekście historycznym. Pamiętano przy tym dobrze, że marksizm i komunizm zrodziły się w Europie Zachodniej i rozwijały europejski duch Oświecenia. Lenin (1870-1924) był zatem dla nich następcą Piotra Wielkiego (1682-1725), podobnie jak on okcydentalizującym Rosję i wprowadzającym tam „najbardziej postępowe idee Europy”. Komunista z Zachodu kulturował więc swoje rodzime ideały i tradycje, jedynie jakoś tam modyfikowane czy nawet wypaczone przez Stalina. Znalezienie się w „rodzinie bratnich postępowych narodów” forsowanej przez Rosję Sowiecką byłoby spełnieniem jego pragnień, nie zdradą swego narodu ani cywilizacji zrodzonej w Europie. Było przecież jasne, że Niemcy, Francja czy Włochy rządzone przez komunistów zachowają swoją niepodległość, a może nawet umocnią swoją pozycję. A, jak pamiętamy, polskie podejście było radykalnie odmienne: komunizm był utożsamiany ze „wschodnim barbarzyństwem” i traktowany jako narzędzie tego samego od wieków, agresywnego, rosyjskiego imperializmu stanowiącego podstawowe zagrożenie dla polskiego bytu narodowego. Obok epopei rewolucyjnej w Rosji dla zachodniego komunisty ważną była także wojna domowa w Hiszpanii. Wyrazem tej lewicowo-robotniczej tradycji, zwłaszcza walki z faszystami, była np. popularna pieśń włoska *Bandiera rossa* („Czerwony sztandar”), pierwotnie z 1908 r., ale z wieloma późniejszymi przeróbkami w różnych krajach. W Polsce komunizm tego typu – ideowy i kulturowy – był po II wojnie światowej w zasadzie zupełnie nieznany (pamięć o nim kulturowało tylko nieliczne środowisko dawnej KPP).

Zimna wojna (1948-90) była pierwszą w historii konfrontacją Rosji Sowieckiej z całym Zachodem i stanowiła smutny wyjątek w wielusetletniej historii stosunków wzajemnych. Stąd fascynacja Gorbaczowem, który postanowił zakończyć tę konfrontację, ofiarując pokój i współpracę bez żadnych targów, oddając dobrowolnie i jednostronnie uznaną przez Zachód strefę sowieckich wpływów. Warto też pamiętać, że mocarstwa Zachodu były przeciw podziałowi Związku Sowieckiego, widząc w tym przede wszystkim zagrożenie dla światowej i europejskiej stabilności, zwłaszcza ze względu na posiadanie przez Moskwę broni nuklearnej. Można dodać, że podobnie przedtem ze wszystkich sił starały się zapobiec rozpadowi Jugosławii. Stabilność była w praktyce naczelną wartością polityki rządów europejskich i dla niej poświęcano wszystko inne.

Rozpad Związku Sowieckiego dokonał się zatem wbrew stanowisku państw zachodnich, podobnie jak zjednoczenie Niemiec przez oddanie Zachodowi fak-

tycznie okupowanej przez Sowieców NRD. Wcześniej to chyba prezydent Francji François Mitterand (rządził 1981-95) ironicznie mawiał, iż tak lubi Niemcy, że chciałby mieć przynajmniej dwa takie państwa. Inni politycy europejscy żartobliwie definiowali cele NATO następująco: *to have the Americans in, the Germans down, and the Russians out*, co można by przetłumaczyć swobodnie jako: „utrzymać Amerykanów w Europie, Niemców w pokorze, a Sowieców na zewnątrz”. Francesco Cossiga (prezydent Włoch 1985-92) mawiał na prywatnych naradach: budowa zjednoczonej Europy służy przede wszystkim „europeizacji Niemiec, by uniknąć germanizacji Europy”. Wbrew zamiarom ich wszystkich, nawet i Stanów Zjednoczonych, wraz ze zjednoczeniem Niemiec, nawet tak trudnym i kosztownym, jakim się ono okazało, wyrósł w Europie nowy gigant. Ale pamiętajmy: najpierw to przede wszystkim Rosja go zniszczyła, a na przełomie lat 80. i 90. – znowu ofiarowała wielkość. Relacje Niemiec z Rosją zawsze były nader bliskie, choć skomplikowane.

Polityka mocarstw zachodnich wobec Rosji była w ostatnich dziesięcioleciach rozmaita. Oczywiście podczas zimnej wojny wszystkie one dążyły do ograniczenia wpływów Moskwy i osłabienia bloku sowieckiego. Stany Zjednoczone, z ich wizją walki Dobra z Imperium Zła (lansowaną przez Ronalda Reagana, prezydenta USA w latach 1981-89), z mesjanistyczną polityką szerzenia demokracji i praw człowieka, propagowały wprowadzenie liberalnej demokracji oraz gospodarki rynkowej w świecie całym, co oznaczać musiało również zdemokratyzowanie Rosji na „na wzór Zachodu”. Forsowanie obydwu takich przemian samo przez się miało osłabiać i dezorganizować system komunistyczny oraz obóz sowiecki, tym bardziej iż popierano wszelkie formy opozycji w nim. Mocarstwa europejskie zachowywały pod względem takich ideologicznych deklaracji większą powściągliwość. Akceptowały wprawdzie stosowanie ideologii wolnościowej dla walki z blokiem sowieckim, ale mając swoje dawne doświadczenia z Rosją i z koloniami wiedziały, że zazwyczaj nie daje się przenosić łatwo wzorców europejskich do innych kultur. A nawet kiedy do tego dochodzi, jak w przypadku Japonii czy Indii – ma to zwykle dość fasadowy charakter, a dany kraj i tak zachowuje swoje rozliczne tradycje.

Załamanie się prób politycznej i gospodarczej przebudowy Rosji na wzór zachodni w latach 90. XX w. nie wywołało więc w Europie zbyt głębokiego rozczarowania, może poza kręgami intelektualnych pięknoduchów i politycznych fantastów. Stąd też zazwyczaj Rosję zaprasza się do współpracy z NATO i UE, ale nie snuje się utopijnych projektów jej członkostwa w tych organizacjach nawet w odleglejszej, choć przewidywalnej, przyszłości. I oczywiście zawsze pozostaje problem skali tego państwa: używając metafory Churchilla można by powiedzieć, że europejska gęś nie może połączyć Rosji, bo by się musiała rozpęknąć, o czym wszyscy doskonale wiedzą. Jak to niekiedy ujmuje się, mogłoby to w istocie prowadzić do przyłączenia Europy do Rosji, nie zaś odwrotnie. A to dla Europejczyków jest nieakceptowalne.

Ukazywanie Rosji przez Polaków jako odwiecznego agresora zagrażającego wszystkim – bywa zatem traktowane w Europie jako aberracja i przejaw patologicznej rusofobii, chociaż wielu polityków i intelektualistów rozumie, że jest ona rezultatem wyjątkowo tragicznej

historii Polski. Nie wszystkie jednak państwa traktują Rosję równie życzliwie. Adam D. Rotfeld, były minister spraw zagranicznych Polski i wieloletni dyrektor Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem, a obecnie współprzewodniczący polsko-rosyjskiej Komisji do Spraw Trudnych, analizując w 2008 r. – po krótkotrwałej wojnie rosyjsko - gruzińskiej – stosunek do Rosji państw europejskich podzielił je pod tym względem na cztery grupy. Do pierwszej, stale popierającej Rosję, zaliczył Grecję i Cypr. W drugiej, o postawie życzliwej, choć umiarkowanej krytycznej, wymienił największe demokracje zachodnie: Francję, Niemcy, Hiszpanię oraz Włochy (wspominając jeszcze w ich przypadku cieplejsze niż zazwyczaj stosunki ze względu na prywatne związki premiera Berlusconi z Putinem). Trzecią, najliczniejszą grupę tworzą, według niego, państwa małe, zachowujące pewną powściągliwość w manifestowaniu swego krytycyzmu wobec Rosji i dbające o dobre stosunki z nią, jak Austria, Węgry, Słowacja, Bułgaria i inne. Dbają one przede wszystkim o swoje interesy gospodarcze i unikają wszystkiego, co mogłoby im zagrozić. Wreszcie grupa czwarta to państwa, które „wobec Rosji zajmują stanowisko jednoznacznie krytyczne”. A są to Polska, W. Brytania, Szwecja i republiki bałtyckie (czyli Łotwa, Litwa i Estonia) oraz wtedy także Czechy (które zazwyczaj przynależą raczej do poprzedniej grupy)<sup>2</sup>. Dlaczego te państwa właśnie ulegają antyrosyjskim fobiom, to już inna kwestia, na której rozważanie nie ma tu miejsca. Te charakterystyki Rotfelda wydają się słuszne do dzisiaj.

W 2010 r., w wywiadzie dla tygodnika „Przegląd” Rotfeld, sumując najnowsze tendencje w podejściu całego Zachodu do Rosji, stwierdził wręcz:

*Na Zachodzie nastawienie do Rosji jest w ostatnich latach bardzo pozytywne, panuje fascynacja Rosją – nigdy tak życzliwego podejścia nie było. W środowiskach opiniotwórczych przeważa pogląd, że Rosję trzeba włączyć do euroatlantyckiego systemu bezpieczeństwa – z Rosją trzeba współpracować. Program takiej współpracy z Rosją przedstawił 18 września [2009 r.] w Brukseli nowy sekretarz generalny NATO Anders Fogh Rasmussen. Mówił o tym również prezydent Barack Obama i sekretarz stanu Hilary Clinton. Pojawiły się dziesiątki raportów o tym, w jaki sposób zaangażować i włączyć Rosję do systemu międzynarodowego bezpieczeństwa opartego na współpracy.<sup>3</sup>*

Widać więc wyraźnie, jak bardzo nastawienia Polski i rzekome prawdy głoszone przez jej elity polityczne oraz dziennikarskie rozmiągają się z nastawieniami i realną polityką państw zachodnich. Przyjmując postawę misjonarską i pouczając Zachód o „wiecznej agresywności Rosji”, jak również o rzekomych zagrożeniach z jej strony – politycy polscy jedynie kompromitują się i potwierdzają obiegowe opinie o „antyrosyjskim oszołomstwie Polaków”.

Hubert Vedrine, minister spraw zagranicznych Francji w latach 1997-2002, w wywiadzie dla jednej

z polskich gazet, a więc z pewną kurtuazją dyplomaty, tak mówił o polityce wobec Rosji:

*Dla większości krajów Europy Zachodniej Moskwa nie stanowi szczególnego problemu, od kiedy nie istnieje ZSRR. Natomiast w krajach kiedyś zdominowanych przez ZSRR [dodajmy: nie wszystkich, KG] Rosja budzi nieufność i dlatego nie jesteśmy w stanie stworzyć wspólnej polityki wobec Moskwy (...) wszystko, co pozwala poprawić relacje Warszawy i Moskwy, jest istotne dla Europy.*

*Musi istnieć równowaga sił. Z jednej strony jest NATO, z drugiej polityka obronna Rosji (...) im bardziej Rosja będzie zintegrowana ze światowym systemem gospodarczym i strategicznym, tym bardziej będzie zainteresowana pokojową polityką.*

*Rozumiem obawy Polski, ale nie widzę żadnego scenariusza, w którym Rosja, członek G8 i G20, państwo potrzebujące inwestycji i technologii zagranicznych, zagroziłoby Polsce, członkowi NATO.*

*Dobrze się stało, że Prezydent Obama zrezygnował z projektów administracji Busha, które z punktu widzenia Rosji były prowokacją. Uważam, że budowa tarczy antyrakietowej w Polsce była pomysłem idiotycznym, podobnie jak rozszerzanie NATO o Gruzję.*

Swoje rozważania skończył uwagą o fundamentalnym znaczeniu, wskazując na zmniejszającą się rolę Zachodu w świecie, o czym elity polskie nie chcą nawet słyszeć.

*Zachód, który dominował przez pięć wieków, nie ma już monopolu na władzę i bogactwo. Natomiast w dalszym ciągu po obu stronach Atlantyki pokutuje myślenie, że Amerykanie dominują w gospodarce, finansach i zbrojeniach, a Europejczycy żyją w przekonaniu o swojej wyższości w kulturze i obronie praw człowieka.*

*Zachód jest nadal ważny, ale skończyła się jego dominacja. Obama to rozumie, choć Amerykanie jeszcze nie<sup>4</sup>.*

Istotnie, Stany Zjednoczone dominują wciąż militarnie nad światem, ale można zapytać, jak długo jeszcze to potrwa przy rosnącym gwałtownie zadłużeniu tego kraju? Największe rezerwy finansowe posiadają Azjaci, Chińczycy i Japończycy, a Amerykanie mają ich ledwo tyle co Włosi! W końcu kryzysowego 2009 r. Chiny zajmowały pierwsze miejsce w świecie z rezerwami o wartości 2 422 mld USD, drugie – Japonia (1 024 mld), trzecie – Rosja (439 mld), czwarta była Arabia Saudyjska (410 mld), a piątą mały Tajwan, zamieszkaną przez Chińczyków, tyle że „narodowych” – 353 mld., za nim dopiero na szóstym miejscu były gigantyczne Indie – 275 mld, za nimi Korea Płd., Hongkong – autonomiczne miasto należące obecnie do Chin, Brazylia, maleńkie miastopanstwo Singapur zamieszkiwane przez Chińczyków, a dopiero jedenaste miejsce zajmowały Niemcy, jako najbogatsze z państw Unii Europejskiej. Stany Zjednoczone były dopiero siedemnaste na tej liście, po Algierii, Tajlandii, Szwajcarii, Francji i Włoszech! Tak wygląda przynajmniej zestawienie opracowane przez CIA, którą trudno posądzić o antyamerykańskość<sup>5</sup>. Gdyby uwzględnić łączne rezerwy posiadane przez wszystkie państwa strefy euro – znalazłyby się one na trzecim miejscu

<sup>2</sup> Adam Daniel Rotfeld, *Polska polityka zagraniczna: Nowe wyzwania – nowe zadania*. Wykład wygłoszony 3.09.2008 w Krajowej Szkole Administracji Publicznej. Patrz: [www.ksap.gov.pl/ksap/file/wystapienia/20080903\\_Rotfeld.pdf](http://www.ksap.gov.pl/ksap/file/wystapienia/20080903_Rotfeld.pdf)

<sup>3</sup> *Rosja na rozdwoju. Rozmowa z prof. Adamem Danielem Rotfeldem*, „Przegląd”, nr 1, 7.01.2010. Patrz portal WirtualnaPolska>Media <http://media.wp.pl/kat,1022941,wid,11835454,wiadomosc.html?ticaid=1ab56> (wejście 24.05.2010).

<sup>4</sup> *Skończyła się dominacja Zachodu. Rozmowa z Hubertem Vedrine'em*, „Gazeta Wyborcza”, 9.07.2010.

<sup>5</sup> Patrz: *CIA – The World Factbook, Country Comparisons, Reserves of Foreign Exchange*, [www.cia.gov/library/publications/the-world-factbook/rankorder/2188rank.html](http://www.cia.gov/library/publications/the-world-factbook/rankorder/2188rank.html) (wejście 3.07.2010).

(694 mld), po Chinach i Japonii. Oto nowy, formujący się dopiero porządek światowy oparty nie na zimnowojennych łodziach podwodnych, bombowcach, raketach i głowicach nuklearnych, ale na finansach i wpływach gospodarczych – kluczowych w erze globalizacji.

Tylko instytucje pozostałe po zimnej wojnie i zwolennicy najradykałniejszej wersji amerykańskiej hegemonii w świecie, jak też rozproszeni po różnych krajach „fanatyczni antykomuniści” nieprzyjmujący do wiadomości współczesnych realiów, wciąż prezentują Rosję jako zagrożenie dla USA i dla świata. Stąd George W. Bush, ulegający nieraz takim doradcom, cieszył się gorętszą miłością wśród elit polskich niż w całej Europie, a nawet niż w samych Stanach Zjednoczonych. Polscy radykałowie nie tylko chcieli dzielić Rosję na jak najwięcej kawałków, by zredukować ją do „księstwa moskiewskiego”, ale chcieli wręcz zagrozić jej przez mobilizowanie zachodniego potencjału wojskowego. Stąd takie zauroczenie wspomnianym planem Busha rozmieszczenia w Polsce antyrakiet do zwalczania rakiet irańskich (których zbudowanie jest co najwyżej w fazie odległych planów). Oczywiście politycy polscy wcale nie obawiali się Iranu, tylko chcieli mieć te rakiety na polskim terytorium – z amerykańskimi żołnierzami – przeciwko Rosji. Podobnym celom służyło również prowokowanie Rosji i zaostrzanie wszelkich konfliktów z nią, często łączone zarazem z domaganiem się od Zachodu „twardej polityki” wobec Moskwy i bronięcia „zagrożonych państw”.

W związku z tezą o rzekomo wciąż nam zagrażającym od setek lat tym samym agresywnym imperium rosyjskim, można zacytować raz jeszcze Daniela Rottfelda:

*To nie jest tak, że obecna Rosja, to jest inne wydanie (...) Związku Radzieckiego. To też nie jest inna edycja carskiej Rosji. Są elementy ciągłości w każdym państwie, ale następuje fundamentalna zmiana (...) Rosja dzisiejsza jest zjawiskiem jakościowo nowym. Takiej Rosji nie było. Nie było Rosji w tych granicach, o takiej ludności, o takim systemie politycznym i w takim środowisku międzynarodowym<sup>6</sup>.*

Dla zachodnich Europejczyków polskie opowieści o zagrożeniu ze strony Rosji to były jakieś niebezpieczne fantasmagorie. I opinie te podzielali najpoważniejsi polscy specjaliści. Np. profesor Roman Kuźniar z Uniwersytetu Warszawskiego, jeden z najlepszych polskich specjalistów spraw bezpieczeństwa międzynarodowego i relacji euroatlantycznych (były rektor Akademii Dyplomatycznej i były dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych), publicznie i to wielokrotnie krytykował polskie zauroczenie amerykańską tarczą antyrakietową. W wywiadzie w lipcu 2010 r. mówił wręcz:

*Wielu polityków [polskich] stwarza wrażenie, że trwa u nas Powstanie Warszawskie, my schowaliśmy się do kanałów, a po ulicach grasują Niemcy i Sowietci. To nieporozumienie. Jeśli się nie dostrzeżga głębokich zmian geopolitycznych, jakie zaszły po 1989 r., to świadczy to o politycznej niekompetencji.*

Na pytanie dziennikarza, czy rzeczywiście Rosji bać się nie trzeba, odpowiedział:

*Absolutnie. Rosji nie trzeba się bać w sensie militarnym. W związku z tym instrumenty militarne, zarówno*

*natowskie, jak te, które dałyby nam związki z USA, nie znajdują zastosowania. Groźniejsze są zagrożenia niemilitarne, np. szantaż gazowy (...) Starajmy się raczej zbudować normalne stosunki z tym krajem<sup>7</sup>.*

Podkreślał, że jeśli nasz polityk nie rozumie, że dziś jest zupełnie inna epoka niż w 1939 r. i zupełnie jest inna sytuacja Polski, to powinien się zająć kierowaniem Muzeum Powstania Warszawskiego, a nie polityką naszego kraju.

Trzeba dodać, że bez zrozumienia traktowano także na Zachodzie polskie lamente, jakie to zagrożenie stanowią dostawy rosyjskiej ropy i gazu, „bo Gazprom jest faktycznie podporządkowany rządowi”. Politycy europejscy budują z tymże Gazpromem Nord Stream, nowy gazociąg-gigant przez Bałtyk między innymi po to, by uwolnić się od ryzyka tranzytu przez mało odpowiedzialne państwa wchodzące nazbyt lekkomyślnie w konflikty z Rosją (przy prowadzeniu z nią również nierzadko jakichś ciemnych interesów). Politycy zachodni wiedzą, że strategiczna sfera paliw niemal wszędzie jest pod faktycznym nadzorem państwa. To z państwami z Bliskiego Wschodu negocjować muszą nad stołem i pod stołem wszelkie kontrakty.

Z europejskiej perspektywy dostawy rosyjskie są właśnie tym cenniejsze, iż Rosja jest obecnie państwem stabilnym i przewidywalnym. Stąd rura bezpośrednia przez Bałtyk jest tak ważna! Natomiast każdy z bliskowschodnich dostawców to państwo słabe, które z dnia na dzień może pogrążyć się w chaosie i stać „państwem upadłym”. Jest też oczywiste i normalne dla partnerów zachodnich, że Rosja próbuje dbać o swoje interesy i targuje się o wszystko. Polacy dający coś „z przyjaźni” albo nie robiący korzystnych interesów z jakimś państwem z powodu uprzedzeń – z zachodniej perspektywy wydają się dziwni i śmieszni. Generalnie małym zaufaniem na Zachodzie cieszą się kraje nie umiejące dbać o swoje interesy, a kierujące się emocjami. To w opinii tamtejszych polityków jest przejawem braku profesjonalizmu polityków i niedojrzałości elit rządzących, gdyż racjonalna polityka ma służyć interesom państwa, a nie manifestowaniu irracjonalnych emocji i kompleksów. Już sama natura polskiej polityki wobec Rosji, nazbyt emocjonalno-histerycznej, a za mało racjonalnej, każe odnosić się do niej podejrzliwie. A kwestie historyczne, win z okresu II wojny światowej czy z XIX w. – są już zupełną egzotyką (dzisiaj w takie wypominanie bawią się chyba już tylko Azjaci). Gdyby Francuzi i Niemcy zaczęli sobie wspominać swoje winy, nie mogliby nigdy stworzyć razem Unii Europejskiej. W Europie niemal każdy z każdym ma rachunki krzywd, dlatego oddano je historykom, a współpracuje się patrząc na dzisiejsze sprawy do rozwiązania i buduje razem przyszłość.

Nasza polityka wobec Rosji i jej meandry po 1990 r. pokazują, jak wciąż Polska jest daleka od europejskich standardów uprawiania polityki i od mentalności zachodnich Europejczyków.

#### KRZYSZTOF GAWLIKOWSKI

Jest to skrócona wersja obszernego eseju opublikowanego w polsko-niemieckim piśmie *Zarys – Magazyn Kulturalny/ Kulturmagazin*, t. 9/2010.

<sup>6</sup> *Polska – Rosja: nowe otwarcie?* Wykład prof. Adama Rottfelda na Uniwersytecie Warszawskim, 20.04.2010. Patrzą: <http://eastbook.eu/2010/04/uncategorised/polska-rosja-nowe-otwarcie-%E2%80%93-wyklad-prof.-adama-rotfelda-uniwersytecie-warszawskim/> (wejście 6.07.2010).

<sup>7</sup> *Kuźniar: Polska jest bezpieczna*, rozmawia Agaton Koziński, „Polska – The Times”, 22.07.2010.

JANUSZ TAZBIR

# ZAKRĘTY HISTORII

1.

W uroczej książce Stringfellowa Barra *Uczeni mężowie* (wydanie polskie 1961), traktującej o amerykańskim środowisku historycznym, jeden z bohaterów zapowiada, iż swój podręcznik rozpocznie od zdania: „czytelnik zdziwi się zapewne, dlaczego mimo takiego mnóstwa podręczników... uznałem za stosowne powiększyć ich liczbę o jeszcze jeden. A przyczyna jest prosta: bo wszystkie pozostałe są do niczego”. Barr, notabene sam historyk, który tym razem zabawiał się w powieściopisarza, każe to swemu książkowemu koledze powiedzieć żartem, ale przecież w każdym dowcipie jest jakiś łut prawdy. Podręczniki historii, w tym także i polskie, bywają oczywiście rozmaite. Część z nich - i to zarówno uniwersyteckich, jak przeznaczonych dla szkół średnich - posiada jednak trzy charakterystyczne cechy, które można by nazwać również skazami.

Pierwsza, to przeładowanie wykładu datami i faktami, choć głównym jego celem winno być chyba ukazywanie przyczyn i skutków. Za drugą skazę wolno uznać utrzymanie niektórych podręczników w konwencji „prawd objawionych”, ostatecznych i absolutnych. Obowiązuje zasada szczelnie zamkniętych drzwi do Olimpu, na którym toczą się spory między historykami. Uczeń liceum, a nawet student, nie dowiaduje się o ich argumentach nic lub w najlepszym razie bardzo niewiele. Osobiście śni mi się podręcznik, w którym przy ważniejszych problemach spornych podawano by obok siebie, w dwóch – trzech kolumnach, rozmaite hipotezy badawcze. Inna sprawa, że nie u wszystkich odbiorców spotyka się to z aprobatą, zważywszy na dość rozpowszechniony pogląd,

iż prawda historyczna jest tylko jedna. Jeśli szerszy ogół jej nie zna, to tylko dlatego, że koniunkturalni badacze przez strach i z oportunistycznym ukrywają tę prawdę przed profanami.

Trzecia wreszcie skaza, do przewyciężenia bodajże najtrudniejsza, wyraża się w traktowaniu dziejów jako serii żelaznych konieczności, które musiały zostać zrealizowane. Pogląd ten co prawda spotykał się w Polsce z niejakimi oporami, w pełni zrozumiałymi w kraju, który nie tylko w XVIII wieku padł ofiarą rozbiorów. Trudno zaś oczekiwać, aby rodacy Tadeusza Kościuszki, Piotra Wysockiego i Romualda Traugutta stanęli na stanowisku, iż wszystkie one były nieuchronne. Przekreśliłoby to bowiem sensowność powstań, czyniąc zarazem ze wszelkich spisków i konspiracji coś w rodzaju ligi przeciwników zaćmienia słońca. Zwolennicy determinizmu historycznego przypominają, iż zabójstwo Juliusza Cezara nie przywróciło w Rzymie republiki. Rzecznicy alternatywnego spojrzenia na dzieje wszędzie dopatrują się zmarnowanych szans, pisząc o możliwości zakończenia kampanii 1792 roku honorowym kompromisem, wygrania listopadowej insurekcji czy o wiele dłuższego opierania się Niemcom w roku 1939.

Na marginesie tego, co zostało poprzednio powiedziane, warto wskazać na niestychaną względność przymiotników „optymistyczny” i „pesymistyczny”, tak chętnie naklejanych na różne nurty naszej historiografii. Powierzchniowo sądząc pierwszy z tych terminów dałby się zastosować do wizji dziejów Polski jako ciągu nie wykorzystanych szans. Natomiast mówienie o tym, iż od lat blisko trzystu znajduje się ona w trybach żelaznych konsekwencji, dla nas zdecydowa-

nie nieprzychylnych, oznaczałoby czarnowidztwo. W gruncie rzeczy jednak teza, iż naszym przodkom szczęście ciągle pchało się do ręki, tylko nie potrafili go wykorzystać, trąci skrajnym pesymizmem. Natomiast składanie wszystkiego na przemożne, a nam nieprzychylnie siły, w ostatecznym rachunku rozgrzesza narodowe sumienie. Znaczy to, że społeczeństwo było w porządku, natomiast „lokalizacja” Ojczyzny została niefortunnie wybrana. Ale i o tym przecież nie decydował Lech, gdy się rozstawał z Czechem i Rusem, lecz Opatrzność, Fatum czy – jak kto woli – Historia.

Alternatywne widzenie dziejów bywa uprawiane przede wszystkim przez literatów. Swego czasu miałem w rękę powieść angielską (Keith Roberts, *Pavone*, 1966), której akcja doprowadzona do naszych czasów, rozpoczynała się od zamordowania Elżbiety I i podboju przez „niezwyciężoną armadę” Anglii (1588). Wynikły z tego zgoła katastrofalne dla niej skutki, gdyż Wielka Brytania stała się małym, na wszystkich polach zacofanym krajem. Również we Francji pojawiły się utwory opisujące jej dzieje po śmierci Napoleona w Egipcie. Rzecz charakterystyczna: literatura wielkich mocarstw zastanawia się nad czarnym losem, jaki mógłby się stać ich udziałem. Natomiast w Polsce motyw: mogło być gorzej – mało komu przychodzi do głowy. O wiele chętniej bywają tropione perspektywy szczęśliwych rozwiązań. Wystarczy tu przypomnieć powieść Teodora Parnickiego *Muza dalekich podróży*, w której zostało ukazane Królestwo Polskie po zwycięskim powstaniu listopadowym. Z Prądyńskim jako dyrektorem, a Mickiewiczem w roli ministra oświaty, który nie dopuszcza do kanonu lektur szkolnych dramatów... Słowackiego.

Jest rzeczą oczywistą, iż podobne utwory raczej zniechęcają historyków do zastanawiania się nad możliwościami innego przebiegu dziejów. Choć nie dotyczy to wszystkich, skoro Jerzy Łojek (w parokrotnie już wznawianych *Szansach powstania listopadowego*) nie odmówił sobie przyjemności naszkicowania dalszych losów Królestwa po zwycięstwie odniesionym w r. 1831 i to aż do Wiosny Ludów, kiedy rząd odrodzonej Polski mógłby się spokojnie upomnieć również o ziemię utraconą ongiś na rzecz Austrii. Nie zachęcałbym jednak innych historyków do rozwijania tych wątków. Podobnie zresztą jak i dyskusje na temat ewentualnych skutków przegranej przez nas bitwy pod Grunwaldem czy pod Wiedniem uważam za możliwe jedynie na szklanym ekranie, nigdy zaś w podręcznikach.

Niemniej jednak sędzę, iż przydałoby się poświęcenie także i w nich większej uwagi przełomowym momentom naszych dziejów, kiedy to Polska znajdowała się na rozstajach historii. Termin „moment” jest oczywiście umowny, gdyż w XVI-XVII wieku rozciągał się on na miesiące (czy nawet na kilka lat), w XIX stuleciu natomiast o losach milionów Polaków potrafiła zadecydować jedna noc (listopadowa), w naszym już wieku trwająca parę godzin narada sztabowców, jaka poprzedziła wybuch Powstania Warszawskiego. I jeszcze jedno: współcześni nie zawsze zdawali sobie sprawę ze znaczenia tych „momentów”. To tylko pod piórem historyków niemal co druga generacja naszych przodków żyje w przełomowych czasach,

w „międzyepoce” (jak lubił mawiać Melchior Wańkowicz). W istocie da się do nich zastosować to, co napisał swego czasu Władysław Konopczyński. A mianowicie, że chociaż „cywilizacja walczy ze sobą od wieków, to narody nic o tym nie wiedziały”.

Wśród wydarzeń dla dziejów szlacheckiej Rzeczypospolitej przełomowych na pierwszym miejscu należy – moim zdaniem – wymienić sam jej upadek. W dalszej kolejności, trzymając się już chronologicznego porządku, pierwsze bezkrólewie (1572–73), następnie dwa rokosze (Mikołaja Zebrzydowskiego i Jerzego Lubomirskiego) oraz lata „Potopu”. W XVIII wieku najpoważniejszy kryzys, przed II i III rozbiorem, przyniosły niewątpliwie wydarzenia konfederacji barskiej i I rozbiór Polski, będący zresztą ich bezpośrednią konsekwencją.

Po śmierci Zygmunta Augusta społeczeństwo szlacheckie wykazało dużą dojrzałość polityczną. Chłubił się nią w swej arcyciekawej kronice spisanej w początkach XVII stulecia Andrzej Lubieniecki, który z dumą wspominał, iż „dał też Pan Bóg i zgodę domową wszystkim stanom i ziemiom, że każdy kraj [prowincja] swą ukrainę [granice] żołnierzami i hetmanami dobrymi opatrzył...”. Czyniono tak w obawie przed sąsiadami, którzy mogliby wykorzystać bezkrólewie dla podjęcia zbrojnej interwencji w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Obawiano się także wojny domowej. Wybuchła ona dwukrotnie w XVII stuleciu (mam tu na myśli oba wspomniane już rokosze) oraz w początkach rządów Stanisława Augusta Poniatowskiego. Dość liczne rzesze szlachty wzięły wówczas udział w konfederacji będącej czymś pośrednim między ostatnim rokoszem a pierwszym powstaniem narodowym. Odtąd też miały się one w naszych dziejach powtarzać z zatrważającą wręcz regularnością, mianowicie co 30-40 lat aż po rok 1944 (wydarzenia roku 1905 wolno bowiem, w ślad za S. Kalabińskim i F. Tychem, uznać również za czwarte powstanie narodowe).

Zarówno pierwsze, jak i następne bezkrólewia przebiegały bez większych zakłóceń, ku ogromnemu zdziwieniu cudzoziemców, którzy nie mogli uwierzyć, aby takie gromady zbrojnej szlachty były w stanie bez wyciągania szabel z pochew rozjechać się spokojnie do domu. Guzowa (1607) nie sposób uznać za krwawą bitwę, były nią natomiast Mątwy, pod którymi w r. 1666 „najlepsze pułki dworskie ze szkoły Czarnieckiego padły wśród ogólnej klęski pod ciosami rozwścieczonych rokoszan” (że zacytuję znów Konopczyńskiego). Na polu bratobójczej bitwy pozostało blisko cztery tysiące trupów. Sporo ofiar pochłonęła także konfederacja barska. Należy do nich doliczyć również tych jej uczestników, którzy zmarli m.in. na Syberii, wywiezieni tam przez władze rosyjskie.

Bar stanowił zresztą w naszych dziejach wielorakie novum. Tym razem bowiem, na skutek wmięszania się obcego mocarstwa, uczestnicy antykrólewskiej opozycji zostali ukarani za wystąpienie z bronią w rękę przeciwko monarsze. Kary takiej nie poniosła szlachta biorąca udział w bitwie pod Byczyną (1588) po stronie arcyksięcia Maksymiliana. Co prawda, starło się w niej wówczas dwóch pretendentów do tronu, z których każdy został już ogłoszony królem. Koronę na skroni nosił Zygmunt III Waza, a mimo to wzięci

pod Guzowem do niewoli stronnicy Mikołaja Zebrzydowskiego również nie zostali za swój bunt ukarani. Skazano wówczas na śmierć Jana Szczęsnego Herburtą. Ten wyjątkowo zjadliwy pamflecista oraz jeden z inicjatorów aktu detronizacji króla, został jednak rychło ułaskawiony. Po kilkumiesięcznym pobycie w więzieniu resztę kary zamieniono Herburtowi na dwuletni areszt domowy. Nawet i takie represje nie spadły na samego przywódcę rokoszu. Nie wierzę więc publicystom tego okresu, którzy ciągle się skarżą na straszliwe represje, jakie rzekomo dotknęły przeciwników Zygmunta III.

W równie łagodny sposób postąpiono po r. 1655 ze szlachtą, która przyłączyła się do Szwedów, a później z uczestnikami rokoszu Lubomirskiego. On sam, choć dopuścił się oczywistej zdrady stanu, namawiając m.in. Rosję do najazdu na Polskę, także nie poniósł żadnej kary. Należała się ona innym wielkim zdrajcom, Hieronimowi Radziejowskiemu i Bogusławowi Radziwiłłowi, a mimo to i oni uzyskali przebaczenie królewskie, choć spowodowali jeden z najważniejszych kryzysów politycznych w całych dziejach przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Radziejowski siedział co prawda przez trzy lata w więzieniu, ale... szwedzkiem, osadzony tam za konszachty z Chmielnickim i cesarzem Ferdynandem III.

Wśród powodów tak łagodnego traktowania przeciwników politycznych czołową rolę odgrywała solidarność całej warstwy magnackiej, jak również ogółu szlachty. Wszyscy oni obawiali się, iż karanie śmiercią nawet zdrajców może zapoczątkować naruszenie przez króla przywilejów stanowych nie tylko wobec członków opozycji. Co ważniejsze, w przeciwieństwie do państw sąsiednich, udział w niej nie uchodził w Polsce za przestępstwo. Wręcz przeciwnie: większość szlachty widziała w tym cnotę obywatelską, za którą należałoby raczej nagradzać niż karać.

Nie tu miejsce rozstrzygać czy dobrze się stało, iż magnatów zaczęto u nas wieszać dopiero w ostatnich niemal godzinach pierwszej niepodległości (mam tu na myśli uczestników konfederacji targowickiej traconych w Warszawie w gorących dniach powstania kościuszkowskiego). Nie bardzo można było chyba inaczej postępować, o czym przekonali się Stefan Batory i Jan Zamojski, kiedy po ścięciu Samuela Zborowskiego omal nie doszło w Polsce do wybuchu wojny domowej. Osobiście podejrzewam, że gdyby nie powstały wówczas szum i sejmikowe awantury, zapadłyby dalsze wyroki. Król i jego najbliższy pomocnik chcieli po prostu spróbować, jak dalece uda się im wziąć szlachtę w cugle. Zborowski miał być papierkiem lakmusowym, ale eksperyment wypadł zbyt szokująco, aby odważono się go powtórzyć.

Jak jednak w państwie, gdzie żaden szlachcic nie dał gardła za swe przekonania religijne (przypadek Kazimierza Łyszczyńskiego, którego skazano za domniemany ateizm, to osobna sprawa), a żadna szlachcianka nie została spalona za czary, można było karać śmiercią za czynny udział w opozycji politycznej, nawet kiedy przechodziła ona do wyścigów z bronią w rękę? Stanowiłoby to w oczach szlachty przeniesienie nad Wisłę tak jej nienawistnych „praktyk francuskich, moskiewskiej tyranii czy tureckiej despotcji”.

Kryzysy, zarówno polityczne jak wyznaniowe, przebiegały w szlacheckiej Rzeczypospolitej w sposób nieporównanie łagodniejszy niż to widywano nie tylko na wschód od Polski, ale i na Zachodzie Europy. We Francji, Niemczech czy Niderlandach burza reformacyjna pociągnęła za sobą setki tysięcy zabitych w trakcie działań wojennych, tysiące straconych za ich przekonania religijne. U nas wojen takich nie było, a męczenników, którzy oddali swe życie za wiarę, da się policzyć niemalże na palcach jednej ręki. Nic więc dziwnego, że podczas gdy we Francji i Holandii wychodziły całe dykcjonarze im poświęcone, w Polsce różne kierunki protestantyzmu wydzieraty sobie z rąk Katarzynę Weiglową, spaloną w r. 1539 w Krakowie za jej obrazoburcze poglądy. Przyznawali się do niej kolejno luteranie, kalwiniści i antytrynitarze; niektórzy zaś widzą w biednej staruszce zwolenniczkę judaizmu.

Ze spraw wyznaniowych XVI wieku przejdźmy na arenę polityczną następnego stulecia i tu nawet Mątwy (o Guzowie już nie wspominając) trudno porównać z ofiarami, jakie pochłonęła francuska wojna domowa, która przeszła do historii pod nazwą Frondy. Chaos zniszczenia i głodu, towarzyszące walkom, które trwały przez pięć lat (1648–53), doprowadziły do spadku ludności Francji o ok. 10%.

Podobnie jak Sienkiewicz lata „Potopu”, tak Aleksander Dumas uwiecznił w literaturze oblężenie La Rochelle (przypomnijmy, że w szturmowaniu tej hugenockiej twierdzy brali m.in. udział i polscy różnowiercy, którzy chcieli się przy tej okazji nauczyć sztuki zdobywania fortec...). La Rochelle dałoby się mutatis mutandis porównać do luterskiego Gdańska. Z tą tylko różnicą, iż największy port Rzeczypospolitej parokrotnie występował przeciwko niej zbrojnie. Nie walcząc zresztą samemu, lecz zaciągając w tym celu, jak na szanujących się kupców przystało, obcych (przeważnie niemieckich) najemników. Dumni patrycjat gdański chciał rokować z królami polskimi z pozycji suwerennego władcy. Nie o to jednak szlachta żywiła do „Chłtańska” (jak Gdańsk nazywano) największe pretensje. Jego mieszkańcom miano za złe bogacenie się kosztem ziemian i uchylanie od podatków (ceł) na rzecz państwa. Nikt natomiast nie wymawiał, iż posługują się innym językiem, a w niedzielę zamiast do katolickich kościołów uczęszczają do zborów.

La Rochelle zamieszkiwali rdzenni Francuzi, których od Ludwika XIII dzieliło jedynie wyznanie i zbyt wygórowane, jak sądził Richelieu, ambicje polityczne. Hugenocki port za jednorazowy bunt zapłacił nie tylko likwidacją autonomii, ale i śmiercią większości mieszkańców (spośród 28 tysięcy przeżyło niespełna 5,5 tysiąca). Krnąbrny Gdańsk nie doznał żadnych poważniejszych represji. Jedynie w r. 1526 za rzeczywisty bunt zwolenników reformacji przeciwko władzom miejskim i Kościołowi ścięto tam, z wyroku Zygmunta I, czternastu przywódców rewolty. Przypomnijmy jednak, iż w Nowogrodzie Wielkim (1570) za domniemany spisek przeciw Iwanowi IV Groźnemu (w istocie został on sfingowany przez samego cara) stracono w wymyślnych torturach kilkanaście tysięcy ludzi (niektórzy historycy piszą nawet o 25 tysiącach). Natomiast Gdańsk kwitł gospodarczo pod rządami

polskich królów, którzy w pełni akceptowali jego autonomię. Rzeczypospolitej się to zresztą opłaciło, skoro w szczególnie ciężkich dla niej chwilach miasto Heweliusza dzielnie odpierało w XVII wieku ataki Szwedów, a w następnym stuleciu Prusaków. Dopiero Oświecenie zaczęło się zżymać na przywileje Gdańska, który Franciszek Salezy Jezierski nazwie „nagniotkiem politycznego ciała Rzeczypospolitej”.

Sprawiedliwość nakazuje przyznać, iż ten łagodny, można by rzec „polski” sposób rozwiązywania konfliktów, nie u wszystkich potomnych spotykał się z aprobatą. Kraj, który „umiał przetłumaczyć renesans na treny po Urszulce, a rewolucję francuską na Trzeci Maja” (T. Żeleński-Boy) prowokował nie tylko pisarzy, ale i historyków do sceptycznych uwag. Już Michał Bobrzyński miał za złe Zygmuntowi Augustowi, iż nie wykorzystał olbrzymiej szansy, jaką stworzyła mu reformacja. Należało bowiem, opowiedziawszy się zdecydowanie po jednej ze stron (niekoniecznie katolickiej), zgnieść przy jej pomocy opozycję, co pomogłoby zaprowadzić w Polsce ustrój zbliżony do absolutnego. Również i w stosunku do następnych władców wysuwano podobne pretensje i – obawy. Te pierwsze łatwo odczytać w powieści Zbigniewa Saffjana *Kanclerz* (Warszawa 1987). Szef tajnych służb Zamoyskiego, demoniczny rotmistrz Mroczek, daremnie zachęca w niej hetmana do pójścia po śmierci Batorego drogą zamachu stanu. Drogą prowadzącą wśród szpaleru szubienic, ale zakończoną tronem.

Nigdy się zapewne nie dowiemy, co naprawdę „grało w duszy” wielkiemu Janowi; także i żaden z naszych ukoronowanych władców XVI i XVII stulecia nie pozostawił dokumentów, które mogłyby poświadczyć, iż przygotowywał zamach stanu, pragnąc w ten sposób zbrojnie odwrócić bieg historii. Proces poszlakowy dałoby się jednak wytoczyć od Stefana Batorego każdemu z królów elekcyjnych, m.in. na podstawie całej masy pamfletów, w których pomawiano ich o chęć wejścia na tę właśnie drogę i powtórzenia nad Wisłą krwawych wydarzeń Nocy św. Bartłomieja. Chęci może i istniały, o wiele gorzej było z możliwościami. Zdaniem Zbigniewa Wójcika, Jan III Sobieski, gdzieś ok. r. 1688, zaniepokojony rosnącym chaosem, chciał przy pomocy szlachty zgnieść „siłą opozycję magnacką, a później przeprowadzić zamierzone reformy”. Do realizacji tych planów, jeśli je w ogóle snuto, jak wiadomo nie doszło. Pozostaje zresztą kwestią otwartą, czy taka próba nie wtrąciłaby Rzeczypospolitej w odmęt jeszcze gorszej anarchii, z czego skwapliwie skorzystałby sąsiedzi.

Już Jan Zamoyski dał na sejmie 1593 r. wyraz obawie, że gdyby w Polsce wybuchła wojna domowa na tle religijnym, wówczas Turcja, Tatarzy i Moskwa mogłyby kraj bezkarnie najechać. Organizm złożony z dwóch państw i kilku autonomicznych prowincji, zamieszkałych przez ludność mówiącą różnymi językami i wyznającą parę religii, należało ochronić od tego rodzaju ryzyka. Na faktyczny zamach stanu zdobyto się dopiero u schyłku istnienia szlacheckiego państwa: mam tu na myśli dobrze wszystkim znany sposób, w jaki została uchwalona Konstytucja 3 Maja. Gdyby trzymano się wyłącznie legalnych środków, nigdy by zapewne do tego nie doszło. A i tak Konstytucja pociągnęła za sobą wydarzenia, których się

zawsze w Polsce bardzo obawiano, mianowicie zdradę wewnętrzną w postaci Targowicy oraz obcą interwencję, z którą Rzeczpospolita nie była w stanie się zwycięsko uporać.

Nasuwa się pytanie, czy ów wyjątkowo łagodny przebieg rozmaitych konfliktów zawsze wychodził nam na zdrowie. „Chłubić się nam, czy wstydić, że nie wydaliliśmy wielkich prześladowców (nie było kogo i co prześladować), nie mieliśmy ideologicznych wojen wewnętrznych, własnych rewolucji, że nie strącało się u nas idei wraz z głową...” – zapytał w r. 1972 Jan Darowski na łamach londyńskich „Wiadomości”. Wybitna znawczyni epoki dwóch ostatnich Jagiellonów, Anna Sucheni-Grabowska, wysunęła niedawno hipotezę, iż za achillesową piętę naszego sejmku wolno uznać fakt, że powstał on drogą ewolucji ze średnio-wiecznych zgromadzeń stanowych. Tym samym zaś odziedziczył wszystkie wady przestarzałego mechanizmu (m.in. system głosowania), który w nowożytnych warunkach nie mógł się sprawdzić. Gdyby natomiast zgromadzenia te, na skutek jakichś ostrych starć politycznych, przestały funkcjonować, polski parlamentaryzm odrodziłby się w oparciu o bardziej odpowiadające wymogom czasu zasady.

Z podobnym sceptycyzmem wyraża się Stanisław Grzybowski na temat słynnej konfederacji warszawskiej z r. 1573, gwarantującej całej szlachcie prawo wyznawania dowolnie obranej konfesji. Nazywając tę ustawę wielkim dziełem polskiego Renesansu, przypomina jednak, iż powstała u jego schyłku, „w świecie pod wieloma względami barokowymi, świecie nie renesansowej harmonii, a gwałtownych konfliktów [...] Była elementem stabilnym. A świat szedł naprzód. I nie ład, nie pokój i harmonia, a walka i konflikt popychały go naprzód”.

Jest w tym stwierdzeniu nieco racji, zważywszy, iż konfederacja była uchwalona pośpiesznie i miała służyć tylko na okres bezkrólewia. Tymczasem stała się prawem obowiązującym aż do schyłku istnienia Rzeczypospolitej, choć w istocie wygnanie arian (1658) naruszyło postanowienia tej ustawy. Sam ją kiedyś porównałem do szaty szytej na jeden sezon, a noszonej latami. Nic przeto dziwnego, iż rychło pokazały się w niej dziury, i to dotkliwie, skoro z jednej strony nie przewidziano w konfederacji kar na gwałcicieli pokoju wyznaniowego, z drugiej zaś nie rozciągnięto później jej ważności na inne warstwy społeczne. Pozostała szlachetna myśl, zabrakło przepisów wykonawczych, które by zapewniły jej konsekwentną realizację, a co za tym idzie, pokój wyznaniowy w państwie. Ale czy to znaczy, że lepiej, gdyby takiej ustawy w ogóle nie uchwalono?

Specyficzne warunki, w jakich następował rozwój polskiej reformacji, przyczyniły się następnie do szybkiego topnienia grona szlacheckich zwolenników tego ruchu. Akces do protestantyzmu nie oznaczał dla nich żadnego ryzyka; konfiskat i aresztu, a tym bardziej stosów, nikt się po dworach nie obawiał. Jeszcze Zygmunt III Waza nie śmiał w początkach swego panowania dyskryminować różnowerców wielmożów przy rozdawnictwie dóbr i urzędów. Jednak kiedy wreszcie zaczęła dyskryminację stosować, grono dysydentów poczęło szybko topnieć. Większość z nich stanowili ludzie „letni”, mało skłonni do ofiar z majątku

czy godności, o życiu już nie wspominając. Ponieważ takich ofiar nikt od nich przy przyjmowaniu nowej wiary nie wymagał, nie byli też skłonni ich czynić, gdy zaczęto naciskać na jej porzucenie.

2.

Chciałbym tu przejść do zasadniczej części moich rozważań, mianowicie do skutków, jakie owe staropolskie, rzadkie i stosunkowo łagodne, ale jednak kryzysy, spowodowały w ówczesnym życiu politycznym, kulturalnym i wyznaniowym. Należy tu od razu zaznaczyć, iż same bezkrólewia, choć oznaczały zmianę władcy, nie zawsze stwarzały stan zapalny. Bywało tak z reguły po wymarciu jednej dynastii, nigdy zaś, kiedy tron obejmował syn zmarłego króla. Nie dajmy się zasugerować podręcznikom, które Polskę XVI-XVIII wieku zwykły określać mianem monarchii elekcyjnej. Tak naprawdę to rządziły nią kolejno trzy dynastie, wliczając w to i Jagiellonów. Przerwy wypełniło najpierw panowanie dwóch królów-cudzoziemców (1574–86, Walezy i Batory), następnie zaś dwóch magnatów, wywodzących się z tzw. królewiał kresowych (1669–96, Wiśniowiecki i Sobieski).

Pod rządami Wazów usłużna propaganda dworska stale przypominała o więzach krwi, które łączyła ich z Jagiellonami. Sobieski, a jeszcze bardziej jego ambitna małżonka, usiłowali założyć własną dynastię. Każdorazowa wolna elekcja stanowiła więc raczej walkę o poszerzenie i zabezpieczenie swobód stanowych szlachty niż szukanie nowego kandydata na tron. Gdyby nie wymarcie najpierw Jagiellonów, a następnie Wazów (bo Jan Kazimierz nie miał przecież legalnego potomka), ta sama dynastia rządziłaby zapewne Rzeczpospolitą aż do schyłku XVIII stulecia.

Emanuel Rostworowski napisał kiedyś, że jeśliby zamiast Stanisława Augusta Poniatowskiego zasiadł na polskim tronie kolejny Sas, choć gnuśny, ale znający reguły gry europejskiej, „to może nie mielibyśmy ani tak pięknego Oświecenia, ani rozbiorów”. Sprawa, jak każdy problem z gatunku „co by było, gdyby...”, do dyskusji. Jedno jest pewne, a mianowicie, że po tryumfie rewolucji nad Sekwaną i ścięciu francuskiego króla, legitymistyczna Europa z ciężkim sercem pozbawiłaby korony przedstawiciela dziedzicznej dynastii. Co innego było z quasi-prezydentem, monarchą elekcyjnym, nie mającym owej sakry boskiego pomazańca...

Wróćmy jednak do XVI wieku, w którym pierwszy wielki kryzys polityczny nowożytnej Rzeczypospolitej został wywołany przez wygaśnięcie poprzednio panującej dynastii. Był to moment, w którym dość powszechnie zdawano sobie sprawę, iż Polska znalazła się na wirażu dziejowym. Wbrew jednak ulubionej tezie Pawła Jasienicy, iż społeczeństwo polskie było na poziomie, tylko władców oraz elitę rządzącą mieliśmy zawsze fatalną, właśnie wtedy, gdy nikt nie zasiadał na tronie, w ustrój Rzeczypospolitej wpisano wiele postanowień, które miały się walnie przyczynić do jej późniejszego rozstroju.

W XVI wieku utrwała się piękne pojęcie Rzeczypospolitej, zachowane nadal w oficjalnej nazwie naszego państwa, a oznaczające wspólne dobro, którego wszyscy powinni strzec i bronić. I to nie tylko przed

wrogiem zewnętrznym, ale i przed własnym królem, z natury rzeczy dybiącym na prawa i wolności szlacheckie. Wytwarzała się iście paradoksalna sytuacja: ponieważ monarchów brano z krajów, gdzie ich władza była o wiele silniejsza niż w Polsce, a nawet oscylowała w kierunku absolutyzmu (Francja), przeto obawiano się, że zechcą oni w podobny sposób postępować i w szlacheckiej Rzeczypospolitej. Uważano to zresztą dla monarchów za naturalne, podobnie jak do obowiązków szlachty należała obrona „złotej wolności” przed atakami ze strony własnych królów. Nie darmo w początkach XVII wieku jeden z rokoszan pisał, iż wśród elekcyjnych władców nie było żadnego, „który by nie miał myśli o zgwałceniu praw i swobód naszych”.

Ostatecznym finałem pierwszego bezkrólewia był potajemny wyjazd Henryka Walezego; odtąd kompleks „ucieczki władcy” zaciążył na stałe nad stosunkiem społeczeństwa szlacheckiego do tronu. Ogólną nieufność pogłębiła jeszcze konszachty pierwszego Wazy z Habsburgami, a Jana Kazimierza z Paryżem. Szlachta odpowie na to rokoszami, które w ostatecznym rachunku przyczynią się do petryfikacji ustroju Rzeczypospolitej. Po wydarzeniach z lat 1606–09 Kościół cofnie swe poparcie dla reform, mających na celu wzmocnienie władzy monarchicznej. A więc dla projektów, które Piotr Skarga tak wymownie przedstawił w *Kazaniach sejmowych*. Była to cena, jaką zapłacono za ostateczne zwycięstwo kontrreformacji. Okupiono je również milczącą zgodą na sarmatyzację polskiego katolicyzmu; po trzystu latach historyk katolicki napisze, iż działające w Rzeczypospolitej zakony, jezuitów nie wyłączając, „w jednakowej mierze urabiały same ludzi w Polsce, jak były przez tych ludzi, przez społeczność polską urabiane” (J. Kłoczowski).

Drugą kompromitację projektów reform przyniosły burzliwe lata rokoszu Lubimirskiego. Klęska, którą poniósł wówczas dwór królewski, wynikała nie tylko z tego, iż targnięto się na źrenicę „złotej wolności”, jaką było liberum veto oraz zasada wolnej elekcji. Kamieniem u szczytu tych projektów stał się znany całej przeciwieź szlachcie zamiar przeprowadzenia ich przy wsparciu francuskiego wojska. Jeszcze bardziej szkodliwe okazało się przenoszenie z Paryża do Warszawy metod gry politycznej (Ludwikę Marię oskarżono nawet o zamiary usunięcia przywódcy opozycji drogą skrytobójstwa). Również i tym razem kopiowanie obcych wzorców politycznych okazało się w Polsce na dłuższą metę nieopłacalne.

Samo jednak wniesienie na forum publiczne tak śmiałych projektów było w ogóle możliwe jedynie dzięki ogromnemu szokowi, jaki wywołał kryzys Rzeczypospolitej, zaistniały w trudnych latach „Potopu”. Patrzy się na nie głównie przez pryzmat zniszczeń gospodarczych, choć te dałoby się stosunkowo łatwo usunąć, gdyby Rzeczpospolita nie przeżywała już przedtem regresu w ekonomice. Przez tych dwadzieścia lat (1648–60) nie zdołano jej mimo wszystko tak gruntownie spustoszyć, jak to zostało uczynione ze znaczną częścią Niemiec w okresie wojny trzydziestoletniej. A mimo to Niemcy dość szybko dzwignięto z ruin i już w XVIII wieku żadnemu z niemieckich pisarzy nie przychodziło do głowy tłumaczyć wszystkiego czasami „Mutter Courage”. Tymczasem

w Polsce niektórzy czynią tak po dziś dzień, choć już w r. 1790 Franciszek Salezy Jezierski dworował sobie, że w Rzeczypospolitej na pytanie, kto spustoszył miasto, „powiedzą natychmiast Szwedzi”, mimo że od ich najazdu upłynęło prawie 150 lat.

Najtrwalsze skutki odcisnął „Potop” na umysłowości ówczesnej szlachty, i to zarówno w ujemnym, jak i dodatnim sensie. Z jednej więc strony przekształcił ksenofobię w zjawisko masowe, skądinąd zrozumiałe, jeśli przypomnieć całe masy cudzoziemców, których ujrzano z bronią w ręku, w roli rabusiów, morderców i gwałtocieli. Nasila się również wrogość wobec pewnych grup ludności, oskarżonych o korszachy z wrogiem. Na tym tle dochodzi do wspomnianej już banicji braci polskich, ograniczenia swobód wyznaniowych protestantów, pogorszenia się sytuacji Żydów. Kultura sarmacka staje się bardziej autarkiczna, co wyraża się w jej częściowym zamknięciu na obce wpływy.

Z drugiej jednak strony szlachta przeżyła olbrzymi wstrząs - tym większy, iż kontrastujący z nastrojami megalomanii, której nasi pisarze polityczni wielokrotnie dawali wyraz. Przeciętny członek tego stanu wierzył, iż góruje nad innymi, Polacy przodują wśród narodów Europy, ta zaś jest najprzedniejszą częścią świata. Nic więc dziwnego, iż szlachcic czuł się usytuowanym na samym szczycie jakiejś ogromnej drabiny, sięgającej wierzchołkiem do Nieba, które również rozciąga nad Polską szczególną rolę.

Historia lubi się powtarzać nie tylko jako farsa, ale i w zgoła ponury sposób. W r. 1648, kiedy już wojska polskie poniosły klęskę pod Żółtymi Wodami, w gdańskiej drukarni tłoczono dziełko Łukasza Opalińskiego *Obrona Polski*. Czytelnik mógł się z niego dowiedzieć, że jest ona mocarstwem, któremu nic nie może zagrozić. Na parę miesięcy przed wybuchem II wojny światowej Juliusz Łukasiewicz, nasz ówczesny ambasador w Paryżu pod tytułem *Polska jest mocarstwem* opublikował w Warszawie broszurę, stanowiącą rejestr militarnych i dyplomatycznych osiągnięć II Rzeczypospolitej. Kto więc pamięta szok wywołany klęską wrześniową, temu łatwo będzie zrozumieć nastroje szlachty polskiej po pierwszych sukcesach Chmielnickiego, a tym bardziej po inwazji szwedzkiej z r. 1655. Dzięki temu jednak powstał klimat sprzyjający częściowej przynajmniej reformie państwa. Okazało się bowiem, iż Rzeczpospolita pozbawiona regularnej i silnej armii oraz zasobnego skarbu, nie jest w stanie przeciwstawić się wrogiej koalicji.

Historyk nie zawsze potrafi odpowiedzieć na pytanie o ścisłą datę jakiegoś zwrotu w dziejach. Podobnie jak ciągle będą trwać dyskusje nad początkami renesansu, baroku czy Oświecenia, tak i nie ustaną spory na temat, kiedy zaprzepaszczone ostatnią możliwość naprawy ustroju państwa polsko-litewskiego. Moim skromnym zdaniem było to właśnie po „Potopie”; dwór swą nierozważną polityką, nie liczącą się z miejscowymi realiami, zmarnował tę wielką szansę, o co zresztą bardziej od Jana Kazimierza winiłbym jego francuską małżonkę.

Podobnie pomyślna koniunktura zaistniała dopiero dzięki następnemu szokowi, jakim była najpierw klęska konfederacji barskiej, a następnie wydarzenia r. 1772. Do lamusa mitów musiano wówczas odfo-

żyć wiarę w możliwość pokonania armii rosyjskiej przez ochotniczy zaciąg szlachecki. Złudne okazały się nadzieje na skuteczną pomoc obcą: turecką czy francuską. Polska była w praktyce całkowicie wydana na łaskę trzech żądnych łupu sąsiadów. Gdyby Rosja już wtedy przystała na podzielenie się nami z Austrią i Prusami, trafilibyśmy na karty dziejów – a co ważniejsze i do świadomości historycznej późniejszych pokoleń Polaków – jako naród, który wyłącznie z własnej winy utracił niepodległość. Najwaleczniejsi nawet przedstawiciele konfederacji barskiej hasłom reform przeciwstawiali państwo sarmackiego anachronizmu. Na szczęście między I a III rozbiorem zaistniała przeszło dwudziestoletnia przerwa, podczas której obywatele Rzeczypospolitej obalili mit o niereformalności szlacheckiego państwa. Dzięki temu właśnie uczestnicy powstania kościuszkowskiego bronili dzieła Sejmu Wielkiego z Konstytucją 3 Maja na czele, a nie przestarzałych struktur ustrojowych.

O ile miejsce Baru w polskiej świadomości historycznej jest znane stosunkowo dobrze, to o wpływie na nią wydarzeń I rozbioru wiemy, jak dotąd, niewiele. Z dotychczas prowadzonych badań wydaje się wynikać, iż przynajmniej w pierwszej chwili nie w pełni zdawano sobie sprawę z jego konsekwencji. Szok lat 1655–60 był co najmniej równie wielki, jeśli nawet nie potężniejszy. Trudno się temu dziwić, skoro traktat zawarty w r. 1656 w Radnot (Siedmiogród) przewidywał całkowity podział Rzeczypospolitej między Karola Gustawa, elektora brandenburskiego, Kozaczyznę i Jerzego II Rakocznego. Z Litwy miała zostać wykrójona osobna dzielnica pod berłem Bogusława Radziwiłła. Do realizacji traktatu jak wiadomo nie doszło; dzięki skłóceniu sąsiadów wokół Rzeczypospolitej nie zamknął się jeszcze „pierścień śmierci”. Z jego istnienia zdawali sobie sprawę bardziej dalekowzroczni politycy, skoro Jan Kazimierz (na sejmie r. 1661) przestrzegał szlachtę przed „roztargnieniem” (jak wówczas nazywano rozbiór) jej państwa.

Król utrzymywał, iż Moskwa zechce zagarnąć Wielkie Księstwo Litewskie aż po Bug i Narew, elektor zabierze Wielkopolskę oraz Prusy Królewskie, natomiast Austria sięgnie po Kraków wraz z okolicznymi województwami. Uznano to jednak za „strachy na Lachy”, zwłaszcza że Jan Kazimierz łączył swe ostrzeżenia z gorącym apelem o wprowadzenie w Polsce elekcji *vivente rege* (za życia poprzedniego władcy). Powtórzył je zresztą na sejmie abdykacyjnym. Mało kto wiedział, że w r. 1704 z projektem rozbioru wystąpił sam Stanisław Leszczyński, którego postać staje się notabene obiektem coraz to bardziej krytycznych uwag ze strony historyków. Wraz ze swoimi stronnikami godził się on na oddanie Fryderykowi I Prus Królewskich. Inne ziemie polskie miały przypaść Austrii, Rosji i Szwecji. Sam Leszczyński gotów był skromnie poprześcić na księstwie obejmującym Wielkopolskę i część Małopolski, pod warunkiem wszakże, iż zachowa tytuł królewski.

Te i tym podobne projekty, jeśli nawet dochodziły do uszu szlachty, niewielkie na nią wywierały wrażenie. Ufała ona bowiem w podwójną opiekę: niebiańską i ziemską. Pierwsza miała wynikać ze szczególnej misji, jaką Polsce powierzyła Opatrzność, czyniąc z niej przedmurze chrześcijańskiej Europy. Druga ziem-

ską gwarancję istnienia Rzeczypospolitej upatrywała w jej niezbędności jako elementu stabilizacji politycznej w tej części kontynentu. Wierzono, że żadne z mocarstw nie dopuści do wchłonięcia Polski przez drugie państwo, gdyż wówczas wzmocniłoby ono, w niebezpieczny dla sąsiadów sposób, swoją potęgę.

Podobnie jak do roku 1939 wydarzenia lat 1914–18 nazywano „wielką wojną”, nie zaś I wojną światową, tak i do r. 1793 nikt nie pisał o pierwszym rozbiore. Od pokoju oliwskiego (1660) zdołano już przywyknąć, iż terytorium Rzeczypospolitej stale się kurczy. W r. 1761 jeden z publicystów ubolewał: „każdemu nieprzyjacielowi gruntu Rzeczypospolitej sztukę odstępujemy: Niemcom Śląska, Brandenburczykom Pomorzany, Moskwie za Dnieprem dwa powiaty, Szwedom Inflanty, Turkom ziemię wołoską”. Również i rok 1772 mógł oznaczać kolejną cesję terytorialną, tym jedynie różniącą się od poprzednich, że dokonana od razu na rzecz trzech sąsiadów. I tu się jednak można było pocieszać przypomnianiem Kamieńca Podolskiego, który zagarnięty przez Turcję w r. 1672 wrócił do Polski po 27 latach (w pokoju w Karłowicach).

Tym większym wstrząsem musiały być od początku wydarzenia r. 1795, po których Rzeczpospolita zniknęła z mapy politycznej kontynentu. Mnożą się wówczas katastroficzne wizje zagłady również i języka, a z nim narodu polskiego. Znajdujemy je nie tylko u targowiczana Szczęsnego Potockiego, który w parę miesięcy po III rozbiore pisał: „Nie mówię już o przeszłej Polsce i Polakach. Zniknęło już i to państwo, i to imię, jak znikło tyle innych w dziejach świata”. Pod wrażeniem pierwszego szoku także i szczyry patrioci ulegli nastrojom rozpacz. „Już Polska wymazana jest z liczby narodów. – W mieszkaniach królów, w siedliskach władzy rządowej wije pająk pajęczynę, a puszczyk bezpiecznie na wieżach gmachów spoczywając wydaje głos ostrzeżenia” – pisał Tadeusz Czacki w r. 1800.

Sposób, w jaki wydarzenia rozbiorów odcisnęły się na widzeniu całych dziejów Polski, od samych jej początków poczynając, to temat na osobną monografię. Tu chciałbym tylko ograniczyć się do paru przykładów. Zrozumiałą jest rzeczą, iż w centrum uwagi polskich historyków stanie się odtąd problem przyczyn, dla których ich ojczyzna podzieliła smutny los wielu innych potęg tego świata. Mniej zrozumiałe natomiast wydaje się szukanie genezy rozbiorów już w XV–XVI stuleciu, wskutek czego zamiast omówienia na przykład osiągnięć „złotego wieku”, otrzymujemy niekiedy rejestr „ciemnych plam” tego okresu. Badacz staje się wówczas podobny do lekarza, którego nie interesuje, jak wiadomo, zdrowy organizm, lecz wszelkie, choćby najmniejsze i najwcześniejsze objawy choroby, która w przyszłości może okazać się śmiertelną.

Inni z kolei badacze zaczęli, jakby dla przeciwwagi, opisywać osiągnięcia przodków na polu kultury. Pamięć o tym miała niejako dowartościować Polaków, uwierzytelnić ich prawa do odzyskania samodzielnego bytu. Towarzyszyć temu będzie stale wzrastająca troska o zachowanie narodowej substancji. Nikt nie może być stracony dla polskości, zarówno dziś, jak w ciągu minionych wieków. Stąd rodziły się nieznane poprzednim stuleciom spory o przynależność etniczną Wita Stwosza i Mikołaja Kopernika,

przyznawanie się do Leibniza, Fahrenheita i Schopenhauera.

W przedrozbiorowej Rzeczypospolitej nikt nie wpiśywał postępów polonizacji czy strat poniesionych na tym polu do ogólnego bilansu tryumfów i klęsk szlacheckiego państwa oraz narodu. Jeśli wcześniej nie znano takich pojęć jak wynarodowienie czy propaganda polskości, to dlatego że nie były one nikomu potrzebne. Z wstępnych ustaleń Franciszka Pełłowskiego wynika, iż terminy te pojawiły się dopiero po r. 1831, przede wszystkim w publicystyce Wielkiej Emigracji. Wówczas też powstaje *Pan Tadeusz*, w którym znajdujemy określenie Soplícowa jako centrum polszczyzny.

Inny przykład to niezwykła kariera, którą zrobiło wówczas pojęcie przedmurza. Gdyby nie utrata własnej państwowości oraz długi okres niewoli, termin *antemurale* spocząłby w lamusie dziejów. O przedmurzu zaś dyskutowaliby jedynie specjaliści, zajmujący się przebiegiem wojen polsko-tureckich, nie tak znowu długich i częstych. Tymczasem w XIX wieku *antemurale* nabrało nowego blasku, a i obecnie nie ma prawie tygodnia, by nie powracało na łamy prasy, przez jednych wysławiane, przez innych odsądzone od czci i wiary (piszę o tym obszerniej w książce: *Polska przedmurzem Europy*, Warszawa 2004).

Również wielu ludzi, za życia mało przez rodaków zauważanych, często krytykowanych czy nawet wyśmiewanych, swą niezwykłą „pośmiertną karierę” zawdzięcza właśnie utracie niepodległości. W XIX stuleciu wraz ze sławą Skargi rośnie legenda Stańczyka. W obu ujrano patriotów, głęboko bolejących nad warcholstwem oraz zaślepieniem rodaków. Pierwszy za pomocą prorocत्व i gróźb, drugi zjadliwą ironią, próbowali przestrzec współczesnych, że wóz Rzeczypospolitej stacza się w przepaść. Tak więc w rozbiorowej legendzie, która tak wysoko wywindowała kaptana i błazna, obaj okazywali się postaciami głęboko tragicznymi.

Jeśliby Polska pozostała wolna, nie pisalibyśmy tak wiele o odsieczy Wiednia i nie obchodzili niemal co rok grunwaldzkiej wiktorii. Rzeczpospolita miała by bowiem na swym koncie inne, o wiele świeższe zwycięstwa oraz niewątpliwe sukcesy gospodarcze. Tak zaś puste półki sklepowe trzeba było zastaniać w minionych latach masowo wznoszonymi pomnikami. Jednym z nich uczczono kryzys polityczny, jakim były tragiczne wypadki poznańskie z czerwca 1956 r. Kryzysom dawnej Polski zbudowali o wiele trwalsze pomniki koryfeusz naszej literatury. Sienkiewicz pisząc o „Potopie” oraz Juliusz Słowacki i Adam Mickiewicz zajmując się konfederacją barską.

**JANUSZ TAZBIR**

MAREK WALDENBERG

# PIERWSZY GŁĘBOKI KRYZYS POLSKIEJ POLITYKI WSCHODNIEJ

Sformułowanie „polska polityka wschodnia” wymaga komentarzy i uściśleń.

Po pierwsze chodzi o to, że składają się na nią dwa aspekty: i koncepcje, i działania powołanych do tego centralnych organów państwa. Zaczyna się ona wraz ze wznowieniem państwowości w listopadzie 1918 roku. Określenie powyższe może budzić sprzeciw, być uznane za zbyt wąskie. Nie obejmuje przecież całokształtu i kilku wcześniejszych stuleci stosunków między Polską a Rosją, ponadto pomija stosunki z innymi ważnymi partnerami – Tatarami i Turcją.

Jeśli jednak jest zbyt arbitralne i „redukcjonistyczne” to pozwala jednak na możliwie precyzyjne wyodrębnienie problematyki chyba szczególnie ważnej i zasługującej na utrwalenie w świadomości społecznej.

W okresie rozbiorów powstawały koncepcje dotyczące odrodzenia państwa polskiego, traktujące również o jego zakresie terytorialnym, w szczególności o granicy wschodniej. Wiele spośród nich zajmowało się stosunkami polsko-rosyjskimi, mając najczęściej charakter wyraźnie rusofobiczny. Rusofobia przejawiała się głównie w opiniach o państwie, nieraz wyrażała się jednak także w sądach na temat narodu. Przedstawił je prof. Andrzej Nowak w książce „Jak rozbić rosyjskie imperium? Idee polskiej polityki wschodniej (1733-1921)” (Kraków 1999, wydanie drugie poprawione i rozszerzone).

Wyjaśnienia wymaga również określenie „wschodnia”. Jak daleko sięgać miałby wschód? Nietrudno założyć, że w pracach traktujących o tej polityce zapatrywano się na to różnie. Najczęściej miano na uwadze obszary zamieszkiwane przez Litwinów, Białorusinów i Ukraińców. Niekiedy jednak przesuwano granice bardziej na wschód, południe i północ, traktując również o Kaukazie, bądź jego części, a także o krajach nadbałtyckich, które wchodziły w skład Rosji carskiej. Takie poszerzone rozumienie znalazło m.in. wyraz w okresie prezydentury Lecha Kaczyńskiego w jego niefortunnej wyprawie do Gruzji.

Do ukształtowania się koncepcji i praktyki polityki wschodniej II Rzeczypospolitej w największym stopniu przyczynił się Józef Piłsudski. Nie należy jednak stawiać znaku równania między tą praktyką w latach, o których traktuje ten tekst, a jego koncepcją. Poglądy Naczelnika Państwa budziły liczne zastrzeżenia i sprzeciwy w ogniwach decydujących bądź współdecydujących o polityce zagranicznej, także w rządzie. Starał się wprowadzić przeforsować swoje stanowisko działaniami zakulisowymi, przy pomocy bardzo oddanych mu ludzi, lubił zresztą tak postępować, ale często nie udawało mu się to w pełni, a czasami w ogóle.

Nie zawsze wyraźnie sformułowanym założeniem polityki wschodniej było przeświadczenie, że Rosja silna i bezpośrednio sąsiadująca z Polską stanowiła dla niej zagrożenie. Nie budzi też wątpliwości to, że istotne miejsce w tej koncepcji zajmował problem Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, zwłaszcza tych ostatnich. Wątpliwe natomiast jest to, jaką rolę wyznaczała ona wymienionym społecznościom - sojusznikom, w jakiej mierze samodzielnych wykonawców czy też jedynie dyspozycyjnych pomocników.

Mimo, że o tej polityce wschodniej dużo już, także w ostatnich latach, napisano, wiele pozostaje problemów spornych.

Koncepcja Piłsudskiego nie była już na początku II RP jedyną. Była jednak najszerzej zakrojona i najbardziej określała w ciągu kilku lat politykę państwa. Konkurowała z nią przede wszystkim nacjonalistyczna koncepcja endecka, postulująca hamowanie narodowego rozwoju Ukraińców i Białorusinów, ale mniej obsesyjnie nieprzychylna Rosji. 1/

Piłsudski prezentował koncepcję polityki wschodniej rzadko i niesystematycznie, nie troszcząc się o nadanie jej jednoznaczności. Z perspektywy czasu nie ulega moim zdaniem wątpliwości to, co było dostrzegalne już wtedy gdy powstawała, a mianowicie jej życzeniowy charakter. Miała uczynić zadość pragnieniu zapewnienia bezpieczeństwa Polski, zachowaniu jej wpływów na rozległych obszarach przez kilka wieków wchodzących w skład przedrozbiorowego państwa i jeszcze dłużej zdominowanych przez Polaków ekonomicznie i kulturowo. Trudno oprzeć się wrażeniu, że abstrahowała niemal całkowicie od bardzo ważnych realiów, od stosunków ekonomicznych, społecznych, narodowościowych i religijnych na tych obszarach. Jej autorzy nie zdawali sobie sprawy z charakteru i głębi przemian, które zaszły w ostatnich latach. Charakter ten był wyraźnie widoczny także w wielu krokach dokonywanych na szlaku prowadzącym do wytkniętych przez nią celów. Gdy Pierwsza Kadrowa wkroczyła do zaboru rosyjskiego, Komendant oczekiwał początku powstania zbrojnego. Wkraczający do Kielc żołnierze widzieli natomiast puste ulice i zamknięte okiennice. Gdy wojsko polskie rozpoczęło wraz z towarzyszącymi mu pozostałościami armii Petlury marsz na Kijów, Naczelnik Państwa spodziewał się wybuchu skierowanego przeciw bolszewikom zbrojnego ruchu chłopskiego. Ukraińskiej wsi wojsko polskie kojarzyło się jednak z polskimi właścicielami ziemskimi, a skojarzenia z Petlurą też rzadko już miały pozytywny charakter.

Zyczeniowy charakter miało, generalnie rzecz traktując, ujmowanie roli Litwy, Białorusi i Ukrainy. Chodziło

bezsprzecznie o odciążeniu ich od Rosji bądź przeciwstawianie się jej.

Leon Wasilewski, pozostający od dawna w bliskich z Piłsudskim stosunkach i powołany na pierwszego ministra spraw zagranicznych II Rzeczypospolitej mówił na konferencji prasowej wkrótce po objęciu funkcji: „stojemy na stanowisku, że granice Rosji muszą być odsunięte jak najdalej na wschód (...) Oczywiście będziemy robili wszystko to co do nas należy, aby te kraje [kraje bałtyckie – MW] tak związane z Polską i etnograficznie, i kulturalnie, i ze względu na wzajemny stosunek ekonomiczny, i ze względu na przyszłość ekonomiczną, i ze względu na ciążenie ku polskości – ażeby były one związane z Polską, w ten czy ów sposób na podstawie zupełnego usunięcia wszelkich pozorów, jakbyśmy byli zaborcami – my chcemy w myśl tradycji polskiej <wolni z wolnymi, równi z równymi>, ażeby nic nie uroniono z tego dorobku kulturalnego, który tam istnieje, który ma wszelkie szanse rozwoju.”<sup>2/</sup>

Często twierdzi się, że Piłsudski był federalistą i wyobrażał sobie związek trzech krajów bałtyckich z Polską w postaci federacji. Jednakże teza ta była, niemal od początku, kwestionowana. Twierdzono na przykład, że z koncepcji federacji wycofał się on już w 1919 roku. Wątpię, by można było opinię tę zweryfikować, nie byłoby jednak dziwne, gdyby była prawdziwa.

Rozważanie tej problematyki jest zadaniem niewdzięcznym nie tylko ze względu na ubóstwo i niejednoznaczność źródeł. Również na co najmniej dwie inne ważne okoliczności. Po pierwsze dlatego, bo sama kategoria „federacja” była mglista, m.in. niewyraźnie odróżniana np. od „konfederacji”. Po drugie bardzo mało prawdopodobne jest, by mógł wyobrażać sobie, że znacznie zbliżony kształt przybrałby związek Litwy i związek Ukrainy z Polską. Sądzę, że można co najwyżej mówić o krótkotrwałym, taktycznie uwarunkowanym, „flircie” Piłsudskiego z ideą federacji, bo najłatwiej miałyby uzyskać akceptację potencjalnych partnerów. Ponadto chronić miała przed zarzutem pojawiającym się także w Anglii i we Francji, że prowadzi politykę imperialistyczną.

Uważam ponadto za mało prawdopodobne, by Piłsudski i jego najbliżsi współpracownicy mogli nie zdawać sobie w ogóle sprawy, iż idei tej grozi to, co Tadeusz Boy-Żeleński w innym całkiem kontekście wyraził słowami „bo w tym cały jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz”. Jednakże dopiero doświadczenia kilku pierwszych miesięcy po odzyskaniu niepodległości zaczęły uświadamiać im to pełniej.

Nawet bezpośrednio przed wybuchem I wojny światowej w żadnym z tych społeczeństw nie występowało silne, a wśród Ukraińców i Białorusinów w zasadzie jakiegokolwiek, programowe dążenie do utworzenia własnej państwowości, a tym bardziej do utworzenia związku państwowego z Polską. Kolejne wojny przyczyniały się do ożywienia ruchu narodowego i do pewnego upowszechnienia świadomości narodowej Ukraińców. Jednocześnie już od końca XIX wieku bardzo wyraźnie potęgował się antagonizm polsko-ukraiński w Galicji Wschodniej, a także antagonizm polsko-litewski, towarzyszący procesowi kształtowania się narodu litewskiego, dokonującemu się w opozycji do polskiej kultury i polskiej dominacji ekonomicznej na Litwie.

Zwolennicy tezy o federalizmie Piłsudskiego szczególnie często operują argumentem, iż, jak pi-

sał Czesław Miłosz, „dla Piłsudskiego najważniejsza w tych zamiarach była Litwa, i tu natrafił na trudności; bo dla niego stolicą Litwy pozostawało Wilno, ale Litwy takiej, jaką sobie tradycyjnie przedstawiał. Natomiast Litwini mieli na to wręcz przeciwny pogląd i Litwę pojmowali w sensie etnicznym, żądając dla siebie Wilna jako historycznej stolicy państwa litewskiego. W licznych rokowaniach Piłsudski dawał im tylko taki wybór: albo Litwa z Wilnem, ale sfederowana z Polską, albo Litwa niepodległa, ale bez Wilna”.<sup>3/</sup> W 1897 r. Litwini stanowili w Wilnie 2% mieszkańców, Polacy -31%, 40% -Żydzi, 20% - Rosjanie.

Gdy zaczęła się wojna ujawniła się odmiennosc wyobrażeń o dalszych drogach ruchów narodowych.

Od lata 1915 roku ziemie litewskie znajdowały się pod okupacją niemiecką. Przez kilkanaście miesięcy oficjalne czynniki niemieckie nie deklarowały swych zamiarów wobec Litwy, ale w kołach wojskowych wyraźne były tendencje do jej aneksji. Niemcy z jednej strony eksploatowały kraj pod względem ekonomicznym, z drugiej jednak w tym czasie rozwinęło się litewskie szkolnictwo podstawowe, a nawet otwarto w Wilnie i Kownie gimnazja litewskie. We wrześniu 1917 r. odbyła się w Wilnie konferencja mająca wybrać litewską radę krajową. Opowiedziała się ona za utworzeniem niezależnej Litwy i powołała do życia Radę Litewską (tzw. Tarybę). 11 grudnia 1917 r. ogłosiła ona „wznowienie niepodległego państwa litewskiego” ze stolicą w Wilnie i opowiedziała się za wiecznym i mocnym związkiem Litwy z cesarstwem niemieckim. Dopiero 23 marca 1918 cesarz niemiecki Wilhelm II oficjalnie potwierdził niepodległość Litwy.

Podjęmowane po kapitulacji Niemiec starania o pozyskanie władz litewskich dla idei związku Polski i Litwy nie znalazły pozytywnego odzewu. W tej sytuacji Piłsudski kieruje się zamiarem ustanowienia na Litwie rządu propolskiego, z którym możliwe byłyby pertraktacje nawet na temat federacji. Okazało się to jednak bezowocne, oparte na błędnych założeniach: po pierwsze na dość rozpowszechnionej w polskich kręgach politycznych ujemnej opinii o litewskich działaczach politycznych, po drugie na przeświadczeniu, że istniejący rząd nie ma żadnego poparcia pośród litewskiego ludu, który jest nastawiony propolsko. Postanowił więc dokonać przewrotu siłami polskimi, powierzając Leonowi Wasilewskiemu rolę jego organizatora w Kownie. Liczył między innymi na rozbudowaną na Kowieńszczyźnie sieć Polskiej Organizacji Wojskowej. Także ten zamysł nie powiódł się, zaciążył natomiast negatywnie na dalszych stosunkach polsko-litewskich. Nieudana była również nakazana przez Piłsudskiego, rzekomo samowolna, akcja wojskowa dowodzona przez pochodzącego z Wileńszczyzny generała Lucjana Żeligowskiego.

Celem jej miało być opanowanie Wilna i jego regionu. Dokonanie tego było dla Naczelnika Państwa tym ważniejsze, że jak pisze prof. Andrzej Garlicki „Wyprawa kijowska nie przyniosła żadnych pozytywnych rezultatów, nie mógł więc Piłsudski, jeśli chciał pretendować nadal do roli przywódcy, pogodzić się z tym, by skutkiem wyprawy kijowskiej stała się także utrata Wilna”.<sup>4/</sup>

Akcja militarna rozpoczęta została 8 października 1920 r., to jest zaledwie kilka tygodni po wyrażeniu przez premiera Grabskiego, na międzynarodowej konferencji w Spa, zgody na oddanie Wilna Litwie do czasu podjęcia przez Ententę ostatecznej decyzji o jego przyszłości.

Realizacji tego zadania nie sprzyjało ponadto kilka innych istotnych okoliczności. Naczelnik Państwa był tego świadomy. Według relacji Żeligowskiego proponując mu firmowanie tej operacji i kierowanie nią powiedział, iż należy pamiętać, że „wszystkich mamy przeciwko sobie, nawet społeczeństwo polskie, które nie rozumie sprawy litewskiej. Może nastać chwila, kiedy będzie Pan miał przeciwko sobie nie tylko opinię świata, ale i Polski. Może nastąpić chwila, że nawet ja będę zmuszony pójść przeciw Panu. Trzeba to wszystko wziąć na siebie. Tego nie mogę rozkazać. Takich rzeczy się nie rozkazuje”. 5/

Operacja okazała się trudniejsza niż przewidywano. Walki z Litwinami zakończyły się dopiero po około siedmiu tygodniach. Zajęte terytorium nazwano niestosownym uprzednio terminem „Litwa Środkowa”.

Dyplomatyczne poszukiwania rozwiązania sporu, w których aktywnie uczestniczyła Liga Narodów, trwały cały rok. 8 stycznia 1922 r. przeprowadzono wybory do tzw. Sejmu Wileńskiego, zbojkotowane jednak przez większość ludności niepolskiej. 20 lutego podjął on uchwałę zawierającą sformułowanie: „Ziemia Wileńska stanowi bez warunków i zastrzeżeń nierozdzieloną część Rzeczypospolitej Polskiej”.

W połowie 1923 roku Wasilewski bardzo krytycznie oceniał stosunki polsko-litewskie, obwiniając za tę sytuację stronę litewską, używając nawet określenia: „szowinistyczny litewski imperializm”. 6/ Litwa nie uznawała włączenia Wilna do Polski i sprzeciwiała się nawiązaniu z nią stosunków dyplomatycznych. Stanowisko to zmieniła dopiero w marcu 1938 r. w następstwie polskiego ultimatum. Skutkiem trwających kilkanaście lat silnych animozji polsko-litewskich było między innymi zainteresowanie się władz litewskich problemem współpracy z mniejszościami narodowymi zamieszkującymi Polskę i wspieranie ich działalności antypaństwowej.

O tym, że szczególne zainteresowanie Piłsudskiego stosunkami polsko-litewskimi wynikało ze względów sentymentalnych sugestywnie świadczy to, co mówił w Wilnie 20 kwietnia 1922 roku: „Przemawiać będę do was jako Naczelnik Państwa Polskiego i jako wilnianin. Te dwie funkcje są dla mnie nierozdzielne, że w Wilnie inaczej przemawiać nie potrafię, a jeżeli śmiało powiedzieć mogę, że nie byłbym Naczelnikiem Państwa Polskiego, gdybym nie był wilnianinem, to znów odwrotnie – rozwiązanie kwestii, czy będąc dobrym wilnianinem, zdołałem być dobrym Naczelnikiem Państwa Polskiego – pozostawiam historii. (...) Pozwólcie, że zakończę moje przemówienie jako wilnianin. Jestem, moi panowie, w tym wieku, że spokojnie patrzę w tę dal, skąd nikt nie wraca. Wiem, że po tylu wzruszeniach mojego burzliwego życia, wzruszeniach zarówno bogatych w oklaski, jak i gwizdanie, niewiele już wzruszeń los mi gotuje, niewiele wzruszeń tak wielkich i potężnych jak te, które przeżyłem. Lecz są wzruszenia tak czyste i niewinne, wzruszenia nieledwie dziecka, które niechybnie będą jeszcze moim udziałem. Do nich należy i dzień dzisiejszy. Jestem jak dziecko na imieninach swej drogiej matki. Bezkrzytyczne oko dziecka, zachwycone matką, nie patrzy i nie pyta, jakie są szatki na jej ciele. Czy jest brzydka, czy jest ładna dla kogo innego, jest i pozostaje dla dziecka czymś pięknym i cudownym, a w dzień jej imienin wzruszone serce bije radośnie. Więc jak to dziecko, wzruszone do głębi, wołam: Niech żyje Wilno!” 7/

Odpowiedział mu wartym przytoczenia listem otwartym Michał Römer, należący do tych intelektualistów litewsko-polskich, których świadomość narodowa miała niejednorodny, bądź nie w pełni skryształizowany charakter, którzy byli, co najmniej do początku istnienia republiki litewskiej, jednocześnie Polakami i Litwinami, bądź Litwinami i Polakami. Z wykształcenia prawnik, ukończył studia w Petersburgu. W latach 1901-02 studiował historię na Uniwersytecie Jagiellońskim, w roku 1905 ukończył Szkołę Nauk Politycznych w Paryżu. W 1914 roku walczył w Legionach Piłsudskiego. Później wrócił do Wilna i pracował jako adwokat. W okresie, o którym tu mowa, mieszkał w Wilnie, a następnie przeniósł się do Kowna. Kilkakrotnie był rektorem utworzonego tam uniwersytetu.

„Czytałem mowę Twoją, Panie, wygłoszoną w Wilnie. Przeczytałem ją w Kownie. (...) człowiek, który choć przebywa nad Wisłą i jest Naczelnikiem Państwa Polskiego, ale nazwał się „wilnianinem” i wygłosił tę mowę wileńską, nie ma prawa uchylić się od sądu Litwinów. (...) W mowie Twojej, w związku z tym, coś powiedział o stolicy i Litwie, słowa te nie mogą być zrozumiane inaczej, jak że była tu w Wilnie Litwa przed nami, zanim myśmy (czytaj: Polacy) tu przyszli, i będzie tu Litwa, cokolwiek byśmy usiłowali tu zrobić (albo – gdy odejdziemy). Innymi słowy: Wilno – Litwy dzieło i stolica – jest i pozostanie takim, co wielka wola pokoleń stworzyła: wszelkie kombinacje przeciwne runą, wszelkie usiłowania spekulacyjne sfabrykowania innej natury Wilna drogą aktu wcielenia, uchwały „sejmu” itd. skruszą się jak niedołączna kamienica współczesna, budowana dla celów dochodowych w Warszawie lub w tymże Wilnie przez współczesnych Polaków. Nie będzie nas – będzie las: Wilno odzyszcze swoje stanowisko, wróci do związku z Litwą jako prawowita teje stolica, przez nią stworzona. Moc tego stwierdzenia Litwy w Wilnie jest w mowie Twojej, Panie, niezrównana. Żaden Litwin nie potrafiłby tego wyrazić lepiej – głębiej. Wilno jest nie tylko stolicą Litwy – jest ono jej dramatem: dla Polski jest ono natomiast kąskiem do pożarcia. (...) W pierwszej części mowy byłeś, Panie, Litwinem. Polak by tego nie powiedział i powiedzieć by tego nie mógł i nie umiał. Ten koniec mowy Twojej, Panie, jest aktem zdrady litewskiej, zadaniem kłamu temu, coś sam pojął i wyraził w części pierwszej, jest aktem potępienia postępowania Twego. (...) Pozostając Naczelnikiem Państwa Polskiego, musisz być Polakiem całkowitym: nie wolno Ci być w sporze Polski z Litwą – Litwinem. Jeżeli zaś Litwinem jesteś w tym sporze, to nie wolno Ci być Naczelnikiem Państwa Polskiego. I oto z Litwina, czyniąc zadość stanowisku Naczelnika Państwa Polskiego, stałeś się w zakończeniu Twojej mowy – Polakiem. (...)

Pojmuję tragedię Polaków litewskich, którzy nie są ani wyłącznie Litwinami, ani wyłącznie Polakami. Sam nim jestem. (...) Ale w rozbieżności takiej człowiek albo musi stanąć na uboczu, albo, jeżeli chce czynu, musi stanąć w obozie jednym lub drugim. W żadnym razie nie wolno mu pojmować, wierzyć i wyrażać jedno, a czynić, sankcjonować i nawet w teje mowie wyrażać drugie, zawierające przeczenie pierwszego, co przed chwilą sam wyrażał. I dlatego Ty, Panie, któryś był wielki, tworząc Polskę Niepodległą, i któryś miał złoty róg czynu twórczego w Polsce, w sprawie litewskiej słaby jesteś i zwyciężony zawsze. Twoja polityka wschodnia zban-

krutować musiała i Twoje wielkie pomysły federacyjne są w wykonaniu nie lotem orła, lecz stąpieniem karła. (...) Wznosisz nie wiekopomne dzieło w Litwie, jeno kamieniczkę, która rychło w gruzy się rozsypie. Może nie tego chcesz, Panie, ale tak czynisz. (...) Walczyłem, Panie, pod Twoim przewodem o niepodległość Polski. Wierzyłem, że ta niepodległość jest drogą do niepodległości i mojej ojczyzny, Litwy, i jej gwarancją. Wiary tej osobiście nie straciłem dotychczas, pomimo wszystko, co zaszło. Czciłem Cię, Panie, w walce o Polskę niepodległą, boś był w niej wielki. Nie jesteś nim jednak w dziejach Litwy. Ścierp, że Ci to mówię ja, jeden z Twojego szeregu. Mówię Ci to, boś sam Litwinem się nazwał i litewskim słowem przemówił, więc przez Litwę sądzony będziesz. (...) Odradzająca się Litwa będzie syntezą całości, w której i ten szczerp wyraz swój znajdzie. Wilno będzie tej syntezy czynnikiem głównym i koniecznym. Ale droga, którąś Ty obrał, nie do syntezy tej wiedzy, jeno do rozłamu i do zapanowania pospolitego etnicznego nacjonalizmu polskiego, usiłującego zabić Litwę”.<sup>8/</sup>

Małą rolę w ówczesnej polityce wschodniej odgrywała sprawa białoruska. Szybko bowiem okazało się, że ruch narodowy jest na Białorusi bardzo słaby i że grupy polityczne deklarujące chęć utworzenia niepodległego państwa były niemal całkowicie pozbawione oparcia w społeczeństwie. Odnotujemy też, że w czasie odbywających się późną jesienią 1917 roku wyborów do Zgromadzenia Ustawodawczego w Rosji szczególnie duży sukces na Białorusi odnieśli bolszewicy.

Centralne miejsce w polskiej polityce wschodniej zajmowała problematyka ukraińska, istotnie kluczowa. Warto podkreślić, iż Piłsudski posiadał, jak sądzę, stosunkowo nikłą jej znajomość. Z istniejących przekazów nie wynika, by nawet w czasie kilkuletniego pobytu w Galicji przed wojną wykazywał nią zainteresowanie. Wygłosił wprawdzie we Lwowie referat w paramilitarnym stowarzyszeniu ukraińskim, ale nie nawiązywał bliższych kontaktów z działaczami ruchu narodowego. Pozostawał jednak w zażytych stosunkach z poważnym zajmującym się tą problematyką Leonem Wasilewskim. W pierwszych latach II Rzeczypospolitej jego informatorem był też późniejszy wojewoda wołyński, pochodzący z Kijowa Henryk Józewski.

Z kwestią ukraińską zderzył się Piłsudski praktycznie na początku sprawowania funkcji Tymczasowego Naczelnika Państwa. Gdy wrócił z Magdeburga od kilkunastu dni toczyły się już we Lwowie walki między Polakami a Ukraińcami. Przekształciły się one szybko w wojnę polsko-ukraińską, prowadzoną na terenie Galicji Wschodniej zamieszkałej w większości przez Ukraińców (spośród 3,2 milionów Ukraińców żyjących w Galicji ponad 3 miliony mieszkało w jej części wschodniej), według spisu z 1910 roku stanowili tam około 62% mieszkańców (według źródeł ukraińskich znacznie więcej). Zaznaczmy, że dane statystyczne dotyczące składu narodowościowego Galicji są niejednoznaczne także w następstwie tego, iż statystyka austriacka nie uznawała istnienia narodowości żydowskiej; Żydzi określali się więc najczęściej jako Polacy, bądź znacznie rzadziej jako Niemcy lub Ukraińcy. Szczególnym przypadkiem była struktura narodowościowa Lwowa, w ostatnich latach przed I wojną Polacy wyznania rzymsko-katolickiego stanowili tam 51% mieszkańców, Żydzi – około 27%,

Ukraińcy – około 20%, natomiast w powiecie lwowskim bez Lwowa: Ukraińcy - około 46%, Polacy – około 44%.

Bezpośrednią przyczyną walk we Lwowie było proklamowanie 1 listopada 1918 roku Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej. Utworzona kilkanaście dni wcześniej Ukraińska Rada Narodowa oświadczyła, że: „Z woli narodu ukraińskiego na ukraińskich ziemiach byłej monarchii austro-węgierskiej utworzyło się państwo ukraińskie”<sup>9/</sup> i uznała się za najwyższą jego władzę. Państwo to obejmować miało Galicję Wschodnią z granicą na Sanie, Łemkowszczyznę, północno-zachodnią Bukowinę oraz ukraińskie ziemie północno-zachodnich Węgier.

Odnotujemy, że w czasie toczących się na początku 1918 roku w Brześciu Litewskim (według ówczesnego nazewnictwa) pertraktacji pokojowych między bolszewicką Rosją a państwami centralnymi, dopuszczona do nich delegacja Centralnej Rady Ukrainy żądała przyłączenia do niej również Chełmszczyzny oraz Podlasia i że wedle nieoficjalnych informacji w 1944 roku do forsowania podobnego rozwiązania usiłował nakłonić Stalina ówczesny I sekretarz Komunistycznej Partii Ukrainy Nikita Chruszczow. Nie zetknąłem się z informacjami świadczącymi o tym, że zapowiedź ustanowienia Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej wywołała poruszenie w galicyjskich polskich kręgach politycznych i by podjęto na ten temat kontakty z Ukraińcami. O tym, że jednak pewne reakcje miały zapewne miejsce zdaje się świadczyć fakt, iż rozpoczęte 1 listopada działania zbrojne musiały być przygotowywane.

Z pomocą ludności polskiej przybyły już w pierwszym tygodniu formacje wojskowe z Krakowa. Wojna toczyła się do lipca 1919 roku. Początkowo sukcesy odnosili w niej Ukraińcy, następnie koleje wojny ulegały zmianie. Ostatecznie przewagę uzyskali Polacy. W czasie tej wojny zginęło podobno około 15 000 Ukraińców i około 10 000 Polaków.<sup>10/</sup> Zwycięstwo militarne nie pociągnęło jednak od razu międzynarodowego uznania przynależności Galicji Wschodniej do Polski. Sprawa ta była przedmiotem zabiegów i sporów dyplomatycznych aż do 1923 roku, kiedy to Rada Ambasadorów uznała warunkowo suwerenność Polski na obszarze Galicji Wschodniej. Polska musiała zapewnić, że wprowadzona tam zostanie autonomia, w organach administracji język ukraiński będzie równoprawny z językiem polskim i że zostanie założony uniwersytet ukraiński. Zobowiązania te nie doczekały się jednak realizacji.

Wojna ta w dużym stopniu zaważyła na dalszych losach polityki wschodniej. Wynikało to z kilku okoliczności. Po pierwsze, Ukraińcy galicyjscy mieli świadomość narodową znacznie bardziej rozwiniętą aniżeli Ukraińcy żyjący w Rosji, na tzw. Rusi Podkarpackiej należącej do Węgier oraz na Bukowinie. Po drugie, wprawdzie także wśród nich przeważali chłopi, wyższy był jednak w strukturze społecznej odsetek inteligencji. Inteligenci ci byli lepiej wykształceni niż ich pobratymcy w Rosji oraz dwóch pozostałych regionach i znacznie aktywniej uczestniczyli w życiu społecznym i politycznym. Ponadto dużo wyższy niż w przypadku pozostałych części społeczności ukraińskiej był stopień instytucjonalizacji życia politycznego, a także unowocześnień gospodarki. Niemal wszyscy byli greko-katolikami, a Gościół odgrywał ważną rolę jako instytucja narodowa. Wyróżniali się też zaangażowaniem w ruch narodowy. Nawet po przegranej w 1919 roku wojnie część oddziałów woj-

skowych Z. U. R. L., podporządkowanych przebywającemu na emigracji w Wiedniu rządowi, uczestniczyła w prowadzonych na Ukrainie naddnieprzańskich działaniach zbrojnych. Najczęściej współdziałały z wojskami Dyrektoriatu, czasami sprzymierzały się nawet z oddziałami bolszewickimi. Galicję wschodnią nie darmo nazywano „ukraińskim Piemontem”

Negatywny wpływ tej wojny na stosunki między Ukraińcami a Polakami był tym większy, że w czasie jej trwania zostało zamordowanych, nieraz okrutnie, wielu cywilów, liczne były przypadki gwałcenia i mordowania kobiet i dziewcząt.

Nienawiść narastająca skokowo od kilkudziesięciu lat przyczyniła się niemało do tego, że na terenie Galicji Wschodniej ukształtował się w latach dwudziestych i był szczególnie silny ukraiński ruch nacjonalistyczny. Powstała Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, prowadząca ostrą, także terrorystyczną, walkę przeciw państwu polskiemu i Polakom. Można uważać, że tym samym, bez mała ćwierć wieku po instytucjonalizacji w 1905 r. (gdy powstało Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe) nacjonalizmu polskiego, nastąpiła instytucjonalizacja ukraińskiego nacjonalizmu.

Spotęgowało to antagonizm polsko-ukraiński, silny już przed 1914 rokiem. Wilhelm Feldman, jeden z głównych przedstawicieli polskiej galicyjskiej elity intelektualnej, przestrzegał w 1907 r., że „kraj idzie ku równi pochyłej coraz rozpaczliwiej, wśród coraz bardziej szalejących z obu stron namiętności”.<sup>11/</sup> Trzy lata później Leon Wasilewski konstataował „straszne zaostrzenie stosunków polsko-ukraińskich”, że „walka narodowa przybiera dziki, barbarzyński charakter” i czynił przede wszystkim endecję odpowiedzialną za to, że „szowinizm i fanatyzm ogarnął wszystkie (z wyjątkiem socjalistów) siły polityczne polskiego społeczeństwa”.<sup>12/</sup> Wybitny polityk austriacki J. Redlich w liście z sierpnia 1914 r. pisał: „Jeśli jest w głębi duszy małoruskiej jakaś myśl polityczna, to jest nią wielowiekowa nienawiść przeciw polskości”.<sup>13/</sup>

Piłsudski, rzecz zastanawiająca, nie podjął próby kompromisowego załatwienia konfliktu zbrojnego, chociaż należały na to Anglia i Francja. Szanse jego osiągnięcia były zresztą chyba bardzo nikłe, nie chciała go także strona przeciwna. Naczelnik pragnął możliwie najszybszego zbrojnego pokonania Ukraińców. Czyżby na jego stanowisko wywarło wpływ przeświadczenie, że ułatwi to uzyskanie przez Polskę dominacji na dawnej Ukrainie rosyjskiej? Można było jednak, a nawet należało, przewidywać, iż przeciąganie się walk i klęska Ukraińców zatrują jeszcze bardziej wzajemne stosunki i nie będą sprzyjały podjęciu wspólnej walki przeciw bolszewickiej Rosji, a więc temu, co stanowić miało sedno ukraińskiego aspektu polityki wschodniej.

Oczywiste też było, że o przyszłości Ukrainy zadecyduje przebieg zmagania w jej części wschodniej, większej niż pozostałe (Galicja wschodnia, Ruś Podkarpacka i część Bukowiny) razem wzięte. Żyła tam przeważająca część Ukraińców, posiadali oni jednak słabo rozwiniętą świadomość narodową. W 1912 roku Leon Wasilewski pisał o nich, że są „w znacznym jeszcze stopniu materiałem etnograficznym, którego przekształcenie się w naród zależy od radykalnej zmiany warunków politycznych”.<sup>14/</sup> W okresie wojny ta sytuacja zmieniała się początkowo w niewielkim stopniu, przed wybuchem wojny, a także prawie do końca jej trwania, dążenia niepodle-

głościowe były tam bardzo słabe. Dość istotna zmiana zaczęła się dopiero po obaleniu caratu, a zwłaszcza po zdobyciu władzy przez bolszewików. Aspiracje narodowe nie wykraczały jednak poza postulat przekształcenia Rosji w demokratyczne państwo federacyjne i uczynienia z Ukrainy jednego z jego członów.

Wkrótce po obaleniu caratu została utworzona Centralna Rada Ukraińska, na czele której stanął najwybitniejszy ukraiński historyk, profesor Mychajło Hruszewskij. Zwołała on w drugiej połowie kwietnia 1917 r. Ukraiński Zjazd Narodowy, w którym uczestniczyło 900 delegatów, reprezentujących wiele organizacji, a także samorządy miejskie i ziemstwa. Uznał on Radę za najwyższą władzę narodową i zobowiązał ją do przygotowania planów autonomii Ukrainy. Za pewną radykalizację stanowiska Rady uznać można wytyczne udzielone jej przedstawicielom na obradującą we wrześniu ogólnorosyjską tzw. naradę demokratyczną. Mieli oni domagać się przyznania wszystkim narodom Rosji nieograniczonego prawa do samostanowienia. Również w tym czasie Hruszewskij mówił, że Ukraińcy nie dążą do niepodległości, że gdy Rosja stanie się wolną, demokratyczną republiką, pozostaną „autonomicznym narodem w federacyjnym państwie”.

Dopiero dwa tygodnie po przejęciu władzy przez bolszewików Rada w tzw. czwartym Uniwersale proklamowała niepodległość Ukraińskiej Republiki Ludowej. Za ważny komentarz uznać należy słowa Hruszewskiego: „byliśmy konsekwentnymi federalistami, ale warunki spowodowały, że staliśmy się niepodległą, niezależną republiką”.<sup>15/</sup>

Zdarza się określanie jej jako burżuazyjnej. Nie uważam, by było to właściwe. Powstanie Rady i proklamowanie URL było dziełem głównie dwóch ugrupowań, partii socjaldemokratycznej i partii socjalistów-rewolucjonistów (nazywanych potocznie eserowcami), którzy po obaleniu caratu wyodrębnili się z istniejącej od początku stulecia ogólnorosyjskiej partii eserowców. Pierwsza z nich identyfikowała się z marksizmem, druga akceptowała myśl Marksa tylko częściowo, jej ideologia była eklektyczna. Pierwsza deklarowała, iż jest partią robotniczą, druga głosiła, iż wyraża interesy szerszej kategorii społecznej – klas pracujących, zwłaszcza chłopstwa. Z punktu widzenia składu społecznego członków, zwłaszcza aktywistów, przed rewolucją obie były partiami inteligentkimi. Po obaleniu caratu stały się partiami masowymi. W listopadzie 1917 r. w wyborach do Zgromadzenia Ustawodawczego eserowcy uzyskali ponad 60% głosów.

Sądzę, że zasługuje na uwagę opinia bardzo aktywnego uczestnika ówczesnych wydarzeń, czołowego socjaldemokraty ukraińskiego Wołodymyra Wynnyczuki piszącego w 1920 r., że wszyscy, którzy chcieli brać udział w dokonującej się na Ukrainie rewolucji politycznej i narodowej, musieli określać się jako socjaliści, „bo inaczej masy nie chciałyby ich nawet słuchać” i że w gruncie rzeczy partie te nie były socjalistyczne, a ich członkowie byli demokratami i narodowymi rewolucjonistami.<sup>17/</sup> W każdym razie Centralna Rada rozpoczęła realizację tego, co dla chłopów było najważniejsze – podziału majątków obszarniczych.

Centralna Rada ogłosiła też dekret o „narodowo-personalnej autonomii”, nawiązujący do idei austriackich socjaldemokratów Karla Rennera i Otto Bauera.<sup>17/</sup>

Przyznano autonomię Rosjanom, Żydom i Polakom, natomiast Białorusini, Czesi, Mołdawianie, Niemcy, Tatarzy, Grecy i Bułgarzy mogli, pod warunkiem zebrania 10 tys. podpisów osób danej narodowości będących obywatelami Ukrainy, wnosić o przyznanie im takiej autonomii.

Jednakże nowo proklamowane państwo nie zdołało się wykrystalizować i utrwalić. Spowodowane to było zarówno właściwościami strukturalnymi jego i społeczności ukraińskiej, takimi zwłaszcza jak całkowity lub niemal całkowity brak własnej tradycji państwowej, jak struktura społeczna, stopień rozwoju świadomości narodowej, charakter inteligencji ukraińskiej, ale też okolicznościami historycznymi, w których powstało i istniało. Jego trzyletnie dzieje wypełnione były w przeważającej części walkami zbrojnymi, w których uczestniczyły nie tylko rządowe formacje ukraińskie, ale także rosyjskie anty-bolszewickie formacje zbrojne, bolszewickie formacje ukraińskie i przybywające z Rosji. Ich początkowym sukcesom kres położyło włączenie się do konfliktu oddziałów kontrrewolucyjnej Armii, na czele której stał wspierany przez Francję gen. Anton Denikin. Jego polityka restauracji dawnych stosunków społecznych i negowania odrębności Ukrainy zmusiła Dyrektoriat do wydania mu w końcu wojny.

Dzieje toczących się kilka lat walk uzasadniają konkluzję, że o ich wyniku zdecydowały masy chłopskie zainteresowane znacznie bardziej kwestiami socjalnymi, głównie sprawą własności ziemi, niż problemami narodowymi. Chłopi ukraińscy, choć często niezadowoleni z sytuacji w regionach opanowanych przez bolszewików, zwłaszcza z przymusowego rekwirowania przez nich zboża i innych artykułów żywnościowych, po licznych wahaniach, a nawet zbrojnych przeciwko nim wystąpieniach, w ostatecznym rachunku wspierali jednak głównie ich, uznanych za mniejsze zło. Problematyka dotknięta w tym akapicie jest bardzo złożona, źródła są nieliczne i często budzące nieufność. Także literatura przedmiotu jest bardzo często tendencyjna. Ostatnia opinia odnosi się nie tylko do prawie wszystkiego, co napisano w ZSRR i państwach od niego uzależnionych. Często, chociaż w znacznie mniejszym zakresie, także do publikacji nazywanych zachodnimi, zwłaszcza do amerykańskich.

Systematyczna analiza wszystkich ważnych czynników, które przesądziły o niepowodzeniu zapoczątkowanych w styczniu 1918 r. działań mających na celu stworzenie niepodległej Ukrainy wymagałaby obszernego odrębnego opracowania, a także badań. Do tego, co zostało powiedziane wyżej dodam lapidarnie, że należy ono do takich niepowodzeń, które nie powinny dziwić. Dziwne byłoby, gdyby stało się inaczej.

Wydarzenia na Ukrainie naddnieprzańskie stanowiły główny i trwały przedmiot zainteresowania rzeszniczków polskiej polityki wschodniej. Wynikało to z kilku okoliczności. Po pierwsze, odnosiły się bezpośrednio do problemu odsunięcia i osłabienia Rosji, po drugie, związane było z zainteresowaniem polską ekspansją terytorialną i gospodarczą, po trzecie, związane było z losem licznej ludności polskiej zamieszkującej przede wszystkim Ukrainę prawobrzeżną. Polacy władali tam przeważającą częśćią wielkich majątków ziemskich. Wreszcie były szczególnie spektakularne i trwały najdłużej. To zainteresowanie znalazło najbardziej dramatyczny i spektakularny wyraz w wyprawie kijowskiej Piłsudskiego.

Tymczasowy Naczelnik Państwa od objęcia steru państwa zorientowany był na wojnę z Rosją bolszewicką. Nie chciał jednak, by zwalczając ją zbrojnie przyczynić się do zwycięstwa „białych” w toczącej się tam wojnie domowej. Byli oni bowiem zwolennikami odbudowania „jednolitej, niepodzielnej Rosji”, a przypadku Polski dopuszczali jej niepodległość tylko w granicach utworzonego w 1815 r. na kongresie wiedeńskim Królestwa Kongresowego. Nie ulegał więc sugestiom Francji przyjęcia im z pomocą zbrojną, dopóki prawdopodobieństwo zwycięstwa „białych” było znaczne. Zarzucano mu nawet, że przyczynił się przez to do utrwalenia władzy bolszewików. Liczył na to, że po zwycięstwie bolszewicy będą bardzo osłabieni i obalenie ich panowania nie sprawi większych trudności.

Z powyższą sprawą ściśle wiązał się problem stosunku do Ukrainy. Gdy Piłsudski powrócił do Warszawy, Ukraińska Republika Ludowa znajdowała się w trudnej sytuacji. Zwalczali ją nie tylko bolszewicy, ale także „białi” Rosjanie, nie skłonni do uznania niepodległości Ukrainy. Walcząca zatem zarówno z jednymi, jak i z drugimi, a także osłabiana panującą na formalnie należącym do niej obszarze anarchią, samowolą i starciami wspomnianych wyżej różnych formacji zbrojnych, traciła realną władzę na coraz większej części swego terytorium.

Po kapitulacji Niemiec i upadku ustanowionej przez nich władzy gen. Skoropadskiego, tzw. państwa hetmańskiego, w odnowionej formalnie Ukraińskiej Centralnej Radzie doszło do przegrupowań, w wyniku których powołany został tzw. Dyrektoriat, kierowany początkowo przez Wołodymyra Wynnyczenkę i przez Simena Petlurę, który ostatecznie, gdy wystąpiły w nim ostre podziały i coraz bardziej lewicowy Wynnyczenko podał się dymisji, stał się przywódcą Dyrektoriatu, noszącym tytuł Głównego Atamana.

Zaczęły się walki między bolszewikami a Dyrektoriatem, w połowie stycznia 1919 r. doszło do wojny między nimi. Dyrektoriat nie przeprowadzając oczekiwanych reform społecznych, nie oddając chłopom ziemi, tracił bazę społeczną. Wiosną 1919 r. większa część kraju znalazła się w rękach bolszewików. Jednakże już latem ogromna część chłopów niezadowolonych z masowego rekwirowania produktów rolnych obróciła się, nierzadko z bronią w ręku, przeciwko bolszewikom. Spożytkowała to Armia Ochotnicza generała Denikina. Jej działania wywołały szybko kolejną falę chłopskiego protestu. W konsekwencji Armia Czerwona odzyskała Ukrainę. Tym razem bolszewicy przeprowadzili szybko reformę rolną na dużą skalę. Ziemię otrzymało ok. 60% rodzin chłopskich, stan posiadania gospodarstw chłopskich wzrósł o 15 mln ha. Ostatni akt walki o władzę rozegrał się wiosną 1920 r. Był to jednocześnie kulminacyjny czas praktycznej polskiej polityki wschodniej.

W 1919 r. toczyły się na przestrzeni wielu miesięcy pertraktacje między przedstawicielami Petlury i Piłsudskiego. Doprowadziły one do zawarcia porozumienia Piłsudski-Petlura, określanego również, moim zdaniem nietrafnie, jako sojusz. Nie zostało ono nigdy ratyfikowane przez sejm. Dzieje tych pertraktacji, a także wydarzenia po zawarciu porozumienia, a więc po marszu na Kijów, po wycofaniu się z Kijowa, po bitwie zwanej „cudem nad Wisłą”, po pertraktacjach pokojowych między Polską a Rosją sowiecką i proklamowaną w końcu listopada 1918 r. w Kursku Ukrainą sowiecką i zawarciu

między nimi traktatu ryskiego, stanowią bardzo ważny materiał do analizy polityki wschodniej, a w szczególności zamiarów Piłsudskiego wobec Ukrainy. Nasuwają one istotne pytania, na które brak jest odpowiedzi nie budzących wątpliwości.

Nie jest to jednak materiał jednoznaczny już choćby dlatego, że te i inne wydarzenia były wypadkową z jednej strony zamysłów Naczelnika Państwa, z drugiej zaś realiów od niego niezależnych. Pozostają więc liczne problemy otwarte - nie tylko ze względu na potrzebę odróżniania tego, co czynił Piłsudski i wykonawcy jego poleceń, od tego, jak te czyny były uzasadniane i jak tłumaczono ich następstwa. Podkreślmy, że w latach 1919-20 właściwie tylko sprawa ukraińska była jeszcze otwarta, zamysły dotyczące Litwy i pewne oczekiwania dotyczące Białorusi okazywały się już mało realistyczne. Żywiono jednak nieraz nadzieje, że niektóre cele stawiane polityce wschodniej zostaną w niezbyt odległej przyszłości osiągnięte.

Jednym z pytań jest to, czy nawet w tym krótkim okresie, kiedy porozumienie Piłsudski-Petlura było realizowane i kiedy można było sądzić, że Ukraina zostanie niepodległym państwem, zwolennicy polityki wschodniej liczyli na trwałe związanie jej z Polską. Sądzę, że koncepcja federacji nie była już brana przez nich poważnie pod uwagę także dlatego, iż okazało się, że rację mieli przeciwnicy tej polityki, w szczególności endecy, mówiący, iż Ukraińcom brak jest pewnych niezbędnych warunków do stworzenia żywotnego państwa. Bardziej prawdopodobne jest to, że miano nadzieję, iż na pewnej części ziem ukraińskich utrzyma się państwo uzależnione od Polski, nawet jeśli formalnie niepodległe.

Nie podejmując tutaj próby uzasadnienia powyższych twierdzeń, wskażę tylko, że także w okresie przygotowywania wojny z bolszewikami i w toku działań wojennych, oddziały ukraińskie często nie były traktowane jako poważny sojusznik. Znamienne jest też to, że ustanowiona na ziemiach opanowanych w toku ofensywy administracja była w niewielkim stopniu zależna od władz ukraińskich.

Porozumienie z Polską musiał Petlura uważać za ostatnią deskę ratunku dla samostijnej Ukrainy i dla siebie. Nie mógł od nikogo poza Polską spodziewać się pomocy. Zgodził się zatem m.in. na wyrzeczenie się przez Ukrainę zachodniego Wołynia, Podola i Polesia. Treść porozumień, m.in. umowy ekonomicznej zawartej 1 maja 1920 r., wywołała oburzenie większości ukraińskich partii i działaczy. Rząd, organ podporządkowany Dyrektoriatowi, odmówił podpisania jej. Na konferencji partii socjalistów-rewolucjonistów w Pradze Hruszewskij nazwał umowę awanturą, a Petlurę zdrajcą.

Stosunki polsko-ukraińskie w latach 1919-20, a także pokojowe pertraktacje polsko-sowieckie i zawarty w Rydze traktat pokojowy, nie przyczyniły się do wzrostu sympatii między dążącymi do niepodległości Ukraińcami a Polakami. Chyba wręcz przeciwnie, wzmocniły się niechęci i żale między nimi. Wzmógł je zwłaszcza traktat ryski, uważany przez Ukraińców za zdradę ze strony polskiej, i podział Ukrainy między Polskę a Rosję.

Skierowane do petlurowców słowa Piłsudskiego: „Przepraszam Was, Panowie” i „miało być inaczej”, nie mogły oczywiście osłodzić nagromadzonych goryczy i bolesnych kolejnych wydarzeń.

Lata próby realizacji polityki wschodniej ujawniły, że poza takimi cechami tej koncepcji o jakich była już mowa wyżej, znamionował ją bardzo istotny mankament. Jeśli uznać, że jednym z wariantów polityki wschodniej był wariant federalistyczny, to uderza brak sprecyzowanego zamysłu polityki w stosunku do tych Ukraińców, Białorusinów, a także Litwinów, którzy mieliby po stworzeniu federacji pozostać w granicach jej polskiego czionu. Co więcej, polityka prowadzona w II Rzeczypospolitej, nawet za życia Józefa Piłsudskiego, była bliższa koncepcjom endecji aniżeli ideom sprzyjającym pozyskiwaniu tych społeczności dla koncepcji współdziałania z Polską i Polakami. Z doświadczeń tego okresu polityka wschodnia nie wyszła obronną ręką, jej racjonalność i skuteczność zostały podważone. Można nawet powiedzieć, że wówczas po raz pierwszy miało miejsce jej bankructwo. Twierdzenie to występuje także w najnowszej literaturze polskiej, na przykład w najlepszej monografii o Józefie Piłsudskim pióra Andrzeja Garlickiego. Nie zostało to spowodowane takimi lub innymi poszczególnymi błędami politycznymi i militarnymi, lecz było następstwem szeregu zasadniczych cech ówczesnej sytuacji.

W okresie pertraktacji pokojowych, a także bezpośrednio po podpisaniu traktatu ryskiego i jeszcze dość długo później, Piłsudski był przekonany, że bolszewicy wkrótce utracą władzę. Orientował się na wznowienie działań wojennych. Nie rozstawał się z nierealistycznym pomysłem znalezienia „Trzeciej Rosji”, demokratycznej, gotowej uznać wyodrębnienie narodów i skłonnej wesprzeć Polskę militarnie, a więc zasadniczo odmiennej od Rosji „białogwardyjskiej”, dowodzonej przez carskich generałów, z którymi nie chciał współdziałać w 1919 r. i od Rosji bolszewickiej, z którą wdał się w wojnę w 1920 r. Najbardziej znanym epizodem tego poszukiwania było bardzo krótkotrwałe porozumienie z eserowcem, organizatorem akcji terrorystycznych Borisem Sawinkowem. Może był on jednym z „trzech” Rosjan, natomiast na pewno był dowódcą niemal bez wojska.

Odnowienie takiej polityki wschodniej, jaka była prowadzona przez pierwsze 5 lat po odzyskaniu niepodległości, nie było już możliwe. W pewnej mierze zastępować ją zaczęła dość mglista tendencja polityczna zwana prometeizmem.

Doświadczenia te nie wzmocniły też pozycji Naczelnika Państwa. Samego rozpoczęcia działań wojennych z Rosją radziecką nie przyjęto bezkrytycznie. Szybki marsz na Kijów, interpretowany początkowo jako zwycięska ofensywa, wywołał entuzjazm Piłsudskiego. Jednakże szybko okazało się, że interpretacja ta różni się ze stanem faktycznym. Był to wprawdzie marsz szybki, ale nie zwycięski. Dowództwo Armii Czerwonej stosowało bowiem taktykę wycofywania się bez podejmowania walki z oddziałami polskimi. Taktyka ta stosunkowo szybko zaczęła Naczelnego Wodza niepokoić, chciał on bowiem, by do poważnego starcia doszło przed Kijowem. Powstrzymywał nawet posuwanie się oddziałów polskich, co powodowało też pewne zmiany zaplanowanej koncepcji strategicznej i pewną dezorganizację. Również sam Kijów opanowany został nie w wyniku zwycięskiej bitwy, ale w wyniku wycofania się wojsk sowieckich na drugą stronę Dniepru. Dowodzący oddziałami polskimi gen. Edward Rydz-Śmigły wjechał do Kijowa podmiejskim tramwajem. Podjęte pod koniec maja 1920 roku kontruderzenie sowieckie było bardzo

silne i spowodowało szybkie, z wielkim trudem dające się powstrzymać, wycofywanie wojsk polskich. Ofensywa sowiecka wywołała bardzo głębokie zaniepokojenie w społeczeństwie. 1 lipca sejm powołał Radę Obrony Państwa, wyposażoną w liczne i bardzo ważne uprawnienia, co oznaczało znaczne osłabienie pozycji Tymczasowego Naczelnika Państwa i Wodza Naczelnego. W lipcu i sierpniu, gdy najsilniejsze było przeświadczenie, że istnieje realne zagrożenie niepodległości państwa, obradowała ona niemal codziennie. Andrzej Nowak, bez zastrzeżeń akceptujący koncepcję Komendanta, w ostatnio opublikowanym tekście pisze, iż miał miejsce „pierwszy kryzys polskiej niepodległości”.

Zwycięska bitwa pod Warszawą powstrzymała tę ofensywę. Sprawą sporną jest, kto w największym stopniu przyczynił się do tego sukcesu. Piłsudski jest tylko jedną z czterech najczęściej wymienianych osób, pozostali to: szef sztabu generalnego gen. Tadeusz Rozwadowski, gen. Józef Haller i szef wojskowej misji francuskiej gen. Maxime Weygand. W kręgach nieprzychylnych Piłsudskiemu zaczęto mówić o nim ironicznie „nasz geniusz militarny i polityczny”.

Zwycięstwo nad Wisłą i odparcie ofensywy sowieckiej dają czasami asumpt do sporu o to, kto tę wojnę wygrał. To polska strona za pośrednictwem Anglii i Francji zwróciła się do strony radzieckiej z propozycją zawieszenia broni i rozmów pokojowych. Znamienne jest też, że warunki, które postawiła strona sowiecka, były takie jakie stawia zwycięzca a nie zwyciężony. Wprawdzie traktat pokojowy w Rydze nie został zawarty na ich podstawie, bolszewicy znacznie złagodzili warunki, ale nie dawał on też uzasadnionych powodów do twierdzenia o polskim zwycięstwie. Ponadto cena, jaką zapłacono za powstrzymanie kontrofensywy sowieckiej, była wysoka. Wojna nie wzmocniła pozycji politycznej Polski wobec Francji i Anglii i nie przysporzyła nam sympatii w Europie środkowo-wschodniej.

Wreszcie nieraz twierdzi się, iż jednym z celów rozpoczęcia wojny było ratowanie władzy Petlury. Można w to wątpić.

Natomiast niewątpliwymi, bezpośrednimi konsekwencjami tej wojny było to, że utworzone w wyniku wojny światowej i rewolucji październikowej państwa ukraińskie, Zachodnio Ukraińska Republika Ludowa na terenie Galicji Wschodniej i Ukraińska Republika Ludowa utworzona w Kijowie, przestały istnieć.

W historiografii polskiej rozpowszechnione jest twierdzenie, że wojska polskie powstrzymały marsz Armii Czerwonej na Zachód. Nie tu miejsce na rozważanie tej sprawy, na obszerniejsze dywagacje na temat „co by było”. Bardzo lapidarnie rzecz ujmując wystarczy ograniczyć się do następujących uwag.

Ani ruch rewolucyjny nie był wówczas na Zachodzie bardzo silny, ani dotarcie tam armii sowieckiej nie wzmocniłoby go znacznie, co więcej – nie można nawet wykluczyć, iż spotęgowałyby siły przeciwne mu. Armia sowiecka była, podobnie jak wojska polskie, bardzo wyczerpana dotychczasowymi działaniami wojennymi. Podjęciu szeroko zakrojonych dalszych operacji nie sprzyjała również sytuacja wewnętrzna Rosji radzieckiej. Rzecz znamienna, że niespełna pół roku po podpisaniu traktatu brzeskiego niezadowolone chłopstwa, a nawet znacznej części robotników, przybrało w Rosji bardzo szerokie rozmiary, jeden z czołowych wówczas

działaczy bolszewickich Nikołaj Bucharin mówił, że władza sowiecka wisi na włosku. W przypadku wszczęcia operacji wojskowych mających na celu dotarcie do Niemiec nieuchronne byłoby zbrojne przeciwdziałanie Ententy. Kierownictwo partii bolszewickiej nie mogło mieć co do tego wątpliwości. A nawet gdyby nie było to niewątpliwe, lecz tylko znacznie prawdopodobne, nie podjęłoby raczej takiego ryzyka.

Usprawiedliwianiu podjęcia wyprawy na Kijów służy nieraz słabo uzasadniane twierdzenie, że wojna miała prewencyjny charakter, że nieuchronny był atak Rosji bolszewickiej na Polskę. Ramy niniejszego tekstu nie pozwalają na podjęcie pogłębionych rozważań także w tej materii. Zajmuję się tą kwestią w przygotowywanej książce.

Polska nie uzyskała w następstwie wojny żadnej z oczekiwanych korzyści. Twierdzenie to odnosi się także do kwestii granic. Te, które wytyczono w Rydze, obejmowały wprawdzie część ziem etnicznie białoruskich i ukraińskich, ale była ona mniejsza niż przewidziana w propozycjach strony sowieckiej przedstawionych na krótko przed rozpoczęciem polskiej ofensywy na Kijów.

Pierwszy akt polityki wschodniej zakończył się pełnym niepowodzeniem.

#### PRZYPISY

1. Roman Wapiński, *Historia polskiej myśli politycznej XIX i XX wieku*, Gdańsk 1997, s. 165 i n.
2. L. Wasilewski, Materiały z konferencji prasowej z dnia 17 XII 1918 r., Archiwum Akt Nowych, sygn. B 1613 [tu m.in. relacja z tej konferencji w „Kurierze Warszawskim” 1918, nr 349]
3. Czesław Miłosz, *Wyprawa w dwudziestolecie*, Kraków 1999, s. 14.
4. Andrzej Garlicki, *Józef Piłsudski 1867-1935*, Kraków 2009, s. 353.
5. Lucjan Żeligowski, *Notatki z roku 1920, w: Niepodległość*, 1951, t.3, s. 164-165, cyt. za A. Garlicki, j.w., s. 353.
6. L. Wasilewski, *Europa po wojnie*, Warszawa 1924, s.78; cyt. za: B. Stoczewska, *Litwa, Białoruś, Ukraina w myśli politycznej Leona Wasilewskiego*, Kraków 1998, s. 141
7. Józef Piłsudski, *Pisma-mowy-rozkazy*, Warszawa 1933, t. V, s.255 – 60.
8. Bronisław Makowski, *Michał Römer i jego dziennik*, w: Znak, 1989 nr.6, s. 67-68, cyt. za C. Miłosz, op.cit., s.41-45.
9. Cyt. za M. Kozłowski, *Między Sanem a Zbruczem*, Kraków 1990, s. 126.
10. Tamże.
11. W. Feldman, *Stronictwa i programy polityczne w Galicji 1846-1906*, t.2, Kraków 1907, s.361.
12. L. Wasilewski, *Polaki, w: Formy nacyonalnego dżwienija w sowierniennych gosudarstwach*, red. K.I. Kastielanskij, Moskwa 1910.
13. List J. Redlicha do L. Berchtolda, 17.VIII. 1914, cyt. za J. Gruchała, *Rząd austriacki i polskie stronictwa polityczne w Galicji wobec kwestii ukraińskiej 1890-1914*, Katowice 1988, s. 135.
14. L. Wasilewski, *Ukraina i sprawa ukraińska*, Kraków 1911, s. 215
15. D. Doroszenko, *Istorija Ukrainy 1917-1923*, Użhorod 1932, s. 178-183
16. W. Wynnyczenko, *Wydrożdenyje nacji*, Kijów-Wiedeń 1920, s. 158.
17. Por. M. Waldenberg, *Socjalistyczne koncepcje rozwiązania kwestii narodowych. Projekt personalnej autonomii kulturalnej, w: W stulecie Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska (Materiały z sesji naukowej w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie w dniach 9-10 XI 1990r.)*, M. Śliwa (red.), Kraków 1991.

TADEUSZ KOWALIK

# MODEL DLA INNYCH CZY KULTUROWY UNIKAT?

## Szwecja wielobarwna

Nareszcie ukazał się zbiór esejów ukazujących współczesną Szwecję z jej ustrojowymi zaletami, wadami i problemami (*Szwecja. Przewodnik nieturystyczny*. Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2010). Akcent główny położono na modelu szwedzkim, a ściślej na państwie opiekuńczym. Nie mam złudzeń, że książkę przeczytają ci, którzy z lekcji szwedzkiej powinni się sporo nauczyć, by polską polityką gospodarczą kierować rozsądniej i sprawiedliwiej. Możemy jednak mieć nadzieję, że *Przewodnik* przyczyni się do wzbogacenia wyobraźni społecznej. Tymczasem bowiem tylko o to może chodzić, o wzbogacenie wyobraźni sprzyjającej alternatywie.

Wśród esejów wyróżniają się, co zrozumiałe, dwa teksty znakomitego specjalisty szwedzkiego od problematyki zabezpieczenia społecznego. Steven Saxonberg dowodzi, że wbrew wielu opiniom model szwedzki ma się dobrze. Nie unika jednak odnotowania – także niekorzystnych społecznie - zmian, jakim model ten ulegał, zwłaszcza po wstąpieniu Szwecji w 1995 r. do UE. Drugie jego studium ukazuje działania centroprawicy po jej zwycięstwie wyborczym w 2006 r. i ich skutki. Co ciekawe, nawet w Szwecji prawica zwyciężyła w wyborach głównie dzięki wykorzystaniu programowych haseł lewicy. Socjaldemokracji – pisze Saxonberg – „nie przegrali wyborów dlatego, że wyborcy odwrócili się od socjaldemokratycznego modelu polityki społecznej, ale raczej dlatego, że uznali, iż ten model jest przez socjaldemokratycznych polityków zaniedbywany (...). Wykorzystali to konserwatyści (...) odchodząc od programu reform rynkowych, który popierali w przeszłości, i występując jako nowa partia pracownicza!” (str.40).

Potwierdza to zresztą główną tezę artykułu Michała Sutowskiego, że ustrój społeczno-ekonomiczny tego kraju jest tworem nie tylko lewicy, lecz także pozostałych partii, zwłaszcza partii chłopskiej, ale także konserwatywnych liberałów. Można jeszcze dodać, że zwłaszcza w czasie pionierskim współtworzyli jego podstawy socjal-liberałowie z wybitnym ekonomistą (późniejszym noblistą) Bertilem Ohlinem na czele.

Polska część zbioru jest bardzo bogata. Daje wszechstronny obraz współczesnej Szwecji. Na wyróż-

nienie zasługuje chyba esej Jakuba Bożka, który dał się poznać już wcześniej w *Przewodniku o Ekologii*. Chyba niezamierzenie Bożek jest mocno krytyczny w stosunku do naszego środowiska ekonomistów, w którym na palcach jednej ręki można policzyć tych, którzy równoważony rozwój rozumieją zgodnie ze współczesną ekologią.

## Nie tylko model polityki społecznej

Piszę jednak te uwagi nie tylko w celu zachęty do przeczytania ciekawego zbioru, lecz także z potrzeby spojrzenia na *Przewodnik* z punktu widzenia szerszych korzyści dla ciągle transformującej się Polski. Zaniepokoił mnie po prostu nie tylko brak tekstów poświęconych problematyce czysto ekonomicznej, tekstów pióra ekonomistów (owszem, część winy biorę na siebie), ale także fakt, że tego braku nie odnotowują redaktorzy zbioru, autorzy wstępu i posłowia. A to może sprawiać wrażenie, że na przykład dla Polski Szwecja jest interesująca tylko jako "socjaldemokratyczny model polityki społecznej". Bo nie tylko Saxonberg pisze o Szwecji w ten mocno zawężający sposób.

Mimo że w społeczeństwie polskim Szwecja cieszy się wyjątkowo dużą sympatią, jej ustrój społeczno-ekonomiczny jako pewna całość bardzo rzadko wywoływał naukowe zainteresowanie. Również w opinii publicznej owo zawężenie daje o sobie często znać. Jedynym kandydatem na ministra w gabinecie Tadeusza Mazowieckiego, który odwołał się do przykładu szwedzkiego, był Witold Trzeciakowski. Ale znamienny był sposób tego odwołania. Deklarując się jako zwolennik modelu szwedzkiego powiedział, iż jest zwolennikiem kapitalizmu w sferze produkcji i socjalizmu w sferze podziału. Koresponduje to z ogólnym stanowiskiem ekonomistów, co najlepiej wyraziła Danuta Hubner wyznając publicznie, że jako ekonomistka jest liberałką, a jako polityk - socjaldemokratką. W jednym i drugim przypadku gospodarka zostaje niejako wyjęta ze sfery społecznej. Uważa się, że współczesne gospodarki są po prostu gospodarzami rynkowymi i tyle.

A tymczasem formacja socjaldemokratyczna, a nawet socjalno-liberalna, dążyła do ponownego osa-

dzenia (zakorzenienia) gospodarki w społeczeństwie. Chodziło im nie tylko o typ polityki socjalnej, lecz także o organizację gospodarki i jej cechy, czemu towarzyszy też specyficzna polityka ekonomiczna, zarówno ta systemowa, jak i bieżąca. Również w sferze produkcji kapitalizm szwedzki miał (i ciągle ma) cechy swoiste, mocno odmienne od anglosaskiego. Gdzie bowiem umiejscowić fakt, że również na poziomie dochodów pierwotnych (nieopodatkowanych) zróżnicowanie płac i dochodów oraz - co nie mniej ważne - relacje pomiędzy menedżerami i pracownikami są dalekie od autorytarnej hierarchiczności. Na przykład Volvo przez parę dziesięcioleci nie zwalniało pracowników z powodu załamania koniunktury. Było to zgodne ze znanym powiedzeniem J. M. Keynesa, że gdyby przedsiębiorcy troszczyli się o pracowników jak o maszyny (nie wyrzuca się ich podczas recesji), to falowanie koniunktury nie byłoby tak dokuczliwe. W domyśle, bo spadek funduszu płac, a więc i popytu byłby słabszy. Powróć jeszcze do kwestii „ekonomiczności” modelu szwedzkiego.

#### Granice „wyjątkowości”

Większość autorów zbioru nie zajmuje się problemem potencjalnego znaczenia doświadczenia szwedzkiego, czy szerzej skandynawskiego, dla polskich przemian. Czytelnicy nie dowiedzą się nawet tego, że dziewięćosobowa grupa ekonomistów pojechała do Sztokholmu na przełomie stycznia/lutego 1989 r. (a więc jeszcze przed obradami Okrągłego Stołu) celem zbadania, czego Polacy mogą się nauczyć od Szwedów. Zaowocowało to ponad 70-stronicowym raportem i paroma specjalnymi ekspertyzami.

Odnoszę wrażenie, że zajęcie się zbyt wieloma aspektami ustroju, społeczeństwa, polityki i kultury, czy też po prostu osobliwościami życia społecznego Szwecji, patrzeć przez tak „szerokie otwarte oczy” sprawiło, że w opiniach syntetycznych kładą autorzy nacisk przede wszystkim na jej cechy szczególne, niepowtarzalne. Nawet ci, którzy stawiają pytanie, czy Polska może ten kraj naśladować, kładą nacisk właśnie na „wyjątkowość i niepowtarzalność” (Bendyk).

Autorka *Wstępu* Kinga Dunin zachęca do poważnej debaty o Polsce. Czy jednak dyskusja na ten temat musiałaby się rzeczywiście rozpoczynać od tak elementarnych pytań jak to, czy model szwedzkiego *welfare state* (znów tylko ono) może zaistnieć „bez kulturowej ‘nadbudowy’ egalitaryzmu, protestanckiego etosu pracy”? Skoro jednak takie pytanie padło, już tu mam chęć postawić szereg znaków zapytania. Czy w Szwecji lat trzydziestych więcej było „kulturowego egalitaryzmu” niż w Polsce roku 1989? Pozbawiona ziemskiej arystokracji i wielkiego kapitału Polska była nie mniej chłopsko-egalitarna niż dawniejsza Szwecja. Przecież na to, na głęboko zakorzenioną *urawniówkę* skarżyli się przez całe lata nasi politycy. Poza tym konstytucyjną cechą państwa opiekuńczego jest właśnie wyrównywanie dochodów i bogactwa za pomocą progresywnych podatków i transferów socjalnych, czyli programowe kultywowanie egalitaryzmu. Jeśli zaś autorce chodziło o kulturę egalitaryzmu jako części *welfare state*, to ona właśnie powstaje w trakcie tworzenia podstaw egalitaryzmu dochodowego i majątkowego.

Edwin Bendyk w zakończeniu pisze, moim zdaniem, zniechęcająco: „Z analiz modelu szwedzkiego (lecz tak-

że duńskiego i fińskiego) wiadomo, że w jego sukcesie ważny udział ma składowa historyczna – trwające dziesiątki, a nawet setki lat kształtowanie relacji między silnym państwem a podmiotowym społeczeństwem...”. I dalej: „Nie zbudujemy w Polsce drugiej Szwecji, podobnie jak nie zbudujemy tu drugiej Finlandii czy Danii. Każdy z tych modeli rozwoju ma unikatowe, niepowtarzalne cechy, wynikające ze szczęśliwego połączenia historii, świadomej polityki i czasem też szczęścia”. Czy po takich zdaniach nie traci sensu mówienie o „skutecznej alternatywie dla doktryny neoliberalnej”? Przecież od dawna i chyba już nikt nie pisze i nie mówi o możliwości zwykłej transplantacji uznawanych za wzorcowe ustrojów społeczno-ekonomicznych.

Obok tak mocno podkreślonej w zbiorze unikatowości, mamy przecież dla całej grupy krajów cechy wspólne. Amerykański ekonomista David Gordon zestawił następujące dane statystyczne:

#### Gospodarki kooperacyjne i konfliktowe (1973-89)\*

Wskaźniki	Kooperacyjne	Konfliktowe
Wydajność sektora przedsiębiorstw	1,9	1,1
wydajność w sektorze wytwórczym	3,4	2,2
Udział inwestycji w PKB	14,2	10,8
stosunek kapitału do pracy (C/L)	3,3	2,2
stopa inflacji	5,8	8,0
stopa bezrobocia	3,7	7,6

\* Są to przeciętne nieważone uzyskane z rocznych przeciętnych dla danej grupy krajów. Gordon do pierwszej grupy krajów zaliczył RFN, Japonię, Norwegię, Szwecję, do drugiej zaś Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i Kanadę.

Bardzo znamienne, że wszystkie te ważne wskaźniki są dla grupy kooperacyjnej znacznie korzystniejsze zarówno ze społecznego, jak i czysto ekonomicznego punktu widzenia. Różnice wynoszą z reguły kilkadziesiąt, a w przypadku bezrobocia – ponad sto procent.

Nie chodzi tu więc tylko o korzyści płynące z samego państwa opiekuńczego, lecz o zlekceważony w zbiorze fakt, że egalitaryzm, wysokie zabezpieczenie społeczne, jest swego rodzaju czynnikiem produkcji. Że, wbrew przekonaniu ekonomii liberalnej, większa równość, większa sprawiedliwość społeczna, a także większa partycypacja pracowników sprzyjała zwiększeniu krajowego bochenka do podziału. W późniejszych latach obraz nie jest już tak klarowny. Ale jest pytanie, dlaczego się tak dzieje.

Szwedzi mają tę zasługę, że pierwsi dowodzili, w teorii i w praktyce, że nie istnieje liberalny dylemat: albo równość, albo efektywność (w szerokich ramach). Reprezentowali jednak za mały kraj, dlatego ich pisarstwo i doświadczenie było przez wiele lat marginalizowane.

#### Ekspertyza szwedzka

Spróbujmy przenieść problem korzystania z doświadczeń szwedzkich na grunt bardziej praktyczny,

odpowiadając na pytanie: czego Polska mogła się od Szwedów nauczyć, co naśladować. Jak już wspomniałem, taką próbę podjęła Konsultacyjna Rada Gospodarcza, udając się w tym celu, w kluczowym zdawałoby się momencie, do Sztokholmu.

Odnosząc się do modnego już wówczas hasła, by sięgać do „sprawdzonych w świecie” rozwiązań, autorzy akcentują ich zróżnicowanie: „O ile podstawowe mechanizmy rynku funkcjonują w rozwiniętych państwach przemysłowych tak samo czy podobnie, to np. proporcje podziału dochodu narodowego czy zasady polityki gospodarczej bywają zasadniczo odmienne. Z tego punktu widzenia szwedzki model gospodarczy jest wart szczególnego zainteresowania. Gospodarka szwedzka funkcjonuje w warunkach ostrych rygorów efektywnościowych narzuconych przez rynek międzynarodowy. Z tego m. in. powodu nie ma w niej miejsca na paternalizm w stosunku do przedsiębiorstw czy branż trwale nieefektywnych. Jednak nawet olbrzymie programy restrukturyzacyjne, jak np. likwidacja całego praktycznie przemysłu stoczniowego (do niedawna uchodzącego za jeden z najnowocześniejszych na świecie), przebiegają tam w warunkach spokoju społecznego, mimo stale utrzymującej się znacznej siły związków zawodowych. Tajemnica sukcesu tkwi w tym, co Szwedzi nazywają aktywną polityką zatrudnienia. Zamiast przeznaczać pieniądze na zasiłki dla bezrobotnych, najpierw szuka się możliwości pracy dla potencjalnych kandydatów na bezrobotnych. Spośród pracowników zlikwidowanych stoczni nikt nie został pozostawiony własnemu losowi (...). Radykalizm gospodarczy współistnieje w Szwecji z solidaryzmem społecznym a filozofia rozwiązywania sytuacji konfliktowych jest zaprzeczeniem thatcheryzmu. W Anglii likwidacja nierentownych przedsiębiorstw przeważnie pociąga za sobą wzrost bezrobocia a co za tym idzie strajki i napięcie społeczne. W Szwecji operacja ta przebiega w miarę bezkonfliktowo” (Konsultacyjna, 1989:3-4). Autorzy zwracali uwagę, że likwidacji przemysłu stoczniowego dokonali socjaldemokraci, podczas gdy sprawując wcześniej władzę konserwatyści subsydiowali ten przemysł.

W obowiązującej w Szwecji zasadzie „równej płacy za równą pracę”, niezależnie od kondycji firmy na rynku, autorzy dostrzegli interesujący mechanizm automatycznej restrukturyzacji gospodarki, eliminacji firm słabych i motywowania do innowacji pozostałych firm. Skonfrontowali ponadto realia szwedzkie z polskimi w odniesieniu do szeregu takich kwestii jak: stosunek podstawowych sił społecznych do zmian strukturalnych w przemyśle, pojmowanie priorytetów w procesie zmian strukturalnych, rządzące nimi mechanizmy oraz ich aspekty finansowe, zarządzanie przedsiębiorstwami oraz struktura organizacyjna sterowania przemysłem, polityka rolna, spółdzielczość, itp. Jak na pięciodniowy tylko pobyt w Sztokholmie, *Raport* jest zdumiewająco dojrzały (co częściowo zawdzięczamy pomocy tamtejszych emigrantów z Polski).

Ogólne przesłanie adresowane do władz polskich antycypuje niejako zapisy późniejszej Konstytucji RP: „Dostrzec można zatem znaczne podobieństwo między wartościami, którym podporządkowana jest polityka gospodarcza i społeczna socjaldemokratów w Szwecji oraz tymi, które urzeczywistniamy lub staramy się urzeczywistnić w Polsce: pełne zatrudnienie, płaca

uzależniona od wkładu pracy, bezpieczeństwo socjalne. Tym bardziej doświadczenia szwedzkie warto są przebadania, a niektóre z nich mogą być bezpośrednio użyteczne dla procesu reform gospodarczych oraz bieżącej polityki” (tamże: 5).

Przywiązując szczególną wagę do polityki przemysłowej, a w szczególności do restrukturyzacji starych branż, autorzy opracowali specjalne aneksy poświęcone konsensualnej restrukturyzacji dwóch branż: stalowej i stoczniowej. Można więc powiedzieć, że autorzy zachowali rozsądne proporcje pomiędzy opisem ustrojowych pryncypiów gospodarki szwedzkiej i palących kwestii pragmatycznych, wynikających jednakże z przesłanek modelowych.

Szwecja dostarcza jeszcze jednego dobrego przykładu: zachowania w swej polityce gospodarczej elementarnych kanonów ekonomii keynesowskiej, co zapewne miało związek z tym, że ekonomiści szwedzcy ją współtworzyli. Wyraziło się to w sposobie reakcji na kryzys gospodarki szwedzkiej, jakiego doświadczyła w latach 1991-94. Bezrobocie dochodziło w szczytowym momencie kryzysu do 13%. Jaka była reakcja władz? W 1993 roku posłużono się niebotycznym, jak na kraj wysoko rozwinięty, deficytem budżetowym. Różnica pomiędzy udziałem dochodów państwa w PKB – 60% - i wydatków – 73 %, czyli deficyt sektora finansów publicznych, wynosiła 13% PKB. Ale dzięki wysokim standardom zabezpieczenia społecznego ubóstwo w czasie kryzysu nie wzrosło.

Przypomnijmy też, że w ratowaniu waluty i płynności banków Szwecja wykazała wówczas zdolność do sięgnięcia po drastyczne narzędzia. Często pada argument, że za taką lekkomyślność płaci się w długim okresie. Szwecja zaś zademonstrowała niezwykłą obok Finlandii zdolność połączenia procesu wychodzenia z kryzysu z modernizacyjnym skokiem. Już w kilka lat później zajęła pierwsze miejsce w światowym rankingu gospodarek opartych na wiedzy.

### Kultura jest wytwarzana

Cytowane wyżej konkluzje polskich autorów zbioru o roli kultury w kształtowaniu ustroju skłaniają mnie do (jednostronnego, na wszechstronniejsze nie ma tu miejsca) przypomnienia, że historyczno-kulturowe patrzanie na genezę ustrojów społeczno-ekonomicznych nie tylko przyczyniło się do lepszego zrozumienia warunkowań dynamiki gospodarczej oraz kształtu ładu społeczno-ekonomicznego, ale równocześnie ujawniło wiele niespodzianek, a nawet pułapek. Oto rzucające się najbardziej w oczy.

Prawie sto lat temu Werner Sombart pisał, iż „Nie ma na świecie drugiego takiego kraju, w którym masy byłyby tak bardzo wciągnięte w tryby spekulacji, jak w Stanach Zjednoczonych, nie ma takiego drugiego kraju, w którym ludność tak powszechnie chciałaby korzystać z owoców kapitalizmu” (Sombart ([1906] 2004: 39).

Trzydzieści lat później podobnie pisał J. M. Keynes. Bardzo go niepokoiła giełdowo-spekulacyjna mentalność Amerykanów. Obawiał się wpływu na resztę świata tej mentalności, która nie jest niczym innym, jak doprowadzoną do absurdu wiarą w rynek, w grę na wolnym rynku. A pisał to właśnie wtedy, gdy Amerykanie stawali się pionierami rewolucji Keynesowskiej, antycyklicznego interwencjonizmu państwowego,

a więc gdy tę mentalność powściągali. Dzięki Nowemu Ładowi F.D. Roosevelt czterokrotnie zwyciężył w wyborach prezydenckich, a jego program odcisnął trwały ślad na polityce gospodarczej USA. Gospodarcza i społeczna polityka J. F. Kennedy'ego oraz Lyndona Johnsona jest czasem budowy państwa opiekuńczego na modłę zachodnio-europejską. Ale nawet w polityce konserwatysty Richarda Nixona elementy polityki keynesowskiej były widoczne. A politykę rządu Ronalda Reagana, ratującego koniunkturę za pomocą gigantycznego deficytu budżetowego, nazywano wręcz keynesizmem dla bogatych. Któż rozsądny mógłby twierdzić, że Nowy Ład i polityka Kennedy'ego i Johnsona były dwoma nieważnymi epizodami amerykańskiej historii gospodarczej, a nie jedną z możliwych dróg rozwoju gospodarki i społeczeństwa amerykańskiego. Dodajmy, że tego właśnie się obawiali dwaj czołowi, rynkowi konserwatyści: autor *Drogi do zniewolenia*, Friedrich A. Hayek, oraz zwolennik kapitalizmu jako cywilizacji nierówności, Joseph Schumpeter.

I dodajmy też, że szefowi władz okupacyjnych generałowi MacArthurowi niektórzy historycy przypisują zasługę zaszczepienia Japonii pewnej odmiany New Dealu. Japonia zaś jest kolejnym przykładem niebezpieczeństwa nazbyt kulturowego pojmowania dróg rozwoju gospodarczego i społecznego różnych krajów. W ciągu paru dziesięcioleci konfucjanizm uważano za barierę rozwoju kapitalizmu w tym kraju. Od lat 70., ale dopiero wówczas, gdy Japonia stała się jedną z potęg gospodarczych świata kapitalistycznego, zaczęto widzieć w tej filozofii czynnik sprzyjający kapitalistycznemu uprzemysłowieniu. Coraz bardziej staje się widoczne, że obecnie po tej linii zmierza młodsze pokolenie Chińczyków, dążących do zastąpienia marksizmu doktryną konfucjańską.

I wreszcie przykład europejski. Protestantyzm uważano niekiedy wręcz za warunek powstania zachodniego kapitalizmu. Wiele też pisano o katolicyzmie jako czynniku przeciwstawnym kapitalistycznemu etosowi przedsiębiorczości. I oto w latach 90. XX w. ultrakatolicka Irlandia dokonała skoku gospodarczego, burząc tę hipotezę.

Moja polemika z cytowanymi wyżej stwierdzeniami Edwina Bendyka stała się o tyle nieaktualna, że obecnie („Polityka”, 04.09.2010), przekonuje on Polaków, że „droga do nowoczesnej gospodarki (...) prowadzi przez kulturę”. Píše po prostu o możliwości i potrzebie świadomego **wytwarzania** kultury nie tylko jako wartości autotelicznej, lecz także jako kontekstu dla nowoczesnej gospodarki. I o to mi w powyższej polemice chodziło. Cieszę się, że również (obecnym) zdaniem Bendyka, ludzie nie są bezbronni wobec tradycji kulturowej, mogą ją wzbogacać, przekształcać, rozwijać.

Chyba dobrze pamiętam, że to autorka innego tekstu, p. Anna Delick, parę lat temu napisała w miesięczniku „Dziś”, że Szwedzi mają nowe hobby – lubią płacić wysokie podatki. Kryzys jednak wyraźnie zmienił jej perspektywę. Píše teraz: „Najgorsze jest to, że nie tylko szwedzcy, ale i europejscy socjaldemokraci jakby nie zdawali sobie sprawy, że w erze globalnych korporacji obrona modelu działającego w obrębie własnego państwa narodowego jest bardzo trudna, jeśli w ogóle możliwa” (75). Tytuł jej eseju: *Folkhemmet w erze globalizacji* zachęca do wyrażenia opinii, że przynajmniej

od początku upływającej dekady jest to nie tylko era globalizacji, lecz także ustrojowego zróżnicowania. Widzimy to w południowej Ameryce, gdzie cała grupa krajów z Brazylią na czele wyłamała się spod parasola USA, w Indiach i Chinach. Unia Europejska dezintegruje się, a w niej najlepiej się mają wszystkie, z wyjątkiem Islandii, kraje skandynawskie. Choć UE prowadzi politykę neoliberalną, obroniły one swoją odmienność przy stosunkowo niewielkich zmianach.

Choć więc autorka podnosi ważne zagadnienie obecnego konfliktu między pracą i kapitałem w erze globalnych korporacji, możemy zaryzykować twierdzenie, że najgorsze mamy za sobą. Warto zauważyć, że dawno nie obserwowaliśmy takiego jak obecnie oburzenia społecznego przeciw nadużyciom korporacji. A nawet podejmowane są różne, prawda: jeszcze bardzo słabe i nieadekwatne, kroki dla ustawowego ukrócenia ich władzy. Choć atak na państwo opiekuńcze trwa już co najmniej dwie dekady, ono się jednak w zdecydowanej większości krajów Zachodu obroniło, łącząc wysoki (w Norwegii, Szwecji i Danii najwyższy w świecie) poziom zabezpieczenia społecznego z nowoczesnością i wysoką dynamiką gospodarczą. Na poparcie tej tezy nietrudno odwołać się do danych statystycznych oraz szeregu monografii. Z całkiem nowej książki (Brooksa i Manza, 2007) dowiadujemy się, że tytułowa „uporczywość” (*persistence*) trwania państwa opiekuńczego wynika z głęboko zakorzenionego przywiązania opinii publicznej, społeczeństw do jego instytucji. Nawet w Niemczech, po drastycznych reformach Schroedera-Hartza, udział wydatków socjalnych wynosił (dane za 2006 r.) 26 proc. PKB, o 9 pkt. proc. więcej niż w USA, ale tylko o jeden punkt procentowy mniej niż w Szwecji.

Do podobnych wniosków doszedł też autor nieco wcześniejszej monografii o *welfare state* Peter Lindert. Konstatując w czołowych państwach dobrobytu, zwłaszcza w krajach skandynawskich, połączenie dużej sprawności ekonomicznej i technologicznej z bardzo wysokim poziomem zabezpieczenia społecznego, autor ten żartobliwie nazwał państwa opiekuńcze „darmowym obiadem” (*free lunch*). Stało się bowiem oczywiste, że Szwecja i inne kraje skandynawskie nie „płacą” za bardzo wysoki poziom zabezpieczenia społecznego, za państwo dobrobytu, mniejszą dynamiką gospodarczą. Na początku ostatniej dekady Finlandia, Szwecja, Dania zajmowały kolejno pierwsze miejsca w światowym rankingu gospodarek opartych na wiedzy. Z tych właśnie względów dwaj autorzy austriaccy (Ajtinger i Landesman, 2002) nazwali gospodarki skandynawskie „centrami doskonałości”, a nawet zastanawiali się, czy nie zapowiadają one „przyszłego modelu europejskiego”. Myślę, że kryzys obecny te ich zalety jeszcze bardziej uwypuklił. Powszechnie bowiem uważa się, także w kręgach neoliberalnych, że przynajmniej w Europie radzą sobie z nim stosunkowo najlepiej. Paradoksalnie, drugie kolejne zwycięstwo parlamentarne szwedzkiej prawicy - pod hasłami lepszej niż to robią socjaldemokraci obrony państwa opiekuńczego - najlepiej świadczy o jego trwałości (o owej *persistence* i owym podatkowym hobby). Trudno dociec więc, na jakiej zasadzie autorka wysuwa skrajnie imposybilistyczną tezę.

TADEUSZ KOWALIK

KATARZYNA BRATANIEC

# HIDŻAB

## – WYRAZ ZNIEWOLENIA CZY EMANCYPACJI? SPORY WOKÓŁ CHUSTY MUZUŁMAŃSKIEJ

W obecnych stosunkach między Zachodem a islamem pojawia się wiele kwestii, które są nie tylko przedmiotem sporów, wzajemnych oskarżeń, ale i politycznych działań. Dotyczą one dziś kwestii władzy i kultury: praw człowieka, demokracji, terroryzmu, migracji, interwencji Zachodu<sup>1</sup>. Na pierwszy plan wysuwane są ostatnio prawa kobiet, nie tylko w krajach muzułmańskich, ale i w Europie wśród mniejszości islamskich. Problem jest szczególnie jaskrawy, jeśli dotyczy muzułmanek żyjących i wychowanych na Zachodzie. Akceptują one bowiem zachodnie normy zachowań, za co spotykają się z potępieniem i karami ze strony społeczności muzułmańskich. Niestety, próba ochrony kobiet przed radykalnymi islamistami została ograniczona do kwestii stroju. Zakaz noszenia chusty, a ściślej zasłaniania twarzy w miejscach publicznych, został wprowadzony na razie we Francji. To polityczne działanie wymierzone jest przeciwko wzrastającym we Francji wpływom islamu radykalnego, szczególnie wrażliwego na przestrzeganie tradycyjnych zachowań przez młode muzułmanki.

### Znaczenie zasłony

Słowo *hidżab* po arabsku oznacza osłonę, która chroni kobietę przed spojrzeciami obcych mężczyzn. Może być rozumiane również jako ukrycie (separacja), jako granica między mężczyzną a kobietą. Ma ponadto konotację etyczną. Symbolizuje swoistą obronę przed tym, co złe, perwersyjne i zakazane<sup>2</sup>. Uznaje się też,

że elementem charakteru arabskiego jest niestabilna i rozchwiana emocjonalność, która cechuje Arabów także jako społeczność. Zdolność do wyrażania ekstremalnych uczuć i doświadczania sprzecznych emocji łączy się z brakiem kontroli i nagłymi wybuchami przemocy, charakteryzujących m.in. rytm życia arabskiej ulicy<sup>3</sup>.

Istotnym aspektem przenikającym życie współczesnych Arabów jest specjalne traktowanie ludzkiej seksualności, jako tabu i jednocześnie jako elementu kształtującego relacje międzyludzkie, szczególnie wobec kobiet. Wśród Arabów panuje przekonanie, że obcy mężczyzna i obca kobieta nie mogą kontaktować się na gruncie społecznym, ponieważ ich spotkanie może mieć implikacje seksualne. Raphael Patai wnioskując z tego, że mężczyźni i kobiety w krajach arabskich traktują siebie nawzajem wyłącznie jako obiekty seksualne. Dlatego też rygorystyczna segregacja płci i specjalny ubiór kobiet w życiu społecznym służyć ma zachowaniu dobrych obyczajów i ograniczeniu naturalnych popędów<sup>4</sup>. Fatima Mernissi w *Beyond the Veil* zwraca uwagę na swoistą nieumiejętność budowania intymności między małżonkami, która wynika z zasad przyjętych w islamie. Przyczynia się do tego poligamia, możliwość odtrącenia małżonki i rola w życiu małżeńskim teściowej, matki męża. Poligamia daje mężczyźnie możliwość i prawo uzyskania satysfakcji seksualnej od więcej niż jednej kobiety w małżeństwie, jednocześnie ogranicza zdolność do pogłębienia emocjonalnej

<sup>1</sup> Samuel Huntington, *Zderzenie cywilizacji*, Muza, Warszawa 2003, s. 316.

<sup>2</sup> Anna Barska, *Problematyka płci w tradycji algierskiej*, w: Elżbieta Pakszys (red.), *Międzykulturowe i interdyscyplinarne badania femi-*

*nistyczne. Daleki-Bliski Wschód: współczesność i prehistoria*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2005, s.130.

<sup>3</sup> Raphael Patai, *The Arab Mind*, Charles Scribners Sons, New York 1983, s. 161.

<sup>4</sup> Tamże, s. 139.

i psychicznej bliskości między małżonkami. Zakończenie małżeństwa przez odtrącenie małżonki również nie sprzyja budowaniu silnej więzi w małżeństwie, skoro może zostać ono arbitralnie przerwane w każdej chwili. Podobnie silnie zakorzeniony obyczaj dominowania w rodzinie matki męża pozostawia niewiele miejsca na autonomię i samodzielność młodej kobiety<sup>5</sup>. Zatem i w sferze przyjętej za domenę kobiet, a więc w rodzinie, pozycja kobiety jest słaba i uwarunkowana decyzjami mężczyzny i jego rodziny.

W zależności od kraju i od interpretacji autorytetów religijnych, w życiu publicznym dopuszczane jest noszenie *hidżabu* (długa, szara lub czarna, prosta, luźna sukienka z rękawami i najczęściej biała chustka zakrywająca szczelnie włosy i szyję), *czadoru* (strój noszony w Iranie, okrywa ciało od stóp do głów i może się łączyć z małą chustą zawiniętą na głowie) lub *nikabu* (strój zakrywający całą twarz z wyjątkiem oczu, można go nosić z ruchomą zasłoną na oczy), *burki*, która występuje w Afganistanie (okrywa całe ciało i twarz, w tym również oczy zasłonięte siatką)<sup>6</sup>. Pierwotnie burki używane były przez plemiona pasztuńskie w Afganistanie. Po dojściu talibów do władzy przywrócono burki jako wyraz podporządkowania kobiet boskim przykazaniom.

W Europie raczej nie spotyka się kobiet w burkach. Używana jest natomiast zasłona zwana *nikabem*, która przyszła do Europy z Arabii Saudyjskiej, gdzie tę odmianę zasłony wprowadzili salafici. *Burka*, *nikab* i *czador* różnią się znacznie od *hidżabu*, który jest tradycyjną zasłoną noszoną przez muzułmanki, nie zakrywającą jednak ich twarzy. Dounia Bouzar, francuska antropolog religii i specjalistka od islamu, twierdzi, iż nie można traktować na równi *burki* i *hidżabu*. *Hidżab* stanowi, jej zdaniem, część długiej historii islamu i wynika z wewnętrznej debaty teologicznej. Stąd też każda wyznawczyni islamu może interpretować sens tego nakrycia głowy zgodnie z własnymi przekonaniami. *Hidżab* oznacza w tym przypadku podkreślenie osobistej relacji z Bogiem. Dlatego noszą go nawet muzułmańskie feministki. *Burka* i *nikab* nie mogą być w ten sposób interpretowane, ponieważ są wyrazem nieprzekraczalnej bariery między kobietą a światem<sup>7</sup>. *Nikab* pojawił się w historii islamu dopiero w latach 30. XX wieku w Arabii Saudyjskiej. We Francji twarz zakrywają młode muzułmanki, które w ten sposób szukają własnej tożsamości, stając się gorliwymi wyznawczyniami salafickiej wersji islamu. Urodzeni w Europie zwesternizowani młodzi muzułmanie, z powodu swojego nieprzy stosowania i wykorzenia kulturowego stają się, zdaniem Oliviera Roya, łatwym przedmiotem manipulacji dla różnego rodzaju odłamów islamu radykalnego. Działania radykalnych ugrupowań w Europie zachodniej zmierzają do urzeczywistnienia uniwersalnej *ummy* – wspólnoty muzułmanów, bez względu na konsekwencje. Skierowane są przede wszystkim przeciwko Sta-

nom Zjednoczonym i ich kulturowej dominacji<sup>8</sup>. Bouzari przekonująco dowodzi, że nie powinniśmy utożsamiać całego islamu ze zwyczajami islamskiej sekty z Arabii Saudyjskiej. Nadużyciem jest także stawianie znaku równości między *hidżabem* a *burką*, *hidżab* podkreśla tożsamość kobiety, natomiast *burka* ją jej pozbawia<sup>9</sup>. W Algierii kobiety należące do Stowarzyszenia Braci Muzułmanów dzięki noszeniu *hidżabu* czują się wyzwolone i wyjęte spod kontroli rodziny. Mogą bez przeszkód działać w przestrzeni publicznej. W tym przypadku *hidżab* rzeczywiście oznacza emancypację społeczną i religijną<sup>10</sup>. Chusta jest wyrazem skromności kobiety, a jednocześnie symbolem jej wyzwolenia i emancypacji. Dzięki niej znikają nierówności klasowe i pokoleniowe. Kobieta wyzwala się od konieczności podobania się i wyróżniania, przez co zyskuje swobodę. Chusta jest symbolem religijnym, ale bywa traktowana jako wyraz nowoczesności przez muzułmanki, które chcą podkreślić swoją niezależność. Traktowano ją także jako znak oporu przeciwko obcym wpływom uznawanym za niemoralne.

Chusta obok roli religijnej pełni funkcję obyczajową i społeczną zwłaszcza w tradycyjnych społecznościach muzułmańskich. Pomaga kobiecie ochronić honor nie tylko własny, ale i całej rodziny. Zasady honoru stanowią najważniejsze kulturowe wartości, a ich przestrzeganie leży w gestii kobiet. Ich zachowanie ma wpływ na status całej rodziny i jej postrzeganie w danej społeczności. Na barkach kobiet spoczywa ogromna odpowiedzialność, dlatego spotykają się one z silną presją ze strony rodziny i otoczenia. Honor kobiety wyraża się przede wszystkim przez utrzymanie dziewictwa do dnia ślubu<sup>11</sup>.

Noszenie *hidżabu* przez młode kobiety na ulicy w czasach, gdy mogą one kształcić się i pracować zawodowo bez chusty, oznacza ich sprzeciw wobec regulacji państwowych i wolę rozszerzenia porządku domowego na przestrzeń publiczną. Oznacza także, że kobiety są świadome przekraczania ustalonych norm obyczajowych i wejścia na terytorium zarezerwowane dla mężczyzn<sup>12</sup>. W przestrzeni publicznej nie traktuje się kobiety jako indywidualnej jednostki. Postrzega się ją jako ciało, które wywołuje pożądanie i skłania mężczyzn do zakazanych relacji seksualnych. Dlatego obecność kobiet w przestrzeni publicznej wywołuje poczucie zagrożenia i nieładu. Noszenie *hidżabu* stanowi gwarancję bezpieczeństwa i nieetykalności cielesnej kobiety poza domem<sup>13</sup>.

Obyczaj noszenia chusty pochodzi z Persji, stamtąd przeniósł się do reszty krajów muzułmańskich. Arabowie przejęli ten zwyczaj prawdopodobnie za pośrednictwem Iraku w VIII wieku. Pochodzenie chusty tłumaczy, zdaniem niektórych badaczy, niższy status kobiety w społeczeństwach muzułmańskich, mimo głoszonej przez Koran równości. W 1936 roku szach Reza

<sup>5</sup> Fatima Memissi, *Beyond the Veil. Male-Female Dynamics in a Modern Muslim Society*, Bloomington-Indianapolis 1987.

<sup>6</sup> Istnieją jeszcze inne odmiany chusty: *burka chalidzi* (noszona przez niektóre kobiety w regionie Zatoki Perskiej, przybiera różne style i kroje, zawsze jednak pozostawia otwór na oczy), *chimar* (długa chusta sięgająca aż do talii, zakrywająca włosy, szyję i ramiona), *szajla* (chusta okrywająca głowę, umocowana na ramionach, w razie potrzeby z użyciem spinki).

<sup>7</sup> Wywiad z Dounią Bouzar, „*Burka to nie islam*”, *Polityka*, Nr 39, 2010, s.94.

<sup>8</sup> <http://americanbacklash.com/Oliver%20Roy%20July%202022%202005%20NYT.html>

<sup>9</sup> *Polityka*, Nr 39, 2010, s.95.

<sup>10</sup> A. Barska, dz.cyt., s. 132.

<sup>11</sup> Katarzyna Kurzawa, *Urodzić się muzułmanką. Między religią a tradycją świecką*, w: E. Pakszys (red.), *Międzykulturowe i interdyscyplinarne badania feministyczne. Daleki-Bliski Wschód: współczesność i prehistoria*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2005, s.199.

<sup>12</sup> Anna Barska, *Rodzina i jej przemiany w krajach Maghrebu*, [w:] *Krakowskie studia Międzynarodowe*, Kraków 2004, 3: 177.

<sup>13</sup> Tamże.

Pahlawi zakazał noszenia *czadoru* – tradycyjnej kobiecej zasłony. Wywołało to jednak zdecydowany sprzeciw wśród kobiet i w 1941 roku zakaz zniesiono. Zakaz uderzył w wolność i niezależność oraz samodzielność ekonomiczną kobiet żyjących w mieście i należących do niższych klas społecznych. Kobiety na wsiach i tak nie nosiły zasłony, ponieważ utrudniałaby im wykonywanie obowiązków związanych z pracą na roli i w gospodarstwie domowym. Kobiety należące z kolei do klas wyższych i nowoczesnej elity przyjęły nowe prawo jako konsekwencje modernizacji, za którą się opowiadały. Natomiast kobiety reprezentujące konserwatywne warstwy społeczeństwa irańskiego, ale o wysokich dochodach, mogły pozwolić sobie na wynajęcie osób, które zajęły się ich pozadomowymi sprawami. Kobiety z klas niższych same robiły zakupy oraz znajdowały zatrudnienie w manufakturach produkujących dywany. Tkanie dywanów umożliwiło kobietom uzyskanie własnego dochodu i nawiązywanie więzi społecznych. Wówczas kobiety nie wychodziły z domu bez zasłony, dlatego zakaz znacznie ograniczył ich swobodę i prowadzenie codziennego życia. Ich sytuacja materialna stała się dramatyczna, jeśli pozostawały same z dziećmi, gdy mężczyźni emigrowali w poszukiwaniu pracy. W przypadku konserwatywnych kobiet z wyższych warstw zakaz ograniczał ich religijne i kulturalne potrzeby: wizyty w meczecie oraz w miejskiej łaźni<sup>14</sup>. W latach 70. noszenie chusty w Iranie było sprzeciwem wobec polityki szacha<sup>15</sup>. Od rewolucji Chomejniego w Iranie obowiązek noszenia chusty stał się formą represji<sup>16</sup>. Po rewolucji położenie kobiet w Iranie zmieniło się w stosunku do okresu panowania szacha. Nowe prawa zostały oparte na tradycyjnym kanonicznym prawie islamskim, którego symbolicznym wyrazem stał się nakaz noszenia zasłony. Zmiany w prawodawstwie cywilnym faktycznie podporządkowały kobiety władzy mężczyźn. W każdym kraju muzułmańskim nakaz noszenia chusty wiąże się z określonymi restrykcjami i ograniczaniem praw kobiet. Zatem trudno przyznać rację tym, którzy widzą w hidżabie symbol wyzwolenia i godności kobiety muzułmańskiej. W Iranie drugie pokolenie feministek to wierzące muzułmanki, które do problemu zasłony podchodzą w niekonwencjonalny sposób, uznają bowiem, że islam popiera ideę równości kobiet i mężczyźn.

### Turcja

Począwszy od XVI wieku władcy osmańscy wydawali zakazy i nakazy dotyczące uczestnictwa kobiet w życiu publicznym. Dekrety te na ogół służyły ograniczeniu obecności kobiet i ich stopniowej izolacji społecznej. W 1790 roku kobieta mogła pokazywać się na ulicy tylko cztery razy w tygodniu i to w towarzystwie męża lub ojca, a jej twarz powinna być szczelnie zakryta. W 1807 roku w ogóle nie wolno jej było znaleźć się na ulicy, nawet pod opieką, i jeździć powozem. W 1881 roku kobietom nie wolno było swobodnie poruszać

się po ulicach i składać wizyt, zbierać się w grupach i rozmawiać z mężczyznami<sup>17</sup>. Wszystkie te zakazy dotyczyły kobiet mieszkających w miastach. Na wsiach poruszały się one bez przeszkód, ponieważ pracowały na roli. Dopiero w latach 1908-18 kobiety zaczynają się pokazywać z mężczyznami na ulicy. Od roku 1914 przyjmuje się kobiety na niektóre wydziały uniwersytetu. Po I wojnie światowej kobiety wywalczyły sobie prawo swobodnego poruszania się po ulicy bez zasłony oraz jazdy w towarzystwie mężczyźn w samochodach. Jednak do roku 1925, kiedy to Atatürk wezwał do europeizacji stroju, studentki chodziły na uniwersytet z zasłoniętymi twarzami.

### Prawa kobiet w krajach muzułmańskich

Konstytucje większości bliskowschodnich krajów zawierają klauzulę o równości wszystkich obywateli wobec prawa. Co więcej, niektóre spośród nich deklarują, iż nie może być żadnej dyskryminacji ze względu na płeć. Tak jest np. w Algierii, Bahrajnie, Iraku, Libii, Omanie, Autonomii Palestyńskiej, Katarze, Syrii i Tunezji. Jednak w konstytucjach Egiptu, Jordanii, Libanu, Kuwejtu, Maroka, Jemenu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich nie ma takiej deklaracji, a głosi się jedynie równość wszystkich wobec prawa. W konstytucji Arabii Saudyjskiej nie ma nawet takiej wzmianki. Pomimo deklaracji równości, kobiety w regionie cierpią z powodu różnych form dyskryminacji. Obejmują one nieomal każdy aspekt ich życia. W żadnym z wymienionych krajów kobiety nie posiadają pełni praw obywatelskich. W większości za te same przestępstwa, dotyczące przekroczenia nakazów moralności, podlegają surowszym karom niż mężczyźni. Żaden z obowiązujących w tych krajach kodeksów prawnych nie chroni kobiet przed przemocą w rodzinie. Zeznanie kobiety jest warte mniej niż mężczyzny. W wielu krajach nadal obowiązuje, ważniejszy niż prawo stanowione, tradycyjny kodeks rodzinny, który nadaje mężczyźnie status głowy rodziny i prawo do posłuszeństwa ze strony kobiety pod groźbą aresztu domowego w razie niesubordynacji. Policja i sądy w niektórych krajach traktują to prawo jako obowiązujące, co przekreśla szanse kobiety na wniesienie oskarżenia przeciwko własnemu mężowi. Często praktyką jest zmuszanie kobiet do poślubienia gwałciciela, aby rodzina mogła uniknąć związanej z tym hańby. Prawo pracy również w sposób nierówny traktuje kobiety, a ich zatrudnienie w pewnych zawodach jest niemożliwe. Z wyjątkiem Egiptu i Tunezji kobieta, która poślubi obcokrajowca, nie może przekazać obywatelstwa i narodowości swoim dzieciom z tego związku. Ponadto wobec nich są wymagane specjalne pozwolenia pobytu, corocznie odnawiane, aby mogły uczęszczać do szkoły bądź znaleźć pracę. Duży problem stanowi także blokada informacji o prawach kobiet w danym państwie, możliwości zrzeczania się czy sytuacji kobiet na świecie. Stąd brak wiedzy o należnych kobietom prawach oraz chęci uczestnictwa w organizacjach kobiecych. Także studentki nie są informowane o ich prawach obywatelskich. Problemy kobiet i niesprawiedliwość, jaka je spotyka, są ignorowane przez media. W niesprzyjającym klimacie poli-

<sup>14</sup> Homa Hoodfar, *Zasłona w ich umysłach i na naszych głowach: muzułmanki i praktyki zasłaniania*, [w:] Renata E. Hryciuk, Agnieszka Kościańska, (red.), *Gender: perspektywa antropologiczna*, s. 241.

<sup>15</sup> Maria Składankowa, *Iraniki*, w: Danuta Chmielowska, Barbara Grabowska, Ewa Machut-Mendecka (red.), *Być kobietą w Oriencie*, Dialog, Warszawa 2001, s. 39.

<sup>16</sup> W Iranie noszenie chusty jest obowiązkowe od 1981 roku. Zob. Guy Sorman, *Dzieci Rifa'y. Muzułmanie i nowoczesność*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2007, s. 145.

<sup>17</sup> Danuta Chmielowska, *Spoleczna i rodzinna sytuacja kobiety tureckiej*, w: D. Chmielowska, B. Grabowska, E. Machut-Mendecka (red.), *Być kobietą w Oriencie*, Dialog, Warszawa 2001, s. 50.

tycznym każde wystąpienie kobiet nie mieszczące się w kanonie religijno-obyczajowym jest traktowane jako zamach na obowiązujące normy.

W większości krajów regionu, oprócz Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich, gdzie zakazane są wszelkie organizacje i stowarzyszenia, kobiety posiadają własne organizacje. Jednak ich działalność jest bardzo ograniczona. Nie mogą np. interweniować na gruncie prawnym i obyczajowym. Najbardziej liberalnymi krajami są Tunezja i Maroko, charakteryzujące się nowoczesnymi kodeksami rodzinnymi, chociaż i w tych krajach sędziowie nie stosują się do ustanowionego prawa i dają z reguły pierwszeństwo tradycyjnym zasadom. Zwykle nowe prawo budzi sprzeciw radykalnych islamistów, dla których podporządkowana pozycja kobiety jest kwestią polityczną. Emancypację kobiet utrudnia fakt, że prawo interpretacji szariatu i innych religijnych tekstów, w tym tych, które można by zinterpretować na korzyść kobiet, należy do mężczyzn. I to oni - prawnicy, sędziowie i pracownicy urzędów - określają zasady zachowania obowiązujące kobiety w społeczeństwie islamskim. Widoczny postęp dokonał się na polu edukacji kobiet. Ostatnie dziesięć lat to imponujący wzrost liczby kobiet studiujących (nie tylko zarezerwowane dla nich dotąd kierunki, jak edukacja czy medycyna, ale i nauki ścisłe, inżynieryjne i biznes), rozpoczynających edukację i znaczny spadek analfabetyzmu wśród kobiet Bliskiego Wschodu. Wyrazem stosunku większości państw regionu do kwestii równości kobiet jest brak ratyfikacji z ich strony Konwencji Narodów Zjednoczonych o Eliminacji Wszelkich Form Dyskryminacji Kobiet (CEDAW). Tylko Oman i Katar podpisały tę konwencję<sup>18</sup>. Rozwiązania prawne dotyczące kobiet dzielą kraje regionu na trzy grupy:

- tradycyjne (m.in. Kuwejt, Emiraty Arabskie, Bahrajn, Katar, Sudan), gdzie pozycja kobiety ograniczona jest do sprawowania ról matki i żony. Nie przewiduje się tam uczestnictwa kobiet w życiu publicznym, ponieważ właściwym dla nich środowiskiem jest rodzina.

- progresywne (m.in. Syria, Irak, Algieria), w których kobieta, obok wypełniania tradycyjnej roli matki i żony, posiada również możliwości uczestniczenia w życiu społecznym i prowadzenia życia zawodowego.

- akomodacyjne (Egipt i Maroko), gdzie prawodawstwo stara się wyjść naprzeciw wyzwaniom współczesności i zarazem nie naruszyć prawa islamskiego<sup>19</sup>.

#### Sytuacja kobiet islamskich na Zachodzie

W latach dziewięćdziesiątych symbolem konfliktu między światem islamu a Zachodem stał się spór o noszenie chust przez muzułmańskie uczennice we Francji. Instytut Statystyki Narodowej w połowie 2004 roku odnotował, że we Francji legalnie przebywa 5 mln imigrantów. Obok imigrantów pochodzących z Algierii, Maroka, Tunezji, Afryki Zachodniej i Turcji, którzy stanowią większość francuskich muzułmanów, od lat dziewięćdziesiątych zaczynają się pojawiać muzułma-

nie z Iranu, Iraku i Afganistanu, którzy nie mieli wcześniej kontaktu z kulturą francuską. Od 30 do 50 tysięcy z nich to wyznawcy salafizmu, który wymaga od kobiet noszenia *burek*. Salafici uznawani są przez resztę muzułmanów za członków sekty, stąd też przewodniczący Francuskiej Rady ds. Kultu Muzułmanów (CFCM) Mohammad Moussaoui wypowiedział się w telewizji, iż francuscy muzułmanie przeciwni są noszeniu całociowych chust przez kobiety. Później, po pogroźkach ze strony radykalnych islamistów, wycofał się z tej wypowiedzi<sup>20</sup>.

Zakaz noszenia chust, zdaniem środowisk muzułmańskich, utrudnia integrację i rodzi wrogość muzułmanów wobec francuskiego systemu edukacyjnego. We Francji żyje około 4,5 miliona wyznawców islamu. Spór wybuchł, kiedy w 1989 roku kilkoro uczennic z rodzin arabskich przyszło do szkoły w tradycyjnych muzułmańskich chustach na głowach. Uczennice zostały wyrzucone z lekcji, ponieważ zdaniem dyrekcji naruszyły obowiązujące zasady laickości szkoły<sup>21</sup>. W wyniku debaty publicznej, która toczyła się we Francji i prac specjalnej komisji, mającej rozstrzygnąć problem obecności symboli religijnych w życiu publicznym, Zgromadzenie Narodowe uchwaliło zakaz noszenia w szkołach publicznych widocznych symboli religijnych, podkreślających religijną przynależność ucznia<sup>22</sup>. Ustawa z 15 marca 2004 roku głosi, że zgodnie z zasadą laickości szkoły zakazuje się noszenia w budynkach szkół publicznych znaków ostentacyjnie manifestujących przynależność religijną. Ustawa ta podzieliła francuską klasę polityczną oraz przyczyniła się do wystąpienia ze strony organizacji antyrasistowskich i feministycznych. Uznano ją za niezbędną, ponieważ muzułmański *hidżab* wprowadza mocny podział na przestrzeń męską i żeńską i jest wymierzony w ideę równości pomiędzy płciami<sup>23</sup>. Dla większości zachodnich feministek *hidżab* nie jest zwykłym symbolem religijnym, ale symbolem zniewolenia. *Hidżab* narzuca kobietom status niższości, potwierdza przekonanie, że właściwą dla kobiet przestrzenią jest przestrzeń prywatna. Przestrzeń publiczna może być dla nich dostępna wyłącznie pod warunkiem, że staną się niewidzialne. Chusta ogranicza zagrożenie i nieporządek wywołane przez kobiety w społeczeństwach muzułmańskich oraz utrwała ich postrzeganie jako istot niesamodzielnych i nie w pełni dojrzałych. Naturalną konsekwencją takiego postrzegania kobiety jest ustawodawstwo większości krajów muzułmańskich, a zwłaszcza ograniczenia dotyczące kobiet w prawie pracy, w prawie opieki nad dziećmi, dziedziczenia i rozwodu<sup>24</sup>.

Współczesne i wyemancypowane muzułmanki noszenie *hidżabu* traktują zupełnie inaczej. Uważają, że daje on wolność i swobodę poruszania się w krajach zachodnich. Jednocześnie nie dostrzegają one wymowy zasłony w Arabii Saudyjskiej czy Afganistanie, gdzie chusta jest formą represji: „Pragnienie ko-

<sup>18</sup> Freedom House, Special Report Section. Women's Rights in the Middle East and North Africa, [http://www.freedomhouse.org/print\\_er\\_friendly.cfm?page=384&key=4&parent=1&report=56](http://www.freedomhouse.org/print_er_friendly.cfm?page=384&key=4&parent=1&report=56) [2008-01-22]

<sup>19</sup> Beata Kowalska, *Płeć, islam a zmiana społeczna: dylematy współczesnego dyskursu emancypacyjnego na Bliskim Wschodzie*, [w:] Andrzej Kapiszewski (red.), *Świat arabski w procesie przemian. Zmiany społeczne i kulturowe oraz reformy polityczne*, Księgarnia Akademicka, Kraków 2008, s. 37.

<sup>20</sup> Joanna Bątkiewicz-Brożek, Burka nie zasłoni problemu, Tygodnik Powszechny, <http://tygodnik.onet.pl/1,40785,druk.html> [2010-11-03]

<sup>21</sup> <http://www.wprost.pl/ar/?O=78696>

<sup>22</sup> Ilona Kielan-Glińska, *Muzułmańska chusta a idea laickości we współczesnej Francji w: Krakowskie Studia Międzynarodowe*, Kraków 2004, 3: 272.

<sup>23</sup> Christine Ockrent (red.), *Czarna Księga Kobiet*, WAB, Warszawa 2007, s. 329.

<sup>24</sup> Tamże, s.332.

biet, by ponownie się okryć *hidżabem*, pojawiło się w formie żądania politycznego we wszystkich krajach muzułmańskich, począwszy od lat siedemdziesiątych, co odsuwa na później ich doświadczenie nowoczesności. Kobieta stała się flagą islamu w drodze do polityzacji, a rewolucja irańska bezsprzecznie wzmocniła identyfikację kobiety w chuście z radykalnym islamem, obrońcą szariatu<sup>25</sup>. Zryw religijny w krajach muzułmańskich w latach 70. był w swojej istocie ruchem przeciwko gwałtownej modernizacji tych społeczeństw i wyrazem poparcia dla tradycji religijnej i obyczajowej. Dlatego współczesne noszenie chusty tak trudno uznać za symbol nowoczesności, czego domagają się islamskie feministki.

Część francuskich działaczek opowiedziała się zdecydowanie przeciwko ustawie, kierując się dobrem kobiet i podkreślając fakt, że często *hidżab* jest im narzucony przez najbliższe środowisko. Wychowane w tradycyjnych rodzinach dziewczęta czasami tylko dzięki okryciu mogą uczestniczyć w lekcjach, a ustawa odbiera im tę szansę. Ponadto, twierdzi Shirin Ebadi, irańska laureatka Nagrody Nobla<sup>26</sup>, wykluczenie muzułmanek z francuskiego systemu edukacji może przynieść korzyść jedynie fundamentalistom.

Ustawa odwołała się jedynie do religijnego wymiaru noszenia chusty. Donioślejszy wydaje się jednak aspekt społeczny i znaczenie nadawane temu zwyczajowi przez muzułmańskie środowiska we Francji. Sankcje społeczne mogą być dotkliwsze niż prawne. Nie wzięto jednak pod uwagę konsekwencji społecznych i sytuacji na przedmieściach, które zazwyczaj zamieszkuje imigranci wyznający islam. Nawet jeśli przejawialiby oni laickie postawy i zachowania, to ich pochodzenie pociągałoby za sobą konieczność zachowania norm i wartości właściwych dla muzułmanów. Francuska prasa co jakiś czas donosi o bestialskich morderstwach młodych dziewcząt z francuskich osiedli, które nie poddały się nakazom narzuconym przez radykalnych islamistów.

Idee islamu w wersji wahhabickiej są głoszone przez imamów szkolonych w Arabii Saudyjskiej. Jednak ich adresatem jest także młodzież we francuskich gettach, gdzie większość meczetów jest opanowana przez fundamentalistów. Napięcia, które istnieją w świecie islamu, mają swoje odzwierciedlenie we Francji, gdzie rysuje się wyraźna dychochotomia między opanowaną przez mężczyzn muzułmańską tradycją, a laickimi i nowoczesnymi normami zachodnimi, które charakteryzują francuską kulturę<sup>27</sup>. Walka, tocząca się i na Zachodzie, i w społeczeństwach islamskich, dotyczy kształtu islamu współczesnego: czy będzie on autorytarny i zideologizowany czy umiarkowany i otwarty na wyzwania współczesności? Od jej wyniku zależy pozycja i sytuacja kobiety muzułmańskiej.

Fundamentalisci ograniczają prawa kobiet, przywracają średniowieczne obyczaje, w tym kamienowanie i bicie kobiet. Symbolem ich panowania nad kobietami jest nakaz zakrycia całej postaci łącznie z twarzą.

Bardzo rzadko rządy w świecie islamu przeciwstawiają się religijnemu establishmentowi. Prawa kobiet nie są popularne w świecie muzułmańskim również z powodu utożsamienia ich z zachodnimi wzorcami kulturowymi. Jako „kulturowy import” bywają uważane za zagrożenie dla zdominowanej przez mężczyzn struktury władzy. Dopóki w krajach islamskich prawa kobiet nie będą rozumiane jako uniwersalne prawa człowieka, a nie przejaw zachodniej mody, raczej nic się w tej kwestii nie zmieni.

Ponownie sprawie chusty nadano polityczne znaczenie, kiedy w 2004 roku w Iraku zostali porwani francuscy dziennikarze (Christian Chesnot i Georges Malbrunot), a terroryści domagali się od rządu francuskiego zniesienia zakazu noszenia chust. Reagując na to zdarzenie, francuscy muzułmanie opowiedzieli się przeciwko terrorowi głosząc hasło „nie będzie żadnej krwi na mojej chuście”. Federacja Organizacji Muzułmańskich<sup>28</sup> w Europie domagała się bezpośrednio od porywaczy natychmiastowego uwolnienia dziennikarzy. Delegacja Francuskiej Rady Kultu Muzułmańskiego pod przewodnictwem sekretarza generalnego UIOF (Union des Organisations Islamiques de France - Związek Francuskich Organizacji Muzułmańskich) udała się do Iraku, by bronić sprawy dziennikarzy i wstawić się za nimi u irackich zwierzchników religijnych. Zakładników zwolniono po kilku miesiącach, a francuska opinia publiczna wydawała się być usatysfakcjonowana działaniami ruchu muzułmanów<sup>29</sup>.

W 1997 roku w Dublinie powołano Europejską Radę Fatw i Poszukiwań, do decyzji której odwołały się Federacja Organizacji Muzułmańskich w Europie. Celem Rady jest kierowanie i prowadzenie europejskich muzułmanów, a szczególnie młodzieży poprzez rozpowszechnianie wśród nich autentycznych wartości islamu. Rada poszukuje kompromisu między niezmiennymi przepisami Koranu a rzeczywistością europejską, (na przykład w sprawie wyglądu kobiety czy jej nowej fryzury zaleca konsultacje z mężem)<sup>30</sup>. We wszelkich kwestiach z zakresu prawa cywilnego i życia codziennego Rada zaleca konsultacje z sędziami muzułmańskimi.

### Chusta jako problem polityczny

Chusta zasłaniająca tylko włosy nie jest przedmiotem zainteresowania świeckich rządów w wielu krajach arabskich, gdzie coraz więcej młodych, wykształconych kobiet okazuje w ten sposób swoją przynależność cywilizacyjną. Natomiast przedmiotem ataków ze strony rządów stało się zasłanianie twarzy. *Nikab* – chusta zasłaniająca twarz – traktowana jest przez nie jako wyraz radykalizacji społeczeństwa i rosnących wpływów sił konserwatywnych. W styczniu 2010 roku egipski sąd administracyjny potwierdził, że studentkom nie wolno zasłaniać twarzy w czasie egzaminów. Również szejik Said Muhammad Tantawi, stojący na czele uniwersytetu Al-Azhar, zabronił noszenia *nikabu* uczennicom i studentkom w szkołach i uczelniach powiązanych

<sup>25</sup> N. Goele, *Musulmanes et modernes, voile et civilisation en Turquie, Edition de la Decouverte*, 1993 cytat za: Ch. Ockrent (red.), *Czarna Księga Kobiet*, WAB, Warszawa 2007, s. 331.

<sup>26</sup> *Czarna Księga* ..., dz. cyt., s. 336.

<sup>27</sup> Hayat Alvi, „The Human Rights of Women and Social Transformation in the Arab Middle East”, *Middle East Review of international Affairs*, Vol. 9, No. 2, 147.

<sup>28</sup> Dokument został podpisany przez UIOF, Stowarzyszenie Brytyjskich Muzułmanów, Niemiecką Wspólnotę Muzułmańską, Ligii: belgijską i szwajcarską oraz 19 innych organizacji z wielu krajów europejskich.

<sup>29</sup> Sylvain Besson, *Islamizacja Zachodu? Historia pewnego spisku*, Dialog, Warszawa 2006, s. 136.

<sup>30</sup> Tamże, s. 138.

z Al-Azharem. Rząd Syrii zakazał wstępu na wyższe uczelnie muzułmankom zasłaniającym twarz. W Turcji w 2008 roku rządząca partia AKP doprowadziła do zmiany konstytucji i uchylecia zakazu wchodzenia na uniwersytety w chustce zasłaniającej włosy. We Francji uchwalono ustawę zakazującą pod karą grzywny zasłaniać twarz w miejscach publicznych *burką* lub *nikabem*. Wejście ona w życie na wiosnę w 2011 roku. Za zmuszanie kobiet do wkładania zasłon będzie groził rok więzienia lub 30 tys. euro grzywny. Podobny projekt rozważają Niemcy. Konrad Pędziwiatr twierdzi, że lęk przed *hidżabem* został wyeksportowany przez Francję do innych krajów europejskich. W Niemczech w 2003 roku muzułmańska nauczycielka pochodzenia afgańskiego straciła pracę w szkole w Stuttgarcie z powodu noszenia *hidżabu*. Federalny Trybunał Konstytucyjny uznał działania władz szkolnych za bezprawne, jednak podkreślił, że w przyszłości sądy poszczególnych landów mogą rozstrzygać tego typu kwestie. Obecnie zakazy noszenia *hidżabów* w szkołach obowiązują w Badenii-Wirtembergii, Szlezwiku-Holsztynie, Bawarii, Hesji, Dolnej Saksonii i Bremie. Noszenie *hidżabu* w szkołach jest zakazane także w Belgii i Szwajcarii<sup>31</sup>. W Wielkiej Brytanii natomiast chusta nie jest traktowana jako symbol religijny, lecz jako jeden z wielu przejawów religijności w przestrzeni publicznej.

#### Zakończenie

Stosunki między mniejszością muzułmańską w Europie a społeczeństwem Zachodu cechowała daleko idąca tolerancja państwa i społeczeństwa: muzułmańscy imigranci posiadają pełne prawa obywatelskie. Wraz ze wzrastającą liczbą imigrantów w krajach zachodnich pojawił się problem asymilacji tej grupy oraz roszczeń wysuwanych w stronę państw przyjmujących. W odróżnieniu od muzułmanów w USA, którzy należą w większości do klasy średniej, Europejcy muzułmanie stanowią klasę niewykwalifikowanych robotników. Są słabo zintegrowani ze społeczeństwem kraju, w którym osiedlili się przeważnie po drugiej wojnie światowej; wykazują tendencje do izolowania się i tworzenia zamkniętych społeczności. Ich kulturą izolację pogłębia raczej nieznamość języka, a nie odmienność obyczajów. Wielu imigrantów wydaje się akceptować tę separację poprzez utrzymywanie tradycyjnego sposobu życia przekazywanego młodszymi pokoleniami przez starszych, natomiast pokolenie urodzone w obcym kraju jest rozdarte pomiędzy dwoma systemami wartości i nie jest w stanie określić własnej przynależności cywilizacyjnej. Należy do pokolenia „kulturowo wykorzenionych”, używając określenia Olivera Roya. To nowe pokolenie narażone jest szczególnie na wpływ ideologii fundamentalistycznej, ponieważ nie zna doktryny islamu, spotyka się z nią w interpretacji wahhabickiej, prezentowanej przez medresy ufundowane przez Saudów<sup>32</sup>. Roy określa ich jako stracone pokolenie, sfrustrowane i nieprzystosowane do zachodniego stylu życia, występujące przeciwko globalizacji i przede wszystkim nieznajdujące swoje-

go miejsca w tradycyjnej kulturze i społeczeństwie<sup>33</sup>. Drugie i trzecie pokolenie imigrantów żyje w swoistym zawieszaniu, ponieważ nie zna tradycyjnego sposobu życia swoich rodziców, nie zostało wychowane w kulturze muzułmańskiej, większość nie zna nawet arabskiego. Do budowania swojej tożsamości wykorzystują islam, religię odartą z jej kontekstu kulturowego, gdyż zapoznają się z nią nie na Bliskim Wschodzie, lecz w Europie. Roy uważa, że ta tożsamość jest wyjątkowo krucha, oparta na religii wymyślonej i wyobrażonej, i dlatego rodzącej przemoc<sup>34</sup>. Tymczasem Zachodnia Europa nie stworzyła dotąd racjonalnego projektu, który ułatwiłby muzułmanom asymilację. Wprost przeciwnie, asymilacja ta stanie się utrudniona przez nowe prawo, stawiające muzułmanki przed wyborem między uczestnictwem w życiu publicznym (edukacja i praca), a lojalnością wobec wspólnoty, z której się wywodzą.

Rządy państw zachodnich w tej kwestii zachowują się podobnie do rządów krajów muzułmańskich, nie dbając o konsekwencje społeczne, jakie zakaz bądź nakaz przyniesie oraz o kontekst kulturowy, który wyznacza określoną pozycję kobiety w społeczeństwie. Jeśli w społeczności muzułmańskiej we Francji dominują wpływy salafickie, znane z tradycyjnego postrzegania roli kobiety w społeczeństwie, to wielką nieodpowiedzialnością francuskiego ustawodawcy jest zakaz noszenia zasłony przez kobiety, kiedy jej najbliższe środowisko społeczne wymaga tego od niej. Nowe prawo ograniczy dostęp francuskich muzułmanek do edukacji i możliwości podjęcia pracy oraz swobodnego poruszania się po ulicach, ponieważ kontrolę społeczną w społecznościach islamskich imigrantów sprawują zwolennicy salafickiej wersji islamu pochodzącej z Arabii Saudyjskiej. Kontrola ta jest na tyle skuteczna, że pozostali muzułmanie nie będą narażać życia i zdrowia kobiet dla ich wolności. Skoro państwo francuskie nie jest w stanie zapewnić muzułmankom podstawowego bezpieczeństwa i ochrony, nie powinno wprowadzać prawa, które wymierzone jest w ich poczucie godności i bezpieczeństwa. W istocie prawo to jest wyrazem lekceważenia losów kobiet i wpisuje się w niechlubną i starą tradycję osiągania politycznych celów za pomocą dyskryminacji i wykluczenia. Ponadto wpisuje się w modny ostatnio we Francji nurt lęku przed islamem zwany islamofobią. Islamofobia to przekonanie, że islam i muzułmanie zamieszkujący Francję od kilku pokoleń i przeważnie zasymilowani, stanowią szczególne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, jedności kultury i tożsamości francuskiej, ponieważ ich ukrytym celem jest przejęcie władzy i opanowanie społeczeństwa francuskiego przez poddanie go islamskim normom. Przekonanie to wychodzi naprzeciw wrażeniom części społeczeństwa francuskiego, które czuje się zagrożone skalą muzułmańskiej imigracji.

KATARZYNA BRATANIEC

<sup>31</sup> Konrad Pędziwiatr, Konflikt o chustę, [http://www.rzeczpospolita.pl/Print/dodatki/zderzenia\\_060509/zderzenia\\_a\\_3.html?X...](http://www.rzeczpospolita.pl/Print/dodatki/zderzenia_060509/zderzenia_a_3.html?X...) [2010-11-3]

<sup>32</sup> Marek Ostrowski, *Święta wojna z dżihadem?*, „Polityka” 2005, nr 29.

<sup>33</sup> Dostępny na stronie internetowej: <http://americanbacklash.com/Oliver%20Roy%20July%202022%202005%20NYT.html>.

<sup>34</sup> M. Ostrowski, dz. cyt.

ZBIGNIEW BAUER

# JOURNAMORFOZA PO POLSKU

## O plagiatoowym charakterze przełomu medialnego w 1989 roku (część III)

9.

Jednak cechą polskiej rzeczywistości po 1989 roku była nieumiejętność osiągnięcia proporcji między zinstytucjonalizowaną nieufnością a spontanicznym zaufaniem, co spowodowało niezdolność do uformowania się społeczeństwa obywatelskiego. Media jako reprezentanci „zinstytucjonalizowanej nieufności” zaanektowały tę sferę, w której społeczeństwo takie powinno było powstać. Przenosząc w polskie realia, „plagiatując” wzorce zachodniego dziennikarstwa śledczego raczej zapobiegały (inna rzecz, na ile świadomie) kształtowaniu się świadomości obywatelskiej, niż ją propagowały. Nie potrafiły też dostatecznie uchronić siebie samych przed powstawaniem własnego negatywnego wizerunku: dziennikarze, chcąc zdobywać informacje, wnikali w środowisko polityków, biznesmenów, gwiazd rozrywki i sportu, stąpali się z nim w trudną do określenia całość. Mimo że ujawnianie mrocznych stron demokracji było zawsze obudowane retoryką „społecznego interesu” – od „afery Rywina” stało się jasne, że chodzi o wywołanie wrażenia spektaklu, wzmocnienie nieufności i dystansu, ironii wymieszanej z cynizmem. Można powiedzieć, że dopiero w pierwszej dekadzie XXI wieku polska journalmorfoza weszła w kolejną fazę: w niej zasadniczą rolę zaczął odgrywać sam dziennikarz. Tabloidyzacja mediów stała się tabloidyzacją dziennikarstwa, a dziennikarz ze sprzedawcy sam zamienił się w towar.

Paradoksem dziennikarstwa śledczego jest to, że jeśli zaczyna ono dominować w dyskursie medialnym, jeśli zatem „instytucjonalna nieufność”, której jest niejako symbolem, przesłania pole „spontanicznego zaufania” – to efektem takiego rozchwiania równowagi jest zakwestionowanie tego, czego „psy stróżujące” pilnują: systemu demokratycznego. Jest on wówczas postrzegany jako przedmiot zainteresowania o tyle, o ile dostarcza dowodów swojej degradacji. „Psy stróżujące” zaczynają zatem pilnować tylko swojej „kości”: dbają, by proces rozkładu systemu trwał i by nieustannie dostarczał odpowiednich tematów i sensacyjnych „new-

sów”. Nastawienie takie powoduje, że dziennikarze poszukujący wciąż nowych, szokujących tematów i dowodów korupcji elit stają się łatwym celem PR-owców i „spindoktorów” partii politycznych, rządu, a także – co ważne w czasach Internetu – biorą wyrażane w Sieci opinie za autentyczny „głos społeczny”, choć w rzeczywistości może on być inspirowany przez specjalistów od walki propagandowej.

Podkreślmy: chcąc być najbliższymi źródłami informacji, dziennikarze śledczy muszą wchodzić w bliskie, niebezpieczne związki z politykami, a także siłowymi resortami, które są depozytariuszami ważnych tajemnic. Rozumiejąc rywalizację między mediami o dostęp do wiedzy i o szybkość przekazywania tego, co zostanie dziennikarzom udostępnione – politycy zaczynają wykorzystywać media jako podatny, łatwo sterowalny, a na dodatek wciąż obdarzany zaufaniem składnik politycznych projektów. Doskonale było to widoczne w okresie nazywanym „Czwartą RP”, socjotechnicznym projekcie autorstwa PiS-u: nieustanne konferencje i kontrkonferencje prasowe ministra Ziobry, spektakularne prezentacje (np. ustaleń prokuratury w sprawie tajemniczych spotkań Janusza Kaczmarka z biznesmenem Ryszardem Krauze w hotelu Marriott), nadaktywność powołanego do naukowych badań IPN w rozdzielaniu wiedzy o peerełowskiej agenturze – to wszystko dowiodło, jak bardzo nieodporne na manipulacje staje się w pewnych sytuacjach dziennikarstwo śledcze. W pewnym momencie to władza zaczęła ustalać „porządek dzienny” w mediach, paraliżując ich własne zadania w tym zakresie.

10.

Moment, w którym wybucha „afery Rywina” nie jest przypadkowy. Zbiega się z nią znaczny wzrost siły elektronicznych mediów komercyjnych, szczególnie grupy ITI. To ona wprowadziła wiele zaakceptowanych przez odbiorców „voyeurystycznych” formatów telewizyjnych – ona też rozpoczęła nadawanie, w osobnym kanale, całonocnego programu informacyjnego TVN24, co

na polskim rynku telewizyjnym było istotnym przełomem (do tej pory wiadomości przez całą dobę nadawała wyłącznie centralna radiostacja publiczna, stopniowo zaczynały to czynić radiostacje komercyjne). Jeśli dodamy do tego bardzo ożywioną działalność inwestorów zagranicznych na rynku dzienników ogólnopolskich i regionalnych – stawało się jasne, że jedyna „wyspa”, na której znajdowały się media mogące poddawać się władzy, czyli publiczna radiofonia i telewizja, zostanie wkrótce zatopiona. Dlatego podjęto kolejne intensywne prace nad nowelizacją obowiązującej od dziesięciu lat ustawy o radiofonii i telewizji: intencją rządu jako autora projektu noweli było zapewnienie sobie wpływu na media publiczne i ograniczenie koncentracji kapitału w mediach komercyjnych, czyli faktyczne zahamowanie ich naturalnego rozwoju. Otworzyło to pole konfliktu między prywatnymi mediami a rządem – wówczas lewicowym. Głównym celem legislacyjnych gier był koncert Agora, jak sądzono, zainteresowany (po serii udanych zakupów lokalnych radiostacji) kupnem Polsatu. Skomplikowane machinacje wokół nowelizacji ustawy, przewrane wybuchem „afery Rywina”, zatrzymały na długo konieczną reformę rynku medialnego w Polsce, niedokonaną faktycznie do dziś, gdyż utrwaliły przekonanie, iż sprowadza się ona wyłącznie do zabiegów o utrzymanie wpływów władzy w mediach publicznych.

Oslabiło to poważnie i tak już nienajlepszy wizerunek TVP jako medium informacyjnego i publicystycznego, wyhamowało również na pewien czas rywalizację między TVN a Polsatem. Z rywalizacji tej zwycięsko wyszła firma Mariusza Waltera – kształtując wizerunek medium neutralnego, obiektywnego i nowoczesnego zarówno technologicznie, jak też pod względem sprawności dziennikarskiej, a zarazem doskonale odpowiadającego na zapotrzebowania na rozrywkę. Zaczęła też być postrzegana jako pewien model uprawiania dziennikarstwa informacyjnego i publicystyki, na dodatek zręcznie „wpasowując się” w lukę powstałą między TVP a stacją Solorza. Nie zrezygnowano przy tym z realizacji zamierzeń „konwergencyjnych”: wykupiono większościowy pakiet w portalu Onet.pl, duży nacisk położono również na rozwój interaktywności w sferze technologii i struktury programu.

Prawdziwym przełomem okazało się jednak sprowadzenie do TVN Tomasza Lisa (1997) i zbudowanie bardzo nowoczesnego, a w warunkach polskich nowatorskiego, magazynu informacyjnego „Fakty”. Dziś wzrost znaczenia dziennikarstwa informacyjnego w telewizji, jej „njsyzację”, polegającą na dostosowaniu metod pracy reporterów, zdobywania i selekcji wiadomości, a następnie odpowiedniego ich „opakowywania” przez siedzącego w studiu gospodarza programu, „anchormana” tworzącego sieć dialogów z pracującymi w terenie dziennikarzami, puentującego wyraziście kolejne informacje lub zadającego retoryczne pytania – to wszystko przypisuje się, nie do końca słusznie, osobowości Lisa. Trzeba jednak, gwoli sprawiedliwości, powiedzieć, że Lis umiał stworzyć sobie zespół energicznych, sprawnych współpracowników, którym przedstawił spójną i nowoczesną wizję programu informacyjnego całkowicie odbiegającą od tego, co przez lata proponowała telewizja publiczna. Zyskał przy tym wsparcie właścicieli stacji, którzy zdecydowali się

na duże inwestycje, ryzykując przegraną z przyzwyczajeniami widzów od lat rytualnie zasiadających przed odbiornikami, by oglądać majestatyczne, mentorskie „Dzienniki Telewizyjne” i „Wiadomości”. Nie był to jednak, jak się sądzi, sukces jednego tylko człowieka, ale wynik odważnych posunięć, nowej „filozofii” informacji. Jej oddziaływanie powiązano – tak jak stało się to już przed laty w najważniejszych stacjach telewizyjnych na świecie – z osobą informację tę przekazującą. To ona stawała się „twarzą” nie tylko stacji czy programu (magazynu informacyjnego jako programu autorskiego – to w warunkach polskich prawdziwa rewolucja), ale wchodziła w pole znaczeniowe samego przekazu.

Uruchomiona zostaje machina kopiowania: model „Faktów” plagiatują „Wiadomości” i polsatowskie „Informacje”; sukces TVN24 zachęca władze TVP do utworzenia TVPInfo, co wiąże się ze zmasakrowaniem struktury lokalnych ośrodków telewizji publicznej zatrudniających wielką rzeszę dziennikarzy. Zepchnięci na margines i sprowadzeni do roli wyłącznie producentów materiałów pożytkowanych przez ośrodek centralny – walczą o „przebicie się” do głównego wydania programu informacyjnego, kosztem rzeczywistego zainteresowania się sprawami lokalnymi.

Ale proces mediamorfozy ma jeszcze inne oblicze: prowadzi od prezentacji świata poprzez prezentację medium i dziennikarstwa do prezentacji dziennikarza. Od obiektywizmu zatem poprzez autoteliczność do egocentryzmu. Medium i dziennikarz przestają być najbardziej „przezroczystymi” ogniwami łańcucha przekazu: zaczynają skupiać uwagę odbiorcy na sobie, przekonując go, że to oni są w tym przekazie najistotniejszym składnikiem, zaś świat to tylko pretekst lub pole negocjacji znaczeń między nimi a odbiorcami.

Jest to oczywiście naruszenie zasady „obiektywizmu” – kolejne zresztą, gdyż w chwili, gdy dochodzi do przeszacowania roli dziennikarstwa śledczego, dziennikarz przestaje być jedynie transparentnym, niewidocznym posłańcem przynoszącym wiadomości. Śledztwo nie może skończyć się jedynie na ustaleniu faktów, a dziennikarz nie zamyka swojej roli na ich beznamytnym przedstawieniu, ale stawia hipotezy, ryzykuje twierdzenia. Wchodzi więc w przestrzeń spektaklu, na którym toczą się dialogi nie tylko o prawdzie i wyższych wartościach, ale trwa walka o komercyjny sukces. Gdzie błazeństwo ma taką samą wagę jak heroizm, a hipokryzja – jak szczerść. W tej przestrzeni dziennikarz staje się celebrytą.

Jak wiadomo – „samo życie nie robi dobrej telewizji”, a słowo „dobra” oznacza tutaj: chętnie, często, a nawet regularnie oglądana. W dziennikarstwie śledczym zastosowanie np. ukrytej kamery czy podsłuchu jest sygnałem, że dziennikarz żywi wobec filmowanej w ten sposób czy nagrywanej osoby jakieś podejrzenia: publikacja materiału zawierającego te nagrania nie jest tylko „obiektywną” rejestracją – sugeruje, iż podejrzenia się sprawdziły<sup>2</sup>. W telewizyjnym info-show prowadzący go prezenter nigdy nie będzie „przezroczysty”, toteż nigdy nawet nie próbowano tworzyć takiego wrażenia – przeciwnie: magazyny informacyjne noszą wyraźne

<sup>2</sup> Por. M. Palczewski, *O problematyczności metod dziennikarstwa śledczego. Próba analizy na wybranych przykładach z USA i Polski*, [w:] *Dziennikarstwo śledcze. Teoria i praktyka w Polsce, Europie i Stanach Zjednoczonych*, red. M. Palczewski, M. Worsowicz, Łódź 2006, s. 66.

<sup>1</sup> Terminu tego używa W. Godzic, *Telewizja i jej gatunki...*, s. 64.

piętno tworu autorskiego, składającego się wprawdzie z materiałów wytwarzanych przez różnych reporterów i korespondentów, niemniej sposób ich wiązania w całość, wpisywania w „ramy” przypisywana jest, zresztą słusznie, samemu prezynterowi.

„Ujawnienie się dziennikarza stało się centralnym problemem w dziennikarskiej pracy. Była to konsekwencja wizualności telewizji, oznaczała jednak odejście od tych atrybutów, które generalnie wiązano z dziennikarstwem. Zjawisko to miało dalekosiężne efekty ujawniające się w wielu aspektach praktyk dziennikarstwa. [...] Ich uprawianie w erze telewizji to swoisty konflikt między wysoko cenionymi zasadami wypracowanymi w czasach druku i radia a tymi właściwościami, jakie niesie nowe medium. Widać go najlepiej w sytuacji prezynterów wiadomości telewizyjnych (anchors). Ucieleśniają oni skutki wpływu telewizyjności na dziennikarstwo, związane z wizualną obecnością, personalizacją i innymi odmianami relacji zachodzących między wiadomościami a ich widzami. Sytuacja prezynterów jest szczególnie: stosunek do nich samego środowiska dziennikarskiego odznacza się pewną schizofrenią. Jeśli idzie o oddziaływanie zewnętrzne – prezynterzy promują to środowisko, symbolizują i potwierdzają jego władzę, są także obiektem pochlebstw, podobają się, stają popularni. Ale wewnętrznie – społeczność dziennikarska uważa, że prezynterzy podkopują wiele wartości kluczowych dla dziennikarstwa”<sup>3</sup>.

Anchorpersons, dziennikarze śledczy, a także korespondenci wojenni ze względu na swoją wyrazistość, „wizualność” i „spektakularność” działania są głównymi bohaterami filmów fabularnych i to oni kształtują wyobrażenie o tym zawodzie.

## 11.

„Celebrytyzacja” dziennikarstwa nie jest sama w sobie czymś dziwnym i godnym potępienia. Można ją traktować jako naturalny efekt popularności osoby publicznej; dziennikarz-celebryta nie spełnia warunku zawartego w przewrotnej definicji Boorstina – znany jest również z tego, że jest znany, co oznacza istnienie rzeczywistych przyczyn jego popularności, a nie sztucznie wykreowanych i równie sztucznie podsycanych, nawet przez budzenie w odbiorcach odruchów dezaprobaty. Mechanizmy kultury popularnej okazują się jednak mało wyrozumiałe dla takiego rozróżnienia, bowiem nawet wybitni aktorzy, pisarze czy uczeni w chwili gdy stają się bohaterami popularnych narracji medialnych, tracą wyjątkowość i charyzmę, upodabniając do tysięcy tych, którzy „są znani tylko z tego, że są znani”. Widz interesuje się wyłącznie wysokością ich kontraktów, życiem rodzinnym i seksualnymi preferencjami, samochodami, domami, kochankami i ekscesami. Pole rzeczywistych zasług takiej postaci zostaje przesłonięte przez pole zasług lub porażek wykreowanych, co z czasem sprawia, że osoba taka przestaje być skuteczna i kreatywna w podstawowej dziedzinie swojej aktywności. Biografia Tomasza Lisa jest najlepszym przykładem oddziaływania takiego właśnie mechanizmu. Mimo rzeczywistych zasług w modernizowaniu polskiego dziennikarstwa te-

<sup>3</sup> K. Meltzer, *Journalism's Complicated Partners: Television News Anchors and Community Maintenance Around the Anchor's Appearance*, Paper presented at the annual meeting of the International Communication Association, TBA, San Francisco, 23 05. 2007. [http://www.allacademic.com/meta/p173144\\_index.html](http://www.allacademic.com/meta/p173144_index.html)

lewizyjnego jest on dziś obiektem zainteresowania tabloidów podsycających doń niechęć; co więcej – próby dowartościowywania dziennikarza poprzez przyznawanie mu kolejnych nagród są również ośmieszane i tym samym przeciwskuteczne. Niechęć ta narasta. Bardzo podobny los spotyka Kamila Durczoka, Monikę Olejnik, Justynę Pochanke, Bogdana Rymanowskiego, Tomaszę Sekielskiego i Andrzeja Morozowskiego. Co ciekawe: dziennikarze prasowi czy radiowi, jeśli zaczną się pojawiać w telewizji dostatecznie często (Janina Paradowska, Igor Janke, Jerzy Semka, Jacek Żakowski, Piotr Najsthub) w charakterze ekspertów lub prowadzących programy rozrywkowe (np. Szymon Hołownia, Marcin Meller), ulegają swoistej „przemocy” telewizyjnego dyskursu, stanowiącego najbardziej wyrazistą część wielkiego dyskursu kultury popularnej. Taki sam los spotyka również naukowców zapraszanych do komentowania zdarzeń bieżących. W mechanizmie telewizyjnym służą oni jako narzędzia uwiarygodnienia nie poprzez to, co mówią, ale przez to, że są prezentowani jako znawcy, noszący profesorskie tytuły.

Telewizja nie jest medium myśli, ale medium bycia: to, co istnieje jako obraz, traktowane jest jako istniejące faktycznie. Widz, skupiając się na obrazie, przestaje się zastanawiać nad tym, co obraz ten znaczy. Problem referencji obrazu przestaje zatem być problemem, co tłumii obecność pierwiastka krytycyzmu – czyli tego elementu, który ukształtował dziennikarski etos. Formował się on jednak w czasach prasy i radia: telewizja, ewoluując w stronę medium czysto rozrywkowego, traktując świat jako scenę, na której urzęduje się wyłącznie spektakle – pierwiastek ten praktycznie wyeliminowała. A raczej: sprowadziła do możliwie najbardziej spektakularnej formy – agresji, prowokacji, ekstrawaganckiego lekceważenia wobec wszystkiego i wszystkich<sup>4</sup>.

Dodać tu trzeba tę sytuację – co najwyraźniej odbija się w strategii TVN – gdy samo to medium dokonuje redukcji dziennikarza do roli aktora widowisk rozrywkowych, w których gra obok gwiazd show biznesu, polityków czy innych znanych postaci. Ta szczególnego rodzaju konwergencja ostatecznie niweluje dystans, jaki dziennikarz powinien zachowywać wobec medium po to, by w ogóle mógł pełnić swoją rolę. Zapewne – mieści się to w koncepcji „familiarizacji” przekazu i może być atrakcyjne dla samego dziennikarza, niemniej negatywnie wpływa na jego wiarygodność i zaufanie widzów. Widzowie zaczynają postrzegać dziennikarza jako element coraz mniej przejrzystej rzeczywistości, mieszaniny polityki, biznesu, niewyszukanej rozrywki. Świat mediów – wbrew jego własnym intencjom – zamyka się, zamienia w autarkiczną strukturę, która żywi się samą sobą. Wytwarza informacje o sobie i przekazuje je sobie samej.

W ten sposób journalomorfoza wyczerpuje swoją dynamikę, bowiem po to, by była ona procesem progresywnym, musi wspierać się na elementarnym zaufaniu zarówno do mediasfery, jak też do stanowiących jej materializację dziennikarzy. „Familiarizacja” wcale nie wzmacnia tego zaufania – wręcz przeciwnie. Dziennikarz celebryta nie przeprowadzi wnikliwego śledztwa, nie będzie uporczywie dążył do wyjaśnienia sprawy i ukarania winnych, nigdy też nie przekona odbiorców,

<sup>4</sup> Por. G. Sartori, *Homo videns. Telewizja i postmyślenie*, tłum. J. Uszyński, Warszawa 2007, s. 54-55.

że informacje, jakie ma do przekazania, są rzeczywiście ważne. Jego działania same siebie biorą w cudzysłów, w klamrę ironii – czyli cynizmu, który nie jest tożsamy ze sceptycyzmem, choć widzowie tak właśnie uważają. O ile cynizm – podobnie jak strach – jest łatwo sprzedającym się towarem medialnym, o tyle sceptycyzmu należy się nauczyć, a to trwa i jest niezbyt spektakularne.

Jest to – jak sądzę – jedna z najważniejszych przyczyn tarapatów, w jakich znalazły się polskie (a zapewne również pozapolskie) media i dziennikarstwo. Szukając popularności poprzez wtopienie się w rozrywki lub wręcz tabloidalny nurt, dziennikarze próbowali w ten sposób usprawiedliwić się, że mówią czasem rzeczy niepopularne. Tymczasem po 1989 roku Polakom należało mówić również rzeczy niepopularne, naruszające niekiedy ich poczucie dumy i mące radość z powodu odzyskanej wolności. Dziennikarze jednak starali się nie tyle przekonać odbiorców do swoich racji i w ten sposób podtrzymać, a nawet pomnożyć pierwotny „kapitał zaufania”, jaki został im powierzony – ile szukali sposobu „zaprzyjaźnienia się” z czytelnikami, widzami i słuchaczami, uruchamiając niekiedy dość wątpliwe mechanizmy „familiaryzujące” przekaz. Nie osiągnęli zamierzonego celu, a wręcz przeciwnie: rozkręcili spiralę cynizmu, która zagarnęła w końcu ich samych i wzbudziła niechęć, a wręcz agresję.

„Hieny”, „padlinożercy”, „pismaki”, „dziennikarzyny” – to stosunkowo najtańsze określenia, jakimi dziennikarzy „obdarzają” użytkownicy internetowych forów. Są przyrównywani do propagandystów z czasów PRL, podkreśla się ich sprzedajność i pazerność na pieniądze, „załganie”, brak kompetencji, niemoralne prowadzenie się, pijaństwo. Osobną kategorię tworzą określenia nawiązujące do właścicieli mediów, jakie reprezentują („media polskojęzyczne” – określenie to, ukute jeszcze w czasach gomułkowskich, weszło na stałe do języka polityków i pravicowych publicystów w IV RP). W bogatym repertuarze wyzwisk, jakimi obrzucają dziennikarzy polscy internauci, nie może zabraknąć klasycznego arsenału „mowy nienawiści”: są różnorakie przymiotniki utworzone od rzeczownika „Żyd” lub pozostające w jego polu semantycznym („pejsaty”, „koszerny”, „obrzezany”, „czosnkowy”), są zachęty, by „przenieśli się do Izraela”, są skomplikowane figury odkrywające „niepolskie” genealogie żurnalistów („judajczycy”) i etymologie ich nazwisk, są też ociekające nienawiścią dowody, iż pewni dziennikarze to „bękarty komunizmu”, gdyż przodkowie byli w KPP, służyli w NKWD, UB i SB lub że oni sami należą do „ruskiej agentury”. Dowodami na to miały być różnice stanowisk, jakie media zajmowały w kwestii lustracji – w tym również środowiska naukowego i dziennikarskiego.

Ciekawe, że sporą część tych wymysłów fabrykują politycy, głównie z prawej strony (słynna „małpa w czerwonym” i „Stokrotka” Lecha Kaczyńskiego), a także koledzy dziennikarze z konkurencyjnych mediów (nazwanie „cynglami” dziennikarzy „GW” w wywiadzie, jakiego udzielił „Dziennikowi” wyrzucony z tej gazety Michał Cichy; permanentne określanie środowisk zbliżonych do „Wyborczej” mianem „salonu” i „michnikowszczyzny”, aluzje do powiązań kierownictwa TVN z WSi). W wywiadzie, jakiego prezydent Kaczyński udzielił w TVP Tomaszowi Lisowi (6 maja

2008) media zostały określone wprost jako „olbrzymi problem polskiej demokracji” i oskarżone o spowodowanie przegranej w wyborach formacji, która miała wielkie sukcesy we wszystkich dziedzinach, czyli PiS-u.

Trudno nie zgodzić się z diagnozą Wojciecha J. Burszty, który pisze, iż u podłoża socjopsychologicznego projektu nazywanego „IV RP” stało założenie, że w Polsce rozpoczęła się „wojna kultur”, której ofiarą będzie polska tożsamość<sup>5</sup>. Dowodzić tego miała – nieustannie wskazywana – obecność w polskim życiu „wrogów”, określanych jako „układ”. Nie precyzowano jednak, kto z kim i w jakiej sprawie się „ułożył”, co było niesłychanie sprawnie działającą konstrukcją socjotechniczną: „układ” miał wiele twarzy, zabarwiany był raz nacjonalistycznie, raz religijnie, sprowadzany do wymiaru sekretnych rządów „oligarchów” i agentów obcych mocarstw, to znów nader chętnie wpisywał się w wizję „żydomasońskiego spisku” głęboko tkwiącą w polskiej świadomości. Uruchomione zostały przy tym najbardziej elementarne „narracje tożsamościowe” cementujące wspólnoty o charakterze trybalnym. We wspólnotach takich narracje tożsamościowe zakorzeniają się i rozpowszechniają poprzez „słowo mówione”, z ust do ust; paradoksalnie najnowocześniejsze technologie cyfrowe skupione w Internecie sprzyjają takim narracjom i mają o wiele większą moc oddziaływania niż narracje rozproszonych, zdeterytorializowanych mediów tradycyjnych. Media te jednak – jak starałem się to pokazać wyżej – przyjmując styl tabloidalny, promując sensacyjność, emocjonalizm, obrazowość, a nade wszystko posługując się „ramowaniem” wiadomości przejętym z wzorców kultury popularnej, nie tyle że nie wytworzyły dyskursów alternatywnych, ile wręcz sprzyjały umocnieniu tego, co działało przeciwko nim. Zwraca na to uwagę m.in. Anthony Giddens:

„Opery mydlane i inne propozycje rozrywkowe mediów stanowią bez wątpienia ucieczkowe i zastępcze formy doznawania nieosiągalnej w normalnych warunkach społecznych satysfakcji. [...] W operach mydlanych przewidywalność i przypadek mieszają się ze sobą według wzorców, które, jako doskonale znane publiczności, trochę niepokoją, ale jednocześnie uspokajają. Są w nich przemieszane przypadek, refleksyjność i los”<sup>6</sup>.

## 12.

Wojciech Burszta proponuje uznać, że pole „wojny kultur” wyznaczają niejako dwa typy dyskursu: pierwszy („metonimiczny”) jest nacjonalistyczno-konserwatywny, tradycjonalistyczny, silnie zabarwiony religijnie, eksponujący resentymenty i traumy, obarczony paranoidalną niekiedy nieufnością wobec „obcego” i „odmiennego” zewnętrznego świata. Drugi to dyskurs „liberalny” („metaforyczny”), modernizacyjny, ale przez to odwołujący się raczej do krytycznej rewizji sposobu, w jaki tradycja determinuje polskie myślenie o teraźniejszości i przyszłości; jest to także dyskurs deterytorializujący pojęcie tożsamości, zdolny do przyjęcia płynnej jej definicji. W opisywanej przez Bursztę „wojnie kultur”:

„W istocie głos zabierają tylko zwolennicy opcji nacjonalistyczno-konserwatywnej, to oni są w ofensywie,

<sup>5</sup> W. J. Burszta, *Tożsamość w wojnie kultur*, [w:] *W poszukiwaniu tożsamości. Humanistyczne rozważania interdyscyplinarne*, red. H. Mamzer, Poznań 2007, s. 33 i n.

<sup>6</sup> A. Giddens, op. cit., s. 272.

nie ma dnia, aby nie pojawiła się z ich strony sugestia, pogląd, opinia »z frontu« wojny światopoglądowej. Polska liberalna jest w defensywie, ogranicza się właściwie do komentowania tego, co powiedział przeciwnik, wskazywania na niewątpliwe nonsensy wielu enuncjacji. Nie ma natomiast prawdziwego frontu, na którym stanęłyby barykady obrońców kultury opartej na tolerancji, otwartości, negocjacji i kompromisie. Dobrze to pokazuje nie tylko słabość krajowej myśli liberalnej, ale i jej bezradność w mierzeniu się z mitotwórczą działalnością zwolenników nacjonalizmu gospodarczego i kulturowego. Debata wewnętrzna, jaką toczą liberałowie, absolutnie nie dociera do szerszej świadomości, nie ma pomysłu, w jaki sposób publicznie bronić społeczeństwa obywatelskiego. [...] Ponadto liberalizm nie jest w stanie zaproponować własnej spójnej mitologii głoszonych przez siebie ideałów, wymaga zatem intelektualnego wysiłku i refleksji także nad próbą odpowiedzi na pytanie: kim jestem?»<sup>7</sup>

### 13.

Dodajmy do tego jeszcze dyskurs trzeci, obecny w prasie deklarującej się jako „prawicowa”, jednak nie dość zdecydowanej, by przyjąć otwarcie postawę nacjonalistyczno-konserwatywną. Nie jest rzeczą przypadkiem, że w prasie tej dominują ludzie znacznie młodsi od „ojców założycieli” „Gazety Wyborczej” czy czołowych publicystów „Polityki”. W pierwszych latach istnienia Trzeciej RP odsunięci od bezpośredniego wpływu na jej kształt zarówno przez polityków pierwszego planu, jak też drugoligowych – stopniowo jednak dochodzili do głosu w mediach głównego nurtu, w tym publicznych. Przejmując retorykę nacjonalistyczno-konserwatywną, chcieliby w gruncie rzeczy pozostać liberałami, przynajmniej w aspekcie gospodarczym i ekonomicznym. W ten sposób stosunkowo łatwo zyskują miano dziennikarzy „bezstronnych”: atakując „liberalną” „Gazetę Wyborczą” posługują się stonowaną wersją retoryki skrajnej prawicy. Są przeciw „liberalnej” polityce rządu – ale jednocześnie nie znajdują w zakresie gospodarki rozwiązań lepszych niż wolnorynkowe. Są „za” obecnością w UE, ale jednocześnie podkreślają, jak ważna jest kwestia „polskiej tożsamości” i „twardej polityki wobec Rosji”, której „miękką” Unia prowadzić nie chce.

Problem tkwi w tym, że ów trzeci dyskurs wpisuje się w poetykę walki, brutalności i wyzwisk, dominującą dziś w tak niezależnym środowisku komunikacyjnym, jakim jest Internet. „Trzecia droga” jest zatem wykorzystaniem braku społeczeństwa obywatelskiego i w konsekwencji wzmocnieniem „spirali cynizmu”, nieufności i zniechęcenia, który przynosi także przejawy nienawiści skierowane przeciwko całemu środowisku dziennikarskiemu. Wykorzystując praktyczną bezkarność, z jaką spotykają się w Internecie – wypowiadanie się w tej przestrzeni komunikacyjnej nie jest wciąż traktowane jako publikacja, lecz otrzymuje status „prywatnego poglądu” – obelgi, insynuacje, pseudonaukowe teorie podszyte antysemityzmem, szowinizmem i fobiami, publicyści ci „pracują” na własną popularność bez oglądania się na skutki społeczne takiej postawy. Nie można nawet twierdzić, że dochodzi w ten sposób do zniszczenia tkanki społeczeństwa obywatelskiego, bowiem tkanki takiej w Polsce, po dwudzie-

stu latach od momentu zmiany ustrojowej, praktycznie nie ma. Dziennikarze „trzeciej drogi” bardzo chętnie prowadzą w Internecie blogi: korzystając z zaufania, jakim ta forma wyrażania opinii cieszy się wśród użytkowników Sieci, umieszczają w niej swoje teksty publikowane w wydaniach „papierowych” gazet i w ten sposób uruchamiają interakcje z odbiorcami. Wolność internetowa pojmowana jako brak odpowiedzialności za słowo pozwala odbiorcom na takie reakcje, których nigdy by nie opublikowano w podstawowych wersjach dzienników. Niekiedy te blogi są pseudoblogami – taką strategię przyjęto np. w „Rzeczpospolitej”: publicyści umieszczają swoje wypowiedzi w serwisie sieciowym dziennika, po czym odbiorcy mogą komentować tekst na „blogu” autora po skorzystaniu z odpowiedniego odsyłacza. Opinie tam zamieszczane z reguły oddają ton dominujący dziś w publicznej debacie: są wyrazem rosnącej frustracji społecznej, manifestującej się poprzez obelgi, szyderstwa i agresję skierowaną albo przeciw dziennikarzowi i jego gazecie, albo przeciwko tym, których on sam zaatakował.

Sytuacja taka paradoksalnie zdaje się potwierdzać jedną z głównych tez stalinowskich o nasilaniu się walki klasowej po zwycięstwie rewolucji. Jest to oczywiście uproszczenie, niemniej samo dotyczy coraz bardziej uproszczonej wizji rzeczywistości, która zaczyna dominować w społeczeństwie: w bipolarnym układzie łatwo jest interpretować wszystkie procesy, jakie zachodziły w Polsce po 1989 roku. Mają one dzięki temu wymiar spektaklu, są traktowane jako walka – a zatem nabierają tych cech, jakie interesują współczesne media. Doskonale rozumie to Timothy Garton Ash, który zauważa, iż w polskim modelu transformacji, dokonującej się nie poprzez rewolucyjny terror, a przy Okrągłym Stole, zabrakło elementu rozliczenia z przeszłością, możliwego dzięki jakiejś „komisji prawdy”<sup>8</sup>. W tę pustą przestrzeń z łatwością wchodzi partia populistyczna, a także stabilizowane media, chętnie podchwytujące hasła, jakimi opozycja dyskredytuje rządzącą ekipę – i to zapewne tłumaczy popularność wielu powiedzonek, określeń, niekiedy wręcz obelżywych, ukutych przez „spin doktorów” obu walczących stron. Powielane na dziesiątki sposobów przez internautów na forach i w komentarzach pod blogami, wchodzi do powszechnego użycia, stają się zasobem leksykalnym współczesnego dyskursu społecznego. Przekazy dziennikarskie nie tyle więc dyskurs ten kreują, ile stają się jego zakładnikami. Są też zakładnikami polityków, dostarczających im tego, czego chcą; politycy zaś wiedzą, że jeśli nie uczynią czegoś spektakularnego i bulwersującego – pozostaną niezauważeni.

Powstałe w ten sposób błędne koło staje się trwałym elementem polskiej rzeczywistości i zarazem najbardziej wyraźną cechą polskiej journaforozji. Przebiegła ona – w rezultacie przejścia, niemal bez cienia refleksji, powierzchownych cech dziennikarstwa zachodniego – bez troski o uformowanie się stabilnych podstaw społeczeństwa obywatelskiego. To, że coraz wyraźniej narasta społeczna niechęć do dziennikarzy, że maleje zaufanie do nich – jest z kolei efektem stra-

<sup>7</sup> W. Burszta, op. cit., s. 43, 44.

<sup>8</sup> T. G. Ash, *Make your revolution at a round table, but add a truth commission. The forgotten Polish experience of 20 years ago holds a lesson for everyone emerging*, „The Guardian” z 20.05.2009.

tegi przyjętej przez media, w których pracują: troska o popularność (czyli oglądalność, słuchalność, „czytalność”, a ostatnio również „klikalność”) zdominowała wartości zasadnicze dla dziennikarskiego zawodu.

Nie jest żadnym pocieszeniem fakt, że niechęć ta jest coraz wyraźniejsza w społeczeństwach o ugruntowanych wzorach demokratycznych. Deborah Tannen pisze:

„Społeczne zainteresowanie prasą znacznie spadło, a część dziennikarzy uważa to za owoc wydany przez drzewo, które sami pomagali sadzić. Dziennikarze to obecnie osoby publiczne, a kreowanie klimatu pogardy i nieufności do elit państwowych przyczyniło się automatycznie do spadku zaufania i sympatii wobec nich samych. [...] Złość społeczeństwa skierowana przeciwko mediom jest niebezpieczna, gdyż wchodzi w konflikt z podstawową rolą środków masowego przekazu: patrzeniem osobom publicznym na ręce. Można odnieść wrażenie, że media wywołują wilka z lasu, atakując znane osobistości i ujawniając skandale. Odbiorcy wiadomości uznają, że to tylko kolejna awantura tygodnia i nie zwracają na nią uwagi”<sup>9</sup>.

#### 14.

Dziennikarze nie są przy tym już postrzegani jako ci, którzy obiektywnie przekazują fakty, poszukują nieprawidłowości, ujawniają źródła niebezpieczeństw. Nie podejmują się interpretacji zdarzeń, ale kreują je jedynie po to, by osiągnąć popularność. Są częścią systemu, do którego zaufanie coraz szybciej spada. Skupiając się na zdarzeniach, a nie problemach, nadają swoim relacjom możliwie najbardziej spektakularny charakter, chcąc, by ich doniesienia zostały podchwycone przez inne media. Na mechanizm ten zwraca uwagę m.in. Hans M. Kepplinger: skandal staje się skandalem jedynie wtedy, gdy temat podejmą – po pierwotnej publikacji – również inne media<sup>10</sup>. Jest to istotne zwłaszcza w dobie Internetu: portale i wortalne wybijają jako nagłówki jedynie te informacje, które skłonią do aktywności użytkowników Sieci – wzrasta wówczas „klikalność” medium internetowego. A że to Internet jest dziś głównym źródłem informacji dla rosnącej liczby odbiorców, na dodatek jest on na razie jedynym nośnikiem reklamy, który nie odczuł skutków kryzysu – Sieć wytwarza zapotrzebowanie jedynie na doniesienia najbardziej spektakularne, najsilniej oddziałujące na odbiorców. Dodać do tego trzeba znaczenie „dziennikarstwa agregacyjnego” (przekazu tworzono, niekiedy automatycznie, z innych przekazów) oraz mierzenie „wiarygodności” danego medium liczbą cytowań (podobnie jak w nauce takim wskaźnikiem ma być tzw. *impact factor*, coraz silniej zresztą krytykowany). Wszystko to prowadzi do wytworzenia się zamkniętych kręgów wzajemnego oddziaływania: politycy – media – politycy oraz media tradycyjne – Sieć – media tradycyjne.

W kręgach tych nie ma miejsca dla aktywności odbiorców, świadomych swojego znaczenia obywateli. Mogą oni jedynie przypatrywać się z boku obrotom tych kręgów z rosnącą obojętnością i niechęcią. Miarą braku zainteresowania rozwijaniem własnej aktywno-

ści jest słabość tzw. dziennikarstwa obywatelskiego i polskiej blogosfery, traktowanej raczej jako przestrzeń walki politycznej i rozgrywek personalnych niż jako rzeczywista agora, gdzie toczy się alternatywny wobec stabilizowanych mediów głównego nurtu dyskurs o sprawach publicznych. Polski Internet – szczególnie popularne fora dyskusyjne – odróżnia od zachodniego wyższy poziom agresji<sup>11</sup> i właściwie brak poważniejszej myśli. Media głównego nurtu odwołują się przeważnie do blogów polityków lub znanych publicystów; moderatorzy forów internetowych nie kasują wpisów noszących wszystkie znamiona karalnej w myśl prawa unijnego i amerykańskiego „mowy nienawiści” i nawet posługiwanie się przez licznych użytkowników symboliką nazistowską lub manifestacyjne negowanie holokaustu nie budzi zastrzeżeń odpowiedzialnych za fora, np. na portalu Onet.pl<sup>12</sup>. Lęk przed posądzeniem o cenzurę sprawia, że na forum portalu „GW” roi się od brutalnych ataków na tę gazetę, wypowiedzi wyraźnie faszystowskich i antysemickich. Nienawiść emanuje również z blogów portali branżowych, jak np. Wirtualne Media, Money.pl – nie mówiąc już o wręcz ryszotkowym charakterze wpisów na YouTube i większości tzw. portali społecznościowych.

Platformy dla „dziennikarzy obywatelskich” natomiast to sfera, w której manifestuje się proces upodobnienia przekazów wytwarzanych przez amatorów do tego, z czym mają do czynienia w mediach profesjonalnych: to doniesienia o wypadkach, katastrofach, fotografie i filmy przedstawiające ofiary przestępstw. Platformy te są dla mediów, które je uruchomiły, wzmocnieniem ich obecności w różnych miejscach kraju – i to jedynie w postaci powierzchownych rejestracji zdarzeń.

Zdominowana przez prawicową, a niekiedy skrajnie prawicową, optykę sfera obywatelskiej interaktywności w niewielkim stopniu otwiera się na orientację przeciwną – i to w równie radykalnym wydaniu. Oznacza to, że intelektualna słabość mediów głównego nurtu nie znajduje dla siebie alternatywy w Sieci. I znaleźć nie może, skoro w ciągu dwudziestu lat wolności nie ukształtowały się mechanizmy mogące stanowić „bufor” między władzą – której myślenie o mediach jest albo podporządkowane nawykom wyniesionym z czasów PRL, albo chęcią rozgrywania za ich pośrednictwem bardzo doraźnych interesów – a mediami i ich dziennikarzami, którzy z łatwością zaakceptowali zachodnie reguły uprawiania tego zawodu jako utożsamienie wolności z brakiem odpowiedzialności, zasady rynkowe – z brakiem zasad etycznych.

Pod koniec lat 90. ubiegłego wieku rozpoczął się niesłyszany wręcz okres popularności studiów dziennikarskich, komunikacji społecznej, *public relations*, marketingu i reklamy etc. Nie ma dziś praktycznie szkół wyższej, publicznej i niepublicznej, kształcącej humanistów, która nie miałaby tych kierunków w swojej ofercie edukacyjnej. Chcąc przyciągnąć jak

<sup>11</sup> K. Jaroszyńska, *Polskie bagno*, „Press” 2009 nr 2.

<sup>12</sup> Dla zwiększenia „klikalności” administratorzy Onetu wymagają założenia konta przez tych, którzy chcą zgłaszać naruszenia regulaminu forum. Forum nie jest praktycznie w ogóle moderowane lub moderatorami są wolontariusze niemający odpowiedniego przygotowania (np. wyculenia na spin polityczny), ani doświadczenia w określaniu granic między „prywatną opinią” a „publikacją”, między „żartem” a prowokacją lub obelgą.

<sup>9</sup> D. Tannen, op. cit., s. 130-31

<sup>10</sup> H. M. Kepplinger, *Mechanizmy skandalizacji w mediach*, tłum. A. Koźuch, Kraków 2008, s.42-45.

największą liczbę kandydatów, uczelnie uruchamiały te kierunki bez żadnego rozeznania w specyfice takich studiów, bez zaplecza naukowego, dydaktycznego i technicznego. Studenci nie mieli nawet sprecyzowanego wyobrażenia o tym, co będą robić po skończeniu nauki – pomijając już fakt, że kilkuset nowych dyplomowanych dziennikarzy, rzeczników prasowych, marketingowców czy specjalistów od reklamy nie jest w stanie wchłonąć co roku nawet największy medialny rynek. Nadmierna podaż doprowadziła do katastrofalnej inflacji i równie dramatycznego obniżenia standardów zawodowych w tym zakresie. Przeładowani wiedzą teoretyczną – wykładaną przeważnie przez ludzi, którzy sami chałupniczo zdobywali jakieś wiadomości – absolwenci trafiali, o ile im się poszczęściło, do redakcji czy agencji, gdzie zdobywali praktyczne szlify. Niestety: nauczanie „praktyki” ograniczało się z reguły do wpojenia im ślepego posłuszeństwa i wierności zasadzie osiągania maksymalnej popularności kosztem rzetelności, wiedzy, wrażliwości społecznej. Był to – i nadal jest – etap formowania „zawodowych cyników” i „sprzedawców nieufności”, czyli w gruncie rzeczy sprowadzania ich do poziomu przeciętnego Polaka, który miarą swojej dojrzałości społecznej uczynił brak wiary w system państwa, w którym żyje. „Być dojrzałym” oznacza: nie wierzyć nikomu i w żadnej sytuacji. Dziennikarze tacy posiadają umiejętność sprawnego produkowania dobrze sprzedających się historii, ale czy będzie to równoznaczne z umiejętnością rozumienia i tłumaczenia innym tego, co dzieje się w rzeczywistości? Będą zapewne sprawnie i zgodnie z regułami perswazyjnej gry udzielać odpowiedzi, jednak nie będą umieli sformułować poprawnie sensownego pytania.<sup>13</sup> Biorąc pod uwagę generalny kryzys nauk humanistycznych w Polsce, tandetną edukację na wszystkich jej poziomach – trudno oczekiwać, by dyplomowani dziennikarze wyróżniali się dociekliwością, wrażliwością, zwyczajną ciekawością świata i empatią, cechami, które były najważniejsze w pracy reportera według Ryszarda Kapuścińskiego. Zresztą – sam Kapuściński będzie ich interesował nie jako autor *Cesarza*, ale bardziej jako rzeczywisty lub domniemany TW. Niszczenie autorytetów jest bowiem lepiej sprzedającym się towarem w społeczeństwie nieodreagowanych fobii, resentymentów i idiosynkrazji odziedziczonych po poprzednim ustroju – niż ich budowanie, nawet za cenę bycia niepopularnym.

#### Reasumując:

Plagiatowy charakter journalorfozy w Polsce po 1989 roku można opisywać na kilku, powiązanych ze sobą poziomach:

1. Przeniesiono, bezkrytycznie, modele dziennikarstwa zachodnioeuropejskiego, a w zasadzie anglosaskiego – w realia polskie, nie zwracając uwagi na to, że społeczeństwo, pozostające w okresie „traumy Wielkiej Przemiany” (lub „Zmiany”) musiało obdarzyć nowy ustrój bodaj minimalnym „kapitałem zaufania”.

2. Chcąc dokonać zmiany modelu polskiego dziennikarstwa zlekceważono fakt, iż dziennikarstwo polskie – w tym również w okresie PRL – miało dość wysokie standardy warsztatowe, a również etyczne.

3. „Nowi” dziennikarze przenieśli w warunki publikacji oficjalnych szereg zachowań charakterystycznych dla mediów podziemnych, „drugoobiegowych”, nie będąc zupełnie przygotowanymi do zadań, jakie mieli realizować w nowej sytuacji. Dziennikarze „starzy”, generalnie uznani za „skażonych” komunistycznym modelem propagandy, nie mogli spełniać roli nauczycieli młodszych kolegów, choćby w zakresie czysto warsztatowym; nie ufano im i dlatego wybierano wzorce zachodnioeuropejskie.

4. Nie dostrzegano, że kopiowane z Zachodu wzory dziennikarstwa odpowiadają poziomowi rozwoju tamtych społeczeństw – także w zakresie ukształtowania się w nich dość silnych podstaw „obywatelskości”.

5. Ze zbyt wielką ufnością przeniesiono w polskie realia model dziennikarza jako „psa stróżującego”, dokonując karykaturalnego utożsamienia tego modelu wyłącznie z dziennikarstwem śledczym.

6. Dziennikarstwo śledcze powiązano niemal natychmiast z modelem mediów tabloidalnych i infotainment; w poszukiwaniu popularności odwoływano się do coraz silniejszych – ze względu na nowe stratyfikacje społeczne – resentymentów, fobii, poczucia rozczarowania. „Dziennikarstwo zwykłych ludzi” wzięło górę nad potrzebą poważnego dyskursu, nowych „narracji tożsamościowych”, potrzebnych Polakom.

7. Dyskurs modernizacyjny został w pierwszej fazie (do tzw. afery Rywina) zdominowany przez jedną tylko opcję polityczną, która w sposób apodyktyczny usiłowała narzucić swój punkt widzenia i swoje skale wartościowania świata („Gazeta Wyborcza”).

8. Journalorfoza została podporządkowana dyskursowi telewizyjnemu – jako temu, który nosił najwyższe znamiona nowości i atrakcyjności; telewizja została utożsamiona z medium rozrywkowym, a dziennikarstwo telewizyjne z panoptyzmem.

9. Media dały sobie narzucić utożsamienie spraw publicznych z polityką; żywiąc się nią upowszechniały zarazem brak zaufania do niej, propagowały wzorzec dystansu nie tyle sceptycznego i racjonalnego – ile cynicznego.

10. Ofiarą kryzysu zaufania padła nie tylko polityka, a również same media i ich dziennikarze; chcąc śledzić władzę i wyszukiwać jej słabe punkty wchodzili w coraz ściślejsze związki z politykami, ludźmi biznesu – niekoniernie o klarownych intencjach i jasnej przeszłości. W ten sposób dziennikarze ściągnęli na siebie niechęć i nienawiść odbiorców, która wzmocniła się wraz z coraz bardziej brutalną walką konkurencyjną między mediami.

11. Rezultatem plagiatowego charakteru journalorfozy był brak dostatecznie silnych bodźców kształtujących nowe, obywatelskie postawy społeczne: depolityzacja i wszelkie wzorce eskapistyczne zyskiwały większą popularność niż chęć zaangażowania: zamiast aktywności przyjęto model zdystansowanego, ironicznego lub drwiącego obserwowania zdarzeń. Jest to dowód zwycięstwa braku zaufania nad ufnością, a zatem nad sensem dokonanej w 1989 roku pokojowej transformacji ustrojowej.

<sup>13</sup> Por. Z. Bauer, A. Wojnach, *Kształcenie dziennikarzy czy edukacja medialna?*, „Studia Medioznawcze” 2004 nr 3, s. 36-44.

# LUDWIGA WITTGENSTEINA

## DZIENNIKI SEKRETNE (2)

W poprzednim numerze „Zdania” rozpoczęliśmy druk *Dzienników sekretnych* wybitnego filozofa, pisanych dla siebie samego w początkowym okresie I wojny światowej. Wittgenstein zgłosił się do poboru jako ochotnik i został skierowany do Krakowa. W stopniu zwykłego kanoniera (najniższy stopień wojskowy w artylerii, odpowiednik szeregowca w piechocie) został wcielony do stacjonującego tu 2. Pułku Artylerii Fortecznej. Jako absolwent wyższej uczelni mógłby mieć prawa „ochotnika-jednorocznika” (odpowiednik podchorążego w Wojsku Polskim) i perspektywę służby oficerskiej. Zrezygnował początkowo z tego, ponieważ podczas wcześniejszych poborów uznano go za niezdatnego do służby wojskowej. Jego *Dzienniki sekretne*, pisane szyfrem, szczerze czasem do bólu (i może dlatego spadkobiercy filozofa nie chcieli się zgodzić na ich druk), są często pełne pozornie nieistotnych drobiazgów, ale w istocie stanowią niezwykłą kronikę dociekań, jakie doprowadził w trakcie pisania *Tractatusa*. Oto ich kolejne fragmenty:

5. X. 14

*Dziś otrzymałem list od Keynesa<sup>1</sup>, nadszedł przez Norwegię do dowództwa tutejszego pułku. Piszę tylko, żeby mnie zapytać, co będzie z pieniędzmi Johnsona<sup>2</sup> po wojnie. List był dla mnie przykrym ułuciem, bo to boli, [gdy] otrzymuje się list handlowy od kogoś, z kim się przedtem było na dobrej stopie – a zwłaszcza w takim czasie - - - Właśnie dostałem kartkę od mamy z pierwszego b.m. Wszystko dobrze. A więc! - - - W ostatnich dniach myślałem często o Russelu<sup>3</sup>. Czy on jeszcze myśli o mnie? To było przecież godne uwagi, to nasze spotkanie! W czasach otaczającego dobrobytu nie myślimy o słabości ciała; myśli się o tym w czasach nędzy, wtedy dociera to do świadomości. A człowiek zwraca się ku duchowi - - - (...)*

9. X. 14

*Spokojna noc. W oddali nieustanna kanonada armatnia. Mamy płynąć dalej do Zawichostu. Stoimy w Nabrzeży. Śpię przy ścianie kajuty naszego komendanta i podслуchałem rozmowę plutonowego z nim: mamy pomóc formującym się Niemcom w przekroczeniu Wisły. Powiedział, że nie będzie ognia artyleryjskiego, lecz należy oczekiwać ognia piechoty. Dużo pracowałem. Ale bez pozytywnego rezultatu. Czuję jakbym miał myśl już prawie na końcu języka - - -! (...)*

17. X. 14

*Wczoraj bardzo dużo pracowałem, Węzeł zaciska się co raz bardziej, ale nie znalazłem rozwiązania. Wieczorem stanęliśmy pod Baranowem.*

*Stoimy teraz, a o 6 dalej do Szczucina. - - - Czy zaświta mi zbawcza myśl, czy zaświta?!!! - - - Wczoraj i dzisiaj onanizowałem się.*

- - -

*Wieczorem dotarliśmy do Suzina<sup>4</sup>, gdzie staniemy na noc. BARDZO dużo pracowałem. Jestem tym trochę zmęczony. Nagromadziło się MNÓSTWO materiału, bez możliwości uporządkowania go. Ale ten natłok materiału uważam za dobry znak.*

*Pamiętaj o tym, jak wielką łaską jest praca! - - - (...)*

19. X. 14

*Wcześniej wyruszyliśmy do Sandomierza, gdzie teraz stoimy. W nocy znowu się onanizowałem (w półśnie). To dlatego, że mam za mało ruchu, prawie wcale. Po południu znowu popłynęliśmy do Tarnobrzega. Od wczoraj nie jestem całkiem w porządku z trawieniem. - - - Rozwiązanie problemu mam na końcu języka. - - - Pod wieczór znowu do Sandomierza. Czuję się naprawdę niedobrze, żadnej prawdziwej radości życia. - - - ! Bardzo dużo pracowałem.*

20. X. 14

*Niedysponowany. Bardzo dużo pracowałem. Po południu lepsze samopoczucie. Ale nie jestem prawdziwie szczęśliwy i tęsknię za Davidem: żebym przynajmniej mógł napisać do niego. Lecz mój duch broni się przeciw depresjom. Bóg ze mną. (...)*

23. X. 14

*Płyniemy teraz, przed południem, do Tarnobrzega. Pracuję bardzo pilnie, ale jeszcze bez rezultatu. Wieczorem znowu w Sandomierzu. Myślę wiele o Davidzie. Czy go jeszcze kiedyś zobaczę? (...)*

W poprzednim numerze „Zdania” napisaliśmy sporo o przyjaźni Wittgensteina do Davida Pinsenta, któremu dedykował *Tractatus*. Należy ona do głównych wątków biografii filozofa i nie jest mało ważna w ocenie jego osobowości, stosunków z ludźmi i jego poglądów etycznych. Bartley pisze zwięźle: „Nie można z pewnością stwierdzić, czy stosunek Wittgensteina z jego przyjacielem, Davidem Pinsentem, – który często uważa się za stosunek homoseksualny – zawierał aktywność.” 8 maja 1918, podczas lotu próbnego, Pinsent poniósł w Anglii śmierć w wypadku lotniczym. Nie mamy bezpośrednich

<sup>1</sup> John Maynard Keynes (1883–1946), uczonec angielski, ekonomista, którego Wittgenstein poznał w 1911/12 w Cambridge.

<sup>2</sup> W. E. Johnson (1858–1931), logik z Cambridge, któremu Wittgenstein ufundował stypendium w wys. 200 £ rocznie.

<sup>3</sup> Bertrand Russel (1883–1970), znany filozof angielski.

<sup>4</sup> Szczucin

świade<sup>ctwo</sup> o reakcji Wittgensteina na wieści o utracie przyjaciela. Czym była dla niego ta przyjaźń, najlepiej widać z listu do Russella z 6 sierpnia 1920 roku: „Codziennie myślę o Pinsencie. Zabrał z sobą połowę mego życia. Drugą połowę zabierze diabeł.”

25. X. 14

*Rano do Sandomierza. Wczoraj wieczorem dotarła do nas bezsensowna wiadomość, jakoby Paryż padł. Również i ja ucieszyłem się z początku, aż uświadomiłem sobie niemożliwość tej wieści. Takie irracjonalne wydarzenia są zawsze złym znakiem. Gdy rzeczywiście wydarzy się coś pomyślnego dla nas, to jesteśmy o tym informowani i nikt nie wpada na podobne absurdy. Dlatego bardziej dziś odczuwam smutek z położenia naszej – niemieckiej rasy! – Bo nie powinniśmy stawać przeciwko Anglii, to wydaje mi się więcej niż pewne. Anglicy – najlepsza rasa świata – nie mogą przegrać. My jednak możemy przegrać i przegramy, jeśli nie w tym roku, to w następnym! Myśl, że nasza rasa może zostać pobita, strasznie mnie deprymuje, [bo czuję się] we wszystkim niemiecki.*

*Dostaliśmy nagle ogniem karabinów od Rosjan Bóg ze mną! - - - To tylko rosyjski aeroplan. - - -*

*Bardzo dużo pracowałem. Stajemy na całą noc w Tarnobrzegu i wypłyniemy wczesnie do Stutzing<sup>5</sup> Moja depresja ustąpiła koło południa. (...)*

28. X. 14

*Przed i popołudniu z powodu wielkiego zmęczenia prawie niezdolny do pracy. Spałem w nocy tyle, co nic. Większa część załogi była pijana, tak że moja warta była naprawdę nieprzyjemna. Popłynęliśmy rano do Sandomierza. W drodze złamało się kolo łopatkowe. Inny statek musi nas odholować do Krakowa. W drodze do Krakowa. Otrzymałem dużo poczty, m. in., że Paul<sup>6</sup> ciężko ranny i jest w niewoli rosyjskiej – dzięki Bogu pod dobrą opieką. Biedna, biedna mama!!! - - -, - - -, - - -*

*Również od Fickera i od Jolles droga wiadomość. W końcu list z Norwegii, w którym Drädge (?) prosi mnie o 1.000 koron. Ale czy mogę mu je postać? Teraz, kiedy Norwegia przylażyła się do naszych wrogów<sup>7</sup>!!! To straszliwie smutne, ale ciągle rozmyślam o biednym Paulu, który utracił swój zawód. To straszne. Jakiej filozofii potrzeba, aby to przetrzymać? Jeśli w ogóle, to chyba tylko samobójstwem!! - - - Nie mogłem dużo pracować, ale pracuję z ufnością. - - - Bądź wola Twoja. (...)*

30.X. 14

*Dostaliśmy dziś niemiecką gazetę. Żadnych dobrych wiadomości, co oznacza złe wieści! Ciężko pracować, jeśli przeszkadzają złe myśli. Mimo to pracowałem także po południu. Często ciąży mi i to, że nie mam tutaj nikogo, przed kim mógłbym się otworzyć. Ale zachowam siebie na przekór wszelkim przeciwnościom<sup>8</sup>.*

<sup>5</sup> Wittgenstein ma tu na myśli z pewnością wspomniany Szczucin (tł.: ta nazwa sprawia autorowi najwyraźniej szczególną trudność, bo za każdym razem podaje ją w innym brzmieniu)

<sup>6</sup> Paul Wittgenstein (1887–1961), brat Ludwiga, który stracił prawą rękę na froncie rosyjskim. (tł.: Paul Wittgenstein był wirtuozem pianistą. Kalectwo nie przeszkodziło mu w kontynuowaniu kariery po wojnie. Koncerty fortepianowe na lewą rękę napisali specjalnie dla niego m. in. Maurice Ravel i Sergiusz Prokofiew.)

<sup>7</sup> Błąd Wittgensteina: Norwegia pozostała neutralna do końca I wojny światowej.

<sup>8</sup> To aluzja do śpiewogry Goethego „Lila” (1777).

ZESZYT DRUGI

30. X. 14

*(wieczorem)*

*Otrzymałem właśnie ukochaną pocztę, bardzo mi drogą od Fregego!<sup>9</sup> Od Trackla<sup>10</sup> i Fickera, mamy, Clary<sup>11</sup>, pani Klingenberg. To mnie bardzo ucieszyło. Bardzo dużo pracowałem. - - -*

31. X. 14

*Dziś wczesnie rano w stronę Krakowa. Pracowałem cały dzień. Zaatakowałem problem ver...<sup>12</sup> i raczej zosta-  
wię [śląd] krwi przed ową twierdzą, zanim odejdę nic nie wskórawszy. Największa trudność to utrzymać raz zdoby-  
tą fortecę, aż będzie można siedzieć w niej spokojnie. A dopóki gród nie padł nie można na zawsze siedzieć w bastionie. Tylko wytrwać! - - -*

*Stoimy na noc w Szczucinie.*

1.XI. 14

*(...) Trackl leży w Szpitalu Garnizonowym w Krakowie i prosi mnie, żebym go odwiedził.<sup>13</sup> Jakże chętnie chciałbym go poznać. Spodziewam się spotkać go, gdy przybędę do Krakowa! Może będzie to dla mnie wielkie pocieszenie. (...)*

*Powołany do wojska Georg Trakl uczestniczył w bitwie pod Gródkiem, pod wpływem grozy przeżyć wojennych dostał rozstroju nerwowego i znalazł się w Krakowie, w Szpitalu Wojskowym, skąd bezskutecznie usiłował nawiązać kontakt z Wittgensteinem.*

3. XI. 14

*Rano dalej i do Krakowa. Słyszę, że Rosjanie posunęli się znowu naprzód i stanęli 20 km od Opakowicz (tł. – Opatkowice?); stoimy 10 km stamtąd. - - - Co stanie się teraz ze mną, gdy przybędę do Krakowa?!? Prawie cały dzień pracowałem.*

*- - -! Popłyniemy prawdopodobnie dziś w nocy. Słyszemy grzmot armat i widzimy rozbłyski. - - -! - - -*

4. XI. 14

*Spokojna noc. Rano dalej. Bardzo dużo pracowałem. Jutro powinniśmy być w Krakowie. Słyszę, że prawdopodobnie możemy oczekiwać oblężenia Krakowa. Będę wtedy potrzebował dużo siły, żeby zachować ducha. - - -*

*Obyś nie zależał od zewnętrznego świata, a wtedy nie musisz obawiać się tego, co się w nim dzieje. Dziś w nocy służba wartownicza. To lżej zależeć od rzeczy, niż od ludzi. Ale i to trzeba umieć!*

- - -

<sup>9</sup> Gottlob Frege (1848–1929), logik i filozof z Jeny. Wśród odkrytych w Wiedniu listów do Wittgensteina znajduje się również 21 listów Fregego, m. in. ten z 11.X., w którym Frege dziękuje za kartkę z pozdrowieniami.

<sup>10</sup> Georg Trakl, (1887–1914), poeta austriacki, który przed wybuchem wojny otrzymał od Wittgensteina w darze 20.000 koron. Ludwig von Ficker, który rozdzielał pieniądze, poinformował Trackla, jako jedyne, o osobie darczyńcy.

<sup>11</sup> Clara Wittgenstein (1850–1935), ciotka filozofa.

<sup>12</sup> Koniec nieczytelny.

<sup>13</sup> Pośród listów do Wittgensteina, które odkryto w 1988 r., znajdujących się w Brenner Archiv w Innsbrucku, zachował się również rzeczony list: *Wielce szanowny Panie, Zobowiązałby mnie Pan do wielkiej wdzięczności, gdyby wyświadczyłby mi honor Pańskich odwiedzin. Jestem od około 14 dni w tut. Szpitalu Garnizonowym, na oddziale 5, dla umysłowo i nerwowo chorych. Możliwe, że w najbliższych dniach będę mógł opuścić szpital i znowu powrócić w pole. Zanim zapadnie o tym decyzja chciałbym móc bardzo serdecznie porozmawiać z Panem. Z najlepszymi pozdrowieniami, Pański oddany, Georg Trakl!*

5. XI. 14

Rano dalej do Krakowa, gdzie powinniśmy przybyć późno wieczór. Jestem w wielkim napięciu, czy spotkam Trackla. Mam wielką nadzieję. Bardzo mi brak człowieka, przed którym mógłbym się trochę wygadać. Ale i bez takiego trzeba sobie poradzić. Lecz to by mnie bardzo pokrzepiło. Cały dzień trochę zmęczony i skłonny do depresji. Pracowałem nie za wiele. W Krakowie. Już za późno, żeby odwiedzić Tracka. - - -. Oby duch dał mi siłę. -

6. XI. 14

Rano do miasta do Szpitala Garnizonowego. Dowiedziałem się tam, że Trackl zmarł przed paroma dniami. To mnie bardzo mocno ugodziło. Jakie to smutne, jakie to smutne!!! Napisałem o tym natychmiast do Fickera. Zrobiłem sprawunki i około 6 przybyłem na statek. Biedny Trackl. - - - Bądź wola woja. - - -

7. XI. 14

Wczoraj o 9 wieczór nagle nadszedł rozkaz do pracy przy reflektorze na innym statku. Więc natychmiast z łóżka i do 3 i pół rano świeciłem. Jestem w skutek tego bardzo zmęczony. Po południu w mieście na sprawunkach. Oblężenie Krakowa oczekiwane teraz z wszelką pewnością. Chcę starać się o odejście z mojego statku. Nie pracowałem. Tęsknię za uczciwym człowiekiem, bo tu OTACZA MNIE nieuczciwość. Oby duch nie opuszczał mnie i był stale we mnie. (...)

9. XI. 14

Dostaję bardzo drogą kartkę od wujka Paula.<sup>14</sup> Taka kartka powinna mnie odświeżyć i umocnić. Jakoś w ostatnich dniach jestem skłonny do przygnębienia. Nic nie sprawia mi prawdziwej radości i żyję w lęku przed przyszłością! Bo już wychodzę z siebie. Każda nieobyczajność otoczenia – a tak jest ciągle – rani mnie do żywego, a zanim zagoi się rana, doznaję świeżej. Nawet wtedy, kiedy – jak teraz wieczór – choć nie jestem przygnębiony, nie czuję się prawdziwie wolny. Mam rzadko i tylko chwilami ochotę do pracy, ponieważ nie mogę zaznać swojskiego samopoczucia. Jestem zależny od świata i obawiam się go nawet wtedy, gdy przez chwilę nie spotyka mnie nic złego. Patrząc w siebie i widząc, że to, w czym mógłbym znaleźć ukojenie, to wytęskniona, daleka wyspa, z którą się rozminąłem - - -

Rosjanie szybko podchodzą pod Kraków. Cała ludność cywilna musi opuścić miasto. Nasza sprawa kiepsko wygląda! Boże, wspieraj mnie!!! Troszkę pracowałem.

10. XI. 14

Znowu pracowałem nieco więcej. I w dobrym nastroju. Dowiedziałem się dziś, że przez Szwajcarię mogę pisać do Anglii. Zaraz rano napiszę do Davida i może do Russella. Albo może jeszcze dziś. – Mam nadzieję, że teraz znowu będę mógł lepiej pracować! - - -!

12. XI. 14

(...) Mówi się o 6 – 7 miesiącach oblężenia. Wszystkie sklepy zamknięte a otwierają je tylko na bardzo krótko. Im położenie staje się poważniejsze, tym bardziej podoficerowie stają się ordynarni. Bo czują, że mogą teraz wyładować bezkarnie swoje grubiaństwo, po-

nieważ oficerowie stracili głowę i w dobrym sensie nie sprawują żadnej kontroli. Każde słowo, które się teraz słyszy, to przekleństwo. Bo przyzwoitość już się w żaden sposób nie oplaca, a ludzie rezygnują z tej odrobiny, którą może jeszcze posiadają. To wszystko głęboko smutne. Popołudniu w mieście. Dość dużo pracowałem, ale bez prawdziwej jasności widzenia! Czy jeszcze będę mógł dalej pracować? (!) Czy kurtyna już zapada?? Byłoby to osobliwe, ponieważ tkwię w środku problemu, w środku oblężenia. - - - . - - -!

13. XI. 14

Całe popołudnie daremnie usiłowałem pracować. Jasne widzenie się nie nastawia. Rozmyślałem wiele o swoim życiu i to również jest powód, dlaczego nie mogę pracować. Może jest odwrotnie? Widzę teraz, że ciągle jeszcze nie dość odgradzam się od innych na statku. Nie potrafię z tamtymi obcować, ponieważ brakuje mi owej nikczemności, która jest do tego konieczna. W niepojęty sposób całkowite odgrózenie się nie przychodzi mi łatwo. Nie, żeby którykolwiek z tych ludzi w jakimkolwiek stopniu mnie interesował, ale mam tak silny nawyk życzliwego zwracania się do ludzi! Dziś w nocy służba. Teraz w każdy wieczór chodzę do kawiarni i wypijam dwie szklanki kawy, i dobrze mi robi atmosfera dobrobytu. Mało pracowałem! - - - ! Boże, obyś dał mi rozum i siłę!!! (...)

16. XI. 14

Znowu żadnej jasności widzenia, chociaż stoję widocznie przed rozwiązaniem najgłębszych kwestii, mam je prawie przed nosem. Mój umysł jest teraz po prostu ślepy. Czuję, że stoję przed bramą TEGO, ale nie potrafię widzieć dostatecznie jasno, aby ją otworzyć. To jest niepospolicie osobliwy stan, którego jeszcze nigdy dotychczas tak jasno nie odczuwałem, jak teraz. - - - !

17. XI. 14

Jak to trudno nie złościć się na ludzi! Jak to ciężko wytrzymać. Przed południem spełniałem wszelkie polecenia i nie doszedłem do pracy. Zawsze, gdy podczas roboty wejść w styczność z ludźmi, ich chamstwo jest straszne i boję się, że zwycięży we mnie furia i wybuchnie. Postanawiam ciągle znosić to spokojnie i stale łamię własne zamiary. Czemu tak się dzieje, sam właściwie nie wiem. Jak to potwornie ciężko pracować z ludźmi, a przy tym nie mieć jednak z nimi powiązań. Ciągle trzeba mówić do nich, zadawać pytania; na które nie odzywają się, albo odpowiadają niedorzecznie. Jak trudno to wytrzymać. Odpowiedź bywa czasem konieczna. Zdarzają się niejasne rozkazy etc. etc. etc. A nerwy i bez tego już nadszarpnięte. Jakże ciężko żyć, gdy człowiek nie potrafi sobie tego ułatwiać. Po południu miałem atak ciężkiej depresji Cięży mi to, jak kamień na piersi. Pod wieczór złe samopoczucie ustąpiło. W moją duszę powraca stopniowo nieco odwaga. Prawie nie pracowałem. W ciągu dnia, jak teraz często, mam kiepski nastrój; dopiero wieczór jaki taki spokój wewnętrzny. Czy to dlatego, że wieczorem cieszę się na sen? - - Tak, dzisiejsza depresja była straszna.!!! - - -

Opracował i przetłumaczył **JAN GÜNTNER**  
 Fragmenty Dzienników wg Ludwiga Wittgensteina,  
*Geheime Tagebücher*, Turia&Kant Verlag, Wien  
 Ciąg dalszy w następnym numerze

<sup>14</sup> Paul Wittgenstein (1842–1929), któremu Wittgenstein, obok Davida Pinsenta, dedykował „Tractatus”.

STANISŁAW BURKOT

# WOJCIECHA KUCZOKA

## „ZABAWY PRZYJEMNE I POŻYTECZNE”

Debiutował, podobnie jak niektórzy jego rówieśnicy, tomikami poetyckimi: wydał *Opowieści samowite* (1996) i *Larmo* (1998). Jednakże już w roku następnym rozpoznał właściwy swoim pasjom literackim rodzaj ekspresji artystycznej – zdominowała je proza, umiejętność opowiadania. *Opowieści słychane* (1999), *Szkieleciarki* (2002), *Widmokrąg* (2004), *Opowieści przebrane* (2005; wybór i scalenie *Opowieści słychanych i Szkieleciarek*) zapowiadały, po części także towarzyszyły powstającym powieściom, z których *Gnój* (2003) zyskał krytyczny i czytelniczy rozgłos<sup>1</sup>, posłużył wraz z opowiadaniem *Diobół* z tomu *Opowieści słychane* do napisania scenariusza filmu *Pręgi* (2004) Magdaleny Piekorz. W 2008 ukazała się kolejna powieść *Senność*, a w 2010 *Spiski*, które można traktować jako cykl opowiadań połączonych ulubioną, pojawiającą się już wcześniej tematyką tatrzańską i góralską. Łączy je też postać narratora i bohatera zarazem: w opowiadaniach – dojrzewającego chłopca, w *Spiskach* już także speleologa i znawcy regionu, jego topografii, złych i dobrych obyczajów i kultury. Przy czym zastrzec trzeba, że jest to góralszczyzna czytana przewrotnie, na przekór tradycji *Na skalnym Podhalu* Kazimierza Przerwy Tetmajera i *Na przełęczu* Stanisława Witkiewicza.

„Na przekór tradycji” jako postawa twórcza Kuczoka dotyczy zresztą nie tylko góralszczyzny, lecz także innych wątków pojawiających się w jego utworach.

Związek ten ma pewne cechy wspólne: nie polega na zanegowaniu, odrzuceniu, ani też na kontynuacji, naśladowaniu, lecz na twórczym przetworzeniu, nadaniu poszczególnym motywom nowych znaczeń. Można w tym widzieć przejaw ogólniejszej postmodernistycznej zasady „gry z cudzymi tekstami”, ale u Kuczoka zatarciu ulegają najczęściej ślady „przywoływanego”, brakuje sygnałów identyfikacji. Narracja zachowuje z reguły pełną autonomię, a spokrewnienia ukryte są głęboko w nowym tekście, raczej domyślne i często niejednoznaczne.

Jednak z pewnymi wyjątkami. We wczesnych opowiadaniach Kuczoka krytyka literacka dostrzegła analogie do pokrewnego wzmocnienia ekspresji w powieści grozy z przełomu XVIII i XIX wieku, kwestionującej racjonalistyczny ład epoki encyklopedystów, nawiązania do romantycznych „horrorów”, jak również do balladowej frenezji i do ludowej fantastyki. Zachodzącą co jakiś czas w kulturze zmianę „smaku literackiego” już wcześniej scharakteryzowała dobitnie Anna Mostowska; powieść oświeceniowa i sentymentalna stawiała wzorce dydaktyczne: „Cel mój jest bawić, jeśli ten osiągnę, już jestem kontenta i żadnej innej nie pragnę nadgrody”<sup>2</sup>. W odezwie *Do czytelnika*, dołączonej do powieści *Strach w zamczku*, dodawała ironicznie: „[...] bohater romansu ukazywał nam obraz męstwa, miłośnika ojczyzny, stałego kochanka, dobrego męża, ojca i obywatela, a bohaterka była przykładem cichych cnót domowych; te powieści [...] teraz... – mamże prawdę wyjawić? –

<sup>1</sup> Ukazało się kilkanaście recenzji, m.in. Arkadiusza Morawca („Dekada Literacka” 2003 nr 7/8), Mieczysława Orskiego („Nowe Książki” 2003 nr 9); Wojciecha Wencła („Nowe Państwo” 2003 nr 7); Marty Miziuro („Odra” 2003 nr 11). Powieści tej dotyczył wywiad z Kuczokiem Agnieszki Nęcki („Śląsk” 2003 nr 11).

<sup>2</sup> A. Mostowska, *Pokuta; powieść polska* [w:] *Zabawki w spoczynku po trudach*. Wilno 1809, *Objaśnienie*.

teraz niezmiernie nas nudzą”<sup>3</sup>. W narracjach Wojciecha Kuczoka dokonuje się pokrewna zmiana „smaku literackiego”, co więcej – nie bez nawiązań do tej tradycji. Punktem odniesienia jest nie tylko model literatury apologetycznej z czasów PRL-u, ale także – opozycyjnej, kontestacyjnej, krytycznej, zideologizowanej i upolitycznionej. Ta bowiem stanowiła „odwrotną stronę medalu” – budowała fabuły według znanych wcześniej schematów z odmiennymi tylko znakami wartościowania. Zmiana smaku literackiego w narracjach Kuczoka ma cechy indywidualne – nie kontynuuje poszukiwań bezpośrednio poprzedników: Olgi Tokarczuk z jej penetracją dawnych mitów, uniwersalnych wzorców kultury; Andrzeja Stasiuka z jego fascynacją regionami opuszczonymi i zapomnianymi, Jerzego Pilcha z jego przemienianą w legendę autobiografią. Kuczok jest wierny codzienności, oglądanej jednak z perspektywy kreowanych postaci, ich perypetii i dramatów egzystencjalnych. Jest ponadto zwrócony ku kulturze rodzimej, wykorzystuje w warstwie fabularnej, w stylizacjach językowych, tradycję gawęd ludowych – śląskich<sup>4</sup> i góralskich. Świat ogląda z perspektywy zwykłych, udręczonych, zapracowanych, często chorych ludzi. To zakorzenie w źródłach rodzimych ma swoje oparcie w tradycji romantycznej. Kuczokowi bliżej jest do *Dziennika podróży do Tatrów* Seweryna Goszczyńskiego niż do stylizowanych „raz na ludowo” wersji Kazimierza Przerwy Tetmajera czy Stanisława Witkiewicza.

Tytuł pierwszego tomu opowiadań jest dwuznaczny: *Opowieści slychane* tłumaczyć można jako „zastyżane”, przejęte z cudzych relacji, ale także – poprzez neologizm – jako antonim „opowieści niestychnych”, więc niezwykłych, awanturnych, przekraczających granice rzeczywistości. Rzecz w tym, że obie wersje znaczenia są uzasadnione. Opowiadanie *Diobol* jest „slychane” dlatego, że okazuje się wielkim monologiem dorastającego chłopca, konstrukcyjnie – jednym zdaniem, w które wplecione zostają na prawach przywołania krótkie wypowiedzi innych postaci. Zanotowane formy języka mówionego („zrobiol”, „pieron ognisty”, „godol na kazaniu”, „coś ty ogupioł, co tak dugo sie modlisz”, „godom, że zdech”) nie stanowią odmiany gwarowej, lecz typ rozpowszechnionego niechlujstwa mowy żywej. Z mówieniem wiążą się formy zapisu fonicznego. Dosłownie, bo opowiadanie *Mrózg* jest odтворzeniem wypowiedzi bohatera nagranej na taśmie magnetofonowej, ale i pośrednio, przez podwajanie głosek: *Tładzik*, „mmleko”. Pies bohatera nazywa się Cudak, ale zdanie: „zaraz zawołam cuudak” przez podwojenie samogłoski jest wyraźnie „mówione” (i „slychane”), a nie „napisane”.

Przedstawienie upodlenia dziecka, agresji dorosłych, spotworniających rzekomych zabiegów wychowawczych – jest także „na przekór tradycji” sentymentalnych wzorów z literatury dla dzieci i młodzieży. W opowiadaniu *Pieron ognisty* foniczna strona wyrazów prowokuje do chłopackiej zabawy w tworzenie nowych znaczeń; tak powstaje ciąg przekształceń: „kolo z mechany” – „Kolo z Mechany” – „kolozme

Chany”. Do tych brzmień dopisuje narrator różne znaczenia, powołuje nową „rzeczywistość” – nazwę rzekomej wsi albańskiej, nazwisko rzymskiego myśliciela, twórcy „metafizyki kwantowej” i „autoerotyzmu moralnego” itd.

Czy coś wynika z tej chłopackiej zabawy? „Opowieści slychane”, „opowieści samowite” powstają na podobnej zasadzie; jeśli jest „zniecka”, to powinno być także „z nacka” (spodziewanie, oczekiwanie); lepiej brzmi w chłopackim slangu „mamincycek” niż „maminsynek”; „posadził drzewko bez ogródek” (zdecydowanie czy w ogródku?). Szczególnego znaczenia nabiera – przy charakterystyce gospodarki – określenie „nasi biznesmenele”... Gry językowe Kuczoka są zabawą, to prawda... Sprawa to w sensie artystycznym jednak arcyważna – świat przedstawiony w utworze literackim nie musi kopiować realnego, bo jego natura jest inna – znakowa, brzmieniowa, językowa. Swobodne przekraczanie realnego i irrealnego w dziele literackim leży u podstaw sztuki słowa: wiedzieli o tym starożytni, wiedzieli klasycy epoki Oświecenia. Literaturę uznawali za „zabawę przyjemną i pożyteczną”. Przywołana tu Anna Mostowska, poprzedniczka romantyzmu, innej „nadgrody” nie oczekiwała. U progu romantyzmu takie wzorce ukształtowały się za sprawą Jeana Paula Richtera i Ernesta Teodora Amadeusza Hoffmanna. Literatura w XX wieku popadła w niewolę ideologii, programów awangard formułujących odrębne zadania perswazyjne i agitacyjne, itd.

Kuczok wydaje się powracać do naturalnego źródła: sztuki opowiadania jako przede wszystkim sztuki słowa. Wsparcia szuka we wzorcach rodzimych. Rzecz można nawet – zaskakująco rodzimych: w opowiadaniu *Iskra Boża* z tomu *Szkieleciarki* przedstawiona zostaje dziwna impreza kulturalna – wystawa wariatów w parku miejskim; w gablotach leżą psychicznie chorzy, tabliczki określają rodzaj choroby, a widzów coś ciągnie do wariactwa. Trudno nie przypomnieć przy tej okazji zwiedzania w szpitalu „klatek” psychicznie chorych w powieści Ludwika Sztjermera *Frenofagiusz i frenolesty* (1843). Szpitale dla wariatów szczególną rolę odgrywały w naszej literaturze romantycznej.

„Zabawy” Kuczoka nie zawsze są przyjemne, ale bywają pożyteczne w tym sensie, że rozpoznają zaskakujące przypadki ludzkich zachowań, mechanizmy reakcji psychicznych, dwuznaczności emocjonalnych, wreszcie polisemii w samym języku. Stają się metaforami, zapisami wierzeń i mitów, docierają do prawdy o ludzkiej egzystencji. W tytułowym opowiadaniu *Szkieleciarki* babka wydaje kochanemu wnukowi ostatnie polecenie: „Ogól się synku, będę umierać”. Wnukowi „głos się zawieruszył”, rozpoczął jednak magiczny taniec ze „szkieleciarkami”. *Dance macabre?* Raczej trudna lekcja umierania: śmierć nie ma płci, kiedy kostucha w tańcu Ignie do chłopca, to w tym geście wyraża się gorzka prawda uniwersalna: umieramy już w momencie urodzin. Śmierć jest koniecznością, choroba – „złym przypadkiem”. W opowiadaniu *Zianie* z tomu *Opowieści slychane* nauczycielka, stara panna (nazywa się K. Nędza...), wdychająca do kolegi z pracy, zostaje zgwałcona w parku – zdarzyło się coś, co się jej nie miało zda-

<sup>3</sup> A. Mostowska, *Strach w zamczku*. Wilno 2006 s. VI, *Do Czytelnika*. Przestrzegająca jednak „młodzież skłoną do rzeczy nadprzyrodzonych” przed „zwodnymi pozorami” cudowności.

<sup>4</sup> W. Kuczok, *Mój dobry smok: w hołdzie dla Śląska*. „Tygodnik Powszechny” 2006 nr 49

rzyć. Nie została zamordowana przez gwałciiciela, bo zemdłała. Po złej przygodzie zjadła widokówkę wakacyjną od kolegi i pozostała jej po tym „dziura w mózgu”.

W opowiadaniu *Fetor* nadwrażliwość narratora na zapachy, spotęgowana śmiercią babki, nabiera innego, seksualnego sensu: podobno w poszukiwaniu właściwej partnerki przez mężczyznę ważną rolę odgrywa jej „zapach”. To pozostałość atawistyczna naszego gatunku? Narrator po długich poszukiwaniach odnajduje wybrankę w burdelu... Zmysły mogą wyznaczać fałszywe ścieżki. W opowiadaniu *Lany Poniedziałek* matce bohatera objawia się „czarny anioł”, oświadcza, że „nie będzie jej niczego zwiastował”, nad jej synem później gromadzą się nieustannie deszczowe chmury... Szaleństwo może się urealnić: w opowiadaniu *Mrózg* narrator, eks-alkoholik, opowiada księdzu o cudzie w Białymstoku. W mieszkaniu byłej żony narratora siedzi z pilotem w ręku trup drugiego męża i ogląda „na okrągło” programy. Dopiero egzorcysta, beatyfikowany przez papieża w 1999 roku, przywrócił porządek... W opowiadaniu *Malizm reagiczny* z tomu *Szkieleciarki* żona nękana przez wiele lat chorobami męża, hipochondryka, usłyszała kolejne narzekanie: „Tracę głowę”. I głowa męża zaczęła się zmniejszać do wymiarów makówki...

Wszystkie „przyypadki”, które opowiada Kuczok, mieszczą się na pograniczu dosłowności i „cudowności”. Przy czym autor w cuda nie wierzy; „cudowność” rodzi się w psychice, w wyobraźni, w świadomości bohaterów. Rzecz znamienna, że perspektywy w narracji jest psychika dziecka, a dokładniej ten epizod w rozwoju osobowości, który wiąże się z adolescencją, dojrzewaniem seksualnym. W opowiadaniu *Tładzik* bohater ma jeszcze „mleko pod nosem”, jednak marzy już o pierwszej przygodzie miłosnej. Dziewczyna, góralka, umawia się z nim na grzyby, ale umawia się także z innymi chłopcami i wszystkich prowadzi do lasu, wskazuje trującego muchomora, przekornie oświadcza, że zdoła ją ten, który najdłużej będzie jadł grzyba na surowo. Pozostało na koniec tylko dwóch ambitnych konkurentów. Nie pomogło oświadczenie bohaterki, że to żart tylko. Z owych dwóch najwytrwalszych – jeden zmarł (i to on powinien być zwycięzcą!), drugi cudem został odratowany. W tym żartobliwym i gorzkim opowiadaniu powtarza się stary motyw gawędowy, znany w folklorze, o kapryśnej dziewczynie, która gubi swoich kochanków dając im śmiertelne zadanie sprawdzające prawdziwość ich zapałów miłosnych. Dojrzewanie to trudny okres w rozwoju osobowości; rozwijany najczęściej w opowiadaniach góralskich *Cobyś widział ze Szkieleciarek*, w *Cielęcych Tańcach z Widmokregu*, we fragmentach *Świtaniec białczański* i *Łaknienie ze Spisków*. Dzieciństwo u Kuczoka nie stanowi Arkadii; wiąże się z zagubieniem, przerażeniem i cierpieniem (*Dioból*, *Gnój*). Można w tym odnaleźć ślady, jednak ślady tylko roli dzieciństwa z *Psychologii indywidualnej w wychowaniu* Alfreda Adlera. Ale Kuczok pytania stawia inaczej: dojrzewanie nie jest zdobywaniem, wyzwaniem się z kompleksu niższości, lecz doświadczaniem cierpienia. Ile w zabiegach jest miłości, a ile samczej ambicji „zwycięzcy”? Czy ludzkie „rykowisko” powtarza powszechny wzór w naturze? Należy się jej szacunek,

bo jest atawistycznie nieomylna. Ambivalencja uczuć przesuwana się zawsze ku sferze instynktowej. I dopiero wówczas miłość nabiera właściwych barw. Opowiadanie *Winniczek* z *Opowieści słychanych* o usuwaniu kleszcza z nogi podróżniczki w czasie jazdy pociągiem jest prawie pastiszową kopią z Gombrowicza, podobnie zresztą jak *Żebry Adama (apokryf)* z tomu *Widmokregu*.

Odnieść można wrażenie, że Kuczok – jak językiem – bawi się wszystkimi formami narracji utrwalonymi w prozie współczesnej: strumieniem świadomości – typem monologu wewnętrznego rodem z Joyce’a (*Dioból*), innej jego odmiany jak z Robbe-Grilleta (*Winniczek*), monologu wypowiedzianego w wersji Dostojewskiego (*Fetor*, *Mrózg*) itd. Żadna z tych form nie staje się dominująca, jest wybierana i dopasowywana do zadania artystycznego, do tematu. Formy awangardowe, traktowane w chwili narodzin jako konstrukcje jedyne, wyłączne, przeminęły; pozostała postmodernistyczna swoboda w ich spożytkowaniu.

*Widmokregu*, po *Opowieściach słychanych* i *Szkieleciarkach*, jest tomem dojrzałym; dominuje w nim niepodzielnie *réalité*, ale na nowy sposób definiowana. Sam autor tak objaśnia przestanie tego tomu:

„Realistyczne historie niepostrzeżenie przeobrażają się w opowieści niesamowite; zaświaty biorą pod rękę świat rzeczywisty. Duchy i widma są tutaj bytami uprawnionymi na równi ze zwykłymi ludźmi. Powiada się, że człowiek pochłonięty Kochaniem traci kontakt z rzeczywistością. *Widmokregu* pokazuje, co się dzieje, kiedy to rzeczywistość traci kontakt z człowiekiem”<sup>5</sup>.

„Duchy i widma” rodzą się i trwają wyłącznie w psychice, w świadomości ludzkiej. Nie chodzi o zapisywanie widzialnego, jak w tradycyjnie rozumianym realizmie, lecz o zapisywanie tego, co jest niewidzialne, co tkwi w świadomości postaci, co jest niejednoznaczne i w sensie poznawczym niepewne. Tytuł nawiązuje do znakomitej powieści *Widnokregu* Wiesława Myśliwskiego, nie chodzi o jej zanegowanie – to trudno zdefiniować: ani uzupełnienie, ani rozwinięcie. Może tylko odkrywanie „drugiej strony rzeczywistości”. Myśliwski jest mistrzem kreowania postaci poprzez szczegółowe zapisy rzeczy – świadomie dobieranych i wybieranych. W nich, jak w lustrze, przegląda się ludzka *psyche*. Kuczok działa odwrotnie: to *psyche* kreuje, przetwarza i często karykaturuje rzeczywistość. W tle *Widmokregu* jest dwóch mistrzów: Dostojewski i Gombrowicz. Pierwszy z nich wpływa wyraźnie na typ narracji – opowiadanie z perspektywy postaci, poprzez jej świadomość, jej komplikacje i zawikłania, przez ciemną stronę duszy ludzkiej; drugi – poprzez grę ze światem: nieautentyczność, aktorstwo, bycie wobec innych, „przyprawianie gęby”.

Tom *Widmokregu* z odwróconą referencją między *réalité* i *psyche* w narracjach Kuczoka tworzy osobną jakość. Zadaniem głównym stało się poszukiwanie takich form języka, które byłyby adekwatne do wyrażania nie do końca uformowanej miazgi emocji, trudnych do zwerbalizowania. Bowiemi samo nazywanie zjawiska poprzez symbole i znaki językowe prowadzi do skostnienia, do uzewnętrznienia. Bliżej

<sup>5</sup> Tekst z okładki *Widmokregu*.

„prawdy wewnętrznej”, lepszy w jej wyrażaniu jest „język muzyki”<sup>6</sup>. Przekładanie muzyki na literaturę przez chwytły rytmizacyjny, przez intonację, onomatopeję, przez zamianę dźwięków na obrazy – ma długą tradycję, zawsze wątpliwą i zawsze niepełną. Tom opowiadań *Widmokrąg* porządkują interludia narracyjne przez przywołania muzyki Chopina, stanowią one przejścia między większymi całościami narracyjnymi; mają ekspozycje, wariacje tematyczne i reprzyzy. Nie są bezpośrednio związane z poprzedzającymi i następującymi opowiadaniem; wyrażają na przykład emocje młodej i pięknej zakonnicy, która po nowicjacie pierwszy raz jedzie do domu rodzinnego, budzi się w niej radość życia, stłumione marzenia erotyczne, ale tylko na chwilę, na moment. W reprzyzie wszystko powraca do porządku: w przedziale zakonnicy zjawia się nie mężczyzna, lecz „wąsata konduktorka”. Ta nieco frywolna tonacja pierwszego interludium ulega zmianie w drugim: historia starych ludzi, którzy ciągle przeżywają ucieczkę syna i jego kradzież; po latach syn marnotrawny wraca do rodziców – matka płacze z radości, ojciec nie otwiera drzwi. Oboje patrzą przez okno na ulicę; syn zostaje aresztowany, bo zamordował... Najbardziej znamienne jest czwarte interludium, bo tworzy go monolog zmarłej kobiety, która żyła wyłącznie nienawiścią do męża, i tę nienawiść – jak w potocznym powiedzeniu – „przeniosła za grób”. Kim był mąż? Jakąś znaną osobą, ale w żonie wywoływał tylko obrzydzenie, odrazę i nienawiść. Bohaterka „wymodliła sobie chorobę” i samą śmierć jako szczęśliwe uwolnienie się „od paldca”.

„Dopiero po śmierci odżyłam. Teraz mogę oddychać całą duszą.

Nie pozwolę, żebyś mi to odebrał.

Obyś żył wiecznie”<sup>7</sup>.

To zakończenie fabularnego interludium, stanowiące paradoksalną pointę opowiadania, otwiera i inne utwory z *Widmokręgu* ku szczególnej refleksji metafizycznej. Co dzieje się z ciałem po śmierci – wiadomo. Co jednak dzieje się ze świadomością? Duch babki w *Szkieleciarkach* błąka się po ogrodzie. Rozpływa się, znika? A może trwa? W opowiadaniach *Doktor Haust* (o psychiatrze alkoholiku), *Widmokrąg* (o wielkiej miłości), w przywołanym *Interludium* (F. Ch. Op.28 nr 18) (o nienawiści) nie znajdziemy jednoznacznej odpowiedzi. Autor refleksję ontologiczną zamienia na grę literacką.

Bo o krążeniu widm, umiejscowionych w psychice postaci, jest mowa we wszystkich opowiadaniach. Sygnalizują ich istnienie nakładające się w narracji i powtarzalne rytmy porządków muzycznych. W opowiadaniu *Widmokrąg* anaforyczna struktura wypowiedzi mężczyzny („A kiedy już się nakochaliśmy...”; „A kiedy już w całości i bez reszty uległa scaleniu...”; „A kiedy już tak opatulona...” itd.), wyrażająca delikatność, miłość i przywiązanie, skonstruowana zostaje z pogłębiającą się chorobą kobiety. Jej choroba i śmierć jest zatrąceniem świadomości, psychiki. Zakończenie uwydatnia paradoks samej egzystencji:

„Nigdy nie znalazłam dość odwagi, żeby mu dowieść, że oboje nie żyjemy. Wiedziałam, gdzie są fo-

tografie z naszych pogrzebów; wystarczyło, żeby poszperał trochę w szufladach”<sup>8</sup>.

„Strachy w zameczku” Wojciecha Kuczoka nie przedstawiają zjawiających się nagle duchów, tkwią w świadomości, w psychice ludzkiej. „Widma” mogą się objawiać jako wynik choroby (*Widmokrąg*), jako narastający z latami uraz psychiczny rodzący nienawiść (jak w cytowanym *Preludium*), jako cecha osobowości homoseksualnej wyrażanej odrazą i przyzwoleniem w chwili „dutkania” ręką (nie „palicem” jak u Gombrowicza) przez agresywnego żebraka; może to tylko abulia, uniemożliwiająca uwolnienie, a może seks (*Żebry Adama...*); także jako zanik pamięci (*Królowa żalu*). Frenezja współczesna ma dziś inny wymiar w życiu społecznym. *Cielęce Tańce* otwiera taka ekspozycja:

„Któregoś dnia matka w połowie zupy odłożyła łyżkę, wytarła usta serwetką i powiedziała ojcu:

– Nasze małżeństwo jest skończone. Nie mogę żyć z mężczyzną, który przez piętnaście lat nie nauczył się jeść bez siorbania.

Powiedziała to w mojej obecności, co oznaczało, że jest zdecydowana na wszystko. To był nasz ostatni wspólny posiłek”<sup>9</sup>.

„Widmokrąg” współczesny rozpoznaje Kuczok w sposobach przeżywania, w obyczajach i w kulturze. Jego narracje penetrują nie tyle rzeczywistość społeczną i polityczną, co ich pochodne – współczesne deformacje psychiki ludzkiej. Przeważająca w ich zapisywaniu mowa pozornie zależna jako środek i sposób docierania do wnętrza, identyfikacji z cudzym myśleniem i przeżywaniem – raz z przejawami empatii, innym razem z ironicznym dystansem – daje w rezultacie typ prozy psychologicznej. Jednak, co ważne, przewyższającej zwodnicze rewelacje tradycyjnej psychoanalizy. Bo Freud udawał, że wszystko potrafi wytłumaczyć albo popędem libidinalnym, albo ambiwalencją Erosa i Thanatosa. W prozie Kuczoka przeważa postawa fenomenologiczna: dostępne są pojedyncze zjawiska, a nie powtarzalny porządek. Nie ma jednego wzoru objaśniającego tajemnice ludzkiej psychiki. Każdy przypadek jest pojedynczy, osobny. Bliżej stąd do Kanta niż do Freuda. Tom opowiadań *Widmokrąg* przez krytykę przyjęty został z uznaniem, z pochwałą, najczęściej jednak zdawkową, dotyczącą maestrii językowej.

Pierwsza powieść, *Gnój*, rozszerzała wypracowane zasady kreacji: widmo okrutnego czasu tkwi zarówno we wspomnieniach dzieciństwa, jak i w teraźniejszości dorosłego bohatera. Te dwie płaszczyzny narracyjne, zaznaczone w kompozycji (*Wtedy* i *Potem*), poprzedzone zostają wprowadzeniem historyczno-socjologicznym (*Przedtem*), lokalizującym zdarzenia na planie sagi rodzinnej – życia w śląskim miasteczku. Jest to jednak daleki plan zdarzeń: ktoś ginie z rodziny, powołany przez Niemców do armii walczącej na Wschodzie w czasie II wojny światowej, ktoś inny popada w szaleństwo, wszyscy starzeją się i dziwaczej samotnie. Dom budowany przez patriarchę rodu, Alfonsa, stanowi przeklęty *genius loci* całej historii: jest wprawdzie w tle jakieś miasteczko, jest jedna ulica Cmentarna, w czasie okupacji nazywa-

<sup>6</sup> O fascynacjach muzyką, w tym także muzyką ludową: W. Kuczok, *Mam Polskę w discernie*. „Gazeta Wyborcza” 2010 nr 276, s. 26-27.

<sup>7</sup> W. Kuczok, *Widmokrąg*. Warszawa 2004, s. 132.

<sup>8</sup> W. Kuczok, *Widmokrąg*. Warszawa 2004, s. 85.

<sup>9</sup> Tamże, s. 39.

jąca się Steinstrasse, na której mieszkają robotnicy, alkoholicy i nędzarze. Niejako „przeciwno nim” buduje swój dom Alfons, budowniczy, „ojciec starego K.” Jest w nim, jak w całej rodzinie, pogarda dla „grabarzy” z ulicy Cmentarnej, jest poczucie wyższości, powolne rodzenie się ambicji artystycznych. Historia domu wyznacza granice mieszczańskich wzorców tej inteligencji – wybudowanie domu, zabezpieczenie spokojnego życia całej rodzinie, niechęć do obcych – „goroli” przybywających na Śląsk w poszukiwaniu pracy. W drugim pokoleniu, „starego K.”, bo tak o swoim ojcu mówi dziękujący narrator powieści, powstają szczególne przypadki „odchylów od normy”; ciotka narratora, jak mówiło się w XIX w., „popadła w dewocję”, a „brat starego K.” dziwacznie, raz tylko zdobywa się na uwiedzenie pijanej mężatki... Patriarcha rodu, Alfons, budowniczy domu, nie doczekał się wnuków; nigdy nie uderzył swoich dzieci, wychowywał je samym groźnym spojrzeniem patriarchy. Jego syn, „stary K.”, jako zasadę wychowawczą przyjął „oddechlanie” dziecka od chwili narodzin; różgą bił go już w pieluszkach. Wbrew obiegowym przekonaniom nie odziedziczył tego po rodzicach. Sadyzm i okrucieństwo, pejcz jako jedyne narzędzie wychowawcze, tworzą prawdziwe piekło w życiu dziecka, prawdziwe piekło także w domu rodzinnym. W nieustannych kłótniach między rodzicami zanika język inteligentki, wydobywa się „gwara familocka”, bogata w epitety i wyzwiska. Takim językiem mówi matka do ojca w momencie awantury:

– Ty chamie, ty gruchliku łoklany!! Wynoś mi sie do tych swoich z dołu, ty lebrze, ty wulcu, ty bedziesz mie straszyl?! Mie?! Jakby nie jo, to tyn dom by boł w ruinie, ty idioto!! Idź w pierony, niech cie nie widza na oczy!!<sup>10</sup>

W powieści Kuczoka nie chodzi o przypadek patologii rodzinnej w małym miasteczku śląskim, lecz o tradycyjny model patriarchalnej rodziny wyhodowany w tym rejonie. Dominującą rolę w tym modelu winien odgrywać autorytet ojca (bo on utrzymywał rodzinę swoją pracą) utwierdzany przez religijne nakazy („kto nie słucha ojca, matki...”). To on wytworzył archaiczne wzorce osobowe – posłusznego dziecka, cichej żony, pracowitego męża. Wydarzenia historyczne, wojna, przemiany ustrojowe zniszczyły ten porządek. „Stary K.” zna tylko jeden sposób utrzymania ładu: dyscyplina i pejcz, wieczna wojna domowa; krzyki i wyzwiska rodzą nienawiść, rozszerzają destrukcję osobowości. Wszystkie uroki techniki narracyjnej Kuczoka, gry językowe, stylizacje, nie są tylko w tej powieści „zabawą przyjemną”, lecz w sensie ideowym także „pożyteczną”. Dom jako główny „zły bohater” narracji ulega po długotrwałych opadach zagładzie. Spełniają się złe sny Alfonsa, budowniczego, o rozpadających się domach, które budował, spełnia się także ukryte złe życzenie syna „starego K.” – zobaczył ojca przygniecionego gruzami... Nie jest to powieść z przesłaniem, z tezą, lecz rodzaj gorzkiej diagnozy niewydolności w kulturze współczesnej. Bo literatura może i powinna „przynosić pożytek”.

*Senność*<sup>11</sup>, kolejna powieść Kuczoka, powstawała najpierw jako scenariusz filmowy, pisany dla Magda-

leny Piekorz. Objasniał autor jej powstanie na okładce książki następująco:

„Troje bohaterów, trzy warianty tej samej przypadku. Tę opowieść o emocjonalnym letargu napisałem na podstawie własnego scenariusza. Gramatyka filmu znajduje swój odpowiednik w strukturze powieści: ujęciom i scenom odpowiadają akapity i podrozdziały. Pisarz ma jednak tę przewagę nad reżyserem, że nie musi pozostawiać przestrzeni pozakadrowej w sferze domysłów widza [...]”<sup>12</sup>.

Kuczok jest nie tylko autorem scenariuszy filmowych pisanych dla Magdaleny Piekorz, także szkiców z zakresu krytyki filmowej *To piekielne kino* (2006). W powieści *Senność* pozostają ślady pierwotnego scenariusza w postaci zjawiających się przypadkowo uwag technicznych o kształcie fragmentu dialogu, informacji o pojawieniu się postaci z innego, technicznego planu itd. Z tej przyczyny zapewne w tekście powieściowym znalazły się autoplagiaty. Z *Gnoju* przeniesiona została i rozwinięta w *Senności* historia melancholika malarza, Gucia, który zginął na wojnie, wcielony do Wehrmachtu; odziedziczył ją w nowej powieści Robert, pisarz, który przestał pisać, „bo mu się słowa zmęczyły”. To powtórzenie mogło się zjawić w scenariuszu jako pomysł fabularny, wypróbowany w innym kodzie przekazu; powtórka w powieści budzi już wątpliwości. Niczym nie uzasadniony jest fragment narracji z perspektywy psa zaniepokojonego omdleniem swojej pani: „[...] ciepła pani powinna się obudzić, ale pies nigdy niczego nie może być pewien; pani upadła i umarła [...], ale wciąż wierzy, że pani za chwilę się obudzi [...]”<sup>13</sup>. Trudno nie przypomnieć tu wiersza Wisławy Szymborskiej *Kot w pustym mieszkaniu* z tomu *Koniec i początek*. Postmodernistyczna zasada gry z cudzymi tekstami w tym przypadku sprowadza się raczej do plagiatu.

Sygnalizowane tu rysy i potknięcia w konstrukcji powieści kuszą do pewnego uogólnienia. Trakt prowadzący od literatury do filmu jest szeroki i od dawna używany, kierunek odwrotny – od filmu do literatury – okazał się w *Senności* wyjątkowo wyboisty. Historie trojga bohaterów, Roberta, Róży i Adama – prowadzone osobno – scala ich „wypalenie się” wewnętrzne. W tym są do siebie podobni. Robert, głośny przed laty pisarz, ożenił się – trochę dla pieniędzy, trochę z powodu wpływów Teścia – z hipochondryczką; ożenił się jak sam mówi z Teściem, posłem na sejm, Teściową, zastuchaną w audycje „ojca dyrektora”, i z wiecznie awanturującą się Żoną. Róża, popularna i uwielbiana przez widzów aktorka, wychodzi za mąż za bankowca. Pan Mąż, zajęty nieustannie sprawdzaniem bilansów i uwodzeniem kolejnych sekretarek, powoli przywyka do katalепtycznych omdleń swojej żony, jej hysterii. Piękna i znana żona była tylko częścią zaplanowanej inwestycji bankowca. Adam, kończący Akademię Medyczną ortopeda, uwielbiane dziecko chłopskich rodziców, zakochuje się w chłopcu-mężczyźnie, Pięknisiu, drobnym złodziejaszku. Ta miłość niszczy jego karierę lekarską w szpitalu, nabiera cech monomanii.

Mogły powstać trzy nowele, jednakże scenarzysta postanowił je scalić, powiązać fabularnie. Robert jest chory, rozpoznano u niego raka; w szpitalu prze-

<sup>10</sup> W. Kuczok, *Gnoj*. Warszawa 2003, s. 89.

<sup>11</sup> Miała początkowo nosić tytuł *Pleśń*.

<sup>12</sup> Notka na okładce powieści *Senność*.

<sup>13</sup> W. Kuczok, *Senność*. Warszawa 2008, s. 51.

prowadza jego badania Adam (ortopeda!). Chory Robert, który w archiwum mieszczącym się w suterenie spędzał czas na oglądaniu nóg (i nie tylko) pięknych kobiet przez okno mieszczące się na poziomie ulicznego chodnika, rozpoznaje Różę. Tak zaczyna się ich romans, dla Roberta – ostatni... To scalenie fabuły jest wyraźnie filmowe, w narracji literackiej artystycznie i psychologicznie nieuzasadnione, wywodzące się ze stereotypów panujących w kulturze popularnej. Blisko stąd do Izaury... Filmowe i kiczowate okazuje się także zakończenie perypetii bohaterów: Robert wynosi się z domu Teściów, „odchodzi” od Żony, przy jej głośnym proteście, „na zawsze”; Adam przenosi się z Pięknisiem do domu na wsi, podarowanego mu przez rodziców; Róża przeżywszy swoje wyzwolenie od Pana Męża powraca do teatru. Przejście od literatury do filmu (scenariusza filmowego) może piętrzyć pułapki. I nic tu nie znaczy stwierdzenie, że „w książce wolno zmienić wszystko to, na co w filmie zabrakło miejsca”. Bo odrębność języków filmu i literatury jest głębsza: zasada się na odmienności sztuki słowa i „ikonicznej” sztuki filmowej.

Wielki powrót do literatury, do sztuki słowa przyniósł kolejny utwór – *Spiski: przygody tatrzańskie*. Tytuł jest dwuznaczny; dotyczy z jednej strony wydarzeń zlokalizowanych głównie na Wierchu Spiskim w Bukowinie Tatrzańskiej, a z drugiej odwołuje się do „spisków”, rękopiśmiennych notatek poszukiwaczy skarbów w Tatrach<sup>14</sup>. Wieloznaczna jest także genealogiczna właściwość tekstu. Za Narcyzą Żmichowską i jej późnym utworem z połowy lat siedemdziesiątych XIX w. można by powtórzyć: *Czy to powieść?* Kuczek ma wątpliwości co do współczesnej kondycji starego gatunku: *Gnój* miał swój podtytuł *Antybiografia*; *Senność* powstała najpierw jako scenariusz filmowy; *Spiski: przygody tatrzańskie* mogą uchodzić za biografię, bo daty poprzedzające tytuły fragmentów tekstu sugerują „porządek” wrastania autora w Tatry i góralszczyznę – od wakacyjnych wyjazdów z rodzicami dziecięciolatką do prawie trzydziestoletniego znawcy Tatr, stylu życia górali, obyczajów, legend i gadek; prywatnie – speleologa. Żywiot autobiograficzny rozpoznac łatwo w opisach samotnych wędrowek poza szlakami turystycznymi, w fachowych informacjach o jaskiniach, o ich pierwszych odkrywcach, o technikach pokonywania przeszkód na trasie itd. Autobiograficzne jest rozdwojenie wewnętrzne – wpisanie narratora w Tatry i „ziemię rodzinną”, do której często wraca, czyli na robotniczy i przemysłowy Śląsk. Pytanie „czy to powieść?” nie unieważnia innego – czy to zbiór opowiadań? Zbyt są ze sobą zrośnięte, aby uchodzić mogły za jednotematyczny cykl opowiadań. Przyjąć można, że jest to powieść o rozmytych cechach gatunkowych, której materia główną jest spiętrzony i burzliwy żywiot narracji, a magiem „słowowiska” (wolno autorowi tworzyć neologizmy, wolno i krytykowi) okazuje się narrator. Fragmentaryczność jest cnotą literacką w epoce postmodernizmu. A i innych cnot w *Spiskach* jest wiele.

Tatrzańskie, a ściślej góralskie opowiadania zjawiały się w *Opowieściach słychanych*, w *Szkieleciarach* i w *Widmokręgu* (*Tładzik*, *Cobys widziot*, *Chło-*

*powiadanie*, *Cielęce Tańce*). Miały cechy wspólne – z reguły dziecięcego czy chłopackiego narratora, dotyczyły pierwszych zauroczeń miłosnych i doświadczeń seksualnych. Seks jest jednym z głównych wątków w *Spiskach*, opowiadany z werwą i prawdziwą maestrią, zmysłowo i nie wulgarnie. Wyzwolony język i wyzwolone słownictwo nie gorszy, nie wywołuje wypieków na twarzach młodocianych i dewotek. Długie zabiegi narratora, jeszcze chłopca, zmierzające do zdobycia pięknej góralki, kończy opowieść dorosłego speleologa, kiedy zaproszony zostaje przez nią do wspólnej zabawy w wannie. Wystarczyło jedno jej zdanie: „Chyboj hawok, ku mnie”. A potem już opis, przy którym *Słówka* Boya przemieścić można do kruchty:

– Felu... – rzekłem i zbliżyłem się, by postąpić wedle praw natury, oneż to wzięły górę nad moją cierpliwą miłością, i nad językiem, który nie służył już mowie rozwiązałej, jeno zaczął wędrowkę przeciągłą. Przez jej Opalone, dalej poprzez Niżnie Stanikowe Siodło ku Gładkiej Przelęczy, skąd zmyślnie wdrapał się na sam Czubik, a potem bliźniaczo postąpiwszy dla symetrii, obniżył się ku Pysznej Dolinie, krążąc wokół Małej Łąki, przedzierając się przez Mechy, osiągnął Kudłatą Grańkę, gdzie zatrzymał się na dłużej [...]”<sup>15</sup>.

Reszta – to jest światy przedstawiane – w poszczególnych opowiadaniach są niepewne. Ze strefy rodzinnej narratora zjawiają się ojciec i matka, ale to inny ojciec niż z *Gnoju*; nie jest sadystą, lecz człowiekiem niepokodzonym z życiem. Za „komuny” demonstrował swoją postawę opozycyjną, ale tylko za zamkniętymi drzwiami własnego mieszkania; „za kapitalizmu” jest także „przeciw”, co udowadnia w długim „antypaństwowym słowociągu” tylko wobec żony i syna. Po rozpadzie małżeństwa, kiedy matka powtarza już wobec innego mężczyzny czułe „Mójka-ziu”, ojciec, z wykształcenia konserwator zabytków, staje się, jak u Brunona Schulza, herezjarchą i kreatorem, przeprowadza Wielką Korektę sztuki narodowej: w oddanych do konserwacji obrazach domalujemy sceny i akcesoria erotyczne, gotyckim Chrystusom z kościołów małopolskich zdejmujemy z bioder opaski i odstawia genitalia. Ta działalność wywołuje frustrację społeczną: „Ruch obrońców nagiej prawdy rósł w siłę i pikietował pod kościołami, narażając się na spięcia z bojówkarzami bezrobotnych kiboli i wszechpolskich młodziaków, zawsze chętnych do bitki, której można by przypisać narodowo-chrześcijański pretekst”<sup>16</sup>.

Wydarzenia z życia społecznego, powtarzane w mas mediach – a przywołań jest sporo – poddane zostają degradującym, groteskowym przeróbkom. W takim świetle przejawia się, stanowiąca tło w biografii głównego bohatera, nasza najnowsza historia. W *Spiskach* odwołań do wydarzeń bieżących jest sporo, są „byłe jakie”, śmieszne, widziane oczyma przewrotnego kpiarza. Groteskowej degradacji podlegają utrwalone w kulturze mity o góralskiej tężyźnie, o „gazdach kieby smreki”, o religijności, od której silniejszy jest tylko alkoholizm; i niewiele może zmienić we wsi proboszcz, ksiądz Bździoch, sam zresztą pokutnie odkładający na później wypicie kolejnego kieliszka.

<sup>14</sup> Na końcu książki objaśnia to znaczenie przywołaniem fragmentu z książki Jacka Kolbuszewskiego *Odkrycie Tatr*.

<sup>15</sup> W. Kuczek, *Spiski: przygody tatrzańskie*. Warszawa 2010, s. 274.

<sup>16</sup> W. Kuczek, *Spiski: przygody tatrzańskie*. Warszawa 2010, s. 257-258.

Alkoholizm jest „stylem życia” górali. Gazda, u którego zamieszkali rodzice narratora, miał gromadę dzieciaków: „Sporo tego, psiokrew... – wyznaje ich ojciec. – Ale syćka krzcone!”

„Gazda, jako góral z krwi i kości, był wprost opętańczo pobożny. W tygodniu tołł, ile wlezie, czy raczej ile się w gardło wleje, grzeszył ciężko, a raczej śmiertelnie, ale w niedzielę, na czas oczyszczenia, zakładał strój ludowy i z rodziną w wypranych koszulach pomykał pod górę do kościoła, spowiadać się Bogu wszechmogącemu, braciom i siostram ze swojej winy, swojej winy, swojej bardzo wielkiej winy [...]. Żegnał się przed każdym wychylonym kielichem, żegnał się zanim pół średniej krajowej przegrał w karty, żegnał się nim żonie zapakował chwosta – chłał więc pobożnie, rznął w karty bogobojnie i grzmocił żonę po bożemu, bez dwóch zdań”<sup>17</sup>.

Jako cechę niezbywalną górali, oprócz alkoholizmu, narrator akcentuje skłonność do burd, do krwawych bijatyk, pazerność „na dutki”, pogardę dla „ceprów”, wreszcie – niezajomość Tatr. Bo turystyka, łatwość w zdobywaniu korzyści z samego wynajmu pokoi, zrodziła lenistwo: nie ma już dawnych górali-przewodników, nie ma „bajarzy”. Zostały stare grzechy góralskie: kłusownictwo, polowanie na świstaki i ich sadło, na kozice górskie, pojadanie psiego smalca, wycinanie dla zysku tatrzańskich lasów, kiedy powrócili, po wcześniejszym upaństwowieniu, do swych właścicieli ...

Odczytanie *Spisków* na ponuro, jako krytyki, jako demaskowania mitów, byłoby całkowicie fałszywe. Bo są one znakomitym, niebywałym w naszej literaturze współczesnej zauroczonej wzorcami amerykańskimi, nawiązaniem do rodzimych wątków literackich. Jest w *Spiskach* duch gawęd ludowych, oczyszczony z sentymentalnych uwzniośleń, często frywolny, podszyty znakomitym humorem. Poszczególne opowiadane przygody mają wyrazistą kompozycję, swoje centrum tematyczne, otwierają się jednak na ciągi dalsze, na zakończenie powieści. Opowiadanie *Historia futbolu tatrzańskiego* przedstawia pierwszy wyjazd chłopca ze Śląska w Tatry, w czasie mistrzostw świata w piłce nożnej w Hiszpanii. Ojciec, domowy opozycjonista w czasie stanu wojennego, aby zasłużyć na szacunek górali, a odmowę uznaliby za zniewagę, popada w alkoholizm. Jego syn, podniecony meczami, montuje drużynę z miejscowych chłopców, ale mecze kończą się kopaniem po kostkach i bijatyką. Bo górale, podobno, mają wyższą ciepłotę ciała, stąd ich krewkie temperamenty. Inne opowiadanie, *Świtaniec białczyński*, jest o grzybobraniu, na które wyrusza narrator z gospodarzem, choć głównym celem staje się tajemniczy obrzęd – zbiorowy seks licznych nagich ciał w porannej mgle. Przeżył swoje młodociany narrator; uzyskał pochwałę od gazdy: „Toś ty jus górol jak sie patrzy”. W opowiadaniu *Łaknienie* zaczyna się historia wielkiej i upartej miłości narratora do Feli Nędzy, narzeczonej, a później porzuconej żony Józka Głodowskiego, którą kończy ostatnie *Odkrzyżowanie*. Ale centrum tego opowiadania stanowi epizod z życia góralskiej „kawalerki”, polowanie na niedźwiedzia zwabionego intensywnymi woniami panny na wydaniu, po kocieju mrużającej z tęsknoty. Gawędą

<sup>17</sup>W. Kuczok, *Spiski: przygody tatrzańskie*. Warszawa 2010, s. 26-27.

jest także opowiadanie *Pątnik domowy* o głębokiej depresji ojca, zarazie, która padła na bydło, według górali spowodowanej złym spojrzeniem, zauroczeniem. Nogi krów zjadały tajemnicze kostniki. Powody plag, jaka spadła na wieś, objaśnić mogła tylko czarownica Śmierząca Jadwicha żyjąca w jednej z grot tatrzańskich... *Odkrzyżowanie* tytuł zawdzięcza podejrzany praktykom ojca-konserwatora...

*Spiski* są głęboko osadzone w folklorze, w tradycji góralskich gawęd. Ich „wiarygodność” artystyczną wspomaga stylizacja gwarowa, dotycząca nie tylko dialogów, lecz czasem także partii narracyjnych prowadzonych z perspektywy określonych postaci. Stylizacja gwarowa w dialogach, głęboka, fonetyczna i leksykalna, nadaje „koloryt lokalny” wypowiedziom postaci. Można pytać, jak to się dzieje, że tekst nie przestaje być zrozumiały. W wypowiedziach górali i góralek jest zwięzłość, są gesty i emocje, nie ma inteligenckiego gadulstwa. Mowa – jako scalenie gestu i słowa – bywa zrozumiała niejako ponad leksykalną semantyką. Najważniejszy jest jednak sprawca narracji, przybysz, obcy, ceper, który zemocjonowany oglądanym meczem wykrzykuje po śląsku: „Nasi czyli Poloki”. Taką podwójną świadomość mogą mieć nie tylko rdzenni Ślązacy, ale i „górale z Sikago”. Żywioł stylizacji jest sposobem charakteryzowania postaci: nieustanny „słowociąg” ojca określa pogłębiające się jego szaleństwo. Modlitwa proboszcza Bździocha przed meczem Polska – ZSRR sygnalizuje językowe cechy polskiego rusofoba:

„Od ruskiego moru, od głodu strzeż nas Panie, czerwoną zarazę ogniem wypal, wojnę z Sowietami pozwól nam wygrać, tę wojnę cichą, którą naród nasz udreżony w duszach i sercach toczy, w miłosierdziu swoim obdarz nas wolnością, której łakniemy”<sup>18</sup>.

Narracje Kuczoka toczą się – rzecz można – w wielu językach, a ściślej: wielu odmianach współczesnej polszczyzny. Jego *langue* jest wyjątkowo plastyczna, scala różnorakie odmiany mowy żywej, przekracza granice skostniałych „norm”, a równocześnie zabezpiecza najwyższe jakości ekspresji artystycznej. Postawa ironiczna, satyryczna sąsiaduje ze znakomitej próby potocznością, zwykłością, co w sztuce słowa bywa najtrudniejsze. A barwność ta zawdzięcza wiele tradycji góralskiej gawędy. Kuczokowego „bajania” nie odrzuciłby sam Sabała-Krzęptowski – zbójnik, rapsic-myśliwy, przewodnik i gawędziarz.

## STANISŁAW BURKOT

### 1 % NA „ZDANIE”

Fundacja Kultury Polskiej udostępniła swoje konto dla wpłat 1% od podatku z przeznaczeniem na wspieranie naszego czasopisma. Sponsorów prosimy o wpisanie w odpowiedniej rubryce PIT-a

**KRS Fundacji Kultury Polskiej: 0000115976,**

zaś w rubryce określającej cel szczegółowy:

**Kwartalnik „ZDANIE”**

Fundacji Kultury Polskiej oraz wszystkim darczyńcom pięknie dziękujemy.

Redakcja

<sup>18</sup>W. Kuczok, *Spiski: przygody tatrzańskie*. Warszawa 2010, s. 36-37.

JACEK CYGAN

# WIERSZE

## Piórko kolibra

Miałem sen, że po śmierci w wielkiej pracowni  
niebieskiej  
Zostałem Aniołem-Rysownikiem i spokojny nareszcie,  
Ciesząc się, że tu nic już nie może mnie boleć  
Rysowałem ludziom zmarszczki i kreski na czole.

Zatem nie martw się moja droga, gdyby sen się spełnił  
Każdą zmarszczkę ci zrobię możliwie najcieniej,  
Piórko kolibra wyszlifuję jak Spinoza diamenty,  
By kreskę czas zabił, jak ślad po okrętach.

*Krynica, 2011*

## Tu i tam

*Tutte le strade portano a Roma*

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu?  
Nie wszystkie.  
Nie wiemy, dokąd wiedzie droga ostateczna.  
Już choćby to, że Charon nie przepływa Tybru tylko  
Styks.  
Może jednak tam, gdzie prowadzi nas śmierć, też jest  
Rzym, Krym, Livorno i ulica Skawińska w Krakowie?  
Bo jeśli tam jest wszystko...

*Livorno, kwiecień 2010*

## Tulipany

Kupione przytulały się do siebie.  
Ściśnięte, sztywno zespolone,  
nie mogły bez siebie żyć  
Po dwóch dniach uścisk zelżał.  
Po dwóch następnych zaczęły  
wykręcać się na zewnątrz,  
wyginać konwulsyjnie.  
Dzisiaj patrzę jak odpychają się,  
wychylają poza obręb wazonu,  
jakby chciały od siebie uciec.  
Starość u tulipanów przychodzi tak szybko.

*Wielkanoc 2010*

## Na dziedzińcu

Na dziedzińcu Akademii Valentino w Rzymie,  
Przy Piazza Mignanelli, stoi rzeźba Igora Mitoraja.  
Dwumetrowej wysokości żeliwna twarz.  
Z lewego oka płynie woda, która przez lata  
Pokryła żeliwny policzek smugami barw od szarości do  
brązów.  
Pewnego dnia przyprowadzam przyjaciół - woda nie  
płynie.  
- Signore – pytam strażnika – dlaczego woda nie płynie?  
- Mamy kłopoty z odprowadzaniem łez.

2008

## Twarz Schillera

*Dlaczego Bóg tak chciał, żeby nikt nie  
umierał z własną twarzą?*

Giuseppe Tomasi di Lampedusa  
*Lampart*

W domu Schillera w Weimarze skrzypią podłogi.  
- Wszystko tu mniejsze niż w Goethes Wohnhaus –  
mówi Agata.  
Z prywatności człowieka zostaje kilka prostych zdań:  
Tu spał, tu jadł, tu pisał, tu umierał.

Ile widzimy w życiu twarzy umarłych?  
Śmierć bierze watkę nasączoną tonikiem  
I jak wytrawna wizażystka ściera z twarzy  
Powagę i radość, pewność i zwątpienie,  
Zaciekawienie i nudę.  
Zdejmuje nasze miny – codzienne i te odświętne,  
Mądre i te, których się wstydzimy.  
Zabiera dla innych twarzy, które dopiero będą?

W domu Schillera w Weimarze stałem przed  
Rysunkiem pośmiertnym twarzy poety.  
„Friedrich Schiller auf dem Totenbett, 10.05.1805”.  
Malarz nie mógł się pomylić.  
Carl Christian Jagemann malował poetę przez wiele lat.  
Twarz Schillera na jego pośmiertnym portrecie była żywa.  
Miała silny wyraz tak znany z innych obrazów.  
Fryderyk Schiller umarł z własną twarzą.

## Ręce, które mnie kochały

*pamięci mojej Mamy*

Ręce, które mnie kochały  
Znieruchomiały nagle.  
Ręce, które gładziły  
Niewidoczne zmarszczki  
Na moim komunijnym garniturze  
I maturalnej koszuli,  
Straciły ciepło i czucie.

- Wszystko już wygładzone, synu?
- Wszystko, Mamo.

3.10.2010

## Premiera

- Zobacz, żono, gdyby nie niezawodni państwo  
Morgensternowie,  
Bylibyśmy najstarsi na tej premierze.  
Pamiętasz, dawniej przychodzili Holoubek i Kałużyński,  
W ostatnim rządzie siadywał Zapasiewicz.  
Na scenę wychodziła piękna Ewa Sałacka...  
A dzisiaj wszystkich ich nie ma.  
- To normalne, czytamy umarłych pisarzy, a jakich płyt  
sluchamy w domu?  
Chet Baker, Brell, Brassens, Niemen, Grechuta,  
Ginsburg, Henri Salvadore.

Wszyscy nie żyją.  
- Przypomnij mi tytuł dzisiejszego filmu.  
- „Pora umierać”.

## O przyjaźniach

Dokąd odchodzą przyjaźnie?  
Pewnie tam, gdzie im lepiej.  
Może są tam niezakłamanie, mocniejsze, prawdziwsze?  
Bo przecież jest napisane:  
- Strzeż się fałszywych przyjaciół!  
Może tam mogą być naprawdę sobą?

A może tam, gdzie odchodzą przyjaźnie,  
Są tylko niższe podatki,  
Wyższe oprocentowanie lokat,  
Lepsze warunki emerytalne,  
Dokładniej odśnieżone chodniki?  
Bo przyjaźnie, o czym lubimy zapominać,  
Na ogół starzej się inaczej  
Niż wino.

## Pies w tunelu

Do tunelu Bobigny w Paryżu  
Długości tysiąca samochodów  
Na czterech pasach ruchu  
Wpadł pies.  
Jeszcze dzisiaj widzę go, jak biega przestraszony,  
Gryzie światła reflektorów, rzuca się w lewo i w prawo.  
Oszalał – myślę – będzie mniej bolało.  
Nazajutrz jadę tą samą drogą.  
Pies leży zaledwie trzydzieści metrów  
Od wlotu do tunelu.  
Przykryty spalinami i kurzem.  
Pogrzebany spojrzeniami kierowców.

## Ket

*pamięci Konstantego Puzyny*

Pisać o Tobie, Ket? Powinienem raczej coś narysować lub  
wyrycić w ziemi złamaną gałązką. Byłeś mistrzem  
w stawianiu liter.  
Stawiałeś je jak bańki na chorym ciele.  
Ale świat nie wyzdrowiał, Ket. Świat jest nadal chory.

Zdziwisz się, ale chodzimy „na Ciebie” do Zachęty.  
Siadamy w sali projekcyjnej i czekamy, aż pokaże się  
kilka sekund Polskiej Kroniki Filmowej z 1957 roku.  
Pojawiasz się nagle w bereciku z antenką i przypalasz  
papierosa słynnej rzeźbiarce.  
To o niej jest ten fragment PKF i ta wystawa w Zachęcie.  
Nazywała się Alina Ślesieńska. Nie wiedzieliśmy,  
że była twoją żoną.  
Ossip Zadkine napisał, że jej rzeźby śpiewają.

Zachęta, Ket, nic się nie zmieniła. Może tylko sklepik  
na parterze jest większy.  
Zapytałem, czy jest jakaś twoja książka. Bardzo młody  
człowiek zdumiał się i odpowiedział, że nie ma.  
- Może pan poszuka w komputerze – nie dawałem  
za wygraną.  
- W komputerze też nie ma – odpowiedział czerwieniąc się.  
„Rubor est virtutis color” (Cnota w czerwieni chodzi) -  
przypomniałem sobie.

Odwiedzamy twój grób na Powązkach.  
Przytulamy wzrokiem spatynowaną stalówkę, stoimy,  
rozmawiamy z Tobą.  
Czasami nie możemy znaleźć twojego grobu. Jak zwykle  
skręcamy w prawo  
za Horzycą, który był twoim mistrzem, a dzisiaj nam  
pokazuje drogę do Ciebie.  
- Ket zabrał stalówkę do nieba, musi coś pilnie napisać –  
mówię do żony.  
Nie ma grobu, wracamy. Twoją świeczkę zapalamy  
Jankowi Lebensteinowi.

Ostatnio znowu odkryłem twój tomik „Kamyki”.  
Nie mogłeś zostawić mi  
lepszej pamiętki. Przesypują się słowa, kamyki hałasują  
pięknie.  
Wychodzisz z wierszy z papierosem, którego nikt już  
tak nie trzyma.  
I mówisz: - W przyszłym tygodniu zrobię wam bigos.

Wiem, że to może dla Ciebie nic nie znaczy,  
ale twoje teksty o teatrze, Witkacym, twoje „Kamyki”,  
zmieniły dla mnie  
zakończenie jednego z moich ulubionych wierszy.  
Napisał go człowiek,  
który leży na Powązkach „plecy o plecy”  
z Jankiem Lebensteinem.  
Teraz to brzmi:  
„...A ta woda, te słowa, mogą, mogą, Książę”.

Warszawa, luty 2008

ADAM KOMOROWSKI

# MARIO POLITYK

## O PERUWIAŃSKIM NOBLIŚCIE

Tuż po tym, jak Mario Vargas Llosa otrzymał literacką nagrodę Nobla, Johan Norberg ogłosił w „Spiked” często cytowany artykuł. Pisał: „Ludzie, którzy nie zgłaszali zastrzeżeń do postawy politycznej innych laureatów nagrody Nobla, jak Wisława Szymborska, która pisała pochwalne wiersze o Stalinie i Leninie; Gunther Grass, który wychwalał dyktaturę na Kubie; Harold Pinter, który popierał dyktaturę Miloszevića; Jose Saramago, który przeprowadzał czystki antystalinistów w redagowanej przez siebie rewolucyjnej gazecie – uważali, że tym razem Akademia Szwedzka przekroczyła granicę. Widać postawa polityczna Mario Vargas Llosy miała go z góry dyskwalifikować jako kandydata do Nobla. A przecież jest, ostatecznie, klasycznym liberałem w tradycji Johna Locke’a i Adama Smitha.”

To prawda, Vargas Llosa jest liberalnym doktrynerem, ale w zasadzie jedynie w kwestiach ekonomicznych. W niezliczonych tekstach publicystycznych powtarza tę samą mantrę: prywatyzacja, deregulacja, całkowita rezygnacja z interwencji państwa w rynek. Przypomina niekiedy bohaterkę powieści Josepha Hellera „Good as Gold”, która jako ekspert ekonomiczny zawsze ma tylko jedną radę dla instytucji państwowych: „ciąć koszty”. Oczywiście za swoją ekspertyzę pobiera honorarium, przekraczające oszczędności z zalecanych „cięć kosztów”. Prawdą jest też, że Vargas Llosa uważa się jednocześnie za proroka i męczennika liberalizmu gospodarczego. Jego idolem była Margaret Thatcher i jakoś zapominał, że prywatyzacje są tyleż strategią ekonomiczną, co polityczną. Dopóki jest co prywatyzować, władza zawsze może liczyć na potencjalnych beneficjentów. Tak było z Thatcher, Pinochetem, Menemem czy Fujimorim, który pokonał pisarza w peruwiańskich wyborach prezydenckich 1990 roku. Prywatyzacje są często większą pokusą polityczną niż ekonomiczną. Skala korupcji wyzwolona procesami prywatyzacji, której ulegli prezydenci Argentyny (Menem), Meksyku (Salinas de Gortari), Chile (choć w tym wypadku była to raczej rodzinka dyktatora, aniżeli on sam), Peru (Fujimori) przekroczyła wszystko, co dotychczas wiedzieliśmy o korupcji w Ameryce Łacińskiej. W wypadku Menema i Salinasa były to miliardy dolarów. Nie wydaje się, że gdyby pisarz został prezydentem Peru, byłoby w tym kraju inaczej (choć pewnie inaczej zachowałby się sam Llosa). Dowodem jest, że natychmiast

po jego przegranej większość tych, którzy popierali jego kandydaturę i byli w jego komitecie wyborczym, z taką ochotą przyjęła lukratywne funkcje u Fujimori. Vargas Llosa nigdy im, zwłaszcza ekonomiście Hernando de Soto (jego manifest ekonomiczny „Inny szlak”, ze wstępem Vargasa Llosy, ukazał się po polsku), tego nie wybaczył. Pomstując na przeniewierstwo swoich zwolenników, niedoszły prezydent nigdy nie zastanowił się nad tym, że gdyby wygrał - to on miałby ich na karku. Że byli z nim nie z podziwu dla jego pisarstwa, ale w nadziei na działkę władzy. Nieszczęście Vargasa Llosy polegało na tym, że traktował polityków (i wyborców) jak pisarz, który ma wystarczająco dużo talentu, by utrzymywać pod kontrolą swoich czytelników.

Kampania prezydencka Vargasa Llosy w 1990 była jedną z najbardziej wystawnych i kosztownych w dziejach Peru. Praktycznie trwała od roku 1987, czyli powrotu pisarza do kraju po kilkunastu latach spędzonych w Europie. Starym wyjadaczom skompromitowanych prawicowych partii politycznych musiał wydawać się kandydatem idealnym. Był znanym na świecie Peruwiańczykiem i, co najważniejsze, nie był uwikłany i pobrudzony lokalną polityką. Na dodatek obiecywał odwrót od polityki nacjonalizacji, totalną prywatyzację, na której można się było łatwo dorobić. On sam był przekonany, że wystawienie jego kandydatury jest wynikiem zauroczenia jego pisarstwem, spójnością jego doktryny ekonomicznej. Tymczasem jego pisarstwo było w Peru mniej znane aniżeli w Europie. Być może poza jego najbliższym przyjacielem, największym malarzem peruwiańskim i pierwszym promotorem jego kandydatury - Fernando de Szyszlo (polskiego pochodzenia, syn Witolda Szyszły, autora m.in. doskonałej książki o Puerto Rico i reportaży z Ameryki Łacińskiej), najistotniejsze było nie to, że jest pisarzem, ale że jest nową twarzą w polityce krajowej. Nie był waletem z talii wielokrotnie tasowanych kart. Choć ze strony matki był spokrewniony z rodziną prezydencką, czemu jego ukochany dziadek, głowa klanu Llosów, zawdzięczał swoją długoletnią prefekturę w Piurze, jednym z największych miast Peru.

Nadmieniam o tym z jednego powodu. Otóż pisarz, niejednokrotnie rzucając gromy na klientyzm i nepotyzm polityki peruwiańskiej i latynoamerykańskiej, często zapominał, czemu jego rodzina zawdzięczała swój status. W Paryżu zerwał kontakty z zaprzyjaźnionym

z nim pisarzem Julio Ramonem Ribeyro, gdy ten przyjął funkcję przedstawiciela Peru przy UNESCO, którą zaferował mu rządzący wtedy krajem generał Velasco. Tak się bowiem złożyło, że generał z czasów młodości znał Ribeyro. Coś podobnego przydarzyło się Miguelowi Angelowi Asturiasowi, gdy jego kolega ze studiów został dyktatorem Gwatemali i mianował Asturiasa ambasadorem w Paryżu, z czym inni lewicowi intelektualiści, mniej mający fartu, nigdy się nie mogli pogodzić. Ribeyro pozostawił dzienniki, które są jednym z głównych źródeł informacji o paryskich latach Vargas Llosy. Są uważane za arcydzieło latynoamerykańskiej diarystyki i często porównywane z „Dziennikiem” Witolda Gombrowicza, który dla Latynosów jest najczęściej przywoływanym wzorem.

Uczciwie warto pokreślić, że Vargas Llosa nigdy nie starał się o państwową synekurę (ubiegał się o urząd prezydencki, ale to nie jest w Peru ciepła posadka). Jest nieczęstym przykładem latynoamerykańskiego pisarza, który potrafił utrzymać się z tego, co pisze. Ale też był mistrzem w zdobywaniu nagród i stypendiów. Nobel jest tego ukoronowaniem. Choć on sam być może jeszcze bardziej sobie ceni tytuł markiza, którym obdarzył go król Juan Carlos. Tym bardziej, że laureatów Nobla jest wielu. A pisarzy, którzy otrzymali tytuł hiszpańskiego markiza tylko dwóch: Camilo Jose Cela i on.

Zaskakująca porażka Vargas Llosy w wyborach prezydenckich 1990, choć wydawało się, że ma w kieszeni zwycięstwo w pierwszej turze, do dziś stanowi zagadkę. On sam, analizując dzieje swojego wyścigu o prezydenturę w „Jak ryba w wodzie” (obszernej autobiografii, napisanej tuż po kompromitującej porażce ponad 20 punktami procentowymi w drugiej turze wyborów), daje nam jedynie świadectwo zacieklej urazy. Określanie przeciwników politycznych jako „łanich intelektualistów” należy do łagodniejszych. Pismaki, ludzie z kompleksami, intryganci - te są częstsze. Są też obelgi stylistycznie rozbudowane bardziej (np.: „mafia współpracowników zwerbowanych w lokalnych literackich szambach”), czy mniej (o dzienniku „La Republica”, po „El Comercio” drugim liczącym się w Peru: „znakomity przykład bagna, w jakie wpadła prasa”). Sugeruje, że CIA była przeciwnikiem, o czym miał mu w zaufaniu powiedzieć ambasador USA w Limie. Śledzi medialne konspiracje, zwłaszcza w telewizjach, a jednocześnie chełpi się pokazywaniem go w tejże telewizji przyjmowanego jako kandydata przez prezydentów Tajwanu, Singapuru, premiera Japonii czy Margaret Thatcher i Helmuta Kohla. Jego rywal, „Chinito” Fujimori, o takich faworach nawet nie mógł śnić.

Rozczuła się nad warunkami pracy, które miał jego komitet wyborczy w Hotelu Sheraton, ale nie zauważa, że wybór najbardziej okazałego i drogiego wówczas gmachu w Limie nie musiał u wszystkich budzić entuzjazmu. Szczególnie u tych, którzy doskonale wiedzieli, że nawet obiecany cud gospodarczy nie będzie mógł sprawić, że przekroczą progi tego hotelu. Jak indiański szaman podkreśla, że nie chciał wiedzieć, od kogo i skąd płyną wielkie pieniądze na jego kampanię, ponieważ takie czary miały w przyszłości zwolnić go jako prezydenta z długów wdzięczności wobec sponsorów. Tak jakby niewiedza była warunkiem niezależności.

Kokietuje swoją odmową udania się przed drugą turą do Watykanu, gdzie polski papież chciał go przyjąć na audyencji, by wspomóc jego kampanię. Procesje

urządzane w intencji jego zwycięstwa, list pasterski peruwiańskiego episkopatu traktuje jako coś naturalnego. Jemu, uważającemu się za agnostyka, przez myśl nie przejdzie, że nachalne poparcie udzielone przez hierarchię kościelną jego kandydaturze w ostatniej fazie kampanii mogło być, w konkretnych warunkach tego właśnie katolickiego kraju, mało korzystne. Ani że ludzie czasami głosują na tego, komu ostantacyjnego poparcia nie udzielają Kościół, znani intelektualiści i celebryci. Kto nie oblepia całego kraju swoimi podobiznami, razprzylatuje helikopterem, razpokazuje się wielkim tego świata, by na drugi dzień przebrać się w poncho i wjeżdżać na koniu do andyjskiego miasteczka otoczony wianuszkami ochroniarzy (których usługi za darmo zaferowała mu wielka firma ochroniarska w ramach poparcia jego kandydatury). Oczywiście w Peru, zwłaszcza w Andach, w czasach aktywności Świetlistego Szlaku nie było bezpiecznie. Toteż Fujimori tam nie jeździł, ale jednocześnie nie kłut wyborców w oczy rozbudowaną ochroną.

Vargas Llosa nie zdaje sobie sprawy, że im większego rozmachu nabierała jego kampania, im bardziej stawała się natarcywa i wszechobecna, tym bardziej tracił wyborców. Zaczynał od 60 procent poparcia, skończył na 34. Fujimori otrzymał w drugiej turze 57 proc., tyle ile pisarz spodziewał się zdobyć w pierwszej. Przyjmuje się, że koszt jego kampanii wyniósł mniej niż dziesiąta część kampanii Vargas Llosy. Rektorowi niewielkiej uczelni rolniczej, Peruwiańczykowi w pierwszym pokoleniu, liczącego się poparcia udzieliły wspólnoty protestanckie. Ale nie to było czynnikiem decydującym. O ostatecznym wyniku wyborów zdecydował fakt, że to on przejął od pisarza image „nowej twarzy” w polityce peruwiańskiej, której wszyscy wyglądali.

Po przegranej pisarz obraził się na Peru. Pogodził się ze swoją ojczyzną dopiero w ostatnich latach. Pikanterii dodaje sprawe fakt, że nastąpiło to za drugiej prezydentury Alana Garcii. Prezydenta, którego decyzją z 1987 roku o nacjonalizacji banków (dziś już dawno za Fujimoriego sprywatyzowanych ponownie) wywołała całą lawinę wydarzeń, powrót Vargas Llosy do Peru, rozpoczęcie kampanii przeciw tej decyzji i polityce Garcii, co wypromowało go na, jak się wydawało, idealnego kandydata na nowego prezydenta.

Gdy piszę ten tekst, Vargas Llosa występuje na scenach Limy w wyreżyserowanej przez siebie swojej nowej sztuce „Tysiąc i jedna noc”. Polityka i teatr były zawsze jego największą ambicją. Osiągnięcia na tych polach ma raczej średnie. Ale prozaikiem jest niezwykłym. Może na Nobla czekał za długo. Ale gdyby dostał go wcześniej, nie jest pewnym, czy nie chciałby tego wykorzystać, by jeszcze raz kandydować na prezydenta. W kontaktach osobistych jest człowiekiem miłym i przyjaznym. Ma jednak wadę. Potrafi dotkliwie obrażać nawet bliskich przyjaciół, gdy mu politycznie podpadną: nazwać Gabriela Garcíę Marqueza „dworakiem Castro”, czy określić Meksyk jako „idealną dyktaturę”, czego mu nawet Octavio Paz nie mógł przebaczyć.

Gdyby został prezydentem, zapewne nie strzelałby do przeciwników politycznych i nie zamykał ich w więzieniu jak Fujimori. Potrafiłby ich jednak tak obrażać, że to oni mogliby go zastrzelić. Sztuka obelgi nie jest najlepszym przymiotem polityka. Pisarzowi ją wybaczymy, a czasami wręcz jej od niego oczekujemy.

**ADAM KOMOROWSKI**

MARIAN STĘPIEŃ

# WOKÓŁ PISM OSTATNICH ANDRZEJA STAWARA

Andrzej Stawar (właściwe nazwisko: Edward Janus) urodził się 30 kwietnia 1900 roku w rodzinie bezrolnego chłopa. Wszystko, do czego doszedł, zdobył wytrwałą pracą samouka. W latach dwudziestych związał się z Komunistyczną Partią Polski. W 1924 roku był sekretarzem komunistycznej frakcji poselskiej w Sejmie Polskim. Zainteresowany literaturą stał się wkrótce jednym z najwybitniejszych krytyków marksistowskiej lewicy literackiej. Recenzje jego pióra zaczynają się ukazywać na łamach „Wiadomości Literackich” od 1925 roku, a nieco później, od roku 1927 – w lewicowych pismach: w „Dźwigni” i „Miesięczniku Literackim”, którego „namiętnym czytelnikiem” był Czesław Miłosz.<sup>1</sup>

Obserwacja przemian zachodzących w Związku Radzieckim, w których Stawar widział odchodzenie od istoty rewolucji socjalistycznej, prowadziło go do rozstawania się z Komunistyczną Partią Polski. Jej kierownictwo bowiem nie tolerowało krytyki negatywnych zjawisk w Związku Radzieckim. Wkrótce nadeszły lata stalinowskich „czystek”, które doprowadziły do ostrego konfliktu między Stawarem a KPP i wydalenia go z partii. Wówczas Stawar zaczął prezentować swoje poglądy polityczne i opinie o tym, do czego zmierza socjalizm w Związku Radzieckim w artykułach zamieszczanych na łamach założonego przez siebie pisma „Pod Prąd”, które ukazywało się w latach 1934-36. Postawa Stawara została potępiona przez kierownictwo KPP, uznana za „trockistowską”, co było – w świetle obowiązujących poglądów – oskarżeniem bardzo poważnym. Stawara nie tylko wydalono z partii, lecz również objęto towarzyskim bojkotem. Najbliżsi do niedawna przyjaciele i ideowi sprzymierzeńcy (na przykład Wanda Wasilewska) odmawiali podawania mu ręki.<sup>2</sup>

Stawar wcześniej zaczął odnosić się krytycznie do osoby Stalina i stylu sprawowania przez niego rządów. Oskarżenia padające w moskiewskich procesach przeciw wybitnym działaczom WKP(b) nie przekonywały go, a surowe wyroki, do kary śmierci włącznie, potwierdzały jego ocenę Stalina i budowanego przez niego systemu. A ponieważ najgłośniejszym przeciwnikiem Stalina był Lew Trocki, Stawar, ze swymi poglądami na to, co dzieje się w ZSRR, zbliżał się do jego stanowiska, co nie oznacza, że nie dzielił je bez reszty.

Działał tu mechanizm opisany przez Stawara w szkicu „*Historia Trockiego*”: „Stalinizm określa się jako system, precyzuje stanowiska, trockizm przez długi okres opozycji przyjmuje <podrzucone> mu idee i nastroje, zatracając swe wyraziste oblicze pierwszej fazy. Staje się ogólną etykietą dla wszelkiego rodzaju <odchyleń>, a bywa do nich zaliczone wszystko, co idzie na przekór polityce aparaturowej – obrona zawodowych interesów robotnika, walka o płace, obrona interesów i ambicji narodowościowych, poniewieranych przez aparatowych <moścawców>, <liberalizm> filozoficzny, walka z nadużyciami władzy – wszystko to może otrzymać uniwersalny stempel trockizmu”<sup>3</sup>.

Gdy wybuchła druga wojna światowa, Stawar wziął udział w kampanii wrześniowej. Po klęsce przedostał się na Węgry, gdzie – w obozie dla internowanych – spędził lata wojny. Szczęśliwie nie znalazł się, jak wielu jego współtowarzyszy z komunistycznej lewicy, na terytorium zajętym przez wojska radzieckie. Jako „trockista” byłby niechybnie aresztowany i skazany na surową karę. W przesłuchaniach prowadzonych przez NKWD podejrzenie o trockizm prowadziło do najpoważniejszych zarzutów. Byli i tacy wśród przesłuchiowanych, którzy w obronie własnej wyrzekali się wszelkich kontaktów ze Stawarem, o którego trockizmie władze NKWD były dobrze poinformowane.

Po zakończeniu wojny Stawar powrócił do kraju. Przez jakiś czas pracował w Ministerstwie Kultury. Pozostawał w niełasce. Rządzący powojenną Polską nie zapomnieli mu trockizmu. Niełaska była stosunkowo mniej dotkliwa w pierwszych paru latach po wojnie. Mógł jeszcze zamieszczać recenzje literackie i artykuły na łamach „Kuźnicy” i „Odrodzenia”. Ale po 1948 roku, uznany za renegata, został zupełnie odsunięty od życia publicznego, nad czym czuwał sam Jakub Berman. Redakcja „Kuźnicy”, już w końcowej fazie wychodzenia tego tygodnika, wysłała do Bermana delegację, by wstawić się za Stawarem i – zwłaszcza wobec dużych trudności materialnych, w jakich się znajdował – uzyskać dla niego prawo publikowania swoich oprac. W odpowiedzi na swą petycję autorzy „Kuźnicy” usły-

Po zakończeniu wojny Stawar powrócił do kraju. Przez jakiś czas pracował w Ministerstwie Kultury. Pozostawał w niełasce. Rządzący powojenną Polską nie zapomnieli mu trockizmu. Niełaska była stosunkowo mniej dotkliwa w pierwszych paru latach po wojnie. Mógł jeszcze zamieszczać recenzje literackie i artykuły na łamach „Kuźnicy” i „Odrodzenia”. Ale po 1948 roku, uznany za renegata, został zupełnie odsunięty od życia publicznego, nad czym czuwał sam Jakub Berman. Redakcja „Kuźnicy”, już w końcowej fazie wychodzenia tego tygodnika, wysłała do Bermana delegację, by wstawić się za Stawarem i – zwłaszcza wobec dużych trudności materialnych, w jakich się znajdował – uzyskać dla niego prawo publikowania swoich oprac. W odpowiedzi na swą petycję autorzy „Kuźnicy” usły-

<sup>1</sup> Aleksander Wat, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*. Rozmowy prowadził i przedmową opatrzył Czesław Miłosz. Do druku przygotowała Lidia Ciołkoszowa. Część pierwsza. Warszawa 1998, s. 64.

<sup>2</sup> Tamże, s. 121.

<sup>3</sup> *Pisma ostatnie Andrzeja Stawara*. Z przedmową Pawła Mostowca [Jerzego Stempowskiego]. Paryż 1961, s. 148-149.

szeli: „Niech naprzód wejdzie pod stół i odszczeka, co o nas nałgał”<sup>4</sup>.

W latach 1949-55 Stawar milczał. Był jednym z niewielu krytyków literackich lewicy (obok Aleksandra Wata i Artura Sandauera), który nie uległ pokusom realizmu socjalistycznego, ani wymuszającym go restrykcjom administracyjnym. Objęty był całkowitym zakazem druku. Utrzymywał się z przekładów anonimowych lub podpisywanych pseudonimem.

Był zmuszony do milczenia. Ale można powiedzieć, że milczał również z własnej woli. Bo nie uległ namowom (m. in. Edwarda Ochaba, Władysława Broniewskiego), by złożył – chociaż ustną – samokrytykę, co przywróciłoby możliwość publikowania.

Stawar milczał ryzykując wiele. Aleksander Wat pisze, że stale nad nim wisiła groźba aresztowania, podobnie jak to było z Pawłem Konradem skazanym na 15 lat więzienia, w którym wkrótce po procesie został zakatowany. „Chociaż Stawar milczał, milczenie jego było aktem większej odwagi, niż moje szyderstwo” – pisał Aleksander Wat<sup>5</sup>.

W 1955 roku, w klimacie „odwilży”, Jarosław Iwaszkiewicz - objąwszy po Adamie Ważyku redakcję „Twórczości” - zamierzał zaprosić Stawara do współpracy. Zabiegał o zgodę Bermana. Ten się zgodził, ale pod warunkiem, że w pierwszym artykule Stawar zamieści samokrytykę. Stawar tego nie uczynił, a Iwaszkiewicz i tak opublikował jego artykuł *O Szolochowie*<sup>6</sup>. A później następane jego szkice. Berman natomiast wkrótce, na VIII plenum KC PZPR w październiku 1956 roku, wśród wielu uzasadnionych zarzutów, musiał usłyszeć i takie słowa, wypowiedziane przez Leona Wudzkiego: „Jak na przykład, towarzyszu, zachowaliście się w stosunku do Stawara, jak kazaliście mu odszczekiwać, co w przeszłości pisał. Kiedy człowiek nie miał z czego żyć, nie pozwoliliście mu pisać”<sup>7</sup>.

W październikowym klimacie liberalizacji nazwisko Stawara zaczęło się pojawiać w periodykach literackich: w „Twórczości”, „Dialogu”, „Nowej Kulturze”, w „Polityce” i w „Opiniach”, bardzo interesującym piśmie, na którego łamach ukazały się m. in. fragmenty *Doktora Żiwago* Borysa Pasternaka (po ukazaniu się dwóch numerów pismo zostało zamknięte w 1957 roku). Co roku też ukazywały się teraz jego książki: *Szki-ce literackie* (1957), *Tadeusz Żeleński-Boy* (1958), *O Gałczyńskim* (1959), *Pisarstwo Henryka Sienkiewicza* (1960), *O Brzozowskim i inne szkice* (1961).

Chciał też teraz, po XX Zjeździe KPZR i polskim Październiku 1956 roku, zebrać w książce swe przedwojenne artykuły publikowane w piśmie „Pod Prąd”. W słusznym przekonaniu, że w świetle wydarzeń politycznych połowy lat pięćdziesiątych okazały się one zarówno pionierskie, jak i niezwykle aktualne. A po oficjalnym przyznaniu się do popełnionych „błędów i wypaczeń” nie powinno już nic stanąć na przeszkodzie do ich opublikowania.

A jednak nie było zgody. Książka miała się ukazać w wydawnictwie „Książka i Wiedza”, którego profil odpowiadał takiej publikacji. O napisanie wewnętrznej

recenzji zwrócono się do Jakuba Bermana, „jego prześladowcy z poprzedniego etapu”<sup>8</sup>.

Zamierzał też Stawar wydawać pismo „Krytyka”. „Miało to być pismo marksistowskie, nieortodoksyjne, zajmujące się literaturą na tle epoki”<sup>9</sup>. Nie pozwolono mu na zrealizowanie tego zamiaru.

Do tzw. „rewizjonistów” z tamtego czasu Stawar nie dołączył. Ze zrewoltowanymi literatami, którzy w 1956 roku bardzo emocjonalnie zwracali się przeciwko temu, co sami do niedawna wspierali - nic go nie łączyło. Kilka razy jako prelegent wystąpił w Klubie Krzywego Koła.<sup>10</sup>

\* \* \*

W poczuciu niemożliwości wydania w kraju swej książki, do której przywiązywał dużą wagę, świadom poważnego stanu swego zdrowia, wyjechał do Francji. Aleksander Wat, który uważał Stawara za swego mistrza w marksizmie, przyznawał, że był pod jego dużym wpływem i że widział w nim jedyne go człowieka liczącego się intelektualnie, mądrzejszego od innych komunistów, w rozmowie z Czesławem Miłoszem utrzymuje, że Stawar, po powierzeniu swojej ostatniej książki Jerzemu Giedroycowi, zamierzał wrócić do Warszawy. A do decyzji wydania książki w Instytucie Literackim u Giedroycia popchnęły go polskie władze nie dopuszczając do druku przedwojennych artykułów pisarza.

Według Wata Stawar chciał wydać nigdy nie przypominane, a niezwykle aktualne artykuły nie dlatego, że widział w nich coś bardzo nowego, aczkolwiek były one pionierskie w odświeżaniu prawdziwego oblicza Stalina i stalinizmu wówczas, w latach trzydziestych. Potem jednak literatura sowietologiczna bardzo na świecie się rozwinęła, przyniosła wiele pozycji znacznie ważniejszych niż te z „Pod Prąd”. Niemniej trafiałyby w październikowe nastroje niezwykle celnie. Berman to rozumiał i dobrze wiedział, co robi nie dopuszczając tekstów Stawara do druku.

Zdaniem Wata Stawarowi chodziło o jeszcze coś innego, gdy decydował się wydać swe artykuły u Giedroycia. Nie chciał, by mu urzędowo pogrzb państwowy, ustawiono pomnik „jako temu, który właśnie <jest z nami>, <ten nasz>, <nasz wielki krytyk>. I tu straszna ironia losu, że Giedroyc chciał z tego zrobić sekret [...]. Te zwłoki przyszły, gdy o książce nikt nie wiedział, i rząd i partia urządziły mu pogrzb narodowy, z orkiestrą wojskową. A on nie chciał mieć pogrzebu narodowego z orkiestrą”<sup>11</sup>.

Andrzej Stawar po przyjeździe do Francji zwrócił się do Giedroycia w marcu 1961 roku proponując mu wydanie swych artykułów opublikowanych przed wojną w piśmie „Pod Prąd”, do których zamierzał dopisać obszernie wprowadzenie. Decyzję swą uzasadnił tym, że w kraju materiały te nie miały szansy doczekać się druku.

Giedroycowi, jak to wynika z wielu jego późniejszych poczynań, a także słów zawartych w listach do kilku adresatów, zjawienie się Stawara z taką pro-

<sup>4</sup> Zob. Jan Kott, *Przyczynek do biografii. Zawal serca*. Kraków 1995, s. 271.

<sup>5</sup> A. Wat, *Publicystyka*. Zebrał, opracował, postowiem oraz indeksem opatrzył Piotr Pietrych. Warszawa 2008, s. 602.

<sup>6</sup> „Twórczość” 1955, nr 6.

<sup>7</sup> „Nowe Drogi” 1956, nr 10, s. 61.

<sup>8</sup> Tadeusz Drewnowski, *Próba scalenia. Obiegi – wzorce – style*. Warszawa 1997, s. 34.

<sup>9</sup> Tamże, s. 161.

<sup>10</sup> Zob. Antonina Szebista, *Publicystyka sowietologiczna Andrzeja Stawara*. „Rocznik Naukowo-Dydaktyczny WSP w Krakowie. Prace Ekonomiczne-Spoleczne. VIII. Zeszyt 185, Kraków 1997.

<sup>11</sup> A. Wat, *Mój wiek... Jw.*, s. 69-70.

pozycją sprawiło pewną satysfakcję. Przede wszystkim dostrzegł w niej ważny i zawsze go interesujący fakt polityczny. Oczekiwał, że teksty, które mu Stawar przynosi, wywołają dyskusję wśród członków PZPR, a może nawet wpłyną na korzystną ewolucję partii.

Wcześniej Giedroyc nie znał Stawara. Niemniej od razu nim się zainteresował. W *Autobiografii na cztery ręce* zanotował: „Zapewne byłem bardziej wyrozumiały dla eks-komunistów niż dla takich ludzi jak Iwaszkiewicz, którzy komunistami nigdy nie byli, po prostu dlatego, że eks-komuniści byli znacznie ciekawszy. Weźmy [...] Stawara”.<sup>12</sup>

Toteż wyszedł naprzeciw jego oczekiwaniom, podał mu pomocną dłoń, udzielił schronienia w Maison-Laffitte i prowadził z nim długie rozmowy, na ile pozwalało na nie słabnące zdrowie Stawara.

Rozmowy nie dotyczyły aktualnych spraw politycznych, lecz trockizmu, wokół którego koncentrowały się zainteresowania Stawara i łączyły się ściśle z jego książką, którą przygotowywał do druku. Czuł się trockistą, za przyznawanie się do trockizmu znosił represje, powracał teraz do niego, gdy dopełniał aktualnym komentarzem swe dawne artykuły. Komentarz ten wszakże dowodzi, że do samego Trockiego nie odnosił się bezkrytycznie. Ale chciał – zresztą bezskutecznie – pozyskać Giedroycia dla trockizmu. Ten jednak pozostawał przy swoim, bardzo krytycznym stosunku wobec tej orientacji.

Widząc trudną sytuację materialną Stawara Giedroyc, jak wobec wielu swoich „podopiecznych”, podjął starania o pomoc dla niego. Myślał o uzyskaniu jakiegoś stypendium. Zwrócił się z tym do Sheparda Stone’a, wówczas dyrektora programów międzynarodowych Fundacji Forda. Wysyłał do niego alarmujące listy, które jednak pozostawały bez odpowiedzi. „Do Stone’a pisałem w sprawie Stawara dwukrotnie, ale słówkiem nie odpowiedział”.<sup>13</sup>

Do rozgłośni Radia Wolna Europa zwracać się nie chciał. Ze względu na własny krytyczny dystans do tej instytucji, nie najlepsze stosunki z Janem Nowakiem Jeziorańskim, a także – co najważniejsze – dlatego, że Stawar, który nie zamierzał „wybierać wolności”, mógłby mieć, po powrocie do kraju, dodatkowe komplikacje z powodu współpracy z amerykańską, wspieraną przez CIA instytucją. Co innego, gdy chodziło o kontakt z niezależną „Kulturą”.

Po pierwszym spotkaniu się z Giedroyciem Stawar udał się do Grenoble, gdzie korzystając z gościny państwa Vincentzów chciał poprawić swe zdrowie i dopisywać komentarz do swych artykułów. Stan zdrowia nie pozwalał na dłuższą pracę. Z zamierzonego obszernego wprowadzenia zdołał napisać tylko to, co zatytułował *Glossy* i zamieścił na końcu przygotowywanej książki. W liście do Giedroycia z 31 maja 1961 roku informował o warunkach, w jakich przychodzi mu pracować nad książką: „Niestety moje możliwości pracy w związku ze stanem zdrowia zmniejszyły się do minimum. Nie mogę np. pisać przy stole ew. biurku, bo dostaję silnych zaciskowych bóli i muszę przestać. Piszę więc w pozycji leżącej, wypośrodko-

wanej specjalnie – oczywiście rękopis wygląda raczej nieszczęśliwie”.<sup>14</sup>

Powrócił do Maisons-Laffitte 28 lipca 1961 roku w stanie krytycznym. Po paru dniach dostał napadu silnych bólów. Jerzy Stempowski, który go tam zastał, poznał chorobę nowotworową i przewiózł go do szpitala. „Już wstępne badanie wykazało obecność tumoru wątroby uwierającej na cienkie jelita”.<sup>15</sup> Koszty pobytu w szpitalu pokrywał Giedroyc (60 nowych franków dziennie).

Nie było możliwości przeprowadzenia operacji. Andrzej Stawar zmarł w szpitalu 5 sierpnia 1961 roku nie doczekawszy się wydania swych *Pism ostatnich*.

O napisanie wstępu do nich zwrócił się Giedroyc do Jerzego Stempowskiego, który w imieniu obydwóch – siebie i redaktora – zamieścił w nim zdanie: „Niezależność swego marksistowskiego sądu Stawar nie zamienił na udział we władzy. Wydając jego pisma chcielibyśmy dać świadectwo jego postawie moralnej i jego ocenie wolności”.<sup>16</sup> I dał wyraz takiej refleksji: „Niejednego mogłoby zdziwić, że najstarszy wiekiem i rangą krytyk literacki szkoły marksistowskiej – nie będąc ani odstępcą, ani rewizjonistą – musiał szukać wydawcy na emigracji”.<sup>17</sup>

Stempowski nie był zadowolony, że *Pisma ostatnie* ukazały się w serii „Dokumenty”. Uważał, że ich znaczenie przekracza wartość dokumentarną. A o swojej przedmowie napisał: „Wyszło krótko i sucho, bo przez cały czas myślałem raczej o tym, czego nie należy pisać”.

Dokładną informację o stanie zdrowia Stawara i rozwoju jego choroby od kwietnia 1961 roku oraz o ostatnich chwilach jego życia przekazał w liście do Marii Dąbrowskiej z 4 sierpnia i 25 września 1961 roku; w przeświadczeniu, że pełną relacją bezpośredniego i miarodajnego świadka może być zainteresowany Związek Literatów Polskich.<sup>17a</sup>

Giedroyc spieszył się z publikacją książki Stawara trzymając swój zamiar w wielkiej tajemnicy. Chciał, by polskie władze nie dowiedziały się o ostatniej decyzji Stawara przed jego pogrzebem w Warszawie. A także, by jak największa ilość egzemplarzy dotarła do kraju „nim podniesie się szum” spowodowany wiadomością o przedśmiertnej woli Stawara i ukazaniem się jego *Pism ostatnich*.<sup>18</sup>

I książki docierały. W liście do Stempowskiego Giedroyc pisał: „Mam trzy wypadki wyraźnego współnictwa celników wobec moich znajomych, którzy wieźli dość nieprzychylną ilość moich wydawnictw”.<sup>19</sup>

O pogrzebie Stawara Warszawie donosił Giedroyc Bohdanowi Osadczukowi: „Stawar należał do <wielkiej siódemki> intelektualistów KPP, z których czterech zostało zlikwidowanych przez Stalina (Hempel, Jasieński, Wandurski, Stände), a dwóch żyje: Broniewski w kraju i Aleksander Wat. Konspirację udało mi się utrzymać tak, że partia (jak Pan to wiedział zapewne z prasy) pochowała go z honorami wojskowymi na cmentarzu

<sup>14</sup> Fotokopia listu załączona do *Pism ostatnich Andrzeja Stawara... jw.*

<sup>15</sup> *Pisma ostatnie Andrzeja Stawara... jw.*, s. 11.

<sup>16</sup> Tamże, s. 10.

<sup>17</sup> Tamże, s. 9.

<sup>17a</sup> Maria Dąbrowska, Jerzy Stempowski, *Listy*. Tom III 1959-1965, Warszawa 2010, s. 166, 168, 185.

<sup>18</sup> Zob. Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946-1969. Część druga*. Warszawa 1998, s. 174.

<sup>19</sup> Tamże.

<sup>12</sup> Jerzy Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*. Opracował i posłowiem opatrzył Krzysztof Pomian. Warszawa 19994, s. 194.

<sup>13</sup> Jerzy Giedroyc, Konstanty A. Jeleński, *Listy 1950-1987*. Wybrał, opracował i wstępem opatrzył Wojciech Karpiński. Warszawa 1995, s. 334.

zasłużonych i było masę artykułów zarówno w <Nowej Kulturze>, jak w <Przeglądzie Kulturalnym>. Nawet ta kanalia Grzegorz Lasota się zaangażował. Książkę wysłałem już 5 dni temu do kraju i dziś ją <ujawniam> na Zachodzie<sup>20</sup>

Obszerne wspomnienie o Stawarze i serdeczne słowa od redakcji o wielkim przyjacielu, wspaniałym człowieku, najwybitniejszym krytyku markszystowskim, wielkim moralnym i politycznym autorytecie zamieściła „Nowa Kultura” (nr 33, z portretem). Nekrologi zamieściły: „Polityka” (nr 32), „Przegląd Kulturalny” (nr 32), „Współczesność” (nr 16), „Życie Literackie” (nr 33), „Dialog” (nr 8). „Trybuna Ludu” przedrukowała wspomnienie z „Nowej Kultury” dołączając pożegnalne słowa ministra kultury i sztuki (nr 221), „Życie Warszawy” zamieściło nekrolog podpisany przez Związek Literatów Polskich (nr 186) i Oddział Warszawski ZLP (nr 190). Informacje o śmierci Stawara i pożegnalne słowa pojawiły się w wielu dziennikach.

Nad trumną w Kwaterze Zasłużonych na Powązkach przemawiał Jerzy Putrament. Mówił o „towarzyszu Stawarze”, markszystowskim pisarzu i działaczu, wiernym partii do końca swego życia. Jan Kott wspominał te obrzędy: „Cały ten pogrzeb miał coś z koszmarnego snu, z którego długo nie można się dobudzić”.<sup>21</sup>

Ukazaniu się książki Stawara i przedostaniu się jej do kraju nadawał Giedroyc bardzo duże znaczenie, o czym świadczą jego słowa do jednego z najwybitniejszych sowietologów, Borysa Łewyckiego, piszącego pod pseudonimem Paul Sikora: „W poniedziałek wysłałem Panu naszą nową książkę, która jest chyba bombą w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Mam wrażenie, że niezależnie od sensacji jest to książka, która wywrze wielki wpływ na młodzież rewizjonistyczną w Polsce, ale przede wszystkim [na] samą partię. Kto wie, czy nie będzie Pan widział możliwości nie tylko jej omówienia w prasie, ale również wydania w Niemczech.”<sup>22</sup>

Z dużym zainteresowaniem przyjął *Pisma ostatnie* Czesław Miłosz. W liście z 23 września 1961 roku pisał do Giedroycia: „Czytam teraz *Ostatnie pisma* [...]. Byłem zupełnie zaszokowany, dostawszy tę książkę, bo to surrealizm: tam grzebią go ze sztandarami czerwonymi i internacjonalem, a w tym samym momencie... *Glossy* są zupełnie niezwykle i ich niezwykłość jest jeszcze podkreślona przez styl. Wąt powiada, że styl ciężki, choć taki lubi, ja myślę, że dobry styl i właśnie jego całkowita bezosobistość, detachment, że ani muskuł nie drgnie w twarz autora, nadaje tym *Glossom* niezwykle charakter, bo to jest mówienie ze wszystkimi kropkami nad <i>. B[ardzo] duża wartość tej analizy. Ale skondensowana – te *Glossy* rozwinięte w całą książkę byłyby jednym z najważniejszych wydarzeń w tym zakresie [...]. Sensacja zresztą musi być ogromna w Polsce.”<sup>23</sup>

<sup>20</sup> Jerzy Giedroyc, *Emigracja ukraińska, Listy 1950-1982*. Wybrała, wstępem i przypisami opatrzyła Bogumiła Berdyczowska. Listy autorów ukraińskich przełożyła Ola Hnatiuk. Warszawa 2004, s. 280. List z 18 września 1961 roku.

<sup>21</sup> *Przyczynek do autobiografii...* jw., s. 272.

<sup>22</sup> Jerzy Giedroyc, *Emigracja ukraińska, Listy...* jw., s. 400. Borys Łewycki poświęcił Stawarzowi artykuł *Drugi pogrzeb Stawara* („Kultura” 1961, nr 12). Zob. też: Bogumiła Berdyczowska, *Od nacjonalisty do lewicowca (Przypadek Borysa Łewyckiego)*. „Zeszyty Historyczne” 2003, nr 145.

<sup>23</sup> Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz, *Listy 1952-1963*. Opracował i wstępem opatrzył Marek Kornat. Warszawa 2008, s. 515.

Ukazanie się książki Stawara wywołało wielkie poruszenie w Warszawie. Giedroyc otrzymywał odpowiednie sygnały z kraju i był dobrze poinformowany dzięki osobom, które o wszystkim, co książki dotyczyło, mu donosiły. Swymi wiadomościami dzielił się z Jerzym Stempowskim: „Istnieje w kraju <straszliva irytacja> na nas, jeśli nie więcej. Książka Stawara bowiem spowodowała nie tylko niezwykle ferment w Polsce, ale również i w Związku Sowieckim. Informował nas o tym <New York Times>, który miał w tej sprawie depesze od swego korespondenta. Mam również informacje o poruszeniu i w tutejszej ambasadzie sowieckiej, jak i warszawskiej [...]. Sytuację można określić w ten sposób: wściekłość Gomułki, poruszenie i ferment ideologiczny w partii, gdzie narastają sympatie do nas, presja Moskwy i cały aparat (który podlega Witaszewskiemu) jest contra nam!”<sup>24</sup>

Konsternacja wywołana książką Stawara w Warszawie była tym większa i tym bardziej kłopotliwa, że zbiegło się to w czasie z XXII Kongresem KPZR, na którym Chruszczow już dokładnie i nie tylko na zamkniętym posiedzeniu (jak to było na XX Zjeździe KPZR) opowiadał dużo i wprost o zbrodniach Stalina.

Książka Stawara wywołała duże poruszenie również w Moskwie, a więc też w radzieckiej ambasadzie w Warszawie. W liście do Miłosza Giedroyc pisał, że ambasador radziecki Abrasimow i radca kulturalny ambasady Owczarow „mówią, że Związek traci zaufanie do polskiej partii i nawet robią aluzje, że już w 37-ym roku musiał polską partię rozwiązać.”<sup>25</sup>

Władze polskie wszczęły dochodzenie dla ustalenia, jak teksty Stawara dostały się do „Kultury”. Ambasada polska w Paryżu zamierzała wystąpić do władz francuskich z notą oskarżającą Giedroycia o bezprawne przywłaszczenie sobie papierów Andrzeja Stawara. Ukazanie się książki z fotokopią listu Stawara do Giedroycia z 31 maja 1961 roku wszystko wyjaśniało i spowodowało przerwanie dalszych dochodzeń. „Bardzo żałuję, że nie opóźniłem książki o parę dni. Byłaby zabawa” - pisał Giedroyc do Bohdana Osadcuka.<sup>26</sup>

*Pisma ostatnie* Stawara spotkały się też z dużym zainteresowaniem w innych krajach. Giedroyc odbierał „niekończące się telefony” z „New York Timesa”, wychodzący w Nowym Jorku prestiżowy miesięcznik „New Politics. A Journal of Socialist Thought” zamieścił fragmenty książki. „Time Magazine” z 27 X 1961 roku opublikował artykuł zatytułowany *Still Caesarianism* poświęcony Stawarowi zestawianemu z Milovanem Džilasem

Giedroyc zabiegał o przekłady książki. W 1962 roku ukazało się tłumaczenie francuskie *Libres essais marxistes*. Szczególnie zależało mu na wydaniu w języku rosyjskim. Pisał do Osadcuka: „Książka jest wielka i wybitna. Chciałbym ją wydać po rosyjsku. Myślę również, że warto by ją wydać po niemiecku, by rzucić ją na Niemcy Wschodnie.”<sup>27</sup> Liczył tu na pomoc Osadcuka mieszkającego w Berlinie Zachodnim. Do Miłosza pisał: „Marzę o wydaniu Stawara po rosyjsku”.<sup>28</sup>

Z tym jednak nie było tak łatwo, jakby się można było spodziewać. Zamiar wydania Stawara po rosyjsku

<sup>24</sup> Tamże, s. 199.

<sup>25</sup> Jerzy Giedroyc, *Czesław Miłosz, Listy...* jw., s. 529.

<sup>26</sup> Jerzy Giedroyc, *Emigracja ukraińska, Listy...* jw., s. 284.

<sup>27</sup> Tamże, s. 281.

<sup>28</sup> Jerzy Giedroyc, *Czesław Miłosz, Listy...* jw., s. 567.

„doprowadził Moskwę do furii”, a w Warszawie nasiliły się ataki na „Kulturę” - nie bez nacisków Moskwy.<sup>29</sup>

Przeszkody – zupełnie nieoczekiwane – pojawiły się też z innej strony: ze Stanów Zjednoczonych: „Najzabawniejsze, że pomysł wydania Stawara po rosyjsku jest przyjęty prawie wrogo przez Amerykanów. Wszystkie Kongresy, F[ree] E[urop], Fordy etc. Nie tylko nie chcą pomóc, ale robią różne <przyjacielskie> naciski, bym z tego zrezygnował. Czasami zastanawiam się, czy nie mylę Waszyngtonu z Moskwą”.<sup>30</sup>

Wprawdzie z pewnym opóźnieniem, ale doszło do wydania rosyjskiego w Stanach Zjednoczonych: Андрей Ставар, *Избранные статьи о марксизме*. Maryland 1964. (*Ostatnie pisma* Stawara ukazały się też w języku hiszpańskim, tłumaczone z francuskiego: *Libres ensayos marxistes*. Mexico 1977).

A w Polsce znowu – tym razem pośmiertnie – zmuszono Stawara do milczenia. „Stawar wycofany z bibliotek w Polsce, z zakazem wspominania o nim” – pisał Giedroyc do Miłosza.<sup>31</sup>

(Co do tych bibliotek – pewności nie mam, ale że nie można było wówczas pisać o Stawarze – mogę potwierdzić słowa Giedroycia powołując się na własne doświadczenie. W maju 1961 roku w Czytelniku ukazała się książka Stawara *O Brzozowskim i inne szklice*. Redakcja „Ruchu Literackiego” zwróciła się do mnie o jej zrecenzowanie. Tekst napisałem, przekazałem redakcji. Nim zdążył się ukazać, dowiedziano się o decyzji Stawara. W ostatniej chwili cenzura go „zdjęła” recenzję.

Egzemplarze *Pism ostatnich* Stawara, które dotarły do kraju, trafiły w klimat popaździernikowego ożywienia i okazywały się niezwykle aktualne. Rację miał Tadeusz Drewnowski: *Pisma ostatnie* Stawara, wydane w Paryżu w 1961 r., okazały się bombą z szybkim zapłonem”.<sup>32</sup>

\* \* \*

W polskich dyskusjach połowy lat pięćdziesiątych szybko przestało zadawać wyjaśnianie „błędów i wypaczeń” odwoływaniem się do „kultu jednostki”. Domagano się pełnych wyjaśnień, wyczerpującej informacji, analizy przyczyn i źródeł zła oraz wskazania instytucji i osób za nie odpowiedzialnych.

Wprawdzie Andrzej Stawar w 1956 roku nie przystał do „październikowców”, do tzw. „rewizjonistów”, niemniej jego analizy zawarte w *Pismach ostatnich* wychodziły naprzeciw trwającemu w Polsce ożywionym dyskusjom. Jego socjologiczno-historyczne rozważania trafiały do przekonania generacji Października '56. Uwagi o radzieckiej biurokracji wspierały krytykę ówczesnej klasy politycznej w Polsce i dodawały siły w stawianiu oporu przeciw odchodzeniu od Października.

W szkicu *O bonapartyzmie i faszyzmie* podejmował Stawar analizę socjologiczno-historyczną (zaznaczając, że nie polityczną) procesu tworzenia się w Europie XX wieku reżymów reakcyjnych typu dyktatorskiego. Porównując Niemcy, Włochy i Rosję prześledził przechodzenie od „bonapartyzmu” do faszyzmu (tu wtrącił

polemikę z Trockim utrzymując, że nie można wszystkich rządów „bonapartystowskich” traktować jako przejście do faszyzmu).

W lewicowej publicystyce lat międzywojennych, inspirowanej przez Komunistyczną Partię Polski, dochodziło - tak w Polsce, jak i w Związku Radzieckim, skąd płynęły te wzory - do uproszczonego nadawania wszystkiemu, co nie odpowiadało ideologii komunistycznej uniwersalnej etykiety faszyzmu. W ten sposób – uważał Stawar – faszyzacja terminologiczna poprzedza faszyzację realną społeczeństwa burżuazyjnego. „Przy takim szerokim traktowaniu zaciera się specyfika zjawiska zwanego faszyzmem, sam termin staje się szerokim a pustym ogólnikiem, zatracając swoje właściwe znaczenie”<sup>33</sup> Protestował więc przeciw nazywaniu socjaldemokratów socjalfaszystami, a ludowców ludofaszystami.

Zwracał przy tym uwagę na emocjonalne nasyconie słowa „faszyzm”, co oddziałuje na masy, ale jest nadużyciem, jeśli tego terminu używa się zbyt szeroko. „Niechlujstwo teoretyczne łączy się z naiwną wiarą w zabijającą potęgę terminologii”.<sup>34</sup>

Terminologiczne refleksje Stawara odnosiły się bezpośrednio do publicystyki uprawianej przez jego współtowarzyszy. *Czarne skrzydła* Juliusza Kadana-Bandrowskiego Jan Hempel nazwał „polską powieścią faszystowską” a przeglądowym artykułom o polskiej literaturze współczesnej dał tytuły: *Polska powieść w okresie dyktatury faszystowskiej* oraz *Польская литература и фашизм*<sup>35</sup> Stanisław Ryszard Stander recenzję *Czarnych skrzydeł* zatytułował *Фашистская пропаганда*<sup>36</sup> a Bruno Jasieński artykuł o polskiej literaturze współczesnej – *Фашизм в современной польской литературе*.<sup>37</sup>

Stawar wprowadzał opozycję między monopolem władzy a monopolem politycznym. Pierwszy polegał na dobieraniu do rządzenia państwem kadry z pewnej grupy społecznej albo stronnictwa politycznego. I dobór ten podlegał kontroli. To jest bonapartyzm. W drugim z nich wszelka działalność polityczna jest niemożliwa poza kliką czy partią. Nie istnieje kontrola władzy. To jest faszyzm, któremu realizację pełnego monopolu politycznego zapewnia masowa baza społeczna.

Kluczowym rozdziałem, który szczególnie trafiał w centrum zainteresowań polskich „październikowców” był rozdział *O biurokracji sowieckiej*. Biurokrację definiował jako warstwę zawodowo zajmującą się rządzeniem, oddzieloną od klasy robotniczej, nie rozumiejącą i nie czującą jej problemów i potrzeb. Znajdował ją w ZSRR jako „wysobnioną warstwę kierowniczą” powodującą zniekształcenia robotniczego państwa. Wyobcowany aparat rządzący zaczął przejawiać tendencje uzurpatorską; nastąpiło likwidowanie innych partii politycznych, umacnianie pozycji biurokracji. Jednomyślność dobrowolna stawała się jednomyślnością wymuszoną. Kontrola polityczna sięgnęła pojedynczego robotnika. Wszelkiego rodzaju oświadczenia lojalności pod adresem centralnych władz składane są z nieodłącznym dodatkiem „ze Stalinem na czele”. Dzienni-

<sup>29</sup> *Pisma ostatnie...*Jw., s. 17.

<sup>34</sup> Tamże, s. 18.

<sup>35</sup> Zob. „Kultura Mas”, Moskwa, 1929, nr 1-2 i 2-3 oraz „Интернациональная Литература”, Moskwa 1036, nr 1.

<sup>36</sup> „Литература Мировой Революции” Moskwa, 1932, nr 1.

<sup>37</sup> „Вестник Иностранной Литературы”. Moskwa 1929, nr 6.

<sup>29</sup> Tamże, s. 599

<sup>30</sup> Tamże, s. 593.

<sup>31</sup> Tamże, s. 660. List z 12 X 1962.

<sup>32</sup> T. Drewnowski, *Próba scalenia...*Jw., s. 342.

karz, którego stopień przydatności ocenia się według gorliwości i sposobu cytowania wypowiedzi wodza, nie ośmieli się napisać artykułu na jakikolwiek temat bez wymieniania nazwiska Stalina z dodatkiem przypisanego mu komplementów. Zjawisko sięga karykatury, gdy do przepisowych hołdów dołączają się specjaliści - lekarze, technicy, wojskowi, pisarze. Zanika prawdziwa literatura, górę bierze bezwzględna apologia biurokracji. „Deklaracyjna lojalność rozszerzyła się do granic niesłychanych, wystąpiła swoista licytacja w hołdowniczych uniesieniach – zręczniejsze, bardziej wyszukane pochlebstwo stwarza czasem całe kariery”.<sup>38</sup> Celebrowanie wodza pochłania miliony wydawane na malarstwo, posągi, studiowanie okruczeństwa wodza. Do absurdalnych rozmiarów zostaje posunięty centralizm. Następuje kolosalny wzrost liczby funkcjonariuszy. Powstają konflikty między nimi. Oficjalni ideologowie przeczą istnieniu jakichkolwiek różnic między klasą robotniczą a aparatem władzy. „Ekspansja biurokratyczna w pewnej fazie przybiera charakter wręcz niszczycielski”.<sup>39</sup>

Dochodzi do szczególnie brutalnych metod monarchicznego propagowania wodza. Podburza się masy przeciwko całym odłomom aparatu partyjnego i państwowego, przekonuje się obywatela, że wszystko, co dobre, jest zasługą wodza, a wszelkie błędy i niepowodzenia przypisuje się nieudolnym lub kierującym się złą wolą wykonawcom. Demagogia taka skutkuje, odpowiada instyktom zacofanych politycznie grup ludności, wśród której rozbudowuje się system terroru politycznego i sieci donosicielstwa.

Sowiecka biurokracja o marksistowskim rodowdzie ideowym nie może się wyrzec marksizmu, ale teoria marksistowska jest dla niej nieustannym zagrożeniem. Stąd bierze się konieczność stałego „uzgadniania” realizowanej praktyki ze „źródłami marksizmu”. A wykładana przez oficjalnych filozofów teoria marksizmu opiera się na uchwałach podejmowanych przez plena Komitetu Centralnego partii, na okólnikach sekretarzy, urzędowych rozporządzeniach. Racją bytu pracy teoretycznej staje się usprawiedliwianie praktyki. Autentyczny marksizm zostaje zastąpiony administracyjnym pragmatyzmem, który operuje marksowską terminologią społeczną. Historycy naginają fakty na użytek biurokracji, dopuszczając się nawet zmieniania dokumentów. „Oczywiście o socjalizmie w sensie marksowskim nie ma tu mowy”.<sup>40</sup>

Interesom biurokracji zostaje też podporządkowana twórczość literacka. Zamieszczony w *Pismach ostatnich* artykuł *Literatura rosyjska na przełomie*, opublikowany został w latach trzydziestych na łamach „Wiadomości Literackich”. Odnotowywał wówczas Stawar zjawiska świadczące o procesie – jak to określał – „biurokratyzacji krytyki literackiej”. Ludzie mało ceniący, a służący biurokracji czyli aparatowi rządzenia, odmawiali wartości artystycznych Borysowi Pilniakowi, Ilji Erenburgowi, a nawet „pomiatali Majakowskim”, który położył wielkie zasługi dla rewolucji rosyjskiej. Temu towarzyszyła samodegradacja poetów-panegirystów: Sulejmana Stalskiego, Demiana Biednego, Aleksandra Bezymieńskiego. Odcinano się od kultury i literatury zagranicznej – inaczej niż to było w pierwszych latach

po rewolucji. Biurokratyzacja literatury doprowadziła do jej ujednoczenia, unifikacji, aż do wprowadzenia jako obowiązującego realizmu socjalistycznego. Wówczas zasada kierowania literaturą środkami administracyjnymi zapanowała całkowicie. Zdarzało się, ale rzadko, że jakiś pisarz im nie ulegał. To przypadek Borysa Pasternaka.

Bliższą uwagę zatrzymał Stawar na twórczości Aleksego Tołstoja, zwłaszcza na jego powieści *Piotr I*. Widział w nim reprezentanta tych kręgów rosyjskiej inteligencji, która nie miała za sobą tradycji radykalnych, socjalistycznych i teraz, w dobie zamierającej rewolucji i zarysowywania się stabilizacji radzieckiej biurokracji, znajdowała miejsce dla siebie. Stając się pewniejszymi rzecznikami panującego reżymu.

„Byłoby uproszczeniem owe potoki lokajstwa spływającego dzień w dzień na osobę Stalina przypisywać manii wielkości połączonej z brakiem gustu generalnego sekretarza. I tu i tam mamy do czynienia nie tyle z indywidualnymi właściwościami ludzi, ile z osobliwościami cesarystycznego kierunku”.<sup>41</sup>

W dopisywanych we Francji *Glossach* Stawar pogłębiał i potwierdzał swoje socjologiczno-historyczne diagnozy stawiane systemowi utrwalonemu w Związku Radzieckim. Do przełomowego charakteru XX Zjazdu KPZR odnosił się sceptycznie:

„W zasadzie urobiona i utrwalona za Stalina koncepcja pozostała nienaruszona. XX Zjazd przyniósł bardzo gwałtowną krytykę personalną – obalenie kultu jednostki, ale krytykę formalnie ograniczoną. Nie poruszył zasady cesaryzmu, przeciwnie na wszelkie tego rodzaju próby odpowiedziano w sposób niedwuznacznie wrogi”.<sup>42</sup> A biurokracja „po dziś pozostała ostoją konserwatyzmu i zacofania w pracy aparatu państwowego”.<sup>43</sup>

\* \* \*

*Pisma ostatnie* Andrzeja Stawara – dokument niezależnej myśli lewicowej, zawierający teksty z lat trzydziestych XX wieku, trafiły do rąk polskiego czytelnika po długim okresie ich przemilczania. Trafiły w szczególności w momencie, na progę lat sześćdziesiątych. Okazały się niezwykle aktualne. Nie dotarły wprawdzie do szerszych kręgów odbiorców, ale walczyły o obrońców idei Października 1956 w czasie, gdy partia od nich odchodziła. Ślady ich inspiracji znajdujemy w *Liście otwartym do członków PZPR* Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego z 1964 roku.

Na tym nie kończy się znaczenie *Pism ostatnich*. Trzeba zgodzić się z refleksją Tadeusza Drewnowskiego sprzed lat kilkunastu, bo nie straciła ona aktualności: „Mimo że *Pisma ostatnie* wyszły ponad trzydzieści lat temu, pozostają wciąż najgłębszą i najciekawszą analizą genezy i zwyrodnienia stalinizmu, relacji faszyzm – bolszewizm itd. Niestety ani wydawnictwa socjaldemokratyczne, ani inne nie pokwapiły się ze wznowieniem esejów Stawara”.<sup>44</sup> Może znajdzie się ktoś, kto tę smętną refleksję odbierze jako postulat i podejmie się jego realizacji.

## MARIAN STĘPIEŃ

<sup>38</sup> *Pisma ostatnie...Jw.*, s. 7.

<sup>39</sup> Tamże, s. 75.

<sup>40</sup> Tamże, s. 56-57.

<sup>41</sup> Tamże, s. 148.

<sup>42</sup> Tamże, s. 269.

<sup>43</sup> Tamże, s. 222.

<sup>44</sup> T. Drewnowski, *Próba scalenia...Jw.*, s. 343.

JACEK WOJCIECHOWSKI

# AKTUALIA

## ROSYJSKIEJ PROZY

### W POLSCE (1)

Przez dłuższy czas najnowszej literatury rosyjskiej na polskim rynku wydawniczym nie było prawie w ogóle. Na rusofobiczne tendencje nałożyły się nieprawdziwe, ale uparcie powtarzane opinie, że w Polsce książki czyta już mało kto. W rezultacie wydawcy woleli zapewne nie ryzykować.

Tymczasem na świecie nowa oraz odkrywana na nowo rosyjska proza cieszy się uznaniem i dużym wzięciem. Zachód zawsze był Rosją na swój sposób zafascynowany (powiedzmy: bardziej niż my), ale wobec piśmiennictwa ten entuzjazm jest uzasadniony. Mimo bowiem, że w samej Rosji czytelnictwo przeżywa dostrzegalny regres, to jednak ciekawych osobowości autorskich akurat tam nie brakuje.

W końcu i u nas przełamano edyorską inercję. Ostatnio interesujących przekładów prozatorskich stamtąd pojawiło się sporo i dobrze je podobierano.

#### DAWNO I MNIEJ DAWNO

Władimir Zazubrin: *Drzazga. Opowieść o Niej i o Niej*. Przekład i posłowie Henryk Chłystowski. Warszawa: PIW, 2008, s. 140

Lidia Czukowska: *Zejście pod wodę*. Przekład i posłowie Henryk Chłystowski. Warszawa: PIW, 2010, s. 174

Rewolucja bolszewicka rzeczywiście „ruszyła z posad bryłę świata”, jednak zamiast dobra przyniosła zło, a jej tragiczne skutki są odczuwalne do dziś. Nic zatem dziwnego, że była od początku przedmiotem refleksji literackiej – i emocjonalnej, i intelektualnej, czasem w tonacji apologii, czasem ekskomuniki.

Z biegiem lat odniesienia generowały się nie tyle z samych rewolucyjnych wydarzeń, co z późniejszych następstw, szczególnie dramatycznych dla samych Rosjan. Tekstów literackich, traktujących wojnę domową oraz rzeczywistość postrewolucyjną jako apokaliptyczne nieszczęście – ale nie będących bezpośrednią publicystyką – w samej Rosji powstało jednak niedużo. W dodatku większość, z przyczyn oczywistych, musiała dzie-

siątki lat czekać na opublikowanie (a ile nie doczekało?) i dopiero ostatnio ukazują się drukiem w Rosji oraz poza nią. Inaczej odbierane dziś niż mogłoby to być pół wieku temu, ale może dlatego niebywale ekspresyjne. A są i takie, które szokują.

Aż 65 lat czekała w Rosji na druk powieść **Władimira ZAZUBRINA** (właśc. Zubcowa: 1895-1937) **DRZAZGA**. Jest tak wstrząsająca, że nie da się jej czytać bez skrajnych emocji. Mimo świadomości, że to nie jest dokument, lecz tekst fabularny, odpowiednio sfikcjonalizowany. Mistrzostwo pisarskie i niesamowity kontrast pomiędzy beznamiętną narracją a rodzajem przedstawionych zdarzeń sprawiają bowiem, że zachowanie spokoju przy lekturze jest po prostu niemożliwe.

Na pozór mówi się tam o funkcjonowaniu urzędu i o jego kierowniku – urzędniku perfekcyjnym. Tyle, że jest to urząd Czeka, więc katownia, mordownia i fabryka śmierci, ale opisana według standardów zarządzania i prakseologii: planowanie, realizacja, kontrola. Szef i jego czekici przychodzą do pracy, wykonują swoje powinności możliwie solidnie, a kiedy nastaje fajerant, niektórzy idą do domu, drudzy zaś pracują ponadwymiarowo.

Ta praca to aresztowania oraz zabijanie ludzi. Jednych w piwnicy urzędu, innych za miastem, jeśli jest ich więcej. Te same ciężarówki raz wywożą zwłoki, a innym razem wiozą jeszcze żywych więźniów, bo przeznaczenie jest identyczne, tylko etap wykonawstwa odmienny.

Urząd to typowy twór biurokratyczny. Żądający czegoś od każdego, nieczuły na ludzkie emocje, nastawiony na wykonywanie zadania głównego. Ludzie sypią innych ze strachu albo dla pieniędzy, potem ustawiają się w kolejce do rozstrzelania, a w chwili ostatniej zachowania są różne: błagalne lub pogardliwe – ale to nie ma znaczenia, bo fabryczna maszynieria funkcjonuje beznamiętnie, a świadkami są tylko piwniczne ściany.

Urzednicy robią swoje z poczuciem misji, dla ojczyzny, ale poza szefem to ludzie prymitywni, czasem

urodzeni sadyści. Wszyscy ewentualne emocje topią w alkoholu. Szef zaś uważa się za asenizatora rewolucji: na ludzkiej krwi buduje szczęście następnych pokoleń i tak usprawiedliwia swój proceder oprawcy. Ale usprawiedliwienia nie ma. Kolejno odchodzą od niego najbliżsi, ojca zabija kolega z pracy, potem zaś zabierze się i za niego, bo system jest bezwzględny: prędzej czy później zniszczy każdego. I nawet jeżeli uda się ująć z życiem, to jest to już odtąd życie pozorne.

Trudno uwierzyć, że ta powieść została napisana w 1923 roku. Bo jest to opowieść o syndykacie zbrodni, który wypełnia całą rzeczywistość. Wymyślony oraz wygenerowany przez ludzi, miele równo pomysłodawców oraz ich ofiary i na ucieczkę nie ma żadnych szans.

Zazubrin był w pierw porucznikiem u Kołczaka, potem przystał do Czerwonych, a w końcu osiadł w Nowosybirsku, redagując tamtejszą mutację *Krasnej Zwiezdy*. Jego powieść *Dwa światy*, wydana kilkanaście razy, zrobiła furorę, wychwalał ją Lenin, ale potem było coraz gorzej, mimo że Zazubrin założył Syberyjski Związek Pisarzy, któremu przez jakiś czas przewodniczył. Atakowano go ostro, toteż korzystając z pomocy Gorkiego wyjechał do Moskwy i nawet wydał tam kolejną powieść, jednak na spotkaniu ze Stalinem popełnił dramatyczny błąd: wypowiedział się na temat „zwyczajnego” wyglądu wodza. Ten miał zaś obsesję na punkcie swego nikczemnego wzrostu i kiepskiej prezencji (rudawy, dziobaty, z niedowładem ręki) i nigdy o urazach nie zapominał. Wkrótce Zazubrina aresztowano i rozstrzelano w Lefortowie – w więziennej piwnicy. To pewnie przypadek (nie wszyscy tak myśleli), ale dając po nim przejął Aleksander Fadijew.

Ofiarą tych fabryk śmierci, i w ogóle zbrodniczego systemu, stał się cały naród i tak też to widzi **Lidia CZUKOWSKA** (1907-96) w pięknej, nastrojowej powieści **ZEJŚCIE POD WODE** – napisanej po mistrzowsku, również bez cienia egzaltacji, dlatego szczególnie poruszającej. Autorka, córka Kornieja Czukowskiego, sama była ofiarą: zesłano ją do łagru, kiedy miała 19 lat. Potem zaś aresztowany i rozstrzelany został jej drugi mąż. Mimo to, wraz z ojcem, występowała w obronie prześladowanych pisarzy i współorganizowała pomoc. To jedna z tych wspaniałych rosyjskich autorek, których reżym nigdy nie zdołał złamać.

Tę powieść pisała przez osiem lat, z przerwami, a potem minęło jeszcze lat piętnaście, zanim w 1972 roku opublikowano ją w Paryżu. W Rosji ukazała się dopiero w 1998 roku.

To jest taki niby dziennik tłumaczkowski, pisany podczas kilkunastodniowego pobytu w sanatorium, względnie luksusowym, oddalonym od głównych wydarzeń i od polityki. Okazja więc, żeby oderwać się od koszmarnego codziennego, prześladowań, a nawet od wspomnień o aresztowanym i zamordowanym mężu. Kuracjusze tworzą towarzystwo znośne, jest wśród nich były więzień łagru czyli bratnia dusza, zatem wydaje się że to autentyczny azyl, w którym można dojść do siebie. Ale to nieprawda.

Sanatorium może i jest eleganckie, lecz w pobliskiej wsi ludzie żyją jak czarwie, dodatkowo zastraszeni przez praktykę powtórnictwa: powtórnego zesłania do łagru za to, że byli zesłani uprzednio. Inne echa polityki docierają tu również w postaci zdegenerowanego anty-

semityzmu oraz nieoczekiwanych aresztowań. Strach jest wszechobecny. A stopień zniewolenia jest zaś tak intensywny, że nawet były łagrowy zesłaniec pisze lizusowskie, wiernopoddańcze opowiadanie, wystawiające reżym. Tak więc żaden azyl nie istnieje: przed prześladowczym systemem nie ma ucieczki.

Zresztą świadomość nigdy tak naprawdę nie uwalnia się od wspomnień. O katorżniczych warunkach więziennych, o zabójczych transportach do łagrów, gdzie ludzie umierali stojąc, już po drodze. I o nieszczęsnej egzystencji rodzin osób aresztowanych – bez szans na wiadomość o losach najbliższych. Jest taka drastyczna scena: w długiej kolejce do więziennej kancelarii stoi kobieta z dzieckiem na ręku, już martwym, ale nie odchodzi, żeby nie stracić swojego miejsca.

O tym wszystkim pisze Czukowska spokojnie, beznamyślnie i poniekąd „szepem”, ale nie ma żadnych złudzeń wobec systemu i nazywa rzeczy po imieniu. Otóż to są efekty brutalnej walki władzy ze swoim narodem i rezultaty psychicznej gangreny, która bez reszty opanowała i zniewoliła umysł. To jest ostrzeżenie. Wszak nie tylko w Rosji wygenerował się represyjny system państwowy – a jest możliwy zawsze i wszędzie – który przekształcił naród w bezwolny tłum.

Żeby się nie poddać, trzeba niezwyklej odwagi, hartu ducha i wielkiego serca. Na całe szczęście, tacy ludzie też zawsze byli, są i zapewne będą.

#### ECHA WIELKIEJ WOJNY

Aleksander Solżenicyn: *Kochaj rewolucję! Niedokończona powieść*. Przeł. Ewa Skórka-Filip. Warszawa: Prószyński i Ska, 2009, s. 176  
Wasilij Grossman: *Życie i los*. Przeł. Jerzy Czech. Przedmowa Adam Pomorski. Warszawa: Wydawnictwo WAB, 2009, s. 879

Druga wojna światowa wygenerowała w Rosji niezliczoną ilość tekstów literackich, powiązanych z tą wojną tematycznie – znakomitych, przeciętnych oraz beznadziejnych, opisywackich, refleksyjnych lub w pełni metaforycznych. Było to bowiem bezprecedensowe doświadczenie we wszystkich możliwych wymiarach. Dominowała tonacja monumentalna, heroiczna oraz perspektywa panoramiczna, chociaż zdarzały się też ujęcia kameralne, intymne i pogłębione (białoruski prozaik Wasil Bykau, Bułat Okudźawa), jednakże nieczęsto.

Z czasem, chociaż pamięć o tamtych zdarzeniach przetrwała, literatura przestała je eksploatować. Pojawiały się natomiast teksty, uwolnione po latach, więc przesunięte w czasie, całkiem inaczej do tej wojny nastawione. Nie ma apoteozy zwycięstwa: to są opowieści o ludzkich tragediach oraz o kryzysie całej cywilizacji.

Dopiero w 2009 roku, w rok po śmierci autora, wydano w Rosji po raz pierwszy niedokończoną powieść **Aleksandra SOŁŻENICYN** (1918-2008) **KOCHAJ REWOLUCJĘ!** Zaczął ją pisać w 1941 roku. Pod koniec wojny, w 1945 roku, został aresztowany w Elblągu i prosto z frontu trafił do specjalnego obozu (szaraszka) w Marfinie pod Moskwą, gdzie kontynuacja pisania była możliwa. Potem jednak zesłano go do łagru i przechowany cudem rękopis odzyskał dopiero po uwolnieniu, w 1956 roku, ale dokonawszy szeregu poprawek i uzupełnień, z druku wtedy zrezygnował. To, że powieść nie jest dopracowana, daje się miejscami zauważyć, ale w ogólności jest to piśmiennictwo rzeczywiście mistrzowskie.

Czas akcji to pierwszy okres wojny – tuż przed jej wybuchem oraz zaraz po nim – i nie ma tu nic z sygnali-

zwanego zwykle patriotycznego zrywu społeczeństwa ani wojennego heroizmu. Odwrotnie: to jest panorama niewyobrażalnego chaosu, który ogarnął i zdeorganizował wszystko. Spanikowane tłumy oblegały sklepy, gdzie zresztą było mało co, zapanował głód i nie funkcjonowało właściwie nic. Milicja aresztowała na ślepo, kto był pod ręką, najchętniej inteligentów i osiadłych tu od dawna Niemców, wszyscy byli przeciw wszystkim, a zwłaszcza przeciw mobilizacji, realizowanej zresztą porażająco nieudolnie: wymigiwał się od niej każdy, kto miał jakąkolwiek szansę. A na to w pewnym momencie nałożyło się bełkotliwe przemówienie Stalina (według historiografii – mobilizujące), które dodatkowo spotęgowało ogólną frustrację.

W tym nihilistycznym oceanie zanurzył autor młodego matematyka, apologetę rewolucji i autentycznego patriotę – to Gleb Nierzyn: ktoś taki pojawi się później w powieści *Krąg pierwszy* – który z fanatycznym uporem usiłował dostać się na front. Długo jednak nic z tego nie wychodziło. A kiedy wreszcie został zmobilizowany, trafił do jakiejś gigantycznej cizby konnych taborów, która całymi tygodniami szwendała się bez celu i sensu po stepach, na frontowym zapleczu.

Nagle jakby wszystko cofnęło się o dziesiątki lat, powrócił bezład wojny domowej i wymuszonych migracji, kiedy egzystencja polegała na przetrwaniu bieżącego dnia. Nastąpił krach państwa, zanik wszelkiej moralności, dokonana się klęska systemu: nic nie pozostało z tromtadrackiej apoteozy bolszewickiego raję. Tak to sportretował Sołżenicyn, najprawdopodobniej nigdy nie licząc na druk.

Swojego bohatera przepchnął wreszcie na prawdziwy front, ale jakby wbrew realiom i w zaprzeczeniu jakiegokolwiek rozsądku. Bo to jest ponura karykatura systemu, którego produktywność okazała się zerowa. Przetrwanie nastąpiło na przekór temu systemowi, kosztem niebywałych ofiar, głównie dzięki patriotycznej postawie – tak przecież pogardzanej - inteligencji.

Tragiczne losy, ale i heroizm tej inteligencji, wmontowanej w niszczące tryby systemu oraz w miażdżący mechanizm wojny, stanowią główną kanwę znakomitej powieści **Wasilija GROSSMANA** (1905-64) **ŻYCIE I LOS**. Postacią centralną jest fizyk jądrowy, profesor Sturm: razem z bliską i dalszą rodziną oraz z przyjaciółmi i z nieprzyjaciółmi, „skleja” liczne wątki tej ogromnej (blisko 900 stron) i mozaikowej powieści, zbudowanej z przemiennych segmentów, ale mimo to wspaniale czytelnej.

Grossman był już przed wojną szeroko znanym pisarzem, a podczas wojny uchodził za najlepszego frontowego korespondenta. Za udział w obronie Stalingradu został odznaczony orderem Czerwonej Gwiazdy. Zamiłowanie do faktografii, chociaż fabularyzowanej, towarzyszyło mu także w twórczości literackiej, stąd mnóstwo w tej powieści niezwykłych, ale autentycznych epizodów oraz zwyczaj pisanania prawdy, także niewygodnej – jak choćby o rozszalałym antysemityzmie lub o nieudolności wojskowego dowództwa, ze Stalinem włącznie. Jako jeden z nielicznych Rosjan napaść ZSRR na Polskę bez ogródek nazwał agresją.

To, co pisywał już po wojnie, miało dla niego liczne negatywne konsekwencje. A kiedy w 1961 roku złożył tę powieść w miesięczniku *Znamja*, nie tylko odmówiono druku, ale służby bezpieczeństwa włamały mu się do mieszkania, zabierając maszynopis oraz nawet ta-

śmę do maszyny. Główny ideolog partii, Susłow, oznajmił wtedy, że nikt tej powieści nie opublikuje przez setki lat. Ale znajomi uratowali kopię tekstu i powieść wydano w Lozannie, lecz już po śmierci autora, bo w 1980 roku. W Rosji wydawano ją od 1989 roku wielokrotnie i tam oraz na świecie uzyskała najwyższe oceny. A kto dzisiaj pamięta o Susłowie?

W tej powieści również zawiera się panorama pierwszej fazy wojny, z bitwą stalingradzką jako odniesieniem głównym, lecz także z pejzażem zaplecza, gdzie przestało istnieć zorganizowane (nieważne, że kiepsko) państwo, ustępując miejsca gigantycznemu koczowisku. Ludzkie reakcje są różne. Na froncie i poza frontem są tchórze i są ludzie odważni, jedni boją się o siebie, inni boją się o najbliższych, niektórzy donoszą i kłamią, ale są i tacy, którzy wspomagają i ratują. Nikt zresztą nie jest bez wad, ale też nikt nie jest szują z urodzenia: to strach oraz system wyzwalają nikczemność. Tak czy inaczej, wszędzie panoszy się donosicielstwo i szkalowanie, prześladowania nie omijają nikogo – chociaż głównie dotyczą właśnie inteligencji i Żydów - a okoliczności frontowe jeszcze dodatkowo wzmagają represje. Łańcuch niebywałych cierpień nigdy się nie kończy.

Na froncie ludzie giną, bo taka jest natura wojny, jednak liczba ofiar niebywale rośnie przez niekompetencję wyższych oraz polowych dowódców i mizerię środków wojowania. A poza frontem panuje głód, mnożą się aresztowania i kraj przemierzają transporty już to przesiedleńców, już to zesańców do łagrów.

Tym razem także szczególne wrażenie robi spokojna tonacja narracyjna. Cokolwiek byłoby przedmiotem relacji, Grossman nigdy nie histeryzuje ani nie ucieka się do ekspresyjnych gestów. Mimo to, a może dlatego, amplituda emocji jest wysoka.

Obok relacji batalistycznych oraz migracyjnych, ma tu miejsce wiwisekcja systemu i jego wpływu na ludzi. Donosicielstwo, pazerność i zawiść – jako powszechny sposób na życie – przeplatają się jednak z przejawami altruizmu i międzyludzkiej solidarności. Ma też miejsce nieustanna wymiana ról: prześladowcy stają się nagle prześladowanymi, zaś ludzie represjonowani i potem przywracani do względnej normalności, załamują się i pokornieją, tracąc hart ducha.

Wszyscy są ofiarami systemu, który amputował wolność, a to właśnie wolność jest najwyższym dobrem. Grossman nie ma żadnych wątpliwości: faszyzm i komunizm to jedno i to samo zło. W imię przesłanek ideologicznych wymuszają negację reguł moralnych, a to oznacza indywidualną oraz społeczną degenerację.

#### TERAZ

Wiktor Tokariewa: *Miłość na całe życie*. Przeł. Irena Lewandowska. Warszawa: Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA, 2006, s. 145

Wiktor Jerofiejew: *Sąd ostateczny*. Przełożył Michał B. Jagiełło. Warszawa: Czytelnik, 2008, s. 311

Wiktor Jerofiejew: *Rosyjska apokalipsa. Próba eschatologii artystycznej*. Przeł. Andrzej de Lazari. Warszawa: Czytelnik, 2008, s. 344

Paweł Sarajew: *Pochowajcie mnie pod podłogą*. Przeł. Izabela Korybut-Daszkiwicz. Warszawa: PIW, 2009, s. 207

Iłja Bojaszow: *Wędrownka Murriego*. Przeł. Ewa Skórka-Filip. Warszawa: Prószyński i S-ka, 2009, s. 200

Boris Akunin: *Nefrytowy różaniec*. Przeł. Ewa Rojewska-Olejarczuk. Warszawa: Świat Książki, 2009, s. 655

Obok tekstów dawniejszych, tyle że wydawanych dopiero co, jest w rosyjskiej ofercie wydawniczej spo-

ro nowych publikacji prozatorskich, zasługujących na uwagę – zarówno autorstwa pisarzy od dawna znanych i uznanych, jak również takich, którzy dopiero w ostatnich latach dali o sobie znać. Charakterystyczne, że jedni i drudzy mają na zachodzie doskonałą opinię i tłumaczenia są liczne. Zapewne nie tylko za sprawą czysto literackich wartości, lecz także w następstwie nieustannego zainteresowania – może nawet fascynacji – Rosją, która przejawia się również w ten sposób. A i u nas tygodnik *Polityka* oferuje kolekcję „Współczesna Literatura Rosyjska”.

Minęło już 45 lat od debiutu **Wiktorii TOKARIEWEJ** (ur. 1937), w swoim czasie uznanej za niesforną pannicę rosyjskiej prozy. Obdarzona niebywałym talentem narracyjnym, mniej lub bardziej gorzko obśmiewała egzystencjalną nijakość ZSRR – na przekór mitom oficjalnej ideologii. W jej ujęciu życie było (i twierdzi, że nadal jest) grzęzawiskiem rutyny, w którym człowiek nie żyje, lecz topi się i nie ma żadnego ratunku.

Obok autorstwa opowiadań i powieści, okazała się też wziętą scenarzystką. Zrealizowano ponad 20 filmów według jej scenariuszy, bardzo wysoko cenili ją Fellini i właśnie za dorobek filmowy otrzymała nagrodę w Cannes w 2000 roku.

Powieść **MIŁOŚĆ NA CAŁE ŻYCIE**, napisana równie sprawnie jak wcześniejsze, jest od poprzednich bardziej „gryząca”, ale i smutniejsza. Oto samotna matka z dwójką dzieci: mąż zmył się z inną, kochanek ma własną rodzinę, zatem trzeba samotnie przepychać się przez życie, nie bacząc na innych, bo życzliwość nie istnieje. Gorzej – trzeba ukrywać uczucia, bo zawsze ktoś je wykorzysta w złej wierze. Nawiasem mówiąc, ten ktoś to nieodmiennie jest jakiś facet, Tokariewa ma bowiem wyraźnie feministyczny punkt widzenia. W każdym razie, jeśli nawet raz jest dobrze lub znośnie, to za chwilę na pewno będzie bardzo źle. A ewentualny finał jest taki, że kiedy dzieci dorosną, czeka je literalnie taki sam los.

Życie jest więc egzystencją na przeklętym łańcuchu – nikt nie odskoczy dalej niż można, nie da się uciec poza krąg. Relacje między ludźmi zaś to użytkowe transakcje, często oszukiwające, bez prawa do reklamacji. Każdy otrzymuje swój życiowy bilet tylko w jedną stronę, na dokładnie wyznaczonej trasie.

W wydaniu autorki to nie jest bynajmniej opinia nowa. Ciekawe, że minął socjalizm, a pesymistyczny mały realizm, jak tkwił w jej tekstach, tak pozostał. Są wprawdzie tu i ówdzie echa okoliczności nowych – wielkich reemigracji Rosjan z ościennych krajów albo wojny czeczeńskiej – ale to tylko dodatkowo demonizuje klimat. Cokolwiek się dzieje, gdziekolwiek się jest, w Moskwie albo w Baku, mroczne perspektywy są takie same. Zawsze jest duża szansa na to, że profesor uniwersytetu zostanie stołkówym kucharzem, a obiecująca absolwentka studiów wyląduje w końcu jako sprzątaczką.

O wiele bardziej krytyczną opinię o egzystencji w Rosji, o Rosjanach i o samej Rosji, od dawna wyraża znakomity prozaik, poza tym profesor filologii, **Wiktor JEROFIEJEW** (ur. 1947) – w Polsce nagminnie mylony z dalekim krewnym, niezującym już Wieniediktem Jerofiejewem. To dość żenujące, bo nie ma w Rosji pisarza równie Polsce przyjaznego (jest żonaty z Polką) i ewentualnie zdolnego do utknięcia nici wzajemnego zrozumienia. W jego tekstach sporo jest polskich akcentów i pol-

skich postaci, zawsze traktowanych z sympatią, chociaż na ogół wprowadzających się znaną frazą „o k...!”.

Jest obyty w świecie, bo jego ojciec był ambasadorem – zresztą pupilem Stalina i sekretarzem Mołotowa – ale przez bezdebitowe pisarstwo syna został później zdymisjonowany. Bo Wiktor Jerofiejew od początku był ostry w ocenach ZSRR a następnie Rosji. I całe jego pisarstwo (literacko świetne) zasadza się na prowokowaniu refleksji przez opinie skrajne.

I taka jest właśnie powieść **SĄD OSTATECZNY**, w której prowokacyjnie przepowiada Rosji oraz światu zagładę i ostateczne negatywne osądzenie. Prognozą jest występujący tam utalentowany pisarz Sisin, który przyjaźni się z proletariackim wyrobnikiem pióra, niejakiem Żukowem. Rzecz w tym, że ewentualny koniec świata jest poprzedzony końcem samego Sisine: zaprzyjaźniony Żukow zabija go dla świętego spokoju i jeszcze ćwiartuje na kawałki.

Takich oraz jeszcze większych okropieństw i obsceniczności jest w tej powieści mnóstwo, toteż lepiej nie czytać jej przy obiedzie. Natomiast czyta się ją znakomicie, mimo niezwyklej, bardzo pogmatwanej, synkretycznej formy narracyjnej, mianowicie strumienia świadomości.

Jerofiejew z celową przesadą sugeruje, że Rosja to karykatura państwa – jeden wielki bajzel, ubóstwo, brud oraz smród i nawet KGB to było nieporadne dziadostwo. Mieszkańcy to albo debile, albo przestępcy, wystarcza im byle co, także popsuta i czysto fizyczna miłość, a kogo ewentualnie dręczą jakieś wątpliwości, ten permanentnie zalewa pałę. Emigranci nie są w niczym lepsi, marzą tylko, żeby w Rosji było źle lub jeszcze gorzej – lecz dla porównania: Amerykanie z kolei to naród gumowy, a że cały świat zwariował i amerykanizuje się bez opamiętania, no to widoki na przyszłość są marne. Nic się też nie zmienia, bo ludzie c h c a, żeby było jak jest. Jak więc nie kochać Jerofiejewa za tę oryginalną wizję?

Mniej ekspresyjny, a bardziej ukonkretniony jest natomiast tom jego opowiadań i esejów **ROSYJSKA APOKALIPSA**. Sporo tam tekstów odniesionych do Europy, na ogół przyjaznych, a wobec Polski – nieodmiennie życzliwych. Jednak główny wątek wyznacza charakterystyka rosyjskości, tak jak ją Jerofiejew postrzega.

Jednym z podstawowych zmartwień Rosji, także w przeszłości, jest permanentny brak klasy średniej, tępionej najprzód przez carat, a potem przez bolszewików. A jeśli nawet ktoś się uchował, ten wybierał i wybiera emigrację, któż zatem miałby wziąć odpowiedzialność za funkcjonowanie państwa.

Równie dramatycznym nieszczęściem, też odwiecznym, jest amputacja prywatności, doprowadzona do skrajności przez Stalina w szatańskim zamyśle „komunalek”, czyli wspólnych mieszkań. To dopiero Putin, jako pierwszy, przestał sekować prywatność i w tym Jerofiejew upatruje sekret jego popularności.

Oraz jest też plaga trzecia, mianowicie potworne, ogólnonarodowe pijaństwo, w czym nikt Rosjanom nie dorównuje, nawet (uważa autor) Polacy i nikt tego nie zwalczy, nie potrafił Gorbaczow, nie da rady Putin, bo i zresztą wpływy z wódczanej akcyzy utrzymują budżet państwa w jakim takim stanie. Alkohol zaważadną mentalnością wszystkich i tak było zawsze. Jerofiejew przypomina, że to jeden z najwybitniejszych chemików na świecie, Dymitr Mendelejew, ustalił naukowo opty-

malną zawartość alkoholu w wodzie do konsumpcji, mianowicie 40% - i w dodatku wprowadził do obiegu samą nazwę: wódka. Która i u nas przyjęła się bez oporów.

Poza tym, według autora, rozmyło się nawet symboliczne pojęcie ojczyzny i patriotyzmu. Teraz ewentualnie Rosję symbolizują miasta, jak Sankt Petersburg albo Norylsk, lecz to nie to samo. Paradoksalnie natomiast dystans Rosjan do świata rośnie (to chyba nieprawda), być może celowo podsycany przez władze, jako element polityki wewnętrznej.

Wśród poloników są w tomie relacje ze spotkań z Adamem Michnikiem oraz z Czesławem Miłoszem, pełne rewerencji. Przy tej okazji Jerofiejew zarzuca rosyjskim pisarzom, że nigdy nie walczyli z reżymem tak, jak ich polscy koledzy – i to już jest opinia nie do przyjęcia. Ilość bowiem literatów represjonowanych w ZSRR oraz pomordowanych w więzieniach i w łagrach jest porażająca.

Wszelako tak czy inaczej, gdyby istniał przymus czytania, to należałoby napisać, że ten tom Jerofiejewa m u s i się przeczytać. Szczególnie w Polsce.

Też bez entuzjazmu do otaczającej codzienności, lecz ani szczególnie odrażającej, ani lukrowanej, w zasadzie zatem nijakiej, odnosi się autor z innej grupy pokoleniowej, **Paweł SANAJEW** (ur. 1969), także aktor filmowy, reżyser i scenarzysta. W internecie prowadzi portal *ruskino*, a w ogóle ma bardzo dobrą prasę, także za granicą – być może przesadnie dobrą. Bo chociaż narratorem jest sprany, opowiada z żartobliwym luzem, to jednak kreowana rzeczywistość jest banalna, unurzana w małym realizmie i brakuje tam pogłębionej wiwisekcji czegokolwiek. Luki refleksyjne nadrabia wysoce obscenicznym słownictwem.

**POCHOWAJCIE MNIE POD PODŁOGĄ** to taki (już głośny) nowelowy serial, trochę wykraczający poza banały, mimo że nie ma w nim głębszego uzasadnienia zdarzeń i ludzkich zachowań. Zarazem nie ma też akcentów politycznych i to wielu czytelników ceni. Jest natomiast przekora: w dziecięcy punkt widzenia została wpisana panorama egzystencji – całkowicie odwrotna wobec stereotypu „raju lat dzieciennych”.

Bo rzeczywistość jest wprawdzie nijaka, rekwizyty są banalne, za to l u d z i e preparują sobie piekło bez żadnego powodu. Nie umieją żyć bez awantur, wzajemnego dręczenia się i znęcania się nad sobą. To jest ewidentny horror, skonstruowany z nieskończonego pasma ekscesów, które wypełniają dni, poza tym absolutnie puste.

Dlaczego? Takie pytanie nawet nie pada, więc tym bardziej nie ma odpowiedzi. Życie m o ż e tak wyglądać, nie wiadomo natomiast czy m u s i. Sanajew, jak kronikarz, po prostu kreśli taki wizerunek, ale na tym poprzestaje: żadna syntetyczna refleksja nie została nadbudowana.

Inna nowa postać w rosyjskiej prozie to **Ilja BOJASZOW**, nieco starszy (ur. 1961), wykładowca historii w Akademii Marynarki Wojennej. Jego tekstów literackich długo nikt nie chciał publikować, ale teraz jest inaczej. Zyskał sobie bowiem duży rozgłos w kraju oraz za granicą, toteż publikacje, przekłady oraz nagrody są już jego stałym udziałem.

**WĘDRÓWKI MURRIEGO** to ubaśniowiona przypowieść, niekoniecznie głęboka, ale (znowu) narracyjnie znakomita, określająca wędrówkę jako metaforę oraz

kwintesencję życia. Żyje tylko ten, kto wędruje, toteż jeno wędrowanie ma jakiś sens.

Naczelnym łażnikiem powieści jest bośniacki kot, szwendający się po Europie, przede wszystkim Wschodniej, gdzie potyka się o zaskakujące realia. Inni też czegoś szukają i łażą nieświadomi, że najważniejsze są: sama wędrówka i samo szukanie. Nie wie tego serbski kierowca, rozwijający po Europie zwłoki oraz używaną odzież, niepotrzebnie licząc na stabilizację. Ani szalony naukowiec z Austrii, który koniecznie chce wdrapać się na skałę, ale zawsze spada, łamie wszystko co mu jeszcze do złamania pozostało i w tym tkwi cały sens: wdrapywać się oraz łać w łamane gnaty.

Pozostali też tego nie wiedzą, nawet jeżeli osiągają w końcu swój pozorny cel. Zbikowany szejek Abdullah, po wielu nieudanych próbach obleci ostatecznie kulę ziemską, ale wszystkie próby razem są znacznie ciekawsze niż sukces. Tybetańczyk Rampa u kresu wędrówki odnajdzie swoją tajemniczą górę, a stary Jakub – jak Mojżesz – wyprowadzi Żydów z bombardowanego Sarajewa. Ale osiągnięcie celu to koniec łażęgi, a więc i kres życia. O tym, że najważniejsza jest sama wędrówka, wie tylko pływający po oceanach kaszalot.

Ci natomiast, którzy nie wędrują, egzystują bez żadnego sensu. Astronom Patić, przypisany do swojego obserwatorium, wiecznie myli się w obliczeniach. Mądry polski pies Adolf (jak można polskiego psa nazwać Adolf?) siedzi w jednym miejscu i rozmyśla, z czego (oraz z tej mądrości) nie ma żadnego pożytku. A zaś równie zasiedziały genialny gąsior Timosza trafia na stół operacyjny, dziwnie podobny do kuchennego.

Życie zatem jest życiem przez nieustanną aktywność. Kontemplują i siedzą na miejscu jedynie nieudacznicy. Tak twierdzi średniej klasy historyk, orędownik marynarki wojennej, autor od niedawna dopiero szerzej rozpoznawalny, który sam... przesiedział całe życie w Sankt Petersburgu.

W zupełnie innych rejestrach literackich funkcjonuje **Boris AKUNIN** (właśc. Grigorij Czchartiszwili, ur. 1956), mieszkający w Moskwie japonista. Jego prozę chętnie i licznie wydaje się w Rosji oraz za granicą, w tym również w Polsce, są to bowiem znakomite opowieści kryminalne, zręcznie i mądrze napisane, a utrzymane w konwencji klasycznych tekstów sensacyjnych. Odniesienia są tym oczywistsze, że akcję autor lokalizuje przed I wojną światową, trochę w dawnej Rosji, a trochę w dawnej Europie.

Tom **NEFRYTOWY RÓŻANIEC** zawiera dziesięć długich opowiadań, w których główną postacią jest radca Erast Fandorin, rozwiązujący bardzo komplikowane zagadki. Sceneria zdarzeń nie ma znaczenia, jest czysto umowna, postacie są papierowe, natomiast zgadywanki – skonstruowane według najlepszych reguł – są dla czytelników inteligentnych. Można kręcić nosem na wprowadzanie cudzych postaci (bez autorskiej zgody, naturalnie), jak Holmes albo Lupin, także pseudonimem (akunin – z japońskiego: łotr) autor mizdrzy się do czytelników, jednak lekturowo są to teksty bardzo dobre. Oczywiście rozrywkowe, ale takich też nie należy lekceważyć.

Dalszy ciąg omówienia  
– w następnym numerze „Zdania”

ANDRZEJ KURZ

# DWA WYDARZENIA EDYTORSKIE

Książka, mimo kasandrycznych przewidywań, jeszcze się broni przed monopolem elektronicznych instrumentów przekazu, a nawet próbuje żyć z nimi w twórczej symbiozie. Cokolwiek jednak stanie się ze słowem pisanym w przyszłości, największe wydarzenia w sferze wiedzy, czy raczej poznania intelektualnego, wciąż przybierają postać książki. Na jej polskim rynku zanotowaliśmy zaś ostatnio dwa wielkie wydarzenia, szczególnie ważne dla narodowej pamięci.

Ukazały się mianowicie, obie w wydawnictwach krakowskich, dwie potężne publikacje: w wydawnictwie „Znak” niemal tysiącstronicowa rozprawa Andrzeja Friszkego *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi*, a wydawnictwie „Universitas” trzynomowa antologia (każdy tom liczący tysiąc stron) *Przeciw antysemityzmowi 1936-2009* w wyborze i opracowaniu oraz ze wstępem Adama Michnika.

*Anatomia buntu*, najwyższej naukowej próby rozprawa pióra badacza najnowszej historii Polski, jest kamieniem milowym w poznawaniu dziejów Polski Ludowej, w penetracji archiwów i ludzkich wspomnień oraz w budowaniu głębokiej syntezy, pozbawionej tak częstego w dzisiejszej historiografii ideologicznego nacechowania i politycznej stronniczości i nienawiści. A do tego zanurzamy się w jasnym i czystym języku inteligenta, nie zniekształconym nigdzie przez natrętny bełkot mediów. W ostatnich dziesięcioleciach polskiego historiopisarstwa to dzieło wyróżnia się – monumentalne i wzorcowe. Czyta się tę ogromną księgę, obciążoną przecież pełnym aparatem naukowym i interpretującą fakty zaświadczone, sprawdzone i poddane krzyżowemu ogniovi naukowej metody, jak opowieść mędrca o niedawnych czasach i ludziach (w większości jeszcze żyjących).

Już wstęp do książki upewnia nas, że będziemy mieli do czynienia z wiedzą i materialnymi dowodami, które uwolnią nas od uproszczeń i schematów, atakujących od dwudziestu lat monotonnym potokiem nie tylko medialnych ale i książkowych informacji, prostych (żeby nie powiedzieć – prostackich), które poprawność polityczna i ideologiczne zacierzawienia pozbawiły nawet cienia wątpliwości co do systemów politycznych, ludzi i motywów ich czynów. Ta właśnie polityczna poprawność ukształtowała obraz Polski Ludowej jako nieustannego „zmagania bohaterskiego i katolickiego narodu z narzuconą marksistowską władzą”.

A prawda wygląda inaczej. Friszke zaczyna swą księgę od roku 1956, wielkiej październikowej zmiany, od której walka o wolność, suwerenność i demokrację nabrała w Polsce znowu realnego kształtu. Ten bunt społeczny, który jest przedmiotem rozważań, znalazł w październikowych zmianach swą inicjalną i silnie rozwiniętą fazę. Friszke koncentruje się oczywiście na fazie drugiej, która nastąpiła po „małej stabilizacji” początku lat 60. i znalazła swój impuls w *Liście otwartym* Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego do partii i związanej z nią organizacji młodzieżowej na Uniwersytecie Warszawskim.

A potem przychodzi reakcja (nieraz wewnętrznie sprzeczna) aparatu władzy i przemocy: aresztowania, śledztwa i więzienne wyroki dotyczące przede wszystkim dwóch inicjatorów buntu. Do Kuronia i Modzelewskiego dołączają następnie o 10 lat młodsi (a to w tym przypadku znaczy ludzie innego pokolenia, tacy, którzy już nie doświadczyli wojny, głodu i zagrożenia życia) i wraz ze swym liderem Adamem Michnikiem przechodzą przez próbę *Marca*<sup>68</sup>.

Wielki ciąg wydarzeń, mnogość ludzkich sylwetek – buntowników i ich prześladowców. Ani jednego zbędnego zdania czy wątku, ani jedna teza bez naukowo-histerycznego dowodu.

Trzej główni bohaterowie tej książki, przywódcy ruchu, który wyrósł w samym jądrze Polski Ludowej, na fali krytyki jej praktyk politycznych, narastającego kryzysu gospodarczego oraz przejawów ustrojowej słabości i niepraworządności a także coraz głębszego załamania moralnego (i który doprowadził do upadku systemu) – to Jacek Kuroń, Karol Modzelewski i Adam Michnik, nieczęsto spotykani w dziejach myśliciele o cechach przywódczych. Ich też sylwetki, nacechowane moralną niezłomnością, choć przecież nie nieomylnością, pokazują drogę od zaangażowania w utopię polskiego socjalizmu do uwiedzenia przez utopię pełnej demokracji i społecznej solidarności. A wokół tych niezłomnych gromada indywidualności, młodych, ideowych i intelektualnie sprawnych, a nawet wybitnych, ale przecież nie niezłomnych.

Nie da się streścić w krótkich słowach tej drobiazgowej i przekonującej analizy buntu moralno-ideowego i intelektualnego, prowadzącego tych ludzi do działalności opozycyjnej i jej polityczno-sądowych konsekwencji. Trzeba książkę przeczytać i przemyśleć.

I następnie samemu - bo Friszke już o tym nie pisze - przypomnieć sobie zwycięstwo tych buntowników i jego dzisiejsze konsekwencje. Czytelnik otrzymuje też solidny materiał, aby zastanowić się, dlaczego wiele postaci opisanych w tej książce zachowuje się dzisiaj (także wczoraj) tak a nie inaczej.

A drugą publikację – liczącą ponad trzy tysiące stron trzytomową antologię - przygotował jeden z głównych bohaterów rozprawy naukowej Friszkego: Adam Michnik. Jak na wielkiego moralistę przystało podjął się „udowodnić, że Polacy nie wysłali antysemityzmu z mlekiem matki”.

Antologia w swym zamierzeniu ma stworzyć panoramę rozpraw, artykułów i utworów literackich, publikowanych w zasadzie w latach 1936-2009 a skierowanych przeciw antysemityzmowi w Polsce. Autor uznaje jako graniczny rok 1936, kiedy to po śmierci Józefa Piłsudskiego – który do końca życia nie zapomniał o socjalistycznych ideałach swojej młodości i wieku dojrzałego – otwarcie wkracza na główną arenę życia publicznego Polski antysemityzm ugrupowań politycznych prawicy, rozczuchwalonych atmosferą triumfu hitleryzmu w Niemczech i różnych faszystów w innych krajach europejskich oraz ogólnego kryzysu powojennych (oczywiście po I wojnie światowej) demokratycznych złudzeń.

Michnik poprzedza antologię właściwą wstępem własnym, który rozpoczyna ogromnym cytatem z *Dziennika* Witolda Gombrowicza, aby wyłożyć następnie założenia i zakres wyboru, którego musiał dokonać z bogatego polskiego piśmiennictwa. Następnie wprowadza bardzo ciekawy *Prolog 1900-1936* obrazujący, jak różne i przyzwoite, najczęściej lewicujące, nurty myślowe i polityczne w Polsce przeciwstawiały się antysemityzmowi od początku XX wieku do owego granicznego, choć przecież umownego roku 1936.

Wstępnym tekstem przytoczonym w *Prologu* jest opublikowana w r. 2006 rozprawka Stefana Bratkowskiego *Nowy antysemityzm Polski*, ciekawa i pełna erudycji, jak wszystko, co pisze Bratkowski, kiedy jest w dobrej formie publicystycznej. Potem następuje obszerny przedruk fragmentów starej, bo z r. 1923, broszury Jana Baudoina de Courtenay *Kwestia żydowska w Państwie Polskim*. Przypomnienie postaci tego wielkiego uczonego, jednego z najwybitniejszych polskich myślicieli (a także wolnomyślicieli) i kandydata na pierwszego prezydenta RP w r. 1922, a według legendy wywodzącego się z rodu królów francuskich, jest znakomitym Michnikowym pomysłem. Zamyka zaś *Prolog* duży esej Czesława Miłosza *Żydzi – lata dwudzieste*.

Wstęp z tak obszernym powołaniem się na Gombrowicza i dobór tekstów do *Prologu* jest także świetnym pomysłem autora antologii. Szczególnie podkreślam sięgnięcie po Gombrowicza i Miłosza, jestem bowiem, jak wyjaśnię na końcu, tym właśnie osobiście przejęty.

Po *Prologu* następują teksty antologii właściwej, zajmujące 3050 stron druku. W porządku chronologicznym idą artykuły dotyczące okresu przedwojennego: o zatruciu polskiego społeczeństwa iperytem rasizmu, o getcie ławkowym i rasistowskim bandytyzmie na uczelniach, satyra „antykorporancka”. Potem dotyczące okupacji rozważania o dwóch stronach muru i polskim spojrzeniu na Zagładę i powstanie w getcie. Wreszcie poetyckie, przejmujące echa Zagłady.

W tomie II antologii zgromadzone są rozprawy powstałe w latach 1945-89, w Polsce Ludowej a trochę i na emigracji. Półtorej setki nazwisk autorów, ludzi mądrych i szlachetnych, z intelektualnych i moralnych wyżyn oraz znowu trochę dobrej poezji.

Wreszcie tom III, dokumentujący lata po 1989. Spojrzenia zapewne dojralsze, nacechowane większą wiedzą i poznawczym dystansem, choć nie pozbawione emocji, ale obraz przeszłości coraz pełniejszy w barwy ciemne i niezgodę na ucieczkę w niepamięć, czy jeszcze gorzej - w polskie narodowe samoderstwo.

Wielka praca i wielkie dzieło antologisty. I jego osobisty wybór. Zresztą z takim chytrym wybiegiem: jeżeli chcecie zarzucić mi, że czegoś w antologii brakuje, to - przy tej już przekraczającej ludzką i wydawniczą wytrzymałość objętości - wskażcie, co wyeliminować, żeby móc coś dodać. (Więc zgłaszam: przedwojenną poezję i satyrę z tomu I można by pominąć ze względu na jej mniejszą wagę gatunkową).

Czego mi zaś rzeczywiście brakuje, i to nie pierwszy raz, w pisaniu i opiniach Adama Michnika? Co wydaje mi się wręcz cieniem na jego sylwetce moralisty i przywódcy? Antologia pomija mianowicie lub pomniejsza (i to jest stała zaćma na Michnikowym oku) dzieło Mieczysława Rakowskiego, postaci także w walce z antysemityzmem jednej z najwybitniejszych, w dodatku nie tylko odważnych, ale i skutecznych. Nie znajduję w antologii ani jednego fragmentu spod jego pióra, ale nie to byłoby w tym przypadku najistotniejsze. Najważniejsza jest linia i działalność tygodnika „Polityka” nierozdzielnie związanego z Mieczysławem Rakowskim, a pod koniec jego życia – miesięcznika „Dziś”. Tymczasem w antologii Michnika trafiamy na zaledwie kilka tekstów przedrukowanych z „Polityki”, ale już przy nazwiskach ich autorów skrupulatnie i małostkowo poinformowano nas, że „Politykę” opuścili. Przy nikim innym podobnych zabiegów redaktorskich nie poczyniono, a można by. I nie ma ani jednego artykułu z „Dziś” – a sam sobie dobrze przypominam duży tekst *Krakowska sromota* o pogromie w roku 1945, który przesłałem do „Dziś” jako swego rodzaju pokłosie pionierskiej książki Anny Cichopek, wydanej w roku 2000. Nie przytoczono też drukowanego w „Zdaniu” stenogramu dyskusji odbytej w krakowskiej „Kuźnicy” *Kto się boi prawdy o Jedwabnem?*, z udziałem przyjaciela „Kuźnicy” i laureata jej Kowadła, ks. Stanisława Musiała, i kilku innych uczestników a moderowanej przez Andrzeja Urbańczyka.

Trudno więc się zgodzić z cichą wymową antologii, że dyskusja o antysemityzmie i przeciw niemu toczyła się w ostatnich 30 latach na łamach „Tygodnika Powszechnego”, „Więzi”, „Znaku” i jeszcze „Res Publik Nowej” (o „Gazecie Wyborczej” pamiętają wszyscy), a lewica w tym nie brała udziału. Jej przecież mniej wolno. Mam nadzieję, że z tego hasła, które kiedyś padło na łamach „Gazety Wyborczej”, Adam Michnik dumny nie jest i nie zamierza przy nim trwać. Choć kiedy czytam jego niedawno ogłoszone, z okazji roku Miłosza, znakomite artykuły, napomykające także o Miłoszowych wydawcach, to znowu dziwię się sugestii, że to właśnie wydawcy w Polsce Ludowej chcieli tego poetę przemilczeć. Przecież PIW w r. 1973 w swej antologii poezji polskiej (od *Bogurodzicy* poczynając), umieścił ponad 20 wierszy Czesława Miłosza (nakład dwutomowej edycji wynosił 20 tysięcy egzemplarzy). Wydawnictwo

Literackie w swej jednotomowej antologii poetów Polski Odrodzonej (1918-78), w 35 tysiącach egzemplarzy, Miłosza uhonorowało 25 wierszami - a więc najwidoczniej wśród poetów najważniejszych. Jedna i druga antologia ukazała się przed nagrodą noblowską dla Miłosza. Nie był zupełnie nieobecny właśnie dzięki uporowi wydawców, którzy uważali, że obraz poezji polskiej byłby bez tego pisarza, uznanego przez władzę za przeciwnika, nieważny.

A kiedy w r. 1981 Czesław Miłosz przyjechał do Polski, skierował swoje kroki do Wydawnictwa Literackiego, bo w nim postanowił wydawać swoje *Dzieła*, w kolejności zresztą przez siebie na piśmie ustalonej a w określonym przez wydawcę nakładzie 200 tysięcy egzemplarzy każdy tom. Udało się zacząć od *Doliny Issy*, której nakład został rozprzedany w ciągu kilku dni.

Podobnie działo się z *Dziętami* Witolda Gombrowicza, które opublikowane przez Wydawnictwo Literackie w r. 1986 w edycji dziewięciotomowej, od r. 1988 były wznawiane, każdy tom w nakładzie 150 tysięcy egzemplarzy. I to bez jednej linijki cenzuralnej ingerencji,

o czym też z reguły zapominają dzisiejsi apostołowie poprawności politycznej, a raczej ignorancji lub złej woli. Wciąż bowiem jesteśmy informowani, że zasługa dotarcia z Gombrowiczem do każdego polskiego inteligenta przynależy albo wydawcy emigracyjnemu, albo podziemnemu, albo wreszcie tym po roku 1989. Tymczasem jeżeli Adam Michnik, w antologii o której tu mówimy, może odwołać się do Gombrowicza, to czyni to skutecznie dlatego, że w domu przeciętnego człowieka czytającego w Polsce świecą obecnością od lat 80. ubiegłego wieku *Dzieła* Gombrowicza wydane przez WL.

Muszę więc zakończyć te rozważania o dwóch wydarzeniach edytorskich (choć nie jestem pewien, czy czytelniczych) ostatniej doby słowami uznania za odwagę i dobrą robotę (przypominającą okres w polskim edytorstwie raczej miniony) dla wydawców tych książek - „Znaku” i „Universitasu”, ich zespołów reprezentujących najwyższe w Polsce kwalifikacje i najlepsze tradycje, edytorskie właśnie.

ANDRZEJ KURZ

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

## O LUDWIKU KRZYWICKIM

Z zadowoleniem trzeba odnotować fakt coraz częstszego ukazywania się na rynku wydawniczym książek przypominających osiągnięcia badawcze dawnych uczonych, w tym także specjalistów z dziedziny społeczno – humanistycznej. Już przed pięćdziesięciu bez mała laty Andrzej Malewski zajął się niepokojącym zjawiskiem dezintegracji nauk społecznych, spowodowanym olbrzymim wzrostem liczby pracowników naukowych i liczby badań i publikacji, a co za tym idzie - trudnością ogarnięcia niezmiernie szybko narastającej literatury. Jednym z przejawów procesu dezintegracji jest rozpad nauk społecznych i poszczególnych dyscyplin, na przykład socjologii, na coraz większą ilość kierunków, szkół, specjalistycznych subdyscyplin, którym towarzyszy wzajemna izolacja. Doszło do tego, że dla objaśnienia pewnych sporadycznych faktów czy wydarzeń kreowano odrębne dyscypliny. W ten sposób, zdaniem Malewskiego, „wielokrotnie odkrywa się na nowo zależności od dawna już znane i w wyniku pracochłonnych i kosztownych badań dostarcza jedynie nowych ilustracji zamiast wyników, które by wzbogacały lub modyfikowały dotychczasową wiedzę o zależnościach rządzących ludzkim zachowaniem i funkcjonowaniem systemów społecznych”.

Najskuteczniejszym sposobem przeciwdziałania zjawisku dezintegracji nauki jest stworzenie teorii rozumianych „jako systemy twierdzeń ogólnych popartych przez wyniki systematycznych badań” oraz podniesienie poziomu stopnia systematyzacji nagromadzonej wiedzy. Takim przykładem porządną, kompetentną,

owocnej systematyzacji jest właśnie omawiana książka Józefy Hryniewicz. W jednym - obszernym wprawdzie, lecz nie przesadnie - tomie omówiła autorka, ale i przestudiowała dwieście prac Ludwika Krzywickiego poświęconych kwestii społecznej oraz kilkadziesiąt pozycji dotyczących jego twórczości.

Konstrukcja pracy jest rzec by można – wzorcowa. W obszernym wstępie do niej przedstawia autorka Krzywickiego jako uczonego o niezwykle rozległych zainteresowaniach poznawczych i niewiarygodnie obfitej wiedzy z zakresu socjologii, antropologii, archeologii, statystyki, ekonomii, demografii, psychologii społecznej, politologii, co udowodniał publikacjami i wykładami z tej tematyki. Był też niestrudżonym organizatorem nauki i oświaty, faktycznym twórcą słynnego Instytutu Gospodarstwa Społecznego oraz współorganizatorem Towarzystwa Kursów Naukowych, Wolnej Wszechnicy Polskiej, Głównego Urzędu Statystycznego, licznych towarzystw naukowych i czasopism. Pracowitość tego człowieka jest czymś absolutnie niepojętym. Inicjował nowoczesne przedsięwzięcia badawcze, m.in. konkursy pamiętnikarskie. Ludwik Krzywicki był od najmłodszych lat uczestnikiem ruchu niepodległościowego o nastawieniu lewicowym, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości działał aktywnie na rzecz unowocześnienia kraju, usprawniania państwa i jego instytucji. Trzeba przyznać, że jego zasługi dla dobra publicznego zostały jeszcze za jego życia dostrzeżone i uznane, przede wszystkim w środowisku intelektualnym, na-

tomiast polityczny establishment odnosił się do niego raczej z niechęcią.

Przedłużeniem wstępu jest kilkunastopięciowe wprowadzenie w problematykę pracy. Józefa Hrynkiwicz uzasadnia w nim trafność obranej metody podmiotowej, przedmiotowej i chronologicznej w przedstawieniu ewolucji poglądów Krzywickiego - z myślą o tym, aby ustalić czy sposób rozpatrywania przez niego kwestii społecznej może być przydatny w czasach współczesnych.

Rozdział I dotyczy zakresu i formy zainteresowania Ludwika Krzywickiego kwestią społeczną. Autorka zakłada, iż dla Krzywickiego polityka socjalna jest jednym z aspektów rozległego procesu „uobywatelniania się tłumów”, czyli – jak byśmy to dziś nazwali – uzyskiwania tożsamości obywatelskiej w kraju pozbawionym niepodległości. W sensie teoriopoznawczym rozpatruje kwestię społeczną jako zjawisko interdyscyplinarne, a więc wielobarwne, wieloaspektowe, pluralistyczne. Całościowej koncepcji kwestii socjalnej nie stworzył, m.in. dlatego, że problematykę tę uprawiał głównie w działalności publicystycznej, a nie ściśle naukowej. Swoje artykuły zamieszczał w osiemdziesięciu (!) gazetach i czasopismach polskich, co wymownie ilustruje rozmach w traktowaniu problemu. Autorka pisze, iż „po odzyskaniu niepodległości Krzywicki zaprzestał niemalże całkowicie działalności publicystycznej. Ogłaszał jedynie artykuły okazjonalne – wspomnieniowe, rocznicowe. Skupił się niemal wyłącznie na pracy naukowej i dydaktycznej”. Pełniąc od 1921 roku funkcję dyrektora IGS Krzywicki nadal zajmuje się problematyką opieki socjalnej, ciągle zresztą poszukując nowatorskich sposobów jej uprawiania. Autorka korzysta z okazji, iż rozdział ma charakter ogólnych rozważań, zamieszcza w nim przeto interesujące relacje na temat IGS i jego roli publicznej, na temat stosunku Krzywickiego do marksizmu i oceny jego twórczości na przestrzeni jego długiego życia oraz po jego śmierci.

W rozdziale II omawia autorka istotę i źródła kwestii społecznej w pracach Ludwika Krzywickiego. Na przełomie XIX i XX wieku kapitalistyczna rewolucja przemysłowa i techniczna osiągnęła swoje najwyższe szczyty, a wraz z nimi zaostrzyły się konflikty i sprzeczności między kapitałem i pracą do tego stopnia, że coraz bardziej realna stawała się wizja rewolucji. Potrzeba i konieczność dokonania reform socjalnych, które złagodziłyby najbardziej drastyczne przejawy niesprawiedliwości i krzywdy społecznej, były coraz powszechniej uznawane przez rządy burżuazyjne i opinię publiczną, zwłaszcza przez bliskie Krzywickiemu ugrupowania lewicowe. Zajmując się kwestią społeczną przez z górą sześćdziesiąt lat swej twórczości publicystyczno-naukowej bezustannie modyfikował on i unowocześniał swoje koncepcje dotyczące optymalnego programu zwalczania nędzy, ciemnoty i poniżenia. Wyróżniał wśród przejawów kwestii społecznej jej objawy przedmiotowe, tj. warunki bytu, bezpieczeństwo socjalne, sprawę zatrudnienia, mieszkaniową, oświaty, emigracji, oraz objawy podmiotowe, do których zaliczał kwestie: robotniczą, chłopską, kobiecą, ludzi starych, inwalidów pracy, mniejszości narodowe, w szczególności nabrzmiałą w Kongresówce kwestię żydowską. Proces rozwiązywania poszczególnych przejawów nierówności, nędzy, biedy i patologii społecznych z reguły rozpatruje Krzywicki w kontekście szerszych wymiarów ludzkiej egzystencji, a więc ogólnego postępu społecznego

(technicznego, antropologicznego i moralnego), harmonii w dynamice rozwoju sił wytwórczych i stosunków produkcji, łagodnym usuwaniu zatorów we wzajemnym oddziaływaniu bazy i nadbudowy, możliwie bezkonfliktowym mechanizmie powstawania i wędrowki idei, jako czynnika zmian społecznych. W zakończeniu tego rozdziału Józefa Hrynkiwicz przedstawia kierunki i prądy naukowe, głównie socjologiczne, zajmujące się kwestią społeczną, które Krzywicki krytycznie prezentował polskiej opinii czytelniczej.

W kolejnych dwóch rozdziałach, tj. III i IV, referuje autorka podmiotowe i przedmiotowe przejawy kwestii społecznej zgodnie ze schematem przedstawionym w rozdziale II. Fakty przedstawione w tej części rozprawy trzeba m.in. traktować jako przyczynek do historii społecznej II Rzeczypospolitej, która jawi nam się krajem wprawdzie wymarzonej niepodległości, ale zarazem państwem rozpaczliwie biednym, w którym – jak pisze Jerzy Krasuski – posiadanie roweru było świadectwem zamożności wtedy, gdy Zachód przeżywał boom samochodowo-autostradowy, zapyziałym, beznadziejnie ciemnym, rządzonym w sposób dziwaczny, a najczęściej - z małymi wyjątkami (E. Kwiatkowski, W. Grabski) - po prostu głupi i nikczemny.

Rozdział V poświęciła autorka omawianiu kwestii społecznej w programach konserwatywnych, w szczególności tzw. feudalizmowi przemysłowemu, w którego programie Krzywicki dostrzegał poważne niebezpieczeństwa dla klas i warstw upośledzonych. Chodziło tu o propozycje polepszenia sytuacji bytowej nieludzkim eksploataowanym mas - przez samych przedsiębiorców oraz przez interwencjonizm państwowy - i tym samym stworzenie skutecznej zapory przed groźbą żywiłowej, spontanicznej rewolucji. Krzywicki demaskował obłudę tych form klasowej filantropii, nazywając ją społecznie plugawą, i w zamian postulował tworzenie zrzeszonej samopomocy pracujących. Organizacje te miały stanowić rodzaj przedszkola przysposabiającego do życia w przyszłym ustroju bez prywatnych środków produkcji, bez wyzysku i bezrobocia.

W rozdziale VI poświęca autorka swoją uwagę zapatrywaniom Krzywickiego na temat warunków, jakie muszą być spełnione przy demokratycznym rozwiązywaniu kwestii społecznej. Są to: związki zawodowe, kooperatywy spożywców i wytwórców, oświata i samouctwo, służba społeczna i polityka społeczna.

Ostatni VII rozdział książki Józefa Hrynkiwicz, dotyczący poglądów Ludwika Krzywickiego wobec społecznej kwestii społecznej, jest podsumowaniem całości pracy i stanowi przekonujące potwierdzenie celowości jej wydania. Krzywicki nie doczekał epoki postindustrializmu i rewolucji technologicznej oraz powstania tzw. państw dobrobytu, które polityce społecznej wysoko rozwiniętych krajów kapitalistycznych nadały zupełnie nowe wymiary. Możliwości spełnienia wartości, o które całe życie trudził się Krzywicki, stały się czymś standardowym. Wyobrażam sobie, iż Krzywicki byłby gorącym zwolennikiem idei państwa dobrobytu, gdyż faktycznie był jej prekursorem.

Józefa Hrynkiwicz: *Kwestia społeczna w pracach Ludwika Krzywickiego*. Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2010, wydanie II rozszerzone i poprawione, s. 311

MAREK ZAGAJEWSKI

# LEWICOWA KRYTYKA TRANSFORMACJI

## Lewicowa krytyka a prawicowa apologetyka

Fachowa literatura i wszelaka publicystyka dotycząca transformacji ustrojowej w Polsce, w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, w samej Rosji i na obszarach byłego Związku Radzieckiego, w krajach Bliskiego i Dalekiego Wschodu oraz przemian w światowej skali jest gigantyczna. Wśród niej wyjątkowe miejsce zajmuje, opublikowana przed dwoma laty przez Wydawnictwo MUZA SA, wybitna monografia Tadeusza Kowalika [www.polskatransformacja.pl](http://www.polskatransformacja.pl), autora wnikliwych analiz reformy systemowej. Na podstawie obszernego, często szerzej nieznanego materiału faktycznego autor rozpatruje procesy gospodarcze z uwzględnieniem szerokiego kontekstu ideologicznego i politycznego. Kowalik, posługując się kryteriami właściwymi dla systemowych analiz ekonomicznych, zbadał polską transformację i wystawił jej negatywną ocenę z punktu widzenia efektywności i racjonalności gospodarczej.

Głównym walorem dzieła Kowalika [www.polskatransformacja.pl](http://www.polskatransformacja.pl) jest przenikliwy opis historii gospodarczych przemian ustrojowych w Polsce do czasu wstąpienia do UE (1 maj 2004) połączony z krytyką polityki reformy systemowej z rzadko spotykanych lewicowych pozycji teoretycznych. Autor napisał o tym wprost przypominając, że w połowie lat osiemdziesiątych „określał się mianem lewicowego socjaldemokraty” (s. 30), a w różnych miejscach książki można napotkać liczne odwołania do jego bogatej biografii akademickiej i politycznej, której apogeum szczęśliwie przypadło w czasie współczesnych przemian ustrojowych. Wziął w nich aktywny udział, jednak we własnym przekonaniu nie odniósł na tym polu specjalnych sukcesów, ponieważ w swych zabiegach o urzeczywistnienie idei socjalizmu w III RP, jakie podjął z nielicznym gronem sojuszników, napotkał w swoim środowisku zawodowym i otoczeniu politycznym zaskakująco silny opór zwolenników prawicowych rozwiązań ustrojowych.

W takim kontekście nie zaskakuje brak refleksji nad prawomocnością stosowania kryterium lewica/prawica w odniesieniu do życia gospodarczego czy sporu o prawicowy czy lewicowy charakter transformacji w ekonomicznym obszarze przemian. Równocześnie w toczącym się w życiu politycznym dyskursie transformacyjnym bezustannie odwołania do lewicy i prawicy brzmią zupełnie naturalnie. Gdyby z wypowiedzi i poglądów politycznych usunąć słowa „lewica” i „prawica”, stałyby się one całkowicie niezrozumiałe.

Na ogół uczestnicy debaty wokół transformacji ustrojowej w gospodarce starannie unikają odniesień do lewi-

cy czy prawicy, a perspektywa sporu między lewicowym a prawicowym ujęciem polityki gospodarczej wydaje się być czymś niewyobrażalnym. Tymczasem dzieło Kowalika dowodzi, że właśnie lewicowe spojrzenie na proces budowania „nowego ładu społeczno-ekonomicznego”, którego „kołem zamachowym” była firmowana przez tandem Sachs-Balcerowicz „terapia szokowa”, umożliwiło jego głęboką analizę.

Lewicowe przekonania Kowalika były intelektualnie zakorzenione w poglądach socjalistycznych Michała Kaleckiego i Oskara Langego, mistrzów jego edukacji ekonomicznej. Przekonanie, że należy traktować idee jako zasadniczy punkt odniesienia w działalności badawczej i politycznej autor zawdzięczał Stefanowi Czarnowskiemu koncepcji wiodącej roli „idei kierunkowych” w nauce, lekturą dzieł Ludwika Krzywickiego czy wreszcie wieńczącemu *Ogólną teorię zatrudnienia, procentu i pieniądza* przesłaniu Johna M. Keynesa, że światem rządzą idee. Keynes argumentuje, że „idee głoszone przez ekonomistów oraz myślicieli politycznych, bez względu na to, czy są słuszne, czy błędne, mają większą siłę, niż się powszechnie przypuszcza. W rzeczywistości one to właśnie rządzą światem”. A po krótkiej dygresji zamyka swe dzieło konkluzją, że „prędzej czy później właśnie idee a nie interesy i przywileje stają się groźnym orężem dobrej lub złej sprawy”<sup>1</sup>. Nasz przypadek zdaje się zatem potwierdzać, że tym razem jednak przeważały interesy i przywileje, które doprowadziły do zwycięstwa prymitywnej pojmowanej idei wolnorynkowej gospodarki w skrajnie prawicowym wydaniu.

Przed takimi rozwiązaniami przestrzegał właśnie Keynes, gdy w swym klasycznym dziele na początku intrygującego rozdziału „Uwagi końcowe o filozofii społecznej, do której mogłaby prowadzić ogólna teoria” podkreślił, że „Dwoma najważniejszymi wadami systemu społeczno-gospodarczego, w którym żyjemy, są: niezdolność do realizowania pełnego zatrudnienia oraz dowolny i niesprawiedliwy podział bogactwa i dochodów”<sup>2</sup>. A jednak nowy ład społeczno-ekonomiczny ma wpisane systemowo w mechanizmy transformacji dramatyczne rozmiary bezrobocia i gwałtowny wzrost drastycznych nierówności społecznych uniemożliwiający zaspokajanie materialnych potrzeb „głównych sił społecznych”. Zdaniem Kowalika w Europie od lat nieporównanie lepiej od nas radzą sobie oparte na modelu państwa opiekuńczego kraje skandynawskie czy Niemcy z ich społeczną

<sup>1</sup> M. Keynes, *Ogólna teoria zatrudnienia, procentu i pieniądza*, przeł. M. Kalecki, S. Raczkowski, Warszawa 1956., s. 498.

<sup>2</sup> Ibidem, s. 483.

gospodarką rynkową, która zresztą blankietowo została wpisana do naszej Konstytucji.

Podobnie program ekonomiczny *Porozumień Okrągłego Stołu*, Zespołu do Spraw Gospodarki i Polityki Społecznej z Władysławem Baką i Witoldem Trzeciakowskim na czele, zawarty w „Stanowisku w sprawie polityki społecznej i gospodarczej oraz reform systemowych”, zawierał alternatywny program rozwoju gospodarczego o bardziej prospołecznym charakterze niż zafundowana nam transformacja (która w „Stanowisku...” jeszcze nie występuje), ale w krótkim czasie został całkowicie zarzucony przez rząd Mazowieckiego.

Kowalik przypomniał, że w styczniu-lutym 1989 roku władze wysłały do Sztokholmu pod wodzą Jana Mujżela, wiceprzewodniczącego „przyrządowej” Konsultacyjnej Rady Gospodarczej, złożoną z dziewięciu ekspertów grupę studyjną, aby zbadać na ile możliwa jest w Polsce inspiracja szwedzkim modelem. Powstał liczący ponad siedemdziesiąt stron (wraz z kilkoma aneksami) pochwalny raport, który z niewiadomych przyczyn nie odegrał żadnej roli w trakcie Okrągłego Stołu, mimo udziału w obradach kilku uczestników grupy, w tym J. Mujżela, sygnującego wspomniane „Stanowisko...”.

#### Lewicowy protest – prawicowy ustrój

Kluczowe pytanie o charakter ustroju III RP nie znajduje łatwej odpowiedzi, jeśli przypomnieć, że punktem wyjścia nowego ładu społeczno-ekonomicznego był masowy protest robotniczy o lewicowym charakterze, na bazie którego w bardzo krótkim czasie ukształtował się masowy, wielomilionowy potężny ruch pracowniczy wzbogacony ideologicznie różnokształtnym i wielobarwnym ruchem społecznym.

Dramatyczny dysonans jest nie do uniknięcia jeśli zważyć, że Sierpień łączy się z lewicowym protestem pracowniczym, a ukształtowany pod dyktando neoliberalnej ekonomii wolnorynkowy ład społeczno-ekonomiczny łąduje pod „parasolem” związku zawodowego Solidarność, który firmuje antypracowniczą politykę gospodarczą. Ta sytuacja rodzi u Kowalika sprzeciw, podobnie jak u Karola Modzelewskiego, który dodatkowo wzwrócił uwagę na łatwość wyrażania się powstałej w solidarnościowej konspiracji „kombatanckiej wspólnoty” w „rzeczpospolitą koleśków”<sup>3</sup>. Należy uzupełnić, że to francuski dziennikarz Robert de Jouvenel opublikował w 1914 roku niewielki objętościowo pamflet, zawierający satyryczny obraz biurokracji i rządów Trzeciej Republiki *La république des camerades*, którego tytuł, a nie treść, zrobił w Polsce szaloną karierę w okresie transformacji<sup>4</sup>.

Modzelewski i Kowalik podjęli próbę wyjaśnienia, jak to było możliwe, że masowy lewicowy ruch pracowniczy przeprowadził transformację w stronę wolnorynkowego systemu gospodarczego pod neoliberalnym patronatem ideologicznym. To kluczowy problem, którego całościowe zbadanie jeszcze przed nami, ale pewne punkty odniesienia są naszemu autorowi doskonale znane i warte przypomnienia. Chodzi o bogatą literaturę podziemną, wśród której zwraca uwagę wykonany na zlecenie Wałęsy przez bardzo ciekawy zespół ekspertów, między innymi z udziałem Kowalika, *Raport: Polska 5 lat po sierpniu*, wydany w 1985 roku przez Solidarność. Dalej - o liczne fachowe publikacje Hayeka, von Misesa czy Poppera,

a także rozległą publicystykę, której znaczna część sprzyjała neoliberalnym koncepcjom ustrojowym. Istotną rolę odegrały w tej sprawie rozliczne, nie tylko akademickie, środowiskowe kręgi dyskusyjne, duszpasterstwa, kluby i koła afiliowane przy strukturach kościelnych oraz innych instytucjach, bacznie obserwowane przez rozmaite krajowe i zagraniczne instancje, często sprzyjające krzewieniu niekoniernie utopijnych neoliberalnych koncepcji.

W końcowej fazie PRL nie kto inny jak premier Mięczyński F. Rakowski odbywał swoiste tournée po kraju i na spotkaniach aktywno partyjno-gospodarczego mobilizował towarzyszy do aktywności pod hasłem „bogaćcie się”. W działaniach władz widoczny był duży pośpiech i niecierpliwość w oczekiwaniu na szybkie efekty, ponieważ na Kremlu, już od połowy lat osiemdziesiątych, istniała koncepcja traktowania polskiej transformacji jako „laboratorium reform ustrojowych”.

W tym kontekście historycznym Kowalik publicznie w 1996 roku określił solidarnościową rewolucję jako „epigońsko-mieszkańską”, a ukształtowany w jej wyniku ład społeczno-ekonomiczny jako „jeden z najbardziej niesprawiedliwych ustrojów społeczno-ekonomicznych w Europie w drugiej połowie XX wieku” (s. 5). Nawiasem, jak wspomina Kowalik, ta ocena dotarła do Mazowieckiego, który w przelotnej, ale publicznej z nim rozmowie w 1999 roku, dyplomatycznie zanegował krytyczną ocenę swego premierostwa dokonaną przez wieloletniego przyjaciela, uchylając się zarazem od jakiegokolwiek merytorycznej wymiany poglądów. Na poparcie swego radykalnego stanowiska Kowalik przywołał opinię amerykańskiego lewicowego politologa Davida Osta, wedle którego w Polsce ukształtował się system społeczny nader odległy od północnoamerykańskiego i brytyjskiego wzorca kapitalizmu liberalno-demokratycznego<sup>5</sup>, co oznaczało opieczętowanie ustroju czasów transformacji prawicowym stemplem.

Dyskusja o ładzie społeczno-ekonomicznym czasów transformacji odnosi się do najogólniej rzecz ujmując stanów przejściowych, z czego wynika, że zarówno gospodarka, jak i polityka gospodarcza w okresie przemian, ma, także w oczach Kowalika, „mieszany charakter”, a zatem mamy i „mieszany ustrój”.

Nieco żartobliwą, choć nie pozbawioną teoretycznego namysłu, próbkę takiego stanowiska dostarczył ostatnio w publicystycznym wystąpieniu Andrzej Dybczyński, politolog średniego pokolenia z Uniwersytetu Wrocławskiego, który wywołując prasową debatę o kondycji macierzystej uczelni metaforycznie określił system jej funkcjonowania jako „mieszankę feudalizmu, kapitalizmu i socjalizmu. Mieszankę najgorszych cech każdego z tych systemów. Uczelnia utrwała feudalną zależność młodszych pracowników naukowych od pracowników samodzielnych, nie oferuje jednak opieki seniora nad wasalem. Oczekuje się kapitalistycznej wydajności pracy przy zachowaniu socjalistycznych wynagrodzeń. Konserwuje się socjalistyczne wzorce biurokratyczne, jednocześnie likwidując socjalistyczne przywileje socjalne (z trwałością zatrudnienia na czele)”<sup>6</sup>. W efekcie uniwersytet jest własnością wspólnoty profesorów a na czele rządzącej nim hierarchii mieści się rektor w roli ce-

<sup>3</sup> Por. K. Modzelewski, *Dokąd od komunizmu*, Warszawa 1993, s. 26.

<sup>4</sup> Por. R. de Jouvenel, *Rzeczpospolita koleżków*, Wrocław 1993.

<sup>5</sup> Por. D. Ost, *Kłęska „Solidarności”*, przeł. H. Jankowska, Warszawa 2007.

<sup>6</sup> Por. A. Dybczyński, *Nie chcę dłużej żyć w średniowieczu*, „Gazeta Wyborcza”, Wrocław 29-30 stycznia 2011.

sarza, poniżej dziekan wydziału jako król, a dyrektor instytutu to książę feudalny. Ta sarkastyczna metaforyka udatnie oddaje sposób funkcjonowania ważnego fragmentu życia społecznego, a można jej śmiało użyć przy opisie jego innych obszarów.

Sztandarem ideowym naszych liberatów w czasach konspiracji było podziemne wydanie dzieła Poppera *Spółeczeństwo otwarte i jego wrogowie*. Sir Karl Popper 29 lipca 1994 r., zaledwie półtora miesiąca przed swoją śmiercią, udzielił badaczowi i tłumaczowi jego prac Adamowi Chmielewskiemu niezwyklego wywiadu, który mimowolnie stał się swego rodzaju duchowym testamentem. Między innymi znalazła się w nim odpowiedź na pytanie o ocenę przebiegu transformacji w krajach środkowo-europejskich, której rezultaty doprowadziły do masowego rozczarowania polityką liberalizmu gospodarczego i kwestionowania zasady wolnego rynku jako dogmatu. Ponieważ wywiad ten nie jest zbyt szeroko znany, warto przytoczyć jego większy fragment. „Ja nadal wierzę, odpowiedział K. Popper, że wolny rynek jest konieczny. Ale wierzę również, że robienie bożka z zasady wolnego rynku jest zupełnym nonsensem. Jeżeli wolny rynek nie funkcjonuje, wówczas rzeczy, które są produkowane, w istocie nie są produkowane dla konsumenta. Konsument może je nabyć albo nie. Ale nie to jest sprawa najważniejsza. Sprawą najważniejszą, sprawą fundamentalną jest humanitaryzm w polityce gospodarczej.

Gdzieś do 1965 roku za główne zadanie stojące przed ekonomistami uważano problem pełnego zatrudnienia. Ale począwszy od tego roku, ekonomiści dali za wygraną i przestali traktować ten problem jako swoje główne wyzwanie. Uważam to za wielki błąd. Nie sądzę, aby był to problem nie do rozwiązania. Może to być problem trudny, ale na pewno nie jest to problem nierozwiązywalny.

Naszym najważniejszym zadaniem jest pokój. Zadaniem drugim jest to, aby nikt nie był głodny. Zadaniem trzecie – to w miarę pełne zatrudnienie. Naszym czwartym zadaniem jest oczywiście edukacja<sup>7</sup>.

Ta zaskakująca dla wielbicieli neoliberalnie pojmowanej gospodarki wolnorynkowej wypowiedź pokazuje, że właśnie dzięki liberalnemu dziedzictwu Popper uznał humanitaryzm za jedynie sensowną podstawę polityki gospodarczej państwa, które jako aktywny podmiot polityczny ma służyć rozwiązywaniu podstawowych problemów społecznych.

### Transformacja trwa!

Słowo transformacja stało się tak dalece nieodłącznym elementem współczesnego dyskursu, że zapewne aktualny wariant *Manifestu komunistycznego* mógłby rozpocząć się tak oto: „Cała dotychczasowa historia jest historią transformacji ustrojowych”; a w kontynuacji wystarczy miejscami wprowadzać do oryginalnego tekstu święte słowo. Ale tak się zrobić nie da, ponieważ, jak pisze Kowalik, dopiero w 1944 roku austriacki uczyony Karl Polanyi w *The great transformation* (reedycja 1964) użył pojęcia transformacji do analizy ewolucji społeczno-gospodarczej gospodarki naturalnej czasów starożytnych do rynkowej i kapitalistycznej, z naciskiem na przejście do kapitalizmu w ogóle. Wedle Kowalika

tak należy rozumieć pierwsze znaczenie transformacji w sferze gospodarczej, w sensie międzyustrojowego przekształcenia. Kolejne dotyczy przemian wewnątrz ustrojów a trzecie i ostatnie opisuje ciągły proces przekształceń instytucjonalnych, przebiegających żywiołowo lub świadomie kierowany za pomocą reform.

Wynika stąd, że transformacja w rozmaitym tempie toczy się bezustannie, przejawiając się także w reformach gospodarki słusznie, ale nieskutecznie zapomnianego ustroju. Kowalik przez całe lata, nie bacząc na nieprzychylność władz, jako człowiek o nastawieniu socjaldemokratycznym domagał się, i czyni to nadal, daleko idących zmian z korzyścią dla środowisk pracowniczych.

Niezmiennie Kowalik występuje w obronie interesów „płacobiorców”, zwyczajowo nazywanych pracobiorcami, niezmiennie wyzyskiwanych przez pracodawców, czyli „zyskobiorców”, których rolę trafnie odsłania używana przezeń terminologia. Taki opis osłabia skuteczność prymitywnego kamuflażu zawartego w znanej formule, że „pracodawca daje pracę za własne pieniądze”, która sprytnie pomija rolę kapitału jako podstawy prywatnej działalności gospodarczej. Sednem transformacji jest prywatyzacja państwowej gospodarki, często za wszelką cenę, także z udziałem zagranicznych państwowych firm kapitalistycznych, jako sposób zwiększenia dynamiki wzrostu gospodarczego czy wymogów międzynarodowej konkurencyjności, chociaż oficjalna propaganda głosi wyższość prywatnej własności nad państwową.

Elity gospodarcze i polityczne w imię racjonalności gospodarowania domagają się ograniczenia praw związkowych, zwiększenia roli rynku czy zmniejszenia podatków a zarazem maksymalnych ulg dla przedsiębiorców. Wśród nich dominuje z trudem skrywany apologetyczny stosunek do polityki transformacyjnej i domaganie się „państwa opiekuńczego” dla prywatnych i w drugiej kolejności państwowych pracodawców. Fundamentalna pochwała prywatno-własnościowej transformacji ustrojowej połączona z krytyką jej zapóźnień pod hasłem „więcej transformacji w transformacji”, w domyśle w interesie „zyskobiorców” kosztem pracowników najemnych, znamionuje prawicowy punkt widzenia na gospodarkę. Lewica staje zawsze po stronie „świata pracy”, gdy prawica jest rzecznikiem interesów „świata kapitału”.

X

Na zakończenie należy koniecznie zaznaczyć, że Kowalik z niezrównaną swadą, rzeczowo i erudycyjnie posługując się żywą narracją opisuje, komentuje i analizuje bieg zdarzeń najnowszej historii Polski, toczący się w rytmie niemal powieści sensacyjnej, gdzie każda udokumentowana informacja wymaga starannej weryfikacji, konfrontacji i analizy porównawczej a dociekanie prawdy przypomina niemal detektywistyczne postępowanie wedle znanego schematu „po nitce do kłębka”. Na dodatek od zeszłego roku lektura książki Kowalika może być jeszcze bardziej inspirująca i pasjonująca, jeśli połączyć ją ze studium wyjątkowo wartościowego i unikalnego, liczącego ponad tysiąc stron, opracowanego pod jego redakcją, zbioru tekstów w zdecydowanej większości niepublikowanych lub trudno dostępnych, a zatytułowanego *Stanisław Gomulka i transformacja polska. Dokumenty i analizy 1968-1989*, na które autor często się powołuje w [www.polskatransformacja.pl](http://www.polskatransformacja.pl).

<sup>7</sup> *Przyszłość jest otwarta*. Rozmowa z Sir Karlem Popperem. Rozmowa: A. Chmielewski, w: A. Chmielewski, *Filozofia Poppera. Analiza krytyczna*, Wrocław 1995, s. 244.

JERZY WENDERLICH

# JERZY POLKOWSKI

Był zafascynowany „Zdaniem”. W latach 80., kiedy rzeczywiście odwaga była w cenie, a pismo było forpocztą wolnych myśli, w częstych rozmowach, z jakimś płomieniem na twarzy analizował już nie każdą publikację, a każdy wręcz akapit. Jeśli więc pomógł „Zdaniu”, o czym zresztą nie wiedziałem mimo naszej bliskości – i gdyby nie redaktor Chudziński, zapraszający mnie do wspomnień o nieżyjącym od dwóch lat Jurku, nie wiedziałbym nadal – to spłacił swój sentyment z lat naszej młodości. Potwierdził swoją fascynację pismem i środowiskiem, które je tworzy.

Dobroci rozsyłał wokół siebie dużo. Nie lubił o tym mówić i peszyło Go, kiedy był chwalony. Ilu osobom pomógł? Już się pewnie nie dowiemy. A czynił to na wiele sposobów. Pamiętam, jak wspierał wielkiego malarza, podupadłego na zdrowiu i żyjącego bardzo biednie. Kupił więc od niego stare grafiki, leżące gdzieś w piwnicy i przywrócił tego człowieka do życia. A kiedy chodził na aukcje, to zawsze najpierw interesował się, na jaki jest ona cel. Najwięcej wylicytowywał obrazów ze słynnej Międzynarodowej Galerii Twórczości Dziecka w Toruniu i jej konkursów, tam nie żałował pieniędzy.

Poznałem Go w połowie lat 70. Byłem wówczas w studenckim piwnicznym ruchu, a tam zawsze było kolorowo, barwnie i wesoło. Naszych kolegów z Rady Uczelnianej mieliśmy za wykrawatowanych ważniaków. Jeden z nich pojawił się u nas ... i został. Był inny. To był właśnie Jurek Polkowski. Dalej był w RU, ale swoje wizje i pomysły realizował już razem z nami w takiej artystowskiej formie. Szybko stawał się kimś na uczelni, autorytetem. Miał przy tym niebywale pogodne usposobienie, wielką skłonność do żartów i bonmotów, co nie przeszkadzało w powierzaniu Mu obowiązków jak najbardziej poważnych. Kierował komisjami socjalnymi, stołówkowymi. Zawsze dobrze wiedział, gdzie jest bieda i nigdy nie rekomendował świadczeń „po uważaniu”, a kierował je tam, gdzie były naprawdę potrzebne. Jak On to robił – do dziś nie wiem.

Przywykliśmy, że kierownikami domów studenckich są zawsze ludzie dorośli, dojrzali, by pilnować niesfornych studentów. No i raptem, jak grom z jasnego nieba, spadła na nas informacja, że Jurek Polkowski, jeszcze student, został etatowym kierownikiem największego domu studenckiego w Bydgoszczy. Wszystkim się wydawało, że teraz hulaj dusza, piekła nie ma. A tymczasem On wprowadził atmosferę swobody, ale dyscypliny nie ubyło. Za to przybywało nowych inwestycji i jakichś nowych elewacji. Pojawiali się fantastyczni goście, dom studenta stał się przy okazji klubem studenckim, w którym znalazł się i jazz, i wiele dobrych koncertów, mimo że warunki lokalowe nadzwyczajnie przecież nie były. Prowadził ten akademik jak starszy brat, który przy olbrzymiej życzliwości dla współbraci pozwala na wiele, ale nigdy ponad normę i nigdy bez żadnych granic. To budowało mu pozycję i umacniało Jego koleżeńską

markę, tworzyło wizerunek człowieka utalentowanego i odpowiedzialnego. Ktoś dowiedział się o tym w Toruniu i tenże, najmłodszy chyba wtedy w Polsce kierownik domu studenckiego, dostał propozycję zostania wicedyrektorem renomowanego Teatru Wilama Horzycy, gdzie dyktował wówczas wielki Marek Okopiński.

To był początek trudnych lat 80. W sklepach wprawdzie nie sam ocet, jak głosi czarna legenda PRL, ale przecież niewiele, a On w tym czasie przeprowadza największy w historii remont teatru. I odnawia go wiernie. W starej dokumentacji wyczytał, że po wybudowaniu tego historycznego teatru fragmenty balkonu obkładano płatkami złota. Więc co robi? Zdobywa je. Mniej więcej wiem, jak to zrobił. Bywał i w najwyższych urzędach, i wielkich muzeach, bywał i na plebaniach, gdzie z kieliszkiem w rękę siedział tak długo, jak trzeba było. Przywoził wszystko co potrzebował, a nie to, co można było dostać. Pamiętam entuzjastyczne publikacje o tym, czego dokonał w czasie, kiedy wybudowanie zwykłej altanki było niebotycznym problemem. Doceniono jego talent i został jednym z najmłodszych wiceprezydentów Torunia. Kiedy w innych miastach stare miejsca zalewno asfaltem, bo tak było najłatwiej, w Toruniu zaczęły się pojawiać historyczne brukowane trakty. Założył Toruńską Fundację Odnowy Zabytków. Niestety, później zawiść urzędnicza i przekonanie, że funkcje powinien mieć ten, kto bliżej władzy, a nie ten, kto zdolniejszy, spowodowały, że Jurek – jak mówił – spakował zabawki i zaczął działalność na własną rękę.

Także tutaj Jego talent przynosił niespodziewane rezultaty. Założył quasi Pewex i rozwinął go jak jakiegoś londyńskiego Harrodsa, uruchomił wspólnie z fabryką pierników jeden z pierwszych konkursów ze zdrapką. O konkursie z małych wafelków mówiła cała Polska. Ci, którzy wygrywali, uczestniczyli dalej w konkursach rysunkowych na temat pierników, czy czegoś tam, co wymyślił; dzieci, które wygrywały te konkursy, jeździły na wycieczki zagraniczne.

I tak budował, cegła po cegle. Przy swoim olbrzymim talencie i niezwyklej pracowitości, jak król Midas, czego nie dotknął – zamieniał w złoto. Aż wreszcie wszedł w posiadanie jakiś starych maszyn drukarskich, stare zamieniał na młodsze, młodsze na jeszcze młodsze i stworzył wielki kompleks poligraficzny – jedną z największych drukarni w Polsce: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex”.

Był z jednej strony romantykiem, a z drugiej pozytywistą. Czuli i dobry wobec tych, którzy wpadli w życiowe turbulencje, potrafił być bezwzględny wobec leni i tych wszystkich, którzy uważali pracę tylko za dodatek do życia. Bo też pracę rozumiał i cenił jak mało kto. Może dlatego, że pochodził z ubogiej rodziny i nikt mu nigdy niczego nie dał. Miał tylko własną głowę, własne ręce, niezwykle silną osobowość i determinację. Kie-

dyś szukał dla mnie jakiegoś dokumentu w domowych zakamarkach i wydobył przy okazji stare szkolne świadectwa. To była trudna szkoła, jakieś bardzo skomplikowane technikum. A tu oceny bardzo dobre od góry do dołu. Wtedy zrozumiałem, że ten dobry, pełen emocji człowiek nie był jedynie samorodnym talentem, a dochodził do wszystkiego sam ciężką pracą.

A jakie miał przyjemności? Dzień lubił rozpocząć od przejścia się po fabryce i dla Niego to była filharmonia. Słuchał, jak grają maszyny, czy to jest jakieś wolne largo, czy może jakieś allegretto, przy którym się cieszył, czy jest to ciche piano, czy może jakieś fortissimo i tutti, czyli granie wszystkich maszyn. Widziałem, jak ten szum maszyn w różnych miejscach jego firmy różne uczucia w Nim wzbudzał. Nikt nie potrafił wpadać w gniew, jak On, ale też i chwili tylko trzeba było, aby o tym zapomniał i był przyjacielem wszystkich.

Nie osiągnąłby tego wszystkiego – na pewno – gdyby nie Jego żona i życiowa partnerka Jola, gdyby nie to, że siłę czerpał jeszcze i ze swoich dzieci Joanny, Szymka i Marcina, Widziałem rozpacz Joli po śmierci Jurka, a dziś ją widzę taką, jakby upodobniła się do Niego w intensywności i w charakterze. Kiedy na nią patrzę to znowu widzę Jurka Polkowskiego i wiem, że ta śmierć nie zabrała wszystkiego. Wiele po Jurku zostało.

Powtórzę: romantyk i pozytywista jednocześnie, człowiek wielu namiętności, człowiek - najwspanialszy puzzel, jakiego znałem, złożony z najbardziej nieprzewidywalnych, ale jakże pięknych kawałków.

Kiedy myślę o najpracowitszym człowieku, jakiego znałem - to Jerzy Polkowski; kiedy myślę o najbardziej uczciwym człowieku, jakiego znałem - to Jerzy Polkowski. Cieszę się, że kwartalnik „Zdanie” poświęca Mu swoje łamy.

## POŻEGNANIE J. DIENSTBIERA

Od kilku dni nie ma już Jirzego Dienstbiera. Żegnamy Cię ze smutkiem, pamiętając jednak, że nie pozwoliłbyś nam rozpacząć za bardzo. Jirzi kochał bowiem życie jak nikt inny i miał niezwykle poczucie humoru. Był królem każdej sytuacji i każdego towarzystwa, ale królował z umiarem i dyskretną ironią.

Gdy jeden z niżej podpisanych uciekł w Sude ty, Jirzi przygotowywał był właśnie słynną Kartę 77. Był najbardziej klasycznym z klasycznych dysydentów. Kto dziś wie, co to słowo naprawdę wtedy znaczyło? Może drugi z tu podpisanych, który czytał i rozpowszechniał tekst Karty. Czy ktoś dziś – zwłaszcza z tych młodszych - rozumie, co to była „formacja zbuntowanych komunistów”? Z początku zafascynowanych niemal boskim projektem ogólnej sprawiedliwości? Buntujących się po rozczarowaniach '56? I walczących po tym, gdy „Wiosenne Marzenia” obrócone zostały w pulpę? Ileż to lat stracił – kochający życie – buntownik Jirzi Dienstbier? W imieniu doktryny Breżniewa walnęła go pała naszych niezwyciężonych armii w '68 i trwał w swej konsekwentnej opozycji przez ponad 20 lat, poprzez dyskryminację, represję i więzienie.

Wielki człowiek, który zanim został pierwszym ministrem spraw zagranicznych Czechosłowacji po „aksamitnej rewolucji”, spotykał się na Śnieżce z Michnikiem, Lityńskim, Janasem, a gdy zjawił się w Polsce na zaproszenie ministra Skubiszewskiego wszyscy – i z lewa, i z prawa – biliśmy mu brawo.

Dziś (15 styczeń 2011), w imieniu Jego kolegów, a także w imieniu Prezydenta RP, Janek Lityński uczestniczy w pogrzebie Jirzego. Niewielu w Polsce ma do tego tytuł. Stali kiedyś razem na szczycie Śnieżki, siedzieli w pierdłu jako zwykli kryminaliści, dyskutowali „w krzakach” koło Łądko Zdroju, by pojawić się po latach z honorami na Ziemi Kłodzkiej.

Był bowiem Jirzi Dienstbier – toutes proportions gardées – honorowym obywatelem naszej wsi Wójtowice. Małego sudeckiego sioła oddalonego od granicy

polsko-czeskiej o 1845 m. Związane z tytułem tym przywileje wypisaliśmy mu na pięknym czerpanym papierze z Muzeum w Dusznikach. Tu, w Wójtowicach, w naszej Stodole Europejskiej, A.D. 2002 zorganizowaliśmy konferencję V4, kiedy to wszyscy, i On, i premier Słowacji Jan Czarnogorski wraz z wicepremierem Palem Csaky, z ministrem SZ Węgier Gezą Jeszenszkym, z Onyszkie wiczem i Janasem oraz 80 innymi osobistościami z Mittel Europy podpisaliśmy apel o przyzwoite traktowanie nas przez Unię Europejską. Uznaliśmy V4 za model współpracy regionalnej. Był 15 sierpnia, było + 30 C, byliśmy w krótkich spodenkach i pepegach, co J. Dienstbier skwitował: „nie podpisałem nigdy tak ważnego dokumentu w majtkach, po paru piwach, i do tego jeszcze – w stodole”.

Wpływowo tygodnik kłodzki „Euroregio Glacensis” wysłał na to wydarzenie ekipę wraz ze swym naczelnym B. Bieńkowskim i ma w swym archiwum serię znakomych zdjęć. T. Grabiński z „Gazety Wyborczej” posadził w Stodole Jirzego i J. Czarnogorskiego i odpowiednio ich przepętał, niżej podpisani wraz z K. Mroziewiczem z „Polityki” moderowali 3 różne panele, ówczesny rząd SLD, a także Urząd Prezydenta RP, całkowicie zignorowali wydarzenie, ale za to wszyscy razem posadziliśmy na zboczach przy winnicy 4 wyszehradzkie świerki, piąty dosadzili przyjaciele Kotliny Kłodzkiej, Sudetów i Dolnego Śląska Peter Ohr (konsul generalny Niemiec) i Reiner Sachs (konsul ds. kultury).

Na zakończenie wiceminister SZ Węgier, b. ambasador w Warszawie Ivan Baba zaprezentował swą doskonałą polszczyzną kilka niezwykle win z regionu Eger.

Naszemu Jirziemu jednak smakowało przede wszystkim piwo „Piast”. Świetlisty napój z odrobiną gorzycy w tle. Jak Twoje życie, drogi Przyjacielu.

Krzysztof Komornicki  
Jan Waszkiewicz

# „KOWADŁO”

## DLA ZYGMUNTA BAUMANA

To jest pierwsze spotkanie Zygmunta Baumana i „Kuźnicy”. Pierwsze, ale w obecności tak wielu i tak młodych. A to dla Zygmunta Baumana i dla „Kuźnicy” radość prawdziwa - mówił na uroczystości wręczenia „Kowadła” Andrzej Kurz. - Jednak siłą sprawczą tego spotkania jest trwające długie lata poczucie więzi ludzi „Kuźnicy” z tym, co Zygmunt Bauman od dziesięcioleci tworzy i reprezentuje. Więzi płynącej z naszego zainteresowania, podziwu, akceptacji i wreszcie chęci dania temu wyrazu poprzez Kowadło.

„Kuźnica” wręcza je tylko tym, których uważnie słucha i czyta, aby uznać za swych przewodników – w myśli, w działaniu twórczym, a także w niepokoju poszukiwań, w sile moralnej i konsekwencji. W ciągu ostatnich dwudziestu lat poczet laureatów „Kowadła” wzbogacił się o Andrzeja Walickiego i Karola Modzelewskiego, ks. Stanisława Musiała i Jacka Kuronia, Wiesława Myśliwskiego, Olę Lipińską i Jerzego Trelę, Ewę Łętowską, Mieczysława Rakowskiego i Aleksandra Małachowskiego, Adama Schaffa i Lucjana Motykę, Henryka Markiewicza i Andrzeja Romanowskiego.

Zygmunt Bauman jest wśród laureatów „Kowadła” postacią wręcz symboliczną. „Kuźnicę” tworzą od lat 35 z górą ludzie poruszający się w sferze myśli twórczej, kultury i edukacji, złączeni systemem humanistycznych wartości i poszukiwaniem dróg społecznej sprawiedliwości. Ludzie wywodzący się z trzech pokoleń: tego, które świadomie i w zaangażowaniu przeżyło wojnę i powojenne budowanie na ruinach; tego, które tworzyło Polskę Października’56 i tego, które dążyło do dobrej zmiany i kompromisu Okrągłego Stołu, kompromisu rozumianego nie jako chwila równowagi, po której zwycięzca bierze wszystko, lecz jako porozumienie na długo, dla dołączenia do Europy wspólnego domu i praw człowieka.

Dla każdego z tych pokoleń Zygmunt Bauman jest nie tylko współtowarzyszem drogi, ale myślicielem samodzielnym i odważnym, pełnym odpowiedzialności, takim na którym można polegać. Współtowarzyszem, który przeżył z nami niedolę i rozpacz, wojnę i Zagładę, a potem nadzieję pokoju, czas bezdusznej sytości i bezwzględności oraz wielki niepokój o przyszłość.

Jest współtowarzyszem drogi, który pomaga nam ten zmieniający się świat objąć. A „Kuźnica” jest stowarzyszeniem ludzi, którzy chcieli i wciąż chcą świat sobie objąć. Przede wszystkim objąć, ale po to przecież, aby iść ku dobrej zmianie i w tej dobrej zmianie Polsce i ludziom pomagać.

Zygmunt Bauman – ucozony – wyszedł ze szkoły socjologicznej Juliana Hochfelda i Stanisława Ossowskiego. To szkoła szczególnego rodzaju humanizmu, powiązanego ideowo z polskim socjalizmem, ruchem zrodzonym i okrzepłym już w wieku XIX, ruchem, który

stał się główną siłą napędową walki o polską niepodległość. O wolność, równość i niepodległość.

Szkoła Juliana Hochfelda na warszawskim uniwersytecie – trzydziestolatki: Zygmunt Bauman, Maria Bielińska-Hirszowicz, Włodzimierz Wesołowski, Jerzy Wiatr – rozwijała wielkie tradycje polskiej myśli socjologicznej, nie pozwoliła zamknąć się w okowach dogmatów i stworzyła myśl Października’56, ruchu który doprowadził Polskę do połowy drogi do pełnej niepodległości, osiągniętej w roku 1989.

Zygmunt Bauman wyszedł z tej szkoły i stał się wkrótce wielką postacią światowej socjologii. Tej, która nie zamyka się w swych ciasnych granicach, lecz przenika się z filozofią i historiozofią, historią idei, literaturą i sztuką. Zawsze zresztą, od pierwszych swych książek z końca lat 50. i początku 60., był rozpoznawalną indywidualnością, był samoswój.

Ogrom tego co przeżył, tego co przeczytał i tego co przemyślał, imponuje. Bauman czyta wszystko, co powinien i co zechce. Porusza się swobodnie wśród największych języków a dzięki temu i wśród największych literatur i kultur świata.

Wychowany w rodzinnym Poznaniu, dojrzały w Warszawie otwierającej się wówczas na świat cały, jego prądy intelektualne i nowiny kulturalne, związany na zawsze z polszczyzną, odnajduje się w wielu językach i wielu kulturach. Także w rosyjskiej, niemieckiej i francuskiej. Osiadł w angielskiej. W Anglii, w swoim Leeds, mieszka równie długo jak w Polsce – 40 lat. Może tylko Francja jest dla niego, jak zresztą dla wszystkich i chyba dla samych Francuzów – nieodwzajemnioną miłością. Choć i tutaj coś się zmienia. Wydano ostatnimi czasy osiem jego książek po francusku. Ale to mniej niż opublikowało ich jedno Wydawnictwo Literackie w Krakowie.

Lista lektur, które Zygmunt Bauman komentuje w swych wypowiedziach, jest nieprawdopodobnie wielka. W tym mieści się kanon literatury pięknej światowej i polskiej, z Gombrowiczem, Mrożkiem i Lemem. To sprawia, że główny wydawca tych trzech ostatnich ma satysfakcję, że publikował ich w nakładach dziś niewyobrażalnych, przekraczających milion. Ale są na tej liście lektur również młodzi polscy pisarze ery już ponowoczesnej. I tu stary wydawca – emeryt może tylko zamilknąć z podziwu.

Bauman zawsze dążył do władztwa nad językiem jako głównym instrumentem poznania i porozumienia, ale i podstawowym narzędziem ekspresji nauczyciela, który chce przekazać jak najwięcej i potrafi to zrobić. A jest nade wszystko nauczycielem, od dawna już nauczycielem nauczycieli.

Ale również bliski jak języki i kultury światowe jest mu język uniwersalny - innych wrażeń i sztuk wszela-

kich. We wchodzeniu w głąb człowieka pomaga mu nawet, uprawiana nie tylko jako forma odprężenia, sztuka fotografii czarno-białej. Wiele więc w nim talentów, a może też, i na przekór wszystkiemu, szczęścia. Bo było nim przecież życie aż do końca z człowiekiem niezwykłym a oddanym - żoną Janiną.

Kiedy zastanawiamy się nad Zygmuntem Baumanem jako myślicielem spajającym swoją biografią i swoją twórczością te trzy polskie pokolenia, z których także wywodzą się ludzie „Kuźnicy”, nie potrafimy oderwać się od przeszłości. Jak nam to bowiem wciąż przypominają, również pokolenie roku 1989 reprezentuje już przeszłość i do niej przechodzi.

A przecież Zygmunta Baumana od dawna zaprzęta przede wszystkim teraźniejszość i przyszłość, to, co nazywa, a my w ślad za nim, erą płynnej nowoczesności. Ma o niej tyle do powiedzenia i, co najważniejsze, jest słuchany przez tych, dla których perspektywa dwudziestu lat wydaje się nieznośnie odległa, a którzy tworzą tę właśnie współczesność i przyszłość. To wasze pokolenie nadaje już współczesności nową jakość – ale czy lepszość?

Bardziej niż o odpowiedzi idzie tu o postawienie pytań. Zygmunt Bauman je stawia. A zarazem przestrzega przed produkowanymi masowo i powszechnie uwodzicielskimi pokusami i manipulacjami, a przede wszystkim przed starymi i nowymi postaciami społecznej nierówności i niesprawiedliwości, przed światową groźbą destrukcji i autodestrukcji.

To tylko garść rozważań o Zygmuncie Baumanie, człowieku, z którym spotkałem się we wspólnej działalności na Uniwersytecie Warszawskim już w roku 1953, z którym dzieliłem wówczas uczucie szczególnego szacunku dla Juliana Hochfelda, również mojego nauczyciela, choć nie tyle zawodu, ile spojrzenia na świat. Julian Hochfeld, który właśnie tu na Uniwersytecie Jagiellońskim kształtował, podobnie jak jego kolega Oskar Lange (wielkie nazwisko tym razem z dziedziny ekonomii) swój intelekt i swoją, zawsze lewicową, postawę życiową.

Książka Juliana Hochfelda na nędznym papierze i z lichą okładką, pt. „My, socjaliści”, którą, piętnastolatkiem, przeczytałem w roku 1947, była dla mnie iluminacją i stanowiła viaticus na bardzo długą, jak się okazuje, drogę życia. Zaś książki Zygmunta Baumana z końca lat 50. i pierwszej połowy lat 60. (oczywiście ubiegłego wieku) odegrały ważną rolę w moich próbach naukowych i zawodzie akademickiego nauczyciela.

Nie odważyłem się mówić, nie mam po temu kompetencji, o późniejszej drodze Zygmunta Baumana – uczonego i nauczyciela – prowadzącej na szczyty, do pozycji uznawanego przez świat mentora. Starłem się wydobyć to, co było znaczące dla wspomnianych trzech pokoleń Kuźniczan i co przywiodło Radę „Kuźnicy” do decyzji, którą sformułował nasz prezes, Hieronim Kubiak. I która umożliwiła nam przeżyć ten dzień radości – spotkania i nadziei, że możliwa jest, widoczna na tej sali, nasza więź z pokoleniem przyszłości, a tym, który tę więź przędzie wytrwale jest Zygmunt Bauman.

*Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”*

*przyznaje*

*Profesorowi Zygmuntoowi Baumanowi*

*Honorową Nagrodę Kowadła*

*w uznaniu Jego*

*wrażliwości na społeczną nierówność i odwagi intelektualnej,  
twórczego wkładu w rozwój polskiej i międzynarodowej myśli,  
kontynuującej najświetlejsze tradycje oświecenia*

*oraz*

*misji Mistrza Społegliwego, kształtującego sposób percepcji świata  
przez współczesnych humanistów.*

*w Krakowie, 29 października 2010 roku*

ANDRZEJ KURZ

# JUBILEUSZ I NOWA KSIĄŻKA DURACZYŃSKIEGO

Z początkiem roku 2011 warszawscy członkowie i sympatycy „Kuźnicy” spotkali się, po długiej przerwie, w gościnnych progach Klubu Księgarza na Rynku Starego Miasta. Okazją po temu było 80-lecie Profesora Eugeniusza Duraczyńskiego i świeżo wydana w „Bibliotece Kuźnicy” książka *Sprawy polskie minionego wieku*, jedna z dwudziestu jego autorstwa.

W dodatku prace naukowe Duraczyńskiego się nie starzeją i, co więcej, nie dają powodu do korekt, choć dotyczą historii najnowszej, poddawanej wciąż przedziwnym sprostowaniom, co oznacza, że ulegającej i skrzywieniom. A ma przecież ich autor za sobą także długie lata jednoznacznej aktywności w życiu publicznym – politycznym. Oznacza to, że w jego działalności naukowej nie było koncesji na rzecz doraźności. To budzi szacunek.

Eugeniusz Duraczyński jest dzieckiem ziemi tarnowskiej, w Tarnowie też ukończył liceum, poczem zdał chlubnie na Uniwersytet Jagielloński. Ale został jako wyróżniający się kandydat wysłany od razu na studia zagraniczne. Po ich ukończeniu wrócił w r. 1955 do Krakowa, aby rozpocząć pracę asystentką. Nie zabawił tu długo, został bowiem zakwalifikowany na studia doktorskie z historii, tym razem do Warszawy. I od lat przeszło pięćdziesięciu jest warszawiakiem.

Po zdobyciu tytułu doktora został przez prof. Tadeusza Manteuffela przyjęty do pracy naukowej w Instytucie Historii PAN i w nim prowadził prace badawcze aż do emerytury. Pamiętam dwóch młodych docentów tego Instytutu, Jerzego Tereja i Eugeniusza Duraczyńskiego, których pionierskie poszukiwania i publikowane w ich wyniku wspólnie i indywidualnie książki o najnowszej – wojennej – historii Polski i Europy budziły sensację i podziw. Młodzi badacze docierali do archiwów dotąd zamkniętych i do żyjących uczestników i świadków trudnych wojennych i okupacyjnych wydarzeń – także często przed Październikiem '56 zamykanych, a otwierających się przed budzącymi ich zaufanie naukowymi zapaleńcami. Ci zaś zaufania swych rozmówców nie zawodziли.

Jerzy Terej, nasz wspólny wielki przyjaciel, zmarł niespodziewanie wkrótce po czterdziestce. Eugeniusz Duraczyński, wciąż młody, choć już profesor, podejmował nowe zadania badawcze i publikował nowe książki. Poruszały one problematykę polskiego państwa podziemnego, rządu na uchodźstwie, powstania warszawskiego i różnorakich międzynarodowych uwarunkowań, czyli dotyczyły spraw polskich w Europie i na świecie, a w tym zagadnienia najtrudniejszego: stosunków Polski i Związku Radzieckiego. Wiele prac i wiele też nauko-

wych Duraczyńskiego miało charakter pionierski, wielu historyków uważa go za swego nauczyciela, nieocenionego pomocnika i opiekuna w docieraniu do tajemnic archiwów i ujawnianiu prawdy.

Pod koniec swej aktywności zawodowej, w latach 1995-2006, prof. Duraczyński był w Moskwie przedstawicielem Polskiej Akademii Nauk przy jej rosyjskiej odpowiedniczce. Jak nietrudno się domyślić, przedstawicielem do spraw trudnych. Otwierał polskiej i rosyjskiej historiografii nowe horyzonty i, co stało się jego specjalnością, archiwa. Robił to spokojnie, odpowiedzialnie i skutecznie, bez medialnego zgiełku. Efektem było kilka wspólnych, polsko-rosyjskich konferencji naukowych i wydawnictw źródłowych.

Na spotkaniu jubileuszowym w Warszawie zaprezentowałem najnowszą książkę prof. Duraczyńskiego, wydaną w „Bibliotece Kuźnicy”, w której poprzedziły ją już książki Andrzeja Walickiego, Karola Modzelewskiego, Bronisława Łagowskiego, Pawła Kozłowskiego, Hieronima Kubiaka i Jerzego Hausnera. Liczące ponad 500 stron tomisko zawiera kilkadziesiąt artykułów, szkiców i rozpraw Duraczyńskiego pisanych w ostatnim 40-leciu.

Pod trafnym tytułem *Sprawy polskie minionego wieku* zajmuje się autor:

- polską drogą od zniewolenia przez trzech zaborców do niepodległości, od niepodległości przez wojnę z okupacją do uzależnienia, a następnie do nowej niepodległości. W tym zwłaszcza:

- sprawą granic Polski w czasie II wojny światowej i po niej;

- działalnością polskiego rządu na uchodźstwie, jego polityką w sprawach granic i wobec sąsiadów Polski, Władysławem Sikorskim i innymi postaciami tego rządu;

- rozważaniami o dylematach roku 1944, kiedy decydowały się sprawy wyzwolenia, granic i władzy w Polsce, w tym o powstaniu warszawskim i jego międzynarodowych kontekstach;

- i sprawa kluczowa – stosunkami między Polską Walczącą a Kremlm.

Pisze też Duraczyński o naukowym plonie swego pobytu w Rosji na przełomie wieków i prezentuje historyzoficzne spojrzenie na dzieje Związku Radzieckiego.

Wydawanie „Biblioteki Kuźnicy” zawdzięczamy życzliwości Wydawnictwa Universitas, możliwości spotkań w warszawskim Domu Księgarza – jego od dziesięcioleci animatorowi, Janowi Rożdzeniowi i pomocy ze strony fundacji noszącej imię naszej rodaczki, jednej z najwybitniejszych kobiet przełomu XIX i XX w. – Róży Luksemburg.

KRZYSZTOF KOMORNICKI

# WPISY, BLOGI I INNE ŚWIŃSTWA

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia AD 2010, kiedy to wokół stołu zbierają się przyjaciele, gdy rozmawia się o sprawach bliskich i ujutnych, a wszystko odbywa się w pastelowym półtonie z jakimś Scarlattim w tle – u nas, proszę Państwa, w Wójtowicach, wybuchła zwyczajna awantura.

Olga podjęła się wyjaśnić starszemu pokoleniu na czym polega „portal społecznościowy”, Charlie powiedział coś śmiesznego o Gadu – Gadu, Zula (vel Zulus) chciała się zakładać, że Zuckerberg zostanie Człowiekiem Roku „Time’a”, wuj Henio wychylił kieliszek geringerówki i uznał, że na tytuł zasłużyli raczej uratowani górnicy chilijscy, ktoś siedzący strategicznie koło karpia po żydowsku oświadczył, że „Essential Killing” nie ma szans, bo wszystko wygra „Social Network”, a ciocia Talka, świeża adeptka Facebooku, przytaknęła.

No i zaczęło się. Zostało nas dwóch. Feliks, zwany Szczeniem albo Wujciem Szczęsnym bezlitośnie wkroczył z tekstem o „Facebooku – diabelskim narzędziu, które miast ułatwiać nawiązywanie przyjaźni w poprzek masywów i oceanów i wymianę poglądów na wielkie współczesne tematy – służy przede wszystkim handlowcom i pedofilom, pierwszym polującym na konsumenta, drugim zasadzającym się na dziewczynki Balthusa, a poza tym to koszmarny atak na prywatność”. Ja zabrałem się za Naszą Klasę, której potencjał zweryfikowałem był nieco wcześniej dzięki zupełnie zmyślonemu wiadomościom wpisywanym tam dziś a dotyczących okresu sprzed 30 lat, kiedy to nielubiany „Czesio bawił się na rosyjskim brzydko pod ławką, zaś ruda Rilke Alina doniosła wychowawcy, że Karol z Jackiem (nie mylić z Modzelewskim i Kuroniem) wyprowadzili na 3 Maja klasę do parku”. Cz., K., i J., nie mogą się przed takim kłamstwem obronić, a ja oczami duszy widziałem już jakiś wstrętny wpis autorstwa Rypsa, Bidery i Porwisiaka (Prawdziwe ich nazwiska! Co mi tam! Niech mnie skarżą!), moich wrogów z 7 b, którzy dziś - już jako ohydne staruszki - dorwali się do klawiatury i postanowili się ze mną porachować. Za moje piątki, za mój rekord w skoku wzwyż (162 cm), za moją zieloną koszulę i czerwony krawat. I za znajomość wiersza pt. „Bracie z Kamerunu”.

Ku naszemu zdumieniu ta wymiana poglądów uruchomiła nagle Ciocię Dulkę, która na Boże Narodzenie nie zabrała głosu chyba od czasu swej ostatniej wzy-

ty w betlejemskiej stajence, kiedy to w roku 0 zaniósł tam świeże sianko. Dzieci śmiały się ukradkiem, że poszła tam również po to, by ściągnąć trochę złota, mirry i kadzidła. Okazało się nagle, że ciotunia specjalizuje się we wpisach, i to pod trzema różnymi pseudonimami, opiniując wieści ze świata i z kraju, a także komentarze i artykuły. Skupia się na „Gazecie Wyborczej” on-line i tam tropi i karci różnej maści kosmopolitów, niewiernych gjaurów, dewiantów, wyznawców aborcji, eutanazji i zoofili, a także innych przedstawicieli określonych kręgów. Chyba sobie nieco podpiła, gdyż wygłosiła pean na cześć szczęśliwej anonimowości, która – jak się fachowo wyraziła – „zapewnia bezkarność w sieci”. Ale i pomaga spuścić złą krew. I nawet nie wie, jak ważną prawdę rzekła. Bo zamiast stawać się masowym mordercą na tle religijnym, rasowym (właśnie przed chwilą – 14.02.11 godz.11.11 - pojawił się komentarz sygnowany „aerobał” po tekście w „GW” o sprzedaży pałaców w cenie kawalerek: „koszerna krzyczy handełe, handełe”, a zaraz potem ktoś inny: „dobry ten PRL, bo zrobił porządek z żydami i z klerem”) lub seksualnym i dawać upust swemu szaleństwu w kolejne pełnie księżycy, taki wpisowacz czy inny blog-trotter gdy widzi swą plwocinę ściekającą po przedniej szybie na chwilę normalnieje. Jak po orgazmie. Dopóki nie wystucha następnej audycji radiowej o północy. Albo pójdzie na wiec pod Pałac. Czyli, że postkoitalny smutek nie potrwa długo.

No i po chwili okazało się, że wszyscy obecni udają niewiniątka. Każdy czyta, każdy wchodzi i każdy pisze swoje małe mądrości. I to niekoniecznie po linii cioci Dulki. Twierdząc przy tym, że kwituje w ten sposób nie tylko bzdury i świństwa, ale także rzeczy ważne, poważne i zabawne, których pełno wokół i w ogóle, że takie kwitowanie jest obywatelskim obowiązkiem.

Moc już struchlała, ale nie przyszli jeszcze Trzej Królowie. A tu wpisów zebrała się cała kolekcja. I tak: Słowik (czyli Gospodyni Dorota) zaczęła dyszkantem o pośle Węgrzynie, którego bronili on-line niejaki spocony jakby publicysta Terlikowski. „Węgrzyn nie lubi homoseksualistów, ale chętnie by się poprzyglądał lesbijkom. A Terlikowski go rozumie”. „Jestem ciekaw – wpisał Słowik, znany zwolennik symetrii – czy żona Węgrzyna chętnie by się poprzyglądała pedałom? I czy katolik Terlikowski by ją zrozumiał?”

Szczygieł (czyli siostrzeniec Filip) zawtórował altem i odniósł się do euro – przepraszam za wyrażenie – posta R. Czarneckiego, który najwyraźniej nie odrobił europejskiej lekcji i w programie Pospieszalskiego o RAŚ dał do zrozumienia, że wg Europy „to tylko państwa i narody”, zaś regionów to Europa nie lubi i wręcz zwalcza. Zapomniał, że era ta powoli się kończy i że bohaterem integracji europejskiej staną się – i stają – regiony. Zamiast wpisu Filipa zacytujmy obecnego na wizji Kazimierza Kutza: „brednie Pan opowiadasz !”

I tu krzyknął Szpak tenorem (czyli Gospodarz Krzysztof), pragnący przejść od polityki do obyczajowości. Rzecz swą odniósł do szalejącej ostatnio, także w „Gazecie” i w Onecie, dyskusji o tym, że „kobietom rosną piersi aż do śmierci, przez cały czas rosną” – co zostało udowodnione odpowiednimi badaniami jakiegoś teamu ze Stanford, Harvardu czy nawet z MIT, na zamówienie jakiejś Rand Corporation, a może Akademii Rozwoju Filantropii czy wręcz Microsoftu. We wpisie Szpaka znajdujemy wspomnienie, które odkurzył, że „u 18-latków piersi, jeśli je umiejętnie wprawić przyszło w ruch wertykalny, zachowywały się jak małe srebrne dzwoneczki z kampanii jakiejś. Dziś są to dorodne dydy służące do poważnej zabawy”. I niech mu żadna feministka nie wyjeżdża tu, że „traktuje kobiety przedmiotowo!” My Szpaki też swoje dydy mamy, też do poważnej zabawy, tylko, że nam bez przerwy one nie rosną. Wręcz odwrotnie.

No i przyszedł czas na Gołębia (czyli Syna Mikołaja), który gruchnął basem i atrakcyjnym szpagatem ze swych ostatnich wakacji w Timbaktu powrócił do polityki. Rozwinął mianowicie tak bliski Polakom wątek spisków. Skandynawski by udupić Kowalczyk, rosyjski by zamachnąć się na naszego Prezydenta, Grossa & Co by zszargać święte imię najbardziej tolerancyjnej nacji na tej ziemi, Targowiczani by dać Awdiejewej niezastuzone zwycięstwo w Konkursie Chopinowskim, Ribbentrop i Mołotowa, którzy natchnęli Putina i Schroedera, by w Rapallo porozumieć się nad naszymi rurami co do własnej rury – wszystko

za 30 galilejskich srebrników, rosyjsko-angielski by zgładzić generała Sikorskiego i przez swych agentów nie dopuścić do uroczystej ekshumacji za ponad 560 000 zł...Gołąb dixit (a raczej gruchit): „Wpisuję się wszędzie tam, gdzie napada się na Chrystusa Narodów...Za chwilę znowu gruchnę basem na M. Gessler, która sponiewiera kolejną polską ludową gospodę”.

A Kaczka Pstra (czyli doproszony do stołu stary i dobrotliwy ogrodnik Pulchuj)? Ta, która trzyma dudy na ramieniu i wciąż gra...Tu gra nam przy kutii (w tym roku zamiast pszenicy pęczak) przypominając telewizyjny performance p. Hołowni z czasów, gdy miał jeszcze buzię cherubinka i ubolewał nad straszonym losem arcybiskupa Wielgusa, który to los, *by the way*, sam z kilkoma kumplami mu zgotował. „Będę się za niego modlił” – wyszeptał z twarzą onanisty przyłapanego na spędzaniu płodu ten dobrze zapowiadający się megaloman. Wpis Kaczki Pstrej: „Powinno być odwrotnie”.

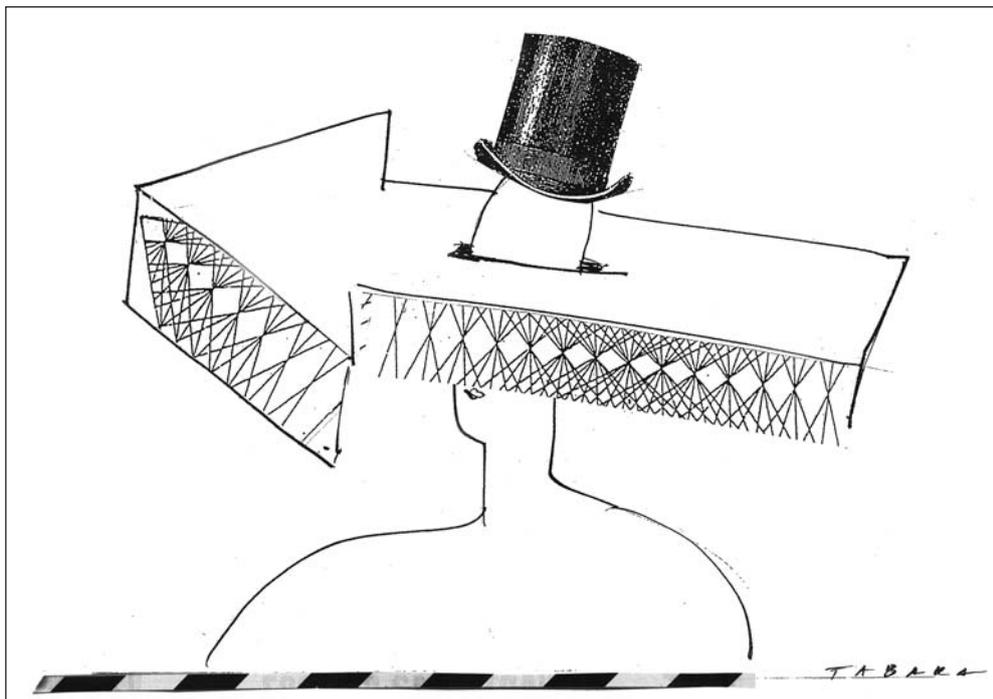
A Makolągwa z synem, która robi „ćwir-ćwir” czyli wykonuje na swym górnym instrumencie anglosaskie „twitter-twitter”? O tym nie będzie, bo wpis ten zupełnie nie nadaje się do druku. Powiem tylko, że dotyczy dzieła A. Żuławskiego pod radosnym tytułem „Nocnik”.

A tymczasem nikt się nie wpisał gdy zapodano, że na balu „Vivy”, „Twojego Stylu” czy też „Życia na gorąco” byli m.in. Gnido Reni, Orlando Furioso z Jeruzalemą Liberatą, Utrillo i Enrillo, Antykrysto, Montekukuli i Andante da Capo. Ha? – pytam. Może rzeczywiście byli...

### KRZYSZTOF KOMORNICKI

PS. Marzy mi się pełne „Zdanie” on-line, któremu różne koszmarki mogłyby anonimowo dowalić. Np. ordynarnym wpisem o średniej wieku bohaterów „Trzech na Jednego”! I o średniej ważonej lewicowości, którą bardzo w tym numerze poprawia prof. Bauman.

14 luty 2011 r.



Rys. Małgorzata Tabaka

więcej  
wątpię  
jestem

# NĘDZA Z BIDA...

Z *Polski idą*. To wiemy z literatury staropolskiej. Od tego pisanego świadectwa minęło kilka wieków, a bieda z kraju nad Wisłą jakoś nie chce się wyprowadzić. Co gorsza, w ostatnich latach, zwanych transformacją ustrojową, zrobiono wiele, żeby obszar biedy i ubóstwa w społeczeństwie powiększyć. Ja wiem, że takie stwierdzenie nie przypadnie do gustu nie tylko neoliberalom, ale w ogóle tym wszystkim, którzy nie dopuszczają nawet myśli, że w jakiejś dziedzinie życia mogło być w PRL-u lepiej niż jest obecnie. Tymczasem jest w III RP wcale niemała grupa ludzi, którym żyje się marnie, a w każdym razie gorzej niż za komuny. I dlatego nie dziwnym jest, że wśród nich nie ma entuzjastów przemian, z których jesteśmy tacy dumni. Toteż kiedy pojawia się trybun ludowy Jędrus Lepper lub nowy kandydat na ojca narodu, tym razem w sutannie, zawsze może liczyć na poparcie niezadowolonych. Powtarzanie przy tej okazji banałów o populizmie niczego nie wyjaśni i nie zmieni.

\*\*\*

Od dwudziestu lat słyszymy, że transformacja musi boleć. Ale jakoś mało kto zadaje pytanie, dlaczego najbardziej ból istnienia na tym ziemskim padole ma doskwierać tym, których życie i tak nie rozpieszcza, dla przykładu dzieciom z Bieszczad. Czy z tego powodu, że trzeba było ponoć zastosować terapię szokową, aby wrócić na Europy łono, mamy zaakceptować i usprawiedliwić dziedziczenie biedy w kilku milionach polskich rodzin? A z takim realiem – jak mówi się teraz – mamy w Polsce do czynienia, co uświadomiła zebrany w sali obrad Rady Miasta Krakowa doroczna konferencja „Kuźnicy”. Jej tytuł: *Analiza polskiej biedy w świetle Europejskiego Roku Walki z Ubóstwem i Wykluczeniem Społecznym* był bardzo wymowny. Jednak nie o rozczulanie się nad ową biedą, która ciągnie się za nami od stuleci, chodziło organizatorom, ani o wywołanie współczucia dla tych, których ona dotknęła. Tym się zajmują organizacje charytatywne, a „Kuźnica”, jakkolwiek miałyby powody uznać się nad własnym losem, zdobyła się, korzystając z pomocy ekspertów, na wielostronne przedstawienie problemu, który – jak się okazało – ma nie tylko wymiar egzystencjalny i moralny, lecz przede wszystkim strukturalny. Jeśli bowiem bieda i społeczne wykluczenie osiąga takie rozmiary jak u nas, to płynące z najbardziej szlachetnych pobudek akcje pomocy i ludzkiej solidarności okażą się tylko znieczulającym plastrem. Biedą, ubóstwem i drastycznymi nierównościami społecznymi, jeśli mają one charakter strukturalny, musi się zająć państwo. Jak dotąd naj-

piej sobie z tym radziło, czy się to komuś podoba czy nie, państwo opiekuńcze.

\*\*\*

Tematyka kuźniczańskiej konferencji wywołała duże zainteresowanie, choć przesadą byłoby stwierdzenie, że do krakowskiego magistratu tłumnie zbiegli się politycy. A to od nich przede wszystkim zależy, jak z problemem biedy i wykluczenia radzi sobie państwo. Z natury rzeczy najwięcej wrażliwości na ten kompleks spraw powinna wykazywać lewica, ale – sądząc po efektach – niewiele w tym zakresie zrobiła, a przecież współrzędziła dwukrotnie. Na swoje usprawiedliwienie przytacza argument, że zubożenie połowy społeczeństwa to konsekwencja transformacji ustrojowej: od socjalizmu do kapitalizmu, a tą drogą przed nami, jak i przed pozostałymi demoludami, wielkiego Kraju Rad nie wyłączając, nikt jeszcze nie szedł. W tej argumentacji można oczywiście pójść jeszcze dalej. Skoro klasa robotnicza skupiona w Solidarności powiedziała wreszcie nie socjalizmowi (wcześniej, według oficjalnej propagandy, mówiła nie wypaczeniom), to ma czego chciała, czyli kapitalizm. A jak sobie w nim radzi, to widać gołym okiem. Od czasu do czasu urządzi juwenalia pod URM-em i wróci na Śląsk lub do nędznych resztek po stoczniach. Kto chciałby mieć schadenfreude z tego powodu, może powiedzieć: sama sobie zgotowała ten los. I nie tak to sobie wyobrażali klasyicy.

\*\*\*

Jakiegokolwiek przyjęlibyśmy wytłumaczenie, to nie zmieni faktu, że bieda w Polsce jest czymś realnym. Jak się wszelako okazuje, dotknęła ona także kraje o wiele od nas zamożniejsze, choć marne to pocieszenie. Świadczy o tym ogłoszony nie w Azji czy Afryce, lecz w bogatej Europie rok walki z ubóstwem i wykluczeniem społecznym. Biedę, a nawet nędzę można próbować ukryć, bo to temat wstydlivy i nie na pokaz. Wtedy mamy sytuację podobną do tej z PRL-u, kiedy władza pokazywała fasadę, a opozycja tyły. Dziś też politycy wolą uprawiać propagandę sukcesu niż przyznać się do błędów i zaniedbań. Ale ta droga prowadzi donikąd, bowiem rzeczywistych problemów społecznych i w takiej skali nie uda się zamieść pod dywan. Spychane na margines i przemilczane odezwą się ze zdwojoną siłą. Problem pogłębiających się nierówności społecznych, a one w istocie generują biedę i wykluczenie, urasta we współczesnym świecie do jednego z najważniejszych. I w zależności od tego, czy i jak zostanie rozwiązany, zależeć będzie nasza przyszłość.

SCEPTYK

*Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”*

*przyznaje*

*Profesor Magdalenie Środzie*

*Honorową Nagrodę Kowadła*

*za:*

*\* wybitne prace naukowe z dziejów myśli etycznej,*

*\* działalność na rzecz wprowadzania nauki o etyce do polskich szkół,*

*\* niestrudzone działanie na rzecz równego statusu kobiet i mężczyzn,*

*\* odważną publicystykę walczącą z hipokryzją w życiu publicznym,  
upominającą się o neutralność światopoglądową polskiego państwa,  
tolerancję i wolność myśli.*

*Kraków, 8 grudnia 2010 roku*

---

## ZDANIE

---

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

---

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski,  
Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji).

Współpraca redakcyjna: Marian Szulc

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

**Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41**

**www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl**

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Marian Szulc, 30-441 Kraków, ul. Fałęcka 60

Korekta: Marian Dziwisz

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.



Jerzy Nowosielski, *Cerkiewki*

**ROMAN WYSOGLĄD**

**21 luty 2011**

Jerzemu Nowosielskiemu

w chwilę po śmierci  
zdejmują cię z własnoręcznie  
namalowanej ikony

wszystko dla kilku złotych  
ponieważ  
pieniądze potrzebne są  
żyjącym

nie świętym

